

1. DYWIZJA PANCERNA

w

walce

PRACA ZBIOROWA



1. DYWIZJA PANCERNA

w walce

PRACA ZBIOROWA

STRACZYŃSKI KAŹIMIERZ
1250

1. DYWIZJA PANCERNA W WALCE

COPYRIGHT BY
„LA COLONNE" Ltd.
BRUSSELS 1947

1 DYWIZJA PANCERNA W WALCE

dwp/2

PRACA ZBIOROWA

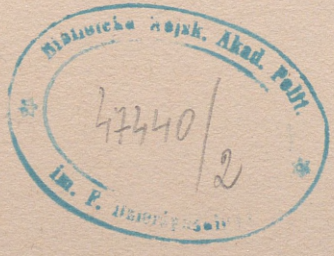

Imprimé en Belgique par
Imprimerie „La Colonne", S. P. R. L. 22, rue de la Braie,
à Bruxelles, Reg. du Com. Brux. 191.922

Pragnę, by książka ta była wiernym obrazem walk i potrafiła oddać to wszystko czego dokonaliście Wy - żołnierze 1. Dywizji Pancernej - nie tylko ci najbardziej wyróżnieni i odznaczeni - ale wszyscy - bez różnicy stopni.

Daliście z siebie wszystko. Od początku, gdy podjęliśmy wspólnie trud tworzenia pierwszej dywizji pancernej, poprzez najbardziej krwawe bitwy w Normandii, Belgii i Holandii - aż do końca - gdy biało-amarantowe barwy i srebrne orły rozwinęły ponure zgliszcza Wilhelmshafen -

Kiedyś, jeszcze w czasie walk, powiedziałem: „Żołnierz polski bić się może o wolność wszystkich narodów - umiera tylko dla Polski. Dziś oddając hołd poległym - zwracam się do Was weteranów:

Udziałem naszym mogą być różne jeszcze losy tułaczki - ale jej celem i kresem pozostanie zawsze Polska.

Macierzyn

I oto idzie w świat pierwsza książka, opowiadająca o dziejach 1. Dywizji Pancernej.

Nie jest ona żadnym studium operacyjnym czy taktycznym, nie jest nawet historią Dywizji, bo ta zapewne doczeka się kiedyś swego dziejopisarza — jest to po prostu luźny zbiór wspomnień i opis wydarzeń zestawionych w sposób chronologiczny.

Opracował ją nie zawodowy literat, czy błyskotliwy dziennikarz, jakiś chwilowy, a serdeczny gość dywizyjny, ale napisali ją żołnierze, walczący w szeregach Dywizji, duszą i sercem w nią wrośnięci, dla swych kolegów — towarzyszy broni.

Napisali ją prosto i po żołniersku, tak jak umieli. Z kartek jej przebija nie tylko wiele gorących uczuć ale i wierne oddanie prawdy. Dlatego też praca ta ma również wartość dokumentu.

Dla żołnierza Dywizji, gdy bił się w obcych krajach o Polskę, nieraz braterstwo broni zastępowało uczucia rodzinne, a słowo Dywizja znaczyło niejednokrotnie prawie tyle, co Ojczyzna.

Dziwna to bowiem Dywizja, do której tak się przywiązałeś. Legenda wokół niej się oplata, jak ongiś wokół Legionów Dąbrowskiego, które jak Ty sam Żołnierzu, w walce o Polskę wolną i niepodległą, Europę niemal całą przebiegły.

Książka ta opowiada w jaki sposób żołnierz 1. Dywizji Pancernej starał się uczciwie obowiązek swój względem Ojczyzny spełniać. Jakie to trudy nieraz znosił ogromne, zwątpienia i radości. Jak bił się ochoczo, jak ginął, jak szedł przez pola bitewne o obcych, dziwacznych dla nas nazwach, nieugięty dla wroga, a zyskujący sobie szacunek i miłość tych, którym niósł wyzwolenie.

Jeśliby książka ta wcześniej zawędrowała do Kraju, zanim żołnierz Dywizji będzie mógł tam przyprowadzić swe sztandary bojowe, niechaj niesie Rodakom gorące pozdrowienia.

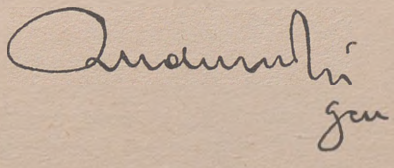

OD KOMITETU REDAKCYJNEGO

Inicjatywa wydania Książki dywizyjnej zrodziła się dawno i wyszła z wielu kierunków, lecz dopiero w grudniu 1945 roku Dowódca Dywizji gen. Rudnicki powołał Komitet celem wydania pracy zbiorowej. Kierownictwo objął zastępca Dowódcy Dywizji płk. dypl. Majewski Tadeusz. W skład Komitetu weszli: płk. dr. Szydłowski Zdzisław, por. Niczewski Stanisław, por. Ostromęcki Adam z 10. Brygady Kawalerii Pancernej, por. Max Stanisław z 3. Brygady Strzelców, ppor. Iwaniuk Wacław z Artylerii Dywizyjnej i ppor. Krasicki Stanisław z Plutonu Opieki.

Komitet miał za zadanie rozpatrzyć prace nadesłane przez poszczególne oddziały, dokonać wyboru i przeróbek, trzymając się ram określonych planem książki.

Na ogólną sumę 220 nadesłanych artykułów zatwierdzono, po dokonaniu skrótów, około 90 prac. Udział oddziałów w cyfrach wyraża się następująco: z 10. Brygady Kawalerii Pancernej przyjęto 16 prac, z 3. Brygady Strzelców — 25, z Artylerii Dywizyjnej — 15, z 10. Pułku Strzelców Konnych — 10. Reszta oddziałów Dywizji nadesłała 14 prac, zaś kilka artykułów zostało napisanych na prośbę Komitetu Redakcyjnego.

Materiały fotograficzne do książki zostały dostarczone częściowo przez oddzia y, częściowo indywidualnie oraz ze zbiorów Mariana Walentynowicza.

Komitet rozpatrując nadesłany materiał starał się, by każdy oddział miał proporcjonalną ilość zatwierdzonych artykułów. Nie uwzględniono tego momentu tylko przy tych oddziałach, które nadesłały minimalną ilość materiału lub w ogóle go nie dostarczyły.

Stronę graficzną opracował por. Niczewski Stanisław przy współpracy p. Fisz Marii i ppor. Sablińskiego Mieczysława.

Komitet Redakcyjny przy korekcie, jak i przy opracowaniu strony literackiej korzystał ze współpracy p. Niczewskiej Zofii.

Książka złożona została przez zecerów — żołnierzy Dywizji: sierż. Golla Edmunda, plut. Wysockiego Kazimierza i strz. Barańskiego Leopolda, przy współpracy Łętowskiego Kazimierza.

Powiększenia, reprodukcje zdjęć i pomocnicze prace graficzne wykonała Sekcja Filmowo-Fotograficzna Plutonu Opieki.

Pierwotnie zamierzaliśmy wydać 15000 ozdobnych egzemplarzy. Jednak trudności w zdobyciu papieru i środków graficznych oraz przeciwności walutowe zmuszały nas do kolejnego rezygnowania z naszych ambitnych zamierzeń. Niestety, książka ma formę i nakład skromny. Tak oto łatwiej nam było wygrać niejedną bitwę, niż wydać książkę w pięknej szacie.

WSTĘP

S T A R T

1937 — 1939

CIĘŻKO zbrojny, rozrośnięty i zaprawiony zapaśnik — 1. Dywizja Pancerna — stanęła 1 sierpnia 1944 roku na Kontynencie i ruszyła, od zakurzonej i śmierdzącej trupami Normandii, poprzez Belgię i Holandię, aż do zielonych pastwisk Fryzji, aby na finał kampanii zatknąć 6 maja 1945 roku zwycięską flagę biało-czerwoną w najgroźniejszym porcie wojennym Niemiec — Wilhelmshaven.

Dalekimi drogami i przez długie lata chodziła Dywizja, zanim obrosła w siłę, pancerz i doświadczenie. Ciężko zbrojny, pancerny atleta był kiedyś ubogim i chuderlawym, choć czupurnym młodzieniaszkiem. Na imię mu było: 10. Brygada Kawalerii.

Zaczęło się wiosną 1937 roku. Decyzją wojskowych władz 10. Brygada Kawalerii została przeorganizowana na Brygadę Motorową, z zachowaniem dawnej, „konnej" nazwy. W koncepcji Dowództwa Brygada miała w zasadzie spełnić zadania ruchliwej jednostki pancernej — zaporowej. Koncepcja ta w latach 1937 — 1939 uległa zmianom i odchyleniom, w zależności od których wahała się i odchylała organizacja i „Ordre de Bataille" Brygady, dzięki czemu w owym okresie przeżywała ona stałą reorganizację. Przez długi czas Brygada była jedyną polską jednostką tego typu, skutkiem czego stanowiła obiekt nieustannych doświadczeń, co było korzystnym o tyle, że pociągano Brygadę do wszystkich większych ćwiczeń i manewrów, jakie się w tych latach odbywały. Brygada brała udział w zajęciu Zaolzia i Jaworzyny, a w miarę jak zarysowywał się konflikt zbrojny z Niemcami, była stawiana stopniowo w stan pogotowia. Etapami było: powołanie pod broń rezerwistów — koncentracja całości Brygady w rejonie Rzeszowa (15.III.39). wreszcie koncentracja w rejonie Krakowa (od dnia 15.VIII.39) z jednoczesnym oddaniem Brygadzie oddziałów przydzielonych.

Pierwszym dowódcą Brygady po jej zmotoryzowaniu był płk. dypl. Antoni Trzaska - Durski. W październiku 1938 roku dowództwo objął płk. dypł. Stanisław Maczek.

Ostateczna organizacja Brygady — ta z którą wyszła ona na wojnę — była następująca:

Oddziały organiczne:

Sztab Brygady
Pluton Regulacji Ruchu
Szwadron Łączności
Dywizjon Rozpoznawczy
Dywizjon Przeciwpancerny (37 mm)
24. Pułk Ułanów (zmotoryzowany)
10. Pułk Strzelców Konnych (zmotoryzowany)

Oddziały przybyłe na koncentrację 15.VIII :

Kompania czołgów Vickers
Kompania czołgów TKS
16. Dyon Artylerii Motorowej (bateria 75 i bateria 100)
Batalion Saperów (2 komp.)
Bateria Artylerii Przeciwlotniczej (40 mm)
Kompania Transportowa

KAMPANIA WRZEŚNIOWA

W rejonie Krakowa Brygada weszła w skład Armii „Kraków", dowodzonej przez gen. Szyllinga. Mimo tego, że Brygada przewidziana była jako odwód Armii, działanie nieprzyjaciela sprawiło, iż weszła ona do walki w pierwszym dniu wojny. Mianowicie zagrożenie południowego skrzydła i tyłów Armii przez grupę pancerną, kierującą się ze Słowacji przez Tatry w ogólnym kierunku na Tarnów, zmusiło dowódcę Armii do rzucenia na ten kierunek 10. B. K. już w godzinach rannych dnia 1 września, z zadaniem osłony południowego skrzydła Armii na osiach Jordanów — Myślenice i Rabka — Dobczyce. Na to działanie został podporządkowany Brygadzie 1. K. O. P. znajdujący się w styczności z nieprzyjacielem na linii Rabka — Skomielna — Jordanów.

Udział 10. B. K. w Kampanii Wrześniowej dzieli się na kilka kolejnych faz.

1. Manewr opóźniający w Beskidzie Wyspowym w osłonie skrzydła Armii.

Mając przed sobą niemieckie zgrupowanie pancerne w składzie 2. Dywizji Pancernej oraz 4. Dywizji Lekkiej, Brygada opóźniała to zgrupowanie w ciągu 5 dni na dwóch kierunkach: Jordanów — Skomielna, Biała — Myślenice i Rabka — Krasina — Dobczyce. Styczność z nieprzyjacielem nawiązano już 1 września i tegoż dnia wzięto pierwszych jeńców. W dniach 3, 4 i 5 września dowódca Brygady grał manewr opóźniający z tym, że nocą

2/3 przerzucił większość Brygady na kierunek Dobczyce, i tam zaskoczył nieprzyjaciela przeciwnatarciem, w ciągu nocy natomiast 4/5 zorganizował również udane przeciwuderzenie ze skrzydła na oś Myślenicką.

O bilansie pierwszej fazy działań stwierdzić trzeba, że pancerna, potężna i ruchliwa grupa operacyjna nieprzyjacielska, posiadająca olbrzymią przewagę w lotnictwie, czołgach, artylerii i nawet po prostu w bagnetach, wykonała swój zagon operacyjny z przeciętną szybkością... 5 kilometrów dziennie.

2. Bochnia — Dunajec.

W nocy 5/6 września Brygada znalazła się w bezpośredniej łączności z Grupą gen. Boruty-Spiechowicza, na południowym skrzydle Armii, z zadaniem osłony tego skrzydła.

Zadanie zostało wykonane przez obronę Wiśnicza oraz manewr odwrotowy na Dunajec w ciągu dni 6 i 7 września.

3. Osłona kierunku Rzeszów — Lwów w ramach Armii „Karpaty".

W nocy 7/8 września, po bitwie nad Dunajcem, w której Grupa Operacyjna gen. Boruty-Spiechowicza, pobita, została zepchnięta na Leżajsk, 10. B. K. została przerzucona lasami Puszczy Sandomierskiej pod Rzeszów, do dyspozycji dowódcy Armii „Karpaty", od którego otrzymała zadanie osłony kierunku na Lwów wzdłuż szosy Rzeszów — Jarosław — Lwów. W tym okresie do listy walk Brygady dopisać należy: obronę Rzeszowa w dniu 8 września, bitwę o Łańcut w dniu 9 września, przejściową obronę Sanu w rejonie Jarosławia w dniu 10 września, skąd na skutek przeskrzydlenia od strony Przemyśla Brygada w dniu 11 września odskoczyła na Krakowiec, którego broni od południa dnia 12 września, a do rana dnia 13 września zatrzymuje nieprzyjaciela na Jaworowie.

Po przekroczeniu Sanu kolumny nieprzyjaciela ponownie przeskrzydlają Brygadę i uderzają na Lwów. W wyniku tego położenia Brygada zostaje nocą 13/14 września przerzucona na kierunek Lwowa — początkowo do rejonu Żółkwi, z zadaniem osłony Lwowa od północy. Od tego dnia zaczyna się ostatnia faza walk Brygady.

4. Walki o Lwów.

Po jednym dniu lokalnych działań o nieznacznym natężeniu w rejonie Żółkwi i Dobrosina, rozpoczyna się od dnia 15 września natarcie na niemiecką 1. Dywizję Górską, która uchwyciwszy wzgórza pod Zboiskami, bezpośrednio zagrażała miastu. Kluczowym rejonem niemieckiej podstawy działania był grzbiet 324 — Zboiska.

Natarcie Brygady na ten grzbiet trwa bez przerwy do dnia 17 września, okupione ciężkimi stratami, kosztem których grzbiet zostaje zdobyty w godzinach popołudniowych dnia 17 września. Zagrożenie z tego kierunku jest

zlikwidowane — ale jednocześnie nadchodzi wiadomość o wkroczeniu wojsk rosyjskich w granice Polski, oraz rozkaz dla Brygady natychmiastowego przejścia do dyspozycji Naczelnego Dowództwa do Halicza, w przewidywaniu obrony Dniestru.

Nocą 17/18 września forsownym marszem Brygada prześlizguje się wąskim korytarzem pomiędzy kolumnami niemieckimi i rosyjskimi i osiąga Halicz rankiem dnia 18 września. Zamiast jednak rozkazu obrony Dniestru otrzymuje tam rozkaz przekroczenia granicy węgierskiej.

Łudząc się, że wobec wystąpienia Rosji Węgry przystąpią do wojny po naszej stronie (względnie, że wystąpienie takie jest kwestią godzin), Brygada zbiera się w rejonie Tatarowa, a w ciągu dnia 19 września w szyku, z bronią i dowodzona, przekroczyła granicę węgierską na Tatarskiej Przełęczy.

Kampania była przegrana. 10. Brygada Kawaleriii wyszła z niej jednak ze sławą i z poczuciem dobrze i krwawo wypełnionego obowiązku żołnierskiego, nie rezygnując bynajmniej z dalszej walki o wolną Ojczyznę.

FRANCJA 1940

Z chwilą przekroczenia granicy węgierskiej i wyjaśnienia położenia, myśli wszystkich żołnierzy Brygady skierowały się natychmiast ku Francji, jako tego sojusznika, który oczywiście rozpocznie niezwłocznie następny akt operacji, przygotowanej przez przegraną bitwę straży przedniej — Armii Polskiej. W ciągu jesieni i zimy 1939/1940 roku pojedyńczo i grupami — ba, całymi szwadronami, zebrali się żołnierze 10. B. K. we Francji, pod dowództwem tego samego płk. Maczka, który za zasługi położone w kampanii 1939 roku został mianowany generałem brygady.

Przygotowanie do dalszego udziału w walce o Polskę przeszło następujące koleje: pomiędzy październikiem 1939 a lutym 1940 zbieranie i organizacja oddziałów odbywała się w obozie w Coëtquidan w Bretanii, z myślą przewodnią zbudowania na zrębie dawnej 10. B.K. lekkiej dywizji zmechanizowanej (francuska nazwa dywizji pancernej). W tym okresie odbyło się powiększenie stanów dawnej Brygady do ilości potrzebnej, przez wcielenie do przyszłej dywizji: kawalerzystów z innych brygad polskich, żołnierzy broni pancernej, artylerzystów, łącznościowców, saperów i innych specjalistów niezbędnych w lekkiej dywizji pancernej. Większość tych żołnierzy przybyła z Polski przez Węgry bądź Rumunię, bądź nawet przez Bliski Wschód. Część pochodziła spośród Polonii emigracyjnej.

W lutym 1940 roku nastąpiło wyraźne odgraniczenie od wielkiej jednostki piechoty związków Lekkiej Dywizji Zmechanizowanej, przez przerzucenie ich z Bretanii na południe, do rejonu Bollène - Orange (pod Avi-

gnon) i zebranie w t.zw. Obozie Wojsk Pancernych i Motorowych, gdzie po szeregu przemian organizacyjnych doprowadzono do stworzenia 3 zgrupowań: Kawalerii Motorowej — zawiązku przyszłej 10. B.K. Panc., Broni Pancernej — zawiązku przyszłej 16. Brygady Pancernej, a w dalszej przyszłości również i 10. B. K. Panc., oraz zgrupowania Artylerii.

Ze strony francuskiej napotykano raczej na opory i niechęć do tworzenia dywizji pancernej, co odbiło się na losach naszych w ten sposób, że w ciągu całej zimy dawał się wybitnie odczuwać brak ostatecznych form organizacyjnych oraz niezwykle mała ilość sprzętu wyszkoleniowego, co nie pozwoliło na należyte wykorzystanie okresu. Dopiero klęska we Flandrii i w Ardenach, oraz zagrożenie Paryża wywołały gwałtowną przemianę w losach Dywizji. W warunkach zupełnego zaskoczenia Dywizja została przerzucona w końcu maja 1940 pod Paryż, do rejonu Versailles - Arpajon, gdzie zaczął masowo napływać sprzęt etatowy. Jednocześnie Naczelne Dowództwo francuskie zażądało natychmiastowego wymarszu Dywizji na front.

Było to niemożliwością fizyczną, wobec czego na propozycję gen. Maczka wydzielono do natychmiastowego wymarszu zgrupowanie pod nazwą 10. Brygady Kawalerii Pancernej. Reszta miała dołączyć po zakończeniu organizacji i objęciu sprzętu, pozostając tymczasem w dawnym rejonie pod dowództwem płk. dypl. Dworaka.

Ta większa część Dywizji nie zdążyła już wziąć udziału w działaniach. Przerzucana rozkazami władz francuskich, pod wpływem sytuacji na frontach, coraz bardziej ku południowi, wzdłuż wybrzeża atlantyckiego, została w połowie czerwca załadowana na statki i ewakuowana do W. Brytanii, gdzie rozpoczął się zupełnie nowy okres życia Dywizji. Ze zgrupowania tego tylko 2. Batalion Czołgów został skierowany na połączenie się z 10. B. K. Panc., nie zdołał już jednak tego dokonać i był zmuszony również pomaszerować do portu celem przejazdu na nowy teatr operacyjny.

Wydzielona do 10. B. K. Panc. część wojska pod osobistym dowództwem gen. Maczka, wyruszyła z rejonu Wersal - Arpajon, częściowo na kołach, częściowo transportem kolejowym, w dniu 10 czerwca, z zadaniem skoncentrowania się w rejonie Avize (w Szampanii).

Skład zgrupowania:

Sztab Brygady
Pluton Regulacji Ruchu
Pluton Łączności
Dyon Artylerii P.-panc
Bateria Art. Plotn. (20 mm)

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit. im. F. Dzierżyńskiego

Kompania Saperów
Pułk Czołgów (bez drugiego baonu)
Dyon Kawalerii Mot. (zbiorowy — po 1 szwadronie i
1 plutonie motocyklistów z 24. Pułku Ułanów
i z 10. Pułku Strzelców Konnych).

Koncentracja zakończyła się w ciągu 12 czerwca w ten sposób, że Brygada zdążyła jeszcze wskoczyć w zamykający się pierścień niemiecki, do bombardowanego bez przerwy rejonu Avize, gdzie weszła pod rozkazy francuskiego VII Korpusu gen. De la Porte du Theil. Pierwszym zadaniem na dzień 13 czerwca była osłona zachodniego skrzydła francuskiej 20. Dywizji Piechoty, później — zamknięcia luki pomiędzy francuskimi 20. a 59. Dywizjami Piechoty.

W wykonaniu tego zadania 10. B. K. Panc. stoczyła swoją pierwszą walkę na froncie zachodnim, powstrzymując nieprzyjaciela walką pod Champeaubert - Montmirail, a przeciwnatarciem czołgów pod Montgivroux.

Dzięki tym działaniom dywizje francuskie zdołały uniknąć oskrzydlenia i wycofały się. Było to jednak ostatnie dowodzone z góry i zorganizowane działanie. Od dnia 14 czerwca Brygada wpadła w zamęt wycofujących się bez ładu i składu jednostek francuskich, i rzucana doraźnymi rozkazami przygodnych dowódców francuskich korpusów, od wypadku do wypadku, prawie bez walki przesuwała się ku południowemu wschodowi — w takim dziwnym kierunku spychał nas okrążający manewr niemiecki. Przekroczyła kolejno Aube, później Sekwanę i w dniu 16 czerwca znalazła się w lasach Chaource, gdzie nawiązała łączność i ustaliła plan działania z napotkaną tam 42. Francuską Dywizją Piechoty. W ciągu marszu poniesiono dotkliwe straty od ustawicznie czynnego lotnictwa nieprzyjacielskiego.

Decyzja powzięta w lesie Chaource prowadziła w kierunku otworzenia drogi na Loarę przez kanał Burgundzki. Jako miejsce forsowania wybrano Montbard, na który miała uderzyć Brygada, otwierając drogę dla Francuzów, którzy się jeszcze nie zebrali. Wobec braku paliwa zlikwidowano połowę czołgów w lesie Chaource. Brygada ruszyła więc do walki z siłami poważnie zmniejszonymi. Dalsza redukcja sił nastąpiła po przekroczeniu przez gros Brygady miasteczka, w którym to punkcie uderzenie niemieckie odcięło cały ogon kolumny Brygady. Do bitwy o Montbard doszło około kompanii czołgów (17 czołgów), cały Dywizjon Kawalerii Motorowej i pluton saperów. (Część rozbitków „ogona" dołączyła jeszcze po bitwie).

Montbard stanowi piękną kartę tej krótkiej kampanii. Nocnym uderzeniem czołgów i kawalerii motorowej zaskoczono zupełnie i zniszczono batalion niemieckiego 33. Pułku Piechoty zmotoryzowanej i zajęto miasto.

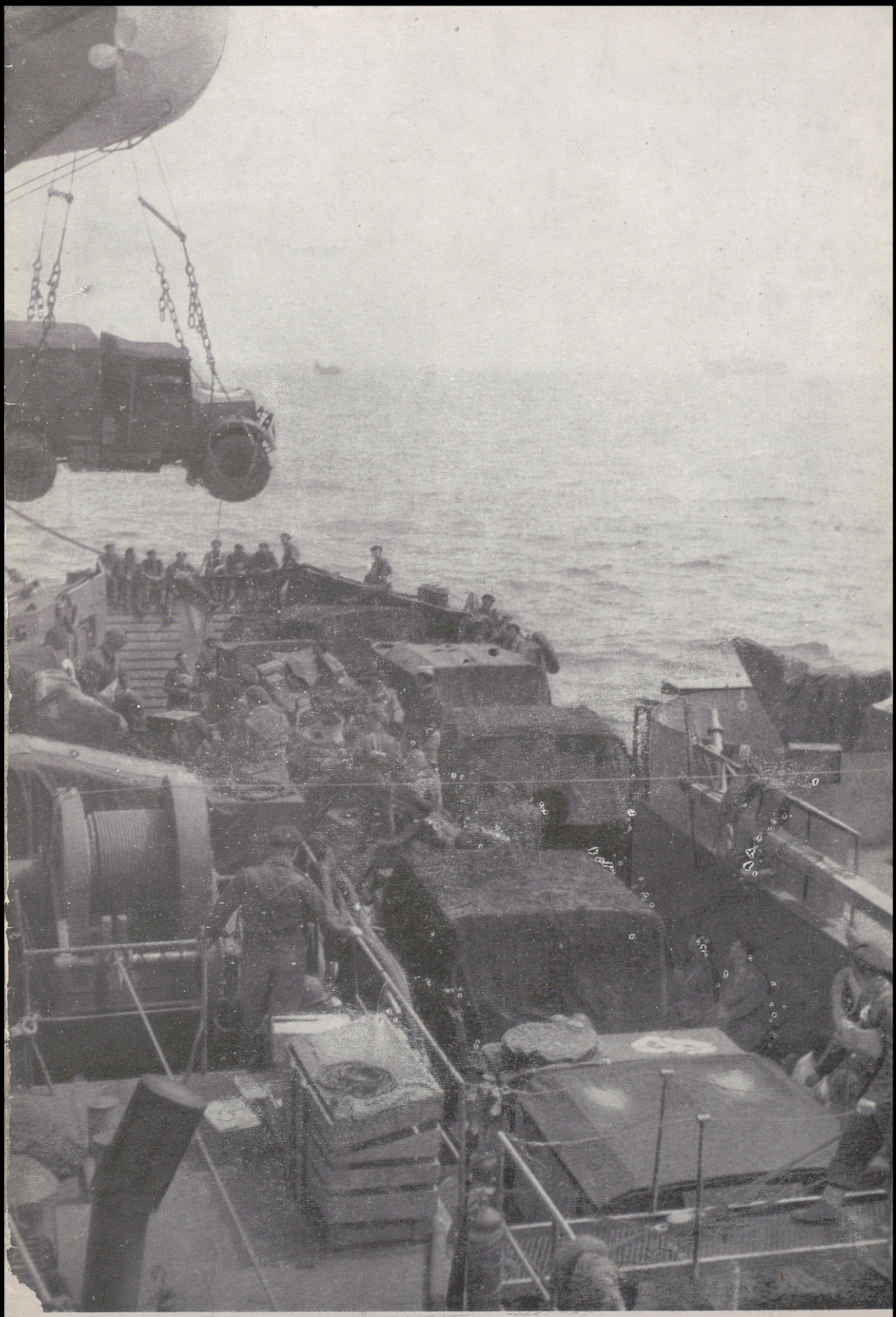

Od Caen . . .

Fot. Jabłoński



. . . do Wilhelmshaven

Fot. M. Walentynowicz

Wzięto jeńców i zdobyto sprzęt. Krwawy wysiłek poszedł jednak na marne o tyle, że Niemcy przed samym nosem wysadzili nam w powietrze most na kanale.

Trzeba było wycofać się i szukać innego wyjścia, posuwając się wzdłuż kanału ku wschodowi. Marsz z tym zamiarem trwał przez cały dzień 17 czerwca aż do rejonu Is - sur - Tille (w pobliżu Dijon), gdzie wreszcie resztki Brygady (z Batalionu zostało 3 czołgi) znalazły się absolutnie otoczone w regularnym kółku o średnicy 5 kilometrów i bez benzyny.

W tym położeniu gen. Maczek powziął decyzję likwidacji sprzętu i przedzieranie się na Loarę pieszo. Decyzję wykonano: resztki sprzętu i bagaż zniszczono w lesie Malte w pobliżu wsi Moloy. Przed świtem niedobitki Brygady w sile 500 bagnetów ruszyły pieszo ku południowi.

Marsz ten — to cała historia, nie mieszcząca się w ramach jednego rozdziału — po miesiącach podróży przez całą prawie Europę zachodnią, i nie tylko Europę — ogromna większość tych żołnierzy dołączyła w końcu do W. Brytanii, aby po dwóch przegranych kampaniach dopiąć wreszcie swego: przyczynić się do wspaniałego zwycięstwa w kampanii trzeciej. Oni to bowiem, wraz ze zgrupowaniem płk. dypl. Dworaka, byli kamieniem węgielnym, na którym zbudowana została 1. Dywizja Pancerna.

FRANCISZEK SKIBIŃSKI, płk. dypl.

FORMOWANIE SIĘ 1. DYWIZJI PANCERNEJ

MYŚL sformowania dywizji pancernej w ramach Wojska Polskiego poza granicami kraju nie została zapoczątkowana w Anglii.

Już bowiem we Francji w roku 1939/40 idea ta była na najlepszej drodze do realizacji i jedynie upadek Francji przeszkodził w doprowadzeniu jej do końca.

Nic więc dziwnego, że po znalezieniu się na terenie Wielkiej Brytanii w 1940 roku, starzy zwolennicy tej idei z gen. Maczkiem na czele rozpoczęli na nowo starania w tym kierunku. Idea ta spotkała się z pełnym zrozumieniem ówczesnego Naczelnego Wodza gen. Sikorskiego.

Niestety ze względu na ogólną sytuację w W. Brytanii, oraz na konieczność brania udziału przez 1. Korpus Polski w organizacji obrony Szkocji, władze angielskie nie zgodziły się na zrealizowanie tego planu.

Dopiero w lutym 1942 roku, kiedy groźba inwazji minęła, udało się uzyskać zgodę władz angielskich. Dnia 25 lutego 1942 roku ukazał się pierwszy rozkaz Naczelnego Wodza, nakazujący formowanie dywizji pancernej.

W tym czasie Anglicy przeformowali już swoje dywizje pancerne na nowy typ, posiadający jedną brygadę czołgów, jedną brygadę piechoty i silną artylerię dywizyjną, podczas gdy stary typ dywizji pancernej posiadał dwie brygady pancerne oraz tak zwaną grupę wsparcia składającą się z jednego pułku artylerii lekkiej, jednego pułku artylerii ppanc., jednego pułku artylerii plot. i baonu strzelców przewożonych.

Polacy stanęli więc przed zadaniem, czy formować 1. Polską Dywizję Pancerną według starego typu, czy też nowego.

Ostatecznie został zatwierdzony typ stary. Powodem tej decyzji była chęć posiadania sześciu baonów czołgów zamiast trzech, z myślą o przyszłym rozwoju polskiej broni pancernej. Decyzja ta, jak się później okazało, nie była szczęśliwa.

W tym czasie 1. Korpus Polski w Szkocji posiadał trzy Wielkie Jednostki (10. Brygadę Kawalerii Pancernej, 1. Samodzielną Brygadę Strzelców i 16. Brygadę Czołgów) oraz Dyon Rozpoznawczy Korpusu i Służby.

Wspomniany wyżej rozkaz Naczelnego Wodza z dnia 25 lutego 1942 roku zarządził sformowanie:

2 brygad pancernych (po trzy baony czołgów i baonie strzelców zmotoryzowanych każda) z 10. Brygady Kawalerii Pancernej, 16. Brygady Czołgów i baonu strzelców 1. Samodzielnej Brygady Strzelców.

Grupy Wsparcia :

pułku artylerii lekkiej z 10. Pułku Artylerii Lekkiej 10. Brygady,
pułku artylerii ppanc. z 10. Szwadr. Ppanc. 10. Brygady,
pułku artylerii plot. z Dyonu Art. Plot. Korpusu,
baonu strzelców (przewożonych) z baonu 1. Sam. Bryg. Strzelców,
pułku rozpoznawczego z Dyonu Rozpoznawczego Korpusu,
saperów dywizyjnych z Baonu Saperów Korpusu,
łączności dywizyjnej z 10. i 16. Kompanii Łączności,
służb dywizyjnych ze służb 10. Brygady i Korpusu.

Ponadto dowódca 1. Korpusu został upoważniony do uzupełnienia stanów dywizji pancernej przez szeregowych ewakuowanych z Bliskiego Wschodu.

Dywizja sformowała się i szkoliła.

W lecie 1943 roku Dywizja przeprowadziła szereg ćwiczeń w rejonie Newmarket, gdzie wykazała się już dużą sprawnością.

W tym czasie brytyjskie ministerstwo wojny, po licznych konferencjach ze Sztabem Naczelnego Wodza, wyjaśniło, że ponieważ pancerne dywizje brytyjskie przeszły już na nowy typ organizacyjny, przeto użycie polskiej dywizji pancernej w ramach brytyjskiego korpusu nie jest możliwe ze względu na kolosalne trudności zaopatrywania jakie wprowadziłby tego rodzaju, nie standaryzowany, typ jednostki.

Postawiono do wyboru: albo polska dywizja przejdzie na nowy typ organizacyjny, albo Brytyjczycy zrezygnują z użycia jej w przyszłych działaniach inwazyjnych.

Drugie rozwiązanie zostało natychmiast odrzucone ze względów politycznych i moralnych.

Zapadła więc decyzja przejścia na nowy typ, zastanawiano się jedynie w jaki sposób przeorganizować dywizję, by nie stracić dla przyszłego Wojska Polskiego szeregu zorganizowanych już i wartościowych jednostek.

Trudność polegała głównie na zorganizowaniu brygady piechoty.

Sugestie władz angielskich, przeformowania jednej z brygad pancernych na brygadę piechoty, zostały przez Naczelnego Wodza odrzucone, nie chciał on bowiem za żadną cenę zredukować ilości baonów pancernych z 6 na 3, myśląc stale o przyszłym rozwoju Wojska Polskiego.

Sugestie polskie, przerzucenia jednej brygady pancernej na Bliski Wschód na zamianę na brygadę piechoty, zostały z kolei odrzucone przez Anglików, ze względu na trudności okrętowe.

Ostatecznie sprawa została załatwiona kompromisem.

Rozkaz Naczelnego Wodza z dnia 21 września 1943 roku zarządził:

1) wycofanie z dywizji pancernej jednej brygady pancernej o stanach zmniejszonych i wcielenie jej do kadrowej Dywizji Grenadierów. Wycofana brygada miała ze swego stanu wydzielić uzupełnienia potrzebne dla pułków pancernych pozostających w dywizji pancernej. W wyniku tego w 1. Dywizji Pancernej pozostała brygada pancerna o nazwie 10. Brygady Kawalerii Pancernej, w skład której weszły najlepiej wyszkolone pułki pancerne o najdłuższej tradycji.
2) oddanie przez kadrową Dywizję Grenadierów 600 szeregowych oraz wyciągnięcie z jednostek Korpusu jak największej ilości szeregowych celem sformowania brygady piechoty i pokrycia braków 1. Dywizji Pancernej.
3) włączenie do 1. Dywizji Pancernej 1. Pułku Artylerii Ciężkiej Korpusu, celem przeorganizowania go na pułk artylerii lekkiej.

W wykonaniu tego rozkazu i po przeprowadzeniu wszystkich przesunięć, organizacji i reorganizacji, składy brygad pancernej i piechoty oraz artylerii dywizyjnej przedstawiały się następująco:

10. Brygada Kawalerii Pancernej.

1. Pułk Pancerny — z 16. Brygady Pancernej, dawny 1. Baon Czołgów z 10. Brygady z Francji, później 65. Baon Czołgów w W. Brytanii.
2. Pułk Pancerny — z 16. Brygady Pancernej, dawny 2. Baon Czołgów z 10. Brygady z Francji, później 66. Baon Czołgów w W. Brytanii.
24. Pułk Ułanów — z 10. Brygady Kawalerii Pancernej, dawny pułk kawalerii motorowej z 10. Brygady z Polski i Francji, w W. Brytanii przeorganizowany na pułk pancerny.
10. Pułk Dragonów — z 10. Brygady Kawalerii Pancernej, powstały z dawnego Dyonu Rozpoznawczego 10. Brygady z Polski i Francji, początkowo pod nazwą 10. Baonu Dragonów.

3. Brygada Strzelców.

Baon Strzelców Podhalańskich — wydzielony z 16. Brygady Pancernej, a powstały z połączenia 1. Baonu Strzelców Podhalańskich (grupującego w sobie żołnierzy z b. Brygady Podhalańskiej, oraz żołnierzy z b .1. Dywizji Grenadierów i b. 2. Dywizji Strzelców z Francji) ze Zmotorozywanym Baonem Strzelców (późniejszym 16. Baonem Dragonów), który powstał na terenie W. Brytanii z zawiązków wydzielonych przez 1. Samodzielną Brygadę Strzelców.

8. Baon Strzelców — dawny 1. Batalion Strzelców z Grupy Wsparcia 1. Dywizji Pancernej.
9. Baon Strzelców — nowosformowany z zawiązków wydzielonych przez 1. Pułk Rozpoznawczy i inne jednostki 1. Dywizji Pancernej oraz szeregowych przybyłych z kadrowej Dywizji Grenadierów.

Artyleria Dywizyjna.

1. Pułk Artylerii Motorowej — z Grupy Wsparcia 1. Dywizji Pancernej.
2. Pułk Artylerii Motorowej — nowosformowany z 1. Pułku Artylerii Ciężkiej Korpusu i IV. dyonu 1. Pułku Artylerii Motorowej.

1. Pułk Artylerii Przeciwpancernej — z Grupy Wsparcia 1. Dywizji Pancernej.
1. Pułk Artylerii Przeciwlotniczej — z Grupy Wsparcia 1. Dywizji Pancernej.

Pułkiem rozpoznawczym, który w nowym typie dywizji pancernej był pułkiem czołgowym został:

10. Pułk Strzelców Konnych z 10. Brygady Kawalerii Pancernej, dawny pułk kawalerii motorowej z 10. Brygady z Polski i Francji, w W. Brytanii przeorganizowany na pułk pancerny.

Wreszcie przez przeorganizowanie 1. Pułku Rozpoznawczego stworzony został Baon Broni Wsparcia (zreorganizowany później na Samodzielny Szwadron Ciężkich Karabinów Maszynowych).

W rezultacie jednak brakowało do pełnego stanu dywizji około 900 szeregowych, brak których Sztab Naczelnego Wodza miał nadzieję uzupełnić z ewakuacji.

W ramach dywizji braki te rozkładały się przede wszystkim na służby oraz na brygadę piechoty, która jeden z baonów miała zaledwie w stanie kadrowym.

Gdy na wiosnę 1944 roku okazało się, że ewakuacja zawiodła, rozkazem z kwietnia Naczelny Wódz zarządził dodatkowe uzupełnienie stanów dywizji przez kadrową Dywizję Grenadierów i jednostki korpuśne.

Dywizja została ostatecznie zorganizowana, stan jej wraz z pierwszym uzupełnieniem wynosił 885 oficerów i 15.210 szeregowych.

Po odbyciu ostatnich ćwiczeń, w rejonie Scarborough na wiosnę 1944 roku, Dywizja poszła na front według następującego „Ordre de Bataille" :

Dowódca Dywizji — gen. Maczek Stanisław
Kwatera Główna Dywizji
Pułk Rozpoznawczy — 10. P. S. K.
10. Brygada Kawalerii Pancernej — 1. i 2. Pułk Pancerny
24. Pułk Ułanów i 10. Pułk Dragonów
3. Brygada Piechoty — Baon Strzelców Podhalańskich
8. i 9. Baon Strzelców
Artyleria Dywizyjna — 1. i 2. Pułk Artylerii Motorowej
1. Pułk Artylerii Przeciwpancernej
1. Pułk Artylerii Przeciwlotniczej
Baon Łączności
Baon Saperów
Samodzielny Szwadron Ciężkich Karabinów Maszynowych
Szwadron Regulacji Ruchu
Służby.

w/g opracowania ppłk. dypl. STANKIEWICZA L. oraz wyjątków z prac: płk. dypl. DECA W., płk. dypl. NOELA B. i kpt. dypl. ZELCERA W.

ORGANIZACJA 1 DYWIZJI PANCERNEJ

ODDZIAŁ OP.-WYW.

SZWADRON SZTABOWY

SZWADRON REGULACJI RUCHU

KWATERMISTRZOSTWO

10 BRYGADA KAW. PANC.

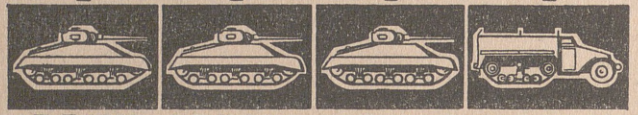

1 P.PANC. 2 P.PANC. 24 P.ULAN. 10 P.DRAG.

3 BRYGADA STRZELCÓW

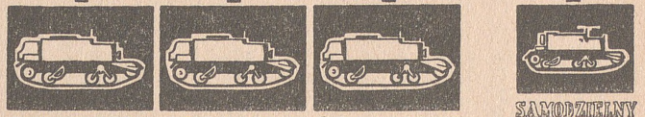

B-N STRZ.PDH. 8 BATALION 9 BATALION SAMODZIELNY SZW. C.K.M.

ARTYLERIA DYWIZYJNA

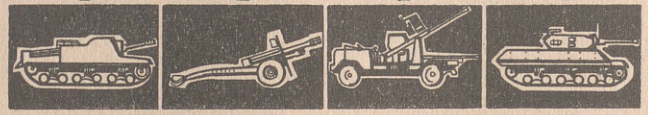

1 P.A.MOT. 2 P.A.MOT. 1 P.A.PLOT 1P.A.PPANC

10 P.S.K

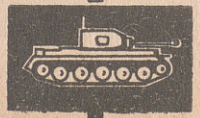

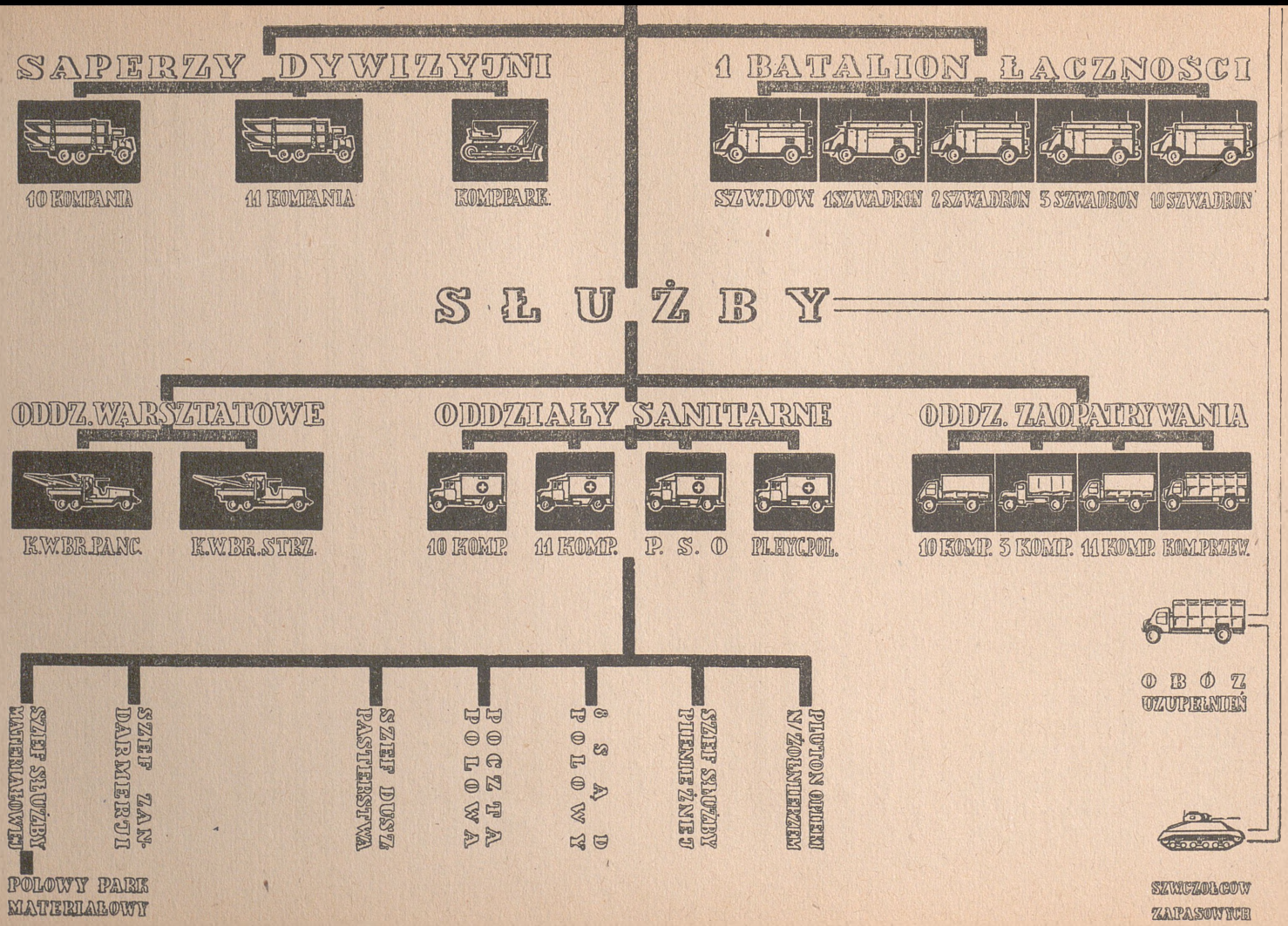
SAPERZY DYWIZYJNI
10 KOMPANIA
11 KOMPANIA
KOMP.PARK.
1 BATALION ŁĄCZNOŚCI
SZW.DOW.
1 SZWADRON
2 SZWADRON
3 SZWADRON
10 SZWADRON
SŁUŻBY
ODDZ. WARSZTATOWE
K.W.BR.PANC.
K.W.BR.STRZ.
ODDZIAŁY SANITARNE
10 KOMP.
11 KOMP.
P. S. O
PL.HYC.POL.
ODDZ. ZAOPATRYWANIA
10 KOMP.
3 KOMP.
11 KOMP.
KOM.PRZEW.
OBÓZ UZUPEŁNIEŃ
SZW.CZOŁGÓW ZAPASOWYCH
SZEF SŁUŻBY MATERIAŁOWEJ
POLOWY PARK MATERIAŁOWY
SZEF ZANDARMERJI
SZEF DUSZ PASTERSTWA
POCZTA POLOWA
ŚSĄD POLOWY
SZEF SŁUŻBY PIENIĘŻNEJ
PLUTON OPIEKI N/ŻOŁNIERZEM

MATERIAŁOWA MOBILIZACJA DYWIZJI

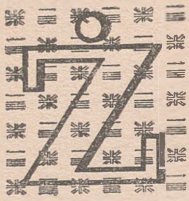

E nie święci garnki lepią przekonaliśmy się już niejednokrotnie. W szeregu zorganizowanych na większą skalę ćwiczeń, żołnierz Polskiej Dywizji Pancernej udowodnił, że nie ustępuje swym brytyjskim kolegom w energii, wytrwałości i zrozumieniu dla potrzeb drzemiących w silniku czołgowym, czy somochodowym, licznych koni mechanicznych; bije go natomiast przemyślnością, umiejętnością znalezienia na wszystko „sposobu", zdobytym przez wojenne lata wędrówki po świecie — sprytem życiowym.

Udowodnił to, na równi z żołnierzem brygady pancernej czy brygady strzelców, tak artylerzysta (z ułanem pułku przeciwpancernego włącznie), jak i żołnierz zaopatrywania, wysokiej klasy specjalista-warsztatowiec oddziałów warsztatowych, przedstawiciel oddziałów sanitarnych czy też, zarzucający Dywizję bogactwem sprzętu i materiału, dający sobie radę we współpracy z brytyjską skomplikowaną *Ordonance,* żołnierz służby materiałowej i materiałowego parku Dywizji.

Przebywszy ciężko liczne wstrząsy reorganizacyjne, utwierdziła się Dywizja w przekonaniu, że jest wielką jednostką pożądaną w zbliżającej się rozgrywce, w ostatnim akcie wojny — inwazji kontynentu.

Oczekiwano niecierpliwie znaków, któreby potwierdziły, że moment ten jest już blisko. Liczne rzesze szkockich przyjaciół i przyjaciółek — uparcie powtarzały plotkę, że już tylko miesiące, ba, nawet tygodnie, dzielą Dywizję od pożegnania gościnnych ziem, położonych po obu stronach, obfitującej w pstrągi, River Tweed.

Oczywiście, najzupełniej pewne, w sekrecie na ucho szeptane, daty ulegały zmianie, były przesuwane z miesiąca na miesiąc, dając czas na odbycie jeszcze paru strzelań na doskonałej strzelnicy w Kirkcudbright, rozwalenie czołgami — ku rozpaczy właścicieli — kilku dodatkowych murków i zawarcie pewnej ilości małżeństw, mających być gwarancją wieczystej polsko-szkockiej przyjaźni.

Wczesna wiosna 1944 roku niosła na falach eteru coraz to nowsze i liczniejsze komunikaty o sukcesach aliantów w basenie Morza Śródziemnego. Nie było wątpliwości, że po długich i nudnych latach zbrojnego pogotowia na wybrzeżach wysp brytyjskich, przejdziemy wkrótce do działań ofensywnych.

Dla nas miało to specjalną wymowę. Czekaliśmy niecierpliwie na chwilę, w której będziemy mogli zacząć obliczanie — zmniejszającej się nareszcie — odległości, dzielącej nas od Polski. Oczami wyobraźni widzieliśmy siebie na zakurzonych drogach Francji, Belgii i Niemiec w drodze do wolnej wreszcie Ziemi, gdzie nasi najbliżsi, gdzie wspomnienia naszych lat dziecięcych się kształtowały. Marzyły się niejednemu dumne chwile, gdy czołgi Pierwszej Polskiej Dywizji Pancernej, wykonane przez amerykańskiego robotnika z *Chrysler Corporation,* po załamaniu niemieckiej potęgi, wejdą, prowadzone pewnymi, doświadczonymi rękami polskich załóg w granice nowej, nieznanej im ojczyzny, która witać je będzie niespotykanym entuzjazmem, łzami radości i kwiatami.

A tymczasem w Szefostwie Służby Materiałowej pracowano nad instrukcjami i przygotowaniami do bardzo zasadniczego wysiłku, jakim miała być mobilizacja sprzętowa Dywizji. Odmienny system zaopatrywania materiałowego, trudności językowe oraz poważne braki w sprzęcie i wyposażeniu nakazywały, by przygotowania te były bardzo staranne i drobiazgowe. Mobilizacja miała postawić Dywizję w gotowości bojowej z punktu widzenia zaopatrzenia materiałowego, czyli — inaczej mówiąc — miała wyrównać istniejące braki oraz doprowadzić do wymiany tego sprzętu, który do walki już się nie nadawał.

19 marca wieczorny pociąg, idący z Londynu, przywiózł na małą szkocką stacyjkę Melrose plik kopert, kryjących, pod licznymi *„Top Secret"* czerwonymi pieczęciami, *War Office Urgent Memorandum,* nakazujące natychmiastowe rozpoczęcie mobilizacji, pod nadzorem *Scottish Command.*

W Dywizji zawrzało.

W ciągu 24 godzin rozkazy zostały przetłumaczone i rozesłane oddziałom, które — z kolei — musiały w 48 godzin złożyć zapotrzebowania.

Każdy oddział otrzymał kryptonim numerowy, który na czas mobilizacji stawał się jedyną jego nazwą. Oddział nie miał prawa umieszczania swej nazwy rzeczywistej ani na zapotrzebowaniu, ani na meldunkach mobilizacyjnych. Również nadchodzący materiał adresowany był kryptonimami.

Jednocześnie z wysłaniem rozkazów, oficerowie służby materiałowej z brygad i dywizji wyruszyli w teren, by na miejscu udzielić obsługiwanym przez nich oddziałom fachowej pomocy w sporządzaniu nakazanych zapotrzebowań.

48 godzin Dywizja pracowała bez wytchnienia. Ani jeden oddział nie przekroczył wyznaczonego terminu.

W ciągu następnych 48 godzin zapotrzebowania zostały przez Szefostwo Służby Materiałowej sprawdzone i uporządkowane, a 25 marca rozpoczęła się sześciodniowa konferencja z przybyłymi do Dywizji przedsta-

wicielami składnic materiałowych celem ostatecznego skontrolowania i zatwierdzenia złożonych zapotrzebowań. Zapotrzebowania, całkowicie niemal zatwierdzone, zostały w dniu 30 marca zabrane do odpowiednich składnic przez przebywających w Dywizji przedstawicieli tychże.

Mobilizacja wkroczyła w drugą fazę — dostarczenia materiału.

Kilkudniowa przerwa została wykorzystana do zorganizowania kolejowej stacji przeładowczej w Galashiels i dostosowania dywizyjnych magazynów do przyjęcia i wydania setek ton materiału w ciągu trzech tygodni.

Pierwszy transport przybył 2 kwietnia, a do 19 wyładowano w Galashiels 108 wagonów, odsyłając materiał, w drodze przez dywizyjny magazyn, bez względu na porę dnia czy nocy, do oddziałów.

Niezależnie od tych transportów uzupełniono i wymieniono sprzęt motorowy według programu nadesłanego 30 marca przez Składnicę Chilwell. Dywizja pozbyła się sprzętu ćwiczebnego, a jednocześnie prawie całkowicie ujednoliciła pojazdy mechaniczne wszystkich typów. Stan ich etatowy wyrażał się w tym czasie liczbą 4431, w czym 381 czołgów. By móc sobie bardziej realnie tę liczbę wyobrazić, wystarczy przyjąć, że Dywizja maszeruje po jednej drodze, zachowując pomiędzy pojazdami odstępy 50-metrowe — zajmie ona wówczas prawie 225-kilometrowy odcinek drogi, czyli przestrzeń, dzielącą w linii powietrznej Warszawę od Bydgoszczy lub Częstochowy.

Równolegle do tej pracy wymieniono wszystkim żołnierzom maski przeciwgazowe oraz karabiny.

Uzupełnienie amunicji oraz materiałów wybuchowych pierwszej i drugiej linii przeprowadziły dywizyjne oddziały zaopatrzenia. Było tego niemało, jeżeli się podkreśli liczebny stan 473 dział różnego kalibru w Dywizji, nie licząc dział czołgów.

W dniu 18 kwietnia wpłynęły meldunki o gotowości bojowej oddziałów. Od tej chwili meldunki te miały być powtarzane co 7 dni, wykazując każdy brak materiałowy, bez którego — według oceny dowódcy — oddział nie będzie w stanie wykonać swych zadań bojowych.

Władze brytyjskie, posiadające specjalne rezerwy materiałów przeznaczonych na zaspokojenie ostatecznych potrzeb, pokryły braki w miarę napływania meldunków i w zależności od przewidywanych terminów, na które gotowość Dywizji była pożądana.

Dla sprawdzenia przebiegu i rezultatów akcji mobilizacyjnej przybył do Dywizji brygadier MacFarlan, zastępca dyrektora dla spraw mobilizacji w *War Office*. Sprawozdanie jego potwierdza własną naszą ocenę co do sprawności i skuteczności pracy mobilizacyjnej.

Świadczą o tym najlepiej następujące słowa brygadiera MacFarlane'a: „Mobilizacja została przeprowadzona w sposób wysoce zadawalający. Mimo trudności językowych została przeprowadzona sprawniej, niż w wielu świeżo zmobilizowanych dywizjach brytyjskich".

Ostatnie wagony wyładowane materiałem mobilizacyjnym przybyły do Galashiels w okresie, gdy Kwatermistrzostwo Dywizji ślęczało już nad kolejowymi tabelami załadowczymi, według których cały sprzęt gąsienicowy miał być przetransportowany koleją na rozległe tereny ćwiczebne, leżące pomiędzy szczycącym się starą, piękną katedrą — Yorkiem, a ściągającym corocznie rzesze spragnionych wypoczynku Brytyjczyków do swych wielkich i licznych nadmorskich pensjonatów i hoteli — Scarborough. Oddział Operacyjny przygotowywał tabelę marszu dla rzutów kołowych.

Szliśmy w piękne okolice, opuszczone przez brytyjską Pancerną Dywizję Gwardii, przesuwaną w pobliże portów, skąd inwazja wkrótce miała wyruszyć.

Dywizja Gwardii znaczyła nam często naszą dalszą drogę. Jej znak rozpoznawczy — oko opatrzności — spotykaliśmy później na zapomnianych tablicach w Aldershot, na *landing crafts*, wyładowujących nas na plażach Arromanches i później na szlakach pościgu za bitym nareszcie niemieckim najeźdźcą.

JAN MAROWSKI, mjr. dypl.

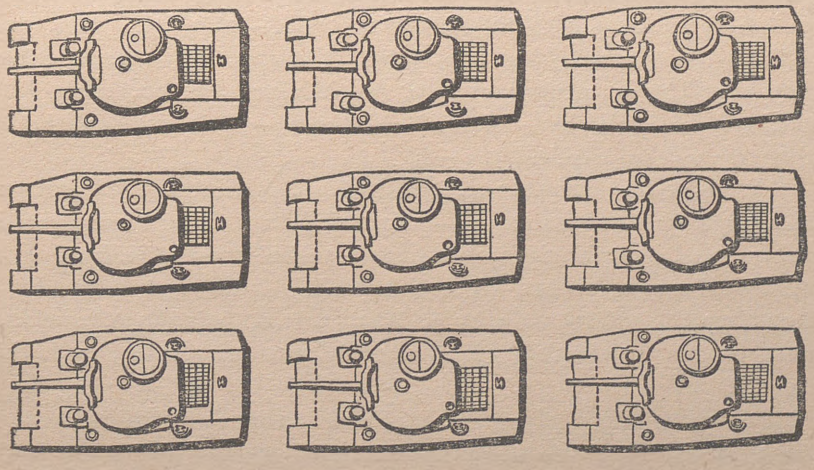

STOSUNKI POLSKO-SZKOCKIE

WŁAŚCIWIE, nie bardzo wiadomo od czego zacząć. — Od Szekspira? — Od generała Gordon'a, wielkiego kondotiera, który bił się przeciw nam ze Szwedami, a potem na odmianę z nami pod hetmanem Lubomirskim przeciw Szwedom? Czy może od Sobieskiej-Stuart? — Nie! Zaczniemy po-prostu od samych siebie.

Nie będziemy zagłębiali się w historię, starając się zrozumieć dlaczego jeszcze nigdy nie byliśmy w Szkocji, choć byliśmy i biliśmy się wielokrotnie po różnych krajach i częściach świata. Zagajając, powiemy krótko, że tym razem i to właśnie latem roku 1940 wybraliśmy się z Francji do Szkocji. Nie byliśmy w tym wypadku żadną emigracją, ale wojskiem. Zawitaliśmy więc do tej Szkocji, znanej nam mglisto z dramatów Szekspira, z dowcipów o skąpstwie jej autochtonów, a dokładniej z . . . *large Scotch and soda!*

Stało się tak, że po tragicznym — nie tylko dla Francji — czerwcu, wylądowało w Szkocji kilkanaście tysięcy żołnierza polskiego. Były to oddziały, które nie weszły do akcji i mogły dzięki temu wyewakuować się na okrętach brytyjskich do Anglii. Między nimi znalazła się niekompletna, raczej „szkieletowa" 10. Brygada Kawalerii Pancernej.

Do niej ciągnęli już później — ze wszystkich stron, najprzeróżniejszymi drogami i sposobami — dawni jej żołnierze, jak również innych formacji polskich, zagubieni na kontynencie wypadkami tego brzemiennego lata, pełnego zwycięstw Hitlera.

Szkocja, tak zupełnie nieznana Polakowi, stała się na długo magnesem, krainą obiecaną, o której marzono w obozach jenieckich w Niemczech, we Francji, w obozach koncentracyjnych Hiszpanii, ba! — nawet Syberii i Afryki. Cichcem, szeptem, nocami prowadzone rozmowy, miały jeden temat tylko — ucieczkę — dokąd? do Szkocji — tam jest Maczek, tam tworzy się wojsko polskie.

Ludzie prości, których z całą pewnością szkoła ludowa jakiegoś pod-Łańcuta geografii nie nauczyła — wiedzeni jakimś dziwnym węchem, instynktem wędrownych, ciągnących żurawi, przemierzyli kraje, kontynenty. Przepływali morza, oceany, piekły ich piaski Afryki, męczyły po drodze obozy hiszpańskie, francuskie, by po latach tułaczki, odnajdywać swe szwadrony, baterie, kompanie i pułki — gdzieś tam na północy, w dalekiej Szkocji.

Do niej to biegli, płynęli oficerowie i szeregowi. A wbrew temu co plotka po obozach mówiła, biegł do niej sam generał Maczek ze swym

sztabem. Biegł, tak jak plotka kazała, do wojska polskiego, do swej brygady, więc biegł... Maczek do Maczka!

I Szkocja nagle zaludniła się Polusami wszelkiego autoramentu. Byli młodzi, byli i średniego wieku, byli starzy. Były też liczne, częste „leśne dziadki". Wszystko co młodsze zaczęło robić wojsko od nowa. Zaczęło salutować, ćwiczyć, maszerować, zdobywać górki szkockie i pagórki, wreszcie bronić wielu mil szkockiego wybrzeża. Można też powiedzieć — ciężko pracować.

Ale wśród tej pracy, znajdowało się też trochę czasu na rozpoznanie terenu, rozpoznanie tajemniczych Szkotów, mówiących zgoła niezrozumiałym językiem, a chodzących do tego wszystkiego w kraciastych, (a tak!) kieckach! Przyznać jednak trzeba, że rozpoznanie nie natrafiało na trudności terenowe nie do przebycia. Pokonywano je łatwo uśmiechem, rzadziej dowcipem, najczęściej techniką ludzi ślepych.

Rozpoznanie Szkocji i poczciwych, dobrych Szkotów, którzy przyjęli nas jak braci, zaczęło się od hrabstwa Lanark. A potem, idąc przez Renfrew, Angus, Lothian'y i dalej na południe w „Borders'y", byliśmy witani, goszczeni w ten sam serdeczny sposób, zjednywując sobie coraz to nowych, najlepszych przyjaciół.

Nie było żołnierza, któryby nie miał jakiegoś domu, w którymby nie spędzał przy *cup of tea* długich godzin wieczornych. Tam matka chrzestna, czy przybrana, prała mu bieliznę, cerowała skarpetki i inne części garderoby, uczyła go angielskiego, a on zaznajamiał ją z trudną mową polską.

A że Polus jest szarmant i zna gest pański, więc odwdzięczał się czym mógł, a że mógł tego najlepszym dowodem jest, iż wybawił samego pana ministra *of Supply* z tego kłopotu.

Chytre Angielki wyszperały, że Szkocja, choć ma tylko parę milionów nędznych Szkotów, otrzymała przydział wózków dla niemowląt wielokrotnie większy od Anglii i Walii razem wziętych. Więc wielce oburzony pan poseł angielski tym faworyzowaniem Szkotów, interpeluje w parlamencie pana ministra i prosi by i tę rażącą krzywdę naprawił. A tu nagle pada odpowiedź z ławek szkockich, co skrupulatny *Hansard* zaraz w druku podał. — *I think, it is entirely due to the fact*... że polskie wojsko stacjonuje w Szkocji!

Tchnęłoby jednak niesmacznym kolaboracjonizmem, gdybyśmy chcieli na tym zamknąć nasze wspomnienia, zostawiając za sobą sugestię, że Polusy były tylko dla tego w Szkocji, by ratować z opresji miasta Jego Królewskiej Mości.

Nie, z całą pewnością nie był to główny powód, ani cel naszego pobytu wśród gościnnych Szkotów. Gdy po roku 1942 minęło niebezpieczeństwo

lądowania niemieckiego na wyspach brytyjskich — 10. Brygada Kawalerii Pancernej przeobraża się w 1. Dywizję Pancerną. Nie jest już potrzebne dozorowanie wybrzeża morskiego, natomiast koniecznym szkolenie od podstaw kilkunastu tysięcy chłopa w wielorakich arkanach pancernej sztuki.

Ale, że Polacy nie lubią na nikim suchej nitki pozostawić i że to właśnie „kobylarze" chwycili ster rządów w świeżo upieczonej dywizji w swe ręce, więc zaraz nasi nowi koledzy przydzieleni z innych oddziałów i broni, puścili złośliwą plotkę, trudną do zweryfikowania, że „kobylarze" zostawili w Polsce konie, a same tylko żłoby zjechały.

Nowa dywizja swymi licznymi oddziałami zapadła na okres dwuletni w wrzosem pokryte, głośne od *grouse'ów* góry szkockie, które rozsiadły się szeroko między Edynburgiem a rzekę Tweed. Tam, w tym kraju o niskich górach a jeszcze niższych chmurach, wśród siąpiących deszczów, formowała się, szkoliła, przepotwarzała Dywizja, by zabłysnąć później jak wspaniały, barwny motyl w słońcu Normandii.

W tym okresie, przeradzała się luźna przyjaźń poszczególnych żołnierzy z rodzinami szkockimi w przyjaźń dwóch narodów — do niedawna nic o sobie nie wiedzących. W setkach miast Szkocji powstają towarzystwa szkocko - polskie. Jest modą, rodzajem pozycji socjalnej należeć do nich. To też należą do nich wszyscy, i wielcy i mali. Na zebraniach zaznajamia się społeczeństwo szkockie z Polską, z jej problemami, jej celami wojny.

A trzeba przyznać, że jest najwyższy czas po temu. Groźne chmury od wschodu gromadzą się nad Polską i już wtedy wyglądało na to, że niepodległość Polski, na odmianę jest zagrożona od strony jej sojuszników. Więc jeżeli oficjalne koła brytyjskie ze względów koniunkturalnych zapomniały o swych zobowiązaniach, trzeba urobić opinię społeczeństwa brytyjskiego, by mieć ją po swej stronie jako sprzymierzeńca.

Coraz czarniejsze chmury gromadzą się nad Polską, poprzedzane często perfidnymi atakami prasowymi, inspirowanymi przez Rosję. Czołowe postacie Szkocji, a członkowie towarzystw polsko - szkockich, zabierają głos.

W parlamencie, na specjalnie zwoływanych wiecach, wreszcie w prasie bronią spraw Polski: Lord Mayor Glasgow'a — Sir Patric Dollan, Lord Mayor Edinburgh'a — Darling, Księżna Atholl, Lord Elgin, Lord James Stuart - Murray. Za tymi nazwiskami, domagającymi się sprawiedliwości dla narodu polskiego, stoi prawie cała Szkocja.

Towarzystwa szkocko - polskie nie ograniczają się bynajmniej w swej działalności do urządzania imprez towarzyskich, do obrony słownej praw Polski. W przewidywaniu konieczności niesienia pomocy zrujnowanej Polsce, zbierają fundusze na sierocińce, szpitale, na żywność i odzież. Ich

działalność ani na chwilę nie ustała zarówno wtedy, kiedyśmy opuszczali Szkocję idąc przez Normandię, wierząc, że do Polski, jak i teraz kiedy wiemy, że do niej nie wracamy.

* * *

Choć Mr. Thomas Neale i miasto o którym będzie mowa nie mieści się w granicach Szkocji, trudno nie wspomnieć o nim i o jego wspaniałej działalności, która jeszcze dotąd bynajmniej nie zamyka się w czasie przeszłym.

Biografia Mr. Neale'a, która prosi się jeżeli nie o tomy, to w każdym razie o liczne arkusze, musi być tutaj ujęta w zdania tylko.

A więc, Mr. Neale, *self made man,* w roku 1914 znajduje się jako *private* w Brytyjskim Korpusie Ekspedycyjnym — gdzieś we Francji. Niedługo potem aż w Poznańskim — już jako jeniec wojenny. Ląduje jako robotnik rolny we dworze imci pana Zielińskiego, którego syn jest oficerem armii niemieckiej, pułku huzarów śmierci.

P. O. W. Pte Neale, jako, że jest wyspiarzem i na kontynencie się nie zna — w ogóle nic nie rozumie. Jest u jakiegoś niemieckiego landlorda, ma pracować jako robotnik rolny. Tymczasem nic nie robi, wysypia się w puchach, dają mu świetnie jeść, sumitują się, że nie mogą mu podać do *breakfast'u poridge'u* — ale nie mają. Na dobitek tego wszystkiego, słucha i bierze czynny udział w tym diabelnym spisku, wysoki młody oficer pruski, z którego munduru trupiarnią wieje.

Zanim zrozumiał dużo czasu upłynęło, ale jak zrozumiał to już na zawsze. I gdy wojska polskie lądowały w Wielkiej Brytanii w roku 1940 to P.W.X. Neale już jako starszy zamożny przemysłowiec, ma gotowy plan. Pomagać, opiekować się wojskiem polskim i Polakami w ogóle.

Znajduje swego dawnego przyjaciela, mocno spacyfikowanego astmą i latami, ale mimo to rotmistrza „czarnej brygady". Zakłada w swym mieście pierwsze towarzystwo Angielsko - Polskie. Dzięki niezmordowanej energii i pracy Mr. Neale, towarzystwo rozrasta się do olbrzymich rozmiarów. Zakres jego działalności jest tak wszechstronny, że trudno go zmieścić nawet w wielu zdaniach.

Faktem, jest że Bradford podejmowało, gościło, urządzało imprezy dla tysięcy żołnierzy dywizji, że myślało o przyszłości, zbierając fundusze na zakup żywności i odzieży dla Polski, że opiekowało się i pomagało naszym rannym.

Działalność Mr. Neale'a i jego towarzystwa bynajmniej nie ustała w tych ciężkich dla nas chwilach, przeciwnie z równą energią, nakładem pracy i poświęcenia, pomaga nam i nami się opiekuje teraz jak przed sześciu laty.

Ale wróćmy na chwilę myślą do chmurnej, dalekiej, gościnnej Szkocji, bo za chwilę smutni opuścimy ją kierując się na York, Tamizę, w naszej drodze do Normandii. A tej drodze i na polach bitew aż po Wilhelmshaven towarzyszyć będzie 10. Pułkowi Dragonów tarcza herbowa Hrabstwa Lanark, a 10. Pułkowi Strzelców Konnych chorągiew św. Andrzeja ofiarowana mu przez miasto Haddington.

STANISŁAW KRASICKI, ppor.
10. Pułk Strzelców Konnych.

OSTATNIE PRZYGOTOWANIA

W połowie maja 1944 roku rozstała się Dywizja ze Szkocją i powędrowała, częściowo transportami kolejowymi, częściowo w kolumnach motorowych po doskonałych, krętych asfaltowych drogach, na równinę Yorku zamkniętą od wschodu wzniesieniami Wolds, a od zachodu wzgórzami Pennine Chain.

Rozstać się trzeba było z zaprzyjaźnionymi, a niejednokrotnie i spokrewnionymi już szkockimi rodzinami, pożegnać walizy, kuferki lub żołnierskie worki, wyładowane skrzętnie podczas lat wędrówki po świecie zbieranymi gratami, zapomnieć chwilowo o sympatycznym, niepozbawionym stałości charakteru, drobniutkim szkockim deszczu, a poświęcić cały, bez reszty, czas ostatnim przygotowaniom, temu dopinaniu na ostatni guzik naszej gotowości do spotkania z oczekującymi za Atlantyckim Wałem, wyborowymi dywizjami niemieckimi.

Wyczuwało się łatwo, że przygotowania do inwazji weszły w ostatnią fazę. Snuto liczne przypuszczenia. Robiono zakłady usiłując ustalić datę rozpoczęcia inwazji. Znany w Dywizji fotograf i wynalazca usiłował wmontować w czołg swój doskonały aparat fotograficzny. Debatowano zajadle na temat najwłaściwszego zapakowania osobistego bagażu tak, że po latach, kiedy nie zawsze wiedziano co robić z czasem, nadeszły chwile, w których roboty będzie przybywać coraz więcej i że stan ten trwać będzie niezmiennie aż do końca wojny.

Po sąsiedzku z nami przeżywała ostatnią fazę przygotowań 2. Francuska Dywizja Pancerna gen. Leclerc, przywieziona transportem morskim z Afryki. Francuzi, w mundurach amerykańskich i na amerykańskim sprzę-



Chwila nadeszła

Fot. M. Walentynowicz



ZBLIŻAMY SIĘ DO NORMANDII

Fot. Jabłoński



Fot. Jabłoński

cie, pracowali gorączkowo by w składzie amerykańskiej 12. Grupy Armii pod dowództwem generała Omar Bradley wylądować na półwyspie Cotentin, a 25 sierpnia przeżyć swój najpiękniejszy chyba dzień, uwalniając Paryż. Dzisiaj przed Inwalidami stoją — groźne niegdyś — dwie niemieckie *Pantery*, dar oswobodzicieli Paryża — dywizji pancernej gen. Leclerc — dla stolicy Francji. Polskiej Pancernej Dywizji gen. Maczka nie było dane, by podczas działań wojennych, w kontakcie z nieprzyjacielem, wejść do Warszawy, by zyskać miano oswobodzicieli stolicy Polski. Później, pełniąc okupacyjną służbę na podmokłych płaszczyznach wzdłuż brzegu rzeki Ems, tęskniliśmy do ruin — bliskiego sercu — syreniego grodu.

Ćwiczenia planowane na okres postoju w hrabstwie York rozpoczęły się od szczebla pułku i brygady, biegnąc żywo i pozwalając na ostateczne zgranie oddziałów.

Po raz pierwszy zebrano wszystkie oddziały służb i uruchomiono II. rzut Dywizji, który dotychczas, lecząc, dbając o sprzęt, ubierając i zaopatrując Dywizję, nie miał czasu na ćwiczenia. Wbrew wszelkim obawom okazało się, że sędziwe robaki, będące niejako trzonem tego wojska, nie tylko że dają sobie świetnie radę z zadaniami im narzuconymi, ale wyszedłszy w pole, w promieniach wiosennego słońca po prostu odmłodniały.

Zupełnie niespodziewanie w piękną, księżycową noc z 5 na 6 czerwca przerwano jedno z ćwiczeń i zarządzono absolutną ciszę radiową.

Nie było wątpliwości. Długo i starannie przygotowana operacja OVERLORD rozpoczęła się.

6 czerwca rozbrzmiały głośniki radiowe szczegółami akcji. Czołowe elementy sprzymierzonych sił ekspedycyjnych, działające pod bezpośrednim dowództwem marszałka Montgomery, wylądowały o godzinie 8 rano na brzegach Normandii.

W dowództwie Dywizji na szczegółowej mapie północnego wybrzeża Francji kolorowe chorągiewki przesuwały się z godziny na godzinę, znacząc postępy lądujących oddziałów. Coraz to nowe numery dywizji i korpusów pojawiały się po drugiej stronie Angielskiego Kanału.

Było już jasne, że Niemcy nie potrafią wrzucić do morza Sprzymierzonych, że przyczółek rozszerza się, że wkrótce i dla nas na nim miejsce się znajdzie.

A cisza radiowa trwała bez przerwy. Kto wie, jak aparatami radiowymi dywizja pancerna gęsto jest naszpikowana, ten łatwo zrozumie, że bez radia żadne ćwiczenie nie może się udać, nie może mieć celu, ani sensu.

Z góry ustalone terminy ulegały przesunięciom, napisane już założenia i rozkazy organizacyjne leżały w teczkach, a inwazja robiła w Normandii stałe postępy, wróżąc nam zbliżający się dzień wyruszenia na kontynent.

Wojsko brytyjskie lubuje się w skrótach nazw, terminów wojskowych i tytułów. Jeden z zeszytów *Field Service Pocket Book* podaje w alfabetycznym porządku setki skrótów, które w czasie wojny uległy cudownemu rozmnożeniu w takiej ilości, że w obowiązującym *pamphlet No 3* nawet połowy ich znaleść nie można.

Od pierwszych dni inwazji na czołowe miejsce w hierarchii skrótów wysunął się BUCO *(Build Up Control Organization).*

Poważna ta organizacja rozsiadła się nad brzegami Angielskiego Kanału i — świadoma doniosłości roli przez się spełnianej — kierowała wszystkimi transportami idącymi na kontynent. Była czymś w rodzaju dużego przedsiębiorstwa transportowego, rozporządzającego olbrzymią ilością typowych *Liberty Ships,* okrętów budowanych masowo przez stocznie amerykańskie w rekordowo krótkim czasie, bardzo prostych w konstrukcji, o tonażu około 10 tysięcy ton, a o pakowności tak dużej, że jeden transportowiec może przewieźć jednorazowo 260 czołgów *Sherman* lub 2850 *jeep'ów.*

BUCO była odpowiedzialna za doprowadzenie wojsk do rejonów załadowczych, obliczenie ilości potrzebnych transportowców, załadowanie, przewiezienie na drugą stronę kanału i wyładowanie tam. Robiła to nie interesując się związkami oddziałowymi. Nieraz przy ładowaniu oddział zostawał podzielony na dwie lub nawet trzy grupy. Chodziło jedynie o pełne wyzyskanie tonażu statków, o jak najbardziej oszczędną gospodarkę. Roboty BUCO miała mnóstwo. Statki nie odpoczywały ani chwili. Przez wszystkie inwazyjne porty strumień transportowych oddziałów przepływał nieprzerwanie. Na wąskim, zaledwie 20-milowej szerokości, przyczółku znalazło się po kilkunastu dniach działań ponad 100 tysięcy pojazdów mechanicznych, a żywność, materiały pędne, amunicja i wszystko to, co żołnierzowi do życia i walki było konieczne, przekroczyło w tym czasie zawrotną cyfrę miliona ton.

Kwatermistrzostwo Dywizji pracowało dwa tygodnie nad przygotowaniem materiałów dla BUCO. Niezliczone ilości arkuszów papieru pożerały zestawienia i wykazy wykonane dla każdego oddziału Dywizji w 60 egzemplarzach. Jednocześnie dzielono sprzęt na transporty kolejowe, mające nas przerzucić do rejonów załadowczych, położonych w okolicach Aldershot. Długo w letnie noce, za szczelnie zasłoniętymi oknami, trwała praca Sztabu Kwatermistrzowskiego Dywizji, a liczni maszyniści stukali w klawisze swoich maszyn, pokrywając arkusze papieru kolumnami liczb, ludzi i sprzętu, który miał w rezultacie stanąć w sierpniu pod Chambois stalowym murem na drodze wycofujących się wyborowych, niemieckich oddziałów.

Druga połowa lipca, spędzona w Aldershot, poświęcona została kontroli, czy przypadkiem nic nie zapomniano, ostatecznemu pakowaniu

zwiększających się z każdym dniem stosów bardzo ważnych, wprost niezbędnych części ekwipunku wojskowego oraz pisaniu pożegnalnych listów przed wyruszeniem — wydeptaną już przez licznych poprzedników — drogą na Tilbury, gdzie w olbrzymim *transit camp'ie* otrzymało się godzinę i miejsce załadowania na wyznaczony transportowiec.

Ostatnie godziny oczekiwania w Tilbury urozmaicały latające bomby V 1, pędzące śladami po pogodnym niebie na wciąż nieuginający się pod ciosami niemieckimi Londyn.

Bomby nie przerwały pracy w *transit camp'ie*. W rozległym namiocie, przed oczami stłoczonej gromady widzów, *girls without uniforms* wyrzucały w powietrze gołe nogi w takt hałaśliwej melodii.

W sąsiednim namiocie wydawano — na wszelki wypadek — impregnowane torebki w przewidywaniu nieżyczliwej fali, a w *mouvement office* raz jeszcze sprawdzano ilość samochodów, które miano załadować na transportowiec L357.

A w dwa dni później, w dużym konwoju, przesuwaliśmy się, ocierając się prawie o białe skały Dovru, nocą, by nie być przez Niemców zauważonym z przeciwległego brzegu. Na tle nieba co chwila pojawiały się — znacząc swą drogę pióropuszem ognia — latające bomby. Na angielskim brzegu spotykała je zapora ognia przeciwlotniczej artylerii, broniącej dostępu do wyspy, którą opuściliśmy, by po czterech latach przerwy znowu stanąć na kontynencie.

JAN MAROWSKI, mjr. dypl.



W Y J E Ż D Ż A M Y

(Z PAMIĘTNIKÓW STRZELCÓW KONNYCH)

ALDERSHOT. Czterogodzinne pogotowie marszowe pułku. Godzina 11.00. Upał niemożliwy. Pracy przy czołgach do cholery.

— Panie poruczniku, nie mam prawego skrętu ... — Panie poruczniku, mam sprzęgło sklejone ... — Panie poruczniku, mnie brakuje tego, a mnie tamtego!!

— Dobrze, dobrze — zrób tak — zawołaj *rep*, — pójdź tam ...

— Pan porucznik zamelduje się natychmiast u dowódcy pułku!

— Uff! Już idę.

— Mój kochany, brakuje celowników dowódców, wyciorów i poziomnic oraz kilku drobnostek. Pojedziesz po te rzeczy, a spiesz się, bo w każdej chwili możemy ruszyć!

— Tak jest ...

Godzina 12.00. Mapa, wskazówki gdzie i jak, zapotrzebowania i w drogę. Na zapotrzebowaniach czerwone *RED HOT*. Do *depot* w Banbury 90 mil. Kalkulacja czasu. Jeżeli dobrze pójdzie osiągnę na 15.00. *RED HOT*.

Godzina 16.00 Jest *office* — ale *sorry*, nie mamy rzeczy panu potrzebnych!

— Jak to! Przecież ja to muszę mieć! *RED HOT!*

— Rozumiem. Może coś pomogę.

Czekać ... Mają czas ... Po pół godzinie:

— Napewno rzeczy te są w Darlaston *depot*.

— Gdzie? Jak?

— 80 mil stąd, proszę patrzeć, mapa, najlepiej tędy i tu.

— Godz 17.00. *RED HOT!* (Pułk każdej chwili może ruszyć do portu). Rzeczy muszę dostarczyć! (... ręczysz głową).

Godzina 20.30 jestem na miejscu. — *Sorry*. Pracę kończymy o 17.00. Ah! *RED HOT?* Owszem. Proszę zamówienie. Może znajdziemy coś z tych rzeczy. Czekać do jutra do godz 09.00. Noclegu dostarczymy.

Nazajutrz: — Proszę podjechać pod magazyn na godzinę 10.00. — Niestety mamy tylko wyciory. Resztę może pan otrzymać w Derby *depot*.

W magazynie: — *Sorry, tea time,* półgodzinna przerwa. *RED HOT* — Niech to wszyscy diabli! — Gotowe, godzina 11.00. Do Derby 50 mil — a *truck* wyciąga maksimum 55.

Godzina 14.00. *Depot* w Derby: — *Sorry,* nie ma, może w Chilwell. Ach, ta organizacja i informacja!

Chilwell nie daleko — 20 mil.

— Owszem mamy. Załadujemy natychmiast. Ależ naturalnie! *RED HOT!*

I znowu od kancelarii do kancelarii, od magazynu do magazynu — a czas leci. (Pułk może już się ładuje w porcie).

Godzina 22.00 — wyjazd. Nareszcie! Ale 200 mil i — noc. Nic to. Cały gaz — *RED HOT!* Już widać błyski na południu. Aha, to pelot okolic Londynu grzeje do latających bomb.

Króciutka przerwa. Samochód musi odpocząć. Nie długo. *RED HOT!* Naciskam na guzik starteru — krocset sto tysięcy diabłow — nie działa! Może korbą. Może „na pych". Nie pomaga.

A tu czas leci. Już świt. Nareszcie!

Ale co to? Szosa Aldershot — Londyn. Kolumna czołgów. *Shermany.* Brygada pancerna. Oho — czyżby za późno? Miejsce postoju puste. Nie, niezupełnie. Jest kolega z pięciu kalekami — czołgami.

Co to znaczy?

— Pułk wyruszył o godzinie 02.00 do portu. Ja z moją grupą jadę koleją. Ty masz dołączyć kołowo. Zachodni skraj Londynu. Współrzędne . . . Trasa . . . szosa na Londyn — środkiem miasta — na nos — i do celu. *Cheerio!*

Szosa na Londyn prosta i gładka. Miasto: *traffic light,* tłumy. Na nos. Cel?

— Nie, nie tu! Trzeba jechać tam i tam.

— Gdzieżby! To tam. Źle. Co robić?

Jest m. p. nareszcie!

Meldunek: — Przywiozłem! O. K. Uff!

— *RED HOT!*

MICHAŁ WASZUT, por.
10. Pułk Strzelców Konnych.

D O J A Z D

I.

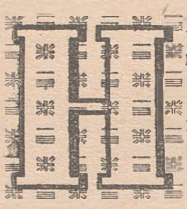

ANNIBAL Hamilton wydaje się trochę za duży i niezgrabny i tak jakby nie umiał poruszać się po brudnej, oleistej wodzie. Odchodzi od brzegu bokiem, zostawiając za sobą mętną pianę. Nagle zadudniał, bulgocąc nadrzucił tyłem i niezdecydowany zatrzymał się prawie chcąc wracać.

Wszyscy wiemy, że Hannibal Hamilton do mola nie wróci. Brzeg stał się dla nas nieważny. Już był przeminął.

Z ciekawością śledzimy pustą skrzynkę z *corned-beef'u*, w której przezroczysta meduza urządziła sobie tratwę, żeglując najspokojniej w naszym kierunku. Ale i bardzo wyszukane rozrywki, jak liczenie żółtych desek, z niewiadomo gdzie i jak rozbitych skrzyń, nawet obojętne spluwanie z pokładu w bezbarwną Tamizę, nie mogły skrócić nudy bezczynności, w której niemo pogrążył się szary Hamilton. Rzucane z boku pytanie — Czy na wojnę tak nam się spieszy? — zostaje pytaniem retorycznym.

Powoli mijają nas statki, przeciągnęły popielatym dymem leniwe, tamizańskie popołudnie. Brzeg oddala się w nieokreślonej mgle, jedynie czarne dzioby dźwigarów zwieszają się nad wodą spokojem dziwacznych czapli. W dokach robotnicy portowi piją napewno *cup of tea*. Gdzieniegdzie tylko, na horyzoncie, białawy dym znaczy obmierzłe wybuchy latających bomb.

Dobrze już pod wieczór statek nasz rusza. Płyniemy w dół Tamizy. Śmieszny, ni to galar, ni to statek pilota, pohukuje do nas syreną, zbierając po drodze podobne do nas z wyglądu i zawartości statki. Konwój jest gotów.

Rolling-bagi układamy na jakimś deku, nad którym zawieszono namiotową płachtę, przygotowując się do spędzenia nocy *For Officers' Only*... Ostry, choć lipcowy wiatr telepie swobodnie naszym mieszkaniem, zaglądając w twarze nowych Sindbadów-Żeglarzy...

Rotmistrz Jan Kanty budzi mnie dość gwałtownie:

... patrz, jaki kapitalny widok...

Chrapliwy rechot przefrunął tuż tuż nad kominami Hamiltona prychając karbidowym ogniem i bucząc, niknął...

Na lewo i prawo od nas wirują szalone, białe, żółte, czerwone krążki, wikłając się w zagmatwane ściegi, giną w kolorowych, spazmatycznych lasach, łapane czarną siecią nocy.

Ślepe, ogłuchłe w swym warkocie ryby-nietoperze pędzą nieczułe, nie-

baczne na nic, gdzieś na wprost przed siebie, przerażone własnym latającym bezwładem, aby w tępym milczeniu spadania roznieść się w ostatnim, histerycznym wybuchu.

I znowu grzechotliwy wytrysk błyszczących talarków, zielonych kropek przecinków, zwijających się na wodzie w migotliwe serpentyny,by potem nagle wystrzelić długim, ognistym batem, bijącym w granatowe niebo modlitwą pocisków pelot.

Daleko gwiżdżą syreny i na swój sposób bronią Londynu od V.1 i V.2.

* * *

Jest już bardzo późno i prawie wszyscy śpią.

Hannibal Hamilton, oprócz paru setek nas, wiezie nasze czołgi, wozy ciężarowe, wszystko co potrzebne do wojny. Któżby zwrócił uwagę, że ten duży, szary statek wiezie jeszcze w którymś ze swoich luk skrzypce. I właśnie teraz, ktoś gra jakieś bardzo stare tango.

Tak...

Jaśminy kwitły w Krakowie tylko koło Barbakanu...

Kiedy przechodziłeś chodnikiem obok, ocierałeś się twarzą o zapach. Liliowy, ciepły wieczór stawał się tajemniczy prawie jak w Zaczarowanym Ogrodzie. Dobre, stare zegary miedzianymi godzinami odmierzały ci lata, jak szczęście...

Maszyny pracują równo i cicho. Konwój podchodzi pod wapienne zręby Dovru. Na południe od nas, po przeciwnej stronie, niemiecka artyleria nadbrzeżna zna dokładnie odległości i cele. Konwój ślizga się, jak cień. Bezszelestnie. Wiatr wpada na pokład krzepkim, głębokim oddechem i coraz bardziej odpycha w noc brzegi księstwa Kentu. Jeszcze minuta, dwie i tamten ląd stanie się dla nas niebyły. Zniknie. Płyniemy coraz szybciej i pewniej. Za nami zostaje wyspa pięciu lat.

Autobusy, *sweetharty*, wrzosowiska, namioty, dancingi, mdły ogień na kominku, deszcz, szkocki deszcz, wietrzne, gorzkie noce i mgła spadająca na oczy tęsknotą. Tyle lat. Tyle lat...

Dzisiaj płyniemy na podbój.

Nad głową wysokie gwiazdy, towarzyszki naszych dróg i wędrówek. Tak samo obce i tak samo dalekie. Drogowskazy odległych Gibraltarów i mrocznych, rosyjskich tajg. Pocieszycielki jenieckich *Kriegsgefangenennummer*. Powierniczki żołnierskie.

Na niebie mignął reflektor dalekim ku nam pożegnaniem.

Fala uderza o dziób, jak niespokojna myśl.

...Czwarta ulica na prawo to Karmelicka, a potem już parę kroków do domu. Tak blisko...

Tej nocy śniła mi się matka.

II.

Nad ranem wybiega z morza naprzeciw, ostrym, rażącym blaskiem, obrzucając jaskrawym pyłem, dziwny, morski krajobraz. Stoimy w środku ogromnego tarłowiska okrętów, statków, łodzi, barek, w kakofonii kolorów pstrych, szarych, biało-niebieskich, czarnych, ogrodzeni nieregularnym wykresem masztów, kominów i lin, trzymających brzuchate, lśniące balony. Daleko z niebieskiej, delikatnej mgiełki wygląda żółta od słońca kościelna wieża.

I tam jest właśnie Normandia.

Szybkie, gwiżdżące korwety, o zwinności wodnych pająków, prześlizgują się obok, dmuchając czarnym dymem, aby nagle zrobić nieoczekiwany unik i pognać w białej pianie i zniknąć w błękitnym horyzoncie. To znów burkliwe, wysmolone tankowce, nadęte czarne kaczory, kolebią się powoli, płynąc gdzieś swoim przeznaczeniem.

A z odległości paru mil czuwa *„ultima ratio"* tego wszystkiego dokoła, milczący i sam, nieruchomy pancernik, własność Jego Królewskiej Mości.

Koło południa zaczęto odkrywać obciągnięte celtami okrętowe luki. Stłoczone trzytonówki, *Fordsony*, czołgi, *jeepy* oddychają teraz swobodnie słonym, morskim powietrzem. „Dżoki" z *Royal Engineers* intensywnie montują dźwigi, bloki, lewary, klnąc z przekonaniem, szamocą się z oporną, stalową liną. Pod gładką, wysoką burtą Hamiltona przesuwa się ostrożnie rozłożysta, solidna, tęponosa barka. Z boku ma niezdecydowaną przybudówkę w rodzaju wieży o.p.l., gdzie przy opuszczonym Browningu 0,50 smętnie żuje gumę amerykaniec o piegowatej twarzy.

Niespodziewanie nad naszymi głowami, złapany w stalową siatkę, łopocze żałośnie biedny, bezbronny *Fordson*. Gruba łapa dźwigu opuszcza go automatycznym ruchem w dół, coraz niżej i niżej, zatrzymuje się tuż nad blaszanym pokładem barki, aby w końcu troskliwie postawić rozkraczony samochód na dno. Potem już wszystko idzie, jak w *King's Regulation*. Samochód czołg, czołg samochód.

Fala dotąd spokojna zaczyna się niepokoić i coraz silniej bębnić o stalowe boki statku. Jesteśmy gotowi do przeprowadzki z Hamiltona na barki. Zrywa się skądś chybotliwy wiatr, huśtając sznurowymi drabinkami, zwieszonymi wzdłuż burt. Barka wyładowana sprzętem i ludźmi odpływa, jej miejsce zajmuje druga. Szybko i sprawnie. Takie inwazyjne autobusy.

Sierżant z któregoś batalionu piechoty, z karabinem przez szyję, obwieszony plecakiem, schodzi wolno w dół. Trudno jest kołysać się z tym wszystkim na wąskich szczeblach drabinki. W dole podryguje ciężko na wysokiej fali, popielaty, masywny plaster barki.

Wtem nieudały krok, czy poślizg ręki po linie, przytłumiony plusk czy krzyk ... i kurczowo zaciśnięte palce na zwisających sznurach.

Bulgotliwa woda topi w wąskiej przerębli, między statkiem a krypą człowieka.

Krótki, nerwowy gwizd natychmiast odpływającej barki.

Wzdęty, zielony brzuch fali podrzuca, to znów gwałtownie odciąga do dna, ręce zawzięcie broniące szorstkiego uścisku lin.

Ten człowiek się udusi!

W siniejącą w wytężeniu twarz bryzga morze zimną, gorzką pianą. Ostatnim, głuchym wysiłkiem drętwiejąca ręka odplątuje dokoła ramion i szyi mokry, czarny sznur.

Równocześnie dwa skoki w wodę. Saperzy z *Royal Engineers* rękami spracowanymi od stalowych lin, ciężkich elewatorów, żelaznych bloków, podtrzymują opite wodą, bezwładne prawie ciało.

Wściekłe, zzieleniałe zęby fali zapamiętałe w własnej złości szarpią, odtrząsają chroniące ludzkie ramiona.

Opuszczona szalupa podskakuje nierówno, daremnie usiłując zbliżyć się na ratunek. Wreszcie jedno szczęśliwe uderzenie wiosła, przychwyt wyciągniętej dłoni i dwaj ludzie z *Royal Engineers* przekolebują sierżanta do łodzi, by potem zwalić się sami ciężkim znużeniem na dno szalupy.

Na pokładzie wśród czarnych i granatowych beretów jest zupełnie cicho.

Tak, jak gdyby salutowali to pierwsze braterstwo broni.

To najtrudniejsze i najprostsze. Ludzkie.

Barką płyniemy coś z dwie mile na wprost słońca. Mijamy osowiałe cmentarzysko rozbitków lub zatopionych okrętów, pogrążone w bezruchu krzyże czarnych masztów. Tam, między nimi leży polski krążownik — Dragon.

Dobijamy do długiego, stalowego mola. Zamknięty, mopsowaty nos barki otwiera się, tworząc pomost, po którym zaczynają niezdarnie tarabanić wozy, czołgi, *scout-cary*. Rozładowanie idzie szybko, przynaglane okrzykami regulatorów. Idziemy na piechotę w stronę piaskowo-żółtej plaży. Żelazny pomost ugina się pod ciężarem mijających czołgów. Pod nogami chlupie mętna woda.

Brzeg wygląda raczej nienaturalnie, nie tak, jak go sobie wyobrażaliśmy. Brązowo-zielona szkarpa podziurawiona lejami. To jest ta zapora chroniąca Trzecią Rzeszę zapleczem „słodkiej Francji"? Parę patetycznych nasrożonych bunkrów zbitych wyrwami od bomb. Powyginane pręty z resztkami betonu. Rozwalone stanowiska o.p.l. Okopy oplecione wikliną. Bez wrażenia

Jest bardzo gorąco i schodząc od brzegu po wapiennej drodze, przejeżdżające samochody obsypują nas gęstym, miałkim kurzem. Dochodzimy do jakiejś asfaltowej szosy niemiłosiernie roztarmoszonej pociskami artylerii i gąsienicami czołgów. Ruina. Przystajemy na skrzyżowaniu. Od domu o zwalonym dachu, człapie ku nam sabotami Francuz. Ma obszarpany, słomkowy kapelusz. Niezdecydowanie przystaje, trąca laską zakurzoną, zwiędłą trawę i dość obojętnie nam się przygląda. Wypada zacząć rozmowę z „oswobodzoną ludnością".

Więc... *Bonjour... comment allez-vous...*

Wolno odkleja z wargi wiecznego *Gaulois'a*, dopalonego do granic, spluwa i usiłuje nas pocieszyć;

...English very good...

Kiedy nie jesteśmy Anglikami.

... Eh, bien ....*avez vous*... hm... pokazuje nam palcami, *une cigarette*...

Dostaje.

...*Canadien très, très bon.*

Jesteśmy Polacy.

... *Quoi? Po... Polonais?*

Tak. *Yes. Oui.* Polacy!

...*Eh bien*... hm... *Polonais — très bon, très bon*...

Postał jeszcze chwilę, jeszcze raz się przyglądnął i poszedł.

Ça va.

III.

Na płaskich polach pod Bayeux pułk nasz stał około pięciu dni. Wygrzewaliśmy czołgi i siebie od słońca, czekając. Nic szczególnego wokół nas się nie działo. Jedynie w nocy trzaskała pelotka do przemykającego się chyłkiem niemieckiego samolotu. Dowiadujemy się, że Dywizja wchodzi w skład Armii Kanadyjskiej.

Na odprawie natarcie wygląda jasno i przejrzyście.

Uderzamy spod Caen, po uprzednim zmiękczeniu tereniu przez kilkaset dział, a osobny parasol lotniczy dopomoże jeszcze bardziej. Hajlanderzy Kanadyjczycy oczyszczają nasze podstawy wyjściowe, a my przejdziemy się niemal szarżą (omijając tylko leje i wyrwy), aż po Falaise.

Na moim czołgu wymalowałem sobie jedno imię: Joanna.

Na szczęście.

IV.

7 sierpnia 1944 roku...

Chłodna, gwiaździsta noc.

Wymarsz 24. Pułku Ułanów godz. 23.00.

Cicho burczą silniki. Drzemiemy obok czołgów, czekając na rozkaz ruszenia. Wyrywa nas z półsnu szumiący warkot silników. Jedzie pierwszy szwadron, jedzie drugi. Mijamy mroczny zagajnik, dołączając na ogon kolumny. Poprzez niegłęboki wąwóz skręcamy w prawo w pole, wpadając w ciemną, brązową banię kurzu. Tu ma być gdzieś punkt przejścia Pułku.

Nie widać nic.

Sypki pył w powietrzu. Zakleja oczy, usta, nos niewidzialną płachtą. Jesteśmy zawieszeni w prochu, jak w matni. Z trudem łapie oko gdzieniegdzie niknący ogarek czerwonego światła poprzednika. Poruszamy się ślepym ruchem, po omacku, na słuch. Ni stąd ni z owąd, prawie przed gąsienicą czołgu wyskoczy niewyraźny cień ciężarowego wozu, łypnie przestraszonym reflektorem i zniknie w gęstym, brudnym tumanie. Wreszcie wydostajemy się na polną, wyboistą drogę. Czołgi ciągną za sobą biały, pofałdowany bal kurzu. Jest trochę lepiej, jakoś można oddychać.

Wjeżdżamy do wpół zburzonej wioski, przykrytej grubą derką wapiennego pyłu.

Kawałek asfaltu. Połamane płoty. Czarne ogrody. Laski. Zakręty. Przeskakujemy trzęsący mostek. Ktoś miga latarką, skręcamy ostro w prawo. Czołg przed nami zrywa gąsienicę, zarzuca tyłem, kopcąc rudym dymem. Wpadamy na trakt wytyczony żabimi oczkami zielonych lampek. Trasa prowadzi na przełaj przez pola.

Z boku małe, gołe pagórki. Kawałek spalonej farmy. Samotne drzewa.

Regulatorzy. Haszcze. Wyrwy. Rozbite *carrier'y*.

W zębach trzeszczy piasek. Chce się pić. Czołg trzęsie po koleinach. Noc dłuży się, rozciąga w huczącej, bezsennej jeździe.

Nad ranem robi się przejmująco zimno.

Horyzont sinieje fioletową pręgą. W oddali od czasu do czasu zadrgają czerwone sznurki pocisków. Dojeżdżamy do Caen.

Szarzeje.

Na przedmieściu angielski żandarm w lśniących butach, wskazuje kierunek w lewo. Zatrzymujemy się. Po obu stronach ulicy ogrody o smutnej zieleni. Przyglądamy się bliżej, a drzewa zasłaniają już tylko rumowiska białych willi, przykrytych czarną żałobą spalenizny.

Gryziemy czekoladę, która smakuje ziemiście gorzko. Przy każdym naszym ruchu kurz opada z nas płatami, a gruba koszula *angola* szoruje, jak piaskiem, plecy. Palić silniki! Ruszamy.

Wjeżdżamy w głuche ulice — straszydła.

Śmiertelnie rozdarte źrenice okien patrzą na nas resztkami fasad. Domy, zdruzgotane nieszczęściem, wybiegają do nas niemym wyrzutem

gruzu. Zwalony ciężar belek, kamieni, potrzaskanych cegieł, obłapia gardło martwym zaduchem pogorzeli.

Gąsienice skrzypią po bruku, jak turkot ogromnych karawanów.

Przejeżdżamy mosty na rzece Or.

Po drugiej stronie wita nas raz po raz błysk i trzask artyleryjskiej salwy. Mijamy stanowiska baterii ustawionych za miastem, na szerokich łąkach. Obok w rowach Kanadyjczycy piją wczesną herbatę z blaszanych kubków. Koło nas mignie czasem wysoka sanitarka. Jedziemy jeszcze kilkanaście minut, aby w końcu skręcić z szosy na duże, równe pole, porośnięte z rzadka czerwonymi badylami.

Pułk osiągnął punkt dojścia.

Słońce wychodzi wysoko, kiedy wreszcie jako tako zdążyliśmy przemyć nabrzmiałe, czerwone oczy. Potem śniadanie na prędce, parę zdań z pierwszych „frontowych wrażeń" i przecieramy na sucho lufy dział.

Przed nami, po dość szeroko wytyczonej białymi taśmami drodze, w zaminowanym polu, kręcą się jacyś żołnierze. Za chwilę zjeżdża tam pluton *Scorpionów*. Każdy czołg ma przymocowany z przodu gruby, żelazny wał, z którego wiszą, jak frędzle łańcuchy. Taką żelazną trzepaczką toruje sobie drogę wśród pól minowych.

Zaledwie trochę przeciągnęliśmy zmęczone nogi na twardej ziemi, wtem bardzo krótko: do czołgów! — Ruszamy.

Wprzód w lewo od nas, rzadki sosnowy lasek z połamanymi drzewami, przysypany szarym kurzem. Jedziemy wzdłuż drogi, przez brązowe, gliniaste pole, skopane lejami pocisków.

Ciepło.

Kolumna staje. W dużej żółtej wyrwie dwaj Kanadyjczycy przy wymontowanych z czołga cekaemach. Z tyłu, na skraju zwisa bezwładny *Sherman*, przy nim, oparty plecami, ćmi *sweet caporal'a* Kanadyjczyk z pistoletem w ręku, pilnując dwóch Niemców. Siedzą zakurzeni, obrośnięci, brudni. W tępym znużeniu patrzą nieruchomymi oczyma w gąsienice naszych czołgów...

Marsz. Mijamy przejazd i nasyp kolejowy. Znowu przystajemy obok bezlistnego zagajnika. Zwiędłe, obdarte z kory drzewa sterczą drzazgami konarów. Rozburzony mur. Farma. Wyłupane framugi okien z podartymi firankami. Wygląda to wszystko, jak dekoracja z filmu o tamtej wojnie.

W bruździe, w opiętym jak jegiery mundurze, wydęty do gorącego słońca, leży żołnierski trup.

Godzina czwarta po południu. Upał.

Pluton, w rozwiniętym, wcisnął się pomiędzy popielaty, bukowy zagajnik. Melduje prawdopodobne *Tygrysy* na przedpolu.

Nic nie można dostrzec.

Co chwila tylko gruchnie samotny artyleryjski granat. I nic.

Trzeci szwadron rusza do przodu. Rozjeżdżamy dojrzałe pole owsa. Uwaga na miny! Owies pryska spod gąsienic i dziobie w twarz, ostrymi kłoskami. Podchodzimy pod niewielki wzgórek, porośnięty wąskim klinem drzew. Wpadamy w stromy rów, głośno wyją silniki, wyciągając się po pochyłym spadzie. Za drzewami zaczyna się rzadki, dziki sad. Polne jabłonie, czy grusze na obłym, leniwym pagórze.

Pierwszy pluton maca ostrożnie czołgami horyzont. Gdzieś w lewo dobrze już walczy drugi szwadron.

Podciągamy się na szczyt wzgórza. W wąskich wnękach tu i tam, okopani dragoni.

Z lewa drugi szwadron robi unik. Ma straty. Kaczan podobno zastrzelony. Ranny.

... Wysoki, falujący gwizd pocisku moździerza. I znowu przed nas, za nas ... łach ... łach ...

Dwóch dragonów układa coś pod drzewem, za czołgiem. Na kocu pod dziką jabłonką leży rozkrzyżowany, przezroczysto-żółty, szeroko-oki. Na brzuchu czerwona plama bandażu. Klęczy nad nieznanym kolegą sanitariusz, jakby się modlił. I ta tylko, zdaje się, pomoc jest już dla tamtego — jedyna.

Trzeci szwadron naciera za wzgórze dwoma wprzód.

Wolno staczamy się po zboczu.

Czerwony syk przed, za czołgiem. Na pustym gołym stoku pali się krótkim płomieniem czołg.

Kto?!

Znowu ognisty furkot. Jakiś błysk na czołgu Wituchny. Dobrze. Jedzie dalej.

Działo strzela granat za granatem w zakrzaczony parów przed nami. Tak, zdaje się stamtąd robią do nas pepance.

Leszek w dole natknął się na *Panterę*. Sam na sam. Tak znowu ktoś się pali.

Granat, dym, granat, dym ... Cekaem rwie się krótkimi seriami.

Przez radio rozkaz: — wracać.

Artyleria niemiecka ryje serię za serią we wzgórze. Czarny, trwały dym.

Ktoś nierówno biegnie przez dziki sad. Ma zakrwawioną twarz, krzyczy coś zapieczonym głosem:

... starszy ... ułan Karabin ... zabity ...

Ze zburzonej wioski Cramesnil wychodzi zmierzch. Odprawa w głębokim, wilgotnym leju po bombie.

... Ubezpieczenie pra... — rotmistrz Piwoński śmiertelnie ranny, parę godzin temu mówił, że na woj...

Okładają nas moździerzami. Biegiem wracamy do czołgów.

* * *

Z 600 yardów przed nami, z flanki, z granatowego lasu, wychodzi szwadron *Churchill'ów* w czerwonych nitkach cekaemów. Zanurza się w płowe zboże. Walczy. Wtem raz... dwa... trzy... cztery... już piąty pali się zimnym, białym płomieniem. Szaro-stalowym dymem przykrywa palące się czołgi dumna, pancerna śmierć.

Noc twardo składa swoje mroczne ręce na naszych zmęczonych ramionach. Na wargach gorzki smak, po mdłej, ciepłej wodzie. Pragnienie.

Za plecami przeraźliwe łuny i głuchy łomot wybuchów.

Duszno.

Głowa opiera się na miękkiej okładce lunety.

Na okularze cyfry:

600...

1000...

1500...

Od pierwszego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku upłynęło:

4 lata...

11 miesięcy...

9 dni...

JACEK STWORA, por.
24. Pułk Ułanów.

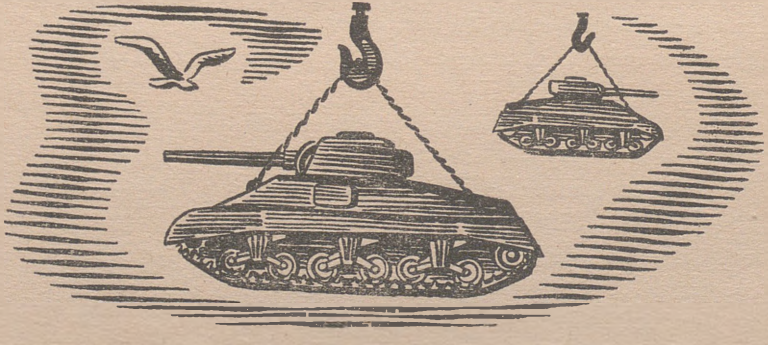

DYWIZJA WCHODZI W BÓJ

PO ukończeniu cyklu ćwiczeń letnich w rejonie Scarborough, których celem było ostateczne zgranie oddziałów, Dywizja w drugiej połowie lipca 1944 została skoncentrowana w obozie Aldershot.

Czas pobytu w rejonie koncentracji, nie pełne dwa tygodnie, został wykorzystany na ostateczne uzupełnienie sprzętu, dostosowanie pojazdów do przewożonego materiału, wymianę uzbrojenia, wymianę chorych żołnierzy itp.

Praca wyczerpująca, gorączkowa, popychana istną powodzią brytyjskich rozkazów i instrukcji.

Wykorzystując niewielką odległość obozu Aldershot od Londynu, szereg gości, z Panem Prezydentem Rzeczypospolitej na czele, składa Dywizji ostatnią pożegnalną wizytę.

Podniecony przedbitewny nastrój zaćmiła chwilowo tragiczna wiadomość o śmierci na polu walki we Francji szefa sztabu Dywizji, pułk. dypl. Levittoux i mjr. bryt. Wills, oficera 4. Brytyjskiej Misji Łącznikowej.

Wymienieni oficerowie, w towarzystwie kwatermistrza Dywizji mjr. dypl. Rutkowskiego i dwóch kierowców, wyjechali jeszcze z rejonu ćwiczeń Dywizji na krótki *stage* do oddziałów brytyjskich w Normandii. Cała ekipa została zbombardowana w czasie jednego z conocnych nalotów lotnictwa niemieckiego. Poza wymienionymi oficerami, którzy zginęli, obaj kierowcy zostali ranni, oba samochody zniszczone. Jedynie mjr. dypl. Rutkowski wyszedł cało z opresji, niestety po to, by w parę miesięcy później umrzeć w szpitalu na nieuleczalną chorobę. Prawdziwie pechowa ekipa.

Zły nastrój jednak nie mógł trwać długo. Świadomość, że wreszcie po wielu latach przygotowań, organizacji i ćwiczeń zbliża się chwila, w której znowu zmierzymy się z Niemcami, tym razem na warunkach conajmniej równorzędnych, musiała wprowadzić radosny nastrój wśród polskich żołnierzy.

W ostatnich dniach lipca Dywizja została przetransportowana do Francji, ładując się na okręty w portach Londynu i Southampton. Przejazd przez kanał odbył się bez żadnych wypadków. Oddziały załadowane w porcie Londynu przeżyły trochę emocji w czasie, gdy okręty przepływały

UWAGA : patrz mapa po str. 48.

cieśninę Dover — Calais w zasięgu dział nabrzeżnych obrony Calais, oraz w czasie przecinania trasy latających bomb, których w tym czasie dużo sunęło w kierunku Londynu. Kilka z nich przestrzelono na naszych oczach silnym zaporowym ogniem artylerii przeciwlotniczej.

Dnia 30 lipca pierwsze oddziały Dywizji lądowały we Francji. Nadeszła chwila, na którą czekaliśmy 4 lata, szkoląc się i organizując na ziemi brytyjskiej.

Jak wyglądała w tym czasie sytuacja na froncie w Normandii?

Od dnia inwazji — *D day* — 6 czerwca — upłynęło już około 8 tygodni. Operacje armii sprzymierzonych, pod wspólnymi rozkazami dowódcy sił lądowych marszałka Montgomery, rozwijały się zgodnie z planem. Po uchwyceniu i skonsolidowaniu w pierwszym tygodniu walk obszernego przyczółka, armie sprzymierzone rozpoczęły realizowanie pierwszej fazy działań. Faza ta planowana na 90 dni miała doprowadzić do zlikwidowania sił niemieckich w obszarze na północ od Loary i na zachód od Sekwany.

Plan Naczelnego Dowództwa wyglądał w ogólnych zarysach następująco. Armie Brytyjska i Kanadyjska na wschodnim skrzydle miały w rejonie Caen zorganizować silnie *pivot*, aby serią zaczepnych działań utwierdzić przeciwnika w przekonaniu, że z tego kierunku ma się spodziewać głównego uderzenia. Działania te winny doprowadzić do zgrupowania przez nieprzyjaciela w tym rejonie wszystkich rozporządzalnych odwodów.

Odciążone powyższym działaniem armie amerykańskie, na skrzydle zachodnim, miały uderzyć w ogólnym kierunku południowym na Avranches, skąd poprzez rejon Mayenne - Laval zawinąć na wschód na kierunek Paryża. Udanie się powyższego planu doprowadziłoby do otoczenia i zniszczenia armii niemieckich na zachód od Sekwany.

W wykonaniu powyższego planu siły amerykańskie w drugim tygodniu walki odizolowały półwysep cherburski, zajmując w dniu 26 czerwca port Cherburg.

Z początkiem lipca Amerykanie rozpoczęli koncentrację w rejonie Pariers — St. Lô do głównego uderzenia na południe. Rozpoczęło się ono w dniu 25 lipca i doprowadziło już w dniu 30 lipca do zajęcia Avranches. Dnia 6 sierpnia po wykonaniu zwrotu na wschód czoło armii amerykańskie osiągnęło rejon Domfront — Mayenne — Laval.

Na odcinku wschodnim Caen zostało zajęte 9 lipca. Plan wprowadzenia przeciwnika w błąd udał się całkowicie. W końcu czerwca prawie całość odwodów pancernych niemieckich (6 dywizji pancernych) znalazła się w walce w rejonie Caen.

W pierwszych dniach sierpnia ujawniło się dążenie Niemców do stoczenia głównej bitwy o Francję na zachód od Sekwany. W dniu 7 sierpnia



Już zobaczyli brzeg

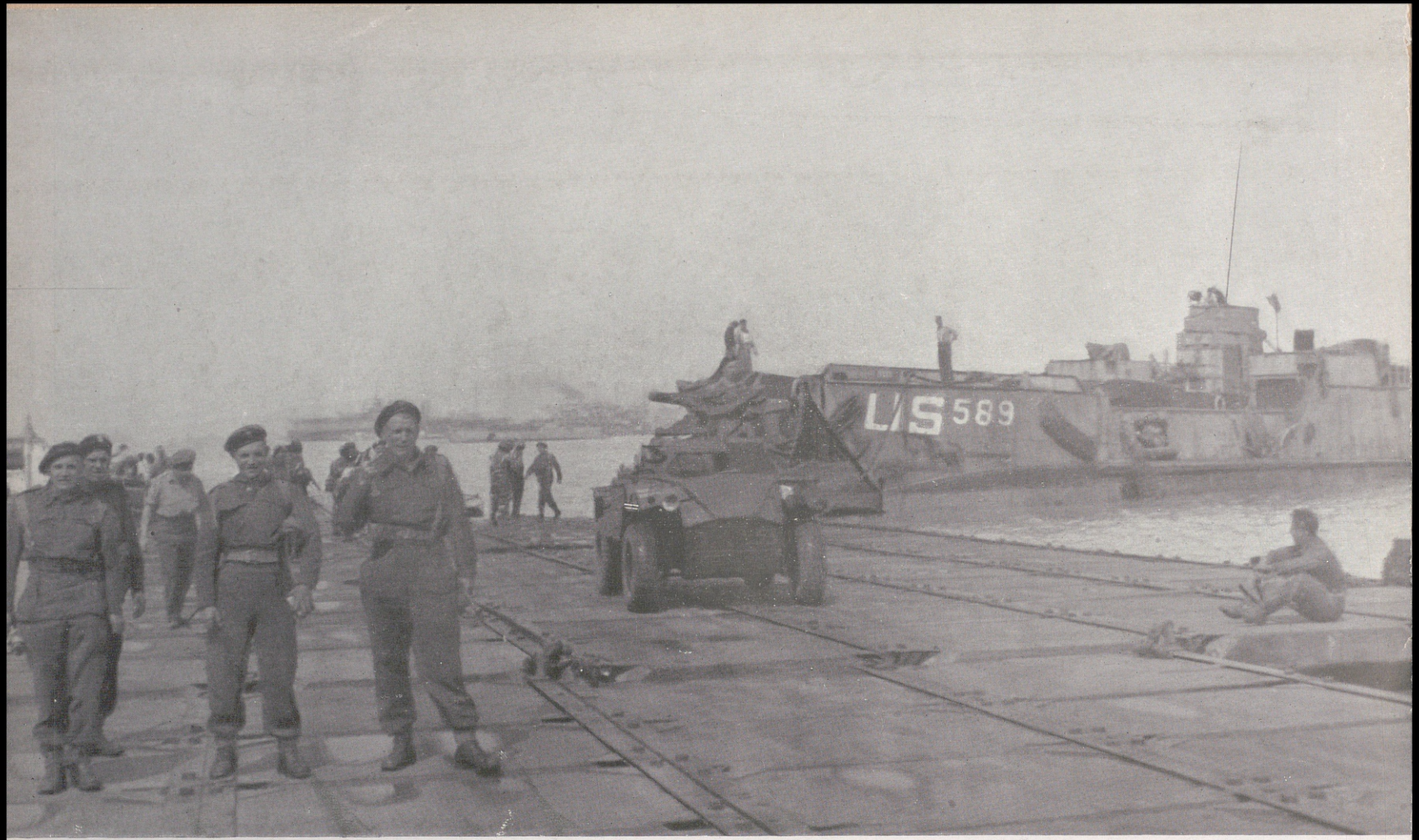

Pierwsze kroki na kontynencie

Fot. Jabłoński


KANAŁ LA MANCHE
CHERBOURG
LE HAVRE
ROUEN
HONFLEUR
ARROMANCHES
LA HAYE
CARENTAN
ELBEUF
SENA
CAEN
PERIERS
ST LÔ
CAUMONT
EVREUX
MANTES
ORNE
FALAISE
PARYŻ
ARGENTAN
AVRANCHES
MORTAIN
DOMFRONT
CHARTRES
ALENÇON
MAYENNE
LAVAL
LE MANS
OGÓLNA SYTUACJA
W DNIU 7.VIII.1944 r.
- UDERZENIE NIEPRZYJAC.
- DZIAŁANIE ZASADNICZE
- DALSZA PLAN. AKCJA.
0 10 20 30 40 50

sześć dywizji pancernych niemieckich uderzyło w kierunku zachodnim na armie amerykańskie w rejonie Mortain. Celem tego uderzenia było dotarcie do morza w rejonie Avranches i przez to odcięcie sił amerykańskich znajdujących się na południu. Ta decyzja dowódcy niemieckiego była zupełnie po myśli marszałka Montgomery. Zaistniała możliwość kompletnego otoczeczenia i zniszczenia dywizji niemieckich związanych walką z Amerykanami.

W tym celu zostały wydane rozkazy dla 1. Armii Kanadyjskiej wyjścia z *pivot* Caen i uderzenia na Falaise, przez opanowanie którego zostałyby przecięte linie komunikacyjne i odwrotu armii niemieckiej.

Operacja ta miała się rozpocząć w dniu 7 sierpnia.

* * *

1. Polska Dywizja Pancerna po skoncentrowaniu się w rejonie Bayeux została oddana pod rozkazy dowódcy II Korpusu Kanadyjskiego w ramach 1. Armii Kanadyjskiej.

Zgodnie z otrzymanymi rozkazami miała ona być użyta wspólnie z 4. Kanadyjską Dywizją Pancerną do opanowania rejonu Falaise, wykorzystując w liniach obrony nieprzyjaciela wyłom, który miał być dokonany przez dywizje piechoty w nocy 7/8 sierpnia.

O świcie dnia 8 sierpnia 1. Dywizja Pancerna przeszła przez Caen na postawę wyjściową tuż na południe od tej miejscowości.

Około godziny 11.00 padły pierwsze strzały oddane do Niemców.

Po czterech latach przerwy żołnierz polski wszedł ponownie do walki na froncie zachodnim.

LUDWIK STANKIEWICZ, ppłk. dypl.

ROZKAZ DZIENNY Nr. 14.
M. p., dnia 14 marca 1944.

Dowódca 21. Grupy Armii gen. Montgomery, po dokonanym przeglądzie oddziałów Dywizji, polecił mi wyrazić w jego imieniu wszystkim żołnierzom Dywizji uznanie za ich dziarski żołnierski wygląd.

Gen. Montgomery zakomunikował mi, że wrażenie, jakie odniósł on z pierwszego zetknięcia się z Dywizją upoważnia go do wiary w jej przyszłość na polu niedalekiej już bitwy.

Niech te słowa uznania będą dla Was, Żołnierze, podnietą do dalszej wytężonej pracy nad osiągnięciem takiego pod każdym względem poziomu, który zapewni Dywizji chwałę oraz zwycięstwo w walce o Wolność Ojczyzny.

Dowódca Dywizji
(—) MACZEK, gen. bryg.

ROZKAZ DZIENNY Nr. 33.
M. p., dnia 7 lipca 1944 r.

Orędzie Dowódcy 21. Grupy Armii.

1) Nadszedł czas zadania nieprzyjacielowi potężnego ciosu w Zachodniej Europie.

Cios ten zostanie wymierzony przez potężne siły morskie, lądowe i powietrzne Sprzymierzonych, stanowiące razem jeden wielki zespół Sprzymierzonych pod Naczelnym Dowództwem gen. Eisenhowera.

2) W przededniu tego wielkiego wydarzenia przesyłam każdemu żołnierzowi w zespole Sprzymierzonych moje najlepsze życzenia.

Nam przypadł w udziale zaszczyt zadania w walce o wolność ciosu, który przejdzie do historii.

W jaśniejszych dniach, które nadejdą, ludzie będą mówić z dumą o naszych czynach. Nasza sprawa jest wielka i słuszna.

Módlmy się, by łaska Boga Wszechmocnego towarzyszyła naszym wojskom i by Opatrzność wspomagała nas w walce.

3) Chcę, by każdy żołnierz wiedział, że mam całkowitą wiarę w pomyślny wynik działania, które mamy rozpocząć.

Z tężyzną ducha i zapałem do zmagań — idziemy ku zwycięstwu.

4) W dniu rozpoczęcia boju przypomnijmy sobie słowa starego żołnierza wypowiedziane wiele lat temu:

„Kogo o los przejmuje lęk niemęski,
Kto małodusznie chce uciec od zguby,
Ten nie odważa się stanąć do próby,
Zwycięstwa — albo klęski"!

5) Niech szczęście towarzyszy każdemu z nas.
Pomyślnych łowów na lądzie Europy!

(—) B. L. MONTGOMERY, generał
Dowódca 21. Grupy Armii

NORMANDIA

OPERACJA FALAISE-CHAMBOIS

ISTOTNYM celem planu operacyjnego *) marszałka Montgomery było zniszczenie armii niemieckiej na zachód od Sekwany. W wykonaniu tego planu 1. Dywizja Pancerna weszła w bój dnia 8 sierpnia 1944 roku w ramach 2. Korpusu Kanadyjskiego, 1. Armii Kanadyjskiej. W skład 2. Korpusu wchodziły ponadto trzy dywizje piechoty (2. i 3. Dywizje Kanadyjskie i 51. Dywizja Szkocka) oraz 4. Kanadyjska Dywizja Pancerna.

Zadaniem Korpusu było opanowanie rejonu Falaise i połączenie się z Amerykanami, którzy posuwać się mieli z kierunku Argentan, a przez to otoczenie armii niemieckiej, walczącej w tym czasie w kierunku na zachód, pod Mortain.

Dowódca Korpusu zamierzał w nocy z dnia 7 na 8 sierpnia przełamać dywizjami piechoty stanowiska obronne niemieckie murujące *pivôt* Caen i przez zrobiony wyłom rzucić w dniu 8 sierpnia dwie dywizje pancerne obok siebie, okrakiem wzdłuż szosy Caen — Falaise, z zadaniem opanowania rejonu Falaise. Wyruszenie dywizji pancernych miało być poprzedzone potężnym bombardowaniem lotniczym.

Zadanie 1. Dywizji Pencernej było następujące: mając w prawo od siebie 4. Kanadyjską Dywizję Pancerną i działając po wschodniej stronie szosy Caen — Falaise, opanować miejscowość Falaise. Wyjście z *pivôt* Caen przez przekroczenie 51. Dywizji Szkockiej, po opanowaniu przez nią ogólnej linii Cramesnil i szosy na wschód.

Według słów marszałka Montgomery, wypowiedzianych na odprawie w Dywizji bezpośrednio przed naszym wejściem do akcji, pozycje nieprzyjaciela na południowy-wschód od Caen stanowiły „zawias" obrony niemieckiej.

— Waszym zadaniem, powiedział wówczas marszałek, jest wyważyć ten zawias, a wtedy droga do Francji zostanie otwarta. —

Działania rozegrać się miały w terenie lekko otwartym, bez większych przeszkód przeciwpancernych, mocno jednak zalesionym i zakrzaczonym,

---

*) Plan ten objaśniony został w artykule p.t.: „Dywizja wchodzi w bój".
UWAGA: patrz mapa po str. 70.

co dawało krótkie horyzonty i dobre oparcie dla niemieckich punktów obrony ppanc., a przez to powodować mogło dużo niespodzianek.

Przeciwnikiem, z którym mieliśmy się spotkać, była potężna *Panzergruppe „Westen"*, w składzie dwu korpusów SS z dwiema dywizjami pancernymi oraz dyspozycyjnym baonem czołgów ciężkich naczelnego dowództwa niemieckiego. Nieprzyjaciel stosował taktykę walki poszczególnymi grupami bojowymi, złożonymi z piechoty, czołgów (często wkopanych), artylerii ppanc. i ciężkiej broni maszynowej, wspartymi artylerią i dużą ilością moździerzy wielolufowych. Wielkość grup różna, zależnie od działania. Żołnierze dobrzy.

Dowódca dywizji postanowił wykonać zadanie w dwóch fazach:

1) Brygadą Pancerną opanować pierwszy przedmiot natarcia t. j. rejon południe Estrées-la-Campagne i wzgórze 140. Brygadą Strzelców, posuwającą się w ślad za Brygadą Pancerną, przejąć rejon Cauvicourt i zorganizować tam *pivot*, stwarzając w ten sposób oparcie dla dalszego działania Brygady Pancernej.

2) Brygadą Strzelców zluzować Brygadę Pancerną, która uderzy na drugi przedmiot natarcia — rejon wzgórza 170 na północ od Falaise i wykorzystać na samą miejscowość.

Całość działania osłonić od wschodu wzmocnionym pułkiem rozpoznawczym Dywizji, od zachodu trzymać ścisłą łączność z sąsiednią dywizją pancerną.

Dywizja ruszyła w następującym ugrupowaniu: w pierwszym rzucie 10. Brygada Kawalerii Pancernej, wzmocniona 8. Baonem Strzelców, 22. Brytyjskim Pułkiem Dragonów (pułk specjalnych czołgów do niszczenia min), dywizjonem artylerii ppanc., dywizjonem artylerii plot. i 10. Kompanią Saperów. Na lewym skrzydle 10. Pułk Strzelców Konnych wzmocniony dywizjonem ppanc.

W drugim rzucie wzmocniona 3. Brygada Strzelców bez baonu.

Wsparcie artyleryjskie: 1. Pułk Artylerii Motorowej — bezpośrednie wsparcie 10. Brygady, 2. Pułk Artylerii Motorowej — bezpośrednie wsparcie 3. Brygady. Ponadto zapewnione wsparcie średniej artylerii kanadyjskiej.

Uderzenie 10. Brygady wyszło dnia 8 sierpnia o godzinie 13.35. Jeszcze przed dojściem do linii wyjściowej, czołowe jej pułki: 2. Pułk Pancerny i 24. Pułk Ułanów, wzmocnione szwadronem 10. Pułku Dragonów każdy, znalazły się pod gwałtownym ogniem dział ppanc. i czołgów, idącym od czoła i z rejonu lasków na wschód od Robertmesnil. W ciężkiej walce trwającej do wieczora 10. Brygada, ponosząc poważne straty (szczególnie

2. Pułk Pancerny), prawie nie ruszyła z miejsca. To samo spotkało naszego lewego sąsiada, pancerną dywizję kanadyjską.

Plan działania 2. Korpusu Kanadyjskiego załamał się — akcja, planowana na dwa dni, będzie trwała dni jedenaście.

Dążąc w dalszym ciągu do uchwycenia pierwszego przedmiotu natarcia, Dywizja walczyła ciężko w dniach 9 i 10 sierpnia. 10. Brygada działała jako czołowa, zaś 3. Brygada przejmowała poszczególnymi baonami teren zdobyty przez 10. Brygadę i ostatecznie oczyszczała go. I tak w dniu 9 sierpnia, w ogólnym działaniu na wzgórzu 140, 1. Pułk Pancerny wykonał, ciężkimi stratami okupione, natarcie na wzgórze 111, a Baon Strzelców Podhalańskich, celem usunięcia stałego zagrożenia ze wschodniego skrzydła, natarł i zdobył St. Sylvain, które po północy przejęła 51. Dywizja Szkocka. 24. Pułk Ułanów działał na Estrées - la - Campagne. W dniu 10 sierpnia, wypełnionym walkami 10. Pułku Dragonów, 9. Baonu Strzelców i 10. Pułku Strzelców Konnych, osiągnięto ostatecznie rejon Soignolles — Estrées - la Campagne.

W dniu następnym, 11 sierpnia, położenie zostało bez zmian. Otrzymany w tym dniu rozkaz opanowania przez Dywizję lasu Quesnay został odwołany po argumentacji dowódcy Dywizji. Stanowisko jego okazało się słuszne, gdyż zmontowane później natarcie 3. Kanadyjskiej Dywizji Piechoty zostało krwawo odparte. Las okazał się małą fortecą, przeciw której akcja czołgów przyniosłaby jedynie duże straty własne.

W ciągu nocy z dnia 11 na 12 sierpnia odbyło się luzowanie oddziałów Dywizji w rejonie Estrées - la - Campagne — Soignolles przez 3. Kanadyjską Dywizję Piechoty.

1. Dywizja Pancerna przeszła do odwodu Korpusu i w dniu 12 sierpnia, w godzinach rannych, została skoncentrowana w rejonie: Cramesnil, St. Sylvain, Cauvicourt. W dniu tym działał jedynie 10. P.S.K., rozpoczynając na korzyść Korpusu i stwierdzając obronę niemiecką w La Bû-sur-Rouvres. Rozkaz do tego rozpoznania był jakby pierwszą zapowiedzią zmiany planu Korpusu i przerzucenia wysiłku pancernego bardziej na wschód.

Tak kończy się pierwszy okres działania Dywizji, trwający od 8 do 12 sierpnia.

Operacja nie została wykonana zgodnie z planem dowódcy Korpusu Powody niepowodzenia były następujące:

a) Dywizje piechoty nie wykonały planowanego przełamania obrony nieprzyjaciela. Nadgryzienie bowiem obrony było wykonane zbyt płytko i zbyt wąsko. W konsekwencji 1. Dywizja Pancerna nie tylko nie mogła wykonać skoku na wzgórze 140, będąc zmuszona do wykonania szeregu innych, krótkich natarć charakterystycznych raczej

dla działań piechoty, ale w dodatku znalazła się we flankowym ogniu na całej głębokości wyłomu. W identycznych warunkach znalazła się 4. Kanadyjska Dywizja Pancerna.

b) Lotnictwo bombardowało pozycje nieprzyjaciela zbyt głęboko, co wobec niewykonania przez dywizje piechoty ich zadania, pozostawiło drugie rzuty obrony nietknięte. Ponadto, wskutek pomyłki, lotnictwo zbombardowało częścią siły własne wojska, a zwłaszcza stanowiska artylerii i składy amunicji artyleryjskiej.

Z drugiej zaś strony niemieckie dowództwo zdawało sobie dokładnie sprawę, że każdy kilometr oddany pod Caen będzie znaczył setki kilometrów odwrotu, jeżeli „wyważenie zawiasu" się uda. Na tym tle zrozumiała się staje niezwykle zacięta obrona niemiecka i uporczywe, wsparte bronią pancerną, przeciwnatarcia.

Poza tym wstępny ten okres charakteryzuje się małym jeszcze doświadczeniem załóg pancernych, strzelających niemal wyłącznie na cele rozpoznane oraz ogólną tendencją do samodzielnego wykonania zadań bojowych przez czołgi i przez piechotę. Ten właśnie okres walk wykorzystano do zgrania się oddziałów różnych broni w zgrupowaniach taktycznych, szczególnie z artylerią bezpośredniego wsparcia.

W dniu 12 sierpnia dowódca Korpusu zaznajomił dowódców dywizji z nowym planem działania: dnia 14 sierpnia wyjdzie natarcie dywizji piechoty po wschodniej stronie szosy Caen — Falaise z zadaniem uchwycenia w pierwszym skoku przejścia przez Laison, w drugim — Falaise. Natarcie to wsparte będzie bombardowaniem lotnictwa strategicznego. W tym celu 1. Dywizja Pancerna zluzuje oddziały 2. Kanadyjskiej Dywizji Piechoty w rejonie na zachód od szosy, na północ od Aisy i Fontaine-le-Pin, po czym będzie działać aktywnie w kierunku południowym.

Zgodnie z powyższym rozkazem, zluzowanie 2. Dywizji Piechoty przez 3. Brygadę Strzelców, wspartą czołgami 24. Pułku Ułanów oraz przez 10. Pułk Dragonów nastąpiło w dn. 13 sierpnia i w nocy z 13 na 14 sierpnia.

3. Brygada Strzelców, walcząc ciężko w dniu 14 sierpnia, zdobyła Fontaine - le - Pin, Potigny i wzgórze 206.

Tymczasem planowane przez Korpus natarcie dywizji piechoty wyszło w godzinach popołudniowych. Pomimo ponownej pomyłki lotnictwa bombowego, które częścią sił poważnie zbombardowało własne oddziały, natarcie rozwinęło się pomyślnie.

W związku z tym, jeszcze tego samego dnia wieczorem, na odprawie w Korpusie, dowódca Dywizji otrzymał nowy rozkaz do działania w dniu 15 sierpnia: nieprzyjaciel, w wyniku niepowodzenia akcji przeciw Amerykanom, powoli wycofuje się na wschód. Korpus musi jaknajszybciej prze-

ciąć jego drogi odwrotowe. Zadanie dla dywizji piechoty bez zmian. Dywizje pancerne zostaną przerzucone na wschodnie skrzydło Korpusu, skąd, działając na południe, zamkną ostatecznie przez połączenie się z Amerykanami worek, w którym znajduje się wycofująca armia niemiecka.

W tym celu, w dniu 15 sierpnia 1. Dywizja Pancerna działając przez przeprawy na rzece Dives w rejonie Jort — Vendeuvre, opanowuje miejscowość Trun, natomiast 4. Kanadyjska Dywizja Pancerna przez przeprawy w rejonie Morteaux-Couliboeuf opanowuje wzgórza na północny-zachód od Trun.

Teren między rzekami Laison i Dives był płaski i poprzecinany dużą ilością drobnych zadrzewień i zakrzaczeń, które dawały nieprzyjacielowi dobre warunki do maskowania obrony. Na wschód od rzeki Dives teren był pagórkowaty, ze wzgórzami przekraczającymi gdzieniegdzie 200 metrów. Sama miejscowość Trun leżała w dole, otoczona od północy barierą wzgórz 159, 259, 137, 258 i 240, których opanowanie dałoby dobry wgląd na miejscowość i szosę, biegnącą z zachodu na wschód. Jedyną poważną przeszkodą ppanc. była rzeka Dives.

Z wiadomości o nieprzyjacielu wynikało, że jest on zaskoczony dotychczasowymi operacjami. Należało oczekiwać, że będzie on walczył rozpaczliwie, celem niedopuszczenia do zamknięcia worka. Jednak w pierwszej fazie tego działania nie będzie on mógł przeciwstawić nam poważniejszych sił. Natomiast, z chwilą gdy Dywizja znajdzie się na jego liniach odwrotowych, trzeba liczyć się z całą furią uderzenia wyborowych dywizji pancernych S.S., które, aczkolwiek mocno nadszarpnięte walką z Amerykanami i działaniem lotnictwa, będą dążyły za wszelką cenę do wyrwania się z potrzasku. Już więc wtedy dowódca Dywizji zaczął szukać na mapie silnych obronnie punktów terenowych, do których obsadzenia należało dążyć.

W nocy z dnia 14 na 15 sierpnia zostały wydane rozkazy do nowego działania. Dowódca Dywizji podkreślił specjalnie znaczenie szybkości.

W wykonaniu powyższych rozkazów Dywizja rozpoczęła ruch o godzinie 11.00 dnia 15 sierpnia, w dwóch kolumnach: zachodnia — na Rouvres, Sassy, Jort, wschodnia — na Bout du Haut, Vendeuvre. Jako czołowa ruszyła 10. Brygada, poprzedzona 10. P. S. K. z dyonem ppanc., 3. Brygada rozpoczęła ruch znacznie później, gdyż czekać musiała na zluzowanie swych oddziałów.

Należy podkreślić tutaj sprawność przemarszu Dywizji z zachodniego skrzydła Korpusu na wschodnie. W przemarszu tym Dywizja przeszła wpoprzek ugrupowania całego Korpusu (trzy dywizje) bez żadnych starć. Jest to dowodem, że Dywizja była już w tym czasie sprawną maszyną, w której praca sztabów i wykonanie oddziałów grały bez zarzutu.

Do wieczora dnia 15 sierpnia zostały uchwycone przez 10. Pułk Strzelców Konnych i 1. Pułk Pancerny, wzmocnione szwadronem z 10. Pułku Dragonów każdy, dwie przeprawy pod Jort i Vendeuvre. W działaniu tym wyróżnił się szczególnie 10. P.S.K. Nieprzyjaciel, zgodnie z przewidywaniami, nie był zbyt silny, ale walczył bardzo zacięcie.

Szybkie sforsowanie przepraw na rzece Dives, równocześnie w dwu miejscach wybranych przez 10. Pułk Strzelców Konnych i 1. Pułk Pancerny, zaskoczyło całkowicie nieprzyjaciela i spełniło pierwszy warunek powodzenia śmiałej akcji, mającej na celu operacyjne użycie dywizji pancernej, przez rzucenie jej na tyły wycofującego się nieprzyjaciela.

W ciągu nocy 3. Brygada Strzelców zorganizowała przyczółek, saperzy zbudowali most i oczyścili zaminowania. Podciągnięto artylerię, gotową do wsparcia przyczółka.

W dniu 16 sierpnia Dywizja uderzyła z przyczółka na południe, w kierunku na Barou, dwiema kolumnami. Prawa w składzie: 24. Pułk Ułanów, 10. Pułk Dragonów, dyon ppanc., lewa: 2. Pułk Pancerny, 8. Baon Strzelców, dyon ppanc. Osłonę lewego skrzydła całości natarcia zapewnił 9. Baon Strzelców, wzmocniony szwadronem pancernym, rozpoznając na las Courcy.

Po całodziennych walkach, zdobyto do wieczora Barou i przecięto drogę Morteaux — Couliboeuf — Barou, jednak okazało się, że w Morteaux — Couliboeuf znajdują się jeszcze Niemcy, gdyż 4. Kanadyjska Dywizja Pancerna nie zdołała sforsować przepraw pod tą miejscowością. W dniu tym powstało poważne zagrożenie uderzenia w bok, od zachodu, na nacierające nasze zgrupowania, przez niemieckie oddziały czołowe. Jednak koncentracje ich zostały na czas zaobserwowane i do uderzenia nie doszło dzięki interwencji lotnictwa alianckiego.

Dzień 17 sierpnia rozpoczęty został działaniem 10. P. S. K., który rozpoznał wzmożony ruch kolumn nieprzyjacielskich po szosie Falaise — Trun. 10. Brygada Kawalerii Pancernej, wzmocniona 8. Baonem Strzelców, walcząc od rana dwoma zgrupowaniami, zdobyła do godziny 17.00 wzgórza 159 i 259.

Jak nieprzyjaciel zapatrywał się na nasze działania świadczy przychwycony rozkaz dowódcy 7. Armii Niemieckiej:

„Nieprzyjaciel (t. zn. Alianci) na zachodnim odcinku 7. Armii działa niezdecydowanie — natomiast osiągnął sukces w kierunku na Falaise i na wschód".

„Dla przeprowadzenia pomyślnych operacji wycofania się za rzekę Dives, niezmiernie ważnym jest odzyskanie rejonu Morteau — Coulibeouf, aby w ten sposób utworzyć klin, jako zaczątek nowego frontu".

„Korpus Pancerny S.S., w dyspozycji Grupy Armii, uderzy w nocy z dnia 17 na 18 sierpnia z rejonu Vimoutiers i zniszczy nieprzyjaciela (t. zn. nas!), posuwającego się w ogólnym kierunku Trun i zamknie wyrwę w rejonie na południowy - wschód od Morteaux — Coulibeouf. Teren zdobyty zostanie przejęty przez 1. Korpus Pancerny S.S.".

Teren ten został „przejęty", lecz przez 1. Dywizję Pancerną.

Dywizja wysunęła się dość daleko do przodu i kocioł Trun znalazł się w obserwacji artyleryjskiej — samo zajęcie miasta było już tylko kwestią godzin. Tymczasem nasi sąsiedzi pozostali daleko w tyle.

W tej sytuacji przybył do dowódcy Dywizji dowódca Korpusu, który wraz z wyrazami uznania za dotychczasową akcję, przywiózł osobisty rozkaz marszałka Montgomery, by tej jeszcze nocy zdobyć Chambois. W tym samym czasie 4. Kanadyjska Dywizja Pancerna miała zająć Trun.

Rozkaz ten umotywował on następująco:

„Wobec znalezienia się szosy Falaise — Trun w zasięgu i obserwacji ognia artyleryjskiego, a co za tym idzie praktycznego przecięcia komunikacji na tej drodze, oraz wobec zajęcia Argentan przez Amerykanów, jedyne drogi odwrotu, pozostałe nieprzyjacielowi, prowadzą prze las Gouffern. Dla nieprzyjaciela, wykorzystującego te drogi, jedyną furtką wyjściową jest węzeł drogowy Chambois. Zdobycie Chambois przetnie ostatnią drogę odwrotu dla otoczonej armii niemieckiej".

Dowódca Dywizji, mimo że oddziały były już poważnie wyczerpane walcząc właściwie bez sąsiadów i ponosząc w ten sposób cały ciężar wiązania sił nieprzyjacielskich na wschód od rzeki Dives, postanowił wykonać natychmiast narzucone mu zadanie. Zgrupowanie, w skład którego weszły 2. Pułk Pancerny, 8. Baon Strzelców i dyon ppanc., otrzymało rozkaz ruszenia na Chambois o godzinie 19.00.

Z powodu jednak trudności z uzupełnieniem materiałów pędnych i amunicji, zgrupowanie wyruszyło dopiero o godzinie 02.00 dnia 18 sierpnia, a następnie wskutek bardzo ciemnej nocy i ogromnie trudnego, bezdrożnego terenu, całość zgrupowania zmyliła kierunek i wyszła w godzinach rannych na miejscowość Les Champeaux, gdzie zaskoczyła wprawdzie Niemców, ale jednocześnie, w ciężkim dla czołgów terenie, uwikłała się w walkę z piechotą i bronią ppanc. Opowiadania o przerażonych Niemcach, biegających w pyjamach po lesie i wsiadających na nasze czołgi, myśląc że to ich własne, długo krążyły po oddziałach.

Kiedy wyszło na jaw zmylenie kierunku i znalezienie się zgrupowania w ciężkiej sytuacji, Dowódca Dywizji polecił Dowódcy 10. Brygady skierowanie tam pomocy. Wysłana w tym celu część sił 10. Brygady nie znalazła jednak zgrupowania, które w międzyczasie samo się wyplątało i po wal-

kach odskoczyło na południe. Przez cały dzień jednak nie można było ustalić dokładnie jego położenia.

Tymczasem, aby wykonać główne zadanie na kierunek Chambois, Dywizja ruszyła wcześnie rano z zadaniem uchwycenia Chambois i wzgórza „Maczuga". Sławna później nazwa „Maczuga" powstała w rozmowie radiowej szefa sztabu 10. Brygady z dowódcą Dywizji, który tak nazwał wzgórze Mont Ormel, położone na północny-wschód od Chambois. Istotnie zarys warstwic przypominał kształtem maczugę. Północne wzgórze 262 tworzyło jej głowicę, południowe zaś wzgórze 262 — rękojeść.

10. Brygada, jako czołowa, ruszyła dwoma zgrupowaniami:

Zgrupowanie zachodnie w składzie: 24. Pułk Ułanów, 10. Pułk Dragonów i dyon ppanc., poprzedzane przez 10. Pułk Strzelców Konnych z dyonem ppanc. — przez Louvières - en - Auge, wzgórze 137, na Chambois.

Zgrupowanie wschodnie w składzie: 1.Pułk Pancerny, Baon Strzelców Podhalańskich i dyon ppanc. — przez wzgórze 259, wzgórze 240, na „Maczugę".

Późnym wieczorem czołowe oddziały 10. Brygady, walcząc przez cały dzień bez przerwy, osiągnęły: zgrupowanie zachodnie, wzgórze 137, a zgrupowanie wschodnie, wzgórze 240. Natomiast szwadron 10. Pułku Strzelców Konnych z dyonem ppanc. doszedł już w godzinach popołudniowych do rejonu 2 km na północ od Chambois.

Wieczorem dowódca Dywizji zrobił plan obsadzenia obronnego pozycji „Maczuga" — Chambois, który, niestety, został zrealizowany w całości dopiero po zakończeniu walk na „Maczudze".

Plan ten wyglądał następująco:

10. Brygada Pancerna w składzie: 1. Pułk Pancerny, 24. Pułk Ułanów, Baon Strzelców Podhalańskich, 10. Pułk Dragonów i dyon ppanc.— obsadzi i utrzyma Chambois i południowe wzgórze 262 (rękojeść „Maczugi").

3. Brygada Strzelców w składzie: 8. i 9. Baony Strzelców, 2. Pułk Pancerny i dyon ppanc. — obsadzi i utrzyma północne wzgórze 262 (głowicę „Maczugi").

10. P. S. K. i dwa dyony ppanc. w rejonie 1 km na północ od Chambois — w odwodzie dowódcy Dywizji.

Artyleria w gotowości do wsparcia całością swych sił każdego ze zgrupowań.

Przeprowadzenie tego planu dałoby Dywizji silną pozycję i kompletne panowanie nad obejściami Chambois od północy i od południa.

Już tego dnia wieczorem zarysował się kryzys bitwy, w który Dywizja

weszła faktycznie w dniu 19 sierpnia rano, a który trwał do godzin popołudniowych dnia 21 sierpnia. Został on spowodowany małą stosunkowo siłą, jaką przedstawia jedna dywizja pancerna, tymbardziej, że wszystkie jej oddziały były już zaangażowanie w walce. Sąsiedzi zaś byli jeszcze w tyle: prawy, 4. Kanadyjska Dywizja Pancerna dopiero popołudniu zajęła Trun, lewy, 3. Kanadyjska Dywizja Piechoty, daleką swą akcją w rejonie St. Pierre-sur-Dives, nie mogła wpłynąć na sytuację naszych oddziałów. Ponadto trudności, na jakie napotykało zaopatrzenie oddziałów w amunicję i benzynę, wzrastały z każdą chwilą wskutek bezdrożnego, a przede wszystkim nieoczyszczonego terenu. Tymczasem zaś nieprzyjaciel, widząc zacieśniający się kocioł Trun — Chambois, rozpoczął coraz to rozpaczliwsze próby wydostania się z matni. Do tych odśrodkowych prób rozerwania kotła doszły wkrótce inne, idące z zewnątrz, od północnego - wschodu, a mające na celu otworzenie drogi otoczonym oddziałom 7. Armii gen. von Kluge.

W tej sytuacji od rana dnia 19 sierpnia 1. Dywizja Pancerna ponosiła główny ciężar walk.

I tak zgrupowanie wschodnie, walcząc w bardzo trudnym dla czołgów terenie, osiągnęło około godziny 13.00 rękojeść „Maczugi", północne wzgórze 262, gdzie rozwinęło się frontem na szosę przechodzącą przez „Maczugę". Po szosie tej uciekały spłoszone kolumny niemieckie — wszystko pomieszane: samochody, czołgi, działa, wozy konne. Działa wszystkich czołgów 1. Pułku Pancernego rozpoczęły krwawą robotę. Zaskoczenie było kompletne. Stłoczona kolumna, długości około dwu kilometrów, została zniszczona w ciągu pół godziny — pożary i wybuchy trwały do wieczora. Gęsty dym zasłał „Maczugę".

Po dokonanym zniszczeniu, zgrupowanie wschodnie nie zdołało, pomimo rozkazu Dowódcy Dywizji, przejść na południowe wzgórze 262 Powodem pozostania na północnym wzgórzu było zatarasowanie drogi oraz gęsty dym, powstały z pożarów na szosie, który całkowicie przesłaniał widoczność i uniemożliwiał rozpoznanie. Fakt ten sprawił, że ogólny plan dowódcy Dywizji obsadzenia pozycji obronnej nie został zrealizowany. Wprowadziło to w konsekwencji zamęt w organizację dowodzenia.

Wieczorem na północną część „Maczugi" dołączyło całe przewidywane zgrupowanie 3. Brygady Strzelców. Nastąpiło zbyt duże zgęszczenie oddziałów, należących do obu zgrupowań. Natomiast południowe wzgórze 262 pozostało niezajęte.

Tymczasem zgrupowanie zachodnie, będące od rana w ciężkiej walce, opanowało wieczorem Chambois. Samą miejscowość zdobył 10. Pułk Dragonów, który o godzinie 20.30 nawiązał łączność z baonem piechoty amerykańskiej, wkraczającym równocześnie do Chambois od południa. Wspól-

nie z nim zorganizowana została obrona miejscowości, wzmocniona następnie 24. Pułkiem Ułanów. Natomiast 10. Pułk Strzelców Konnych tworzył oddzielne zgrupowanie na północ od miejscowości, w rejonie wzgórza 124, gdzie walczył przez cały dzień 20 sierpnia.

Dzień 20 sierpnia był dla oddziałów Dywizji szczytową fazą kryzysu. Nieprzyjaciel bowiem, zorjentowawszy się, że ostatnia droga odwrotu została odcięta, uderzył z całą furią na poszczególne oddziały celem przebicia się. Trudną sytuację na „Maczudze" i w rejonie Chambois powiększał fakt, że 4. Kanadyjska Dywizja Pancerna, która miała zabezpieczyć drogę Trun — Chambois, doszła tylko do zachodnich skrajów St. Lambert sur Dives. Odcinek drogi między tą miejscowością a Chambois, długości około dwu kilometrów, pozostał niezajęty, co wykorzystali Niemcy i zdołali przeniknąć w rejon wzgórza 124, i 129, przecinając drogę zaopatrzeniu i zagrażając naszym oddziałom z bezpiecznych dotychczas kierunków.

Siły Dywizji, rozciągnięte na przestrzeni około 7 kilometrów walczyły na wszystkie strony. Nieprzyjaciel bowiem atakował od zachodu i południa, aby wyrwać się z potrzasku, podczas gdy inne oddziały niemieckie uderzały ze wschodu i północy, celem ułatwienia wyjścia. Do natarć tych nieprzyjaciel używał piechoty wspartej czołgami i silnym ogniem moździerzy i artylerii.

Teren sprawił, że nasze pułki pancerne musiały walczyć stojąc w miejscu, w bardzo ciasnym ugrupowaniu. Przypominało to czasy średniowieczne, kiedy obronę w polu organizowało się przez ustawienie taborów w ciasny czworobok. Wzgórza, gęsto pokryte, bardzo były trudne do dozorowania, wskutek czego zdarzało się, że czołgi niemieckie podchodziły niepostrzeżenie pod same nasze „obozy". Wymownie świadczy o tym trup *Pantery* i trup *Shermana,* stojących naprzeciw siebie, lufą w lufę, w odległości kilku metrów — oba spalone.

Pod wieczór na obronę Chambois wyszło silne uderzenie piechoty zmotoryzowanej, wspartej czołgami. Zdołało ono nawet wedrzeć się poza pierwszą linię obrony, gdzie jednak zostało kompletnie niemal zniszczone. W tym samym czasie oddziały na „Maczudze" zaatakowane zostały równocześnie z trzech kierunków. Czołgi nieprzyjacielskie podeszły na kilkanaście kroków od stanowisk obrony. Po ciężkiej walce zmuszone były wycofać się ze stratami. Własne straty, aczkolwiek znacznie mniejsze, były jednak bardzo dotkliwe.

Podkreślić tutaj należy, że „Maczuga" i Chambois były praktycznie odcięte. Zaopatrywanie walczących oddziałów stało się zupełnie niemożliwe. Kilkakrotne próby przebicia się zaopatrywania kończyły się bezowocnie, przynosząc jedynie straty. Sytuacja pogorszyła się jeszcze, gdy kolumna

z zaopatrzeniem, zorganizowana z wielkim trudem na wozach pancernych, została omyłkowo zniszczona przez własne lotnictwo. Zaopatrzenie z powietrza, zorganizowane wprost z Anglii, nie udało się również. Zaledwie drobna część zrzutów dotarła do naszych oddziałów — duży procent samolotów został zniszczony ogniem niemieckiej obrony przeciwlotniczej. Jedynie Amerykanie zdołali zaopatrzyć częściowo niektóre nasze oddziały, jednak i oni zostali wkrótce odcięci od reszty swych sił, gdyż drogę Chambois — Le Bourg St. Leonard opanowali wycofujący się Niemcy.

Spełzły również na niczym wszelkie próby ewakuacji rannych. Musieli oni pozostać wśród walczących żołnierzy, narażeni na ciężki ogień artylerii i moździerzy nieprzyjacielskich. Specjalnym problemem stała się też sprawa jeńców, którzy wkrótce zaczęli przewyższać liczebnie stany naszych oddziałów. O odesłaniu ich do tyłu nie mogło być mowy. Jedynie część z nich oddano Amerykanom, reszta zaś tkwiła przez cały czas wewnątrz walczących zgrupowań.

Jedyną pomoc, która istotnie docierała do odciętych odddziałów, dawała cała nasza artyleria i AGRA, które przez cały czas, na wszystkie kierunki i na każde zawołanie, kładły szybko i precyzyjnie swój potężny ogień. Warto podkreślić fakt, że obserwatorzy, znajdujący się z walczącymi oddziałami, prowadzili ogień w kierunku na siebie, twarzami zwróceni do stanowisk baterii.

Tymczasem zarówno w rejonie Chambois, jak i w rejonie wzgórza 262, walka przeciągała się przez całą noc i ranek 21 sierpnia. Oddziały zużywały dosłownie resztki amunicji. Cierpienia rannych stawały się coraz cięższe. Zmęczony bezsennością i wielogodzinną, bo przez dwie doby przeszło trwającą, walką żołnierzy trzymał się resztkami sił. Zresztą wysiłek oddziałów trwał nieprzerwanie od zdobycia przepraw na rzece Dives. Nieprzyjaciel zaś ciągle jeszcze ponawiał swe rozpaczliwe ataki. Począwszy jednak od rana dnia 21 sierpnia zaczęły one tracić na sile i stawały się coraz bardziej chaotyczne i nieskoordynowane.

Około południa dnia 21 sierpnia, po odparciu natarcia na „Maczugę" z kierunku wschodniego, akcja Niemców zaczęła wyraźnie słabnąć — wyczuwało się już że bitwa dobiega końca. Po południu zaś, Niemcy zaczęli się wycofywać na całej linii, poddając się masowo i pozostawiając wielkie ilości rannych i zabitych.

Wkrótce też nadeszła od północnego zachodu 4. Kanadyjska Dywizja Pancerna, którą dowódca Korpusu pchał nam na pomoc. Wiozła nam ona amunicję, benzynę, żywność i pomoc dla rannych.

Kryzys minął.

W dniu 22 sierpnia część 10. Brygady Pancernej zajęła już bez walki

południowe wzgórze 262, przyjmując w ten sposób ugrupowanie, które było planowane przed bitwą. Tegoż dnia wieczorem, wraz z pochwałą za działania od dowódcy 1. Armii, przyszedł rozkaz zluzowania 1. Dywizji Pancernej, która w dniu 23 sierpnia odeszła do odwodu Korpusu.

Na tym skończył się drugi i końcowy okres operacji Falaise — Chambois.

* * *

Bitwa w rejonie Chambois — Mont Ormel jest największą i najsławniejszą bitwą Dywizji w ciągu całej kampanii. Tydzień walk o niespotykanej zaciętości, zwłaszcza w ich okresie końcowym, był bitwą trwającą prawie bez przerwy. W związku z tym, oddziały walczące w ciągu dnia musiały ubezpieczać się same w nocy, by nazajutrz, od świtu, podjąć dalszą walkę.

Odcięci przez dwa dni i dwie noce, bez możności zaopatrzenia i ewakuacji rannych, żołnierze wykazali niezwykły hart ducha, wytrzymując rozpaczliwe próby przebicia się najlepszych dywizji niemieckich, między którymi znajdowały się: 1. dywizja S. S. „Adolf Hitler" i 12. dywizja S. S. „Hitlerjugend".

Jest to pozatem jedyna bitwa, w której wszystkie dosłownie oddziały Dywizji walczyły równocześnie.

Pole bitwy pod Chambois i na „Maczudze" stało się miejscem wycieczkowym dla różnych dygnitarzy alianckich. Drogi i pola w tym rejonie usłane były zwałami trupów i sprzętu zmasakrowanych kolumn niemieckich.

Dywizja wzięła do niewoli około 150 oficerów, w tym jednego generała i czterech pułkowników, oraz 5500 szeregowych. Zniszczono około 70 czołgów różnego typu, około 500 pojazdów mechanicznych, ponad 100 armat różnych kalibrów, nie licząc drobniejszego sprzętu.

Straty własne wyniosły 135 oficerów i 2192 szeregowych, w zabitych i rannych.

W tym okresie oddziały Dywizji wydały żywności 508 ton, amunicji 4210 ton i materiałów pędnych 1197 ton. Każdy wóz przebył przeciętnie około 450 km. W Oddziałach Warsztatowych naprawiono 91 czołgów, 99 pojazdów „A" i „B". Oddziały sanitarne udzieliły pomocy 2116 rannym i 164 chorym.

* * *

Znacznie już później marszałek Montgomery, przemawiając do żołnierzy 1. Dywizji Pancernej, powiedział:

— „Niemcy zamknięci byli wówczas jak gdyby w butelce — Wy byliście korkiem tej butelki".

LUDWIK STANKIEWICZ, ppłk. dypl.
Szef Sztabu 1. Dywizji Pancernej.



Przed rozpoczęciem działań . . .

Fot. M. Walentynowicz



. . . dowódcy zeszli się na odprawę

Fot. M. Walentynowicz



W Normandii nawet generałom było g o r ą c o

Fot. M. Walentynowicz



Fot. M. Walentynowicz



Fot. M. Walentynowicz





Mijamy Caen

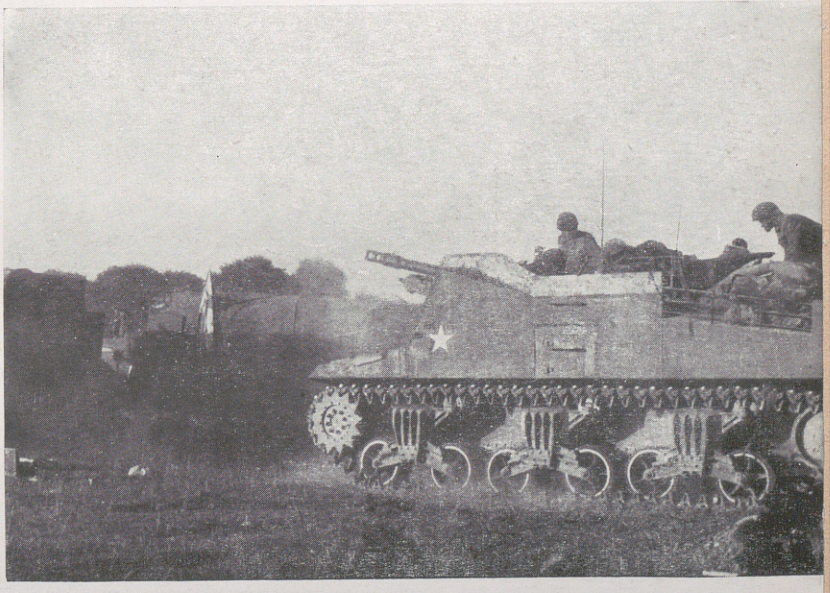

Sekstony zajęły stanowiska

Fot. M. Walentynowicz



Za nami pożary

Fot. M. Walentynowicz

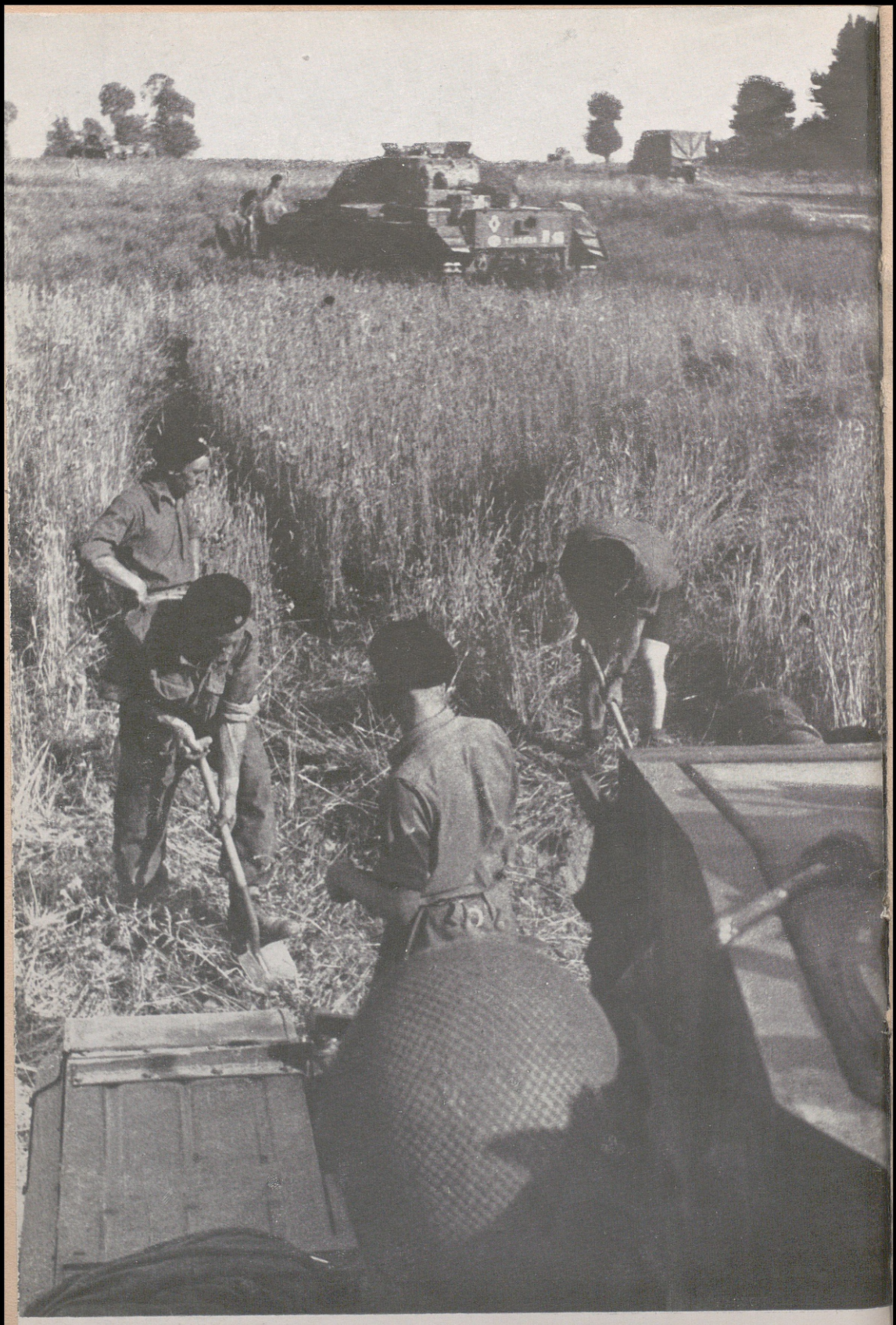

Nawet na dokuczliwe moździerze jest sposób

KALENDARZ DZIAŁAŃ DYWIZJI

29. VII. — 4. VIII. 1. Dywizja Pancerna wyładowała się na plażach Normandii pod Arromanches-les-Bains i Courseulles-sur-Mer, koncentrując się w rejonie: Magny, Ryes, Crepon, Tierceville.

7. VIII. Dywizja weszła w skład 2. Korpusu Kanadyjskiego i wyruszyła marszem nocnym w rejon wyjściowy do walki na południe od Caen.

8. VIII. Wczesnym popołudniem 10. Bryg. Kaw. Panc., wzmocniona 8. B. S. i szwadronem 10. P. S. K., ruszy a jako czołowa do natarcia w ugrupowaniu dwa w przód (24.P.Uł. i 2.P.Panc.) Wyruszenie nastąpiło po przygotowaniu lotniczym, od którego poniosły straty i własne oddziały, a zwłaszcza 1. P. A. Plot. Natarcie napotkało na twardy opór. Ciężkie walki, szczególnie na kierunku natarcia 2. P. Panc., trwały do wieczora w rejonie płd.-wsch. od St. Aignan-de-Cramesnil.

3. Bryg. Strz., która posuwała się początkowo za Brygadą Pancerną, o zmroku i w nocy oczyszcza a teren, zajmując do godzin rannych następnego dnia, po drobnych walkach, laski na płd.-wsch. od Robertmesnil.

Wieczorem 10. P.S.K. rozpoznawał wzdłuż szosy prowadzącej do Falaise, osiągając do zmroku płd. skraj lasu Cramesnil. Artyleria Dywizyjna wspierała skutecznie natarcia Brygady Pancernej.

Ogólne straty w tym dniu wyniosły ponad 40 czołgów, w tym 2. P. Panc. stracił 26 czołgów.

9. VIII. 10. P. S. K. rozpoznawał od świtu przed frontem 10. Bryg. Kaw. Panc. na kierunku jej działania (płd.-wsch.), osiągając Cauvicourt i Renemesnil, po czym opanował wschodnią część wzgórza 84 (1 km na wschód od Renemesnil), osłaniając dalsze działanie od wschodu.

Następnie ruszyło natarcie 10. Bryg. Kaw. Panc. w ugrupowaniu dwa w przód (1. P. Panc. i 24. P. Uł.).

Działanie to wsparte było całością Artylerii Dywizyjnej i 2. A. G. R. A.

Wywiązały się ciężkie walki z bronią pancerną nieprzyjaciela. Pułki czołowe, mimo strat, parły naprzód, zdobywając pod wieczór wzgórze 111 na 2 km płd.-wsch. od Soignolles (1. P. Panc.) i La Croix (24. P. Uł.), jednak na noc zmuszone były cofnąć się na skutek silnego ognia artylerii, moździerzy i broni przeciwpancernej na 1 i pół km na płn. od Estrées - la - Campagne. Miejscowość La

Croix została ponownie zdobyta w nocy przez 10. P. Drag. Przed południem 9. B.S. wszedł w skład zgrupowania 10. Bryg. Kaw. Panc., przejął i obsadził Cauvicourt. Wieczorem Baon pozostawił jedną kompanię w Cauvicourt, całością zaś obsadził wzgórze 84 i lasek na płn.-zach. od Soignolles. O godzinie 19.30 B. S. P. wyruszył na St. Sylvain, po uprzednim rozpoznaniu tego kierunku szwadronem 10. P. S. K. Natarcie wsparte było ogniem Artylerii Dywizyjnej, 2. A. G. R. A. i bombardowaniem lotniczym.

Około godz. 21.00 B.S.P. po ciężkiej walce wręcz, opanował St. Sylvain. Do północy oczyścił tę miejscowość i zajął St. Martin-des-Bois.

10. VIII. W ciągu dnia oddziały znajdujące się w styczności z nieprzyjacielem rozpoznawały na płd. i płd-wsch. (10. P. Drag., 9. B. S. i 10. P.S.K.).

3. Bryg. Strz. przegrupowywała się do natarcia, które miało wyjść w nocy, celem uchwycenia przedmościa na rzece Laison, w miejscowościach Montboint i Rouvres. Natarcie to jednak nie wyszło na skutek niepowodzenia prawego sąsiada (3. Kanadyjskiej Dywizji Piechoty), który miał zająć las Quesnay, oraz na skutek b. silnego ognia artylerii i moździerzy sprzężonych nieprzyjaciela na własne podstawy wyjściowe.

Wieczorem 9. B.S. na rozkaz Dowódcy Dywizji natarł przy wsparciu 10. P.S.K. i opanował rejon wzgórza 111 i laski Chemin Hausse.

11. VIII. W ciągu dnia zajęte pozycje zostały utrzymane. 9. B.S. odpierał szereg niemieckich przeciwnatarć wspartych bronią przeciw-pancerną. Sytuacja wysuniętych oddziałów była b. ciężka. Prawe skrzydło było stale zagrożone, gdyż 3. Kanad. Dyw. Piech. nie zdołała opanować nakazanych przedmiotów i pozostała w rejonach Grainville-Langannerie i Bretteville-le-Rabet. W ciągu nocy Dywizja została zluzowana przez oddziały kanadyjskie i przeszła w rejon St. Aignan-de-Cramesnil i St. Sylvain.

12. VIII. Dywizja bez styczności z nieprzyjacielem, lecz pod ogniem artylerii i moździerzy.

10. P.S.K. w działaniu rozpoznawczym na korzyść Korpusu, po ciężkich walkach z bronią pancerną nieprzyjaciela, osiągnął w godzinach popołudniowych La Bû-sur-Rouvres skąd po wykonaniu zadania powrócił do odwodu.

13. VIII. W nocy Dywizja zluzowała 3. Kanad. Dyw. Piech. na zach. od szosy Caen — Falaise w rejonach: 3. Bryg. Strzel. w trójkącie Quesnay, St. Germain-le-Vasson, Fontaine-le-Pin, a 10. Bryg. Kaw. Panc. Urville, Bretteville-le-Rabet.

14. VIII. Od rana silna działalność patroli bojowych 3. Bryg. Strz. w przygotowaniu do natarcia, które miało wyjść po południu celem opanowania Aisy i Fontaine-le-Pin, po uprzednim bombardowaniu lotniczym.

W wyniku nieszczęśliwej pomyłki, od bombardowania tego własne oddziały, przygotowane do natarcia, poniosły poważne straty w ludziach i sprzęcie. Pomimo tego natarcie wyruszyło (grupy bojowe z 3. Bryg. Strzel. wsparte szwadronami pancernymi 24. P. Uł.), lecz załamało się w ciężkim ogniu nieprzyjaciela.

15. VIII. W ciągu nocy 9. B. S. opanował Fontaine - le - Pin. W wyniku niepowodzenia działania przeciw Amerykanom, posuwającym się z kierunku płd.-wsch., znaczne siły nieprzyjaciela zaczęły wycofywać się na wsch. W związku z tym 1. Dywizja Pancerna (oraz 4. Kanad. Dyw. Panc.) przerzucona została na wsch. skrzydło Korpusu z zadaniem szybkiego działania w kierunku płd. i uchwycenia dogodnych obronnie punktów terenowych, gdyż liczyć się należało z tym, że na nie skieruje siłę cała furia uderzenia doborowych dywizji panc. S.S., które starać się będą za wszelką cenę nie dopuścić do odcięcia ich dróg odwrotu.

W godzinach rannych 10. P.S.K., wzmocniony dyonem ppanc. i szwadronem dragonów, wyruszył z zadaniem rozpoznania i uchwycenia przeprawy na rzece Dives w rejonie Jort.

Za 10. P.S.K. posuwała się 10. Bryg. Kaw. Panc. Po ciężkich walkach 10. P.S.K. wzmocniony szwadronem dragonów sforsował rzekę i opanował Jort i płd. część Vendeuvre. 1. P. Panc. wzmocniony szwadronem dragonów sforsował rz. DIVES na płn. od miejsca forsowania przez 10. P.S.K., zdobywając płn. część Vendeuvre, a szwadron 2. P. Panc. ze szwadronem dragonów na płd. od Jort.

Większość zgrupowania 10. Bryg. Kaw. Panc. została przerzucona na zdobyte przedmoście w ciągu nocy 15/16. VIII.

Bezpośrednio po sforsowaniu rzeki saperzy pod ogniem nieprzyjaciela budowali w ciągu nocy przeprawy.

3. Bryg. Strzel., która posuwała się za Brygadą Pancerną, w ciągu nocy obsadziła miejscowość Jort i Vendeuvre.

W walkach o przeprawy Artyleria Dywizyjna wspierała b. skutecznie działania.

16. VIII. W godzinach rannych nastąpiło przegrupowanie na przedmościu Jort i odbywały się przygotowania do dalszego działania w ogólnym kierunku na Trun.

O godz. 16.00 10. Bryg. Kaw. Panc., wzmocniona 8. B. S. i wsparta ogniem 1. P. A. M., uderzyła dwiema grupami bojowymi zajmując Louvagny i L Homme Couliboeuf.

Do godz. 21.00 zdobyte zostało Barou. Na prawym skrzydle w rejonie Morteaux — Couliboeuf toczą się ciężkie walki z oddziałami pancernymi przeciwuderzającego nieprzyjaciela. 3. Bryg. Strz. poszerzała przedmoście Jort i opanowała Courcy i Morières, ubezpieczając działanie Dywizji od p.n. i wsch. wspierana ogniem Artylerii Dywizyjnej z rejonu Sassy. Od 14 do 16 sierpnia lotnictwo niemieckie bombardowało oddziały Dywizji. Cztery samoloty zestrzelił 1. P. A. Plot.

17. VIII. 10. P.S.K. rozpoznając w kierunku na Trun uchwycił kolejno po walkach Norrey-en-Auge i Les Moutiers-en-Auge. W ślad za 10. P.S.K. posuwało się zgrupowanie 10. Pułku Dragonów (10. P. Drag. i 24. P. Uł.), oczyszczając tę miejscowość z nieprzyjaciela. W południe 10. P.S.K. osiągnął rejon wzgórz 159 (1 km wsch. od Les Moutiers-en-Auge) po południu wzgórze 259, a wieczorem rejon wzgórza 107 (2 km płn.-zach. od Trun), gdzie w ciężkich walkach z czołgami nieprzyjaciela poniósł duże straty.

10. Bryg. Kaw. Panc. działając w ślad za 10. P.S.K. osiągnęła kolejno wzgórza 159 i 259.

3. Bryg. Strzel. (bez 8. B.S.) przed południem obsadziła wzgórze 159, a późną nocą wzgórze 259.

Cała Artyleria Dywizyjna skutecznie wspierała wszystkie działania. 1. P. A. Plot zestrzelił 1 samolot niemiecki. Działaniem tym Dywizja wbiła się głębokim klinem (około 15 km) w ugrupowania niemieckie. W konsekwencji tego wszystkie oddziały Dywizji zmuszone były staczać ciężkie walki z oddziałami niemieckimi, które starały się wydostać z zamykających się kleszczy Wojsk Alianckich.

Dowódca Korpusu wyraził uznanie za dotychczasową b. szybką i celową akcję Dywizji.

18. VIII. W nocy z 17 na 18 sierpnia wyruszyła grupa bojowa w składzie 2. P. Panc., 8. B.S. i dyon ppanc., która w godzinach rannych osiągnęła rejon Les Champeaux, skąd po stoczeniu walk przesunęła się o 3 km na płd.

Wysłany z zadaniem przecięcia drogi odwrotu nieprzyjaciela, który wycofywał się z kotła w kier. płn.-wsch., 8.S.P. osiągnął wzgórze 258 (1 km płd.-zach. Les Champeaux), gdzie zorganizował się obronnie. Tym samym wpłynął na poprawę ciężkiego położenia 2. P. Panc. i 8. B.S. Wzgórze 259 przejął i obsadził 9. B.S. Tymczasem zgrupowanie 10. P. Drag. (10. P. Drag., 24. P. Uł., dyon

ppanc.), nacierając z północy, zdobywa rejon na płd. od Hordouseaux, zaś 1. P. Panc. wzgórze 137 (1 km zach. od Ecorches).

10. P.S.K. w godzinach rannych w b. ciężkich warunkach działał jednym szwadronem wzmocnionym dyonem ppanc. na Chambois i w godzinach popołudniowych doszedł do płn. skraju miejscowości, która była silnie broniona, oraz bombardowana przez własne lotnictwo.

W ciągu dnia wszystkie oddziały znajdowały się w nieustannej walce, a Artyleria Dywizyjna z przydzielonym 4. Bryt. P.A.C. prowadziła intensywny ogień na drogi, którymi nieprzyjaciel starał się wymykać z kotła, oraz wspierała posuwanie się własnych oddziałów.

19. VIII. Zgrupowanie 1. P. Panc. (1. P. Panc. i dwie kompanie B.S.P.) natarło na wzg. 262 (1 km płn. od Mont-Ormel) opanowało je tocząc następnie ciężkie walki o utrzymanie go. W tym czasie czołgi 1. P. Panc. zaskoczyły kolumnę nieprzyjaciela, wycofującą się w kier. płn. na szosie w rej. Mont-Ormel, niszcząc ją całkowicie.

10. P.S.K. wzmocniony dyonem ppanc. działał od rana w kierunku na Chambois i doszedł w godzinach popołudniowych na płn. skraj tej miejscowości współdziałając następnie ogniowo z natarciem zgrupowania 10. P. Drag. (10. P. Drag. i 24. P. Uł.) na miasto.

Zgrupowanie 10. P. Drag. po zajęciu wzg. 137 (1 km zach. od Ecorches) działało w kier. Chambois, zdobywając je natarciem o godz. 19.30.

Wkrótce potem zgrupowanie to nawiązało łączność z piech. amerykańską, która podeszła do Chambois od płd.

Grupa bojowa 2. P. Panc. i 8. B.S. obsadziła wieczorem część północną wzgórza 262 frontem na wsch. i płd. wsch.

W godzinach wieczornych 9. B.S. obsadził rejon Coudehard.

W dniu tym Dywizja staczając krwawe walki zamknęła ostatecznie t. zw. „Kocioł FALAISE", biorąc dużo jeńców.

20. VIII. Zgrupowanie 9.B.S. i 1. P. Panc. wyszło do natarcia dla opanowania wzgórza 262 (1 i pół km na płd. od Mont-Ormel). Natarcie jednak zostało zatrzymane i zgrupowanie dostało rozkaz zorganizowania obrony na miejscu.

W ciągu całego dnia Niemcy podejmowali rozpaczliwe, ale b. silnie zmontowane natarcia, by wydostać się z zamkniętego kotła Falaise. Zacięte walki piechoty wsparte grupami czołgów, ogniem artylerii i moździerzy wielolufowych prowadzone były z zachodu, od wewnątrz kotła, ce-

lem wydostania się na wschód, oraz ze wschodu celem otwarcia drogi otoczonym oddziałom. Własna artyleria, wraz z Kanadyjskim Pułkiem Artylerii Ciężkiej, ogniem o niespotykanym dotąd zużyciu amunicji (200 — 300 pocisków na działo w tym dniu), wstrzymywała i niszczyła przeciwuderzającego nieprzyjaciela. Obserwatorzy art. na wzgórzu Mont - Ormel strzelali nawet na cele leżące pomiędzy p.o., a stanowiskami. W tym dniu został wzięty do niewoli przez 10. P.S.K. dowódca niemieckiego korpusu.

Rozpoznanie pancerne nieprzyjaciela, które przejechało przez rejon dowództw Bryg. i A.D., wyszło na stanowiska ogniowe 2. P.A.M., gdzie zostało rozbite ogniem 2. P.A.M. i przydzielonej bat. plot.

21. VIII. Do południa trwały zacięte i krwawe walki. Dotkliwie dawał się odczuć brak amunicji, wody i żywności.

Duża śmiertelność rannych na skutek niemożliwości ewakuacji.

Dywizja przez ostatnie dni walk w rejonie Chambois walcząca osamotniona i odcięta od własnych źródeł zaopatrywania. Dopiero po południu oddziały kanadyjskie dotarły do wzgórza, a wieczorem dochodzić zaczęło zaopatrzenie do oddziałów Dywizji.

22. VIII. Walki na przedpolu ustały, własne patrole oczyszczały teren, biorąc duże ilości jeńców poddających się bez walki.

23. VIII. Dywizja przeszła, jako odwód 2. Korpusu Kanadyjskiego, do rejonu Grand Mesnil.

24 — 28. VIII. Dywizja na postoju w tymże rejonie.



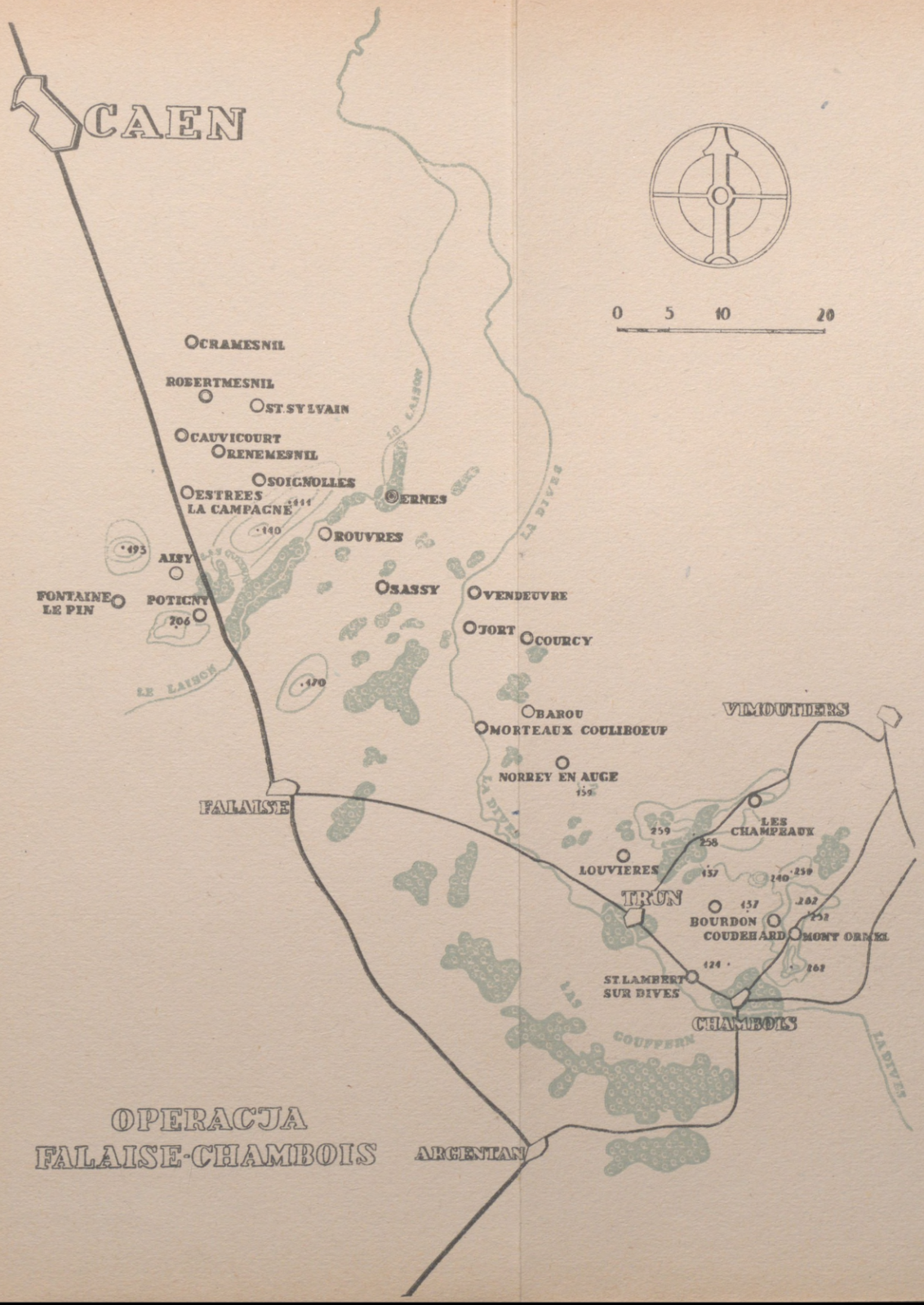
CAEN
0 5 10 20
CRAMESNIL
ROBERTMESNIL
ST SYLVAIN
CAUVICOURT
RENEMESNIL
SOIGNOLLES
ESTREES LA CAMPAGNE
ERNES
ROUVRES
AISY
FONTAINE LE PIN
POTIGNY
SASSY
VENDEUVRE
JORT
COURCY
BAROU
MORTEAUX COULIBOEUF
VIMOUTIERS
NORREY EN AUGE
FALAISE
LES CHAMPEAUX
LOUVIERES
TRUN
BOURDON
COUDEHARD
MONT ORMEL
ST LAMBERT SUR DIVES
CHAMBOIS
ARGENTAN
LA DIVES
LE LAISON
LA COUVERN
OPERACJA
FALAISE-CHAMBOIS

ARTYLERYJSKIE ROZPOZNANIE

POŁUDNIE.

Słońce praży niemiłosiernie wysuszoną i popękaną glebę, chciałoby z niej wyciągnąć resztki wilgoci. Rozgrzane powietrze faluje nerwowo nad łanami zbóż, które zwiesiły ciężkie, dojrzałe kłosy, daremnie oczekując żniwiarzy. Wszystko czeka w bezruchu, jakby zastraszone, że coś się zmieniło w ustalonym od wieków porządku na tej ziemi. Jakaś groza panuje w ciszy sierpniowego południa.

Huk rozrywających się granatów rozdziera nagle powietrze. Nowa seria niemieckich pocisków wżera się w dojrzały łan i wyrzuca spod niego grudy ziemi i kamieni zmieszane z odłamkami stali.

Jakby na dany sygnał odzywają się gdzieś za lasem nasze karabiny maszynowe i działa zamaskowane w zbożu i wśród krzaczków.

Z ukrytego w krzakach *half-tracka* wydobywają się głosy i piski. To „dziewiętnastki" tłumaczą na ludzki język to, co im przyniosły fale eteru:

Przygotować się do zmiany stanowiska.

Ożyły linie telefoniczne pułkowej rokady. Oczekujący na rozkazy telefoniści wołają do aparatów zastępców dowódców dyonów. Major wydaje rozkazy:

Otrzymałem rozkaz do zmiany stanowisk. Podaję nowy rejon: na południe od naszego miejsca postoju miejscowość Cauvicourt.

Spod krzaków, z wyrw w terenie i lejów po bombach lotniczych, wypełzają, jakby po odbytej drzemce, *Bedfordy* oficerów zwiadowych dyonów; huczą motory wygrzebujących się z dołów opancerzonych *half-tracków*, a przez pola śmigają *jeep'y*.

Patrząc na mapę, droga do nakazanego rejonu wydaje się bardzo prosta. Po ominięciu grupy domów należy skręcić w pierwszą drogę na prawo, która poprowadzi do drogi biegnącej od głównej szosy Caen — Falaise. Po przejechaniu około 3 km wjeżdża się na szosę drugiej klasy, biegnącą z zachodu na wschód.

Droga ta, wyraźnie oznaczona na mapie, jest zarośniętą, polną drożyną, którą niedawno musiały przejść czołgi.

Kolumna posuwa się śladami gąsienic. Szlak skręca w prawo i prowadzi na przełaj przez zboża i łąki, robiąc częste zakręty i serpentyny.

— Tu już trudno posługiwać się mapą, brak jest punktów zaczepienia;

teren płaski, a pokrycie jego jest niezupełnie oznaczone. Tu, jak na pustyni lub na morzu, trzeba się posługiwać kompasem. Wiadomo, że należy utrzymać ogólny kierunek na południe.

Dochodzimy do drugiej drogi, którą kolumna miała jechać początkowo. Drogą tą nie można jednak posuwać się na południe, gdyż zatarasował ją rozbity tabor niemiecki. Olbrzymie cielska taborowych koni leżą przy dyszlach w kompletnej uprzęży. Trupy ludzkie w szaro-niebieskich mundurach zasłały gęsto przydrożne rowy i kryją się pod szczątkami rozbitych wozów. Roje olbrzymich much unoszą się nad tą drogą śmierci. Czołgi zbierały tu obfite żniwo. Widocznie wyszły na skrzydło uciekającego taboru i zniszczyły go kompletnie.

Na horyzoncie w odległości około 2 km widać dość duże wzniesienie, a za nim wystającą wieżę kościelną. To Cauvicourt, a na stoku wzgórza — rejon nowych stanowisk.

Kolumna mija stanowiska artylerii kanadyjskiej i wychodzi na stratowane pole, na którym stoją *half-track'i*, wyciągnięte w kilka długich rzędów. Już można rozróżnić bitą drogę, biegnącą z zachodu na wschód, która tworzy północną granicę rejonu naszych stanowisk.

Widać wyraźnie numer na *half-track'u:* „54" z „wiewiórką" polskiej Dywizji. To 10. Pułk Dragonów. Szyby przysłonięte stalowymi okiennicami, boczne ściany podniesione, a spod płacht bud wystają hełmy dragonów.

Rozsiane w przodzie czołgi stoją nieruchomo. Mimo upału mają zamknięte wszystkie klapy.

Kolumna zatrzymuje się.

Byłoby bardzo nierozsądnie zagęszczać kolumnę dragonów i wtłaczać pomiędzy *half-tracki* i czołgi nie opancerzone wozy zwiadów.

Słychać świst nadlatujących pocisków moździerzy. Pociski rozrywają się przed *half-track'ami* i czołgami w rejonie przyszłych stanowisk. Niemcy strzelają z odległości nie większej, niż 2 do 2 i pół kilometra; a siła wybuchów wskazuje, że moździerze muszą być większego kalibru.

Podać po kolumnie: — oficer topograf na *jeep'ie* i oficerowie zwiadowczy na motocyklach do przodu.

Po kilku minutach zwiad jest w komplecie.

„Dyon pierwszy na prawo, między drogą a stanowiskami 1. Pułku Artylerii Motorowej, który stoi pod grzebietem. Dyon drugi zajmie stanowiska tuż przed nami; możliwie blisko drogi. Dyon trzeci bardziej na lewo, na wysokość pierwszego dyonu. Moje m. p. tu, na tej drodze".

Nowa seria pocisków z moździerzy. Są tym razem krótkie i padają gdzieś w przodzie, pokrywając nachylony ku szosie stok słupami dymu i kurzu.

Half-track'i dragonów nagle ożyły. Słychać warkot motorów. Ruszają *Shermany* pułku pancernego i w gęstych chmurach piachu, omijając łukiem wyniosłość, jadą w kierunku na Cauvicourt, a po chwili spływają poza wzgórza.

Wozy zwiadów, poprzedzane motocyklistami, rozjeżdżają się w różnych kierunkach. Różnobarwne chorągiewki znaczą nawiązania dyonów oraz miejsca, gdzie będą stały działa. Przy skrzyżowaniu szosy z polną drogą topografowie rozstawili swój *beacon*, pod którym zespół kątomierczy wykonuje pomiary. Zwiadowcy ukończyli już wstępne prace, zapamiętale kopią rowy i ustawiają stoliki, a kierowcy maskują wozy.

Od strony stanowisk Kanadyjczyków widać zbliżającą się kolumnę. To ciągnie linia ogniowa pułku. Motocykliści wyjeżdżają na ich spotkanie. Kolumna łamie się na człony i rozjeżdża szybko na przygotowane dla niej miejsca. Duży pośpiech. Każdy zdaje sobie sprawę, że jest to najbardziej czuły moment, gdy ludzie i sprzęt są odkryte i wystawione na każdy ogień.

Głosy z *half-track'u* znowu przyciągają uwagę:

„Halo Edward 9, podaje cel Maria 1. Współrzędne 547824, powtarzam . . .".

Dalsze słowa zagłusza silny wybuch. Grad kamieni i odłamków sypie się na budę i ściany wozu. Pękające gdzieś w pobliżu granaty potęgują hałas. Czuć zapach prochu i spalenizny. W ustach i oczach pełno piachu. Chwila przerwy i nadlatuje nowa seria. Tym razem strzały były nieco dłuższe i pociski padły w rejonie wozów dowództwa pułku.

„Halo Edward 9. Meldować gotowość na Maria 1".

Przynoszą żołnierza. Nie jest ranny, lecz widocznie pocisk musiał rozerwać się w pobliżu niego, gdyż jest zupełnie oszołomiony. Od strony wozów, zza drogi, słychać wołania: — Sanitariusz. Jest kilku rannych, wśród nich por. Morawski, który odniósł ciężką ranę brzucha.

Znów rozlega się głos w radio:

„Halo Barbara, Edward, Adam, Maria 1. Ognia, ognia, ognia . . ."

Huk salwy wstrząsnął *half-track'iem*.

Radośniej i żywiej biją serca, gdy słychać głosy własnych dział. Szybko po sobie następują wystrzały, zlewają się w nawałę. Działa znów przemówiły.

A tam za grzbietem wzgórza nacierają dragoni pewni, że Niemcy schowali głowy w głębokie rowy, kryjąc się przed odłamkami naszych 25-cio funtówek. Dragoni wiedzą dobrze, że dopóki będą strzelały „ich" działa mogą iść bezpiecznie.

Załogi przy działach dwoją się i troją.

„Halo Edward 9. Powtórzyć Maria 1 . . ."

2. Pułk Artylerii Motorowej.

SZARŻA NA WZGÓRZE III

PIERWSZY dzień „Operacji Falaise" mieliśmy już za sobą. Idąc tego dnia w drugim rzucie nie braliśmy, mimo poniesionych, niewielkich zresztą, strat, udziału w bezpośredniej walce. Jedynym więc naszym doświadczeniem, a raczej wrażeniem wojennym była, rozegrana na naszych oczach, ciężka walka 2. Pułku Pancernego z podstępną, twardą obroną, która w rezultacie zdołała zatrzymać natarcie rzutu czołowego 10. Brygady Pancernej.

W drugim dniu działań wysiłek całej Brygady, a więc i 1. Pułku Pancernego, tym razem jako czołowego na lewym skrzydle, miał pójść na tym samym ogólnym kierunku, po wschodniej stronie pamiętnej szosy, biegnącej z Caen wprost ku Falaise.

Około godziny 9.30 w dniu 9 sierpnia 1944 roku 1. Pułk Pancerny ruszył z zadaniem kolejnego zdobycia Cauvicourt, Renemesnil, Soignolles i wreszcie, dominującego nad okolicznym terenem, wzgórza 140.

Dobrze jeszcze przed południem czołowy 3. szwadron opanował Cauvicourt, skąd spod zniszczonego kościoła rozciągał się daleki już widok na nasze następne przedmioty natarcia. Wprost na południe, patrząc wzdłuż szosy mieliśmy wyraźną sylwetkę lasu Quesnay, nieco w lewo rysowało się również lasem porosłe wzgórze 140 i wreszcie całkiem już w lewo, w dolinie zieleniła się kępa drzew Renemesnil — za nią, niewidoczne narazie Soignolles. Odrazu też rzucało się w oczy, że ewentualny nieprzyjaciel , siedzący na wzgórzu 140, ma głęboki wgląd w nasze ugrupowanie i z oddali może śledzić nasze ruchy. A że nieprzyjaciel tam był i to mocno zorganizowany, przekonaliśmy się niebawem naocznie, bo szczegółowo przepatrując teren, dostrzegliśmy gdzieś hen, wśród żywopłotów, u stóp wzgórza 140, na odległości chyba ze 4000 yardów od nas, zaciętą walkę jakichś czołgów, a raczej już tylko tragiczny jej finał. Wydawało się nam, że płonące tam właśnie czołgi mają znajome sylwetki *Shermanów,* ale nie potrafiliśmy wytłómaczyć sobie ich obecności. Sąsiednia bowiem 4. Kanadyjska Dywizja Pancerna miała wprawdzie nacierać równocześnie, ale po prawej stronie szosy. Jak dowiedzieliśmy się później, był to lewoskrzydłowy pułk tej dywizji, który z nieznanych dla nas powodów znalazł się pod wzgórzem 140.

Tymczasem celny ogień artylerii i moździerzy nieprzyjacielskich, który przycichł w nocy i nad ranem, wzmagał się z każdą chwilą, potwierdzając namacalnie nasze przypuszczenia co do możliwości obserwacyjnych prze-

ciwnika. Zresztą czołgi nasze ułatwiały mu to, wznosząc przy każdym ruchu istne tumany kurzu.

Obserwując pilnie przedpole i prowadząc daleki ogień z dział, ruszyliśmy dalej, kierując się na Cauvicourt w lewo, wprost na Renemesnil. Około godziny 14.00 zostaliśmy zatrzymani zapowiedzią działania lotnictwa — rzeczywiście wkrótce ukazało się kilka czwórek *Typhoon'ów*, zwalczających jakieś niewidoczne dla nas, a znaczone czerwonymi dymami artylerii, cele. Ocierając się o prawy skraj Renemesnil, którego uchwycenie poszło zupełnie łatwo, 3. szwadron wysunął się na lekko zarysowany grzbiet 84. Po niedługim czasie dowódca pułku podciągnął pozostałe szwadrony na tę samą wysokość.

Zaczęliśmy pilnie obserwować zakrzaczenia i najbliższy, południowo wschodni skraj miejscowości Soignolles. Wszędzie panowała cisza, ale na dowód, że stoimy w obliczu nieprzyjaciela, dostrzegliśmy, w lewo od nas, palącego się *Cromwella*. Jednak na przedpolu nie widać było dosłownie nic. Zaczerwienione od pyłu oczy załóg, poprzez drgające upałem powietrze, daremnie szukały celu. Tak samo musiał śledzić nas nieprzyjaciel, choć niewątpliwie widział nas oddawna — czekał tylko na dogodniejszy moment, na nieostrożny ruch. I doczekał się, bo oto gdy po krótkiej chwili, niedającej wyników, obserwacji, szwadrony wysunęły pojedyńcze plutony nieco do przodu, jeden z czołgów 3. szwadronu zapalił się jasnym płomieniem, trafiony z zaczajonego gdzieś działa. Drugi czołg wyleciał na minie.

Z nad cichej pozornie wioski, z nad łanów, nieporuszanej najlżejszym nawet wiatrem pszenicy powiało ku nam jakąś grozą. Nic zgoła nie widząc, wyczuliśmy ukrytą gdzieś w terenie, zdradliwą, milczącą do ostatniej chwili obronę. Zaraz też wzmógł się ogień naszych dział, choć trzeba przyznać się szczerze, że wtedy nie potrafiliśmy stosować jeszcze w pełni terroru ogniowego i mimowoli oszczędzaliśmy amunicję, wstydząc się strzelać, gdy nie widziało się konkretnego celu.

Wytężone aż do bólu oczy załóg szukały ciągle. Przepatrywały domki, żywopłoty, krzaki, biegły aż ku horyzontowi, przemykały się po lesie, by wrócić w dolinę i znów błądzić po krzewach, żywopłotach, domkach... lecz wszędzie odkrywały tylko złowrogą ciszę.

Tymczasem celem rozpoznania obrony samego Soignolles wysłany został pod osłoną ognia rozwiniętych szwadronów, pluton rozpoznawczy, który dostarczoną niebawem wiadomość o silnej obronie południowo-zachodniego skraju miejscowości, okupić musiał stratami w sprzęcie i ludziach. Zginął wtedy dowódca plutonu por. Hertz Leon. Jednocześnie niemal, sprowokowany zapewne ruchem, czołg *PzKw IV* wysunął się z małego sadu i został zniszczony przez 1. szwadron.

W tych warunkach natarcie na Soignolles bez piechoty wydawało się niemożliwe, a z drugiej strony trudno było zaryzykować natarcie bezpośrednio na zalesione wzgórze 140, tak dla braku piechoty, jak i z uwagi na fakt defilowania wówczas bokiem do linii obrony nieprzyjacielskiej.

Toteż, gdy dowódca 2. szwadronu zwrócił się o zezwolenie ruszenia naprzód, dowódca pułku zdecydował: 2. szwadron jako czołowy i 1. szwadron, przy wsparciu 3. szwadronu uderzyć silnie między oba te przedmioty t.j. między Soignolles i wzgórze 140, w kierunku na wzgórze 111.

Była dokładnie godzina 20.30

Drugi szwadron już ruszył „dwa w przód" jak na mustrze. Z miejsca nabrał szybkości i na spokojną toń łanów pszenicy zarzucił rubinową, misternie wrzecionami eckaemów utkaną, śmiercionośną sieć pocisków. Zsunął się gładko po południowo-wschodnim stoku 84 i na chwilę zniknął z oczu, zapadając się w głębokim parowie — jedynie wytryskające ciągle, jakby spod ziemi, czerwone nitki świetlnej amunicji, znaczyły dalej jego drogę. Za 2. szwadronem ruszył dowódca pułku z pocztem, a w chwilę potem 1. szwadron. Równocześnie przed miejscowością Soignolles wykwitły białe obłoki dymów — to 3. szwadron, który pozostał na stanowiskach, dawał znak że czuwa, osłaniając nas od lewego skrzydła.

Narazie reakcja ze strony nieprzyjaciela była żadna. 2. szwadron mijał już Soignolles, zostawiając je po lewej stronie — w pewnym momencie wydawało się nam nawet, że trafiliśmy szczęśliwie na jakąś lukę w obronie niemieckiej. Lecz złudzenie nasze trwało krótko, bo wnet zobaczyliśmy, że spokojne napozór pola pszenicy porżnięte są stanowiskami piechoty, która, przerażona pełzała teraz jak w rozburzonym mrowisku, starając się uskoczyć przed gąsienicami czołgów. Zagrały karabiny dowódców, posypały się z czołgów granaty ręczne. W żywopłotach, które za miejscowością były jeszcze liczniejsze i skracały jeszcze bardziej i tak krótkie horyzonty, dostrzegliśmy, idealnie zamaskowane, działa ppanc. Działa te jednak milczały. Widać poprostu było, że nasz ruch zaskoczył Niemców kompletnie — obserwowali nas oni od kilku dobrych godzin, stojących jakby bezradnie na 84 i ponoszących straty, wydaje się, że nie mogli przewidzieć tak gwałtownego skoku i to tuż przed zmierzchem.

I tak szarża trwała dalej — jak dotąd bez strat. 2. szwadron dochodził już do wzgórza 111, a tym samym do grzbietu podłużnego wzgórza, którego najwyższym punktem było, widniejące z prawej i milczące ciągle wzgórze 140. U jego stóp czerniały złowieszczo spalone masy czołgów *Canadian Columbia Regiment,* rozbitego tam niemal całkowicie dzisiejszego rana. Niemcy zniszczyli tam wówczas ponad 50 czołgów — w jednym z nich poległ dowódca 4. Kanadyjskiej Brygady Pancernej.

Tymczasem w 1. szwadronie, wkrótce po wyruszeniu, lewoskrzydłowy pluton wjechał na pole minowe i stracił dwa czołgi. Idący za nim drugi pluton lewoskrzydłowy, starając się obejść miny, spóźnił się nieco w stosunku do całego szwadronu i znalazł się tuż przy miejscowości Soignolles zupełnie sam. Fakt ten, jak i niedawne wycofanie się plutonu rozpoznawczego spowodował, że kryjąca się po żywopłotach i wśród domków obrona, oprzytomniała i otworzyła flankowy ogień z dział, *bazook* i broni maszynowej. Cały ten pluton został kompletnie zniszczony, dzieląc los, ostygłych już po pożarze, stojących opodal, dwóch czołgów kanadyjskich, które wycofywały się widać tędy z pod wzgórza 140. Reszta szwadronu, nie wiedząc o stratach, bo nikt z plutonu nie zdążył podać co się stało, a całe lewe skrzydło tonęło niewidoczne w rozsnutym dymie, poszła dalej naprzód, wychodząc na grzbiet tuż za szwadronem czołowym.

Tam sytuacja była zgoła inna. Nic nie wstrzymało dotychczas ruchu czołgów, nic nie zmniejszyło nasilenia ognia, który nie pozwalał odetchnąć zdemoralizowanej obronie. Zniszczono czołg PzKw IV, rozjechano gąsienicami czołgów 5 dział ppanc. i zmasakrowano wielu Niemców. W regulaminie walki nazywa się to „rolowaniem pozycji npla".

W pewnym momencie, pełzająca dotychczas w zbożu i trawach, piechota zaczęła podnosić się z ziemi z rękami do góry. Z każdą chwilą było ich coraz więcej i więcej. Jedni rzucali broń, biegli w kierunku czołgów, inni skupiali się w nieruchome, przerażone grupki. Ogień rozgrzanych cekaemów i dział zaczął powoli milknąć, niektóre czołgi zatrzymały się zaskoczone i jakby bezradne wobec masy jeńców — nikt właściwie nie wiedział jak się zachować w tej nieprzewidzianej sytuacji. A na dodatek z prawego gdzieś skrzydła, z rozlicznych żywopłotów, zaczęły wyskakiwać jakieś nowe postacie, ale o innej, jakby znajomej sylwetce — już podbiegli bliżej i wreszcie poznaliśmy ich — to Kanadyjczycy, którzy od rannego natarcia byli bądź to w niewoli, bądź to, przyczajeni, ukrywali się gdzieś w terenie.

Pułk stanął na głównej pozycji obrony, a czołowe plutony zatrzymały się nad samym niemal wąwozem rzeki Laison, przebywając w ten sposób jednym skokiem 3 i pół kilometra od miejsca ruszenia do szarży.

Wobec głębokiego wdarcia się w pozycje nieprzyjacielskie i zapadającego zmierzchu o dalszym jakimś działaniu nie mogło być mowy, tymbardziej że zachowanie się jeńców stawało się coraz bardziej dwuznaczne. Gdy mianowicie zaczęliśmy spędzać ich w jedną wielką grupę celem odesłania do tyłu, część z nich poczęła się wymykać, rozbiegać i niknąć wśród krzaków, wsiąkając w coraz to gęstniejący mrok. Zaraz też, gdzieś z ukrycia, padać poczęły pojedyńcze strzały, powodując odrazu straty wśród wychylonych z czołgów żołnierzy. Brak własnej piechoty okazał się więcej niż oczywisty.

Powstało ogólne zamieszanie. Coraz więcej Niemców poczęło się wymykać. Załogi jakichś niewykrytych przez nas dział ochłonęły z wrażenia i wnet padły pierwsze, bezkarne właściwie, strzały przeciwpancerne.

Obezwładniona dotychczas i oszołomiona obrona przemówiła.

W jednej chwili zapaliły się dwa czołgi 2. szwadronu i zaraz niemal potem w ciągu kilkudziesięciu sekund zniszczono cały pluton 1. szwadronu.

W tych warunkach dowódca pułku uznał trzymanie zdobytego terenu za niemożliwe i, by uniknąć dalszych strat, nakazał szwadronom odwrót. Równocześnie wyprawiono z eskortą, zorganizowaną ze strzelców przednich i z części załóg spalonych czołgów, grupę jeńców 4 oficerów i 80 szeregowych. Od znajdującego się wśród nich majora ze sztabu korpusu uzyskano potem w Dywizji szereg cennych informacji.

Zabierając swych rannych oraz odbitych Kanadyjczyków i odgryzając się ogniem, czołgi poczęły się cofać. Pomimo zasłaniania się dymami nie uniknęliśmy jednak straty jeszcze dwu czołgów — w jednym z nich zginął zastępca dowódcy pułku mjr. Mieczysław Malinowski.

Wracaliśmy z ciężkim sercem. Mimo tak pięknego sukcesu, mimo tej niespotykanej w działaniach Dywzji szarży pułku pancernego, trzeba było ustąpić pola.

* * *

Pułk, uszczuplony poniesionymi stratami, zebrał się w myśl rozkazu dowódcy opodal południowo-wschodniego skraju Renemesnil o godz. 23.00. Tam, nie znając jeszcze dokładnie własnych strat, liczyliśmy nawzajem siebie i czołgi.

Straty były ciężkie:

Zabitych	4 oficerów	19 szeregowych
Rannych	4 oficerów	17 szeregowych
Czołgów zniszczonych		15
Czołgów uszkodzonych		7

W ciągu całej jeszcze niemal nocy napływali pojedyńczo Kanadyjczycy, których razem z przywiezionymi przez nas, zebrało się około 150, w tym dowódca batalionu.

* * *

Dopiero po 3 dniach ciężkich walk inne oddziały doszły do najbardziej wysuniętych, spalonych naszych czołgów. W pasie natarcia pułku o szerokości niecałego kilometra i głębokości ponad trzy kilometry znaleziono wówczas stanowiska 16 dział przeciwpancernych i 2 doły po wkopanych czołgach.

ADAM OSTROMĘCKI, por
1. Pułk Pancerny

O TYM JAK PODHALANIE ST. SYLVAIN ZDOBYWALI

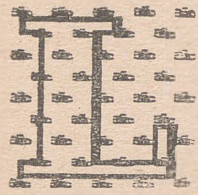

EGLI se juhasy wedle lasku na słonecku. Caluśką nockę nie spali bo świaby się kręcą a pukają z harmat.

Lezą a ckliwo sie robi na dusy od słonecka, za śpik co którego bierze, a świrki w tych francuskich laskach pachno kiej hań na Gubałówce.

Oj Jezusicku niebieski, kiej to jesce karwat drogi do Nowego Targu! — myślo a pogadujo.

A ten Stasek od Chochołowskiej peda, ze juz mu ckno za swoimi.

A ten Jasiek od Kondratowej peda, ze juz ma tej poniewierki po usy.

A ten Wojtek od Zakopanego pedo, ze to miastecko trochę w dole to maluśkie kiej połówecka Zakopanego.

A ten Franek, co chodził se z ceprami na Zawrat i na Rysy i strachu nie znoł, poklina ze tam teraz świaby chodzo a psujo.

Tak se pogadujo az sie słonecko przez połednie przewaliło a bockiem juz zajaśniało.

Az tu ten starsy baca, co to se siedział na samiuśkim pagórecku, fajecke se pykał a do słonecka se wygrzewoł, porusył se a coś do jednego pedział:

— Chybaj a niechaj mi tu zarosicki przyjdą wszyćcy bacowie. Wnetki sie stawili przed starym. A beło ich pięciu. Kozdy inny, hale chłopy kiej smreki a z gęby poćciwe. Stoją prościutko i cekają co to starsy baca pedzie.

A ten se wstał, piknie im sie pokłonił i peda:

— A wiecie to co wam rzekę? Posłuchajta! Widzita tę wioskę na dole? Taka samiuśka kiej nas Poronin, hale tu z francuska nazywo sie, zło krew trudno wygadać, jakiś tam Sant Sylwain. Hań są świaby, te beskurcyje co to nam caluśką nockę spać nie dały. Coby druga nocka cicha beła, to my tych świabów przepędzimy. Tu jest trochę z górki to lekciej będzie nam iść. A w samiuśkiej wiosce to nie zabawiajcie wieli cas, bo nocka idzie a spać sie kce. Tak pedział, usiadł se, fajeckę cięgiem pyka, kosturkiem po trawie la śpasu se bije, hale cosik cięgiem hań ku tej wiosce spoziera.

Przyseł jesce do niego ten drugi baca, ten od harmat. Wysoki, chudy a z ocu a i z gęby cosik tak kiej tyz z goroli. Cosik tam sobie pogadali, na wielgich papierach se pokazywali a cięgiem na te wioskę kosturkiem se pokazywali.

A ci mniejsi bacowie kiej wszyćko usłyseli to se az podskocyli kiejby w zbójnickim i wdyrdy do swoich juhasów.

Sum sie uczynił wielgi i ochota wielga do bicia.

Hale zaraz posli, bo do starsego bacy przyseł ksiądz, co to do podhalan przystał a sam to jest ze Śląska, i tam go farozyckiem zowią.

Przyseł se on i dalej lamencić bacę, coby wojsko pobratało sie z Ponembogiem kiej ma świabów prać.

— Dobra — peda baca — rób farozycku swoje — i dalej fajeckę pyka. Ksiądz młody se to cłek hale kiej to u nich na Śląsku mówią, pieruński, wyseł przede wszyćkich, założył na syję taką wstązkę kiej w kościele i zacął ode Krzyża Swiętego.

Rymnęło sie bractwo na kolana i dalej bić sie w piersi aze dudniało, a prosić Ponajezusicka i Najswiętsą Panieneckę o zlutowanie nad gzesnymi. A cicho sie zrobieło na swiecie kiejby w kościele na Podniesienie.

Pykoł se z fajecki starsy baca jesce raz, białawy dymek z gęby puścił, kosturek podniół do góry i peda do wszyćkich:

— Chybajcie z Ponembogiem chłopy!

Porwali sie ode ziemi i pognali.

Pognali kiej ten halniak, co to ode Rysów od ceskiej strony hań przez caluśkie Tatry przewala, a zaziera se do kazdziótkiej doliny az do Nowego Targu.

Pognali kiej ten wicher co gnie, a wykręca kazdą smerecynę, a niejedną do ziemi przywala.

Pognali kiej te drobniuśkie skałki co to osypują się w Suchym Żlebie a na Kondratową lecą lawiną gęsto a grubo kiejby dysc.

Pognali kiej ten snieg bieluśki, co to do wiosny pode Mnichem se leży a kiej słonecko przygrzeje urywa sie a leci hań do Morskiego.

Pognali z wesołością a z ochotą, a casem co który to se podskocy a podśpiwa.

A juz juhasy dopadli domów, a juz tylko ich portki błyskają między płotami, kiej świaby dosli do pamięci i dalej se prać z cego mają. Zrobieł sie wielgi huk i hałas, walą z harmat a z giwerów mocno a gęsto.

Rozeźliło to juhasów. Pognali jesce hybciej i juz są we wiosce. Biją świabów, tłuką, wywijają karabinami kiej toporkiem po głowach, po pyskach, po karkach. Az do krwi, az do zabicia.

Uwijają sie po domach, po ogrodach, sukają świabów a pardonu nie słuchają. A co który z juhasów dostanie a legnie se we krwi serdecnej, to jesce gorzej świabom, duzo musą juchy cerwonej zapłacić.

Już na świecie robieła sie mraka, bo słonecko już zasło, kiej wioska beła zdobyta.

Pozbierali sie juhasy do kupy, a licą cy wszyćcy są, a kiej którego bra-



Działa biły dzień i noc

Fot. Jabłoński



Na minutę . . .



Przed godziną H

kuje to pokiwają se z lutością głowami, a casem pojaśnieje serdecna łza w oku.

A tak kiej po halniaku cisa wielga nastaje a pognięte a pokręcone smreki prostują se swoje gałęzie, takoj i teraz nastała cisa a utrudzone juhasy prostują se umęcone nogi.

JERZY ZAGÓRSKI, kpt.
Baon Strzelców Podhalańskich

NATARCIE NA LAS QUESNAY

OD samego rana ruch ożywiony. Dowódcy plutonów i drużynowi biegają tu i tam. Coś wisi w powietrzu. Jedni czyszczą broń, drudzy uzupełniają amunicję, radioci „przegagadują" aparaty, wymieniają baterie...

Był dzień 14 sierpnia 1944 r. Słońce już dobrze dogrzewawało, gdy przyszedł drużynowy z odprawy. Uśmiechnięty, pełen humoru, zagadał do nas:

— Ale ciepło, co? — Nic, zaraz będzie jeszcze cieplej.

Wkrótce też nadleciały chmary samolotów. Czterosilnikowe bombowce solidnie wykonywały swą robotę, a nawet za solidnie... pod nami ziemia zdawała się rozrywać.

Przybiegł plutonowy Tartowski.

— Radioci! Walendzik z radiem biegnijcie do drugiej kompanii, nastrójcie się na ich częstotliwość. Druga drużyna i czwarta — plutonowy Karczmara: przygotować się do natarcia. O godz. 16.00 ruszamy. Naciera 2. kompania, drużyna moździerzy i drużyna ppanc. My jako wsparcie na karierach.

Chłopcy doglądają jeszcze granaty, *piaty*. Wszystko w porządku — gra.

Ppor. Patryn, dowódca plutonu karierów, wydaje ostatnie rozkazy i komenderuje:

— Na wozy, ruszamy!

Drużyny wyciągają się w szyku rozwiniętym razem z piechotą. Przed nami piękny łan srebrzystego zboża. O jakieś 600 m za zbożem — skraj lasu. Z lewej strony — tor kolejowy. Za torem, na wysokości lasu, budka dróżnika.

Powoli, krok za krokiem, posuwamy się naprzód. Strzelcy między karierami, wszystko w pogotowiu. Dla dodania otuchy pokrzykujemy jeden przez drugiego:

— Naprzód! Naprzód!

Śmit, jak zawsze wesół, woła:

— Deja! A daj pozór na *sniperów*. Jak będziesz grzał, to zaczynaj od wierzchołków i w dół.

Podjeżdżamy bliżej. Nikt nie strzela. Ani my, ani „oni". Wyczuwa się lekkie zdenerwowanie. Przecież wiemy dokładnie, że Niemcy są w lesie.

Podsuwamy się bliżej, prawie na odległość szturmową.

Śmit krzyczy:

— A, od góry grzejem!

Równocześnie 2. kompania wali na całego. Sypią się salwy ognia, granaty furczą nad głowami. Wybuchy mieszają się z nawoływaniem dowódców i żołnierzy. Moździerze niemieckie, ukryte za budką, huraganem ognia duszą nas do ziemi. Robi się bardzo ciepło...

Drużyna plut. Tartowskiego jest już spieszona. Część żołnierzy zajęła stanowiska na wale.

W tym czasie Śmit z Deją dopadają Niemców broniących się lekkim karabinem maszynowym i kładą ich pokotem. Śmit chwyta niemiecki l.k.m., lecz nie daje sobie z nim rady. Wyrywa mu go Deja i biegnie naprzód, na oślep, nie widzi, że zagalopował się za daleko, że wpadł już w pozycje niemieckie. Tam przyczajona śmierć zabrała go w swoje objęcia.

Plut. Tartowski przybiega do *carrier'a*. Niemieckie moździerze walą bez przerwy, pociski spadają na nas jak grad. Nie dają nam chwili wytchnienia. Jeden z nich pada o metr od *carrier'a* i zabija drużynowego. Niemcy walą na przemian kruszącymi i zapalającymi. Trafili w sam *carrier*. Por. Patryn poparzony zdążył jednak wyskoczyć. Dwaj inni wyskakują bez obrażeń. Natomiast czwarty członek załogi, Lewandowski, ciężko ranny odłamkiem, został. Spalił się.

2. kompania ma już dziesięciu zabitych i dwudziestu siedmiu rannych. Ranny dowódca kompanii por. Popek.

Słońce schodzi coraz niżej. *Spandau'y* przestają bić, moździerze powoli ucichają. Na zluzowanie 2. kompanii przybywa 4. kompania kpt. Jaworskiego, wsparta czterema działami sześcio-funtówek.

Około godz. 18.00 Niemcy ruszają do przeciwnatarcia. Sierż. Lubański, od ppanców, jest w swoim żywiole. Ma wielkie pole do popisu. Przeciwnatarcie załamuje się. Niedobitki uciekają w popłochu.

Nazajutrz patrole znalazły lasek opuszczony. Niemcy zostawili na stanowiskach 16 karabinów maszynowych, 8 ciężkich moździerzy i skład amunicji.

STANISŁAW WALENDZIK, St. Strz.
8. Baon Strzelców

PIERWSZE ZWYCIĘSTWO

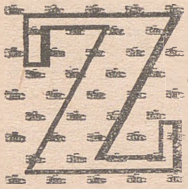

Za pagórkiem leżało Falaise. A dokoła nas — można rzec morze samochodów. Chyba więcej, niż było w Glasgowie, gdy Polacy grali ze Szkotami.

W namiocie niesposób wysiedzieć; słońce grzeje mocno, choć to dopiero jedenasta.

Na trawie siedzi Bolek z Jankiem i czytają list z Anglii. Niedawno jeszcze spotykali się z Doreen i Kath, wśród rozkwitających róż w parku Scarborough, a dziś, oddzieleni przestrzenią, z listu wyczytują wspomnienia owych dni. Kilka kroków od nich rozparła się wygodnie 40-tka, działo przeciwlotnicze — i jak cyklop, wylotem swej lufy patrzy w niebo błękitne i bezchmurne. Reszta obsługi leży przy dziale odpoczywając i odsypiając pracowitą noc. Szwabi znowu latali. Głupie to uczucie, gdy wokół noc rozjaśni się czerwonymi światłami rakiet, opadających wolniusieńko i oświetlających wszystko, jak na dłoni. Czerwone paciorki pocisków dział przeciwlotniczych lecą w górę i niebo, poprzecinane smugami świetlnymi, przypomina arkusz wzoru krawieckiego. Ponuro warczy niewidzialny w ciemnościach samolot, a od czasu do czasu, ze złośliwym świstem, spadnie bomba lub też ciemny granat nieba rozświetli się płomieniem trafionego samolotu.

Dziś rano goniec, objeżdżając działony z pocztą, przywiózł nowinki: jedna bateria zestrzeliła w nocy dwa samoloty, ale na działony posypały się „myszki" i jest kilku ranych. Wiadomość ta poruszyła działon „Maksa", a on sam, rzekł wolno:

I cóż, za darmo niczego bracie nie dostaniesz.

Pobliski lasek drzemie spokojnie, rzucając cień na rozbite działa niemieckie — 88-ki, przy wozach krzątają się kierowcy, dochodzi stamtąd szum kuchenki benzynowej, przy której uwija się spocony kucharz.

Zdawało się, że to miły *camping* a nie wojna. gdy zdala doleciał warkot samolotów. Wszyscy podnieśli głowy. Pierwszy „Maks" jak oparzony ryknął:

— *Focke - Wulffy !*

Obserwator Stach nie wiedział, kiedy się znalazł na platformie działa; zaledwie odbezpieczył, a już nieodłączni Paweł i Michał skierowali działo na cel. Samoloty sunęły w dwu rzutach, śmiało i nisko. Zbliżyły się nad lasek . . .

— Pal — komenderuje „Węgier".

W tym momencie dołączył się do nich sąsiad i zza lasku zagroził samolotom pierwszą serią. Jakby dmuchnął, rozleciały się one, obrzeżone czarnymi obłokami rozprysków. Ale „Węgier" był nieustępliwy. Na ramce *Stiffkey - Stick* trzymał jednego *Focke - Wulffa*, który uparcie pchał się w dolinę, gdzie stał wóz przy wozie. Ufał w swą szybkość i wpatrzony w cel, lekceważył pociski rozrywające się coraz bliżej niego. „Węgier" pomyślał:

— Jeśli teraz poleci dalej...

— Trafiony... — krzyknęli amunicyjni.

Focke - Wulff, świecą poszedł w górę. Zaryczał potężny silnik i równocześnie cienka smuga czarnego dymu wypłynęła spod płata. Zawrócił niemal w miejscu i pełnym gazem poszedł na południe. Starał się widać szybkością ugasić pożar, ale cios był śmiertelny. Przeleciał ponad wzgórzami i za którymś spadł czarną chmurą.

Od zgrupowania wozów dobiegło donośne: — Hurra.

To kierowcy uczcili dzielną obsługę *Bofors'a*.

JAN NATANEK, Por
1. Pułk Artylerii Przeciwlotniczej.

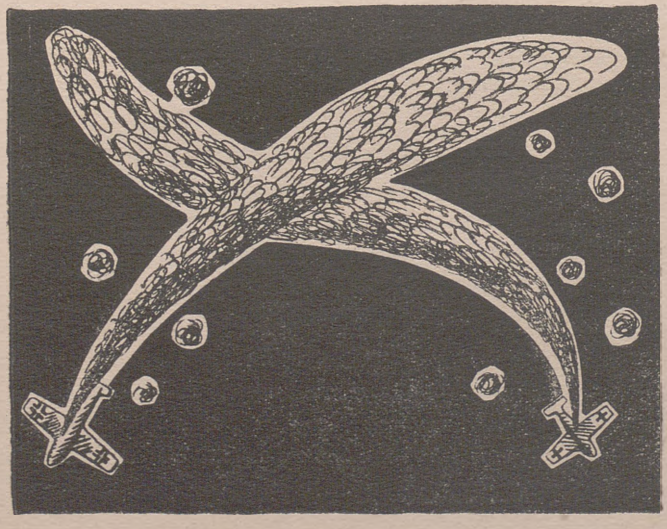

BITWA O PRZEPRAWĘ POD JORT

15 sierpnia 1944 roku.

Pięknie wschodzące słońce zapowiada wspaniałe Święto Żołnierza.

Około godziny 08.00 szwadrony ruszają na zadanie. Mamy rozpoznać przeprawy na rzece Dives, na północ i południe od miejscowości Jort. W razie możliwości — uchwycić je. Wraz z pułkiem idzie szwadron dragonów i dywizjon niszczycieli.

Potężnym uderzeniem pułk łamie opór nieprzyjaciela w laskach przed miejscowością; powstrzymuje natarcie niemieckich czołgów, które zaatakowały prawe skrzydło i dochodzi do toru kolejowego. Zaraz za torem jest już rejon docelowy — Jort i rzeka Dives.

Cały pułk rozpoczyna gwałtowną nawałę ogniową na tor i miejscowość Jort, po czym 1. szwadron podejmuje próbę sforsowania toru kolejowego i opanowania miejscowości. Akcje tę wspierają dodatkowo dwa pułki korpuśnej artylerii średniej.

Po wyjechaniu na tor szwadron dostaje silny ogień ze wzgórza na wschód od Jort i z samej miejscowości. Szczególnie silny jest ogień z dział przeciwpancernych. Dowódca szwadronu, nie mając chwilowo w dyspozycji piechoty, spiesza kilku ludzi z załóg, którzy pod dowództwem ppor. Zbigniewa Maksymowicza rozpoznają skraj miejscowości. Rozpoznanie wypada wspaniale. Bierzemy jeńców, wśród nich dwóch Rosjan.

Ich informacje są bardzo cenne. Wiemy już, że w miejscowości siedzi baon piechoty, że mosty są wysadzone i co najważniejsze, że na południe od Jort można znaleść przeprawę przez rzekę Dives.

Dowódca szwadronu, znany na sieci pod kryptonimem „Wasil" natychmiast podejmuje nowy plan działania:

— Halo Stefan cztery — jechać w prawo — wzdłuż toru — za miejscowością skręcić lekko w lewo w kierunku rzeki...

W tym samym czasie 3. szwadron otrzymuje rozkaz wejścia do miejscowości i zbadania możliwości przeprawienia się na drugą stronę rzeki. Przeszukując drogę ogniem z *bes*, szwadron kieruje się na wiadukt kolejowy. Przejeżdżamy pod nim z bijącym sercem. Obawiam się, że lada chwila wylecí w powietrze i, że olbrzymie zwały żelbetonu zwalą się na nasze czołgi. Szczęśliwie, czołg za czołgiem, przemyka się przez to nieprzyjemne miejsce i szwadron zatrzymuje się w przydrożnym sadzie. Niemcy niemiłosiernie strzelają z moździerzy.

W sadzie nie stoimy długo. Szwadron rusza w dwóch kierunkach na rozpoznanie przepraw. Skręcam z plutonem na drogę równoległą do toru. Z prawej mamy wysoki nasyp, z lewej ciągnie się sad. Dojeżdżamy do zabudowań, przy których biegnie droga w lewo. Wjeżdżamy na tę drogę. Musi ona prowadzić do rzeki. Wewnątrz mieszkań, przez otwarte okna, widać ślady niedawnego pobytu Niemców. Jeszcze przed chwilą musieli tu być i uciekli w panicznym pośpiechu. Widzimy nakryte stoły i na talerzach niezjedzone potrawy. Na wieszakach czapki niemieckie i części oporządzenia.

Starym zwyczajem strzelamy kolejno do wszystkich okien i kominów, skąd mogą do nas strzelać *sniperzy*. Wysuwamy się wolno za zakręt. Czołg-szperacz zatrzymuje się. W odległości 100 metrów widzimy most, który jest naszym celem. Obserwujemy go przez lornetkę. Z żalem stwierdzamy, że jest częściowo wysadzony.

Decydujemy się szukać przeprawy obok mostu. W prawo przeprawa byłaby możliwa, gdyby nie to, że na brzegu i na dnie przezroczystej wody widać rozrzucone miny. W lewo min nie ma, ale za to brzeg jest podmokły. Postanawiamy skierować się w lewo. Niemcy z przeciwnej strony, rozpoczynają strzelaninę w rejon mostu. Chowamy się głębiej do wież i granatami z dział ostrzeliwujemy zalesione wzgórza za rzeką. Po kilku minutach ogień niemiecki słabnie. Wówczas próbujemy jednym czołgiem przeprawić się przez rzekę. Wolno wjeżdżamy na płaski, trochę błotnisty brzeg. Rolki wgniatają się w błoto, przód czołgu wchodzi do rzeki, zanurza się w wodzie i grzęźnie. O kilka yardów w tyle stoi już drugi czołg plutonu, który spieszy mu z pomocą. Natychmiast zaczepiamy liny i w kilka minut wyciągamy z wody unieruchomiony czołg.

Straciliśmy ostatnią nadzieję przeprawienia się przez rzekę.

Tymczasem szwadrony dragonów wchodzą do miejscowości i rozpoczynają oczyszczanie jej z nieprzyjaciela. Niemcy bronią się zaciekle, a gdy pod silnym naporem zmuszeni są do wycofania się, wysadzają domy w powietrze lub palą. Rumowiska walą się na drogę, blokując dalszy marsz.

Równolegle z naszymi próbami przeprawienia się przez rzekę, 1. szwadron, jak chart pędzi na południe od Jort do brodu. Nie napotykając na silny opór, przedziera się przez sady i zarośla i zadyszany staje nad rzeką. Pierwszy wjeżdża do wody czołg wachmistrza Laskowskiego i sunie spokojnie w poprzek rzeki, niby potężny pancernik po morzu. Dives jest łaskawa i czołg przechodzi na drugą stronę. Za nim idą następne. Ale nie mają już szczęścia. Każdy z następnych *Cromwelli* włazi do rzeki i grzęźnie na jej środku. Wówczas przychodzi z pomocą czołg stojący po drugiej stronie. Wyrzuca liny i szybko przyciąga towarzysza. Jedynie tylko, jakimś cudem czy też sprytem, bez pomocy, przeprawił się czołg „Wasila".

Szwadron pierwszy wysuwa się do przodu, zajmuje stanowiska ogniowe na wzgórzu, opuszczonym przed chwilą przez Niemców i rozpoczyna ogień. Pomaga mu w tym część 2. szwadronu, który ubezpiecza prawe skrzydło pułku od ciągle kręcących się *Tygrysów*. 3. szwadron walczy w miejscowości, pomaga dragonom oczyszczać zabudowania i wspiera ich ogniem w przeprawie przez rzekę. Celem dania dragonom lepszego wsparcia, czwarty pluton podjeżdża ulicą do wysadzonego mostu. W tym momencie najdalej wysunięty do przodu czołg dowódcy plutonu zostaje trafiony kilkoma pociskami ppanc. i natychmiast staje w płomieniach.

Czterech z załogi wyskakuje, trzech jest ciężko poparzonych, wśród nich dowódca plutonu. Strzelec przedni, trafiony pociskiem ppanc. ginie wraz z własnym czołgiem w płomieniach.

Wraz z zachodzącym słońcem, wchodzi do Jort 1. Pułk Poncerny, którego część zdążyła już przeprawić się na drugą stronę rzeki, trochę na północ od Jort i nawiązał łączność z naszym 1. szwadronem. W tym czasie szwadron doznaje bolesnego ciosu. Ginie zastępca dowódcy, por. Jerzy Wasowski, trafiony bezpośrednio pociskiem ppanc.

1. szwadron pierwszy postanawia pozostać po drugiej stronie rzeki do rana. Reszta pułku, zluzowana przez *Shermany* 1. Pułku Pancernego, pod osłoną zmroku, przechodzi na postój nocny. Odchodzący ze stanowisk 3. szwadron zostaje ostrzelany silnym ogniem moździerzy, który rani kilku ludzi, w tym jednego dowódcę plutonu. Jest to trzeci z kolei dowódca plutonu w szwadronie ranny w ciągu dnia.

* * *

Bitwa o przeprawę pod Jort wiele kosztowała 10. Pułk Strzelców Konnych. Były ciężkie straty w ludziach i sprzęcie.

Gdy następnego dnia odwiedził pułk dowódca Dywizji gen Maczek wyraził się on o bitwie pod Jort tymi słowami:

— ... Rozegraliście wspaniałą bitwę. Nie zdajecie sobie jeszcze sprawy — coście zrobili.

Istotnie, wówczas jeszcze nie zdawaliśmy sobie dokładnie sprawy ze znaczenia tego zwycięstwa. Dziś jest ono dla nas jasne. Pułk po zdobyciu toru kolejowego, miejscowości Jort i po sforsowaniu rzeki Dives — otworzył Dywizji furtkę do nowego działania oskrzydlającego. Po bitwie tej Dywizja przeszła do pięknego manewru, który, po ciężkich walkach, przyniósł jej zwycięstwo pod Chambois.

ANTONI POŁOŻYŃSKI, por.
10. Pułk Strzelców Konnych.

KRYPTONIM „IGNACY"

PRZY żywopłocie, na tle olbrzymich cielsk *Shermanów* I. Pułku Pancernego, stały cztery małe *Stuart'y*, które wszyscy zwykli nazywać *Honey'ami*. Jeszcze tydzień temu było ich jedenaście i stanowiły dumę por. Hertza, który poległ przed czterema dniami.

Załogi krzątały się żywo i zmiatały z wież i silników fury piasku, którymi nas „zasypało" w czasie nalotu własnych bombowców. Podporucznik Wnęk medytował właśnie jak wyciągnąć swój czołg, który stał dość fantazyjnie nad olbrzymim lejem, opierając się tylko na jednej gąsienicy, kiedy podbiegł do niego goniec i krótko zameldował:

— O świcie ruszamy. Kryptonim „Ignacy".

Nie trzeba było żadnych pytań lub komentarzy. Meldunek był zupełnie jasny. Znaczyło to przygotować czołgi do akcji, a „Ignacy" był to znak wywoławczy, który dotyczył plutonu rozpoznawczego ppor. Wnęka.

Było jeszcze szaro, kiedy wartownik, nachylając się pod każdy czołg, wołał:

— Pobudka, pobudka, wstawać...

Ktoś stęknął, ktoś zaklął, jednak po upływie kilku minut już paliły się kuchenki i zwijano koce.

Herbata była szybko gotowa i załogi piły ją z pośpiechem, siedząc w czołgach.

Zadaniem pułku było: opanować przeprawy na rzece Dives w rejonie miejscowości Jort.

Wkrótce pułk wszedł do akcji. Karabiny maszynowe *Shermanów* prały długimi seriami, a gwałtowne drgania żelaznych pudeł świadczyły, że i działa nie próżnują.

Nie próżnowali także Niemcy. Ciągłe wybuchy między czołgami i bębnienie pocisków cekaemów o pancerz mówiły o tym dobitnie.

Sieć radiowa ożywiła się. Dał się słyszeć głos dowódcy pułku:

— Hallo „Ignacy", hallo „Ignacy", — wiadomość...

Podporucznik Wnęk zgłosił się natychmiast.

— Rozpoznać lasek i krzaki w lewo, ubezpieczyć Pułk od niespodzianek z tamtej strony — wydał rozkaz dowódca pułku, a znając gorący tempe-



Bombardowanie lotnicze

Fot. Jabłoński



Pelotka dobra i do obrony ppanc

Fot. M. Walentynowicz



Szukamy min i pułapek

Fot. M. Walentynowicz



Sanitariusze mają pełne ręce roboty

Fot. M. Walentynowicz

rament młodego podporucznika, dodał — tylko ostrożnie, nie zapuszczać się zbyt daleko.

Natychmiast po otrzymaniu rozkazu, zwinne, małe czołgi odłączyły się od ziejących ogniem *Shermanów* i wkrótce zniknęły za gęstymi krzakami.

Narazie nic nie było widać. Niemcy, przytłoczeni ogniem dział i cekaemów, nie kwapili się opuszczać bezpiecznych kryjówek. Ppor. Wnęk postanowił zbadać odległy o 100 metrów żywopłot.

W momencie, gdy już był u jego wylotu, usłyszał wołanie dowódcy pułku, który wzywał go do powrotu.

Na odpowiedź nie było czasu. W odległości 30 m z lewej strony stało niemieckie działo ppanc., którego zdumiona i przerażona załoga zaczęła gorączkowo skręcać lufę w stronę czołga. Podporucznik zdecydował się szybko.

— W lewo, naprzód — zawołał do mikrofonu.

Kierowca natychmiast skręcił czołgiem i nim zdążył się zorientować, już był w odległości kilku metrów od przerażonych Niemców i, prawie bezwiednie poruszając sterami, wjechał wprost na działo.

W tym czasie dowódca ujrzał drugie działo na tej samej wysokości. Strzelcy zaczęli prać w nie z cekaemów, a kierowca pełnym gazem parł naprzód. Przerażone oczy i twarz Niemców ukazały się im przed peryskopami, a w sekundę później czołg miażdżył drugie działo ppanc. i jego załogę.

Kierowca usłyszał jeszcze w słuchawkach:

— Naprzód !

Ale w tej chwili, ze wszystkich złączy poleciał snop iskier i czołg, trafiony śmiertelnie z innego działa, stanął w płomieniach. Kierowca pchnął klapę i w ciągu ułamka sekundy był na ziemi. Za nim wyskoczył drugi kierowca. Reszta załogi zginęła. Pocisk przeciwpancerny zmasakrował wnętrze wieży.

Dowódca pułku na próżno wołał jeszcze kilkanaście razy:

— Hallo „Ignacy", hallo „Ignacy", wracać natychmiast, zgłosić się, wiadomość...

Podporucznik Wnęk i strzelec Bieski pozostali na zawsze w czołgu, który stał na zmiażdżonym przez siebie dziale niemieckim.

WACŁAW BORKOWSKI, St. strz.
1. Pułk Pancerny

PATROL NA VICQUETTE

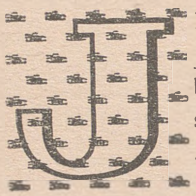

EST szaro, bo słońce nie zaszło jeszcze zza pagórków. Ale już można widzieć to, czego wczoraj w ciemnościach nie było widać, gdy Baon Podhalański, po spatrolowaniu miejscowości Jort, zatrzymał się na jej skraju, zajmując stanowiska obronne.

Ppor. Pietrawski ze swoim plutonem leży przy drodze, a w prawo i w lewo od drogi, po opłotkach, kryją się jego żołnierze. Oczy wszystkich skierowane są przed siebie tam, gdzie jeszcze nasi nie byli, a gdzie są Niemcy. Przed plutonem wije się droga w wykopie, obrośnięta po obu stronach żywopłotem. W odległości około 1 km zarysowują się pierwsze domki i ogrody małego osiedla Vicquette. Nie widać tam najmniejszego ruchu. Panuje zupełna cisza.

Ppor. Pietrawski długo patrzy na przedpole, starając się odgadnąć, jaką zagadkę może kryć w sobie cicha wioska, leżąca przed nim. Wreszcie pobiera decyzję. Woła kaprala i każe mu wraz z trzema żołnierzami pójść na patrol i zbadać czy w pierwszych domkach Vicquette są Niemcy.

Patrol odchodzi. Posuwa się bacznie, wolno, wykorzystując wkopanie drogi i zakrzaczenia. Przebył już dwie trzecie odległości dzielącej go od wioski, gdy nagle z lewej strony, ze skraju pierwszego ogrodu Vicquette, rozlega się seria karabinu maszynowego. Patrol pada. Po chwili znowu podrywa się do dalszego marszu. Nowa seria przygniata go znów do ziemi. Kilka razy jeszcze patrol próbuje się poderwać, by iść naprzód, ale ciągły ogień niemiecki uniemożliwia mu ruch.

Wszystko to dzieje się na oczach całego plutonu, który widzi i ocenia tragiczne położenie towarzyszy. Patrol musi być uratowany. Ppor. Pietrawski wydaje krótkie rozkazy. Ściąga pluton do drogi i posuwa się z nim aż do wzniesienia, skąd ogniem można przydusić Niemców do ziemi. Żołnierze idą szybko. Już są na miejscu. Tam podsuwają się na skraj pagórka i na rozkaz dowódcy zaczynają strzelać. Chwilę trwa gwałtowna wymiana ognia. Ppor. Pietrawski daje znak patrolowi aby wracał.

W tym momencie musiał się trochę podnieść. I gdy dawał znak ręką, padł nagle na wznak. W zapale walki mało kto to zauważył. Dopiero dowódca patrolu, który zbliżył się do niego po wycofaniu, zobaczył, że leży bezwładnie. Podbiegł i usłyszał ciche pytanie:

— Jesteście wszyscy?

— Tak jest panie poruczniku.

— To dobrze... doszły go już bardzo cicho, lecz jakby z wyraźną ulgą wymówione słowa. Łagodny uśmiech pozostał na zawsze na martwej twarzy.

A potem ppor. Pietrawskiego przeniesiono i pochowano na tym samym miejscu, gdzie leżał jeszcze o świcie patrząc na zagadkową Vicquette.

X. Y.

Baon Strzelców Podhalańskich

W KOTLE POD CHAMPEAUX

17 sierpnia 1944 r. 2. Pułk Pancerny znajdował się w akcji na wzgórzu 259, kiedy goniec z dowództwa 10. Brygady Pancernej przywiózł nowe zadanie:

— Z rozkazu najwyższego bacy alianckiego pułk wraz z 8. Baonem Strzelców i dyonem ppanc. ma iść na Chambois celem przecięcia drogi powrotu npla i połączenia się z Amerykanami.

Po osiągnięciu wzgórza dowódca pułku decyduje ruszyć na wykonanie nakazanego zadania.

Tymczasem robi się noc. W prawo i za nami — dymy i pożary palących się osiedli. Niektóre dogasają, inne, dopiero co wzniecione, strzelają ku niebu barwną fontanną rakiet wybuchającej amunicji, której było pełno prawie w każdej chałupie.

Dochodzi godzina 23.00. Jesteśmy szalenie zmęczeni, niemal że zupełnie wyczerpani. Przecież to dziesiąty dzień i dziesiąta noc nieprzerwanej pracy bojowej. Przez Caen, poprzez Cauvicourt i Jort, aż tu, w ciągłej walce...

Meldujemy stan paliwa i amunicji. Mamy zaledwie 50 procent amunicji, paliwa na 30 km. Zaopatrzenie ma nam dosłać 1. Pułk Pancerny, który również znajduje się gdzieś na 259.

Załogi przeglądają czołgi i walą się nieprzytomnie przy nich.

Odpocząć! Chociaż dwie godziny.

Pułk ma ruszyć o godz. 01.30 po północy. O godz. 01.00 ma przyjść amunicja i benzyna — nie przychodzi. Trudno. Dowódca pułku decyduje

się iść z tym co jest. Szukamy przewodnika, lecz wokół ani żywej duszy. Noc ciemna. Dowódca pułku studiuje jeszcze raz mapę, która wyraźnie nie zgadza się z terenem.

O godz. 01.00 odprawa dowódców. Wszyscy niezmiernie wyczerpani. Leżymy na trawie przykryci, świecimy latarkami, co chwila ktoś zasypia.

Dowódca pułku mówi:

— Mamy iść na Chambois, aby okrążyć Niemców od południa w rejonie miast Falaise — Trun. Aby dojść do Chambois trzeba przejść 12 km nocą, poprzez ugrupowanie npla, czyli mamy wbić się głęboko w jego pozycje i stanąć daleko na tyłach, przecinając drogi odwrotu. Będziemy unikali głównych dróg. Pójdziemy w kolumnie, ewentualnie na mój rozkaz zapalimy światła. Nie dać się rozerwać. Nie strzelać, aż sam wydam rozkaz. Stwarzać pozory, że jesteśmy kolumną niemiecką. Pouczyć wszystkich żołnierzy, aby wiedzieli po co, dokąd i jak idziemy. Piechota na czołgach. Czołowy 1. szwadron.

Rozchodzimy się do czołgów. Załogi, po krótkiej drzemce, już krzątają się przy sprzęcie, my znowu nie spaliśmy ani minuty.

Następuje krytyczny moment — ruszenie. Trudno zebrać piechotę i wsadzić ją na czołgi. Ludzie zasypiają w czołgach, czołgi staczają się z drogi do rowów, powstają zatory, silniki nie chcą zapalać, radia nawalają. Trzeba olbrzymiego wysiłku dowódców, aby to opanować. Wydaje się, że wszystko zło sprzysięgło się przeciw nam.

Po godzinnych zmaganiach kolumna rusza. I niemal w tej chwili niemieckie samoloty zrzucają *flary* nad naszymi głowami.

— Stój!

Po chwili ruszamy. Szczęśliwie nie spostrzegli nas. Kolumna wyciąga się szalenie wolno na wąziutkiej drożynie wąwozu. Po czterdziestu minutach wychodzimy na coś, co można by już od biedy nazwać drogą. Po obu stronach las. Ciemno, że na dwa kroki nic nie widać.

— Zapalić małe światła — pada rozkaz dowódcy pułku.

Za chwilę kolumna błyszczy małymi, kocimi oczyma z przodu i czerwonymi światłami z tyłu. Marsz staje się coraz płynniejszy. Tu i ówdzie ukazuje się maleńka gwiazda na niebie. Skuleni na czołgach piechurzy 8. Baonu Strzelców przybierają zwolna ludzkie kształty.

Dochodzimy wreszcie do głównej szosy na Trun. Gasimy światła. Czołowy 1. szwadron melduje nadchodzącą z kierunku zachodniego kolumnę wozów niemieckich.

— Przeciąć im drogę, nie dać się rozerwać, nie strzelać — pada rozkaz dowódcy.

Przeżywamy dreszcz szalonej emocji. Co teraz będzie? Uda się, czy nie?

Zaczyna się dziać coś nieprawdopodobnego. Czy nieświadomość, czy oszołomienie sprawiły, że Niemcy zatrzymują się karnie i przepuszczają naszą zwartą kolumnę. Stoi nawet jakiś żołnierz niemiecki i... reguluje ruch. Tam do diabła! Czary czy co? Przecież powinni rozpoznać *Shermany!* No i te wielkie, białe gwiazdy na czołgach.

Koniec kolumny melduje przekroczenie — wszyscy odetchnęli z ulgą.

Zatrzymujemy się na rozwidleniu, szukając właściwej drogi. Nadziewa się na nas jakiś oddziałek niemieckiej piechoty. Odzywa się jedna czy dwie serie z cekaemu. My nie odpowiadamy. Strzały milkną. Niemcy znikają (może zawstydzeni, że strzelali do swoich), my ruszamy dalej. Szukamy przewodników, lecz wszystkie chałupy puste. Łączność z Brygadą urywa się.

Zaczyna świtać. Od czoła nagle odzywają się k.m. i działa.

— Niemcy — melduje dowódca szwadronu czołowego. Kompania czy dwie, na ośmiu samochodach. Rozpoznali nas i zaatakowali granatami. Rozbiliśmy wszystkie samochody, palą się, kilku ludzi uciekło, reszta leży. Usuwam zator.

Jesteśmy na bardzo wąskiej drożynie: z lewej strony zbocze, z prawej w dole — sady i zabudowania. W sadach masa samochodów ciężarowych i osobowych. Niemcy w bieliźnie uciekają z domów. Nasi piechurzy dobierają się do nich. Mamy około 80 jeńców. Z prawej i trochę z tyłu słychać warkot czołgów. Wszyscy twierdzą, że to nasze *Cromwelle,* napewno szwadron 10. Pułku Strzelców Konnych. Robi się nam raźniej, nastrój coraz lepszy, miny zadowolone. Patrol z 2. szwadronu, który poszedł stwierdzić co to za czołgi, nie zdążył. Czołgi przejechały. Wrócili z wiadomością od ludności, że kilkanaście czołgów niemieckich przeszło w pobliżu nas. Oddzielała ich od nas rzeka i ogrody.

Zator usunięty. Ruszamy. 8. Baon Strzelców przetrząsa domy i ogrody, wyławia coraz więcej jeńców. Widoczne jest, że weszliśmy od tyłu w ugrupowanie jakiegoś dowództwa. Przynoszą nawet dwa mundury generalskie. Ich właściciele zwiali w krzaki. Pobieżnie przeglądnięte dokumenty świadczą, że rozbiliśmy sztab 2. Dywizji S.S. Wszystkie samochody i wozy konne, załadowane są naczyniami srebrnymi, ubraniami, futrami, damską bielizną, winem i żywnością.

Mamy wreszcie przewodnika. Miejscowość, którą zajęliśmy nazywa się Champeaux, odległa o 10 km na północny — wschód od Chambois — naszego celu. Jesteśmy na głębokich tyłach niemieckich. Pobieżny rzut oka w teren i coraz gęściejsza strzelanina ze wszystkich stron świadczą, że sytuacja wcale nie jest wesoła. Nasuwa się problem jak stąd wyjść. Właśnie 1. szwadron stanął, zatrzymany ogniem ppanc.

— Na drodze barykada broniona przez dwa działa 88 mm, z boku ogień k.m., z lewej — strome zbocze, z prawej — urwisko; zejść z drogi nie mogę, przewodnik ranny — melduje 1. szwadron.

Prawie cała kolumna jest pod ogniem broni maszynowej. Żołnierze 8. Baonu Strzelców mają już pełne ręce roboty, ale i duże straty. Wspinają się na zbocze, aby zlikwidować Niemców rzucających granaty. Czołgi prowadzą ogień w prawo, do leżących w ogrodach Niemców. Coraz więcej mamy rannych piechurów, których znoszą do czołgów. Coraz więcej jeńców. Coraz silniejszy ogień niemiecki. Nasi ranni leżą przy czołgach razem z jeńcami. Dosłownie jedni w ramionach drugich i tak razem giną pod morderczym ogniem.

Ale oto nowa fala Niemców nadciąga z prawej, wprost na 2. szwadron. Szwadron posiada możliwości rozwinięcia się dla dwóch plutonów. Podpuszcza bliżej Niemców i nagle rusza na rozwiniętą już kompanię, rozpoczynając huraganowy ogień w ruchu. Ogień ten odnosi gwałtowny skutek. Niemców ogarnia panika. Zrywają się z ziemi i oszołomieni latają dokoła jak obłąkani. Ściągają z siebie mundury, rzucają broń, krzyczą. Giną niemal wszyscy od ognia lub pod gąsienicami czołgów.

Jednocześnie 1. szwadron „uspokoił" niemieckie działa ppanc. i otworzył sobie drogę przez barykadę. Ruszamy. Plutony 2. szwadronu wchodzą w kolumnę. Ogon kolumny (3. szwadron) melduje natarcie piechoty niemieckiej z granatami i *Panzerfaustami*. Szarża piechoty na czołgi! Idzie wściekły ogień niemieckich *Schmeisserów*. Przyjął ich celny ogień 3. szwadronu.

Zaczyna być sucho w gardle. Jakże się strasznie chce pić. Nogi palą.

Czoło kolumny znowu staje.

— Przede mną, na skrzyżowaniu, działa ppanc. i piechota, nie mogę rozwinąć się — melduje 1. szwadron.

—Jednocześnie ogień ppanc. i k.m. po kolumnie z prawej — szczęśliwie nie celny. Jesteśmy pod silnym ogniem. Nam nie szkodzi, ale biedna piechota...

— Za wszelką cenę naprzód — woła dowódca pułku.

— Nie mogę się na razie ruszyć, zwalczam działa ogniem — brzmi odpowiedź 1. szwadronu.

— Dowódca szwadronu na czoło i szarżować kolumną, jeśli inaczej nie można — rozkazuje dowódca pułku.

Jasne jest szaleństwo tego rozkazu, ale nie ma innego wyjścia. Nie może być mowy o odwrocie; rozwinąć się nie można. Warunki prowadzenia walki ogniowej, stojąc w kolumnie — bardzo słabe. I. szwadron melduje uszkodzenie czołowego czołga, nie można go wyminąć, usuwając go z drogi. Wzmaga się ogień niemiecki.

Wtem, w górze, szum samolotów. Ktoś krzyczy:

— *Messerschmidty!*

Nie, to nasze *Thunderbolty*. Jest ich ze 20. Zataczają nad nami koło, cały pułk wyrzuca dymy rozpoznawcze, wykładamy również żółte płachty. Wszystko na próżno. Pierwszy samolot opuszcza się w dół, rąbie w nas dwie stukilówki i pociąga z k.m. Dwa czarne, olbrzymie słupy ziemi wybuchają gwałtownie ku górze i wolno opadają w dół. Walą w nas następne samoloty — wszystkie dwadzieścia, walą metodycznie, spokojnie. Ziemia wywraca się i burzy. Myślę, że to już na pewno koniec.

Anteny postrzelane, brak łączności z Brygadą, na ziemi piekło.

Zagryzamy zęby i czekamy. Trwamy w beznadziejności. Grozimy samolotom pięściami — cóż innego możemy robić. Ktoś nerwowo nie wytrzymał i otworzył ogień z k.m. plot. Nonsens.

— Wyrzucić więcej dymów — woła ktoś.

I to nie pomaga. Bomby padają po obydwu stronach czołgów i na drogę między czołgi. Odłamki świszczą, kamienie z ziemi walą się do wież, na czołgi, mamy kilku rannych. Cud, że żaden czołg nie jest bezpośrednio trafiony. Gorzej z piechotą. Zdziesiątkowana chroni się w lejach i pod czołgami. Nasi strzelcy i jeńcy niemieccy leżą przytuleni do siebie, widok komiczny i tragiczny jednocześnie. Nie wiem jak to długo trwało, godzinę, czy też tylko minuty.

— Jezus, Maria! Idzie nowa fala.

Patrzymy z uczuciem prawdziwej bezsilności. Powtarza się wszystko dokładnie. Kilku czołgami silnie wstrząsnęło, inne mają porozbijane zawieszenia wszystkie dobrze przysypane są ziemią, ale żaden nie jest trafiony bezpośrednio.

Sytuacja naprawdę nie do pozazdroszczenia. Z przodu uszkodzony czołg, barykadujący wąską drogę w jarze, zamkniętym dodatkowo przez działa ppanc. — punkt oporu Niemców. Z boków — stromy stok, przepaść no i silny ogień npla. Z góry bomby własnych samolotów. Do tyłu ruszyć też nie można, bo jak wykręcić całą kolumnę.

Z takiej sytuacji tylko cud może uratować. I zdarzają się chyba cuda, bo wyszliśmy cało z tej matni: 1. szwadron usunął uszkodzony czołg i za dowódcą szwadronu zaszarżował w kolumnie na działa ppanc. Rozjechał je, powybijał załogi dział, podpalił jeszcze wozy z amunicją.

Trzecia fala samolotów szykowała się już do bombardowania, jednak w ostatniej chwili rozpoznali nas. Czołowy samolot, zamiast rzucić bombę, poderwał się do góry, za nim zrobiły to samo inne. Polatały nad nami bardzo nisko jeszcze kilka minut i odleciały, na pewno zawstydzone za swoich towarzyszy i zaciekawione skąd wzięliśmy się i co robimy na tyłach niemieckich.

Ruszyliśmy. Po przejechaniu około 400 m bierzemy skręt w prawo i pełnym gazem walimy szosą na Trun. Gdy koniec kolumny zameldował przejście zakrętu, wszyscy odetchnęli z ulgą.

Piekielna wieś wreszcie za nami. Po przejechaniu kilku kilometrów stajemy, aby się pozbierać i uporządkować do dalszej walki.

STANISŁAW KOSZUTSKI, Ppłk. dypl.
2. Pułk Pancerny.

PRZEWAGA LOTNICZA



Z „Dziennika Żołnierza 1. Dyw. Panc."



Nowe pozdrowienie hitlerowskie



Ich pierwsze zdobycze :



Pantera

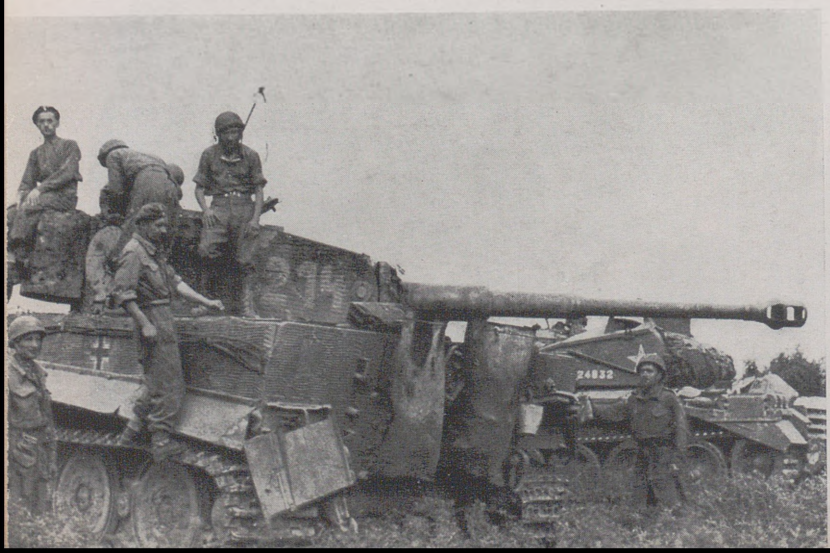

i Tygrys

SZTAB WALCZY

DNIA 19 sierpnia 1944 zamknięcie słynnego worka pod Falaise zostało już praktycznie dokonane. Dowództwo naszej 10. Brygady Pancernej znajdowało się w tym dniu na wzgórzu w odległości około 20 km na wschód od Falaise, a około 7 — od linii walki oddziałów. W godzinach południowych dowódca Brygady zdecydował przesunąć rzut taktyczny Kwatery Głównej do przodu, w dolinę pomiędzy dwoma zgrupowaniami Brygady.

Wynalazłszy na mapie jakąś farmę w zakreślonym rejonie, ruszyliśmy naszymi czołgami w skwarne popołudnie i, maszerując po pełnych kurzu dróżkach normandzkich, dobrnęliśmy bez przeszkód do celu.

Nowe nasze miejsce postoju, odległe o 5 — 6 km na południe od poprzednio zajmowanego, mieściło się w sadzie owocowym, przylegającym do zabudowań farmy.

Zanim roztasowaliśmy się jako tako, umieszczając przemyślnie czołgi dowodzenia wewnątrz rozsuniętych sągów drzewa, a pozostały sprzęt pod jabłoniami, zapadł już zmrok sierpniowy, utrudniający dokładne zapoznanie się z przedpolem.

Znajdowaliśmy się w tych dniach poniekąd w przysłowiowym położeniu kozaka i tatarzyna, bowiem rozbite oddziały niemieckie, usiłując wymknąć się z zaciskających je kleszczy — znajdowały się dosłownie pomiędzy nami i niejednokrotnie zagrażały naszym elementom tyłowym, przedzierając się rozpaczliwie poprzez lasy ku wschodowi.

Ściągnęliśmy tedy na wzmocnienie własnego plutonu ochrony sztabu nieco bezrobotnych chwilowo saperów, oraz dwa plutony *Destroyer'ów* i, otoczywszy się pięknym półksiężycem ubezpieczenia od południa, w spokoju ducha prowadziliśmy dalszą walkę dermatografem na cellofanie.

Noc, znakomicie skrócona dyżurami przy radio, minęła bez przygód i nic nie mąciło spokoju pogodnego poranka letniego.

Ze słuchawkami na uszach kończyłem właśnie śniadanie, gdy nagle usłyszałem strzały karabinowe i o 100 metrów przed sobą zobaczyłem niemiecki samochód opancerzony, solidnie wyładowany t.zw. „enplem", który to „enpel" zgoła nietaktownie rąbał w naszym kierunku ze swych *Spandau'ów* i innych *Mauserów*.

Jakim cudem ten zbłąkany wóz zdołał w biały dzień niespostrzeżenie przemknąć się poprzez czuwające *Destroyery* i placówki saperskie — pozostanie na zawsze tajemnicą. Odpowiedzialność za to ponoszą niewątpliwie w dużej mierze liczne żywopłoty, niemal uniemożliwiające obserwację.

Czołgi ochrony sztabu, zbyt późno zaalarmowane sapersko-niemiecką wymianą strzałów, nie zdołały również przyjąć należycie intruza, który starał się konkurować w szybkości z „Latającym Szkotem".

* * *

Wyszarpnąwszy pistolet z futerału, cofnąłem się za czołg, zdecydowany, gdyby zaszła tego potrzeba... cofnąć się jeszcze głębiej. Przeszkodził mi w tym zamiarze stojący obok dowódca Brygady, który wprost przeciwnie, choć również wydobywszy pistolet, ruszył do przodu.

Z determinacją w duszy i sztucznym uśmiechem na twarzy pomaszerowałem za nim.

Sam jeden — rozbić na oczach dowódcy Brygady samochód niemiecki i wziąć do niewoli załogę — byłaby to niezgorsza okazja do zdobycia „sławy i krzyża"! Niestety (lub na szczęście) mój projekt bohaterskiej interwencji nie okazał się potrzebny, gdyż, prawdopodobnie na mój widok, samochód zwiększył jeszcze szybkość i zniknął za załamaniem żywopłotu. W sadzie leżało na ziemi kilku naszych żołnierzy rannych i jeden zabity.

* * *

Co do mnie uważałem incydent za skończony, innego jednak zdania był krewki zastępca dowódcy brygady.

Widząc zupełną bezskuteczność strzałów naszego ubezpieczenia — skoczył do czołga i, zgoła po kawaleryjsku, „runął za uchodzącym wrogiem" Usłyszeliśmy jeszcze kilka strzałów — po czym zapanował spokój.

Po chwili ukazał się wracający czołg. Zastępca dowódcy Brygady, stojąc w wieży, przecierał z flegmą monokl, a na klapach silnika czerwieniła się skrwawiona bryła — ranny żołnierzy niemiecki. Jak dowiedzieliśmy się wkrótce, reszta załogi samochodu i sam wóz przestały istnieć.

Jak już na początku wspomniałem, istniała w tym czasie przedziwna mieszanina oddziałów własnych i nieprzyjacielskich.

Jeżeli, według wyrażenia Monty'ego, Dywizja nasza była wówczas korkiem od butelki — to w tej butelce burzył się i pienił bez przerwy jakiś normandzki *cidre* z międzynarodowych jabłek.

Sam fakt pojawienia się wśród nas niemieckiego wozu, nie był więc właściwie zjawiskiem nadprzyrodzonym, stanowił natomiast dowód, że nie zawsze ci, którzy czasem starają się koniecznie dostać z oddziałów liniowych do sztabów — czynią roztropnie.

UWAGA

O ile ustęp zawarty między gwiazdkami robiłby zbyt frywolne wrażenie — można go zastąpić poniższą wersją:

Zanim zdążyliśmy wyszarpnąć pistolety z futerałów — Niemcy mijali już nas, ostrzeliwując się na wszystkie strony i rzucając granatami. Kilku z naszych żołnierzy leżało na ziemi we krwi, jeden — padł zabity.

Strzelanina nasza, mocno spóźniona i dorywcza, miała tylko znaczenie symboliczne: kule pistoletowe nie mogły już dosięgnąć samochodu, który znikał za załamaniem żywopłotu.

JANUSZ POPIEL, kpt.
Kwatera Główna 10. B. K. P.

NIEUDANE RENDEZ-VOUS Z AMERYKANAMI

PRZED samą miejscowością Moutiers-en-Auge dogania mnie dowódca pułku i przeskoczywszy na mego *Niszczyciela* woła:

— Opór niemiecki załamuje się na całym froncie, idziesz z dywizjonem ppanc. do 2. Pułku Pancernego, który już jest w marszu — o tam, widzisz?

Wskazał ręką sady za wioską.

— Śpiesz się! Dokładnie nie wiem, ale zdaje się, że idą na Chambois.

Wprawdzie nic nie widzę, ale magiczne słowo „Chambois" wystarcza. Ruszam, by dogonić pancerniaków. W Moutiers-en-Auge zator, wykorzystują go napotkani po raz pierwszy mieszkańcy, by wdrapać się na czołgi i poić załogi *cidrem* i *calvadosem*.

Za wsią doganiamy 2. Pułk Pancerny. Gdzie spojrzeć — wszystko idzie naprzód. Lawina czołgów, *carrier'ów*, dział. Od nowego „bacy" dowiaduję się, że noc spędzimy na wzgórzu 259, skąd o świcie, wraz z 8. Baonem Strzelców, pójdziemy w ogólnym kierunku na Chambois. Na wzgórze wdrapujemy się po stromych zboczach, co było ciężką próbą dla kierowców. Na wzgórzu ciasnota niebywała: *carrier'y*, *jeep'y*, czołgi *Niszczyciele* — wszystko stłoczone razem. Załogi, przemęczone walką i marszem, śpią. Nikt nie szuka miejsca na nocleg. Śpi się tam, gdzie się trafi.

Budzą mnie głosy przygotowujących się do marszu piechurów i naszych załóg. Zbieram się powoli, gdy przybiega *rearlink*, ppor. Supronowicz, z nową wiadomością.

— Zmiana zadania. Wraz z 3. szwadronem 10. Pułku Strzelców Konnych idziemy wprost na Chambois, gdzie około godz. 16.00 mamy się spotkać z nadciągającymi od południa Amerykanami.

Szwadron strzelców jest na naszym wzgórzu. Razem schodzimy na łąkę, by przygotować się do marszu. O godz. 11.00 ruszamy.

Idąc, unikamy głównych dróg, by nie wplątać się w niepotrzebną walkę. Teren jest urozmaicony, o bardzo krótkich horyzontach. Skaczemy z jednego sadu do drugiego, poprzez łączki poprzerzynane rowami i rzeczkami. Na szczęście rzeczki nie są groźne i tylko raz jedna z nich bardziej przekorna, pełne rozbitego sprzętu niemieckiego, zabitych ludzi i koni — to robota naszego lotnictwa.

Przed nami rozciąga się już dolina rzeki Dives i, tonące w zieleni sadów, Chambois.

Około godz. 12.30 drugi pluton zaskakuje *Panterę* w chwili, gdy pobierała paliwo z lory stojącej przy niej, oraz piechotę, w sile około jednej kompanii. Celny strzał ppanc. plut. Szyszki kończy pobieranie paliwa, zapalając czołg i lorę. Piechota rzuca się do ucieczki, ponosząc straty od ognia naszej broni maszynowej i *Cromwelli* strzelców konnych. Niemcy, kompletnie zaskoczeni obecnością 30 czołgów tak daleko na ich tyłach, nie stawiają oporu. Pali się również samochód — kuchnia i pobliska chałupa, z której wyskakują Niemcy w dość niekompletnych strojach. Wykorzystując zasłonę szybko znikają w krzakach.

Idziemy dalej. Czoło kolumny przeskakuje przez szosę. Dostaję przez *rearlink* wiadomość, że wzdłuż szosy strzela niemiecka armata ppanc. Podaję ostrzeżenie do plutonów; 3. pluton kładzie ogień, by osłonić moment naszego przeskoku. Tym razem znowu szczęście jest po naszej stronie. Pocisk ppanc. przeznaczony dla mojego *Niszczyciela,* uszkadza tylko rolkę i gąsienicę. *Niszczyciel* stacza się za zasłonę, gdzie naprawiamy uszkodzenie przez zmianę łącznika.

Na związanie się walką nie ma czasu. Szpica szwadronu strzelców konnych jest już na wzgórzu 113 (1 km na północ od Chambois). Na tym wzgórzu dowódca szwadronu decyduje czekać na Amerykanów, ubezpieczając się ze wszystkich stron.

Jest godzina 15.30. Przed nami rozgrywa się wspaniałe widowisko: dziesiątki dywizjonów myśliwskich „wymiatają" zaciskającą się gardziel worka normandzkiego. *Typhoon'y, Thunderbolt'y, Mustang'i, Spitfire'y, Lightning'i* latają tuż nad nami. Żółte płachty i dymy idą w ruch.

Nadchodzi godz. 16.00, a Amerykanów ani śladu. Każda smuga kurzu wprawia nas w podniecenie. Na próżno! Widzimy wałęsające się wozy i czołgi niemieckie na różnych odległościach, nie bliżej jednak niż 2500

yardów. Myśliwce polują na nie zupełnie bezkarnie i wiele wozów zapala się na naszych oczach.

Nie chcąc pozostać w tyle, zaczynamy również strzelać. Uciekające wozy przypominają do złudzenia zające w kotle. Po kilku strzałach mamy kilka trafnych — dwie lory rolują do rowu. W międzyczasie trzeci pluton melduje, że piechota niemiecka zaczyna podchodzić do ich stanowiska. Przesuwam tam *carrier'y*, które pod dowództwem kpr. Sadły, organizują kilka zasadzek i po chwili mają już jeńców.

Czas ucieka szybko i zbliża się wieczór. Amerykanów nie ma. Dowódca szwadronu strzelców porozumiewa się bezpośrednio z Dywizją i decyduje się przejść na postój nocny około 5 km do tyłu. Schodzimy ze wzgórza rozczarowani, że zadanie nasze nie zostało wykonane. Wykonanie jego nie leżało jednak w naszej mocy.

JÓZEF ORPISZEWSKI, rtm.
1. Pułk Artylerii Przeciwpancernej.

"PRZEWIEŹĆ PIECHOTĘ NA STANOWISKA„

19 sierpień 1944 roku.

Godzina 14.30. Motocyklista wręcza rozkaz: przewieźć piechotę na stanowiska.

Sierżant S., p. o. dowódcy 5 plutonu przewozowego Dywizyjnej Kompanii Zaopatrzenia, na czele 13 *troop-carrier'ów*, czterech motocyklistów i 30 szeregowych wyrusza w drogę. Droga ciężka. Co chwila zniszczone pojazdy utrudniają przemarsz. Teren jeszcze nie oczyszczony z nieprzyjaciela, droga daleka.

Zapada zmrok, gdy pluton dociera do wzgórza 240. Sytuacja niepewna. Dowódca decyduje podciągnąć pluton bliżej stanowisk własnej piechoty, do wzgórza 262, a następnie ustawia wozy pod krzakami i wzdłuż drogi. Ubezpieczenie zajmuje posterunki, reszta kładzie się do snu.

Noc przechodzi spokojnie.

Świt 20 sierpnia.

Alarm!

Patrol nieprzyjacielski przywitany ogniem ubezpieczenia, wycofuje się, lecz pluton zaalarmowany, czuwa. Po dwudziestu minutach natarcie: czołg

Tygrys, za nim piechota na opancerzonym wozie. Czołg przywitany ogniem, ustawionego w zaroślach działka ppanc., zapala się. Załoga wyskakuje i częściowo zostaje wybita, częściowo wzięta do niewoli przez obsługę działka. Piechota nieprzyjacielska — pluton szturmowy S.S. — rozwija się do natarcia na kierunek naszego plutonu przewozowego. Pluton broni się ogniem r.k.m., *stenów* i k.b. Większość Niemców pada, część dostaje się do niewoli. Reszta wycofuje się. Są i straty własne: jeden zabity i jeden ranny.

Niemcy nie dają za wygraną i przeprowadzają nową akcję z kierunku północnego. Pluton broni się do godz. 13.00, następnie wycofuje się do lasku, a jego stanowiska zajmują własne oddziały liniowe — piechota i czołgi. Nieprzyjaciel coraz silniej naciska, wprowadzając do akcji artylerię. Ginie w plutonie jeden podoficer, a dwóch szeregowych odnosi rany.

Noc 20/21 sierpnia zastaje pluton nadal pod ogniem artylerii i moździerzy. O świcie 21 sierpnia natarcie własnej piechoty spycha Niemców. Pluton ponosi jednak nadal straty od ognia moździerzy. Ginie dowódca sierż. S. i jeden szeregowy; kilku jest rannych. Sanitariusz, plut. K., uwija się wśród ognia i przykładem poświęcenia i odwagi podtrzymuje innych. Pracą swą ratuje niejednego kolegę.

Akcja kosztowała pluton: trzech zabitych, w tym dowódca, dziesięciu rannych, jeden zaginiony, dwa *troop-carrier'y* zniszczone, jeden uszkodzony, trzy motocykle spalone.

MARIAN WOLAŃSKI, Por.
5. PLUTON PRZEWOZOWY
Dywizyjnej Kompanii Zaopatrywania



BITWA O CHAMBOIS

DNIA 19 sierpnia o godzinie 11.00 10. Pułk Dragonów, 24. Pułk Ułanów oraz 3. dywizjon przeciwpancerny, tworząc grupę mieszaną, dowodzoną jeszcze od miejscowości Jort przez mjr. Zgorzelskiego, dowódcę 10. Pułku Dragonów, ruszyły w rejon wzgórza 137 z zadaniem zajęcia miasteczka Chambois.

Wyraźnie już występowały trudności, z jakimi musiało walczyć zaopatrzenie oddziałów w tej fazie działań. W terenie górzystym i silnie zadrzewionym, przez który oddziały przebijały się raczej na kierunek, kolumny zaopatrzenia, dochodząc w ciągu nocy, zużywały wiele czasu i wysiłku, aby dojechać na miejsce biwaku, przez obszary jeszcze nie oczyszczone i bezdrożne. To też w pewnym stopniu czas, jaki w tym przyspieszonym przebijaniu się zyskiwano w ciągu dnia, tracono w oczekiwaniu na dojście żywności, paliwa i amunicji.

Mało kto znał, czy wyczuwał znaczenie tego działania. Rozkazy odbierano radiem i nie było czasu na „rozprowadzanie" w dół ani wiadomości o położeniu własnym i nieprzyjaciela, ani też o zamiarach wyższych dowódców. Tak więc „szło się naprzód" — wykonując swe zadanie.

Po południu na wzgórzu 113 grupa mjr. Zgorzelskiego zetknęła się z 10. Pułkiem Strzelców Konnych. Działanie grupy zostało tu omówione. 10. Pułk Strzelców Konnych wsparł Dragonów w czasie zajmowania podstawy wyjściowej do natarcia na Chambois, ubezpieczył od tyłu i obiecał wesprzeć ogniowo w razie potrzeby.

Chambois broniła dość liczna piechota, zajmująca stanowiska w pasie sadów i ogrodów, otaczających miasto. Natarcie ruszyło z kierunku północno-wschodniego, okrakiem wzdłuż drogi, schodzącej do miasta: 1. szwadron dragonów po prawej stronie drogi, 2. szwadron po lewej stronie, 3. szwadron na skrzydle 1. szwadronu, z zadaniem ubezpieczenia od prawej strony, pluton c.k.m. i pluton armat 6-funtowych wzdłuż drogi w drugim rzucie, z zadaniem bezpośredniego wsparcia; pluton moździerzy 3-calowych na stanowiskach prowadził ogień na linie obrony, reszta szwadronu wsparcia — jako odwód.

Kiedy spieszone szwadrony wchodziły w zabudowania — droga stała się niemożliwą do przejechania, wskutek zatarasowania jej przez ogromną ilość sprzętu pancernego niemieckiego, zniszczonego przez lotnictwo

— dowódca grupy nakazał ppor. Karczowi obejść miasto od południa i uderzyć plutonem c.k.m. i plutonem armat 6-funtowych. Około godziny 19.00 ppor. Karcz, dochodząc do głównego skrzyżowania ulic, spotkał tam kompanię amerykańskiej piechoty, posuwającą się od południowego — zachodu.

Po nawiązaniu styczności i podczas oczyszczania Chambois, dowódca grupy ustalił z mjr. Dull, dowódcą amerykańskiego 2. Batalionu 395. Pułku Piechoty plan obsadzenia miasteczka: 10. Pułk Dragonów otrzymał rejon północny, poczynając od rzeczki aż po drogę północno-wschodnią włącznie, resztę zaś Amerykanie. 24. Pułk Ułanów zatrzymał się w rejonie pierwszego rozwidlenia za miasteczkiem na drodze północno-wschodniej. 3. dywizjon ppanc. pozostał na wzgórzu 113 z 10. Pułkiem Strzelców Konnych.

Noc minęła spokojnie; jeńców wziętych w natarciu, w liczbie ponad 1300, oddano Amerykanom, ponieważ rozporządzali bezpieczniejszym rejonem i liczniejszymi stanami ludzi.

Dnia 20 sierpnia od rana, niemieckie oddziały, uciekające z zachodu na południowy-wschód, uderzały na Chambois, znajdujące się w naszych rękach. Być może wielu niemieckich dowódców nie wiedziało o istnieniu tej przeszkody na drodze ich odwrotu, być może niektórzy mieli rozkaz odbić miasto za wszelką cenę. To też walki w tym dniu były bardzo gwałtowne i trwały aż do zmroku. W południe czołgi 24. Pułku Ułanów rozdzielone zostały na odcinek własny celem bezpośredniego wsparcia oddziałów spieszonych, a jeden szwadron oddano Amerykanom, którzy dysponowali jedynie *6 Sherman'ami* i 3 działami samobieżnymi. Uderzenia niemieckiej broni pancernej szły przeważnie na Amerykanów, wzdłuż szosy Trun — Chambois.

395. Pułk Piechoty wchodził w skład 90. Dywizji Piechoty zwanej *Tough Ombres*, znak Dywizji zielony kwadrat, a na nim kombinacja pierwszych liter nazwy w czerwonym kolorze.

Straty w tym dniu, zadane nieprzyjacielowi były bardzo duże. Dragoni wzięli ponad 500 jeńców, a wiele setek trupów i wiele rozbitego sprzętu pozostało na zewnątrz obrony miasta.

Sytuacja przez cały dzień była niezwykle naprężona: zarówno my, jak i Amerykanie, zadawaliśmy sobie pytanie, czy potrafimy utrzymać Chambois. Grupa mjr. Zgorzelskiego już drugi dzień była w akcji, nie otrzymując żywności, benzyny i amunicji. Ciężkim problemem była ewakuacja rannych i ogromnych ilości jeńców. Amerykanie, którzy przyjmowali zarówno naszych rannych jak i jeńców, przez cały dzień nie mogli ich odtransportować do tyłu, ponieważ sami byli odcięci.

Poprawa przyszła jednak wieczorem. Amerykanie nawiązali łączność z tyłami, w kierunku na Argentan i byli w stanie pomóc nam swoim zaopa-

trzeniem. Dowieźli benzynę i amunicję dla czołgów oraz żywność *Compo* na cały stan grupy.

Noc przeszła spokojnie.

Do rana oczekiwano zapowiedzianego zrzutu amunicji. Wobec deszczowej pogody i bardzo ciemnej nocy, zrzut był kilkakrotnie opóźniany, tak że dopiero o świcie nadleciał samolot *Dakota*, zrzucając jedynie amunicję 75 mm dla czołgów.

W ciągu dnia 21 sierpnia już tylko drobne oddziały niemieckie „zaczepiały" o Chambois. Walka wyraźnie słabła. W dniu tym pancerna dywizja francuska gen. Leclerc również doszła do rejonu 3 km na wschód od Chambois. Po południu udało się adiutantowi pułku Dragonów nawiązać styczność z maszerującą już w pościgu na wschód 11. Dywizją Pancerną brytyjską i otrzymać od niej uzupełnienie amunicji typu angielskiego do moździerzy i broni maszynowej.

W krytycznym położeniu, w jakim grupa znalazła się, odcięta przez trzy dni od Dywizji, na specjalne uznanie zasługuje braterstwo broni, jakim darzyli nas Amerykanie przez cały czas wspólnej walki. Dzielili się oni z nami swoimi porcjami, amunicją, benzyną, szczodrą ręką ofiarowywali nam swe papierosy. Trudno tu nie wspomnieć o kwatermistrzu pułku amerykańskiego, mjr. Miller, który nie mając w danej chwili żołnierzy do dyspozycji, sam pomagał w ładowaniu na wozy skrzyń z amunicją.

Po południu 24. Pułk Ułanów, na rozkaz dowódcy 10. Brygady Pancernej opuścił zgrupowanie. Wieczorem wszedł w rejon Chambois batalion Sussex Light Infantry, 43. Dywizji Piechoty. 23 sierpnia rano 10. Pułk Dragonów opuścił Chambois, przechodząc na północ do Norey-en-Auge w rejon koncentracji Dywizji, na kilkudniowy odpoczynek.

ADAM JĘDRZEJOWICZ, por.
10. Pułk Dragonów

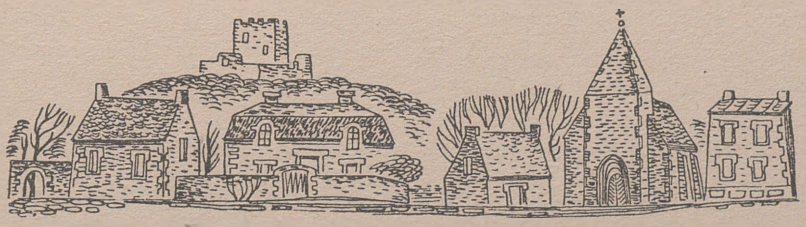

POLE CHWAŁY



W kilka godzin po wyładowaniu w Normandii, w czasie odpoczynku, ktoś rzucił pytanie :

— Czy to już Pole Chwały ?

Dowódca pułku odpowiedział :

— Pole to jest, a czy chwały i dla kogo, zobaczymy...

Dnia 8 sierpnia 1944 r. weszliśmy do akcji.

Od 8 do 19 sierpnia ciężkie bitwy, w tym zwycięska, 10 godzinna bitwa o przeprawy pod Jort.

20 sierpnia — *Harbour* pod Chambois.

W jednym z opracowań pułkowych na temat bitwy 20 sierpnia przeczytałem następujący urywek :

— Jest to dzień najintensywniejszych walk w Normandii.

Wczesnym rankiem — wśród walczącego Pułku — ginie Dowódca Pułku . . .

Tak. Było rzeczywiście „intensywnie".

Po nocnej walce wręcz z patrolami niemieckimi, robi się jasno. Strzelanina ze wszystkich rodzajów broni. Na bezpośrednim przedpolu bucha snop ognia i widać kłąb czarnego dymu. Czyżby nam ustrzelili czołg ? Nie, to wysunięty pluton 3. szwadronu wali pociskami ppanc. do *Panter*, chyba na 100 metrów. Jedna się pali. Z krzaków wychodzą jeńcy. „Maciej"* kiwa, żeby się poddawali i posyła po nich Bronka na *scoucie*. Po chwili trzy dymy na przedpolu. To Antek uporał się z drugą i trzecią *Panterą*.

Maciej daje mi jakieś polecenie, już nie pamiętam o co chodziło, więc wychodzę z czołga. Po chwili wracam. Macieja nie ma. Pytam Pestka — kierowcy :

— Gdzie major ?

— Major ranny. Wyszedł z czołga dać rozkazy *Niszczycielom*. Leży, o tam, pod żywopłotem.

Idę do zastępcy dowódcy pułku, mjr. E. Patrzę na polanę. Grupa około 40 Niemców z podniesionymi rękami idzie w naszym kierunku. Za nimi Bronek na *scoucie*. Na czele maszeruje sprężyście oficer niemiecki. Widzę jego czerwone lampasy.

Pewno generał — myślę.

Wracam do Macieja. Nie żyje. Idę ponownie do majora E. i melduję :

---

*) Dowódca 10. Pułku Strzelców Konnych, mjr. Jan Maciejowski.

— Dowódca pułku poległ.

Myślę, jak to teraz będzie. Zaopatrzenia nie ma, bitwa może potrwać jeszcze długo. Od Dywizji jesteśmy odcięci. Z innymi oddziałami i z Amerykanami bezpośredniej łączności też nie mamy. A przecież trzeba, żeby wszystko było tak, jakby Maciej żył. Walka trwa...

Pod wieczór tego dnia nasz *harbour* wyglądał dość niesamowicie. Czołgi, jak stały na stanowiskach, tak stoją, ale po środku polany około tysiąca jeńców siedzi ramię przy ramieniu. Amerykanie, kwitując później odbiór jeńców, określili ich na około 700. W innym miejscu polany leży 300 jeńców rannych. Opatrują się wzajemnie. Ich lekarze, nasz lekarz i sanitariusze pracują bez przerwy.

Niemiecki generał siedzi z oficerami swego sztabu pod *Cromwellem*, patrzy na to wszystko i miny wesołej nie ma. W naszym ugrupowaniu i na bezpośrednim przedpolu — kupy porozbijanego sprzętu niemieckiego, wśród nich 10, już nie groźnych *Panter* i *Pz. Kw. IV*. Pomiędzy szczątkami sprzętu, po krzakach i dołach, porozrzucane trupy niemieckie. W wąwozu, którędy Niemcy przemykali się, leżą jeden na drugim. Ilu ich tam jest — nikt tego nie dojdzie. Zapach spalenizny dominuje nad wszystkim.

W naszym własnym ugrupowaniu też są szczerby w czołgach. Są zabici i ranni.

Po nawiązaniu bezpośredniego kontaktu z Amerykanami, po odprowadzeniu jeńców i odwiezieniu rannych, już o zmroku, ruszamy i szwadronami przechodzimy w rejon amerykańskiego ugrupowania, tuż na wschód od Chambois.

Na *recoverze* 3. szwadronu odbywa swój ostatni marsz nasz Dowódca Pułku. Zawinięty w koc, sztywny, nieczuły już na wszystko. Od rana nie żył, a nam się wydawało, że przez cały czas bitwy dowodził nami.

Ranek 21 sierpnia 1944 roku. Chmurny, posępny. Stoimy na skraju ugrupowania piechoty amerykańskiej. Noc przeszła względnie spokojnie. Zaopatrzenia jeszcze nie ma. Ma być z powietrza.

Pogrzeb Dowódcy Pułku. Stoją w szeregu, w brudnych, wymiętych kombinezonach, dowódcy szwadronów i delegacje po kilku żołnierzy z każdego szwadronu. Przed wykopanym dołem owinięte w koc ciało Dowódcy Pułku. Komenda „Baczność". We czterech, którzy pozostali z załogi czołgu dowódcy pułku, składamy ciało do grobu. Zastępca dowódcy pułku mówi kilka słów. Sypią się grudki ziemi.

— Śpij Macieju!

Usypano mogiłę, postawiono prosty krzyż z tabliczką.

Co chwila ktoś podchodzi, przyklęka, mówi: Wieczne odpoczywanie...

Taki był pogrzeb Dowódcy Pułku.

W kilka dni później nadszedł dekret Naczelnego Wodza:

„Na podstawie art..... nadaję Złoty Krzyż Orderu Wojennego Virtuti Militari klasy IV-tej — ś.p. majorowi Maciejowski Janowi w uznaniu wybitnych czynów bojowych w bitwach w Normandii, gdzie poległ na Polu Chwały dowodząc zwycięsko 10. Pułkiem Strzelców Konnych".

JAN ROZWADOWSKI, rtm.
10. Pułk Strzelców Konnych.

KARLIKÓW CUD

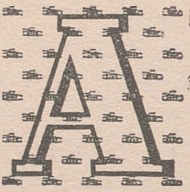

ja ci mówię, że to był cud. *Prosit!* —

— *Prosit!* Urznąłeś się, Karliczku, do pierona jasnego czy co? Cudów teraz nie ma.

— Nie wierzysz mi?

— Nie wierzę.

— No to posłuchaj. *Prosit!* — Stoimy w żywopłocie. Leją po nas, jak jasne pieruny z nieba, a my nic. Jak się coś wyraźnego pokaże, pokropimy, ale tak na ślepo, nie. Szkoda amunicji. Patrzę ja się, a tu wali *Pantera*. Taka najprawdziwsza *Pantera*. Wprost na nas. Trochę niewyraźnie nam się zrobiło na żołądku, sam rozumiesz, i myślę sobie: są dwie możliwości, albo my ją ustrzelimy, albo ona nas. *Prosit!*

— *Prosit!* Według mnie mogła być jeszcze trzecia możliwość. Moglibyście jej wy nie ustrzelić, a ona mogła was nie zauważyć i pojechać sobie spokojnie dalej.

— Nie, Hanysku, porucznik powiedział, że mamy tu stać, żeśmy nabili szkopów w butelkę i że nie możemy ich z tej butelki wypuścić. Sam rozumiesz. Idzie *Pantera* to albo my ją, albo ona nas. *Prosit!*

Jedzie sobie tedy ta *Pantera*, już jest jakich 100 metrów od nas, a porucznik nic. Ja w mikrofon: *Pantera!*. A porucznik spokojnie: Widzę. Coś zimnego zaczyna mi łazić po grzbiecie i tak z niczego zaczynam: „Ojcze nasz..." *Prosit! Prosit!* A *Pantera* coraz bliżej. Już tylko 50 metrów. „...i nie wódź nas na pokuszenie..." 30 metrów — i nagle... Bah! Ogień, dym. Nie widzę nic. „...ale nas zbaw ode złego..." Nie wiem kto do kogo... Bah! Drugi strzał. „...Amen".

Dym się rozwiewa, *Pantera* stoi, jakiś Niemiec wyskakuje. Niech będzie Imię Pańskie pochwalone. Już się pali. Czarny dym najpierw, a potem huk i ogień i wieża w górę. Pot mi spływa po gębie, strasznie mi jest dobrze. *Prosit!* —

— Pięknie, ładnie, ale gdzież ten twój cud?

— Czekaj, zaraz, po kolei. *Pantera* pali się, znaczy nie groźna. Tak? Jacyś Niemcy się pokazali, więc ja w nich z *besy*. Wpadli w rowek. Patrzę i zmartwiałem. Przecieram oczy. Nie! Niemożliwe. Przecież pali się cholera, amunicja eksploduje. Panie poruczniku — jedzie na nas!

Co? — krzyczy porucznik. Matko Boska i wszyscy niebiescy anieli! Chyba złe dusze, palących się w sprzymierzu z diabłem, chcą zemścić się na nas! Kierowcy nie chce coś wyjść z biegami, a ja już czuję na twarzy żar ognia, który idzie na nas. Nic nas nie uchroni! Spalimy się razem z *Panterą!*

Ojcze Niebieski ratuj, spraw, żeby to złe nie doszło do nas...

I stał się cud. Kilka kroków przed nami *Pantera* zatrzymała się. Jeszcze chwila i kierowca uporał się z biegami. Zmieniliśmy stanowisko. *Prosit!*

Taki to był cud Karlika, strzelca przedniego czołga *Cromwell*, w pamiętnym dniu 20 sierpnia 1944 roku pod Chambois.

MICHAŁ WASZUT, por.
10. Pułk Strzelców Konnych.

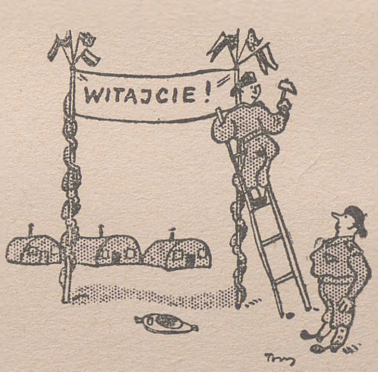

ZNAWCA JĘZYKA

— Co wy robicie?

— Dekoruję wejście na przyjazd ochotników.

— Ilu ich przyjeżdża?

— Jeden.

— To dlaczego piszecie w liczbie mnogiej?

— Bo to po „wojskowemu" — przez „wy"...

TRZYDNIOWA BITWA O „MACZUGĘ"

DNIA 15 sierpnia 1944 roku nasza Dywizja sforsowała rzekę Dives pod Jort i weszła na tyły obrony niemieckiej w rejonie Falaise. Zadaniem naszym stało się odcięcie sił niemieckich, zamykanych manewrem kleszczowym w już zarysowującym się worku Falaise.

Naturalną, kluczową pozycją, zamykającą od północnego-wschodu drogę z Falaise przez Trun i Chambois do Vimoutiers, panującą nad okolicznym terenem, zwłaszcza w kierunku zach. — były dwa wzgórza północne i południowe 262. Wzgórza te łączą się ze sobą w grzbiet o długości prawie 4 km, przypominający swym kształtem maczugę. Daje on wgląd w kierunku zachodnim na odległość kilkunastu kilometrów. Grzbiet ten nosi dźwięczną, francuską nazwę Mont-Ormel, lecz dziś nikt z Dywizji nie nazwie go inaczej jak „Maczuga".

Tam zostały skierowane w ciągu dnia 19 sierpnia nasze pułki i bataliony. Znajdowały się one w odległości od 5 do 15 km w linii prostej od wzgórza 262, w różnych sytuacjach bojowych w marszu na dalekie tyły npla. Staczały one w marszu potyczki z przeważnie zaskoczonymi i zdezorientowanymi małymi oddziałami nieprzyjaciela, niszcząc lub rozpraszając je. Trzeba było pokonywać znaczne trudności marszowe ze względu na bezdrożny, gęsto pokryty, niezwykle urozmaicony, a w niektórych miejscach prawie że górzysty teren. Wzgórze 262 północne zostało uchwycone 19 sierpnia przez 1. Pułk Pancerny, z dwiema kompaniami Baonu Strzelców Podhalańskich. Wejście na wzgórze było możliwe dla czołgów tylko jedną krętą, pnącą się pod górę drogą i o rozwinięciu nie mogło być mowy. Jako pierwsze ruszyło rozpoznanie Podhalan, które już u stóp wzgórza wzięło jeńców w ilości około kompanii. Nieprzyjaciel wydawał się zdemoralizowany, rzucał on wozy idące po drodze. Pułk ruszył jedną kolumną, dochodząc bez walki dwoma szwadronami na szczyt wzgórza, po czym aż do głównej drogi Chambois — Vimoutiers. 1. szwadron pozostał na ubezpieczeniu kierunku północnego i północno-wschodniego.

Na przełęczy „Maczugi", między dwoma wzgórzami 262, o godz. 12.40 1. P. Panc. zaskoczył ogniem stłoczoną na szosie niemiecką kolumnę pancerno-motorową, idącą wóz przy wozie z Chambois do Vimoutiers. Najbliższe wozy kolumny (samochody pancerne) zostały zapalone i zniszczone z odległości około 40 m, kolumna zatrzymała się i w ciągu około pół

UWAGA: patrz mapa po str. 116.

godziny ognia, stanęła w płomieniach. W składzie jej były czołgi typu *Pantera*, działa 88 i 105 mm, pancerne wozy dowodzenia, moździerze wielolufowe oraz wozy taboru samochodowego i konnego. Przyszła dość szybka reakcja w formie nawał moździerzy wielolufowych, od których kilku żołnierzy odniosło rany oraz szeregu pocisków ppanc. przechodzących ponad czołgami zbyt wysoko. Reakcja ta jednak szybko zamiera i 1. P.Panc. prowadził dalej ogień zupełnie bezkarnie. Pożary i eksplozje wzmagają się na sile tak, że po pewnym czasie horyzont zakryty jest dymem. 3. szw. nie mógł dalej prowadzić ognia, gdyż zużyłby całą amunicję. Wobec tego nastąpiła wymiana jego z 1. szw. Niemcy spróbowali jednak przechodzić obok drogi pod przykryciem dymu i dlatego ogień musiał być podtrzymany. Wszędzie pojawiły się białe flagi, szli i czołgali się ranni Niemcy. W trudny do zrozumienia sposób, ze względu na prawie niedostępny teren, przyjechały dwie sanitarki pełne rannych. Wszyscy byli odsyłani do t.zw. „zameczka" (Z na szkicu) na północnym stoku „Maczugi". Tam później ranni polscy żołnierze leżeli obok Niemców przez dwa dni i dwie noce bez żadnej możności ewakuacji.

Dalszy ruch 1. P. Panc. na południe stał się na razie niemożliwy, ze względu na pożary i dymy, przesłaniające całą widoczność w tym kierunku. Ponadto pułk otrzymał w godzinach popołudniowych rozkaz pozostawienia dwóch kompanii Podhalan na północnym 262, z tym, że sam miał ruszyć na płd. 262. z 9. Baonem Strzelców, znajdującym się jeszcze na wzgórzu 258.

Następnie na północne wzgórze 262 przybyły kolejno: o godz. 17.00 zgrupowanie ppłk. Koszutskiego w składzie: 2. Pułk Pancerny i 8. Baon Strzelców, a o godz. 19.30 B.S.P. i bezpośrednio za nim gros 9. B.S.

1. kompania 9. B.S. po wykonaniu osobnego zadania dołączyła o godz. 24.00 i stanęła tam w rejonie „zameczka".

D-ca 1. P. Panc. przekazał d-cy 9. B.S. o godz. 19.30 rozkazy do uchwycenia zgrupowaniem płd. 262. Ze względu na zapadającą noc oraz gęstą zasłonę dymną z palącej się kolumny npla nie można było wykonać zadania jeszcze tego samego dnia.

POŁOŻENIE W NOCY Z DNIA 19/20 SIERPNIA

Po przyjęciu ugrupowania na noc (patrz szkic) rozpoczęto starania o sprowadzenie na „Maczugę" wozów z zaopatrzeniem. Około godz. 02.00 dnia 20 sierpnia stało się jasne, że na naszych liniach komunikacyjnych z tyłami znajduje się nieprzyjaciel. Łącznicy bowiem wysyłani z obu kierunków bądź zaginęli, bądź wrócili po ostrzelaniu ich przez nieprzyjaciela. W ten sposób również zginął kwatermistrz 10. Brygady Kawalerii Pancernej, starając się przedostać na „Maczugę". Rozpoczął on serię kwatermistrzów baonów i pułków, którzy tam bądź zginęli, bądź odnieśli rany.

Z rejonu palącej się kolumny niemieckiej na szosie Chambois — Vimoutiers, przez całą noc słychać było ruch. D-ca 9. B.S. stwierdził przy pomocy patroli, że Niemcy starali się przechodzić na wsch. luźnymi grupami oraz, że okopują się w sąsiedztwie drogi.

W ciągu nocy spadło kilka nawał moździerzy w rejon 8. B.S.

Łączność radiowa oddziałów z dowódcami brygad tak 3. jak i 10. była utrzymana.

Zmęczenie załóg pancernych i żołnierzy piechoty było bardzo duże, ze względu na udział w walkach od blisko dwóch tygodni i ostatnie marsze bojowe w ciężkim terenie.

Na ogół noc przeszła dość spokojnie.

PRZEBIEG WYPADKÓW DNIA 20 SIERPNIA OD GODZ. 08.00.

Aby zdać sobie sprawę z dalszego przebiegu wypadków popatrzmy jeszcze raz w teren. Rękojeść „Maczugi" tkwi w lesistych, bezdrożnych wzgórzach, ciągnących się łukiem ku płn.-zach. Każde z nich może stanowić redutę. Stąd przyszliśmy. Tamtędy jedynie mogą biegnąć nasze drogi zaopatrzenia i ewakuacji. Tamtędy krzyżuje się część możliwych dróg odwrotu nieprzyjaciela. Tam mają stanąć idący za nami Kanadyjczycy. Na zachód otwiera się kotlina Falaise, pocięta żywopłotami i drogami. Z „Maczugi" widać ją jak na dłoni. Zachodnie stoki są niedostępne dla broni pancernej. Na płn.-wsch. i wsch. otwierają się szerokie lunety dalekich horyzontów i leżą gęste zasłony lasków. Na południe w kierunku płd. 262 horyzonty są krótkie.

Na noc oddziały stanęły obronnie, tak jak przyszły i w przewidywaniu swych dalszych zadań. Z rana 1. P. Panc. i 9. B.S. ugrupowały się w głęboką formację uderzeniową po osi „Maczugi", czołem na przełęczy, ogonem w „zameczku", zasadniczo wśród zgrupowania Baonu Strzelców Podhalańskich i 2. Pułku Pancernego.

Zgrupowanie ppłk. Szydłowskiego rozpoczęło akcję celem uchwycenia płd. 262. W tym celu rusza pluton rozpoznawczy *carrier'ów* w ślad za nimi 1. szw. 1. P. Panc. z 4. komp. 9. B.S. Ruch był bardzo powolny, ze względu na teren zawalony zniszczonym sprzętem i skuteczność obrony nieprzyjaciela. Od południa 2. szw. 1. P. Panc. ma ruszyć z 2. komp. 9. B.S. po czym reszta Baonu i 3. szw. Pułku Pancernego z 1. komp. 9. B.S. Wobec oporu około godz. 10.00 zmontowano uderzenie.

3. szw. 1. P. Panc., który stał od chwili zluzowania w dniu 19 sierpnia w t.zw. „sadku" (S na szkicu), „wyciągnął" na kierunek płd. Na jego miejsce wszedł 3. szw. 2. P. Panc. bez plutonu, który pozostał na ubezpieczeniu kierunku wschodniego.



. . . szli w naszym kierunku z podniesionymi rękami . . .



TAK WYGLĄDAŁY OKOLICE CHAMBOIS I MACZUGI

Fot. M. Walentynowicz



Fot. M. Walentynowicz



Fot. M. Walentynowicz

1. komp. 9. B.S. nie mogła ruszyć z rejonu „zameczka", gdyż została związana tam walką. Tam w ogniu znalazł się też punkt opatrunkowy 9.B.S.

3. szw. 1. P. Panc. wysunął się wówczas na „łyse wzgórze" (ŁW na szkicu), gdyż po całej równinie widocznej na zach. terenem i polnymi drogami szły luźne kolumny niemieckie przeważnie w kierunku na płn. wsch. Widać było kilka czołgów typu *Pantera* lub *Tygrys*. 3. szw. 1. P. Panc. otwiera ogień i prowadzi go około godziny, zatrzymując kolumny niemieckie i rozpraszając uciekających pieszych. Cztery działa niemieckie samobieżne i ciągnione podeszły aż pod samo wzgórze 262, gdzie zostały zniszczone.

Około godz. 09.00 z kierunku płn. i płn.-wsch. wyruszyły natarcia niemieckie na północną część zgrupowania 8. B.S. Dochodzi do walki z bliska. W rezultacie nieprzyjaciel załamał się i około godz. 10.30 odskoczył. Ogień broni ciężkich na tym odcinku trwał.

Około godz. 10.00 przybył na „łyse wzgórze" rzut zaopatrzenia 1. P. Panc., który przebił się przez nieprzyjaciela dzięki posiadaniu w składzie kolumny jednego czołga *Sherman*. Stracono jednak znaczną ilość żołnierzy w zabitych i rannych, gdyż 6 wozów zostało zapalonych i zniszczonych w rejonie „zameczka" przez ogień niemiecki.

2. szw. 2. P. Panc. dostał rozkaz wsparcia ogniem 3. szw. 1. P. Panc. i odszedł ze swego dotychczasowego rejonu. Zluzowały go dwa plutony z 1. szw. 2. P. Panc. Przy wycofywaniu się 2. szwadron 2. P. Panc. został ostrzelany przez czołgi *Mark IV* z płn.-wsch., lecz nie poniósł strat. W tym położeniu 8. B.S. trzymał sam kierunki płn. i płn.-wsch. Pluton z 3. szw. 2. P. Panc., który ubezpieczał kierunek wsch. stracił około godz. 11.00 dwa czołgi od ognia *Mark IV*. Dwa inne plutony znalazły się w głębi ugrupowania 8. B.S. i stanowiły raczej bezpośrednie ubezpieczenie 2. P.Panc., który stał w lasku na południe od polany, niż wsparcie 8. B.S. Na skutek porozumienia się dowódców 1. i 2. P.Panc., 2. szw. 2. P. Panc. ruszył około godz. 10.00 na wzgórze 239, celem ubezpieczenia tego kierunku. Obserwacja bowiem z „łysego wzgórza" wykazywała czołgi niemieckie w ruchu na 239, ważny punkt taktyczny, z którego można skutecznie zagrażać oddziałom znajdującym się na północnym 262. Szwadron ten jednak nie doszedł na miejsce przeznaczenia, wikłając się w walkę ogniową z działem ppanc nieprzyjaciela, w rejonie „zameczka".

Około godz. 11.00 przybył na „łyse wzgórze" wezwany d-ca 9. B.S. do d-cy 1. P. Panc., który poinformował go o powstałym położeniu. W tym właśnie czasie 3. szw. 1. P. Panc., otrzymał ogień z dział 75 lub 88 mm z kierunku wzgórza 239, tracąc w krótkiej chwili pięć czołgów oraz szereg żołnierzy w zabitych i rannych. Wytworzona sytuacja dla zgrupowania w

składzie 1. P. Panc. i 9. B.S. zadecydowała o konieczności walki w miejscu i konieczności odłożenia ruchu na płd. 262.

3. szw. 1. P. Panc. po poniesionych stratach zgrupował się w „sadku" razem z 3. szw. 2. P. Panc. Tam w godzinach wieczornych stracił jeszcze jeden czołg od ognia nieprzyjaciela z kier. płn. Około godz. 12.00 rozpoczął się bardzo silny ogień niemieckiej artylerii i moździerzy (głównie tych ostatnich), który zadał znaczne straty zwłaszcza baonom strzelców. Ogień ten bez przerwy trwał przez całe popołudnie.

W godzinach popołudniowych ze względu na konieczność koordynacji na miejscu, dowództwo nad całością oddziałów, znajdujących się na „Maczudze" objął dowódca 9. B.S., ppłk. Szydłowski.

4. dyon ppanc. i plut. ppanc. 9. B.S. prowadziły od południa skuteczny ogień na kolumny i grupy nieprzyjaciela, kręcące się w dolinie na zachód. Wiele z nich zostało rozpędzonych i unieruchomionych. W sumie zniszczono kilka czołgów i wozów pancernych. Rtm. Zawisza d-ca 4. dyonu ppanc. objął koordynację obrony przeciwpancernej.

Około godz. 14.00 wyszło nowe natarcie niemieckie na północne zgrupowanie 8. B.S. Nacierała piechota w sile baonu, wsparta kilkoma czołgami *Mark IV*. Zadają one straty 2. P. Panc., niszcząc jednego *Shermana* i uszkadzając drugiego. Natarcie to jednak zostało złamane i 8. B.S. wziął wielu jeńców.

Na „polanie", (P na szkicu) położonej bezpośrednio na wschód od „sadku", zbierała się coraz większa ilość jeńców niemieckich i około godz. 14.00 liczba ich wynosiła około 800 ludzi. Ponosili oni stale straty od ognia moździerzy niemieckich.

W ciągu całego popołudnia wyszły również natarcia wiążące na 1. komp. 9. B.S. w rejonie „zameczka" oraz na 4. komp. 9. B.S. w rejonie drogi Chambois — Vimoutiers. Czołgi, które stały w „sadku" otrzymały ogień ppanc. z kier. płn. i płd.-zach.

Po południu zmontowało się natarcie dla uchwycenia wzgórza 239, w składzie 3. komp. 9. B. S. i szwadronu 2. Pułku Pancernego. Około godz. 16.00 wyruszyła 3. komp. B.S., lecz załamała się w ogniu artylerii i moździerzy ponosząc ciężkie straty.

Około godz. 15.00 rozpoczęło się, stopniowo narastające w sile, natarcie niemieckiej piechoty wsparte czołgami *Mark IV* z kierunku wschodniego. Szło ono lasem, między dwiema drogami. Swoje największe natężenie natarcie to osiągnęło około godz. 17.00 i wdarło się w obronę 8. B.S., który na tym odcinku pozostał bez czołgów.

Trzy czołgi *Mark IV* wpadły na polanę pokrytą tłumem jeńców niemieckich, nad których głowami następuje wymiana pocisków ppanc.

Wszystkie trzy czołgi niemieckie zostały zniszczone, z załóg ich nikt nie wyszedł z życiem. Tłum jeńców w panice usiłował uciec do lasu, lecz został zatrzymany. Jeden z czołgów niemieckich zniszczono o kilka metrów od lufy *Shermana*. W chwili trafienia go pociskiem ppanc. i zapalenia najechał on gąsienicą na nogę naszego piechura, przytrzymując go w pozycji leżącej. Żołnierz ten poniósł śmierć od ognia i eksplozji palącego się czołga niemieckiego. Piechota niemiecka posuwała się lasem, dochodząc również aż do „polany". Natarcie to załamało się ostatecznie na tym kierunku wobec twardej obrony 8. B.S., skutecznego ognia z rejonu „sadku" i drogi oraz przeciwuderzenia dwóch sekcji plut. rozp. 1. P. Panc. i plutonu moździerzy 9. B.S., użytego jako piechota po zużyciu całej amunicji. Równocześnie południowe ramię natarcia niemieckiego, które wyszło na prawe skrzydło 8. B.S. oraz na lukę między to skrzydło, a lewą flankę zgrupowania 9. B.S. i 1. P. Panc., wdarło się na tyły 8. B.S. i w głąb całego ugrupowania na „Maczudze". Natarcie to zostało odparte przeciwuderzeniami od płd.-zach. przez 3. komp. B.S.P. i od zach. przez 2. komp. 9. B.S. Ostatecznie natarcie npla zlikwidowano około godz. 19.00.

Wszystkie natarcia niemieckie w dniu 20 sierpnia, wychodzące z kierunku wsch. były prowadzone przez oddziały niemieckie 21. Dyw. Panc., która otrzymała zadanie otwarcia drogi oddziałom niemieckim, zamkniętym w worku Falaise. Wszystkie inne natarcia miały raczej charakter wiążący lub wypadów i przedzierania się oraz były prowadzone ze znacznie mniejszą determinacją.

Po skończonym natarciu niemieckim rozpoczęło się przegrupowanie oddziałów. Przed zapadnięciem zmroku organizacja obrony przedstawiała się następująco:

8. B.S. stanowiska — bez zmian. Obrona ogólnego kierunku płn.-wsch. 1. P. Panc. — stanowiska bez zmian. Zadanie: wsparcie odcinka płd.

2. P. Panc. — bez 1. szwadronu przeszedł w rejon o 1 km w kierunku szosy Chambois — Vimoutiers, stając bezpośrednio na wschód i północ od 1. P. Panc. 1. szw. 2. P.Panc. stanął w ugrupowaniu 8. B.S. Zadanie: wsparcie odcinka północnego.

9. B.S. — stanowiska bez zasadniczych zmian, za wyjątkiem przesunięć dowództwa baonu, 2. komp. i reszty komp. wsparcia. Zadanie: obrona ogólnego kierunku południowego.

B.S.P. — stanowiska bez zasadniczych zmian, za wyjątkiem przesunięcia dowództwa baonu i 2. komp. Zadanie: obrona ogólnego kierunku płn. zachodniego.

Przegrupowanie wykonano bez trudności. Nieprzyjaciel poza nawałami moździerzy, nie przejawiał innej aktywności. Od godz. 18.00 spodziewane

było nadejście oddziałów z 4. Kanadyjskiej Dywizji Pancernej, celem otwarcia drogi na tyły dla uzyskania zaopatrzenia w amunicję i benzynę, których brak był już odczuwany dotkliwie. Dywizja ta ponadto miała przyjść z odsieczą, gdyż położenie na „Maczudze" w godzinach popołudniowych było oceniane jako poważne. Jednym z głównych motywów potrzeby tej odsieczy była konieczność otworzenia komunikacji z tyłami, celem wyewakuowania rannych, których około 300 znajdowało się w bardzo ciężkiej sytuacji pod ogniem nieprzyjaciela i bez możności poddania się należytym operacjom. Kanadyjczycy jednak nie nadeszli.

Dzień zamyka wieczorny wypad nieprzyjaciela na 2. i 4. komp. 9. B.S. Wypady załamały się w ogniu własnej piechoty i w nawale artylerii dywizyjnej.

Noc przeszła dość spokojnie nie przynosząc nic zasadniczego.

PRZEBIEG WYPADKÓW DNIA 21 SIERPNIA

Z rana, o godz. 07.00 pluton z 3. szw. 1. P.Panc., stojący w „sadku", ruszył w dół, drogą w kierunku na „zamaczek" dla nawiązania łączności z Kanadyjczykami, którzy mieli już znajdować się na wzgórzu 239. Dowódca plutonu z zasadzki w rejonie „zameczka" zniszczył jeden czołg *Pantera* w ruchu, stwierdził ogień ppanc. oraz broni maszynowej nieprzyjaciela i odskoczył.

O godz. 08.00 1. szw. 2. P.Panc. zluzował w „sadku" 3. szw. 1. P. Panc., który wrócił do pułku.

Przed południem obrona otwarła znowu silny ogień w rejon drogi Chambois — Vimoutiers i dalej w kierunku wsch., gdyż niemiecka piechota i wozy usiłowały stale przerywać się w kierunku Vimoutiers. W odpowiedzi padły bardzo duże nawały niemieckich moździerzy, przynosząc nowe straty.

O godz. 11.00 szło samobójcze natarcie piechoty niemieckiej na tyły 1. P. Panc. w rejonie jego punktu opatrunkowego. Ruszyło ono z kierunku zach. czyli stromo pod górę w rej. kościółka Coudehard. Natarcie zostało całkowicie załamane przede wszystkim ogniem k.m. czołgów przeciwlotniczych.

Kierunek Coudehard był bardzo aktywny przez cały czas. Penetracja wypadowa luźnych grupek doszła do szczytu przed południem, dnia 21 sierpnia. Odpierał je lub brał do niewoli stojący tam pluton c.k.m. (którego dowódca zginął) oraz plut. rozp. i 4. komp. 9. B.S. Ta ostatnia niszczy wdzierające się po stoku działo samobieżne.

O godz. 12.00 została nawiązana łączność z Kanadyjczykami przez plut. 2. P. Panc., który spotkał ich czołowe elementy między wzgórzami 239 i 240, to jest około 3 km na płn.-zach. od północnego wzgórza 262.

O godz. 14.00 przybyło pierwsze zaopatrzenie kanadyjskie. Bój o „Ma-

POŁOŻENIE NA WZGÓRZU 262 PŁNC.
O GODZ. 20.00 W DNIACH 19.VIII. i 20.VIII. 1944 r.

239

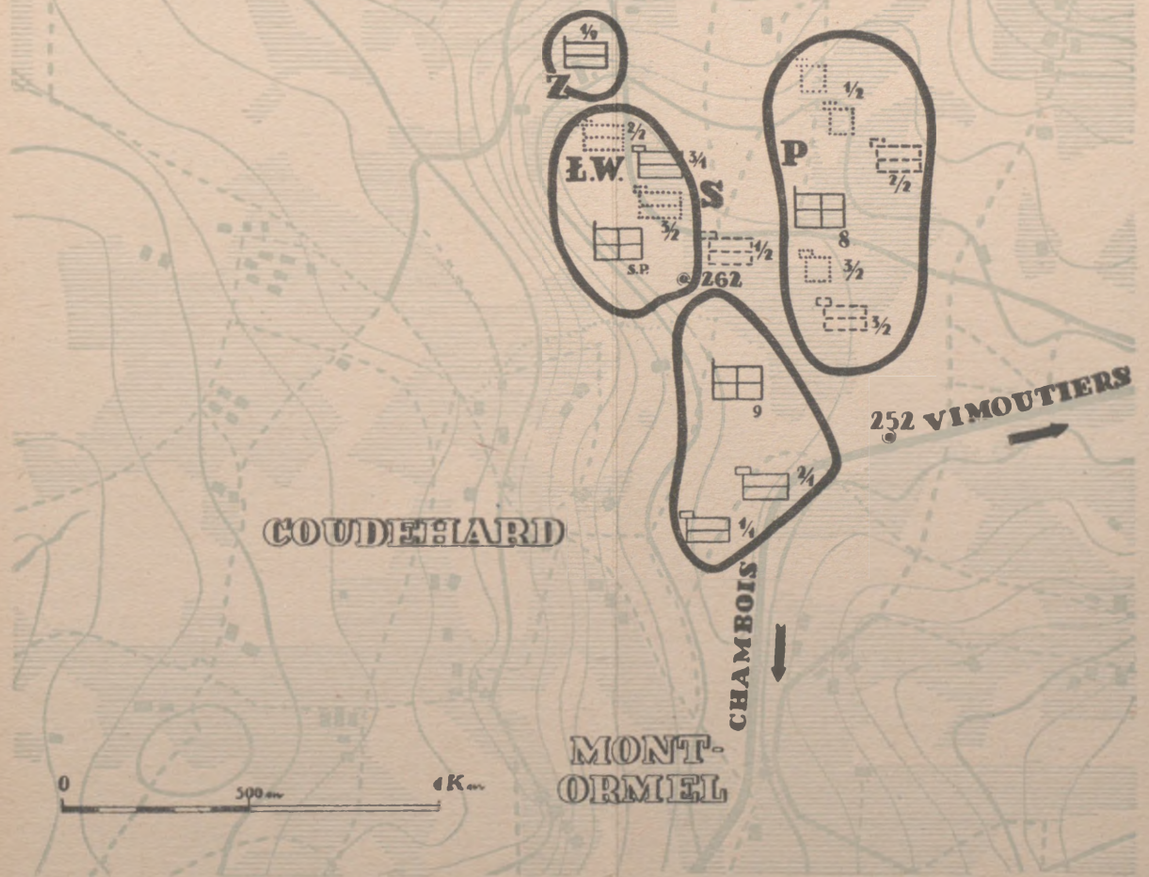

OGÓLNE REJONY STANOWISK BAONÓW STRZELCÓW DN. 19 : 20.VIII
" " " SZWADRONÓW 1 P.PANC. " " " "
REJONY STANOWISK SZWADRONÓW 2 P.PANC. DNIA 19.VIII
" " " /PLUT/ " " 20.VIII

Z - ZAMECZEK, Ł.W - ŁYSE WZGÓRZE, S - SADEK, P - POLANA

czugę" skończył się, nieprzyjaciel nie wykazał dalszej aktywności na żadnym odcinku. Jeńcy byli wyłapywani grupami i pojedyńczo. Wielu z nich przyszło do niewoli z własnej inicjatywy. Rozpoczęła się mozolna i długotrwała ewakuacja rannych oraz uzupełnienie zaopatrzenia, które trwały aż do późnej nocy.

Straty zadane nieprzyjacielowi na bezpośrednim przedpolu wynosiły: Zabitych około 500, jeńców, ponad 1000, większość pochodziła z 12. Dywizji Pancernej SS., pewna ilość z 1. Dywizji Pancernej., 116. Dywizji Pancernej oraz innych oddziałów.

Zniszczono kilkanaście czołgów niemieckich typu *Tygrys* i *Pantera, Mark IV* oraz tyleż dział kalibru 75, 88 i 105 mm.

Zniszczono bardzo dużą ilość sprzętu kołowego, spalonego na drogach doprowadzających do północnego 262 i w okolicznym terenie.

Straty własne poniesione przez wszystkie baony i pułki, które walczyły ramię w ramię na „Maczudze" razem w zabitych, rannych i zaginionych wynosiły 16 oficerów, 335 szeregowych. Własnych czołgów stracono 11.

Dla zamknięcia opisu walki należy dodać, że 1. i 2. Pułki Pancerne przybyły na „Maczugę" o stanach 40 — 42 czołgi na pułk, szwadrony 3-plutonowe, szwadron w składzie 12 — 13 czołgów. Zamiast dziewięciu 17-funtówek na pułk stany wynosiły od 5 — 6 na pułk. Reszta dział 75 mm, o krótkich lufach nie była skuteczna przeciwko czołgom niemieckim, stąd stała tendencja do trzymania zwarcie swych sił.

Stany Baonów Strzelców na wzgórzu 262 wynosiły przeciętnie od 450 do 500 żołnierzy.

A.S.

W Z G Ó R Z E 262

CIEMNA noc przeszła. Zadymiły oparami wierzchołki drzew i krzaki żywopłotów. Przyduszona wilgocią nocy, cuchnąca woń trupów ludzi i koni zatruwa teraz powietrze.

Przeciągnął zmęczone kości celowniczy l.k.m.. Trze oczy senny obserwator na czujce. Jest możliwy spokój, jeno ta *Pantera*... Wychynęła się przed nami niespodzianie o świcie. St. strz. Cymański rąbnął do niej ze swej 6-funtowej pukawki i zerwał gąsienicę. Odgryzła mu za to rękę. Teraz kują coś przy niej. Choć nie na ruchu, kąsa dalej groźnie i łyska ogniem.

Od południowej strony słychać walkę. To Kanadyjczycy próbują dojść

do nas. Lada godzina mają się z nami połączyć. Słyszymy to jednak już od dłuższego czasu.

Ciszę przerywa nagła kanonada. Pół martwa *Pantera* rusza na nas, a za nią niby ogar, *Mark IV*. Tuż, tuż wrzawa nawoływań niemieckiego żołdactwa. Silne natarcie wali wprost na odcinek 4. kompanii, którego broni kilkudziesięciu upadających ze zmęczenia żołnierzy.

Pantera plunęła. Nasz *Sherman* pali się już. Jeszcze kilka pocisków potwora i palą się *carriery* c.k.m.'ów; lecą wióry z naszej 6-funtówki. Odskakujemy. Zbyszek J. w ostatnim momencie chwyta mikrofon radia i ostrzega:

— *Pantera*, idzie wprost na dowództwo baonu. Obawiam się, że nie zatrzymamy natarcia.

* * *

Na bojowym miejscu postoju dowódcy 8. Baonu Strzelców i na punkcie opatrunkowym gotują się do walki. Pchor. Konstanty brawurowo rzuca się naprzód, porywa za sobą spieszoną drużynę *carrier'ów*. Niemcy o 40 metrów.

— Jezus Maria — wydziera się z piersi podchorążego.

Pantera obojętnie przechodzi obok podziurawionego jego ciała i seriami ognia zarzuca m.p. dowództwa, po czym lezie w dół.

Podchorąży Herman z *piata* i 6-funtówka równocześnie dają ognia do *Mark IV*. Czołg staje, zaczyna płonąć. Ratująca się załoga, przeszyta seriami *stenów*, zwisa bezwładnie z wieżyczki.

* * *

Do dowódcy 3. kompanii przybiega strzelec Babczyński.

— Szkopy idą na drugi pluton — melduje.

Babczyński, „Krwawy Natan", wałęsał się, jak zwykle, samotnie na przedpolu, szukając okazji... do walki i pierwszy ich zobaczył.

Por. S. z pięcioma zuchwalcami idzie na pomoc. Babczyński jak lis skrada się przed nimi żywopłotem. Strzał z biodra w bok i zaczajony Niemiec wali się na niego. M.G. kładzie właśnie długą serię w plecy broniącego się samotnie drugiego plutonu. Skok długi, rysi. Stary legionista Szt. młynkiem kolby kładzie jednego, a równocześnie strzałem w przód drugiego Niemca. Walka wręcz.

Lufa M.G. odwraca się na napastników. Strzał Babczyńskiego i seria Niemca krzyżują się. Walą się obaj na ziemię. Niemcy uciekają, nasi odskakują, zabierając dogorywającego Babczyńskiego.

— 18-tu... — szepce — może starczy za rodzinę...

BOGDAN JABŁOŃSKI, ppor.
8. Baon Strzelców.

O. WIKTOR HUPA

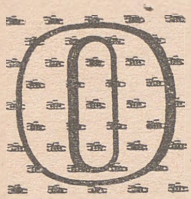

D 19 sierpnia 9. Batalion Strzelców uparcie walczył w rejonie wzgórza 262. Z wieczora, 20 sierpnia, punkt opatrunkowy baonu znajdował się w niewielkim sadzie położonym przy drodze. Z drugiej strony drogi, we dworze i budynkach gospodarczych, ulokowały się zespoły sanitarne.

Po względnie spokojnej nocy, około godz. 07.00 w pobliżu punktu opatrunkowego upadło kilka pocisków, których odłamek lekko ranił ks. kap. Hupę. Gdy sanitariusz, st. strz. Kłos, zakładał rannemu opatrunek, dał się słyszeć łoskot nadjeżdżającego czołga. Była to niemiecka *Pantera*. Pod jej osłoną posuwała się nieprzyjacielska piechota. *Pantera* minęła wozy sanitarne i nieco dalej, trafiona pociskiem ppanc., zaczęła się palić. Niemcy otworzyli ogień w kierunku punktu sanitarnego, mimo wyraźnych znaków Czerwonego Krzyża na ambulansach. O. Hupa został ponownie lekko ranny.

Znowu odezwały się serie broni maszynowej. Strzały zaczęły padać jednocześnie z kilku stron, czyniąc wrażenie, że punkt opatrunkowy został przez Niemców otoczony. Wówczas O. Wiktor Hupa podniecony grozą położenia i oburzony postępowaniem wroga, podniósł się i ruszył w kierunku wozów sanitarnych. Uszedł zaledwie kilka metrów, gdy padł śmiertelny strzał *snipera*. O. Hupa trafiony w pierś osunął się na ziemię.

Nazajutrz, 22 sierpnia, ks. kap. J. Myrda, z Baonu Strzelców Podhalańskich, oddał ostatnią posługę O. Hupie. Grób jego znajduje się obecnie na cmentarzu 1. Dywizji Pancernej w Normandii.

* * *

O. Wiktor Hupa, ze śląskiej prowincji Franciszkanów, jako młody kapłan, przerwał swe studia w Belgii i ochotniczo wstąpił do wojska polskiego we Francji. Służbę w 9. Baonie Strzelców rozpoczął dnia 24 maja 1944 r. w Anglii, w okresie przygotowawczym przed inwazją. O. Hupa był gorliwym i obowiązkowym kapłanem. Szybko zyskał uznanie przełożonych, zaufanie i przywiązanie żołnierzy, z którymi chętnie przebywał, dzieląc z nimi dolę i niedolę.

Prezydent Rzeczypospolitej pośmiertnie mianował O. Hupę starszym kapelanem i w uznaniu wybitnych czynów bojowych i osobistego męstwa odznaczył go srebrnym Krzyżem Virtuti Militari.

Wieczny odpoczynek, Panie, racz dać O. Wiktorowi.

Niech odpoczywa w pokoju.

O. B. CHROSTOWSKI,
kapelan 9. Baonu Strzelców Flandryjskich.

FRASZKI NORMANDZKIE

PRZEWAGA LOTNICZA

Kiedy wsparcie lotnicze nastąpiło znowu
pewien żołnierz aliancki — hyc, skoczył do rowu,
spojrzał w górę i spytał z niepokojem szczerym:
„Is your bombing really very necessary?!"

WOREK

Workiem zwali Polacy pułapkę pod Falaise.
Anglik nazwał ją — pocket. Nie sprzeczam się wcale.
Stosując różne czary, faktu się nie zmieni.
Więc Polak bił po worku, Anglik — po kieszeni.

TRUP W REDAKCJI

Raz „Dziennika Żołnierza" na kółkach chałupa
stanęła tam, gdzie właśnie było m.p. trupa.
Redakcji na wspomnienie wilgotnieją oczy.
Poczciwy trup! On jeden na „Dziennik" nie psioczył!

GŁUPI KOTEK

Raz kocię, między jednym a drugim posyseni
żaliło się swej mamie, że chce być tygrysem.
Rzekła mu na to kotka: „Skończ z tymi żalami!
Czy ty wiesz, co Polacy robią z tygrysami?!"

OR-SI

Z „Dziennika Żołnierza 1. Dyw. Panc."



... robił wrażenie olbrzymiego, wzdętego trupa końskiego...

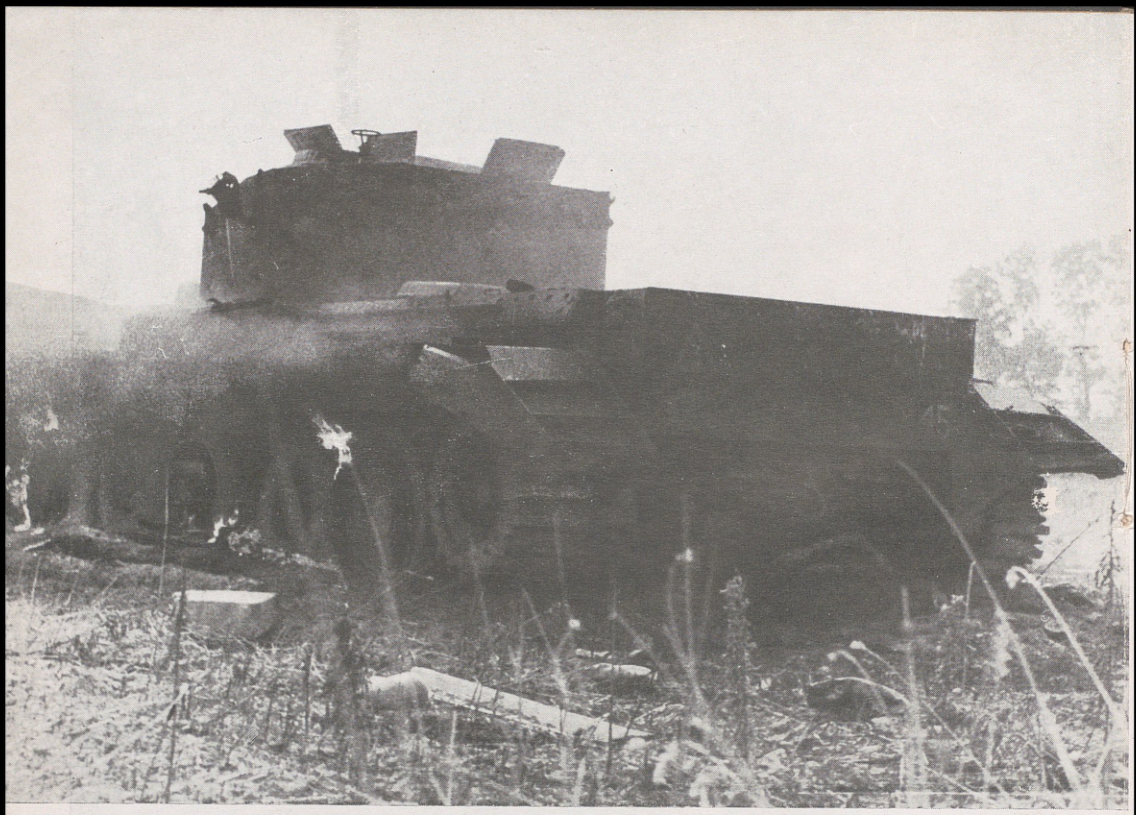

Wspólna dola Cromwella . . .

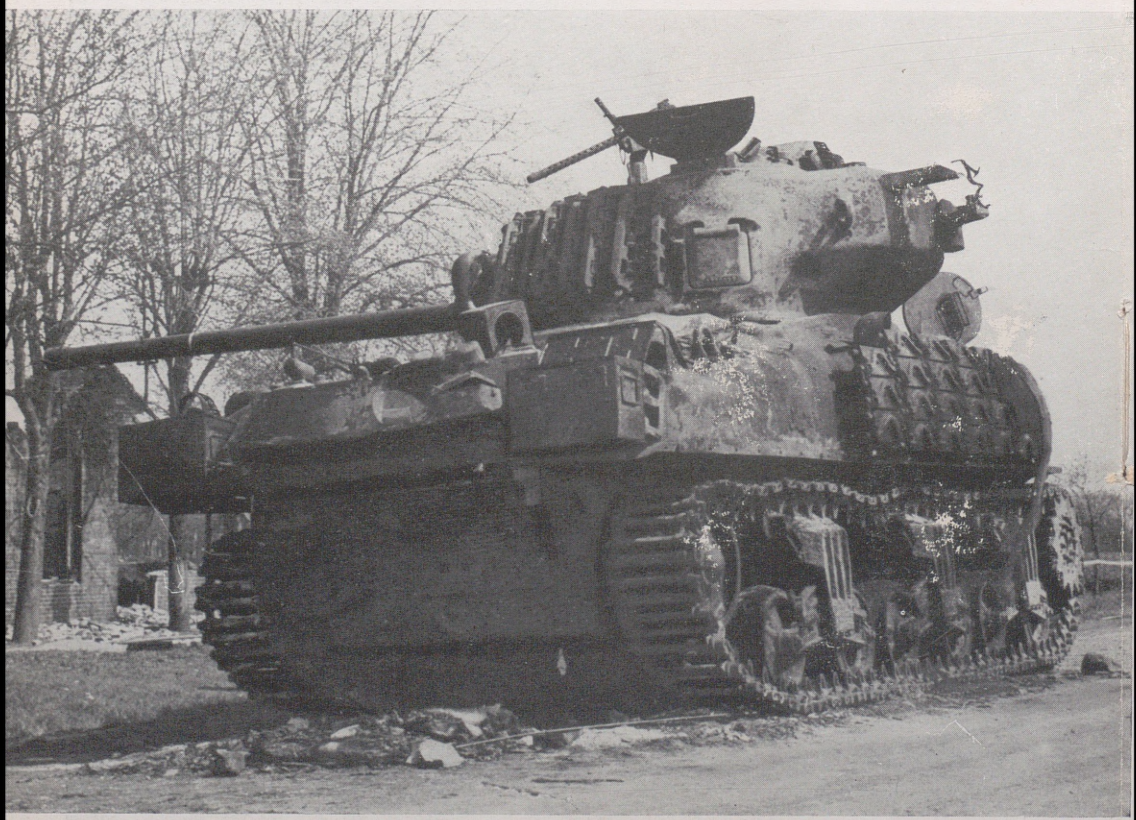

i Shermana . . .

Fot. M. Walentynowicz



W natarciu

Fot. M. Walentynowicz



Rendez-vous z Amerykanami w Chambois

Fot. M. Walentynowicz



Na Maczudze

Fot. M. Walentynowicz



Składanie kolumny



. . . i do tego nawet może służyć działo

MOJA PRZYGODA NA PUNKCIE OPATRUNKOWYM

BYŁO to jednego z owych pamiętnych dni na „Maczudze", kiedy zawiązaliśmy cenny worek zwany „Falaise".

Nie było nam wtedy zbyt wesoło. Siedzieliśmy jakby na maleńkiej wysepce, ustawicznie atakowanej ze wszystkich stron przez potężne siły niemieckie, usiłujące w rozpaczliwej walce, wyrwać się z matni. Gwałtowne nawały ciężkich moździerzy okładały nas tak dokładnie, że dosłownie nosa nie można było wytknąć. Zdecydowałem się nawet zamknąć boczne okienko wieży czołgu, gdy jeden z pocisków trafił w bok naszego czołgu i wybuchł. Poczułem okropne pieczenie oczu i oślepłem. — Szczęśliwie podjechał do nas *recover* i zabrał mnie na punkt opatrunkowy.

Czułem się okropnie. Szumiało mi w głowie, chwilami zdawało mi się, że ktoś nasypał mi do oczu gorącego piasku. Z radością poddałem się zabiegowi przemywania oczu jakimś zimnym płynem. Po chwili usłyszałem głos poczciwego „łapiducha":

— Tu masz aspirynę (!), łyknij sobie.

— O.K. . . .

— A teraz połóż się na trawie i odpoczywaj.

Położyłem się i palcami powoli zacząłem podnosić obolałe powieki. Wprawdzie światło raziło mnie, ale zacząłem już odróżniać dokoła mnie znajdujące się przedmioty. Pośród nich dostrzegłem *carrier* naszej piechoty i z myślą, że zawsze przyjemniej być ze zdrowymi, zacząłem posuwać się w jego kierunku. Byłem już pomiędzy piechurami, gdy nagle las zaczął znowu „chodzić" od nowej serii wybuchów, coraz bliższych i silniejszych.

— Nie ma żartów, kryj się Teofilku — powiedziałem sobie i jak długi wyrżnąłem o ziemię.

Szukam w pobliżu chociażby maleńkiego dołka, w którym mógłbym znaleźć schronienie. Niestety . . . Nowe wybuchy. Zaczynam drzeć gołymi rękoma twardą, spieczoną słońcem, normandzką ziemię. Nowy, bliski, gwałtowny wybuch wciska mnie w ziemię.

Wówczas już nie wytrzymałem i prysnąłem w bok . . . do lasu.

Byłem zagubiony i zdezorientowany. Przyciśnięty płasko do ziemi, rozglądałem się dokoła. W pewnej chwili zauważyłem jakiś czołg. Rdzawy kolor wskazywał na to, że był spalony. (Jak się później okazało był to niemiecki *PZKW IV*). Szybka decyzja: dwa skoki i leżę wciśnięty pod czołgiem.

Poczułem się lepiej. Nawała trwała dalej.

W pewnej chwili ogień ustał. Zapanowała cisza aż dziwna.

— Nie ma sensu siedzieć dalej pod czołgiem — mówię sobie. Trzeba wracać do swoich.

— Ale którędy? Gdzie są Niemcy, a gdzie szwadron?

— Trudno, niech się dzieje wola Boża! Pójdę jak to rozłożyste drzewo...

Nie uszedłem trzydziestu kroków, gdy okrzyk *Hände hoch* zamienił mnie w posąg. Obskoczyło mnie sześciu Niemców. Poczułem lufy pistoletów na plecach i głowie. Zrewidowali mnie gruntownie. Oczy złe, a w brudnych, nieogolonych twarzach — twardy wyraz. Przeleciało mi przez myśl, że to już koniec!

— *Pole?* — wrzasnął mi jeden, prawie że w ucho.

— *Ja* — odpowiedziałem, a właściwie zachrypiałem, bo nagle dziwnie zaschło mi w gardle.

Dostałem uderzenie kolbą w plecy i ktoś mnie pchnął w kierunku spalonego czołga. Szedłem jak skazaniec.

Właściwie to byłem spokojny. Tylko w myśli pojawił się obraz matki, domu rodzinnego i wspomnienie tych cudownych, przeżytych chwil.

Nagle...

Nagle zajazgotały serie karabinów maszynowych. Świsnęły rekoszety. Instynktownie machnąłem ręką w dół i padłem. Za mną Niemcy. To śmieszne, ale wykonali mój rozkaz. Czułem, że gdybym w tej chwili kazał wykonać im jakiś ruch — wykonaliby go.

Byłem nad nimi górą. Lecz niewiele mi z tego przyszło, bo znowu wtuliłem się w ziemię i prosiłem Boga, by nie strzelali zbyt celnie. Ckm'y zaś szalały. Znałem je dobrze. To były nasze *shermanowskie!* Zdawało mi się, że w tej lawinie ognia rozpoznaję swój karabin ten, który zawsze zacinał się, gdy trzeba było walić!

A trzeba było i walili chłopcy, aż miło!

Huknęły działa i tysiące odłamków dołączyło się do tej muzyki świszczącego żelastwa.

Kątem oka widziałem, jak Niemcy wgryzają się w ziemię i wypatrują dołka, tak jak ja przedtem. Jakiś bliski wybuch obsypał mnie ziemią, a gdy otworzyłem oczy, para butów, która leżała obok mnie, wykonała gwałtowny zwrot i poleciała do tyłu.

Poczułem raczej, niż widziałem, że jestem sam.

Na wprost mnie wali się drzewo i wolno wysuwa się — *Sherman!* Zerwałem się na równe nogi, wrzasnąłem nieludzkim głosem: nie strzelać — i leciałem jak wariat do czołga.

— O Boże — nareszcie!

— Panie poruczniku, st. strzelec X.Y. melduje swój powrót z punktu opatrunkowego. Już tam nigdy więcej nie pójdę.

Wieczorem, sam na ochotnika, kopałem dół pod czołgiem. Ziemia była ta sama. Twarda i kamienista. Ale to furda, miałem łopatę!

Koledzy dziwili się.

— Wariat?

— Nie. Ale idź na punkt opatrunkowy — tam się nauczysz.

TEOFIL BIKOWSKI, St. strz.,
1. Pułk Pancerny

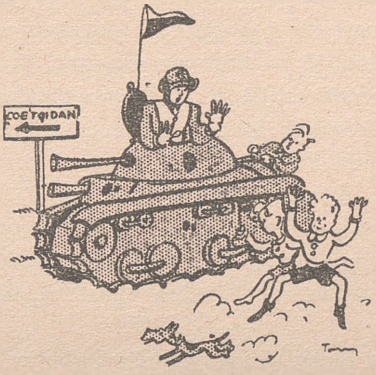

PO CZTERECH LATACH ZNÓW WE FRANCJI

„Skoczyły dziatki i krzyczą jak mogą: Tata, ach tata nasz jedzie"...

MOKRA NOC

CAŁĄ noc z 21 na 22 sierpnia leje deszcz. Nie pada ale leje. Uparcie, przenikliwie, spływa w każdy zakamarek. Jest za kołnierzem, w gaciach, chlupie bajorem w butach Większość z nas nie ma płaszczy ani bluz. Walczyliśmy dotąd w koszulach.

— Ileż to nocy już nie śpimy? — wlecze się leniwe pytanie po mózgu.

— Zaraz... Barou to był piątek... nie, czwartek... Potem było wzg. 259, to drugi dzień i noc... Później upiorny raid nocny... uf, jeszcze parzy niezabliźniona rana... Dalej Champeaux, samotna walka w środku S.S.... Znów dzień i noc.

— Tutaj na wzg. 262 przyszliśmy w sobotę. A potem jeden wielki kierat, czyli jak mówi mój kapral „miszmasz" ... Nic nie rozumiem: gdzie my, gdzie oni, właściwie wiem wszystko: oni z przodu, my z tyłu, a równocześnie oni z tyłu, a my z przodu i znów jakiś przekładaniec z boku, a później wszystko odwrotnie.

— Wszędzie strzały. Granaty z góry i z dołu. I krew. Krew swoja, cudza, końska. Czego się dotkniesz — okrwawione ... I ten cholerny ryk syreny ... Że też ktoś nie wykończy tego pudła.

— A dziś — to chyba już wtorek. Nie jemy ani nie śpimy prawie sześć dni. Dobrze, że stary Pluciński dał mi jakiś koc, mokry, bo mokry — ale koc. Okazuje się, że ta lepka mokrość to grube, tłuste plamy krwi. Kapral ściągnął koc z jakiegoś zabitego: — Pewno mi darujesz Kolego, że go biorę, ale ... ja jeszcze żyję i jest mi zimno ... a Ty i tak już masz dobrze ... przeprasza kapral zabitego.

Hej, Rysiek! — co on robi z tą nogą? —

Rysiek leży w gnojówce i prycha wodą lejącą mu się z nasuniętego na nos hełmu. Nie rusza się, bo już, jak mówi, przyzwyczaił się do tej własnej wody, w której leży. Mówi coś. Zza kłapiących zębów słyszę szczekający szept:

— Jestem jak pies, obity, skopany, mokry, głodny, bezdomny pies. Łazarz na śmietniku miał sucho i nikt do niego nie strzelał. Łazarz zatem nie był prawdziwym Łazarzem, a ja jestem nie Rysiek, ale pies Łazarza ...

Nie chce mi się odpowiedzieć, że Łazarz psa nie posiadał, ale przecież mógł mieć, więc to wszystko jedno.

Trzęsą nami dreszcze z gorączki, głodu i pragnienia. Drżączki nerwowej nie można opanować.

Aha, trzeba sprawdzić co słychać w alejce — idę do Paszka:

— No cóż tam Szkopy?

— A siedzą pewnie jeszcze, ale się nie ruszają.

— Uważaj, żeby cię nie zarżnęli, jak Józka.

Ciekawa sytuacja w tej alejce. Wczoraj rano Niemcy odrzucili nas o jakieś 50 m do tyłu. Potem my ich i znów oni nas i znów my troszeczkę ich, aż ustaliła się „linia demarkacyjna" — alejka. U jej wlotu nasz lkm, u wylotu — oni z k.m. Gdy się ktoś ruszy: seryjka ich, albo nasza.

W nocy niedawno, podeszli pod nas. Złapaliśmy kilku, ale za to oni ukradli nam parę iperytowych płaszczy, a teraz właśnie pada deszcz. Zdaję mi się, że oni na tej imprezie wygrali ...

TADEUSZ KRZYŻANIAK, ppor.
8. Baon Strzelców.

KRZYŻE PRZYDROŻNE

Na drogach z Caen do Falaise
Chrystus na skrzyżowaniach
oczy ma pełne łez
i łzami twarz zasłania.

Idę przez lasy do Argentan
smagany wzrokiem z krzyża.
W sercu mi ciążą gruzy Caen
i straszy duch Paryża.

Czerwoną krwią bełkocze Dives
u stóp Chrystusa płaczem.
Kto z nas pozostał jeszcze żyw
pancerze w rzece płucze.

Jakże daleko tak mam iść
w pancernej awangardzie
i zamiast krzyżom kwiat i liść
kłaść trupy rząd przy rzędzie?

To nie bluźnierstwo, lecz modlitwa:
„Zejdź z krzyża Chryste, wstrzymaj nas!
Pokojem Bożym znów zmartwychwstań
i wojnę zakończ! Już jest czas!"

WACŁAW LISZKOWSKI
1. Pułk Artylerii Motorowej



GORĄCE DNI SIERPNIA

UCHWYCENIE przepraw na rzece Dives wysforowało 1. Dywizję Pancerną w dniu 16 sierpnia 1944 na czoło 21. Grupy Armii, a usadowienie się 10. Brygady Kawalerii Pancernej w godzinach popołudniowych dnia 17 sierpnia pomiędzy Norrey-en-Auge, a Hordouseaux stało się powodem, dla którego marszałek Montgomery, korzystając z niezwykle dogodnego położenia Dywizji, polecił by zamknęła ona drogi odwrotu wysuniętym korpusom marszałka von Kluge.

W pozbawionym dróg, pagórkowatym, pełnym sadów, lasów, żywopłotów i wąwozów terenie zawrzała walka, której kryzys minął dopiero 21 sierpnia. Walka z przeważającymi, lecz zdezorganizowanymi oddziałami doskonałego żołnierza dywizyj S.S.

Zaplątane w walce, zmęczone i wyszczerbione dywizje kanadyjskie pozostały w tyle i nie mogły wykonać narzuconych im zadań, pozostawiając odosobnionych Polaków samym sobie. Trzymając węzeł dróg Chambois oraz dominujące wzgórze 262 (Maczuga) oddziały, obarczone tłumami jeńców, otoczone grupkami i oddziałami niemieckimi różnego autoramentu i na różnym — nie wyłączając *Panter* — sprzęcie, odcięte były od źródeł zaopatrywania i coraz częściej płynące od nich w eterze meldunki przeplatane były wołaniami o amunicję i benzynę.

Ostatnie wozy oddziałowych rzutów „A", pod osłoną *Sherman'ów* i *Cromwell'i* szwadronu czołgów zapasowych, dotarły do oddziałów — nie wszystkich — 19 sierpnia. Stwierdzono niezbicie, że wszelkie dalsze próby będą znacznie trudniejsze i kosztowniejsze. Bezbronne trzytonówki — jeśli nie co krok, to co kilometr prawie — spotykały się łeb w łeb z czołgami, samochodami pancernymi, działami ppanc. i gromadami uzbrojonych, usiłujących wydostać się z matni Niemców.

Kwatermistrzów brygad, pułków, baonów opanowało gorączkowe podniecenie. Biegali jak kury, którym kaczęta — świeżo wyklute z podrzuconych przez podstępnego człowieka jaj — wypłynęły na wodę.

Dywizyjny pancerny wóz dowodzenia Nr. 2 nigdy nie miał tylu — szukających wiadomości lub rady — interesantów. Nigdy telegrafiści tego wozu nie przeżywali takich emocji. Nie mieli takich wypieków na policzkach nawet w pamiętny poniedziałek 14 sierpnia, kiedy fale *Lancaster'ów*, lecąc z otwartymi już drzwiami komór bombowych, wprowadzone w błąd dymnymi pociskami artylerii niemieckiej, zaczęły okładać naszych sąsia-

dów i, przesuwając niszczącą nawałę bomb w stronę dowództwa Dywizji, groziły niechybną zagładą. Plutonowy Spotowski „dziadziem" zwany, niezawodny telegrafista, nadający kluczem z szybkością 120 znaków na minutę, sam osobiście, nie zważając na kolejkę służby, rozsiadł się przy „dziewiętnastce" w obawie by przypadkiem mały Henio Łoziński, osiemnastolatek z Rosji dokoła Afryki morzem przywieziony, nie przegapił jakiegoś szczegółu, który może być bezcenny. Kierowca wozu, kapral, rosły Władek Skóra, wciskał swą wielką postać do przedziału radiowego, usiłując dosłyszeć szmer wiadomości, brzęczących w słuchawkach.

Przyjechał pod wieczór, kiedy szarzeć ledwie zaczynało, kpt. Jan Kurowski, kwatermistrz 10. Brygady Kawalerii Pancernej. Brygada, walcząc w tym dniu ciężko z piechotą i bronią pancerną, dochodzi gdzieś do wzgórz na południe od Hordousseaux. Dowódca Brygady płk. dypl. Tadeusz Majewski woła o amunicję, woła o benzynę. Powiedział „rób co chcesz, a zaopatrzenie musisz dowieźć jeżeli mamy skutecznie dalej działać". A jak dowieźć kiedy wszędzie tłumy Niemców? Ruszyły czołgi szwadronu czołgów zapasowych, by służyć ubezpieczeniem. Kurowski wsiadł do swego *scout-car'a* i pojechał, by dostać się do wysuniętego rzutu dowództwa Brygady. Pojechał, by nigdy już nie wrócić. Po wielu tygodniach nadszedł list od kierowcy *scout-car'a* st. strz. Mariana Basary z Anglii, ze szpitala, gdzie usiłowano mu tchnąć życie w bezwładną od postrzału prawą rękę. Jadąc już po zmroku, pomiędzy Norrey-en-Auge, a Grand-Mesnil, wpadli na jakiś oddział niemiecki, który przywitał ich *scout-car* strzałem *Panzerfaust'a*. Kurowski trafiony w głowę zginął na miejscu, kierowca — ranny, wzięty do niewoli, został odbity przez Kanadyjczyków i trafił do *Royal Victoria Infirmary* w Newcastle.

Prawie jednocześnie z wiadomością o zaginięciu kpt. Kurowskiego przyszła wiadomość o śmierci kwatermistrza 1. Pułku Artylerii Motorowej. Kpt. Edward Zan-Kreyser zginął trafiony 17 pociskami karabinu maszynowego o godz. 16.00 również 18 sierpnia. Jadąc *jeep'em*, o 2 kilometry na południe od Grand-Mesnil, trafił na moment walki *Pantery* z czołgami 10. Pułku Strzelców Konnych. *Pantera* została zniszczona, mimowolny świadek, jadący po zaopatrzenie dla swego pułku, nie może nam opowiedzieć swych wrażeń.

Seria nieszczęść się rozpoczęła. W godzinach przedpołudniowych, zbliżała się chyba 11.00 — dokładnie czasu nikt nie stwierdził — zginął ogólnie lubiany, prawy, pogodny, oficer zaopatrywania 24. Pułku Ułanów, kawaler Virtuti Militari, porucznik Jan Skirmuntt. Dowiózłszy w nocy zaopatrzenie dla pułku do lasków na wzgórzu 137 koło Hordousseaux, wracał z kolumną wozów, prowadząc ją na *jeep'ie*. Dojeżdżającego już do Norrev-

en-Auge za załamaniem drogi przywitał strzał z działka ppanc. Pocisk zniósł blond głowę Jasia Skirmuntta. Zginął jednocześnie kierowca — ułan Mieczysław Trojan. Czasu było dość. Z idących za *jeep'em* wozów tylko jeden wyleciał na minie, reszta zdążyła zawrócić i inną drogą cało dotarła do Jort.

Podobno prawo serii wymaga tylko trzech wypadków. Tym razem było inaczej. Dnia następnego o 10-tej rano zginął kwatermistrz 8. Baonu Strzelców — rtm. Józef Lichtarowicz. Mawiał, że lubi na Niemców „zapolować". Jeździł zawsze ze zdobycznym *Spandau'em*. W dniu 20-go ruszył na rozpoznanie dróg, którymi by mogło dotrzeć zaopatrzenie do, walczącego w rejonie wzgórza 262, baonu. Minęli w drodze przesuwające się *sextony* 1. Pułku Artylerii Motorowej, wymienili uśmiechy z zakurzonym, lecz pełnym humoru ppłk. Borzysławskim, a w chwilę później natknęli się na grupkę Niemców. Lichtarowicz ze *Spandau'em* w garści wyskoczył by wziąć jeńców. Na słowo *„Halt"* padła seria strzałów z broni maszynowej. Jeszcze jeden kwatermistrz ubył z szeregu.

Jasnym się stało, że trzeba szukać innych sposobów dostarczenia gwałtownie potrzebnej amunicji, by sprzęt nasz nie stał się bezużyteczną kupą szmelcu.

Z południa zbliżali się Amerykanie. Ale na Amerykanów, poza benzyną i żywnością, trudno liczyć, bo nie wiadomo czy potrzebne nam rodzaje amunicji mają ze sobą i w jakich są warunkach, a wiadomo, że do zaopatrywania nas napewno przygotowani nie są.

Dywizja zaczęła szturmować Korpus żądaniami zrzucenia zaopatrzenia z powietrza.

Kanadyjczycy pokiwali głowami z aprobatą. Dobra myśl. Zaczęli szperać w swoich *Field Service Pocket Books* i po chwili zatrzymali się na *Part II — Pamphlet Nr. 6*. O.K., ustalić wyraźne dla patrzącego z góry miejsce w terenie, oznaczyć pole zrzutu płachtami sygnałowymi i bezpośrednio przed spodziewanym nadlotem zapalić kolorowe świece dymne, by wskazać lotnikowi kierunek, w którym należy zrzucać ładunek. Amunicję zapakuje się w kosze w W. Brytanii, za 48 godzin możemy zrzucać". Zaczęły się zajadłe targi. Ostatecznie stanęło na 18 godzinach.

Deszcz opóźnił wyznaczony termin. Dnia 21 sierpnia, po mokrej nocy, ranek był mglisty, wciąż jeszcze mżył drobny deszcz. Nad naszymi głowami przeleciały nisko, na pułapie nie wyżej chyba 50 metrów, *Dakoty*. Czy we mgle znajdą wyznaczone rozwidlenie dróg pod Chambois? Część znalazła. Tylko drobna część, bo większość zrzuciła swoje kosze zdumionej brygadzie kanadyjskiej piechoty, o 8 kilometrów bliżej w podobnym rozwidleniu dróg pod Trun.



Boża Męka na Mont-Ormel



Psie Pole 1944 (Maczuga)

10. Pułk Strzelców Konnych i 24. Pułk Ułanów skorzystały ze zrzuconej na jaskrawych żółtych spadochronach amunicji do dział czołgowych. Przedtem jeszcze 10. Pułk Dragonów dostał żywność, benzynę i trochę amunicji od amerykańskiego 395. Pułku Piechoty z 90. Dywizji, która nadeszła od południa. 11. Brytyjska Dywizja Pancerna odstąpiła trochę — bardzo zresztą niewiele — amunicji do broni maszynowej i granatów do moździerzy 3-calowych. Emocje trwały jednak jeszcze przez cały dzień i noc i dopiero 21 sierpnia kryzys walki zaczął mijać. Dnia tego dochodzi wreszcie zaopatrzenie, dochodzą wozy sanitarne, wsparte zwykłymi 3-tonówkami wymoszczonymi słomą.

Skończyła się paradoksalna sytuacja, w której Dywizja, będąc głównym ogniwem pierścienia, otaczającego Niemców w potrzasku pod Falaise, sama była otoczona i tylko najwyższym wysiłkiem wszystkich żołnierzy, dając niezwykłe dowody hartu ducha, wyszła z tej ogniowej próby zwycięsko.

JAN MAROWSKI, mjr. dypl.

ŻOŁNIERZE 1. DYWIZJI PANCERNEJ !

Po 4 latach jesteśmy znowu we Francji. Wyładowaliśmy się na wolnej ziemi francuskiej, aby u boku Anglii i Ameryki bić się dla polskiej sprawy.

Gdy w czerwcu 1940 roku opuszczaliśmy Francję — nasze szeregi były przerzedzone, nasza przyszłość nieznana i byliśmy bezsilni. Dzisiaj, po 4 latach pracy na ziemi brytyjskiej, rozpoczęliśmy marsz bojowy do Polski. Pierwszym etapem tego marszu jest znowu Francja. Ale teraz zmieniły się warunki. Przychodzimy tutaj w poczuciu własnej dumy i własnej siły.

Jesteśmy dumni, bo przez 5 lat wojny nie załamaliśmy się i nie złożyliśmy broni. Przeciwnie, żmudną i wytrwałą pracą stworzyliśmy Dywizję Pancerną, pierwszą w historii naszej armii. Ta Dywizja staje dzisiaj na polu bitwy naprzeciw tych, którzy ogłaszali całemu światu, że przestaliśmy istnieć.

Jesteśmy silni, bo mamy w naszej Dywizji najlepszy sprzęt, jakim rozporządzają Sprzymierzeni. Wiemy, jaką wartość ten sprzęt posiada i umiemy go dobrze użyć. W tym leży siła fizyczna. Oprócz tego wnosimy na pole bitwy coś, czego już dzisiaj nie mają Niemcy. Wnosimy olbrzymią siłę moralną. Wnosimy pełną świadomość tego, że bijemy się o słuszną sprawę i że pierwsze blaski zwycięstwa już widać przed nami.

I dlatego, idąc do pierwszej bitwy, będziemy żądali rachunku za całe 5 lat tej wojny. Za Warszawę, za Kutno, za Westerplatte i za setki i tysiące bezbronnych ofiar, które zginęły z ręki zaborcy. Zażądamy rachunku za każde polskie życie, które zabrali Niemcy.

Nie znaczy to jednak, że macie stosować barbarzyńskie metody walki. Bijcie się tak, jak bił się zawsze żołnierz polski w ciągu całej naszej historii. Bijcie się twardo i po rycersku.

Do naszej pierwszej bitwy idziemy z najlepszymi dywizjami Sprzymierzonych. My wiemy, co jesteśmy warci i dlatego dzisiaj, jako wasz dowódca, życzę wam jednego :

Niechaj za zaszczyt walczenia z nami Niemcy zapłacą obficie własną krwią.

I pamiętajcie wszyscy o jednym. Żołnierz bije się o wolność wielu narodów — ale umiera tylko dla Polski.

Wierzymy wszyscy, że z trudu naszego i znoju Polska powstanie by żyć !

Dowódca 1. Dywizji Pancernej
MACZEK, gen. bryg.

TELEGRAM DOWÓDCY I. ARMII KANADYJSKIEJ DO DOWÓDCY I. DYWIZJI PANCERNEJ

Gen. Crerar, dowódca 1. Armii Kanadyjskiej, nadesłał gen. Maczkowi w dniu 21 sierpnia 1944 r., za pośrednictwem dowódcy Korpusu, gen. Simondsa, następujący telegram :

> Gen. Crerar polecił mi przekazać Panu jego gratulację z powodu doniosłego i dzielnego udziału, jaki w ostatnich walkach wzięły wszystkie jednostki, pozostające pod Pana rozkazami. 1. Armia Kanadyjska jest bardzo dumna z faktu, że Polska Dywizja Pancerna wchodzi w jej skład. Jeśli w przyszłości wszyscy razem będziemy walczyć równie zdecydowanie i tak dobrze, jak obecnie — to obchodzenie przez nas wspólnie ostatecznego zwycięstwa nie może ulec dłuższej zwłoce.

Przesyłając powyższy telegram, dowódca Korpusu Kanadyjskiego gen. Simonds dodał od siebie następujące słowa :

> Jestem głęboko zadowolony, że doskonałe wyniki osiągnięte przez Polską Dywizję Pancerną spotkały się z takimi słowami uznania ze strony dowódcy Armii.

WSPANIAŁA WALKA POLAKÓW

Czołowe pismo fachowe brytyjskiej broni pancernej „Tank" zamieściło pod powyższym tytułem w swym numerze z września 1944 r., dłuższy opis walk 1. Dywizji Pancernej pod Falaise i Chambois, z którego podajemy szereg wyjątków.

Dopiero teraz ogłoszono oficjalnie, że Polska Dywizja Pancerna, pod dowództwem gen. Maczka, odegrała czołową rolę w uzyskaniu zwycięstwa Sprzymierzonych w Normandii, zamykając w dniu 21 sierpnia 1944 r. lukę, która była jedyną pozostałą drogą wyjścia, na wschód od Argentan, dla przetrzebionej armii niemieckiej. W ciągu 6 dni bardzo ciężkich walk Polska Dywizja wytrzymała sama całą furię ataku dwóch niemieckich korpusów S.S., biorąc do niewoli 5,000 jeńców, w czym 1 generała i 140 oficerów.

Bitwa, zmierzająca do zniszczenia sił niemieckich, osiągnęła moment krytyczny w dniu 18 sierpnia. Podczas, gdy jedne oddziały polskie musiały utrzymać całość zdobytego terenu, inne oddziały polskie — atakowane bez przerwy przez nieprzyjaciela, który dopiero teraz zaczynał sobie uprzytamniać, iż jego koniec zbliża się — parły jak walec parowy na Chambois w kierunku ostatniej drogi, pozostającej jeszcze otworem dla Niemców.

Z pośród pól bitew Normandii żadne inne nie przedstawia takiego obrazu piekła, zniszczenia i śmierci, jak to, które rozciąga się na północny-wschód od Chambois. Tam, w wykonaniu osobistych rozkazów Hitlera, dwa wyborowe korpusy S.S. przeprowadzały atak za atakiem, starając się rozpaczliwie przerwać żelazny pierścień, który Polacy zaciągnęli dookoła nich. W tej to właśnie fazie bitwy Polska Dywizja Pancerna, operująca o jakieś 5 mil dalej od swych kanadyjskich i amerykańskich sąsiadów, musiała powstrzymać cały ciężar fanatycznego naporu Niemców.

Punkt szczytowy bitwy przypada na noc z 19 na 20 sierpnia. Szereg polskich jednostek, zamykających lukę, było atakowanych przez czołgi niemieckie nietylko od zachodu, ale w niektórych okresach bitwy dosłownie ze wszystkich stron. Pomimo, iż wiele jednostek meldowało, że zużywają właśnie ostatnie posiadane pociski, to jednak bez wytchnienia parły one naprzód i zamykały lukę stalową bramą. Z nastaniem wieczoru dnia 20 sierpnia nacisk nieprzyjaciela zaczął słabnąć, by ustać prawie zupełnie w ciągu nocy. Amerykanie, z którymi Polacy nawiązali pierwszą łączność poprzedniego dnia, zaczęli dostarczać paliwa i amunicji oddziałom gen. Maczka. Teraz nareszcie można było ewakuować rannych z pola bitwy.

W dniu 21 sierpnia zwycięstwo zostało w pełni osiągnięte. Około godziny 11.00 Kanadyjczycy zrównali się z Polakami na ich lewej flance. Obecnie należało oczyścić „worek", który był już ostatecznie zamknięty.

Bitwa o Normandię była w swej istocie zakończona. Rozpoczynała się katastrofa armii niemieckich na terenie całej Francji.

Generał, dowódca Korpusu Kanadyjskiego, zwiedzając pole bitwy na północny wschód od Chambois oświadczył, że nigdy w swoim życiu nie widział takiego całkowitego spustoszenia.

K U L Ą W P Ł O T



SNIPERZY MIĘDZY SOBĄ

... Ty się kul nie bój. Uważaj na dzięcioła! ...



AUDYCJA B.B.C.
Z DN. 19. b.m., g. 21

... „Amerykanie" i „Kanadyjczycy" nawiązali łączność pod Chambois ...



Flirt



Jak mały Franio wyobraża sobie spotkanie z tygrysem w Normandii ...

Z „Dziennika Żołnierza 1. Dyw. Panc."

POŚCIG

W S T Ę P

W dniu 23 sierpnia 1944, 1. Dywizja Pancerna przechodzi w rejon Vaudeloges pod Falaise, celem niezbędnego uzupełnienia strat, poniesionych w dotychczasowych walkach w ludziach i sprzęcie.

W okresie siedmiodniowych przygotowań Dywizji do pościgu, spośród służb dywizyjnych, największą pracę wykonały oddziały warsztatowe; natomiast w czasie samego pościgu, cały ciężar i odpowiedzialność za udanie się akcji spadł na barki oddziałów zaopatrywania. Działy kwatermistrzowskie wszystkich szczebli pracowały w tym okresie bez przerwy na „nad-obrotach", by w najkrótszym czasie uzupełnić braki i zapewnić tym samym oddziałom liniowym możność podjęcia i kontynuowania błyskawicznego ruchu do przodu na głębokość 400 kilometrów.

Dnia 30 sierpnia, to jest w dniu, w którym Dywizja ruszyła do nowych działań, położenie własne na froncie przedstawiało się następująco: Cztery armie alianckie posuwały się w kierunku wschodnim i północno-wschodnim z tym, że:

1. Armia Kanadyjska, w skład której wchodziła 1. Dywizja Pancerna — w kierunku Rouen, a następnie przez Pas de Calais na północną Belgię,

2. Armia Brytyjska — na środkową Belgię, z tym, że osiągnąwszy Brukselę, przechodzi na kierunek północno-wschodni, Antwerpia — Turnhout — Tilburg — Arnhem,

1. Armia Amerykańska — swym prawym skrzydłem na kierunek Księstwa Luxemburg, lewym na Mons — Liège,

3. Armia Amerykańska z rejonu Paryża na kierunek Nancy — Verdun.

Działania na odcinku 1. Dywizji Pancernej, z uwagi na ich charakter, można podzielić na dwa okresy:

Pierwszy od dnia 30 sierpnia, to jest od wyruszenia z rejonu Vaudeloges, do 8 września — zdobycia miejscowości Thielt w Belgii.

Drugi okres, to walki w rejonie Gandawy, Lokeren, St. Nicolas, Sinay, Hulst — Axel, kończący się osiągnięciem przez Dywizję ujścia rzeki Skaldy w dniu 20 września 1944.

Cechą charakterystyczną działań tego okresu był element ruchu i manewru. Twardy, suchy grunt, teren lekko falisty, słabo pokryty, o dobrym wglądzie, nadawał się znakomicie do działań jednostkami pancernymi. Przeszkody terenowe, głównie w postaci rzek, choć biegnące poprzecznie do osi działań Dywizji i bronione na przejściach przez nieprzyjaciela, nie były nigdy elementem poważnie opóźniającym ruch Dywizji do przodu. Samo stwierdzenie, że w okresie dziewięciu dni, walcząc, Dywizja przebyła około 400 kilometrów — mówi za siebie.

Nieprzyjaciel, słusznie oceniając beznadziejność położenia, w którym się znalazł, usiłując ratować gros swych oddziałów przed dosłownym rozjechaniem i zniszczeniem ścigających go czołgów w terenie otwartym i nieprzygotowanym do obrony, stawiał w ciągu dnia elementami osłonowymi zacięty, fanatyczny opór aż do zmroku pancernego. Przeważnie ograniczał się w tym do obrony przeszkód wodnych, węzłów drogowych lub większych miejscowości, jak Abbeville, St. Omer, Ypres, Roulers, Ruysselede, Hoglade wreszcie Thielt.

UWAGA: patrz mapa na str. 140.

Po zapadnięciu zmroku, gdy jednostki pancerne nie mogły prowadzić dalszego pościgu, przestając być na kilka godzin groźne dla Niemców — nieprzyjaciel wycofywał się pośpiesznie pod osłoną nocy. Częstokroć jednak taktyka nieprzyjaciela spalała na panewce. Czołowe elementy Dywizji z chwilą przełamania obrony nieprzyjaciela na jej punktach oporu, wpadały w próżnię i parły naprzód, niszcząc na swej drodze zaskoczone, zdezorientowane, wycofujące się z różnych kierunków, kolumny nieprzyjaciela. W wypadku napotykanych poważniejszych oporów, czołowe elementy, by nie zmniejszać tempa posuwania się Dywizji, wymijały je, pozostawiając likwidację ich oddziałom postępującym w drugim rzucie.

Dzięki zastosowaniu tej taktyki, nieprzyjaciel, bezustannie zaskakiwany tempem posuwania się Dywizji, nie był w stanie odtworzyć stałej linii frontu w czasokresie swego odwrotu, którego głębokość dochodziła do 400 kilometrów.

Przez cały czas trwania pościgu, 1. Dywizja Pancerna będąc czołową 1. Armii Kanadyjskiej, wbiła się głębokim klinem w nieprzyjaciela, pozostawiając sąsiednie dywizje w tyle za sobą.

Drugi okres działań Dywizji, zaczynający się od walk w rejonie na północ od Gandawy, a kończący uchwyceniem ujścia rzeki Skaldy, różni się od poprzedniego brakiem elementu ruchu i manewru.

Teren nie nadaje się do działań sprzętem pancernym. Grunt grząski, podmokły, nie pozwala czołgom zjechać z drogi. Liczne mniejsze lub większe kanały biegną poprzecznie do kierunku ruchu Dywizji. Drożnia na wysokich nasypach — groblach, umożliwia nieprzyjacielowi otwarcie bezpośredniego ognia na wielkich odległościach do naszych oddziałów. Należy też dodać, że nieprzyjaciel wzmocnił naturalne, obronne właściwości tego terenu zalewami, polami minowymi oraz umocnieniami ziemnymi, świetnie zamaskowanymi, panującymi nad ważniejszymi punktami w terenie: drogami i przeprawami.

W tych warunkach oddziały Dywizji walczą ciężko, przeważnie czołowo w rejonie Gandawy, następnie St. Nicolas, wreszcie krwawią się w trzydniowej, ostatniej bitwie tego okresu, forsując kanał Hulst — Axel.

* * *

Rzut oka na mapę skonfrontowany z tabelą marszu Dywizji, daje obraz ogromu przestrzeni, połkniętej jednym haustem przez 1. Dywizję Pancerną. Pokonując tę przestrzeń od Vaudeloges aż do ujścia Skaldy, Dywizja nie tylko pokonywała opór nieprzyjaciela, budowała ona pod ogniem mosty zniszczone przez nieprzyjaciela, ewakuowała rannych i jeńców wojennych, wreszcie, by móc walczyć następnego dnia, musiała w ciągu nocy otrzymać benzynę do pustych baków, amunicję do komór nabojowych, żywność do równie pustych brzuchów.

Aby dokonać tak wiele w tak krótkim czasie, Dywizja, jako całość, musiała przez swe wszystkie szczeble, rodzaje broni i służby, pracować zgranym zespołem z całym poświęceniem i zaparciem się siebie, opartym na gruntownym wyszkoleniu jednostkowym i zespołowym.

Jednym z najpoważniejszych problemów tego okresu była kwestia zaopatrzenia Dywizji w środki, od których był uzależniony jej ruch do przodu. Trzeba bowiem pamiętać, że okres płytkiego przedmościa Normandii, w którym źródła zaopatrzenia nieomal zlewały się z linią frontu — minął. I choć front ruszył daleko do przodu, one zostały w miejscu. Z każdym dniem linie wydłużały się,

a zużycie benzyny, amunicji, żywności bynajmniej nie malało. Gdy Dywizja walczyła w Belgii i Holandii odległość dzieląca ją od źródeł zaopatrywania w amunicję wynosiła 350, a w benzynę i żywność 250 kilometrów.

Kryzys zaopatrzenia osiągnął swój punkt szczytowy począwszy od działań w rejonie Gandawy. Wyraził się on likwidacją zapasu amunicji i benzyny II linii w kampaniach zaopatrywania, które bezpośrednio uzupełniały bieżące potrzeby oddziałów walczących. By częściowo zaradzić temu stanowi rzeczy, dowódca korpusu ograniczył zużycie amunicji, ustalając dotkliwie zmniejszoną normę pocisków na działo. Mimo tych trudności Dywizja ani na chwilę nie znalazła się w położeniu, w którym by była zmuszona do zaprzestania działań z powodu braków w zaopatrzeniu.

W omawianym okresie straty własne wyniosły 32 oficerów i 462 szeregowych. Wzięto do niewoli 63 oficerów i 4849 szeregowych.

W tym okresie Oddziały Zaopatrywania Dywizji wydały żywności 834 ton, amunicji 2047 ton i materiałów pędnych 2661 ton. Przeciętnie każdy wóz przebył 2300 km. W Oddziałach Warsztatowych naprawiono 196 czołgów oraz 291 innych pojazdów. Oddziały Sanitarne udzieliły pomocy 186 rannym i 316 chorym.

KALENDARZ DZIAŁAŃ DYWIZJI

29.VIII. — 30.VIII. Dywizja przeszła szybkim marszem podróżnym w dwóch rzutach (gąsienicowy i kołowy) w rejon Elbeuf nad Sekwaną.

31.VIII. Dywizja przeprawiła się przez Sekwanę po moście pontonowym wykonanym przez własnych saperów (Warsaw Bridge) koło Criquebeuf-sur-Seine i doszła jeszcze tego dnia do rejonu Letteguives (15 km na wsch. od Rouen).

1.IX. Dywizja, otrzymując pierwszeństwo ruchu minęła oddziały alianckie i ruszyła do pościgu w kierunku na Abbeville. Zgrupowanie: 10. P.S.K. wzmocniony szwadronem dragonów, dyonem ppanc., i plutonem saperów, w godzinach południowych uchwyciło przeprawy na rzece Bresle, pokonując opór nieprzyjaciela w Blangy. W godzinach wieczornych zgrupowanie osiągnęło rejon Béhen, około 10 km na płd.-zach. od Abbeville, w styczności z nieprzyjacielem. — 10. Bryg. Kaw. Panc. doszła do rejonu Foucarmont. — 3. Bryg. Strz. do rejonu Les Essarts Varimpre, gdzie zatrzymały się na postój nocny. — Saperzy Dywizji pracowali intensywnie na korzyść Korpusu przy przeprawach przez rzeki.

2.IX. Zgrupowanie 10. P.S.K. w dotychczasowym składzie i zgrupowanie: 10. P. Drag. z 1. P. Panc. i dyonem ppanc. w go-

dzinach rannych osiągnęły rzekę Somme i zatrzymały się na zniszczonych przeprawach w rejonie Abbeville.

Po południu zgrupowanie 3. Bryg. Strz. otrzymało zadanie rozpoznania i sforsowania rzeki Somme, w wykonaniu czego B.S.P. otrzymał rozkaz samodzielnego działania na Abbeville, a 8. B.S. i 9. B.S. oraz 10. P. Drag. i 11. Komp. Sap., w kierunku na Gouy (2 km płn.-zach. od Abbeville).

W godzinach wieczornych doszły do linii rzeki Somme i intensywnie rozpoznawały przeprawę.

W ciągu dnia Artyleria Dywizyjna wspierała oddziały walczące o dojście do przepraw.

3.IX. Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. do świtu sforsowało rzekę Somme i po oczyszczeniu terenu z nieprzyjaciela zorganizowało przedmościa w rejonach Port-le-Grand i Flibeaucourt (8. B.S.) oraz Grand Laviers i Buigny - St. Maclou (9. B.S.) B.S.P. o świcie przeprawił się przez Somme i do godziny 10-tej opanował Abbeville.

Saperzy pracowali przy budowie mostu na wysokości Grand Laviers. Zgrupowanie 10. P.S.K. w dotychczasowym składzie w godzinach popołudniowych przeszło Somme przez most sąsiedniej 4. Kanadyjskiej Dyw. Panc. i w działaniu na Hesdin wieczorem osiągnęło w styczności z nieprzyjacielem Le Boisle, gdzie zatrzymało się z powodu zerwanych mostów.

W nocy przez ukończony most na Somme przeprawił się 2. P. Panc. i 1. P.A.M.

4.IX. W pościgu na kierunku Hesdin, St. Omer, Ypres, Dywizja działała po dwóch osiach w ugrupowaniu Brygada pancerna w przód. Zgrupowanie 10. P.S.K. poprzedzając w ciągu dnia 10. Bryg. Kaw. Panc. uchwyciło przejścia na rzekach Canche i Ternoise. Do wieczora Dywizja zdobyła Ruisseauville (24. P. Uł.) i osiągnęła Crepy (10. P.S.K.).

5.IX. Pościg trwał w ugrupowaniu jak poprzednio. W godzinach popołudniowych czołowe oddziały doszły w walce z nieprzyjacielem do kanału Neuf Fosse, zdobywając Belle Croix (1. P. Panc.) oraz St. Omer, które po ciężkiej walce stoczonej w rejonie Wizernes opanował 10. P. Drag.

Npl, po wysadzeniu mostów zorganizował obronę na przeciwnym brzegu.

W ciągu nocy B.S.P. sforsował kanał i do świtu zorganizował przedmoście w rejonie Blaringhem, umożliwiając saperom budowę mostu.

6.IX. W dotychczasowym ugrupowaniu, spychając drobne siły nieprzyjaciela, Dywizja szybkim marszem przekroczyła granicę belgijską (o godz. 13.40) i doszła do rejonu Ypres.

10. Bryg. Kaw. Panc. z 10 P.S.K., po napotkaniu na zorganizowany opór nieprzyjaciela w mieście, ominęła je z dwóch stron.

O godz. 17-tej 3. Bryg. Strz. przeszła do działania i po energicznym natarciu jeszcze w tym dniu opanowała miasto. W walce tej wyróżnił się 9. B.S.

7.IX. Działanie Dywizji na Roulers poprzedzone było rozpoznaniem wzmocnionego 10. P.S.K., który natrafił na zorganizowane opory w miastach Roulers, Hooglede, Gits.

Opór nieprzyjaciela w Hooglede został przełamany natarciem 2. P. Panc. W godzinach popołudniowych do akcji została wprowadzona 3. Bryg. Strz. celem opanowania miasta Roulers. 9. B.S. po ciężkich walkach zdobył miasto przy wsparciu B.S.P. Akcja oczyszczająca trwała do świtu.

Za wyróżnienie się w walkach ostatnich dni na ziemi flandryjskiej 9. B.S. uzyskał miano Strzelców Flandryjskich od Regenta Belgii.

8.IX. Jeszcze w czasie walk w Roulers Dywizja wyłoniła oddział wydzielony w składzie: 24. P. Uł., komp. 8. B.S., dyon 1. P.A.M. i dyon 1. P.A. Ppanc. dla uchwycenia miasta Thielt, by w ten sposób przyśpieszyć dalszy pościg.

Oddział wydzielony wyruszył wczesnym rankiem. Zgrupowanie 10. P.S.K. działało równolegle od płd. na Thielt.

W natarciu na Thielt oddział wydzielony został wzmocniony całością 8. B.S. i po ciężkiej walce opanował miasto. Równocześnie toczyła się ciężka walka o zdobycie Ruysselede (2. P.Panc.) Nieprzyjaciel bronił się uporczywie i poniósł bardzo duże straty.

Wprowadzone do akcji nowe zgrupowanie w składzie 1. P.Panc. i 8. B.S. opanowało miejscowość.

Natomiast zgrupowanie 2. P.Panc. (2. P.Panc. i 10. P. Drag.) działało dalej celem uchwycenia przepraw na kanale gandawskim w rejonie Aeltre, gdzie napotkało na zorganizowaną obronę nieprzyjaciela.

9.IX. — 10.IX. Oddziały Dywizji pozostawały w styczności z nieprzyjacielem na całej szerokości odcinka od Bruges do 10 km na wschód od Aeltre.

Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. przegrupowało się do sforsowania kanału gandawskiego.

Kilkakrotne próby uchwycenia przedmościa na tym kanale przez B.S.P. wsparty całością Artylerii Dywizyjnej nie dały rezultatu na skutek dobrze zorganizowanej obrony nieprzyjaciela.

11.IX. 3. Bryg. Strz. przeszła do rejonu Gandawy i zluzowała 7. Bryt. Dyw. Panc. Północna część miasta była jeszcze

w rękach niemieckich, a miasto znajdowało się pod ogniem artylerii ciężkiej i moździerzy nieprzyjaciela.

12.IX. W ciągu całego dnia trwały walki 8. B.S. i 9. B.S. w północnej części Gandawy przy wsparciu lotnictwa i artylerii. 10. Bryg. Kaw. Panc. omijając Gandawę od południa przeszła w rejon Lokeren — St. Nicolas i rozpoczęła patrolowanie w kierunku płn. i płn.-wsch.

13.IX. Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. w składzie: 8. B.S. i 9. B.S. 24. P. Uł. i 1. P.A.M. wyrzuciło nieprzyjaciela z północnej części miasta na rzekę Lieve.

W ciągu 13-go i 14-go września 10. P.S.K. dozorował i patrolował wzdłuż linii kanału na płn.-wsch. od Gandawy.

14.IX. 10. Bryg. Kaw. Panc. bez 24. P. Uł. wzmocniona B.S.P. i wsparta całością Artylerii Dywizyjnej zdobyła Stekene (B.S.P.), rejon La Trompe (10. P. Drag.) oraz osiągnęła St. Gilles-Waes (1. P. Panc.).

Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. w walkach na północ od Gandawy.

15.IX. Dywizja przegrupowała się do działania na Axel i Hulst, pozostawiając do obrony Gandawy oddział wydzielony w składzie: 24. P. Uł., 8. B.S., część Sam. Szw. C.K.M., dyon 2. P.A.M., dyon 1. P.A.Ppanc.

16.IX. Zgrupowanie 3. Bryg. Strz., bez 8. B.S. wzmocnione 10. P.S.K., 10. P. Drag., 11. Komp. Sanit., 10. Komp. Sap., wsparte A.D. rozpoczęło działanie z rejonu St. Paul w kierunku na Axel i Hulst.

W godzinach rannych oddziały czołowe przekroczyły granicę holenderską w rejonie Koewacht.

Do wieczora 10. P. Drag. zdobył małe przedmoście na kanale Axel — Hulst na płn. od fortu St. Nicolas.

9. B.S. wsparty szwadronem 10. P.S.K. doszedł do kanału, na płd. od Axel.

Artyleria Dywizyjna wykonując silne ześrodkowanie na umocnione punkty obrony nieprzyjaciela wydatnie wspierała działania o dojście do przepraw.

17.IX. Przed świtem wyszło silne przeciwnatarcie piechoty niemieckiej wzmocnione samochodami pancernymi i uderzyło na skrzydło ugrupowania 10. P. Dragonów.

10. P. Drag. działający bez broni przeciwpancernej poniósł ciężkie straty i otrzymał rozkaz wycofania się na płd. brzeg kanału Axel — Hulst.


ANGLIA
KANAŁ LA MANCHE
BELGIA
FRANCJA
DOVER
CALAIS
TERNEUZEN
CROES-ENDIJK
AXEL
HULST
AELTRE
ST. NICOLAS
CENT
THIELT
LOKEREN
ROULERS
YPRES
ST.OMER
HESDIN
ABBEVILLE
BLANCY
NEUFCHATEL
BUCHY
CAEN
THIBERVILLE
ELBOEUF
NEUBOURG
LIVAROT
FALAISE
TRUN
CHAMBOIS
ARGENTAN
PARYŻ
0 10 20 30 40 50
"POŚCIC"

Artyleria Dywizyjna położyła ogień na przeciwnatarcie nieprzyjacielskie umożliwiając wycofanie się dragonów. Zadanie obrony płd. brzegu i osłony wycofania się dragonów otrzymał B.S.P. wzmocniony szwadronem 10. P.S.K. Na skutek utraty przedmościa zgrupowanie 3. Bryg. Strzel. przeszło do obrony przejściowej na linii kanału 8. B.S. natarł na La Cligne i w ciągu nocy opanował tę miejscowość.

18.IX. Po południu B.S.P. wsparty ogniem czołgów 10. P.S.K. oraz Artylerii Dywizyjnej sforsował kanał Axel — Hulst w rejonie Kijkuit i zorganizował silne przedmoście.

W ciągu całej nocy 10. Komp. Sap. intensywnie pracowała nad budową mostu pod ciężkim ogniem, ponosząc duże straty w ludziach i sprzęcie. O świcie most był ukończony.

19.IX. Skoordynowane działanie piechoty (3. Bryg. Strz.), z czołgami 10. P.S.K. przy wykorzystaniu manewru oskrzydlającego, doprowadziło, po zaciętych walkach, do zdobycia Axel i rejonu na płn. od tej miejscowości.

Artyleria Dywizyjna wprowadzona na stanowiska na płn. od Axel trzymała pod silnym ogniem drogi wycofania i porty załadowcze nieprzyjaciela (Terneuzen).

Wieczorem zgrupowanie 3. Bryg. Strz. zostało wzmocnione 1. P.Panc., który osłonił działanie jej zachodniego skrzydła.

20.IX. Nieprzyjaciel rozbity w ciągu trzydniowych walk nie stawiał zorganizowanego oporu i wycofywał się bezładnie na płn., w kierunku ujścia Skaldy.

Przed południem 10. P.S.K., działając w szerokim pasie, doszedł do ujścia Skaldy w kilku punktach na 10 km odcinku zatapiając ogniem dział pięć barek naładowanych ewakuującymi się Niemcami i zdobył jeden patrolowiec.

Oczyszczenie terenu między portem Terneuzen a Walsoorden Haven wykonały trzy grupy bojowe 3. Bryg. Strz. opanowując Terneuzen i dochodząc na całej szerokości do morza.

10. P. Drag. zajął w tym dniu miasto Hulst.

21.IX. — 27.IX. Dywizja przebywała na postoju na pograniczu Belgii i Holandii w rejonie: Axel — Terneuzen — Hulst — St. Nicolas — Lokeren, oczyszczając i patrolując teren na płn. od zatoki Skaldy.

OD NORMANDII DO SKALDY

WŁAŚCIWIE to jechałem do dywizyjnego plutonu mostowego. Ale tak się złożyło, że pluton mostowy i kompania parkowa saperów stały koło siebie; wykorzystując więc nadarzającą się okazję, postanowiłem wstąpić, by się przekonać jak pracuje „parkowa".

Samochody kompanii stały rozrzucone pod drzewami. Pierwszy, na który się natknąłem był obłożony tabliczkami pomalowanymi na biało, które schły w słońcu. Wewnątrz wozu, trzech czy czterech saperów pracowało zawzięcie. Byli zajęci pracą do tego stopnia, że nie zauważyli mego pojawienia się.

Pierwszy, na białej prostokątnej tabliczce, malował znak dywizyjny. Przykładał szablon, jeden ruch pędzlem i już tabliczka wędrowała do następnego, by po chwili przesunąć się dalej, tym razem już z napisem głoszącym że *Road only checked*. Trzeci, w prawym dolnym rogu, malował niebieski kwadrat i odkładał tabliczkę na bok.

Praca szła szybko i sprawnie jak w zakładach Forda. Nie było przerw ani zacięć. Bałem się, że zadając pytania przerwę jej tok, ale ciekawość przemogła.

— Ile sztuk takich tabliczek robicie dziennie? — zapytałem.

— Około pięćset sztuk — otrzymałem odpowiedź.

Obecnie, kiedy Dywizja ściga nieprzyjaciela i robi tyle kilometrów dziennie, zapotrzebowanie na tabliczki jest jeszcze większe. Pracujemy tak od rana do nocy, a i tak tego czasu jest za mało.

Zgadza się, przypomniałem sobie, że cała droga od Normandii aż tu, pod Abbeville, oznaczona jest uspokajającymi tabliczkami mówiącymi, że jest wolna od min. Tylko nigdy nie przyszło mi do głowy, że te tabliczki wykonuje się tu, na miejscu, w Dywizji.

Jakiś dziwny warkot zwabił mnie w inne miejsce. Dwóch ludzi cięło drzewo, używając piły spalinowej. Doszedłszy do połowy grubości pnia, operator zatrzymał ją.

— Czy nawaliła? — spytałem, nie bardzo rozumiejąc dlaczego przestali ciąć w połowie.

— Nie, jest już dobra. Wczoraj zepsuła się „jedenastej" (11. Kompania Saperów) przy usuwaniu zawały leśnej i przysłali ją do nas. Na szczęście było tylko małe zacięcie więc będziemy mogli ją odesłać jeszcze dziś.

Okazało się, że zawędrowałem do plutonu warsztatowo-naprawczego. W jednym z samochodów plutonu spotkałem kilku saperów męczących się nad jakimiś aparatami.

— Powinny być O.K. — usłyszałem. — Tym razem próba winna się udać — ciągnął ten sam głos. Dołączali zapalarki do jakichś drutów, które dopiero teraz, z bliska poznałem, że to sieć ogniowa. Ale spłonki, mimo że zapalarki miały być O.K., nie chciały detonować.

— Trzeba będzie rozebrać jeszcze raz — usłyszałem na odchodnym.

Piły mechaniczne, ładownie, sprężarki, wykrywacze min — wszystko to można było spotkać w plutonie warsztatowym kompanii parkowej. Naprawiony sprzęt odchodził do kompanii liniowych, a na jego miejsce przychodził uszkodzony względnie zepsuty.

Odchodziłem już, kiedy wpadł goniec i zadyszanym głosem zaczął meldować szefowi:- Panie szefie, na przeprawie 10. Kompanii został uszkodzony człon. Trzeba natychmiast wysłać silnik i mechanika do naprawy drugiego.

Stałem właśnie koło silnika, którego naprawę ukończył przed chwilą mechanik sprzętu saperskiego.

Na samochód z mojej kompanii saperzy ładowali sprzęt. Piły ręczne, oskardy, zwoje lin, drut kolczasty, jakieś kołki drewniane i stalowe. Obok wozu stał magazynier z papierkiem w ręku, notując każdą wydaną rzecz.

— To wszystko na dzisiaj — powiedział.

— Panie plutonowy, czy nie mógłby pan nam dać kilka funtów gwoździ, trochę farby . . . ?

— Trochę, to znaczy ile ? cysternę ?

— Tak z pięć galonów — ciągnął niezbity z tropu kapral. Przydało by się też z kilka baterii do latarek.

— Nie ma, nie po to zakładamy punkty wodne żebyście pili farbę, przerzuć się na *calvados* — młody człowieku. A zresztą złóżcie zapotrzebowanie.

Dopiero teraz zrozumiałem, kto uzupełnia migiem te zagubione młoty, połamane łopaty. Pluton sprzętowy dostarczał wszystkiego co etatowo kompanii przysługiwało.

Dwaj magazynierzy doszli widocznie do porozumienia, bo na wozie znalazła się i bańka z farbą i gwoździe, a nawet baterie do lampek, chociaż dyskusja o nie toczyła się najdłużej z obustronnymi „przysięgam Bogu" i „żebym tak zdrów był".

— A weź sobie kilka „reparaturek" do łodzi i dykty do naprawy *stormboat'ów,* bo jeżeli wam je uszkodzą to nowych nie będziemy mogli dostarczyć. Są w drodze, ale nie będą przed jutrem — radził magazynier plutonu sprzętowego.

Samochód był już załadowany, czekał tylko na sierżanta, który poszedł do płatnika, by pobrać żołd dla kompanii.

Płatnik urzędował, jak wszyscy zresztą, w wozie trzytonowym. Obok, w sąsiednim, umieścił się „gospodarczy", dalej jakaś kancelaria, gdzie zbierano oszczędności. Za każdym stołem, pochylony nad stosami papierków, siedział saper. Między wozami kręcili się gońcy, co chwila zjawiał się jakiś motocyklista z listami, wykazami a papierki na stołach wciąż rosły. Jak to dobrze — pomyślałem sobie, że „parkowa" jest oddziałem gospodarczym wszystkich saperów Dywizji.

Po załatwieniu spraw wracałem do oddziału pełen podziwu dla pracy kompanii parkowej. W drodze zatrzymał mnie motocyklista, pytając czy nie wiem gdzie stoi „parkowa". Nie pytany zaczął mówić o tym, że punkt wodny został zniszczony ogniem moździerzy. Zbiorniki i węże zostały uszkodzone. Trzeba albo je wymienić, albo założyć nowy punkt wodny.

Nowe zadanie, nowa praca dla kompanii parkowej. Praca, o której tak mało się mówiło, o której nie wielu wiedziało, praca mrówcza, nieefektowna, a tak bardzo wszystkim potrzebna.

Tabliczki, które mijałem, nie tylko mówiły mi o tym, że *Road and verges checked to 6 feet,* lecz także świadczyły o wysiłku i współpracy między tymi, którzy je zrobili, a tymi, którzy to „6" czy „8" zbadali i tabliczkę przymocowali.

J.J., ppor.
1. Kompania Parkowa Saperów.



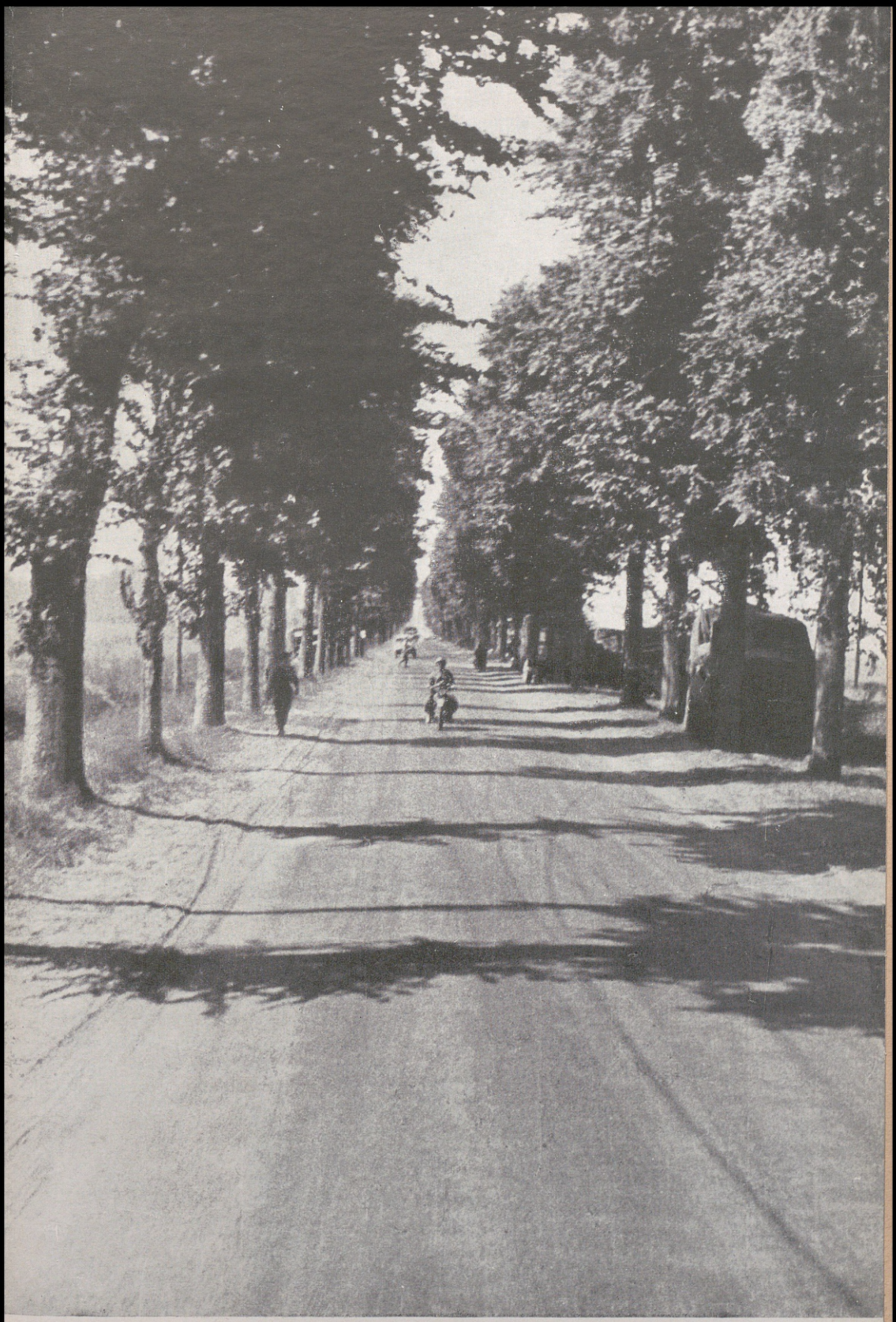

W pościgu

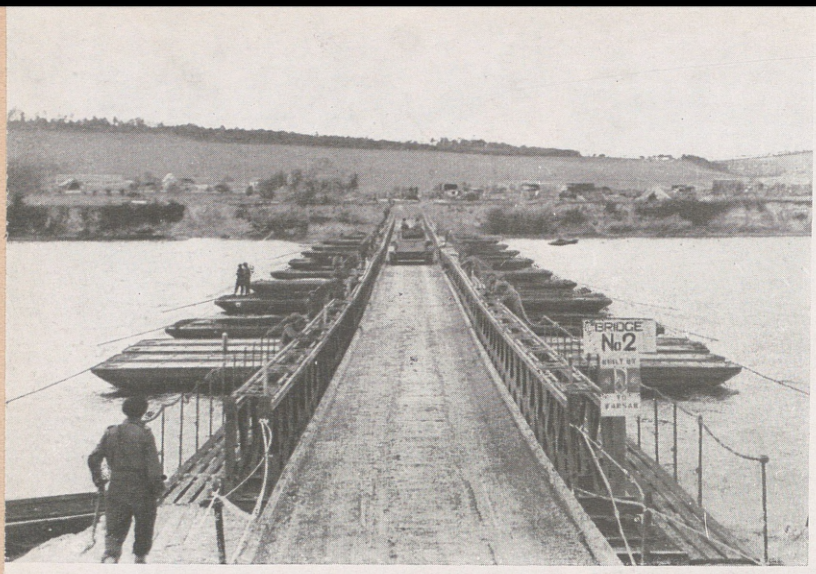

Most na Sekwanie



Kłopoty z przeprawą
Fot. Jabłoński



Znaczyliśmy swój szlak nazwami polskich miast

A B B E V I L L E

VIVE la France! Vive la Pologne! Okrzyk ten wznosił zawiadowca stacji Abbeville — pijany od szczęścia i od nadmiaru *calvadosu*. Był to jedyny przedstawiciel oswobodzonej ludności tej części miasta. Witał on w ten sposób Podhalan, wkraczających na dworzec.

By podkreślić wyjątkowość rozgrywających się wypadków, przyodział nowiutki mundur służbowy, przypiął do piersi wielką, trójkolorową kokardę, a dla lepszego zadokumentowania swych uczuć do aliantów, zalał się i ryczał na całe gardło — *Vive la France ! Vive la Pologne !*

Jego głos odbijał się głucho od budynków, dolatywał na wyspę i szedł dalej w miasto, gdzie Niemcy jeszcze ciągle twardo siedzieli. Widocznie nie podzielali oni entuzjazmu zawiadowcy, a drażniły ich mocno okrzyki na cześć Francji i Polski, gdyż bezustannym ogniem starali się je zagłuszyć.

Walili na dworzec kolejowy z czego tylko się dało. W ciemnościach zapadającej nocy aż się kotłowało od błysków i wybuchów. Po ulicach śmigały odłamki, wyjąc rekoszetami, po dachach bębnił grad żelaza.

Wysiłki Szkopów, cała furia ich ognia nie dały żadnych wyników. Nie potrafili stłumić entuzjazmu pana naczelnika, zagłuszyć ogniem jego okrzyków.

Mimo, że baon nie posiadał żadnych środków przeprawowych, a nieprzyjaciel zdecydowanie bronił linii kanału, to jednak w parę godzin później Abbeville było oswodzone i wkrótce potem całe miasto tysiącami głosów podchwyciło refren pijanego zawiadowcy stacji.

Zaczęło się od tego, że ktoś z przedsiębiorczych Podhalan znalazł zapomnianą przez Niemców łódkę. Wpierw przerzucono drużynę, potem pluton i nieprzyjaciel ani się spostrzegł, jak cała kompania stanęła na tamtym brzegu. W całonocnej, ciężkiej walce wyparła go z wyspy i z brzaskiem otworzyła drogę do śródmieścia całemu baonowi.

W skwarnym poranku maszerowali Podhalanie ulicami zdobytego miasta. Z gruzów dawnych bombardowań lotniczych i tych świeżych, spowodowanych całonocną walką, wyległo mrowie mieszkańców. Rozentuzjazmowany tłum witał wkraczających żołnierzy nieprzerwanym okrzykiem: — *Vive la France ! Vive la Pologne !*

JERZY ZAGÓRSKI, kpt.
Baon Strzelców Podhalańskich.

BITWA O ST. OMER

ZADANIEM 10. Pułku Dragonów w dniu 5 września 1944 roku było postępować za strażą przednią (24. Pułk Ułanów), likwidować pozostawione punkty oporu nieprzyjaciela, utworzyć przedmościa w rejonie już zdobytych przepraw na kanale de Neuf-Fossè, na południowy-wschód od miasta St. Omer.

Rankiem rusza pułk bez 2. szwadronu, który był w tym dniu przydzielony do 10. Pułku Strzelców Konnych, przez Grigny les Hesdin — Fruges — Fuquembergnes — Wisernes, osiągając Westhove.

W Westhove zostaje zatrzymany rozkazem dowódcy 10. Brygady Kawalerii Pancernej, gdyż straż przednia utknęła na linii kanału, zdecydowanie bronionej przez nieprzyjaciela.

Nadchodzą dalsze rozkazy i tak: 3. szwadron ma oczyścić rejon na wschód od naszego miejsca postoju oraz zbadać przeprawy na kanale; 1. szwadron ma rozpoznać fałdę terenową i ubezpieczyć postój pułku z kierunku północnego.

W międzyczasie nadchodzą meldunki o położeniu nieprzyjaciela. Własne rozpoznanie stwierdziło, że wzgórze na północ od Westhove jest ufortyfikowane i bronione przez nieprzyjaciela. Dobrze zamaskowane bunkry w terenie bronią dostępu do St. Omer z kierunków: południowego i zachodniego.

W tej sytuacji dowódca pułku major Zgorzelski, zdecydował natrzeć 1. szwadronem na bunkry, ubezpieczając równocześnie lewe skrzydło plutonem c.k.m., a prawe — ogniem szwadronu czołgów 24. Pułku Ułanów. Natarcie ruszyło. Szwadron w walce wręcz wyrzucił Niemców z bunkrów, biorąc 120 do niewoli.

Na lewym skrzydle sytuacja przedstawiała się gorzej. Spieszony pluton c.k.m. dostał się pod silny ogień broni maszynowej z bunkrów. Wtedy dowódca pułku wysłał na ten odcinek 3. szwadron porucznika Bielawskiego.

W zażartej walce, wzgórze i pierwsza linia bunkrów została opanowana. Mimo to sytuacja pozostawała nadal krytyczna. Nieprzyjaciel z drugiej linii umocnień, przygwoździł szwadron do ziemi morderczym ogniem. Na dobitek, własna artyleria nie mogła położyć ognia na stanowiska nieprzyjaciela, w obawie rażenia dragonów.

O ile sytuacja na lewym skrzydle nie ulegała wyjaśnieniu, o tyle na prawym rozwijała się pomyślnie, wróżąc jakieś zgoła niespodziewane sukcesy. Zaczęło się od tego, że pluton rozpoznawczy ppor. Szczeniowskiego, wpadł do klasztoru Mal Assise, biorąc 60 Niemców do niewoli. Następnie opanował bunkier u południowego wylotu dróg do miasta St. Omer. Zupełnie nowa rzeczywistość, jaka dzięki temu się wytworzyła, stwarzała warunki zdobycia St. Omer, wiszącego na skrzydle ruchu Dywizji.

Początkowo dowódca Brygady nie zgadzał się na powyższą sugestię, wysuniętą przez majora Zgorzelskiego. Nie chciał bowiem rozpraszać swych sił w chwili, gdy sytuacja na odcinku Brygady była jeszcze ciągle niewyjaśniona. Ale wypadki potoczyły się inaczej.

Szczeniowski melduje na sieci swemu dowódcy szwadronu, że siły nieprzyjaciela w południowej części miasta nie są poważne, po czym rusza plutonem w sam środek miasta. Pod silnym ogniem artylerii i moździerzy dochodzi do rynku, wypiera zaskoczonego nieprzyjaciela, opanowuje centrum St. Omer, ubezpieczając się z wszystkich kierunków.

Wtedy melduje na sieci swemu dowódcy, rotmistrzowi Gierze, o przeniknięciu do środka miasta. Z szwadronu idzie meldunek do pułku. A do pułku już nadeszła w międzyczasie zgoda dowódcy Brygady na zajęcie miasta. Więc major Zgorzelski nadaje natychmiast rotmistrzowi Gierze:

— Hallo Henryk, daruję ci St. Omer w dniu święta pułku. Koniec.

Szwadron natychmiast rusza z przydzielonym plutonem ppanc. i c.k.m. Mimo ognia artylerii i moździerzy nie ponosi strat. Osiągnąwszy rynek spiesza się, wysyłając patrole na wszystkie kierunki celem dokładnego rozpoznania. Główne ośrodki oporu nieprzyjaciela, mieszczące się w szkole i w parku miejskim zostają zlikwidowane w krótkim czasie.

Bitwa pod St. Omer, w wyniku której „przypadkowo" zdobyto miasto, zawiązała się wyłącznie w celu ubezpieczenia z tego kierunku ruchu Dywizji. Była ona prowadzona w dwu oddzielnych rejonach, z tym że oba działania miały służyć temu samemu celowi. Podczas gdy 3. szwadron wiązał nieprzyjaciela w rejonie jego głównego oporu, który znajdował się w zachodnim odcinku systemu obronnego, okalającego miasto — 1. szwadron, z częścią czwartego wsparty moździerzami, przenikał w głąb. W fazie początkowej rozpoznawał. Następnie, wykorzystując zupełne zaskoczenie nieprzyjaciela, niespodziewającego się uderzenia z tego kierunku — przeniknął do miasta, a w końcu zdobył je, biorąc przy tym 250 jeńców. Cena, którą zapłacił pułk za ten wielki sukces była mała: 5 zabitych i 8 rannych.

Trudno nie wspomnieć na zakończenie o entuzjazmie ludności wyzwolonego miasta. Przerósł on wszystko cośmy dotychczas widzieli. Najbarwniejsze pióro nie byłoby zdolne opisać tych spontanicznych owacji, okrzy-

ków, wiwatów, mieszających się z hukiem korków, wyrzucanych szampanem pod gościnne pułapy.

Entuzjazm osiągnął swój punkt szczytowy w chwili kiedy dowódca 10. Brygady i pułku wjechali czołgiem na rynek, by przekazać *sous-prefecto-wi* wyzwolone miasto St. Omer.

W ten to sposób obchodził bitwą swe święto 10. Pułk Dragonów, stwierdzając tym samym, że wybór daty święta pułkowego, na pamiątkę bitwy pod Skrzydlną w kampanii 1939 r., był wyborem słusznym i szczęśliwym nie tylko w jego walkach w Polsce.

ALEXANDER ROŻECKI, ppor.
10. Pułk Dragonów.

P O Ś C I G

WSTAJEMY o świcie. Zimno. Połykamy, wczoraj przygotowaną, ciepłą kawę z termosów. Grzejemy silniki. Ruszać natychmiast!

W ruchu podstroimy sieć. Ostatnie chwile przed wymarszem przeznaczam na odprawę; składamy mapy, rysujemy trasy, oznaczamy punkty *kodowe*. Mamy przed sobą wiele przestrzeni. 1. szwadron ruszać teraz — koniec.

Na przeprawie stoi dowódca Dywizji, uśmiechnięty jak zawsze. Na nasz sprężysty „salut", odpowiada przyjacielskim kiwaniem i uśmiechem. Na drugiej stronie „dajemy w gaz" i jednym tchem łapiemy rozwidlenie szos, skąd już trzeba działać: rozpoznawać, szukać, spychać.

Jesteśmy szwadronem czołowym. Skąpe wiadomości o nieprzyjacielu mówią, że jest go mało, że w nocy wycofał się na północ. Żeby nie tracić czasu idziemy tylko jednym plutonem szpicy w przód, na boki wysyłając doraźne, krótkie sondy. I połykamy przestrzeń wielkimi haustami. Francuzi witają nas gromadnie, wrzeszcząc i machając chorągiewkami. Sypią na nas kwiaty, owoce; czasami wyciągnięta z czołgu ręka w przebiegu, jak pałkę sztafety, uchwyci podawaną butelkę wina lub koniaku. Dużo hałasu. Wszyscy chcą informować i mówią chaotycznie.

— Byli wczoraj ... nie, byli w nocy, nad ranem wyszli ... Piechota ... nie, czołgów nie widzieli, ale było coś na gąsienicach ... Nie, dział nie

widzieli... Przez wioski i miasteczka przemijamy z szumem. W oczach mamy tłumy, chorągwie i kwiaty. Co chwila musimy zgarniać z wieży kolorowe kule dalii i róże, które zasłaniają peryskopy i celowniki.

Jesteśmy niespokojni. Tyle razy już tak było! Tuż po wiwatach, kwiatach i śmiechu — przychodził strzał, chytry, celny, niespodziewany. Tyle razy kolorowa od kwiatów wieża zabarwiała się czerwienią krwi... Więc — nic to, że słońce raźnie świeci. Nic to, że ludzie zataczają się pijani wolnością. Nic, że kraj faluje radosnymi barwami sztandarów. Nie upajaj się tym wszystkim! Nie upajaj się własnym pędem i dumą zdobytego terenu. Jedną ręką witaj kraj i ludzi, a drugą trzymaj lornetkę. Nie wpatruj się w błyszczące oczy pięknych kobiet, patrz przed siebie, patrz na boki!!

— Hallo wszystkie stacje Barbara raz — przypominam — pogotowie bojowe — pogotowie bojowe — obserwacja na boki... — Hallo Barbara trzy — doskoczyć do miejscowości przed nami — tam zatrzymać się — czekać — zbierać informacje. — Hallo Barbara raz i cztery naprzód — naprzód...

Silniki grają jakby dostały gorączki. Gorączki przestrzeni. Prędzej! Jeszcze jedno miasto ubarwione śmiechem trójkolorowym! Prędzej! Przed nami granica francusko-belgijska!

Boleściwa pamięć minionych lat zaskoczyła iskrą złego wspomnienia: Czy warto umierać za Gdańsk?... Nie! Nie umierajcie! My wam nie będziemy pamiętać. Ale wy pamiętajcie, że warto, warto żyć tylko dla wolności!

Dochodzi południe. Przechodzimy wyniosłe wzgórze klasztorne, skąd już widać granicę belgijską. Z pól, z ogrodów wybiegają zakonnicy, podkasując habity, jak baby kiecki, komicznie w podskokach, biegną przy nas, wykrzywiają swe kudłate twarze śmiechem i jakimś wołaniem, które chciało przekrzyczeć warkot naszych silników. Oddajemy uśmiechy i ukłony. Nie mamy czasu. Ach! Jak się nam śpieszy!

Walimy w dół po krętych drożkach. Przegrzane maszyny strzelają, kichają nadmiarem mieszanki. Wpadamy na równinę i rozbiegamy się siecią polnych dróg. Kłujemy sondami boczne laski, farmy, pagórki... Nagle... Czy to już? Jakoś tak pustawo. W najbliższej farmie rozglądamy się za ludźmi. Wychodzi ktoś w sabotach, w robotniczym ubraniu, zdejmuje czapkę, śmieje się...

Tak. To już Belgia... Godzina 13.05.

ZYGMUNT KŁODZIŃSKI, rtm.
10. Pułk Strzelców Konnych.

WSPOMNIENIA Z YPRES

ZDOBYĆ Ypres — brzmiał rozkaz dla 9. Baonu Strzelców, dnia 5 września 1944 r.

Zdawało by się, że to nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że nazwa tej miejscowości łączy się z ponurymi wspomnieniami poprzedniej wojny, wielomiesięcznych ciężkich walk, ukoronowanych użyciem przez Niemców strasznego gazu — iperytu.

Choć upłynęło od tamtej wojny wiele lat, a pola porosły trawą i krzewem, tragiczna przeszłość wychodzi ku nam kwadratami wielkich cmentarzy, długimi szeregami białych krzyży.

Wiadomości o nieprzyjacielu są skąpe, wiadomo tylko, że główny opór znajduje się od strony zachodniej, w rejonie dworca kolejowego. Wszystkie wyjścia z miasta są opanowane przez 2. Pułk Pancerny. Załodze miasta nie zostaje nic innego do zrobienia jak, albo się poddać, albo walczyć do ostatka. Wszystko wskazuje na to, że nieprzyjaciel wybrał drugie rozwiązanie.

Dowódca baonu wykorzystując powodzenie czołgów, decyduje się na zrolowanie obrony niemieckiej od tyłu, powierzając to zadanie 3. i 4. kompanii z tym, że opanowanie dworca kolejowego przypada „4-tej".

Spieszona kompania posuwa się dwoma kolumnami z kierunku północno-wschodniego do centrum miasta. Bez oporu dochodzi do rynku, gdzie bierze do niewoli punkt opatrunkowy nieprzyjaciela z *stabsarztem* na czele. Zaskoczenie jest zupełne, niespodziewano się nas z tego kierunku.

Po chwili, cały rynek zapełnia się ludnością i na widok naszych *Polandów* wznosi się bezustanny okrzyk: *Vive la Pologne*. To co się dzieje obecnie przypomina jakiś kiermasz, czy zabawę ludową, ale nie wojnę totalną. Ogarnięci szałem radości, śpiewają, krzyczą, tańczą, piją. Dziewczyny rozdają buziaki na prawo i lewo, nie zważając, na nasze brudne, nieogolone, chropawe i słońcem spieczone twarze. Sypią się kwiaty, jak na procesji Bożego Ciała. Mój *carrier* powoli zatraca groźny widok pancernej machiny wojennej, przypominając raczej jakiś przeładowany, ruchomy sklep z kwiatami.

Dalszy ruch jest niemożliwy. Prośby, a nawet groźby, nie odnoszą skutku. W tej naprawdę ciężkiej i zdawało by się beznadziejnej sytuacji, przychodzą w sukurs... Niemcy. Pada seria z wieży kościelnej. Tłum roz-

pierzcha się, ginie po domach w oka mgnieniu. Znowu ulice puste. Huk strzałów miesza się z trzaskiem zamykanych drzwi i okien, oraz nerwowym nawoływaniem mieszkańców rynku.

Ogień przybiera stopniowo na sile. Nieprzyjaciel ukryty w domach strzela celnie, wybierając jako główne cele, dowódców i celowniczych r.k.m. Ginie tu jeden z najdzielniejszych dowódców drużyn kpr. pchor. Suchy Wiktor, w chwilę później strz. Otręba Bernard. Rany odnosi dwóch najlepszych celowniczych — strzelcy Wójcik Stanisław i Szadkowski Jan.

Meldunki otrzymane przeze mnie od 2. i 3. plutonu, mówią mi, że jeden z nich ugrzązł przed stacją kolejową, a drugi krwawi się na kanale w rejonie cmentarza. Wszystko to każe przypuszczać, że siły nieprzyjaciela są większe od uprzednio meldowanych i że obrona nie ogranicza się jedynie do stacji kolejowej, ale szkoły i rejonu cmentarza również. Nie chcąc rozpraszać swych sił na wszystkie kierunki, decyduję się na likwidację rejonu szkoły, a potem na uderzenie boczne w rejon dworca.

W wykonaniu tego zamierzenia, skupiam cały ogień na szkołę. Łącznie z *piatami,* które tutaj mają wyjątkowe pole do popisu. Nieprzyjaciel, ze swej strony, nie pozostaje nam dłużny, kropiąc do nas z czego tylko może, ściągając nawet z rejonu dworca samochód pancerny, który na szczęście zostaje szybko zlikwidowany.

Wtem niespodziewanie pojawia się biała chustka. Po zaprzestaniu ognia, melduje się dowódca kompanii niemieckiej. Kapituluje pod warunkiem traktowania jego ludzi, jako jeńców wojennych i nie oddawania ich w ręce belgijskiej armii podziemnej. Warunki przyjmuję i po chwili dwójkami wychodzi 72 Szkopów. Miny mają rzadkie, wiedzą, że są jeńcami żołnierza polskiego.

Po kapitulacji dowódcy kompanii, kapituluje z kolei dowódca garnizonu Ypres w stopniu majora. Dowódca garnizonu raniony w czasie walki, leży w jednym z pobliskich domów. Po wysłuchaniu meldunku od dowódcy kompanii (Niemca) i po zapoznaniu się z sytuacją, w jakiej znajdują się oddziały niemieckie, ranny major bez słowa oddaje swój pistolet.

Kapitulacja dowódcy garnizonu nie oznacza jednak końca walki. Nie można bowiem przekazać tej wiadomości innym dowódcom niemieckim. Mimo to zdobycie szkoły odgrywa pierwszorzędną rolę w dalszym przebiegu walk o Ypres. Nie ma już mowy o zorganizowanej obronie, nasze patrole przenikają w głąb, zaskakując Niemców od tyłu i boków. Zdezorientowane punkty oporu niemieckiego jedne po drugich wywieszają białe szmaty. Jedynie w rejonie dworca Niemcy jeszcze ciągle się trzymają. Ale opór ich maleje z każdą chwilą.

Tamże spotyka zabawny epizod strz. Smolińskiego. Kryjąc się przed

ogniem moździerzy, Smoliński wpada na podwórze do jakiegoś domu. Ku swemu przerażeniu natyka się na kupę uzbrojonych Niemców. Na jego widok wszyscy podnoszą ręce do góry. Nie bardzo wiedząc co z tym fantem zrobić, bez słowa Smoliński wykonuje w tył zwrot i Niemcy ruszają za nim dwójkami. Okazuje się, że Smoliński doprowadza 5 oficerów i 44 szeregowych.

Wreszcie cały dworzec zostaje opanowany. Pozostałe kompanie wchodzą do miasta. Idziemy już bez obaw zadowoleni na rynek, prowadząc z sobą jeńców: 11 oficerów i 159 szeregowych.

STEFAN DROŻAK, kpt.
9. Baon Strzelców Flandryjskich

W P O Ś C I G U

WARTA chodzi koło sprzętu, czujna i ostrożna. Drużyna śpi twardym i dobrze zasłużonym snem.

Od kilkunastu dni jesteśmy w ciągłym ruchu. Zajmujemy stanowiska na parę godzin, opuszczamy je nagle, by zająć nowe i tak w kółko Macieju. Żołnierze wymęczeni do granic wytrzymałości ludzkiej. Wiem o tym, ale oprócz słów zachęty i pochwał nic innego dać im nie mogę. Nie mogę im dać chwili wytchnienia.

Przednie oddziały Dywizji — hen daleko. Wcisnęliśmy się głębokim klinem w nieprzyjaciela. Drogi zaopatrywania długie, jak stary soliter. Trzeba ich pilnować, strzec. Meldunki o sabotażach, zamachach mnożą się. Jesteśmy jedyną jednostką ubezpieczającą oddziały zaopatrywania. Ochraniamy „matczyne piersi" Dywizji, z których ona czerpie soki, potrzebne jej do życia — do życia? Tak, ale po to tylko, by inne zabijać.

Powoli wszyscy się budzą. Śniadanie, a zaraz potem rozkaz do wymarszu. Biorę na swego *jeepa* oficera zwiadowczego, dwóch zwiadowców i radiotę. Ruszamy ku granicy belgijskiej, oddalonej od nas o dziesiątki kilometrów.

Za St. Omer zaczyna nam się Francja kończyć. L'Abeele, długa i wąska mieścina wzdłuż której biegnie granica. Stary celnik siedzi przed swą budką i bez zdziwienia spogląda na przelatujące *jeepy*.

Poperinghe — pierwsza miejscowość belgijska. Nie znałem Belgów,

ale od razu ich polubiłem. Nie wyobrażałem sobie, że są jeszcze ludzie na świecie, którzy potrafią tak serdecznie witać.

Kilka kilometrów za miastem znajduje się nasz rejon stanowisk. Rozpoznanie idzie szybko i po chwili jesteśmy z powrotem w mieście, oczekując na baterię. W międzyczasie zostajemy zaproszeni przez kogoś z miejscowych na obiad. Jest bardzo późno, od rana nic nie jedliśmy, z wdzięcznością przyjmujemy zaproszenie. Boże! cóż za obiad! Biały obrus, stół wspaniale nakryty i co za jedzenie. Na stole biało-czerwone goździki. Dowódca dywizjonu coś mówi. Niestety, wszystko ma swój koniec. Serdecznie dziękujemy, wychodzimy na rynek w oczekiwaniu na baterię, która lada chwila powinna nadciągnąć

Nagle zjawia się zadyszany, zapocony, gestykulujący *maquis* i głośno peroruje. Nie rozumiem wszystkiego, raczej domyślam się, że jakiś oddział niemiecki walczy nad granicą i stara się przedostać do swoich. Natychmiast zawracam i jadę ze zwiadem ku granicy.

W l'Abeele, mówią nam, że są niedaleko, o tam — i wskazują ręką na drogę, idącą w kierunku południowym. Słyszymy strzały. Zeskakujemy z *jeepa*, pędzimy na wzniesienie koło farmy, by się zorientować w sytuacji. Widzę jedynie nacierających 6 *maquis* — Niemców ani śladu.

Wpadam na farmę. Lament, panika, płacz i zgrzytanie zębami. Wszyscy starają się gdzieś i coś schować. W ogrodzie słychać strzały. To Niemcy.

Zbieram zwiad i gonię chyłkiem szosą wzdłuż ogrodu, by im przeciąć drogę. Skręcili w prawo i biegną wzdłuż szosy. Padają w naszą stronę strzały. Naturalnie to *maquis*. Krzyczę w ich stronę. Nic nie pomaga, kropią jeszcze lepiej. Genek klnie w najlepsze i mierzy w nich. Podbijam mu automat i uspakajam.

W międzyczasie Niemcy wyprzedzili nas i przeskoczyli przez drogę o jakieś dwieście metrów od nas. Cholera! nie damy rady, jest nas tylko czterech. Wołamy na Belgów. Biegną do nas i speszeni przepraszają. Zapoznaję ich z sytuacją. Siadamy w kilkunastu na *jeepa* i ruszamy na Niemców.

Wpadamy do l'Abeele. Pustki wioną z ulic i domów. Skręcamy w lewo i w pole. Są! Jest ich około trzydziestu. Wysyłam na motorach oficera zwiadowczego i Genka w lewo, a sam z *maquis* wprost na nich. Widzę jak wpadają w dużą plantację chmielu. Po chwili padają stamtąd strzały do nas. *Maquis* na masce. Każę im zeskoczyć! Widzę, jak z prawej strony rżnie przez pole jakiś *scautcar*. Wszystkie „jednostki" koncentrycznie gonią do chmielu. Strzały z chmielu przycichają. Jesteśmy o sto metrów od nich. Co robić? Przecież nie będziemy nacierać w dziesięciu, jeżeli ich jest trzydziestu.

Nagle z zielonego chmielu wyrasta biała szmata. Przestajemy strzelać.

Wychodzą, liczę i oczom nie wierzę. Jeden oficer i 31 szeregowych. Chwilę zastanawiam się, po czym biegniemy do nich. Z *scautcar'a* wyskakują Kanadyjczycy. Pada rozkaz — rzucać broń! Rewiduję oficera. Oddaje pistolet i portfel. Po przejrzeniu, zwracam mu go. Rewizja szeregowych. Naturalnie trzech pochodzenia polskiego. Twierdzą, że zostali siłą wcieleni do armii niemieckiej. Oficer prosi o papierosa i chleb — cztery dni nie jadł. Kanadyjczyk mu daje. *Maquis* dochodzą do głosu i chcą ich rozstrzelać Nie pozwalamy. Niemcy wiedzą o co chodzi. Mają wystraszone miny i są strasznie bladzi. Nadciągają Belgowie. W hałaśliwy sposób domagają się samosądu. W tym zgiełku, przebija się głos Genka. Zauważył w chmielu Niemców. Jeden strzał i wyłażą. Oficer i trzech szeregowych. Muszę odjeżdżać. Nie mogę zabrać Niemców ze sobą. Zdaję ich Kanadyjczykom, czyniąc ich odpowiedzialnymi za nich.

WACŁAW DUDEK, kpt.
1. Pułk Artylerii Przeciwlotniczej

FRAGMENT Z WYSUNIĘTEGO PUNKTU AMUNICYJNO - BENZYNOWEGO

DOSTAŁEM rozkaz z Dowództwa Oddziałów Zaopatrzenia, zwinięcia wysuniętego punktu amunicyjno-benzynowego i maszerowania po osi czerwonej na Cassel — Ypres. W półtorej godziny stałem już wyciągniętą kolumną, liczącą ponad 100 wozów, załadowanych w trzech czwartych materiałami pędnymi, a w jednej czwartej amunicją.

Byłem lekko pod wrażeniem, zresztą tak jak cała brać żołnierska, że za parę godzin przekroczymy granicę francusko-belgijską. Świadomość, że jeden kraj już za nami, że o jeden kraj bliżej do Polski podniecała nas. Jeszcze jedna wieś, jeszcze jedno miasteczko. Nigdzie nas tak spontanicznie nie witano jak właśnie w tej miejscowości. W ostatnim miasteczku Francji!

Co chwila szturchałem Franusia, aby ostrożnie przepychał się przez te tłumy, odświętnie ubrane, szalejące z radości. Zrobiło mi się miękko na sercu. Zaczęły mi się mieszać stroje z kwiatami, kwiaty z twarzami. W końcu myśl odbiegła i uczepiła się granicy polskiej.

Z zadumy tej wyrwali mnie dopiero jacyś Kanadyjczycy na motocy-

klach, starający się zatrzymać kolumnę. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, że granica francusko-belgijska jest już za nami. Kanadyjczycy podjechali pod okno wozu i jeden z nich zaczął meldować, że w mieście Poperinghe znajdują się Niemcy i że zostali przez nich ostrzelani.

Poperinghe właśnie leży na mojej trasie i muszę przez niego przejść, aby maszerować na Ypres. O zboczeniu i ominięciu, mowy być nie mogło. Zatrzymałem kolumnę, kazałem usadowić się z *brenami* na dachach szoferek i wyjąć *piaty*. Na siedem wozów przypadał jeden *bren* a z 6 *piatów* miałem tylko cztery. Przed siebie wypuściłem pusty wóz-kancelarię z dwoma karabinami maszynowymi, za siebie drugi pusty wóz z karabinem maszynowym i *piatem*, drugi *piat* na dziesiąty wóz od czoła. Ruszyłem kolumną poprzedzany czterema motocyklistami. Przy wjeździe do miasta Poperinghe nikt do nas nie strzelał, ale zauważyłem, że ludność zatrzymuje motocykle, zatrzymuje nas i chowa się po bramach. Od tych co mówili po angielsku dowiedziałem się, że kolumna niemiecka z czołgami dochodzi do miasta z kierunku Dunkierki, inni, że Niemcy są w mieście, a patrole są już nawet w rynku. Kolumnę zatrzymałem, zabarykadowałem ulicę pojedyńczymi wozami, kazałem ustawić i załadować *piaty*, a gońców motocyklowych po dwóch na oś. Por. Zębalskiego, który zgłosił się na ochotnika, wysłałem z zadaniem zbadania dróg na głębokości do pięciu mil. Przez radio zażądałem dwóch czołgów z kwatery głównej Dywizji w celu osłaniania mnie w czasie marszu.

Zatrzymując kolumnę i wydając takie rozkazy, zdawałem sobie sprawę, że tracę na czasie, ale z drugiej strony nie mogłem lekceważyć meldunków. Tym bardziej, że prowadziłem nie byle jaki transport, bo transport materiałów pędnych na 50 mil oraz pełną dotację amunicji. Krótko mówiąc, za wyjątkiem żywności zaopatrzenie całej drugiej linii oddziałów walczących.

W kilkanaście minut zaczęli powracać motocykliści z meldunkami. Na wskazanych osiach na głębokości do pięciu mil nikogo nie zauważyli. Jeden z nich meldował, że cywile mówili mu, iż rzeczywiście szła niemiecka kolumna, ale na 6 — 7 mil przed miastem Poperinghe skręciła na północ. Wobec powyższego wydałem rozkaz do dalszego marszu. Żeby nadrobić stracony czas szedłem na czole z szybkością 30 mil na godzinę.

Wieść o kolumnie niemieckiej zelektryzowała całą okolicę, nikt nas nie witał, a większość ludzi patrzała na nas zza bram. Widać było, że biorą nas za Niemców. Przez Ypres, że się tak wyrażę, przebiegłem galopem, ledwo zdążyłem rzucić okiem na katedrę. U wylotu miasta, goniec z radiostacji dał mi radiogram ze współrzędnymi, gdzie mam się zatrzymać. O zachodzie słońca stanąłem na miejscu. I nowy kłopot, miejsce wybrane na

mapie nie nadaje się na postój. Łączki i pólka pocięte rowami, a w dodatku mokre, że wozy grzęzną.

Okolica wydawała się jakoś mocno niewyraźna. Liczne patrole na *carrier'ach* naszej piechoty uwijały się po różnych polnych dróżkach. Widocznie też dowódca D.O.Z. był niespokojny o nas, bo nadesłał rozkaz zmieniający miejsce postoju na noc.

Współrzędne wydawały mi się dziwne, bo wśród pól bez żadnych dróg. Tej nocy staliśmy na jakiejś dróżce - grobelce, która rano okazała się zupełnie inna, aniżeli w nocy, a kierowcy drapali się po głowach i dziwili się strasznie, że stoją z wozami na dróżce a nie w rowie.

Po powrocie z miejsca, które rozpoznałem i wybrałem na otwarcie mego kramu, byłem pewny, że wozy ratownicze w tym dniu będą miały dużo roboty. Obawy na szczęście okazały się płonne, bo już w godzinę później stałem ze wszystkimi wozami, za wyjątkiem dwóch czy trzech, na nowym miejscu — gotowy do normalnej codziennej pracy.

STANISŁAW BRYCZEK, por.
3. Kompania Zaopatrywania

RUYSSELEDE — „MAŁE CHAMBOIS"



PUŁK PANCERNY uczestniczy w pościgu za szybko wycofującym się nieprzyjacielem. 8 września około godz. 12,00 otrzymujemy rozkaz uchwycenia północnych wylotów Ruysselede. Odległość, dzieląca nas od tej miejscowości, wynosi 5 km. Brygada nagli, chodzi o pośpiech, o odcięcie jedynej drogi odwrotu nieprzyjacielowi.

1. szwadron, jako oddział przedni, otrzymuje rozkaz przejścia w rejon, 2 km na północ od Ruysselede, z zadaniem zamknięcia obydwóch szos biegnących w kierunkach — północnym i północno-wschodnim.

Ruszamy natychmiast. Nie było nawet czasu na odprawę. Dowódca szwadronu jedzie jako kierunkowy i w marszu, na sieci, zapoznaje szwadron z zadaniem i sposobem wykonania go.

Dowódca pułku, zebrawszy pozostałe szwadrony, rusza na pełnym gazie za nami.

Teren wyjątkowo nadaje się do manewru pancernego. Twardy, bez przeszkód terenowych, umożliwia szybki ruch do przodu. To też ciężkawe

Shermany, niczym *Cromwelle*, połykają przestrzeń na pełnym gazie. Wkrótce wypadamy zza jakiejś fałdy terenowej i widzimy w dali jedną z nakazanych dróg, czarną od pojazdów mechanicznych i konnych, rojącą się od piechoty, ciągnącej bokami szosy.

Krótki rozkaz Dowódcy szwadronu „W nich" — i szwadron rozwiniętym, siekąc z c. k. m. uderza na nieprzyjaciela. Zaskoczenie zupełne. Nim Niemcy zdają sobie sprawę, pierwsze czołgi są już na szosie. W tej chwili dwa plutony odrywają się od szwadronu, ziejąc ogniem i miażdżąc gąsienicami, pędzą ku miastu. Jeden z plutonów, wjeżdża do samego miasta i szczęśliwie wraca cały. Reszta szwadronu przewala się, jak lawina, przez zatłoczoną szosę na drugą drogę.

Zdemoralizowani, przerażeni Niemcy, kryją się po rowach, domach. Nie pada z ich strony ani jeden strzał, nie są w stanie ustawić swych dział na stanowiskach ogniowych.

W międzyczasie gros pułku nadbiega, ustawia się równolegle do szosy i działa zaczynają grzać. Dwukilometrowy odcinek drogi, zatłoczony wszelkiego rodzaju sprzętem, mrowiący się od piechoty, zostaje rozniesiony naszymi pociskami ppanc., zamieniony w drzazgi, w krwawą miazgę naszymi granatami. Do tego dzieła zniszczenia dołącza się artyleria dywizyjna, ze środkowując swój ogień na miasto.

Niemcy zatrzymani, naszym ruchem oskrzydlającym, na swych ostatnich drogach odwrotu, spychani od południa natarciem czołowym 10. Bryg. Kaw. Panc., stłoczeni w mieście, muszą się czuć jak ryby w sieci. Chcąc za wszelką cenę otworzyć sobie drogę odwrotu, montują, trzeba to przyznać błyskawicznie, przeciwuderzenie. Mimo, że piechota jest wspierana działami ppanc., przeciwnatarcie załamuje się w strasznym ogniu 1. szwadronu.

Bitwa jeszcze w pełni szaleje, gdy pułk dostaje nowy rozkaz osiągnięcia rejonu Altre nad kanałem gandawskim. Wobec tego dowódca pułku pozostawia 1. szwadron na miejscu z zadaniem dozorowania dróg, a sam całością posuwa się na kierunek Altre.

Zaraz po pierwszym, nieudanym przeciwnatarciu, Niemcy montują następne, wsparte czołgami *PZKW IV. I* to przeciwnatarcie zostaje przez nas zlikwidowane, przy wydatnej pomocy naszej artylerii dywizyjnej.

Bitwa ta kosztuje Niemców: około 250 zabitych, ponad 300 jeńców, oraz niezliczoną ilość sprzętu, w lwiej części zniszczonego. Samych dział 20.

Dowódca Dywizji, zwiedzając pobojowisko następnego dnia, mówi krótko: „To było małe Chambois".

STANISŁAW TREMBACZ, ppor.
2. Pułk Pancerny.

„...ODWODOWY WŁAZI W SYTUACJĘ... JASNĄ".

PRZED Roulers — zatrzymanie. Na czole słychać ogień. Szwaby bronią miasta. My stoimy. Życzliwi tubylcy roznoszą owoce. Mamy pełne usta soczystych, wspaniałych gruszek. Lepki ich sok wycieramy rękawicami i te z kolei wycieramy w portki kombinezonu. Ważne, żeby się palce nie kleiły. Bo jak potem trzymać papierosa? Jesteśmy właśnie zajęci tym problemem, gdy cicho, niespostrzeżenie między czołgami przesunął się *scout-car*, z którego wysiadły wąsy, a potem długa postać naszego „Starego",. W kusej kurteczce przeciwiperytowej — wysoka i cienka jego figura wydawała się jeszcze wyższa. Zeskoczył i szerokim, zamaszystym krokiem idzie wprost do czołga dowódcy. Grdyka chodzi mu w wąskiej szyi, jakby ją ktoś pociągał za sznurek. Mruga oczami i ręką manewruje koło wąsów. Oou! Coś będzie... Tak...

— Sytuacja:... tu Niemcy... tu 3-ci a tu 2-gi, ty pójdziesz tak... Tutaj — wybierz drogę najbliższą — uważaj chodzi... by na skrzydło — rozumiesz — głęboko, może się da zrolować, gdyby nie — bardzo ważne — wtedy Brygada zresztą — wtedy będziemy mieli elementy — dowódca Dywizji zdecyduje — tak..., zaznacz sobie Lindeken, St. Joseph — i dalej północ-wschód, ruszaj zaraz, przejdziesz Jasia S. i zaraz na skrzydło — jasne?

Zarządzam odprawę. Zbieramy się, kulimy się za czołgiem od wiatru i deszczu i gadamy. Krótko. Każdy rysuje co mu potrzeba. — Do czołgów.

— Dlaczego „ich" jeszcze nie ma?... Nie martwimy się długo. Szpica seriami k.m. daje znać, że już.

— Hallo Xawery dwa — npl — piechota — wieje — jedziemy w nich — koniec.

Rozsuwamy się plutonami szerzej. Wymacać. Skrzydłowe plutony idą jednak w pustkę. Zwalniamy. Skupiamy się. Teraz każda farma, każdy lasek — to może być... co? — Zobaczymy. Trzeba być chytrym. Nie lubimy płonąć...

— Hallo Xawery dwa — rozbiłem pojazd konny — jeniec Polak — skierowałem do was — słucham. Hallo Xawery dwa — odebrałem — ostrożnie przed miejscowością — nie wchodzić — czekać — koniec.

Ogniem k.m. wyciągamy z pobliskich krzaków kilka przerażonych figur w *feldgrau*. Rozbrajamy.

Jeniec Polak młodziutki, różowy chłopak z miną pokrzywdzonego

dziecka. Ma chyba 17 lat, nie więcej. Mówi chętnie. Jest tu ich batalion piechoty. Świeżo sformowany. Nie spodziewali się. Byli w marszu odwrotowym, gdy nas usłyszeli. Dowódca rozkazał zapaść w teren, kryć się. Dużych dział nie mają, tylko działka *flak* i *piaty*. — Leżą tu — i tam . . . i w mieście, St. Joseph . . . Dowódca bardzo zły. Krzyczy, pistoletem wygraża . . . Dziecinne duże oczy patrzą prosto i szczerze. Co z nim robić?

— Słuchaj — mały, wierzę ci i wyglądasz na morowego chłopca. Nie mogę cię zabrać ze sobą. Bierz białą chustkę i biegnij — o tam, biegnij prędko — bo cię Szwaby utłuką, gdy stąd odejdziemy. Półtora kilometra stąd są nasi, Polacy. Krzycz, żeś Polak. Tam cię już wezmą i będziesz między swymi. Rozumiesz? Rozumie. — Chłopak pędem oddalił się we wskazanym kierunku.

Szpica grzeje granatami w miasteczko. Był stamtąd strzał ppanc., a i terkoczą niemieckie automaty. Grupujemy się do natarcia. Szpica trzyma „za mordę" wlot do miasteczka, a my w szykach luźnych walcujemy pola obejściem w prawo od St. Joseph, by wejść na swój kierunek. Przejeżdżamy piechotę. Leżą w wąskich, głębokich rowach. Głowy zasłaniają rękami. Nie patrzą. Z zakryć, z żywopłotów idzie na nas ogień. Od czasu do czasu — zbyt daleko oddany — strzał *piata* pada na łąkę jaskrawo-białym pióropuszem dymu.

I my strzelamy. Musimy bardzo uważać od tyłu. W rowach, pod gąsienicami — ludzie. Dziwne to uczucie — przejeżdżać „na żywo" ludzi . . . Wrzeszczymy *aufstehen* . . . dodając . . . twoja mać — naturalnie. Nieliczni podnoszą się z białymi chustkami. Pluton naszych *niszczycieli* jadący w drugim rzucie rozbraja ich i odsyła do tyłu. Większość Niemców leży jednak jak zdrętwiała. Chyba jest ich tu ze dwie kompanie. Przyszli do siebie, zaczynają strzelać . . .

Kule bzykają i gwiżdżą, rekoszetami jak grochem obsypują nasze pancerze. Posuwamy się i widzimy, że „zdrętwiałe" Szwaby po rowach podnoszą się i wieją lub strzelają w nasze plecy. Wtedy — tyłowe plutony odwróciły wieże i daliśmy ognia! Gremialnie!! Obrzydliwie było patrzeć.

Ludzie skakali, toczyli się i ryli ziemię. Kto się podniósł, ten ginął. I przewalali się okrwawieni, jakimiś płynnymi ruchami. Jak to czasem dobrze, że będąc w czołgu nie słyszy się wiele. To mogłoby być trudne . . .

Powoli ogień nasz ostygał. Kto nie poddał się od razu, kto nie zwiał — ten leżał martwy lub ranny. Czy czyścić pole? odstawiać jeńców i rannych? — Chwila zastanowienia . . . Nie . . . Zadanie . . . Czas . . .

— Uderzyć na skrzydło, głęboko, zrolować, elementy decyzji dla dowódcy . . . Już wiem . . . Jedziemy zaraz dalej. Teraz szpica przechodzi przez St. Joseph łatwo. Ten batalion jest zlikwidowany . . .

Jedziemy dalej nakazaną trasą. Po drodze krzyczymy do wyglądających z domów chłopów, że tam ranni leżą, tam — o tam. Spieszymy się.

W 15 minut później nagły rozkaz zmienia nam oś działania: „skręcić natychmiast na południe-wschód przez Gits — do szosy głównej, nią działać na północ-wschód". Zmiana rozkazu nie jest przyjemna. Złe przeczucie — czy co? — Skręcamy, jak każą...

Później — wszystko stało się tak szybko... Tudno dziś zebrać myśli i słowami uchwycić sytuację.

Szpica — Xawery dwa — na skraju Gits wlazła w ogień. Rozwijamy się. Widzimy znowu uciekające grupki piechoty. Strzelamy... i nagle — suchy trzask, specyficzny zapach, dymek. Maszyna zatrzęsła się. Oj, niedobrze — myślę — i chcę wywołać Szczura — mojego zastępcę. Przestawiam skrzynkę rozdzielczą na „B", gdy nowy trzask i część rozbitych płytek przefrunęła nad wieżą.

— Załoga z czołga!... Wrzeszczę. Krzyknąłem na „B", zamiast na „I.C.", nie mogła więc tego usłyszeć, ale widząc co się dzieje i za moim przykładem — wyskakują. Kryjemy się w rów. Słyszymy jak nasz czołg otrzymuje trzeci i czwarty strzał.

W bok o 50 metrów stoi czołg Szczura. Widzę jak Szczur stoi na zewnątrz wieży schylony. Co on robi? Co to? Szczur wali się z czołgu na ziemię. Dostał! Szwaby piorą z małokalibrówki a z dział strzelają w czołgi. Gdzie szwadron? — Widać jak plutony uskakują czołgami i walą całą siłą ognia. No — zadymiają!

Lecz — gdzie oni są, gdzie jadą? — Jak tu dowodzić? — Kazik ranny — leży. Gdzie szpica? — Co robić? — Boże mój — co robić teraz?

Myśl ta ciężarem ołowiu rozpycha głowę i zamyka oczy... chwilę... zaraz... Kazika ratować, przyjaciela? Ratować swoją załogę serdeczną? — Szwadron łapać? Jak? — Zaraz...

Podnoszę się. Ktoś ciągnie mnie za rękę, gestem nakazując, że trzeba się kryć, że strzelają cholernie... Dobrze... mówię ostro. Zostajecie tutaj. W tym rowie. Czekać. Przyjadę po was innym czołgiem. Nie! Wy zostajecie tutaj!...

Biegnę do Szczura. Czołg jego trafiony działem 75 mm, ale na ruchu, wieża tylko przebita. On — Kazik — rozerwane udo, cały brzuch we krwi. Bolek radiooperator — poraniona głowa, nieprzytomny. Reszta załogi — wspaniałe chłopaki — krzątają się koło rannych, nie zważając na ogień. Uruchamiają czołg, odwożą rannych do tyłu.

Biegnę do tyłu. Buraki. Wielkie, mokre liście biją uda, stopy wykręcają się na burakach. Wiatr tak porywisty, że niemal przewraca. Deszcz sie-



Mijając drogowskazy, idziemy ciągle naprzód



Uwolnieni wznosili radosne okrzyki...



... Vive la Pologne ...

Fot. M. Walentynowicz



... cigarettes pour papa ...

cze. Trzeba biec prędzej. Serce bije głucho, a szybko. Wydaje się, że napuchłe serce wyciska się przez gardło i wypadnie ustami. Wrażenie jest tak silne, że ręka automatycznie podnosi się, by dłonią zatkać usta.

Dobiegam ... Wokoło małego samotnego domku — stoją. Moje czołgi. Dlaczego tak w kupie? Gdzie porucznik S.?

— Jest! — Słuchaj — ustawić tak — i stać, stać i strzelać — położyć dym jeszcze raz — robię cię odpowiedzialnym — zaraz rozstawić — pamiętaj — tak — idź ...

Tymczasem Szczura złożyli na ziemi. Biorę mu głowę w dłonie i klęcząc opieram na kolanie. — To nic Kazik. Sanitarka w drodze — kłamię — zaraz będzie, trzymaj się ... — Jest bardzo blady. Skarży się, że ma odłamek w brzuchu i że boli, bardzo boli ... — Morfiny.

Stary, dobry przyjaciel, kapral Maciuś — sepleni: Zaraz psyniosę — i galopem oddala się po apteczkę do najbliższego czołga.

Strzelają w nas moździerze. Coś trzeba robić. Serce przestało mi się pchać w usta, ściska się tylko bólem, że oto leży, boli go, tyle krwi — i że tak bardzo chcę, żeby żył — i cóż ... Powoli, delikatnie kładę mu głowę na ziemię. Muszę odejść.

— Maciuś! Pamiętaj teraz, do tyłu czołgiem i w najbliższej chałupie złożyć, nie wieść na czołgu dalej, bo wykrwawi, czekać przy drodze, tam skierują sanitarkę. — Odjechali.

Teraz do czołga, wywołać wszystkie stacje, uporządkować szwadron, ratować swoją załogę. — Co ze szpicą? — Plutony prowadzą ciągle gwałtowny ogień. Wskakuję do najbliższej maszyny. Chcę jechać. Dowódca speszony mówi: „radio nie działa". Cholera! — Wyskakuję. Widzę w dymie na przedpolu, biegnie ku nam dwu ludzi. To z mojej załogi? — Wybiegam do nich. Nie to inni. To z rozbitego czołga szpicy.

— Co jest? — Plutonowy Walas ciężko ranny, zostawili go przy czołgu. Silny ogień. Co z resztą? — Nie wiedzą.

Biegnę. Znowu dłoń ma tendencje, by serce wepchać z powrotem na swoje miejsce. — Trzeba wybrać jakiś czołg. Tak nic nie zrobię ... Już wiem ... Plutonowy Laskowski ... Kiwam. Widzi mnie i podjeżdża ... Wywołuję stacje — w porządku. Wyrzucam radiooperatora, niech siedzi przy oficerze pośredniczenia. My pojedziemy ratować tamtych. My i drugi czołg. Reszta stać i wspierać ogniem.

Z dymu przedpola wybiega znowu dwóch ludzi. To już moi. Jaś i Franio. Są silnie zadyszani i słowa nie mogą wypowiedzieć. Pytam o Staszka i Rysia — nie wiedzą. Ale teraz ja już widzę. Nasz czołg. Jedzie wolno dużym łukiem do tyłu. Wspaniale ... Jeszcze teraz dym ... osłonić go. — Ale i Staszek odpala świece dymne na czołgu i jedzie w zasłonie.

Teraz do szpicy! Skokami, pojedyńczo podchodzimy. Niemieckie działa jakoś milczą. Czyżby? — To robota naszych wspaniałych *niszczycieli* i ogólnego ognia. Pełno tylko ognia kaemów i automatów. — Stój! — Tu już wysiądę i pójdę do Walasa.

— Ty stój i pilnuj mnie ogniem. Drugi czołg — tam. — W razie czego — ognia. Dobrze.

Pistolet w garść i chyłkiem po rowach. Tam stoi postrzelony czołg. Ktoś biegnie koło mnie. To z drugiego czołga przedni strzelec Kucbajski, znany drań i wspaniały żołnierz.

— Czego ty? Jaa? ze *stenem*, pójdziemy, nie? Naturalnie, pójdziemy razem. Poczułem się pewniej.

Po drodze widzimy na szkarpie rowu zawieszony inny czołg szpicy, nie wyjedzie sam. Załoga siedzi w rowie i podnieść się nie mogła; przed nimi 100 metrów okopy niemieckie. Idą teraz z nami po rannych.

Jesteśmy przy domku. Stąd już 30 kroków do czołga Walasa i widać jego, jak leży w błocie przy czołgu. Jesteśmy po chwili przy nim. Rozrywamy żywopłot. Walas jęczy i cerę ma ziemistą. Rana straszna. Właściwie nie rana, poprostu lędźwie rozerwane, masa mięsa, kości i krwi. Bierzemy go i wleczemy do domku. Kładziemy na jakimś sienniku. Jak tu bandażować? Nie starczy opatrunku ani na połowę. Za późno na wszystko! Oczy, cera ziemista.

— Ignac — poznajesz mnie — Ignac? — Ooo . . . boli, boli . . . boli... — Nie mogę już patrzeć. To już koniec. — Ogarnia mnie jakby złość.

Idziemy teraz z Kucbajskim, żeby wyprowadzić czołg, który chociaż z rozbitą wieżą — jest na ruchu.

— Dasz radę? — Ja? Chyba!! — Śmieje się, jak można było wątpić! Zachowuje się tak, jakby w ogóle nikt nie strzelał. Otwiera klapy, wchodzi Silnik gra. Rusza wstecznym biegiem. Staję przed nim w rowie i na zmianę — przez chwilę strzelam ze *stena* za siebie, a potem obracam się i ręką wskazuję mu w prawo, w lewo, prosto. — Jedzie. Trzyma na tak wysokich obrotach, że maszyna strzela i bulgocze. Ale wyprowadzi. O — już. Nawrócił i zniknął za drzewami.

Idę do czołga. Wywołuję dowódcę szpicy. Gdzie on się podział? Jedzie do mnie. Dobrze. Za chwilę jest przy mnie. Rozumiem. Teraz dopiero dowiaduję się: — gdy szpica wpadła w pułapkę ogniową (cztery działa 75 mm) — dowódca drugiego plutonu zdecydował przerwać się przez miasteczko. Przejechał działo niemieckie, od drugiego obsługa zwiała, rozbił dwa samochody i dużym gazem, rozpędzając przerażonych Niemców, przedarł się przez miasteczko, okrążył i wrócił tutaj. Rozumiem teraz. To nam pomogło.

Niech teraz wyciąga zawieszony w rowie czołg. Dla osłony zostawiam mu jeszcze jednego *Cromwella*. — Ja wracam do szwadronu. Gdy wróciłem — załoga moja wyszła do mnie. Ucieszyli się. Jak przyjemnie!... Siadam obok czołga. Czuję się tak słaby, jakbym finiszował maratoński bieg. Dają mi jakiś alkohol i chleb. Świetnie!

Szwadron stoi na dobrych stanowiskach. Jest pod wieczór i wypogadza się. Zgłaszam się na sieci pułku: — tak — już wiedzą wszystko — stać, nie iść dalej — wszystko dobrze — gdzie na noc iść, powiedzą potem — teraz według własnego uznania patrolować.

Odpowiadam, że sanitarka przyszła właśnie przed chwilą, że Walas nie żyje, trzech rannych, trzy czołgi przestrzelone. Poległego chowamy, ranni w sanitarce, czołgi wszystkie dociągną na miejsce.

Stoimy jeszcze około godziny. Wydaje się, że Niemcy opuścili Gits. Mamy na rozkładzie cztery działa 75 mm, trzy działka *flak*, cztery samochody. Teraz cicho. Niemcy widząc, że otaczamy miasteczko i odejść nie zamierzamy — zrezygnowali. Grupki jeńców same wychodzą z domów do nas. Mamy ich około 40-tu. Pułk wzywa.

Odbywam krótki marsz, ostatni marsz na moim starym, dobrym czołgu. Jest już kaleką. Służy wiernie do ostatka.

Staszek chodzi jak król. Roześmiany — poklepuje biedną maszynę. Jest dumny. On już po raz drugi wyprowadził naszego „Dziadzia" z takiej kabały.

ZYGMUNT KŁODZIŃSKI, rtm.
10. Pułk Strzelców Konnych.

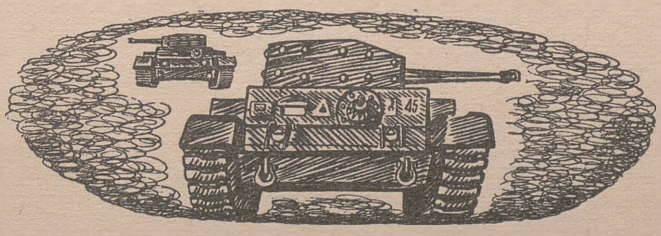

Z WALK O ROULERS

PO ciężkiej walce pluton nasz podchodził do stacji kolejowej. Moja drużyna „trzecia", posuwała się chodnikiem po prawej stronie — po lewej drużyna „pierwsza". Noc była tak ciemna, że nie widzieliśmy się przez szerokość ulicy.

Nagle usłyszałem wyraźny turkot wozu o zaprzęgu konnym, który zbliżał się ku nam. W pierwszej chwili przyszło mi na myśl, że to nasi prowadzą zdobyty tabor niemiecki.

Turkot zbliżał się coraz bardziej, wreszcie wyszedł na moją wysokość. Własnym oczom trudno było uwierzyć. Środkiem jezdni, sześć koni ciągnęło działo. Do działa doczepiona kuchnia. Za kuchnią Niemcy z bronią, bez żadnej eskorty. Nim ochłonąłem, już pierwsza drużyna otworzyła ogień na Szkopów i... na nas.

Skoczyłem w pierwsze lepsze drzwi. Za mną ktoś jeszcze, przyciskając mnie mocno do muru. Przez chwilę nie zdawałem sobie w zupełności sprawy z tego co zaszło. Podniosłem zwolna głowę i... serce we mnie zamarło.

Przyciśnięty do mnie, stał Niemiec, jakiś wysoki drab z r.k.m. w ręku. Wprawdzie włosy nie stanęły mi dębem na głowie, ale zrobiło mi się bardzo zimno, mimo, że to było lato.

Do dnia dzisiejszego nie wiem jak to się stało, ale po chwili trzymałem niemiecki r.k.m. w ręku i równocześnie usłyszałem jakiś rozpaczliwy okrzyk — prawdopodobnie mój własny — *Hände hoch.*

On nic, tylko patrzał na mnie. Patrzał jak urzeczony. Ryknąłem jeszcze raz. Niemczysko z wrzaskiem *Kamerad* podniosło ręce do góry. Zadowolony z takiego obrotu sprawy, zabrałem *Kamerada* do niewoli i dołączyłem do plutonu, który w międzyczasie opanował stację kolejową.

PAWEŁ KOŚCIUSZKO, st. strz.
9. Baon Strzelców Flandryjskich.

BITWA O MIASTO THIELT

OPOWIADANIE moje o bitwie Thielt, bo tylko tak pracę moją można nazwać, oparłem na kilku pamiętnikach żołnierzy plutonu rozpoznawczego 24. Pułku Ułanów, na rozmowach z kolegami z innych szwadronów, oraz na własnych wspomnieniach i przeżyciach z tego okresu.

Marszem ubezpieczonym od południowego wschodu, pułk nasz bokiem przechodzi obok Roulers. Jest wieczór. Od miasta biją łuny, widać krwawe błyski dział i słychać ich głuchy grzmot. Dywizja walczy. Pułk nasz w odwodzie Brygady przechodzi na nakazany kierunek. Mży lekki deszczyk. Kolumna zatrzymuje się. Wzdłuż przelatują gońcy; dowódcy na odprawę.

Zabieram mapy i melduję się w małym domku, w którym ma odbyć się odprawa. Wszyscy są obecni z wyjątkiem „Starego", który nie wrócił jeszcze z odprawy w Brygadzie.

Rozkładamy się na podłodze i zaczynamy „krótkiego", ale jakoś się nam nie klei. Każdy cholernie zmęczony, godzina jedenasta w nocy, oczy same się zamykają, a karty wylatują z ręki. Przerywamy.

Obok domu jest szopa z sianem, „Stary" może jeszcze siedzieć w Brygadzie, Bóg wie jak długo, rano napewno gdzieś nas wyślą, warto by więc „pokimać" trochę. Wynosimy się po cichutku do szopy i włazimy na siano.

Zapada cisza i wkrótce chłopcy zaczynają „grać" na różne tony.

Nie mogę zasnąć. Cały dzień jechaliśmy po wapiennej nawierzchni, później padał deszcz, a teraz wapno lasuje mi się na twarzy.

Wreszcie wpada goniec i zaczyna energicznie wszystkich budzić. Przyjechał pułkownik, za chwilę będzie odprawa. Celem naszym jest miasto Thielt. Rozpoznanie ma wyjść natychmiast na kierunek. Przed odjazdem pułkownik daje mi do wyboru wzmocnienie mego plutonu, albo plutonem moździerzy z 8. Batalionu Strzelców, albo plutonem k.m., z Samodzielnego Szwadronu c.k.m.-ów Bez chwili wahania wybieram moździerze, mam bowiem 30 k.m., natomiast jeżeli trafię na nieprzyjaciela w terenie zakrytym, to „żydowska artyleria" — majątek.

Dowódcą plutonu moździerzy jest ppor. Marcinkiewicz. Wygląd ma „pistoletowaty" i od razu czuję, że powinno się nam dobrze pracować. Przystępujemy do zestrojenia sieci i złożenia kolumny.

Jako czołowy wychodzi drugi patrol, pod dowództwem ppor. Godow-

skiego Adama, następnie idzie reszta rozpoznawczego, kolumnę zamykają moździerze na *carier'ach*.

Odrywamy się od pułku. Ranek piękny, słoneczny, niebo bez jednej chmurki. Przechodzimy przez kilka wiosek. Niemcy jakby się pod ziemię zapadli. Od Thielt dzieli nas już tylko trzy kilometry i wyraźnie widać wieżę kościelną.

Posuwamy się teraz bardzo ostrożnie, skokami od zakrętu do zakrętu. Ostatni zakręt. Szosa biegnie prosto jak strzelił, widać pierwsze domy miasta.

Przytrzymuję na moment całość, drugi patrol odrywa się i dojeżdża do miasta. Za chwilę słyszę meldunek Adama: — Hallo Dorota dwa, — droga wolna — jechać! Dochodzimy na ogon drugiego patrolu.

Jestem trochę zdziwiony. Mimo wczesnej godziny na ulicach widać sporo ludzi, w oknach wywieszone flagi belgijskie. Ludzie wymachują w naszym kierunku. Wygląda tak, jak gdyby Niemcy już dawno opuścili miasto. Bardzo dziwne. Postanawiam jak najszybciej uchwycić północny wylot miasta.

Wydaję rozkaz do dalszego marszu. Jedziemy teraz ciasno, odstępy między czołgami nie większe niż 10 m. Dojeżdżamy do krzyżówki, na której trzeba skręcić w lewo, żeby wpaść na drogę wiodącą na północny-wschód. Ulica jest wąska i po trzystu metrach silnie skręca w prawo. Rzuca mi się w oczy, że tłum, widoczny jeszcze na poprzedniej ulicy, nagle zniknął, jak również flagi. Coś jest nie w porządku. Pierwsze czołgi wyjeżdżają na zakręt. Mój czołg jedzie jako trzeci z kolei.

Teraz oddaję głos kpr. Szemro, który był wówczas kierowcą czołga idącego na czele kolumny.

... Czym głębiej zapuszczamy się w miasto tym mniej ludności, bardzo mnie to niepokoi, jednak nie zważając na nic prujemy dalej. W pewnej chwili nie ma żywego ducha. Niepokój mój wyraźnie zamienia się w zdenerwowanie. Jeszcze trochę gazu, zakręt w prawo i zza zakrętu wyłania się rynek, czy też większy plac. Na samym placu, przed dość dużym budynkiem, stoi wojskowy osobowy samochód, a przy nim trzech oficerów niemieckich, dzieli nas od nich odległość nie większa niż 20 metrów, tak, że dokładnie widać, jak się śmieją.

Na widok naszego czołga, powiedziałbym, że zbaranieli. W tym samym momencie st. uł. Grzesiak, strzelec przedni, otworzył ogień z *brauninga*. Dwóch z nich, dosyć grube chłopy, położyli się na ziemię i zaczęli bić kopytami, natomiast trzeci, taki szczuplejszy, dał dęba do budynku i wskoczył do drzwi. Ta sztuka nie udałaby się mu, gdyby nie zacięcie *brauninga*. Daleko jednak nie zaleciał, bo czołg, jadący za nami zaczął rąbać w

drzwi i zdaje się, że go dosięgnął, bo się rozłożył w drzwiach, a później wczołgał do środka.

Grzesiak ma teraz inną robotę. Wóz, który dotąd stał, naraz zaczął się posuwać do przodu po pochyłej jezdni, będąc widocznie nie zahamowany. Grzesio natychmiast otwiera ogień i pruje ile wlezie. Naraz z baku wydobywają się płomyki i za chwilę wóz stoi w ogniu, jeszcze przejeżdża parę metrów i zatrzymuje się na ścianie kamienicy.

Na małą chwilę zapanowała cisza. Do czołga naszego podchodzą dwaj cywile, którzy jak duchy nie wiadomo skąd nagle się wzięli i zaczynają rozmawiać z ppor. Godowskim, dowódcą czołga.

Seria z szybkostrzelnej broni maszynowej nieprzyjaciela przerywa rozmowę. Zamykam klapę i w tej chwili słyszę głos porucznika: „ranny"; samo słowo ranny nic mi nie mówi, gdyż nie wiem kto, nie myślę, żeby nim był dowódca, ponieważ go słyszę.

Odwracam się w prawo w tył i widzę porucznika, stojącego na siedzeniu, z dziwnie pomarszczoną twarzą. Podnosi mikrofon do ust i mówi: „zawracaj", lecz to — zawracaj — ledwo dosłyszałem. Nie zważam już na nic, nawet na mego przyjaciela Pietrzyka, przeczuwam jednak, że musi być z nim niedobrze, gdyż siedzi tak cicho, jakby go w ogóle nie było. Zawracam.

Nie idzie to jednak łatwo. Po pierwsze nerwy, a po drugie to „zawracaj" z twarzą pokurczoną, walczącą ze śmiercią, która stoi mi przed oczyma, i której zapomnieć nie mogę do dzisiejszego dnia.

Wreszcie zawróciłem. Przejeżdżam nie więcej niż 15 m, gdy nagle słyszę straszny huk i odczuwam bardzo silny wstrząs. W oczach mi pociemniało, zrobiło mi się bardzo słodko i błogo. Straciłem przytomność.

Stopniowo przychodzę do siebie. W czołgu ciemno i cicho. Momentalnie wpada mi do głowy — uciec z czołga. Podnoszę ręce do góry, żeby otworzyć klapę, nie mogę jednak jej ruszyć. Próbuję jeszcze raz i znów pcham co sił do góry. Nadaremnie.

Nagle uświadamiam sobie, że przecież lada moment mogą poprawić. Nie zważam więc na to, że mam krzyż strasznie potłuczony od uderzenia pocisku ppanc. w akumulator tuż za moimi plecami, że nos rozbity od uderzenia w peryskop i duży odłamek w prawym udzie. Wytężam się jak tylko mogę, klapa puszcza, lecz nagle stop, odchyliła się trochę i jak zaklęta dalej nie idzie.

Usiłowania moje ponawiam kilka razy, równocześnie wołam o pomoc do kolegów, których widzę przed sobą poprzez szczelinę klapy. Niestety mnie nie słyszą, zresztą i tak nie mogliby mi pomóc, gdyż wszystko było pod ogniem nieprzyjaciela.

Postanawiam wydostać się w inny sposób. Obracam się do wieży. Twarzy porucznika nie widzę, gdyż przesłania go działo, natomiast zobaczyłem Pietrzyka. Siedzi tak, jakgdyby spał, a krew cieknie mu spod hełma. Z trudem przeciskam się przez skrzynię biegów i dostaję do otworu strzelca przedniego. Widzę teraz Grzesiaka, który pomimo, że jest ciężko ranny biegnie w moim kierunku. Wkrótce obaj siedzimy na czołgu kpr. Sagana, który odwozi nas na punkt sanitarny ...

Na tym kończę opowiadania kpr. Szemry i przechodzę do dalszego opisu walki.

Jestem w momencie oddawania serii z mojego działka plot. do samochodu, o którym wyżej wspominał kapral Szemra, i w tej samej chwili widzę, że czołg Godowskiego jest pod obstrzałem nieprzyjaciela. Dowódca i radiooperator chowają się nagle do środka czołga, jakby ich kto sznurkiem pociągnął. Wydaję rozkaz przez radio, żeby natychmiast objeżdżali kościół dookoła, gdyż jedynie w ten sposób mogą uniknąć nieprzyjemnych skutków nieprzyjacielskiego ognia. Nie dostaję odpowiedzi, a w eterze panuje śmiertelna cisza. Widzę, że jest niedobrze. Czołg ich zaczyna się jakoś niepewnie kręcić, w końcu zawraca, przejeżdża parę metrów i z bocznej ulicy dostaje pociskiem ppanc.

W kolumnie powstaje zamieszanie. Czołg, stojący obok mojego, zawraca, czołg następny bokiem wjeżdża na niego, równocześnie reszta czołgów, które jechały w tyle nie wiedząc co się dzieje, napierają do przodu. Robi się ciasno ...

Zaczyna mi być niesamowicie gorąco tak, że aż poty występują. Czuję że, jeżeli szybko nie opanują sytuacji, będzie generalna klapa, nie mówiąc już o tym, że możemy dostać dobre lanie. Tyły mam zupełnie nieubezpieczone i jakby tak teraz zaszli nas od „kuchni", no to szkoda gadać, tylko „do modlitwy".

Zdobywam się na spokojny głos i wydaję rozkaz por. Marcinkiewiczowi, żeby natychmiast spieszył swoich ludzi i ubezpieczył nas od ogrodów, które rozciągają się za domami po prawej stronie ulicy. Krótkie „tak jest" wskazuje, że Marcinkiewicz natychmiast „skapował" o co chodzi. Równocześnie wydaję rozkaz spieszenia się wszystkim strzelcom przednim i podciągnięcia do czoła.

Trzeba jak najszybciej poprowadzić akcję planowo, bo inaczej będzie źle. Wyskakuję z czołga i wbiegam do przedsionka jakiegoś sklepu po lewej stronie ulicy. Ze mną jest mój strzelec przedni st. uł. Seroka. Jesteśmy w tej chwili około 8 metrów od zniszczonego czołga, z którego do tej pory nikt nie wysiadł.

W tym momencie zza rogu domu, po przeciwnej stronie ulicy, wychyla się żołnierz niemiecki i z *Panzerfaust'a* oddaje strzał do czołga przed nami. Pocisk uderza pod kątem i ześlizguje się nie eksplodując. Seroka podskakuje kilka kroków do przodu i kładzie się w małym dołku za kupą brukowca. Raz Seroka wychyla się z dołka, żeby zobaczyć co robi Niemiec, to znów Szwab delikatnie wysuwa nos zza muru, ażeby chwycić moment do powtórzenia strzału.

W pewnej chwili żołnierz niemiecki wychylił się więcej i Seroka ładuje mu w pierś całą serię ze *stena*. Niemiec na chwilę sztywnieje w bezruchu, następnie wali się jak kłoda drzewa.

W tym momencie z zestrzelonego czołga wyskakuje strzelec przedni, a w parę chwil później kusztykając biegnie kierowca.

Czołgi ciągle jeszcze stoją w bezwładnej masie. Podbiegam do dowódcy 1-go patrolu i każę zjechać mu w uliczkę obok kościoła, objechać go i ubezpieczyć z kierunku północno-zachodniego. Odjeżdża. Droga jest odkorkowana. Dowódca 3-go patrolu ppor. Sołtysiak, mój zastępca, zabiera spieszonych strzelców przednich z zadaniem przetrząśnięcia i ubezpieczenia wszystkich domów w naszym bezpośrednim sąsiedztwie. Radiooperator mój nadaje meldunek sytuacyjny do dowódcy pułku.

Pluton otrząsnął się z zaskoczenia. Mogę teraz przystąpić do akcji ratowniczej czołga Godowskiego.

Wraz z szefem plutonu wchm. Kowalskim, oraz Seroką podbiegamy do czołga. Szef i Seroka ubezpieczają mnie od sąsiednich okien.

Zaglądam przez wieżę do czołga. Radiooperator siedzi oparty o radiostację z głową odrzuconą do tyłu, oczy szeroko otwarte, duża dziura z lewej strony głowy, z której sączy się krew zmieszana z mózgiem.

Adaś wsparty głową o działo, jedna ręka przyciśnięta do szyi, druga zwieszona poprzez hamownik łusek. Dotykam. Jest już chłodny. Obaj nie żyją.

Zeskakuję z czołga na lewą stronę. W tym momencie pada seria z niemieckiego stanowiska w ratuszu. Czuję jak coś bardzo gorącego ociera mi się o plecy, równocześnie szef plutonu, który stał za czołgiem, szarpie mnie za rękę tak, że wpadam na niego, następna seria idzie w ziemię obok czołga. Macam się po plecach. Wszystko w porządku, jedynie *battle-dress* i koszula postrzępiona w kilku miejscach.

W tym momencie widzę jak uł. Radomski, jeden z strzelców przednich, którzy mieli przetrząsnąć rejon kościoła, wychodzi przed kościół, najprawdopodobniej nie zdając sobie sprawy, że miejsce to jest pod obstrzałem nieprzyjaciela. Dzieli go od nas około 20 metrów. Chcemy ostrzedz go, ale jest już zapóźno. Zanim ktokolwiek zdążył krzyknąć, pada seria. Ra-

domskiemu *sten* wylatuje z rąk. Chwyta się za żołądek i pada na bruk. Wtedy dostaje poprawkę, która jednak w moim pojęciu chybia.

Radomski podrywa się z ziemi i, przytrzymując wnętrzności rękami, dobiega za narożnik domu, gdzie wali się na ziemię. Podbiega do niego zakonnik belgijski i podciąga go w bezpieczne miejsce. W 20 godzin później Radomski zmarł w szpitalu belgijskim.

Z ulicy którą nadjechaliśmy słychać warkot silników i za zakrętu ukazuje się *Sherman*. Za nim drugi, trzeci — jest ich coraz więcej. Nadjechał szwadron pierwszy.

Odczuwam kolosalną ulgę, teraz to na pewno już nas stąd nie wyrzucą.

Pokazuję dowódcy pierwszego czołga por. Matulanisowi dom, z którego nas niepokoi niemiecki karabin. Podjeżdża trochę bliżej, lufa działa podnosi się powoli do góry i ... łubudu! Huk, że aż się szyby w ulicy posypały, a pół ściany, w miejscu skąd strzelał karabin z szumem, runęło w dół.

Rozkaz z dowództwa: „Natychmiast przyjechać i osobiście zdać meldunek".

Z grubsza podaję sytuację rotmistrzowi Starzyńskiemu, dowódcy szwadronu. Dowodzenie plutonem rozpoznawczym przekazuję Sołtysiakowi i odjeżdżam do dowództwa, które znajduje się na skraju miejscowości.

Czołg mój wygląda trochę dziwacznie, gdyż na miejscu strzelca przedniego siedzi cywil w ciemnej marynarce i jasnym kaszkiecie. Jest to nie kto inny tylko st. uł. Seroka. Władając biegle językiem niemieckim, wyciągnął z jakiegoś domu ubranie cywilne. Przebrał się i postanowił bliżej zbadać stanowiska niemieckie. Do pomocy dobrał ułana Rostkowskiego. Strychami przechodzą obaj w rejon zajęty przez Niemców. Rostkowski zostaje na górze, mając dobre pole obstrzału, Seroka wychodzi na ulicę, zbliża się do stanowiska niemieckiego i proponuje jednemu z podoficerów pokazanie takiego miejsca, skąd można strzelać do aliantów. Podoficer bierze jednego z żołnierzy i wraz z Seroką podkradają się do miejsca, gdzie czeka na nich Rostkowski.

Rostkowski „podpuszcza" ich blisko, a następnie „kończy" obydwóch ze *stena*. Podstęp ten powtarzają jeszcze raz.

Dojeżdżam do dowództwa. Ruch duży. Gońcy i meldunki napływają ze wszystkich stron. Dowiaduję się, że o stację i o południowo-zachodnią część miasta walczy ciężko szwadron drugi.

Poniósł straty, ale nieprzyjacielowi dał się we znaki, niszcząc kilka dział. Specjalnie wyróżnił się pluton porucznika Romera Stefana, który przeprowadza piękny manewr oskrzydlający, i pomimo ugrzęznięcia dwóch czołgów, zadaje straty nieprzyjacielowi samotrzeć, jednym czołgiem wykonuje zadanie plutonu.

W tym samym czasie rtm. Zbrowski, dowódca 3. szwadronu, obchodzi nieprzyjaciela głęboko od południa, napotyka na kolumnę motorową, którą całkowicie likwiduje. Obydwie te akcje niebywale ważne z punktu widzenia całości, wyraźnie przechylają szalę zwycięstwa na naszą stronę.

W dowództwie pułku jest również dowódca Brygady, który osobiście śledzi bieg akcji. Rzuca mi się w oczy długi Anglik z czerwonym otokiem na czapce, zażarcie dyskutujący z oficerami dowództwa. Nasz adiutant zlekka zciszonym głosem informuje mnie, że jest to płk. Mitchel, specjalny wysłannik parlamentu.

Zdaję raport z przebiegu akcji. Dowódca Brygady i nasz „Stary" wyraźnie są zadowoleni, płk. Majewski (dowódca Brygady) zadaje kilka pytań Seroce i klepie go po plecach.

Na odcinku 2. szwadronu weszła już do akcji część piechoty z 8. Batalionu „Krwawych Koszul".

Zachodzi potrzeba wsparcia piechotą odcinka, na którym bije się 1. szwadron wraz z plutonem rozpoznawczym. Dowódca „Krwawych Koszul", płk. Nowaczyński, nie chce wysyłać wojska dopóki sam nie obejrzy terenu. Zabiera dowódców kompanii na *scaut-cara* i każe mi prowadzić się na punkt, z którego najlepiej będzie można ocenić sytuację.

Dojeżdżamy do krzyżówki na której skręciłem w lewo w pierwszej fazie walki. W czasie mojej nieobecności w sytuacji zaszła pewna zmiana. *Sherman*, który ubezpieczał krzyżówkę, stoi oparty o ścianę domu. *Carier'y* plutonu moździerzy stoją na dawnym miejscu, ale nie ma przy nich żywej duszy. Ulica jest pod obstrzałem.

Stało się to, czego najbardziej obawiałem się w początkowej fazie akcji. Kilku Niemcom udało się przedostać poprzez ogrody na prawą stronę ulicy. Zajęli jakąś piwnicę i stamtąd szkodzą.

Pułkownik szybko się decyduje. Trzeba zobaczyć, jak wyglądają te ogrody, wtedy zrobimy plan działania. *Scout-cara* zostawimy tu, a sami zrobimy skok do tej bramy. Jak powiedział, tak się stało, pojedyńczo z pistoletami w dłoni przebiegamy ulicę i wpadamy do bramy. Pułkownik rozgląda się po ogrodach ... Zapada decyzja. Jedna z kompanii natrze na ogrody, druga, pod dowództwem por. Tucewicza, obejdzie dołem i uderzy od północy.

Znowu skok do *scout-cara* i wracamy do dowództwa. Dowódcy kompanii zabierają się do wykonania zadania.

Wracam do plutonu, mając na czołgu mjr. Rakowskiego, naszego zastępcę dowódcy pułku, który chce wglądnąć w akcję.

Dojeżdżamy do kościoła. Rtm. Starzyński zapoznaje go z sytuacją. Żadnych specjalnych zmian nie ma. Niemcy trzymają się ciągle tam, gdzie

byli, część szwadronu jest spieszona i obsadza niektóre domy. Kompania Tucewicza przed chwilą przeszła obok, idąc na wykonanie zadania. Pluton rozpoznawczy patroluje rejon kościoła i klasztoru. Major Rakowski koniecznie chce zobaczyć jakieś stanowisko niemieckie. Wygląda wyraźnie na to, że chce „zapolować". Propozycja całkiem „O.K.". Kombinuję, gdzieby go zabrać.

Kilka metrów za czołgiem Godowskiego, po prawej stronie ulicy jest „kafejka", w której siedzi kilku ludzi z mego plutonu dozorując na kierunek ogrodów oraz ulicy, na której stoi niemieckie działo ppanc. Może z dachu tego domu będzie można coś zauważyć.

Wchodzimy do „kafejki". Dwóch ludzi ze *stenami* czuwa przy oknie, a szef plutonu wraz z jednym z ułanów, wsparci o ladę sączą coś ze sporej butelki. Podchodzimy bliżej. Major bierze butelkę do ręki, trzy gwiazdki, Martel! Szybko rąbiemy parę „kielichów" i zaczynamy włazić na strych.

Delikatnie, pistoletem odbijam dachówkę i wyglądam na zewnątrz. Widać ogród i jedną stronę ulicy, z której nas niepokoili Niemcy. Zaczynam uważnie przeglądać wszystko, punkt po punkcie. Nie ma żywej duszy. W moim pojęciu Niemcy przypuszczając, że mógłby ich ktoś dostać z tej strony, siedzą w części ulicy przylegającej do ogrodu, z dachu są więc niewidoczni.

Majorowi nie podoba się to: — Mówiłeś, że jest ich tu do cholery, a tymczasem nic. — Panie majorze, chwila cierpliwości, pójdziemy na inny punkt i coś z tego będzie.

Schodzimy na dół. W przejściu łykamy po kieliszku Benedyktyna, którego szef wyszperał gdzieś pod ladą.

Postanawiam dostać się do domku przylegającego do kościoła, obok miejsca, w którym zginął Radomski. Domek jest na wprost ulicy, gdzie stoi niemieckie działo ppanc. Jeżeli uda się nam tam dostać niepostrzeżenie, to będziemy dokładnie widzieć całą ulicę zajętą przez nieprzyjaciela. Dołącza do nas szef plutonu.

Obchodzimy kościół. Wolna przestrzeń około 5 metrów, widać w głębi tył naszego domku. Jest okno.

Od muru kościoła odrywa się kapral z kompanii Tucewicza. Gestami wstrzymuje nas, pokazując, że przestrzeń jest pod obstrzałem. Major decyduje, że należy przeskoczyć.

Zbieramy się w sobie i robimy równocześnie skok. Jesteśmy pod oknem domku. Tu już nas dosięgnąć nie mogą, bo zasłania nas narożnik.

Wywalam okno i zaglądam. Nie ma nikogo. Włazimy. Jesteśmy w komórce, która służy za skład drzewa, panuje półmrok. Ściana przeciwległa

do okna, aż do sufitu założona polanami. Z lewej strony ściany, dokładnie na wprost okna, małe drzwi.

Kładziemy się na ziemi, major delikatnie zaczyna otwierać drzwi i zagląda przez szparę... Odwraca się, twarz ma uśmiechniętą, nic nie mówi, tylko kiwa na mnie. Podczołguję się i też zaglądam. Za drzwiami pokój średniej wielkości. Na środku stoi stół bilardowy, za stołem duża witryna z wywaloną szybą. Przez witrynę widać plac. Około 30 metrów od nas w prawo stoi *Stuart* Adama. Na wprost jest ulica, z której strzelało działo ppanc. 10 metrów w głębi ulicy, po prawej stronie przy murze, stoi niemiecki karabin maszynowy ślicznie ustawiony na podstawie. Przy karabinie leży celowniczy, a lekko w tyle dwu amunicyjnych. Złudzenie jest takie, jak gdyby karabin był wycelowany w nas. Odległość, która nas dzieli od niego wynosi 45 do 60 metrów.

— Rany boskie, z czego ich kropniemy, nie wzięliśmy ze sobą nic oprócz pistoletów — szepce major.

Przypominam sobie, że kapral z 8. Batalionu, który stoi pod kościołem, jest uzbrojony w r.k.m. Zaraz się zrobi.

Wyskakuję przez okno, dobiegam do niego i w kilku słowach mówię o co chodzi. Chętnie udziela nam „pożyczki". Za chwilę jestem z powrotem. Podczołguję się do majora i podaję r.k.m.

Major jest spokojny, jak na zawodach strzeleckich. Uważnie sprawdza czy karabin załadowany, odbezpiecza i podsuwa się do stołu bilardowego. Robi mi się sucho w gardle. Jeżeli celowniczy niemiecki zauważy ruch, wystarczy naciśnięcie spustu, no i sito z naszego „wodza".

„Rak" (popularnie zwany) opiera karabin o stół, składa się, celuje dość długo, w każdym razie mnie się wówczas zdawało, że to było cholernie długo, —i ... seria.

Celowniczy wyskakuje do góry, jakby go kto w brzuch kopnął, amunicyjni zaczynają rzucać się po bruku, jeden kusztyka do tyłu. „Rak" nie daje za wygraną, trochę się podnosi dla lepszego wsparcia, druga seria, przerwa, trzecia, tym razem długa, do ostatniego naboju. Wszyscy trzej leżą nieruchomo na bruku. Major zrywa się i wbiega do naszej komórki.

Sekundę później sypią się drzazgi z drzwi, którymi wszedł major, Szwaby wyraźnie chcą się odegrać. Sytuacja nasza nie jest taka całkiem jasna, gdyż kule idące przez drzwi wpadają w okno, przez które powinniśmy się wycofać.

Skupiamy się za drzewem, które daje osłonę i czekamy na przerwę w ogniu. Skończyli. Jednym susem major jest już na ulicy.

Zaczynają znów rąbać. Pokazuję szefowi, żeby skakał jak się seria skończy. Żegna się i hop... udało się. Zostałem sam. Znowu strzelają ze zdwo-

joną wściekłością. W końcu cisza. Wyskakuję. Zaledwie zdążyłem przebiec kilka kroków, silny huk i z naszego domku biją tumany kurzu i sypie się śmiecie.

Rąbnęli z ppanc. Za późno. Major w doskonałym humorze odjechał do dowództwa. Wracam do plutonu. Czeka tu na mnie zastępca dowódcy plutonu moździerzy 8. Batalionu, plutonowy, nazwiska niestety nie znam. Przynosi mi smutną wiadomość, że ppor. Marcinkiewicz, wykonując powierzone mu przeze mnie zadanie ubezpieczenia ogrodów, wykonał je w sposób aktywny i natarł na Niemców. Podczas natarcia pocisk ppanc. oberwał mu prawą rękę i jest już na punkcie sanitarnym.

Plutonowy prosi mnie, żeby im pozwolić wziąć udział w akcji, bo pluton chciałby pomścić dowódcę. Bardzo dobra myśl. Wsparcie moździerzy por. Tucewiczowi napewno bardzo się przyda.

Polecam plutonowemu sprowadzić ludzi i sprzęt i obiecuję, że zaraz będą mieli typową robotę.

W parę minut pluton nadchodzi. Przeprowadzam ich poprzez pierwszy patrol i wchodzimy w wąską ulicę, która według mego wyliczenia powinna być w bezpośrednim pobliżu kompanii Tucewicza. Plutonowy ustawia moździerze w małym podwórku i przygotowuje amunicję do strzelania. Zabieram obserwatora i udaję się w kierunku na Tucewicza, żeby zorientować się w jego rozmieszczeniu. Wkrótce trafiam na ubezpieczenia kompanii, które wskazują mi drogę do dowódcy.

Por. Tucewicz jest przy najdalej wysuniętym plutonie. Jest bardzo zadowolony z mojego przyjścia i natychmiast zapoznaje mnie z rozmieszczeniem swojej kompanii. Następnie pokazuje mi stanowiska nieprzyjaciela. Pluton stoi w sporej, dwupiętrowej kamieniczce, za którą znajdują się ogrody, pełne Niemców. Styczność jest bezpośrednia i musimy mówić szeptem, bo mogą wrzucić nam granat. Włazimy pocichu na piętro i zza rozbitej muszli, przez okno klozetu, „Złota Rybka" (popularne przezwisko Tuca) pokazuje mi gdzie są Niemcy.

Nanoszę kąty na mapę i umawiamy się, że za dziesięć minut rozpocznę silną nawałę, po której kompania przejdzie do natarcia. Obserwatora, który ma ze sobą radiostację „34" zostawiam na miejscu, sam zaś wracam do plutonu moździerzy. Pokazuję plutonowemu kąty bezpieczeństwa. Odległość na wszelki wypadek zwiększam o „100". Padają próbne, dymne pociski, zdłużyć 200 melduje obserwator. Plutonowy przesuwa. Powtórka. Teraz jest w celu. Nakazuję grzać ile tylko wlezie, nie oszczędzając amunicji, jedynie co 4-ty strzał każę podłużać, by w ten sposób dokładniej pokryć teren. Chłopaki zwijają się jak szatany i wkrótce podają nam wyniki

nawały. Pierwszorzędne. Niemcy nie wytrzymali ognia i zaczynają się cofać. Koniec amunicji. Cisza.

Idę w kierunku kompanii. Po drodze spotykam chłopaków prowadzących grupy Niemców. Natarcie udało się. Niemcy uciekają.

Wracam do plutonu rozpoznawczego, tu walka też skończona. Ulice zaczynają się roić od Belgów. Powitania, pocałunki, gratulacje, mowy... Nie jestem tym specjalnie zainteresowany, chce mi się jeść i spać. „Opycham" na zimno puszkę *cornet-beefu*, rozciągam się koło czołga. Większość idzie za moim przykładem. Trzeba pospać, bo za godzinę wychodzimy na rozpoznanie.

Walka o miasto Thielt zakończona.

ADAM DZIERŻEK, por.
24. Pułk Ułanów.

THIELT ZDOBYTE

DŻDŻYSTY był wieczór 7 września, kiedy wchodziliśmy do miejscowości Passchendaele. Małe, schludne domki zdawały się nas zapraszać, choćby na kilkugodzinny odpoczynek. Żołnierz strudzony walką oraz uciążliwą podróżą po drogach spowitych tumanami kurzu, łaknął odpoczynku, chwili snu. Od paru dni tempo pościgu za wycofującym się nieprzyjacielem było rzeczywiście szalone.

Ale rozkaz przyszedł inny: opuścić miejscowość i ubezpieczyć się z kierunku miasta Thielt.

Wykonując rozkaz, kończyłem właśnie rozmieszczenie drużyny *carrier'ów* na skrzyżowaniu dróg, gdy z „19-tki" przez gwizdy i trzaski przebija się hiobowa wiadomość:

— Hallo Barbara 5, baca zamelduje się natychmiast u głównego bacy — koniec.

Tak, koniec marzeń o odpoczynku.

W dowództwie baonu zastałem Borowca i Marcinkiewicza, oczekujących na odprawę. Dowiedziałem się od nich, że baon przydzielono do 24. Pułku Ułanów i że wyjazd będzie natychmiast.

Jeszcze jedna odprawa więcej, zagajona sakramentalnym — proszę panów. — Wymarsz przed świtem z zadaniem zdobycia miejscowości Thielt. Wiadomości od ludności cywilnej mówią, że nieprzyjaciel okopał się na przedmieściach, ma działa i czołgi.

Czy wszystko jasne? — Koniec odprawy. Nie będzie to łatwy orzech do zgryzienia.

Ruszamy o godzinie 05.00. Jadę w szpicy, tuż za Marcinkiewiczem. Przed nami pluton *Stuartów*. Przejeżdżamy Roulers, Meulebeke. W chwilę potem osiągamy skraj Thielt — i o dziwo, nikt nie strzela. Mało tego, gościnna ludność wylega na ulice, darząc nas czym kto może. Entuzjazm ogólny. Aż tu nagle czołowy *Stuart* ze szpicy, obrywa z ppanc.

Rozkazy padają przez radio.

Moim zadaniem jest dojść dwiema uliczkami razem z plutonem *„M 3"* — jak najdalej w prawo.

Ludność — już tylko zza okien pozdrawia żołnierzy. A my, sunąc wzdłuż ulicy, przyciskając się do murów, wpadając od czasu do bram, bo Niemiec celnie strzela, idziemy wciąż do przodu.

Wreszcie osiągamy rozwidlenie. Strzelają już nie tylko c.k.m. Wyraźne, duże ogniki tańczą po ulicy. To te przeklęte *Panzerfausty*. Na szczęście nie dosięgają naszych *Shermanów*, które grzeją ile wlezie. Już mam dwóch rannych — w tym odważnego, dzielnego Pitra.

Po chwili słyszę krzyk: „jestem ranny", oglądam się i widzę, że dłoń porucznika Marcinkiewicza trzyma się jedynie na strzępie skóry. Opatruję go na drogę dobrym słowem, bo nic innego nie mam pod ręką. Smidt odwozi go *carrier'em* na punkt opatrunkowy.

Shermany, ziejąc ogniem wychodzą na moją wysokość. Jeden z nich wysuwa się do przodu i staje na rozwidleniu. Celowniczy c.k.m. wskazuje dowódcy czołgu rozpoznane gniazda nieprzyjaciela. Po chwili widać jak Szkopy pojedyńczo odskakują z domu do domu. Nie są dalej od nas jak na 200 kroków.

Na chwilę ucicha strzelanina. Zalega jakaś dziwna cisza. Chyba tylko po to, by wśród niej wyraźnie usłyszeć nieprzyjemny świst *Panzerfausta*, który śmiertelnie rani stojącego koło mnie *Shermana*. A wtedy, jak na komendę, wściekle zagrały c.k.m. niemieckie, siejąc po nas pociskami jak grochem. Nie można wychylić nosa, tym bardziej, że ogień moździerzy porządnie praży.

W tych warunkach, było rzeczą niemożliwą dla pułku czołgów zdobycie miasta bez pomocy piechoty. Dowódca ułanów żąda by batalion „Krwawych Koszul" natarł na miasto.

W parę minut potem, rusza jako czołowa 3. kompania, za nią 1. i 4. Po chwili słyszę jak baca „3" nadaje przez radio:

— Klasztor opanowany, są jeńcy i dwa działa zdobyte, nacieram w kierunku wschodnim.



W pościgu szliśmy terenem . . .



drogami . . .



a saperzy martwili się o przeprawy



1

Strzelcy są podwożeni na stanowiska



2

Dla nich wojna już się skończyła



3

... Hallo, Adam Violetta — wiadomość...

Robi mi się lżej na sercu. Ruszamy wreszcie. Od rana tkwimy w tym samym miejscu.

Dochodzi południe. Batalion „Krwawych Koszul" zdobywa dom za domem. Walki są ciężkie. Niemcy trzymają się twardo. Strzelcy, by uniknąć strat, nie nacierają wzdłuż ulic, ale wychodzą na dachy kamienic, skąd rażą ogniem i granatami ręcznymi zaskoczonego nieprzyjaciela i prą naprzód.

Około godziny 16.00, całe miasto jest w naszych rękach, a w dwie godziny później przychodzi rozkaz do nowego działania, którego celem jest natrzeć na miejscowość Rysseleinde.

STANISŁAW DULSKI, por.
8. Baon Strzelców.

STARSZY STRZELEC BORYNA

T. strz. Boryna miał dwie pasje. Jedną z nich była zwykła, wiejska harmonia — drugą — l.k.m.

Boryna na harmonii, prawdę powiedziawszy, grać nie umiał. To znaczy grał, lubił grać, lecz po swojemu — zawsze w jednej tonacji i zawsze z jednym basem. Natomiast Boryna jak artysta strzelał z l.k.m.

— Boryna umie strzelać, oho, pieruńsko dobrze wali — mawiali o nim strzelcy z drużyny.

I to była prawda. Pieruńsko dobrze walił.

Boryna był celowniczym od chwili wyjścia na front. W wojsku niemieckim nie imał się *Maschin-Gewehru*.

— Do aliantów miałem strzelać? — mawiał czasem — dodając po chwili — od „MG" nie łatwo było zwiać, bo tam zawsze dwóch w jednej dziurze siedzi. — I może właśnie dzięki temu, strzelec Boryna, zwiał Szkopom na trzeci dzień z frontu w Italii, kierując się samotrzeć na błyski artylerii amerykańskiej.

I tak przyszedł do nas Boryna, dawny *gefreiter*, wciągnięty przemocą do wrogich szeregów.

— Powiedz mi Tadek, czemuś ty takie nazwisko sobie wybrał? — spytałem go pewnego razu.

— Bo ja jestem chłop — panie poruczniku. Prosty chłop, z małej wioski. A jakem czytał o tych chłopach w książce, to mi ten Boryna pieruńsko do gustu przypadł. To też był chłop. I se myślę, tak se myślę — jak ci przyszło wybierać nazwisko, to wybierz se tego, o którym tak ładnie ludzie pisali.

I tak, w jednym z obozów — gdzieś w Szkocji, narodził się nowy Boryna — chłop z chłopów, silny, krępy, zadzierzysty; tylko, że często na niego melancholie nachodziły. A wtedy Boryna chwytał za swą harmonię i grał chętnie.

W Aldershot, przy pierwszym przeglądzie, gdy tylko objąłem swój pluton, zwróciłem uwagę na jego l.k.m. Świecił się jak cacko. Gdy spojrzałem na młodego celowniczego, chwaląc wzorowo utrzymanego *brena*, widziałem, jaką mu to radość sprawiło. Wiedziałem, że l.k.m. czwartej drużyny jest w dobrych rękach.

I zaczęły się żmudne, ciężkie dni. Samoloty, samochody, bombowce, grzmiały działa różnego kalibru. Przewalały się czołgi przez Normandię, niszcząc głębokimi bruzdami jej piękne sady, urodzajne łany. Wśród tego zgiełku, piekielnego huku, zamętu i duszącego kurzu, szedł, biegł, padał, podrywał się i pełzał — żołnierz 3. Brygady Strzelców.

Obserwowałem wielokrotnie Borynę w akcji. Podziwiałem jego spokój, opanowanie, siłę i upór. Nie oddał nigdy l.k.m., choć widać było, że zmęczony okrutnie, że pot zalewa mu oczy, że ręce omdlewają z wyczerpania.

Przeżył przy swoim l.k.m. całe piekło Normandii. Leżał przy nim jak wryty, na „Wzgórzu Chwały" — zawsze spokojny, zawsze niezawodny.

Na pierwszym odpoczynku przyszedł mu niespodziewanie, a zasłużenie awans na starszego strzelca. Odłożył harmonię, pociągnął *calvadosa*, pogrzebał w plecaku i wyciągnął z niego przybory do szycia. Z nabożeństwem i powagą naszył „belkę" i — jakoś raźniej, bardziej ochoczo, grało mu się tego wieczora na harmonii.

Pluton nam się przerzedzał. Pod Barou, został ranny ostatni drużynowy kpr. Bogusz. Komu dać czwartą drużynę?

— Tadek — mówię — obejmiesz „czwartą", dbaj mi o chłopaków, boś teraz *freiter*, a wiadomo, że *freiter* to szarża nie licha.

Objął więc drużynę, robił przeglądy, sprawdzał wszystko, uzupełniał amunicję. Wspólnie ze swymi chłopcami nosił jedzenie z kuchni, ale od jednej rzeczy nie odstąpił — nie oddał l.k.m. I choć to było sprzeczne z regulaminem, zezwoliłem Borynie, by jako drużynowy był zarazem celowniczym.

Bez żalu opuściliśmy Francję. Maszerowaliśmy już przez Belgię. Słońce przestało piec, zniknął kurz i pył normandzkich wzgórz. Któregoś tam dnia dopadliśmy Niemców. Opór z każdym dniem tężał. I tak przyszedł rozkaz rozpoznania kanału gandawskiego pod Aeltrebrugge.

— Pójdzie pan z plutonem w prawo od tej drogi. Rozpozna pan kanał i most. Prawdopodobnie — most uszkodzony. Chcę wiedzieć co tam słychać, po tamtej stronie.

Idziemy rozwiniętym, kryjąc się za każdą fałdą terenową, za każdą zasłoną. Idziemy w dziwną ciszę. Miasteczko jakby wymarło, nie ma żywej duszy.

— Trzech na ochotnika ze mną.

Już stoi koło mnie Boryna z l.k.m., jest Lipski, Oleśnicki. Doczołgujemy się do samego kanału. Widać wysadzony most, a w dali — sterczy, szczerbami w niebo, olbrzymi czerwony komin. Przed nami kilka domków. Nagle, tę grobową ciszę, przerywa rechot c.k.m. Pociski, jak złe osy tańczą wśród nas. Tynk i pył z rozwalonego domku sypie się na hełmy.

Z 40 metrów nie trafił? — Skaczemy w bok, pod szkarpę. Idzie druga seria, trzecia, czwarta. C.k.m. szczeka, jak zły pies na łańcuchu. Pociski idą tuż, tuż, nad nami. Trzeba poczekać chwilę aż ustanie ten wściekły ogień.

Boryna nie mógł bezczynnie wytrzymać. Przeczołgał się za węgieł, złożył i już miał posłać serię, gdy w tem drugi Niemiec, odezwał się z boku. Usłyszałem głośny krzyk i zobaczyłem jak ciało starszego strzelca Boryny bezwładnie nakryło l.k.m.

Smutny był pogrzeb Boryny. Krótka, szczera, żarliwa modlitwa tych, co jeszcze zostali przy życiu.

RYSZARD LINKE, ppor.
8.Baon Strzelców.

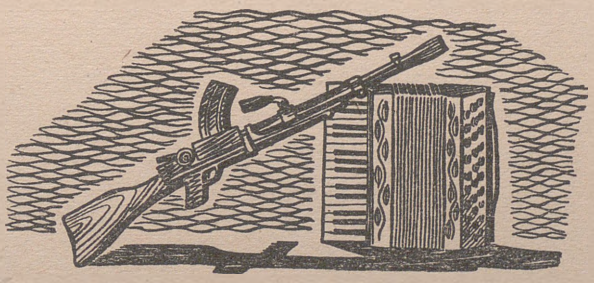

FRASZKA

Strzelec konny, co bardzo wsławił się na wodzie
spacerował w Gandawie po pięknym ogrodzie.
Nagle ujrzał na ławce, pod cienistym drzewem,
któż to siedzi? Admirał słynnej Royal Navy!
Nie namyślał się długo, lecz podszedł do niego,
poklepał i przywitał: „Jak się masz, kolego!"

(Or-Si)

ZAKONNICE

Korzyść z tego wypaść może,
gdy sztab m.p. ma w klasztorze.

Bo dwójkami zakonnice
maszerują przez ulice.

Pan major od informacji
rzekł w pobożnej egzaltacji:

„Choć się modlą z wiarą w oku,
czemu nie trzymają kroku?!"

(Or-Si)

KIBIC

Zawołał ktoś: Znów w lesie cekaemy grają!
Pewien kibic, że się błogą drzemką zajął,
ostatnie słowo słysząc, oczy swe przeciera
i pyta: A w co grają? W brydża, czy w pokera?

(Or-Si)

Z „Dziennika Żołnierza 1. Dyw. Panc."

NA SZLAKU DYWIZJI PANCERNEJ : GANDAWA

URYWKI Z NIENAPISANEJ KSIĄŻKI

ZLIŚMY przejmować od Anglików zdobytą przez nich południową część Gandawy. W części północnej siedzieli jeszcze twardo Niemcy i rąbali ogniem artyleryjskim Gandawę romantyczną. Był poranek wrześniowy jak w Polsce — chłodny i słoneczny, tylko pola inne niż w Polsce, całe pola kwiatów o wszystkich odcieniach czerwieni: pole różowe, pole ciemno-różowe, pole szkarłatne. Flamandowie uprawiają hodowlę kwiatów dla jakichś tam celów przemysłowych, tym nie mniej wyglądają one zupełnie czarująco. W szczególności do chwili przejechania przez pole szwadronu czołgów.

Już na wiele kilometrów przed Gandawą, we wszystkich osiedlach, przed wszystkimi domami, stały grupki, grupy, szeregi lub tłumy mieszkańców. Domy udekorowane wielkimi flagami belgijskimi.

Flagi są bardzo pomocne. Tam gdzie miasto jest kolorowe od flag, oficer łącznikowy, jadący z rozkazami ku frontowi, wali sześćdziesiątką i najbardziej lekkomyślnie przez ulice Gandawy, zważając tylko na to, aby wyglądać równie wdzięcznie jak walecznie, i zajęty jest wyłącznie chwytaniem w lot kwiatów i uśmiechów ładnych dziewczyn. Im bliżej do północnego skraju miasta, tym rzadsze są flagi, natomiast więcej gruzów leży na ulicach i domy podmiejskiej biedoty bardziej są poszczerbione granatami. Nikną z ulic umyte i ładne dziewczyny, pojawiają się przestraszone rodziny brudnych, wystraszonych nędzarzy, uchodzących przed wojną. Taszczą na plecach tobołki, pchają przed sobą wózki z małymi dziećmi i z dobytkiem. Znów są małe dziewczynki, piastujące w objęciach ukochanego kota. Jak w Polsce.

Z narastaniem tych objawów maleje tempo szarży *scout-cara*, zmienia się postawa „węgierki" (pseudonim każdego oficera łącznikowego — zupełnie oficjalnie woła się: „jeden węgierko do mnie!") z wdzięcznej i walecznej na waleczną tylko, a później po prostu na uważną. Przy ostatniej fladze — później są już tylko gołe mury i coraz więcej gruzów — już nie wypatruje uśmiechniętych oczów i zgrabnych nóg, odbezpiecza za to *brena* i sprawdza jak mu broń chodzi w jarzmie.

Tym razem cały kraj jest kolorowy od flag i od uśmiechów dziewczyn, które zarzucają kwiatami i owocami samochody, czołgi, *scout-cary*, *carriery*

i ciągniki. Żołnierzy ogarnia jedyne w swoim rodzaju uczucie: zwycięzców wkraczających zbrojnie do zdobytego kraju. Wiele stracił ten, kto takiego triumfalnego wjazdu nie przeżył choć raz w życiu. To jest więcej, niż taka czy inna nowa wstążka na piersi. To jest uczucie, którego nie można kupić, jak się kupuje wygodne życie, wino, książki, podróże, miłość.

W momencie krótkiej przerwy między Bitwą Normandzką a Pościgiem, wskoczyłem na krótką chwilę wraz z moim przyjacielem Ludwiczkiem do Londynu. Siedząc na sali dancingowej w „Dorchesterze", przyglądaliśmy się młodym i starszym korpulentnym panom, pijącym szampana i tańczącym namiętne tanga ze ślicznymi, młodymi dziewczynami, tulącymi się z miłością i oddaniem do nabrzmiałych od portfela piersi korpulentnych panów. „Popatrz — powiedział Ludwiczek — to są ci, co się grzeją przy kominku, podczas gdy my jesteśmy drwami, którymi się na kominku pali".

Przyznałem mu rację. Mimo wszystko jednak, za nic nie zamieniłbym się na los pana, grzejącego się przy kominku. Wolę się na nim palić, ale za to wjeżdżać do zdobytych miast. Tego nie można kupić.

Uczucie triumfu i dumy odbija się w sposób specyficzny na działalności mojego kierowcy. Im większy jest tłum, im więcej dziewczyn, im ładniejsze, tym silniej dusi on akcelerator, aż wreszcie *Cromwell* z rykiem pułku koni, zaklętych w jego silniku, zaczyna iść najwyższą, zupełnie niedopuszczalną szybkością. Jak za dawnych czasów, wjeżdżając do Białej Cerkwi, ułan drażnił konia wewnętrzną ostrogą, żeby pod nim tańczył i kokietował za siebie i za ułana, tak i teraz St. wykorzystuje *Cromwella* dla celów uwodzicielskich, tym razem już nie tylko na własny indywidualny rachunek, ale na rachunek i dobro całej załogi. Popatrzcie się jak to jeździmy my, Strzelcy Konni. Zimną wodą oblewa go dopiero głos w słuchawkach: — St.... nie wariuj.

Takiej wojny jaką mieliśmy w Gandawie, tośmy jeszcze nie mieli i pewno nigdy nie będziemy mieli. Sztab stał w najparadniejszym hotelu. Przed hotelem, nie dla potrzeby, ale dla fasonu, stały po obu stronach wejścia, na warcie, dwa *Cromwelle,* patrząc lufami armat na miasto. Wozy dowodzenia na placu przed hotelem. Dowództwo artylerii w barze hotelowym, który w międzyczasie działał jak gdyby nigdy nic. Przy barowym stoliku pod oknem oficerowie artylerii przy telefonie i wyciągniętych z czołga *remote-controlach* podawali komendy, na skutek których nad miastem jechały z szumem, jak tramwaje, ciężkie pociski, podczas gdy w barze naród wojskowy i cywilny (przeważnie płci odmiennej) raczył się uczciwym koniakiem.

Na placu Broni, przed hotelem, prócz wozów dowodzenia i ośrodka łączności, stał permanentnie starszy Strzelec Konny, Piter, który wreszcie po czterech latach udręczenia w Szkocji i Anglii, znalazł zastosowanie dla swej znajomości języka francuskiego. Wędrowały do niego pielgrzymki gandawskich mieszczan, jako do krynicy mądrości i informacji. Piter dobrotliwie częstował wszystkich papierosami i uprawiał dobrowolnie i z zamiłowania propagandę 1. Dywizji Pancernej. Po paru godzinach Piter stał się postacią równie popularną jak cenioną w mieście Gandawie i okolicy. Na placu Broni sformowała się *queue*, kolejka mieszczan, pragnących dostąpić zaszczytu zaproszenia Pitra na śniadanie lub na obiad. Wieczorami w barze „artyleryjskim" pojawiały się Chantal, Anik, Marie José — panienki pracujące w dowództwie Belgijskiej Armii Podziemnej, dziewiętnastolatki, na nogach zaczynających się chyba pod szyją. Wysmukłe stworzenia o buziach cherubinów, goliły koniak jak starzy dragoni.

Do bitwy jechało się tak: po wydaniu rozkazów i odprawie, która odbywała się „tam", dowódca o godzinie H mniej 30 minut, wychodził ze swojej suity pokojów (z łazienką), nakładał rękawice zwane w Polsce muszkieterkami, wieszał na szyi lornetkę i dosiadał *Cromwella*, podczas gdy nad miastem szumiało i gwizdało już przygotowanie artyleryjskie. Później posterunek bojowy — dwa *Cromwelle*, dwa *scout-cary* — jechał przez miasto, przez ulice obstawione szpalerami ludzi, krzyczących, rzucających kwiaty, wymachujących chorągiewkami belgijskimi i — już — polskimi. St.... na ten widok wpadał w entuzjazm i nadużywał akceleratora. Skutkiem tego posterunek bojowy przelatywał przez miasto jak burza, z rykiem *Cromwelli*. Na antenie „A" — jak na lancy — łopotał od pędu i od wiatru proporzec dowódcy.

Później wjeżdżało się w kraj bez flag, przez ulice zasypane świeżymi gruzami, śmierdzącymi spalenizną, jak Normandia — w *no man's land*, w ogień moździerzy, przez który szło natarcie Brygady Strzelców, wsparte Pułkiem Ułanów. Granaty wyrzucały w górę fontanny czarnej ziemi. Zjadliwie trajkotały *spandau'y*, *browningi* i *breny*. Pod krzakami walały się pokrwawione tłomoki w zielonych mundurach.

Miasto czekało na ulicach, wsłuchując się w odgłosy walki, stopniowo przesuwającej się ku północy. Gwizdaniem i krzykiem przyjmowało samochody, wiozące w tył wychudłych jeńców, groźnych spadochroniarzy niemieckich w centkowanych kurtkach. Milczeniem pełnym grozy i żalu *jeepy* z noszami, na których obandażowanych, pokrwawionych, brudnych od potu i kurzu, wieziono rannych Polaków. Tych, którzy zapłacili teraz za uśmiechy, kwiaty i biało-czerwone chorągiewki na ulicach Gandawy. Jak i

ci, zakopani przed chwilą bez trumien, w płytkich dołkach czarnej ziemi flandryjskiej.

I nie ma się nad czym rozczulać. To jest żołnierska rzecz i żołnierski los. Nic lepszego nie możemy teraz robić my Polacy, niż bić się z Niemcami. Wypełniać testament księcia Józefa Poniatowskiego: *„Faites sonner le nom Polonais"*.

Żołnierz z 1-ej Pancernej

A X E L — H U L S T

10 PUŁK DRAGONÓW otrzymał zadanie sforsowania w nocy z 16 na 17 września kanału Axel — Hulst w rejonie zwanym Dubosch i zorganizowania przyczółka po północnej jego stronie. W tej operacji pułk wchodził w skład 3. Brygady Strzelców.

Wieczorem tego dnia 1. i 3. szwadrony liniowe, pozostawiwszy swój ciężki sprzęt we wsi Drie Hoevijkers, podeszły pieszo w rejon dwóch farm, położonych tuż nad kanałem. Pluton saperów dołączył do nich wraz z materiałem potrzebnym do budowy członu i kładki saperskiej. 2. szwadron otrzymał zadanie uchwycić most kolejowy na kanale, położony bardziej na wschód od miejsca głównej przeprawy.

Niemcy nie obsadzali kanału, a mieli go jedynie pod obserwacją, pozostając na punktach oporu terenowo dogodnych. Wkrótce, gdy zdali sobie sprawę z czynionych przez nas przygotowań do forsowania, położyli oni silny ogień artylerii i moździerzy na jedyne zabudowania, które mogły nas kryć. Gdy gotowy już człon z załadowanym na nim *carrier'em* c.k.m. ruszał ku przeciwległemu brzegowi, został on zatopiony pociskami artylerii. Pozostała więc tylko kładka. Po niej skoczyły plutony na drugą stronę.

Nie mając członu, musiał rtm. W. Kownas, ówcześnie dowodzący pułkiem, porzucić zamiar przerzucenia ciężkiego sprzętu.

Pod nieustannym ogniem dragoni przeszli kanał. Dowódca pułku osobiście dowodził na przeprawie.

Szwadrony nie spotykając dużego oporu, promieniowo zajęły przedmoście, starając się siąść na wygodnych do obrony przedmiotach terenowych. Lecz teren był płaski, pocięty groblami, po których biegły drogi i nie dawał żadnego ukrycia, ponieważ zboża już były zebrane.



Na Stuarcie
Fot. M. Walentynowicz



Mosty nożycowe przydały się w pościgu
Fot. M. Walentynowicz



Wzięliśmy Thielt
Fot. M. Walentynowicz



Destroyery szły z nami

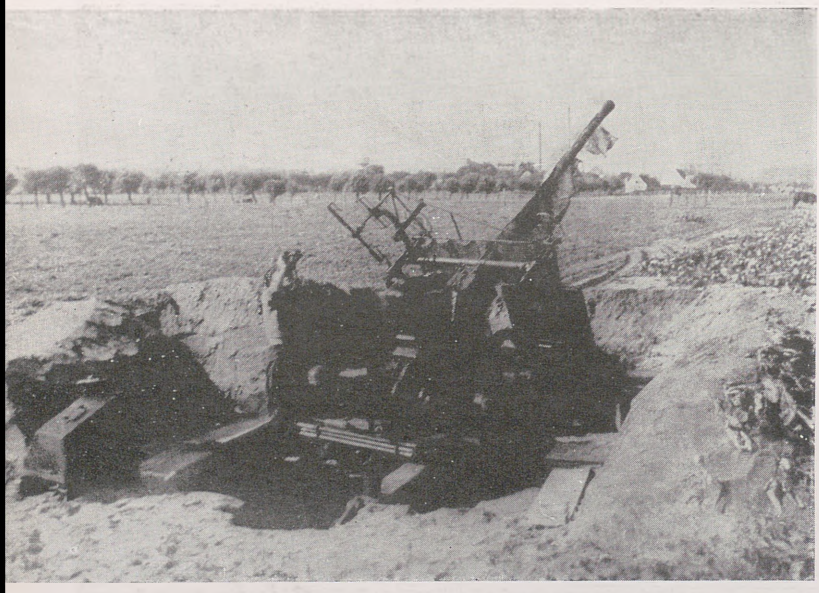

Nudno jest patrzeć w niebo, gdy Luftwaffe przestała istnieć



Recovery przy pracy

Fot. M. Walentynowicz



La douce France

Fot. M. Walentynowicz



Na północ od Gandawy
Fot. M. Walentynowicz



W bród
Fot. M. Walentynowicz



Pościg trwa
Fot. M. Walentynowicz

Całą noc Niemcy ostrzeliwali przedmoście i zabudowania, skąd wyszły szwadrony, całą noc kładli ogień artylerii, przeplatany co chwilę potężnymi, pojedyńczymi wybuchami pocisków bardzo dużego kalibru. Ziemią wstrząsały te olbrzymie wybuchy, zabudowania kruszyły się i powstawały pożary, których blask oświetlał podwórza i mury, odbijając się w zalewach po obu stronach drogi.

Przed świtem dał się słyszeć zbliżający się od północno-wschodniego kierunku, warkot silników i sprzętu gąsienicowego. O świcie przybiegł do brzegu goniec, meldując o wychodzącym, niemieckim przeciwnatarciu pancerno-pieszym na przedmoście. Artyleria nasza położyła natychmiast ognie *SOS*, ale szwadrony, pozbawione przeciwpancernej broni, zostały zdane na własne siły. Broniąc się zaciekle *piatami, stenami* i granatami powstrzymywali dragoni przeważające siły nieprzyjaciela, który rolował ich już wzdłuż kanału.

Dowódca Brygady nadesłał na pomoc kompanię Podhalan i szwadron 10. Pułku Strzelców Konnych. Oddziały te, wobec braku mostu, nie mogły dołączyć do walczących dragonów, ostrzeliwały więc jedynie drugi brzeg „na słuchach", ponieważ poranne mgły, wiszące nisko nad ziemią i dym wybuchów odgradzały im zupełnie widzenie pola walki. Topniejące szwadrony cofały się na zachód, szukając przejścia przez kanał. Niemcy położyli znów nawały artyleryjskie, z furią świadomości powodzenia, na zabudowania przy kanale. Znów olbrzymie pociski, miotając wokół żelazem i błotem, wstrząsały ziemią. Płomienie znów objęły resztki budynków, a wystrzały armat zagłuszały terkotanie karabinów maszynowych.

Rtm. Kownas zdecydował się na przeciwuderzenie, celem otwarcia drogi odwrotu szwadronom. Saperzy dostarczyli jeszcze jednej kładki.

I kiedy, w największym napięciu uzgadniania planu, rozważano już tylko gdzie szwadrony w tej chwili znajdować się mogą, gdy kto żyw spośród dragonów po tej stronie stanął gotowy, by pomóc kolegom, jakby cudownym zrządzeniem opatrzności, na radiostacji lekarza pułku, odezwały się po kolei głosy dowódców szwadronów, którzy z ocalonymi niedobitkami, na tą stronę przez kanał przepłynąć zdołali.

Na tym działanie dragonów się skończyło. Pułk odszedł do tyłu, do miejscowości Koewacht, celem przeorganizowania się.

Tej nocy pułk stracił 116 żołnierzy. Około 30 dostało się do niewoli, wielu padło w czasie nocnego forsowania, wielu legło w walce z przeciwnatarciem, wielu wreszcie zginęło od ognia czołgów.

ADAM JĘDRZEJOWICZ, por.
10. Pułk Dragonów.

PRZEZ DROGI USŁANE KWIATAMI I NIEMIECKIM TRUPEM

SZYBKIM marszem doszliśmy do Abbeville, gdzie zluzowaliśmy 11. Pancerną Dywizję Brytyjską. Okres pościgu rozpoczął się. Po nocy dobrze przespanej, ruszaliśmy świtem w pogoń za Niemcami; gdzieś koło południa dopadaliśmy ich, zmuszając do walki, a właściwie do bezradnego odgryzania się ich straży tylnych. Wieczorem kładliśmy się spać, a Niemcy w międzyczasie wyrywali czym się dało.

Taka wojna, jaką prowadzimy obecnie, podoba się artylerii. Wygląda to troszeczkę na włóczęgę przez piękny kraj, w którym mieszkańcy są po to, by stać na skrajach szos, wiwatować i częstować nas dobrym jadłem i piciem.

Niepostrzeżenie mijamy granicę Belgii, idąc w kierunku na Ypres. Przed miastem, pułk zajmuje stanowiska ogniowe, zmiękczając opór nieprzyjaciela. Krótkie walki uliczne własnych oddziałów i miasto oswobodzone. Przed nami — łuny pożarów, palących się niemieckich kolumn.

Jeżeli ludność północnej Francji witała nas gorąco, a nawet miejscami entuzjastycznie, to o Belgach można powiedzieć, że poszaleli z kretesem. Całe miasta, całe wsie, wylegały na ulice, na drogi, którymi przechodziły nasze kolumny. Chorągwie o barwach narodowych, belgijskich, francuskich, brytyjskich, gwiaździste amerykańskie sztandary — zwieszały się z okien, powiewiały wśród tłumów. Gdy tylko dowiedziano się, że to idą Polacy, uniesienie dochodziło do zenitu. Oddzierano od francuskich flag, kolor niebieski i na poczekaniu pojawiały się polskie.

Trudno opisywać działania pułku na terenie Belgii. Dla większości żołnierzy pozostaną wspomnieniami tryumfalnych przemarszów przez piękne miasteczka, malownicze wsie, szału radosnego stłoczonych tłumów po obu stronach dróg. Będą one wspomnieniami niezliczonej ilości owoców i jaj, pośpiesznie podawanych, rzucanych do dział i czołgów, wypitych kieliszków wina, koniaku i *cidre'u* — na siedząco, stojąco, jadąco na działach czołgach, wozach.

Ale zdarzało się też, że poza kotarą tej beztroskiej „wycieczki" przez kraj pijany młodą wolnością, kryła się walka, w której ginęli nasi żołnierze. Walki o przeprawy, o mosty, miejscowości, punkty strategiczne.

Dnia 7 września idziemy ciągle w pościgu za nieprzyjacielem na Roulers, Pithem, Thielt, Rysseleinde. Dywizjony idą na zmianę w straży przed-

niej, lub w siłach głównych Dywizji. Na poważniejszy opór natrafiamy na przeprawie przez kanał „de Gand", koło Rysseleinde.

Następnego dnia ruszyliśmy do przodu przez Gandawę, gdzie jeszcze toczyły się walki. Ludność, nie zwracając uwagi na huk dział, zatłoczyła do tego stopnia ulice, że nie można było przez nie jechać.

Dnia 12 września jesteśmy w Lokeren; strzelamy na niemieckie składy amunicji za miejscowością St. Nicolas. Następnego dnia jesteśmy w tym mieście i, po raz pierwszy od wejścia do akcji, prowadzimy ogień spośród domów, ponad ulicami i dachami. Nocami Niemcy podchodzą do miasta. Wzmacniamy warty, wysyłamy patrole.

Dnia 14 września wspieramy Dragonów i Podhalan w natarciu na Stekene i zaraz potem wykonujemy ognie już na teren Holandii.

Dnia 16 września przekraczamy granicę belgijsko-holenderską bez paszportów.

Z kroniki 1. Pułku Artylerii Motorowej

K U L Ą W P Ł O T



„Cigarette pour papa!"



Zawsze mi mówiono, że drzewo jest słabsze od żelaza...

Z „Dziennika Żołnierza 1. Dyw. Panc."

B Ó J O A X E L

DZIAŁANIA WSTĘPNE

W połowie września 1944 roku Dywizja Pancerna, ścigająca Niemców od wielkiej bitwy w Normandii w sierpniu, operowała w ogólnym rejonie Gandawa — Antwerpia.

Zgrupowanie 10. Brygady Pancernej działało w rejonie Lokeren — St. Nicolas.

Zgrupowanie 3. Brygady Strzelców walczyło od kilku dni w rejonie Gandawy.

Tam dnia 15 września 3. Bryg. Strz. otrzymała dwa zadania :

1) Obronę Gandawy i oczyszczenie z Niemców jej rejonu, przekazać od działowi wydzielonemu, jako samodzielnemu zgrupowaniu.

Na jego dowódcę został wyznaczony płk. dypl. Władysław Dec.

Zgrupowanie składało się z 24. Pułku Ułanów, 8. Baonu Strzelców, 1. Samodzielnego Szwadronu C.K.M. bez plutonów, II. dywizjonu 2. Pułku Artylerii Motorowej oraz III. dywizjonu 1. Pułku Przeciwpancernego.

2) Rozpoznać i opanować przeprawy Axel — Hulst, następnie uderzyć i opanować port Terneuzen lub co najmniej wyprowadzić obserwatorów artylerii, tak by mogli położyć skuteczny ogień na port i wybrzeże Skaldy.

Gdyby zalewy w rejonie Axel i Hulst okazały się niemożliwe do przebycia, oczyścić całkowicie z nieprzyjaciela teren na południe od Kanału Axel i na zachód od Kanału Gandawskiego.

Zadanie to jak widzimy składało się z dwóch alternatyw — pierwsza maksymalna — kładąca rękę na Axel i Terneuzen, zaś druga, minimalna, na wypadek nieprzezwyciężonych trudności.

Wykonanie tej pracy, której celem było oswobodzenie wschodniej Zelandii przypadło w udziale zgrupowaniu 3. Bryg. Strz. w składzie: 9. Baon Strzelców, Baon Strzelców Podhalańskich, 10. Pułk Strzelców Konnych, 10. Pułk Dragonów, Artyleria Dywizyjna bez 2 dyonów, 10. Kompania Saperów bez plutonu, 11. Kompania Sanitarna i 2. plut. C.K.M.

Koncentracja oddziałów i przegrupowanie ich do działania odbyły się w dniu 15.IX w godzinach popołudniowych i wieczornych w rejonie St. Paul — Stekene — La Trompe.

* * *

Tymczasem Baon Strz. Podhalańskich w składzie 10. B.K.Panc., dowodzony przez ppłk. Karola Complaka osiągnął czołowymi elementami przyległe około 2 km na zach. i płn. od Stekene przysiółki Heikant i Kiekenhaage.

UWAGA: patrz mapa po str. 204

10. Pułk Dragonów dowodzony zastępczo przez rtm. Kownasa stanął w La Trompe i docierał patrolami do lasów na płn., przy granicy holenderskiej. Oba te pułki ostro wyparły nieprzyjaciela z oswobodzonych przez siebie rejonów.

1. FAZA

Na godzinę 19.00 wezwał płk. dypl. Skibiński do dowództwa zgrupowania 3. Bryg. Strz. w szkole St. Paul wszystkich dowódców oddziałów podległych.

Przebieg odprawy, która w rezultacie doprowadziła do bitwy o Axel i dała w konsekwencji uwolnienie wschodniej części Zelandii był następujący :

— analiza zadania,
— rozporządzalne siły i środki do wykonania,
— teren z punktu widzenia działania,
— decyzja dowódcy i wydanie rozkazów na dzień 16.IX. 1946.

Bój o Axel zasługuje na specjalne omówienie z wielu względów.

Po pierwsze był on uwieńczony pełnym sukcesem bojowym t.j. pobiciem nieprzyjaciela i uwolnieniem pierwszej połaci sprzymierzonej Holandii. Po wtóre bitwa była jedną z lepiej przeprowadzonych, jakie stoczyły oddziały zgrupowania 3. Bryg. Strz. i charakteryzowała się giętkością dowodzenia.

Po trzecie i przede wszystkim bój ten wymaga omówienie z punktów widzenia doświadczeń wojny, ponieważ :

a) — wystąpiły w nim wyraźnie rodzaje działań piechoty, do działań nocnych, przepraw i manewru włącznie,

b) — zaznaczyła się dobra współpraca piechoty z bronią pancerną (10. P.S.K. i dywizjony samobieżne 1. P.Art.Ppanc.),

c) — uwypukliła się zasada, że manewr skrzydłowy może mieć powodzenie tylko wówczas, gdy jest ubezpieczony. (manewr był przeprowadzony przez związki mieszane piechoty i broni panc.),

d) — współpraca z artylerią działa wzorowo.

Jak zobaczymy dalej, bój o Axel miał w kolejnych fazach coraz inny charakter, w zależności od narastających wypadków w tym ciężkim zalewowym terenie.

Ale wracamy do odprawy :

Płk. dypl. Skibiński po dokładnej analizie zadania, rozporządzalnych sił i środków do wykonania oraz terenu z punktu widzenia działania, zadecydował wykonać zadanie pierwsze, maksymalne : opanować Axel, skąd uderzyć na Terneuzen.

W związku z tym ustalono takie kierunki działania oraz przyjęto takie zgrupowanie do boju, któreby pozwoliły w razie niepowodzenia bez straty czasu, na przejście do wykonania zadania drugiego — minimalnego t.j. oczyszczenia z npla kraju na płd. od Axel aż do kanału Gandawskiego.

Tak ze zdjęć lotniczych jak i holenderskiego ruchu oporu wiedzieliśmy, że Niemcy pokryli zalewami równinę na płd. od Kanału Axel — Hulst, miejscami na szerokość 200 — 600 m. Mieliśmy również wiadomości o zaminowaniu mostów i zawałach drzewnych na drogach. Przez zalewy ani piechota, ani czołgi przejść nie mogły. Mieliśmy wiadomości o nplu w ogólnych rejonach Zuiddorpe, Westdorpe, Sluiskil, Axel, Terneuzen, Kijkuit i Hulst.

Teren stanowił jakby 2 wyspy — korytarze, z drogami przebiegającymi ze wschodu na zachód i nielicznymi, tym ważniejszymi, drogami z południa na północ. Pierwszy korytarz, to ten po którym biegnie granica belgijsko - holenderska, ograniczony linią Wachtebeke — Moerbeke — Stekene od południa i kanałem Axel — Hulst od północy. Jakby grzebieniem tego korytarza jest linia starych fortyfikacji ziemnych, wałów i fortów. Te ostatnie noszą imiona różnych świętych. Drugi korytarz to kraj na płn. od tego kanału aż po morskie ujście Skaldy. Miejscowość Axel stanowiła bastion w terenie prawie płaskim, pociętym pryzmami kanałów, wód, rzeczek i rowów.

Miasteczko Axel wznosi się nad okolicą, leżąc na wyższym w tym miejscu brzegu kanału, ma naturalną obronność i historyczną tradycję punktu ważnego taktycznie. Uchwycenie Axel decydowało o panowaniu nad osiami komunikacji drogowych i wodnych oraz dawało zasięg panowania nad Terneuzen, które było nie tylko portem przy ujściu morskim Skaldy, ale również portem wylotowym kanału Gandawskiego.

PIERWSZY SKOK

II. FAZA

O świcie dnia 16.IX. zgrupowanie 3. Bryg. Strz. rozpoczęło działanie w ugrupowaniu : 9. Baon Strz. na lewo (płd.) oraz 10. P.Drag. na prawo (płn.) w pierwszym rzucie, 10. P.S.K. i B.S.P. za lewym skrzydłem jako odwód.

Do godz. 07.30 oddziały przekroczyły ogonami mosty na Gensche Vaarte.

Na prawym skrzydle 10. P.Drag. posuwał się bardzo powoli w ogólnym kierunku ze wschodu na zachód przez Heikant (trzy i pół km płd. zach. od Hulst) na Absdale i na Fort St. Ferdinandus. Pułk natrafiał na bardzo dotkliwe przeszkody terenowe (zalewy, barykady, zniszczone mostki, podmokłe grząskie drogi) lecz nie napotykając na twardy opór nieprzyjaciela. W godzinach południowych pluton rozpoznawczy pułku i 2. szwadron uchwyciły

Heikant, zaś reszta pułku Drie i Hoerijkers, gdzie pułk spieszył się, pozostawiając cały cięższy sprzęt.

9. Baon Strzelców dowodzony przez ppłk. Z. Szydłowskiego, z przydzielonym IV. dyonem 1. Pułku Art. Ppanc. i plut. C.K.M. szedł swoim gros na Hazelarenhoek by uchwycić przeprawę, zabezpieczyć sobie skrzydło, uchwycić podstawy wyjściowe do dalszego działania i skręcić na Axel. Oddział ten wydzielił zgrupowanie mjr. Stępienia, zast. d-cy 9. B.S. celem uchwycenia fortów St. Nicolas i St. Livinius oraz ubezpieczenia od północy.

O godz. 08.15 zgrupowanie 9. Baonu Strz. miało ten zaszczyt, że było pierwszym oddziałem Wojsk Polskich, który przekroczył granicę holenderską.

Idźmy za tym oddziałem.

W rejonie Koewacht kontaktu z nplem nie było. Marsz bojowy idzie przez Oudemolen, Het Zand na Nieuwemolen o godz. 09.45 pluton rozpoznawczy na *carrier'ach* starł się z placówką Niemców w sile około plutonu, trzymającą most na rzece między Nieuwemolen i Hazelarenhoek a Halt Zuiddorpe. Rozwinęła się i ruszyła do natarcia straż przednia (kpt. Judkowiak z 3. komp. 9. B.S.) wsparta, natychmiast otwartym, ogniem plutonu moździerzy 33" i 1 dyonu 2. P.Art.Mot. W ciągu 30 min. kompania zdobyła Halt, biorąc 5 jeńców, broń maszynową i ręczną plutonu npla, znalazła 6 zabitych Niemców i kilku rannych, reszta zbiegła na zachód. Niemcy jednak zdążyli wysadzić mostek. 3. komp. obsadziła przyczółek Halt Zuiddorpe. Obecny tam d-ca 9. B.S. wysyła z niej patrole :

— 1-szy na Zuiddorpe, który stwierdził zaalarmowanego i nieuporządkowanego npla,

— 2-gi z por. Gonet na płd., który spędził pluton npla z fortu Moerspuij. Npl wycofał się na Oudepolder.

— 3-ci z por. Goralik na Fort St. Joseph z zadaniem rozpoznania Drie Schouwen. Pluton ten uwikłał się w ciężką walkę i ze względu na wadliwe działanie radiostacji nie przesyłał wiadomości.

Pluton saperów około godz. 10.30 rozpoczął pracę odbudowy prowizorycznej mostku na Halt między Hazelarenhoek a Zuiddorpe.

D-ca saperów oceniał pracę na około 4 godz. t.j. do godz. 15.00.

III. FAZA

D-ca zgrupowania 9. B.S. o godz. 10.45 nakazał „w prawo zwrot" polecając mjr. Stępieniowi wysłać rozpoznania z rejonu Fort St. Nicolas i Fort St. Livinius w kierunku na Dubosch i Axel. W dalszym ciągu na tym kierunku miały działać komp. 2-ga i 1-sza, komp. 3-cia miała iść w ślad za patrolem por. Goralika i ubezpieczać działanie od zachodu. 3. szwadron

10. P.S.K. dowodzony przez rtm. Cieślińskiego Hermana miał częścią sił trzymać przyczółek Halt — reszta sił w Nieuwemolen w odwodzie, była w gotowości do działania na płn. Celem działania było uchwycenie przeprawy Axel i na wsch. od Het Plaatje.

O godz. 11.15 przybył płk. dypl. Skibiński, który zaaprobował rozkazy ppłk. Szydłowskiego.

W międzyczasie 1/3 komp. pod dtwem por. Goralika uchwycił Fort St. Joseph i ruszył dalej na płn. Po wyjściu z fortu dostał się na płaszczyźnie w krzyżowy ogień i z kierunku Drie Schouwen. Straty: 2 zabitych i 4 rannych. Bez możności ruchu na Axel pluton ten rozpoczął odskakiwać na Fort Jacob.

O godz. 12.00 rozwinęło się silne patrolowanie własne: 2/9. B.S. dowodzona przez por. Kuśmirka rozpoznała obronę npla na zalewach w pasie o szer. 3 km na wsch. od Axel. Praca 2. komp. mimo zalewów, szła szybko i sprawnie. Ogień npla był mało celny.

Mosty na zapleczu, między Oudemolen a Fort St. Nicolas na zalewie Gat były wysadzone, bądź poważnie uszkodzone, trzeba było wyszukiwać objazdy.

– 2. komp. stanęła w rejonie skrzyżowania dróg 1 km płn. od Fort St. Livinius, skąd wysunęła placówki do zalewu na płn. zach. i do fermy Noort Gedacht. Od strony Remize i Drie Schouwen szedł silny ogień. Nie strzelano w tym kierunku, sądząc, że w tym rejonie jest pluton por. Goralika, z którym nie dało się do godz. 14.00 nawiązać łączności. 1. komp. 9. B.S. przeszła do Fortu St. Livinius wystawiając placówkę na Fort St. Jacob.

Ruch 3. komp. szedł opornie ze względu na silny ogień npla od czoła (z płn. i od zach. skrzydła). Cały ruch był bardzo wydatnie wspierany przez 2. P.Art.Mot. dowodzony przez płk. Marescha Karola, którego obserwatorzy szli w pierwszej linii, jak również był wspierany przez Pluton Moździerzy i pluton C.K.M. oraz hałbice 3. szw. 10. P.S.K.

4. komp. przeszła o godz. 15.00 na Fort St. Joseph, zaś posterunek bojowy dcy zgrupowania 9. B. S. na płd. wsch. od Fortu St. Livinius, skąd była bardzo dobra obserwacja całego odcinka.

Około godz. 16.00 3/9. B.S. opanowała Drie Schouwen. Dołączył do niej 1. pluton. Wysłane patrole dotarły pod zniszczony most przed samym miastem i zaległy tam. Z Axel szedł ogień. — Npl zasiadł tam twardo.

Zaobserwowano w ogrodach i domkach oraz na wyniosłościach starych ziemnych fortyfikacji z czasów wojen hiszpańsko-niderlandzkich, stanowiska piechoty npla oraz ruchy jego pojazdów. Przyszły meldunki o 4 samochodach panc. i 1 czołgu względnie dziale samobieżnym. Kompania 3. przygotowała się do dalszego skoku.



Na szlaku

Fot. M. Walentynowicz



Thielt — walka toczyła się w mieście

Fot. M. Walentynowicz



Saperzy otwierali nam drogę

Fot. M. Walentynowicz



Wyzwalaliśmy . . .



wiele miast . . .



i było nam przyjemnie

W międzyczasie patrol z plut. rozpoznawczego na *carrier'ach* wysłany na Oudepolder wziął tam do niewoli placówkę npla w sile 20 ludzi i rozpoznał obronę npla na ogólnej linii Sas-van-Gent — Westdorpe (dtwo baonu npla) — Klein Gent (dtwo komp. npla). Dca patrolu podał przez radiost. 19 elementy do 2. P. Art. Mot., który położył na cele kilka nawał. Były one bardzo skuteczne. Poprawki ogniowe i obserwację prowadził dca patrolu ppor. Mogilski.

I. Dyon z 2. P.Art.Mot. (dca kpt. Krupowicz), pluton moździerzy 3" i pluton ppanc. obkładały ogniem płd. skraje Axel. Obserwacje prowadzono z domów Drie Schouwen, ze stacji kolejowej, po czym z wieży wodnej. Około godz. 17.00 kpt. Judkowiak poderwał 3. komp., która wsparta 2. plutonem *Cromwelli*, dowodzonym przez por. Olesińskiego i ogniem broni ciężkiej, podeszła pod samo miasto. Npl. otworzył silny ogień z broni ręcznej i z wozów panc. z bezpośredniej bliskości, ze skraju miejscowości. Najbardziej dotkliwym był ogień strzelców wyborowych npla, ukrytych w domach, z tyłu.

W ciągu kilku minut 3. komp. miała 4 zabitych i 20 rannych. Czołg dowódcy plutonu został trafiony 2-ma pociskami. Pod osłoną 2. plut. 3. szwadronu 10. P.S.K. kompania odskoczyła na Drie Schouwen.

Ruch 2. komp. przez wodę był niemożliwy. W tej sytuacji dowódca 9. B.S. zdecydował przerwać natarcie, po czym :

— obezwładnić nieprzyjaciela ogniem,

— przegrupować baon na noc,

— wykonać wypad celem zebrania rannych z 3. komp.

Plan ten wykonano. Ogień artylerii, moździerzy, ppanc. i ckm. dał pełną przesłonę ruchów. 3. kompania po zluzowaniu przez 4. komp. oraz część komp. wsparcia przeszły do odwodu w rejon Fortu St. Joseph. Wypad po rannych został wykonany brawurowo i z godnym podkreślenia duchem koleżeństwa przez 2. pluton 3. szwadronu. Rannych uratowano.

W ciągu wieczora i nocy 16 na 17 września trwało obustronne i intensywne patrolowanie.

BÓJ DRAGONÓW O PRZEDMOŚCIE

IV. FAZA

Gdy to się działo w zgrupowaniu 9. B.S. 10. Pułk Dragonów dowodzony przez rtm. Kownasa porał się po południu ze złym terenem i przeszkodami. Idąc pieszo grząskimi szlakami polnymi, do tego pociętymi lejami i zawałami, dragoni uchwycili około godz. 15.00 2. szwadronem i plut. rozp. Absdale, zaś gros pułku szło po fatalnych drogach polnych w kierunku na

Fort St. Nicolas. Nie dochodząc tam zgrupowanie skręciło na płn. i osiągnęło Fort Ferdinandus.

Około godz. 16.00 zgrupowanie wschodnie pozostawiło plut. rozp. jako załogę Absdale, zaś drugi szw. dowodzony przez por. Bojanowskiego Zbigniewa walczył o zdobycie przeprawy na kanale, Axel — Hulst, w rejonie mostu kolejowego 1 km na płn. zach. od Absdale. Równocześnie gros pułku dotarło bez walki do kanału w rejonie Dubosch. 1. szwadron rtm. Giery Zbigniewa przeprawił się i ruszył pieszo do Steenbosch. W ślad za 1. szwadronem skierowano 2. szwadron, który nie był silnie związany walką. Zajął on stanowiska na wale w rejonie pół km na zach. od miasta Kijkuit. 3 szw., dowodzony przez por. Bielańskiego Jacka, stanął w rejonie skrzyżowania dróg i wału, 1 i pół km płn. zach. Dubosch. W ten sposób o zmroku przedmoście wyprowadzające na płn. — zostało opanowane. Patrole wysłane na bezpośrednie przedpole nie nawiązały styczności z silniejszym npiem.

Dowódca 3. Brygady Strzelców otrzymał meldunek o uchwyceniu przeprawy w Dubosch. Komunikacja z przedmościem była zapewniona bądź wpław, bądź przy użyciu saperskich łodzi szturmowych. Saperzy rozpoczęli po godz. 16.00 swą pracę dostarczając łodzi. Około godz. 18.00 wybudowali kładkę kapokową, po czym wieczór człony przeprawowe dla *carrier'ów*. Również wieczór patrol saperski z 10. Kompanii Sap. rozpoznał możliwości budowy mostu i obiecał uczynić to w ciągu nocy. Około 20.00 oficer łącznikowy z 3. B.S. ppor. Trocki doręczył rtm. Kownasowi rozkaz by 10. Pułk Dragonów ograniczył się do utrzymania bezpośredniego przyczółka na kanale.

Od godz. 01.00 dnia 17. IX rozpoczęło się nękanie przeprawy i stanowisk przez artylerię i moździerze npla. W dalszym ciągu nie było bezpośredniej styczności z żywą siłą npla. Saperzy pracowali pod ogniem. *Carrier'y* C.K.M. przeprawiane na członach zatonęły. Budowa mostu nie dała rezultatu. Saperzy pracowali z dużym poświęceniem, lecz odnosiło się wrażenie, że byli oni nie zupełnie zorientowani co do swoich możliwości.

Na skutek meldunku o tym położeniu i zawartych w meldunku danych o ugrupowaniu pułku dragonów, co zawierało groźbę tragicznych następstw, dowódca 3. Brygady Strz. wydaje o godz. 02.00 rozkaz:

a) 10. Pułk Dragonów ze względu na brak wsparcia bronią ciężką i brak mostów ma natychmiast siąść ściśle na przyczółku, ściągając eksponowane oddziały.

b) rejon przeprawy wzmocnić dwiema kompaniami z B.S.P., które zasiądą na płd. brzegu kanału, gdzie po świcie dojdzie szwadron 10. P.S.K.

Dnia 17.IX o godz. 02.30 był u dowódcy 10. Pułku Dragonów oficer łącznikowy z 3. Bryg. Strz., który tak przekazał potwierdzenie rozkazów jak i zabrał ze sobą sytuację.

Rozkazy te zostały wykonane przed świtem w sposób następujący :

3. szwadron zajął stanowiska na wałach i w domkach na zach. od przeprawy, zaś 2. szwadron na wschód od niej.

1. szwadron zajął rejon bezpośrednio na płn.

Dwie komp. Podhalan o godz. 05.00 zajęły nakazane stanowiska nad kanałem na płn. od Fortu St. Nicolas.

Rtm. Kłodziński Zygmunt melduje się z 1. szwadronem 10. P.S.K. u dowódcy B.S.P. o godz. 08.00 i rusza do czołowych kompanii.

Warunki łączności tak z Brygadą jak i ze szwadronami ciągle trudne.

Około godziny 05.30 wyszło natarcie niemieckie wsparte bronią pancerną z rejonu Kijkuit na wschodnie skrzydło 2. szwadronu dragonów, 2. szwadron został zrolowany i rozpoczął odskok na szwadron 3. W wyniku dalszego natarcia nieprzyjaciela oba szwadrony zostały zepchnięte w rejon zalanej wodą kładki na przeprawie i wycofały się na brzeg południowy.

Około godz. 08.30 1. szwadron 10. P.S.K. napotkał wycofujących się dragonów i nad kanałem dowódcę tego pułku, który podał swoje położenie. Szwadron stanął w uszykowaniu, trójkąt w tył na kierunku Dubosch i Kijkuit i rozpoczął ogień prewencyjny na nieprzyjaciela. Ta praca szwadronu trwała cały dzień.

1. szwadron Dragonów, który pozostał na pierwotnych stanowiskach, nie znał wytworzonego położenia z braku łączności. Około godz. 07.00 dowódca szwadronu zorientował się, że ma nieprzyjaciela na zapleczu i rozpoczął odskok w ogólnym kierunku na płn. W rejonie lasku i pola 1700 m na południe od Steenbosch. 1. szwadron dostał się w boczny (od wsch.) ogień nieprzyjaciela i został zdziesiątkowany. Jego resztki przeszły pojedyńczo wpław na placówki 2. komp. 9. B.S. Meldunki o niepowodzeniu dochodziły do 3. Bryg. Strz. od godz. 07.00 przez 9.B.S. po czym przez 1/10. P.S.K. W rezultacie nieudanej akcji pułk został skierowany do Koewacht dla odpoczynku i reorganizacji.

* * *

Reasumując należy stwierdzić, że cały wysiłek sforsowania kanału Axel-Hulst nie dał wyniku z powodu :

— trudności terenowych naturalnych i sztucznych hamujących względnie blokujących ruch oddziałów, a zwłaszcza ciężkiego sprzętu. Ruch ograniczał się do przejść na nasypach i to poprzecinanych lejami i zawałami,

— zorganizowanego oporu npla w sile około 3 baonów wspartych bronią pancerną. Nieprzyjaciel usadowił się za poważną przeszkodą wodną

przed 9.B.S. i mógł skutecznie bronić przepraw nawet małymi siłami, szybko koncentrując je w punktach zagrożenia. W sumie obrona nieprzyjaciela była ułatwiona, a dzięki tamie ruch w przód oddziałów własnych utrudniony,

— szeroko rozgrupowanej i mało odpornej obrony przedmościa przez 10. Pułk Dragonów, co pozwoliło nieprzyjacielowi na kolejne pobicie szwadronów. Szczególnie zemściło się wysunięcie jednego szwadronu daleko na płn.,

— trudności w budowie mostu,

— trudności w działaniu łączności.

DZIAŁANIA PRZEJŚCIOWE

V. FAZA

Meldunki o odrzuceniu 10. Pułku Dragonów z przyczółka zaczęły napływać do dowództwa Brygady dnia 17.IX. około godz. 08.00. Fakt niepowodzenia sforsowania kanału spowodował następujące decyzje dowódcy Brygady:

— zorganizować akcję ratowniczą dla pozostałych rannych i ewentualnie ukrytych dragonów,

— zmienić plan działania o tyle, żeby przejść całością do obrony przejściowej na linii szosy Fort Ferdinandus — Drie Schouwen, ubezpieczając oba skrzydła i trzymając linię ubezpieczeń nad kanałem Axel — Hulst.

Baon Strz. Podhal. z 1. szwadronem 10. P. S. K. zajął stanowiska w ogólnym rejonie obejmującym Fort St. Nicolas, Fort St. Ferdinandus i skrzyżowanie dróg o 1 km na zach. oraz wsch., jak również brzegi kanału w tym wycinku. 9. B.S. bez zmian — z tym, że oddał 3. szw. 10. P.S.K. lecz został wzmocniony plutonem 17 ft. S.P. 10. P.S.K. stał swoim gros od 16. IX od południa w Het Zand ubezpieczając zgrupowanie od zachodu.

O ile przegrupowanie Podhalan nie nasunęło większych trudności, o tyle akcja ratownicza dla dragonów nie dała wyniku. Wszelkie usiłowania obu baonów działania patrolami i wypadami z zadaniem uratowania rannych były przygważdżane celnym ogniem nieprzyjaciela. Udały się jedynie dywersje ogniowe dla umożliwienia ucieczek poszczególnych grup i pojedyńczych dragonów, zwłaszcza z 1. szwadronu, którzy przepłynęli przez kanał i zalewy. Z tego względu działanie to trzeba było odłożyć do nocy.

W południe ruszył 2. szwadron 10. P.S.K. rtm. Salwy Jana na La Trompe, St. Jansen i Hulst. Łatwo osiągnął dwie pierwsze miejscowości i podszedł pod Hulst. Nieprzyjaciel był tam silnie okopany z bronią ppanc.

Około godz. 14.00 dowódca Brygady otrzymał wiadomość, że dowodzony przez ppłk. Nowaczyńskiego Aleksandra 8. Baon Strzelców, który do tej pory walczył w zgrupowaniu płk. dypl. Deca w rejonie Gandawy, po wykonaniu tam swego zadania przeszedł do zgrupowania 10. Brygady Kawalerii Pancernej. Baon ten natarł po południu na miejscowość La Clinge leżącą o 3 km na płd. wsch. od Hulst, tuż przed granicą holenderską.

Około godz. 17.00 nawiązano styczność między 8. B. S. a 2. szw. 10. P.S.K. po czym szwadron przeszedł o godz. 18.00 do rejonu St. Andries z zadaniem ubezpieczenia od wsch. 8. Baon Strzelców w godzinach wieczornych zajął stację kolejową w La Clinge, a w ciągu nocy całą miejscowość. Dawało to duże zabezpieczenie prawego (wsch.) skrzydła Brygady.

Cały dzień 17.IX. trwała na odcinku intensywna działalność obserwacyjna oraz silna wymiana ognia ze wszystkich broni.

Niemcy przejawiali dużą aktywność. Zwłaszcza były nękane ogniem art. i moździerzy kompanie stojące najbliżej kanału, t.j. 4. i 2. 9. B.S. oraz 2. B. S. P. Poza tym szło intensywne patrolowanie z obu stron. Własny patrol dowodzony przez pchor. Gardzielewskiego z plut. rozp. 9. B.S. w składzie: drużyna *carrier'ów* i plut. 17 ft. S.P. zlikwidował bez własnych strat placówkę nieprzyjaciela w Klein Gent, biorąc 14 jeńców, w tym obecnego tam dowódcę kompanii.

Czynne i to z dobrym skutkiem były własna artyleria (2. P. Art. Mot.) i plutony moździerzy 3", które wykrywane cele szybko i skutecznie likwidowały. Między innymi kładziono ogień na latarnię wieżyczki na jednym z budynków, gdzie zauważono przez silne szkła, obserwatora. Jak dowiedzieliśmy się potem nie byli to Niemcy, lecz ludzie z holenderskich oddziałów podziemnych, wypatrujący nasze ruchy. Dowódca dyonu 1. kpt. Krupowicz i 3. mjr. Kazimierz Szydłowski oraz wysunięci przez nich obserwatorzy namierzali ciężkie działa nieprzyjaciela, które co pewien czas kładły nawały na 2/9 B.S. komp. B.S.P. i 10. P.S.K. (1 czołg rozbity pociskiem art. ciężkiej).

Wieczór poszły patrole dla uratowania ewent. pozostałych rannych dragonów. Nie dały one wyników, gdyż z miejsca natknęły się na ogień czuwającego nieprzyjaciela.

Noc przeszła spokojnie za wyjątkiem wymiany ognia między patrolami z obu stron i ogniem własnej artylerii, która prowadziła dobrze przygotowane nękanie na skrzętnie wyszukane rejony, czułe dla Niemców.

Ranek dnia 18. IX. nie przyniósł zmian, poza drobnym deszczem.

UCHWYCENIE PRZEDMOŚCIA

VI. FAZA

Pod osłoną przelotnych mgieł patrol Podhalan dowodzony przez kpr. Jankowskiego Józefa przeprawił się na drugą stronę kanału w rejonie wsch. od Dubosch. Tam został silnie ostrzelany z broni ręcznej i maszynowej. Stwierdzono obsadę w sile około 1 kompanii z 5 c.k.m. Patrol wziął 4 jeńców, mając 1 zabitego i 1 rannego.

W południe przyjechał do 1/10. P.S.K., który prowadził walkę ogniową, dowódca pułku mjr. Jerzy Wasilewski rozpoznał teren i położenie, po czym natychmiast osądził, że istnieją warunki zorganizowania forsowania. Cały 1. szwadron nastawił na ogólny kierunek od Fort Ferdinandus na Dubosch oraz ściągnął z Het Zand 3. szwadron, który nastawił na kierunek Kijkuit. Szwadrony podeszły do kanału i około godz. 14.00 opanowały ogniem jego północny brzeg. Nadesłano drogą radiową meldunek, że w tym miejscu stwierdzono możliwość utworzenia przedmościa.

Dowódca brygady powziął natychmiast decyzję i wydał rozkazy.

Zadanie uchwycenia przedmościa bez walki powierzono Baonowi Strzelców Podhalańskich i zmontowano wsparcie.

O godz. 16.00 ruszyło natarcie Podhalan, wsparte ogniem 2. P.Art.Mot. i całej broni dwóch szwadronów 10. P.S.K. (około 30 dział 25 ft. i 17 ft. oraz 60 c.k.m.) Pierwsza sforsowała kanał kompania 2. pod dowództwem por. Romanka i zasiadła czołem na płn., za nią poszła komp. 3. pod dowództwem por. Zagórskiego i zajęła lewe skrzydło frontem na Dubosch, wreszcie komp. 4. por. Tkacza ubezpieczyła z kierunku na wschód. Wzięto do niewoli 2 oficerów i 52 szeregowych. Straty własne 1 ranny.

Terenowo forsowanie dało Podhalanom obsadzenie stacji kolejowej Kijkuit Halt, opanowanie małego przedmościa 1. kompania, komp. wsparcia i dowództwa Baonu zajęły stanowiska w rejonie na płn. i wsch. od Fort Ferdinandus.

10. Kompania Saperów otrzymała rozkaz budowy mostu.

1/10 P.S.K. czekał na most, aby przejść na przyczółek. Próby budowy mostu były bez rezultatu. Ogromnym problemem było uzupełnienie benzyny a zwłaszcza amunicji. Trzeba było wysyłać po to poszczególne czołgi kolejno, gdyż dowiezienie było niemożliwe. Do 3. szwadronu dołączył 2. szwadron i stanął na wschód od jego stanowisk.

W godzinach wieczornych dowódca dywizji oddał brygadzie 8. B.S., który został zluzowany w La Clinge przez 10. Pułk Dragonów. 8. B.S. przeszedł do Koewacht.

Na godz. 20.00 dowódca brygady zwołał odprawę, na której wydał rozkazy do działania na dzień 19.IX. dając jako przedmioty Axel — Magrette — Rondeputten — Kapelle.

DZIAŁANIE NA AXEL

VII. FAZA

Znów zajmiemy się nieco szczegółowiej 9. B.S.

Po powrocie z odprawy u dcy brygady, dca 9. B.S. wydał w swoim m.p. (słomiana szopa ze żłobem, na który to temat mjr. Stępień przygadywał adiutantowi) rozkazy, które obejmowały:

I. Zamiar: Sformować 3 grupy bojowe. Manewrem grupy 1-szej od płn. wsch. wyjść na tyły Axel — uderzeniem grupy 2. od wschodu zdobyć miasto, — 3-cią grupą wiązać od płd. i zach. po czym ubezpieczyć od zachodu.

II. Organizacja 3 grup bojowych :

1-sza: kpt. Łabno — skład 3. komp. i pół komp. wsparcia 9. B.S., 2. szwadr. 10. P. S. K. bez plut.

2-ga: mjr. Stępień — skład 1. komp., 2. komp. i pół komp.wsp. bez moździerzy 9. B.S.. 1 pluton czołgów.

3-cia: kpt. Drożak — 4. komp. i pół plut. moźdz. 9. B.S.

Ale wracamy do całości działania zgrupowania 3. Brygady Strzelców.

W ciągu nocy npl okładał ogniem tak przyczółek jak i rejon budowy mostu. 10. Komp. Sap. dowodzone przez mjr. Neklaws miała duże trudności. Pod ogniem była również droga na grobli prowadząca do przeprawy. Niemcy patrolami naciskali na przyczółek Podhalan. Około godz. 03.00 2. komp. B.S.P. odrzuciła silny wypad npla, który uderzył z rejonu Hulst. W sumie B.S.P. ubezpieczył budowę mostu i utrzymał przedmoście do świtu dnia 19. IX.

Nad ranem mgła była bardzo gęsta. O godz. 06.30 most był gotów. Zaraz przeprawił się 1. szwadron 10. P. S. K., za nim ruszył 3. szwadron i stanął na ubezpieczeniu działania w kierunku wsch. Creigerbosch i płn. Wziął 50 jeńców i broń. Równocześnie ruszył do natarcia B.S.P. wsparty 1. szw. 10. P.S.K. Zrolował on Niemców w kierunku zachodnim i około godz. 07.30 opanował rejon Dubosch biorąc 10 jeńców i wiele broni ciężkiej. Straty własne: 5 zabitych i 2 rannych w tym 2 oficerów.

Działaniom sprzyjała gęsta mgła. W ślad za Podhalanami ruszył na groblę i przeprawę 8. B.S. Poniósł on tam straty od ognia art. i moździerzy npla. Uszkodzone ogniem pojazdy chwilowo zablokowały przelotność i opóźniły ruch o około 1 godz. 8. Baon Strzel. przekroczył przez Podhalan

i uderzył na płn. Poszedł z nim również 1. szwadron 10. P.S.K. przekazując swoje zadanie ubezpieczenia Podhalanom. Ruch był przywiązany do dróg i grobli. Pracę bojową wykonywano zgodnie z zamiarem dowódcy brygady. Pomagała temu gęsta mgła, która osłaniała krytyczne momenty. Były nimi:

— Oczyszczanie terenu wprost „przed nosem",

— domarsz po grobli i przepychanie się przez gardziel mostu, po czym rozwijanie się za nim,

— zagęszczanie koncentrujących się do akcji oddziałów (między Fort Ferdinandus a Absdale i na trzech szlakach dochodzących z południa).

Łoskot około 250 motorów przeważnie gąsienicowych, grających w gęstej mgle, wraz z ogniem dział i moździerzy, niewątpliwie poważnie deprymował npla, którego rolowało się od skrzydła.

Za 8. Baonem Strz. ruszyło zgrupowanie 9. B. S. i przeskoczyło bez przeszkód przez przeprawę.

1-sza grupa bojowa mjr. Łabno wykonała swoje zadanie, łamiąc npla w rej. farm Lusthof i Loose's Hof, po czym koordynując swój wysiłek z 2 grupą opanowała rejon Nooit Gedacht (na drodze do Terneuzen) i rejon węzła drogowego przy stacji kolejowej w Axel. Grupa 2-ga musiała posuwać się powoli, gdyż miała wiele pracy przy oczyszczaniu z npla lasków, zalewów, zabudowań it.p. Napotykano liczne grupy npla i własnych dragonów. Około godz. 10.30 natarcie grupy utknęło przed zalewem w rejonie wylotu drogi z Fort St. Livinius, która przecina się tam z kanałem i dwiema drogami. W tym czasie pogoda się przejaśniła, mgła znikła i zrobił się piękny, słoneczny, przejrzysty dzień. Wyszukany szlak przejść na tor kolejowy został zatkany przez głęboko ugrzęźniętego *Cromwell'a* z plutonu por. Świercza. Pchnięto w przód po kępach pierwszą komp. (kpt. Dubicki Zbigniew) po czym ruszyła reszta po wynalezionym nowym, suchszym szlaku.

O godz. 12.00 zgrupowanie wtargnęło do Axel od wschodu. Utarczki w mieście były fragmentaryczne. Wzięto około 80 jeńców, 7 dział ppanc. i 4 moździerze oraz wiele broni ręcznej i maszynowej.

3-cia miała duże trudności techniczne z przejściem przez wodę na zerwanej grobli drogowej, będącej pod ogniem i z obezwładnieniem ostatnich gniazd oporu po płd. zach. stronie Axel.

Ludność miasta mimo trwających utarczek wyległa tłumnie i entuzjastycznie wyrażała swą radość i wdzięczność za uwolnienie. Do dowódcy 9. B.S. podszedł p. Piotr Deker, który odwiedził przed wojną Warszawę. Dzięki niemu zorganizowano szybko ekipę roboczą i otworzono drogę na płd. dla przeprawienia 4. komp. oraz otwarcia komunikacji w tym kierunku. Następnie przekazano władzę nad miastem pastorowi Dr. van Oeveren,

który był dowódcą ruchu podziemnego holenderskiego w Axel. P. Deker zorganizował przewodnictwo oddziałów po krętych, wąskich uliczkach starego grodu.

Około godz. 13.30 zgrupowanie 9. B.S. ruszyło na dalszą część zadania:

4. komp. stanęła na zach. wylotach Axel z zadaniem ubezpieczenia od tego kierunku.

2. szw. 10. P.S.K. z Nooit Gedacht wysłał dwa plutony (2. i 4.) do akcji z 4. komp. na Axelsche Sassing i przeszedł pod rozkazy pułku.

Reszta zgrupowania 9. B.S. ruszyła na płn. osiągając bez poważniejszej walki o godz. 15.00 swój cel: 1. komp. obsadziła rejon Magrette, 2. komp. wał w kierunku Rondeputten, 3. wał na Doornhof. Dowództwo i kompania wsparcia stanęły na farmach w rejonie Vaartwijk. Wysłano patrole na Spuj (most zniszczony) i Schapeboitt oraz Sluiskil (npl).

Tymczasem 4. kompania przeprowadzała akcję oczyszczającą w kierunku na Axelsche Sassieng. Działanie to organizowało się bardzo szybko wobec czego nie było czasu na zgranie się oddziałów. Po wzięciu przez 4. komp. około 100 jeńców nadjechały 2 plut. z 10. P.S.K. i widząc Niemców, czołgi otworzyły ogień i natarły na zabudowania, w rej. których była 4. komp.. Ogniem z bliska została ona rozpędzona, przy czym większość jeńców zdołała zbiec. Tak to los boju przynosi nieraz złośliwe niespodzianki.

Na północy stwierdzono ugrupowanie obronne npla wzdłuż szosy do Terneuzen, z bronią ppanc. i moździerzami, na rozwidleniu dróg w Spuj. Była ona odgrodzona od nas zerwanym mostem i najeżoną bronią p.pancerną. Npl. pod ogniem 2. P.Art.Mot. i plut. m. 3 cal. zachowywał się cicho, jednak nie pozwalał na ruch w przód.

Główne zadanie 3. Bryg. Strz.: uzyskania rejonu dla artylerii, skąd zasięg pozwalałby obezwładnić port Terneuzen, zostało wykonane w połowie czwartego dnia ciężkich walk.

Gdy to się działo na zachodnim odcinku działań, na środku, zgrupowanie 8. B.S. wzmocnione 1. szwadronem 10. P.S.K. nie natrafiając na poważniejszy opór uderzyło na północ i płn. wschód.

W godz. popołudniowych zgrupowanie 8. B. S. dotarło, opanowało i obsadziło rejony Rondeputten, 1. komp. por. Nitka, Midden 2. komp. por. Borowiec, kpt. Ryzmar i rtm. Tucewicz z komp. 4. i 3. obsadzili wygiętą na północ pętlę wału w rejonie De Steenovens, 1. szwadron 10. P. S. K. stanął na kier. północnym.

Około godz. 19.00 ruszyło rozpoznanie na Zaamslag: plutonu z 1/10 P.S.K., 2 druż. *carrier'ów*, plut. strz. i druż. sap. Oddział ten rozbił kolumnę npla na drodze do miejscowości, podszedł pod wysadzony most i patrolami doszedł do miasta, skąd npl zbiegł. Na noc O.R. odskoczył na baon.

Niemcy w popłochu rozpoczęli ewakuację na płn., na Terneuzen i stamtąd, co wiedzieliśmy od jeńców i zbiegającej ludności cywilnej, przeprawili się przez Skaldę. Niemcy przesłonili się zerwanymi mostami i silnymi punktami oporu.

B. S. P. pozostał na kanale Axel — Hulst celem ubezpieczenia obu mostów, zapewniających drogi komunikacyjne.

W godz. popołudniowych został oddany dowódcy 3. Brygady Strzelców do dyspozycji 1. P. Panc. Stanął on w godz. wieczornych w rejonie zachodnim Axel.

Dowództwo 3. Brygady Strzelców przeszło do Axel.

Artyleria zaczęła maszerować skokami poszczególnych rzutów na nowe stanowiska. Jeszcze przed wieczorem 2. P. Art. Mot. rozwinął się na płn. skraju Axel, 1. Samobieżny P.Art. stanął na stanowiskach w rejonie farmy Looses Hof. Dowódca artylerii dywizyjnej płk. Noel Bronisław przesunął się z dowódcą 3. Brygady Strzelców do Axel.

O godz. 19.00 dowódca A.D. odprawił dowódców pułków i dał im plan ogni na port załadowczy w Terneuzen. Już o godz. 19.40 pułki meldują swoją gotowość. O godz. 20.00 rozpoczęto 50 minutową nawałę. Pułki strzelały salwami. W czasie tej nawały oba pułki wystrzelały 1820 pocisków. O godz. 21.00 rozpoczęto ognie nękające na Terneuzen i Spuj. Do godz. 04.15 oddano 200 strzałów.

Dla dowództwa Brygady i 9. B.S. dzień 19.IX. zakończył się i rozpoczął dzień 20.IX nękającymi nawałami artylerii i moździerzy na rejon od Megrette i Axel. Niepokojenie to trwało bez przerwy od godz. 01.00 do świtu, prawie bez strat wśród wojska.

VIII. FAZA

Jeszcze dnia 19.IX około godz. 24.00 dca brygady rozkazał 9. B.S. wysłać o świcie oddział wydzielony celem rozpoznania rejonu Terneuzen. Dowództwo nad O.W. w składzie 1. komp., druż. car., II/3. szw. 10. P.S.K., plut. 17 ft. S.P. Ppanc, druż. m.3" i plut. sap. objął kpt. Dubicki. Odcinek 1. komp. przejęły 2. i 3. 9. B. S.

Analogiczne rozkazy rozpoznania w kier. na płn. i wsch. otrzymał 8. B.S., B.S.P. i 10. P.S.K.

Dnia 20.IX ruszył o godz. 06.00 O.W. 9. B.S., z miejsca natrafił na miny i zerwane mosty. Wśród wyszukiwania szlaków możliwych do marszu i wśród drobnych utarczek, czołgom nie udało się przejść przez na pół wysadzone mosty i utknęły w rej. Spuj. W ten sposób zmniejszane O.W. o godz. 10.00 podeszło pod Terneuzen, po czym wtargnęło weń, opanowało i o godz. 12.00 doszło do Skaldy. W ręce nasze wpadła ogromna zdobycz w barkach, wozach, broni i amunicji, której lista zajęłaby parę stron. Niem-

cy w większości zdołali się uratować ucieczką na łodziach i barkach. Niszczono ich ogniem z brzegu. Ogień dział morskich npla z rejonów Ellewoutsdijk i Oudelande był mało skuteczny.

Również o godz. 06.00 ruszył oddział rozpoznawczy 8. B.S. w składzie analogicznym, jak dnia poprzedniego i po godzinie opanował Zaamslag. Wobec braku przeszkód dowódca brygady nakazał zgrupowaniu 8. B.S. na godz. 10.00 ruch wachlarzowy do morza.

W sumie wyniki rozpoznania mówiły, że Niemcy są rozbici w ciągu 4 dniowych walk i nie stawiają zorganizowanego oporu. Wycofywali się oni szybko i bezładnie na morskie ujście Skaldy, porzucając sprzęt oraz ewakuując się na barkach i łodziach na północ. Na tej podstawie płk. dypl. Skibiński postanowił „docisnąć" nieprzyjaciela do wody w całym pasie działania.

Około godz. 11.00 szw. 10.P.S.K. dopadł do brzegu Skaldy w rej. na płn. od Zaamslag i ogniem swych dział zatopił 4 duże barki załadowane Niemcami. Jeden duży trawler z Niemcami został uszkodzony, a następnie przy pomocy rybaka holenderskiego opanowany. Po południu przypłynął on pod polską flagą do Terneuzen do 9. B.S. W ten sposób zrealizowała się tradycja akcji kawalerii, tym razem w czołgach przez morze i anegdotka o „konnej marynarce".

O godz. 10.00 dowódca 3. Brygady Strzelców nakazał dla swego zgrupowania pogotowie marszowe na godz. 12.30 (za wyjątkiem 8.B.S., który ruszył o godz. 10.00) i zarządził odprawę w dowództwie na godz. 11.30.

Rozkazy wydane na odprawie 1. dz. 1/20 IX/Op./44 były w skrócie następujące:

1) Zepchnąć npla do morza i oczyścić z npla teren między portami Terneuzen a Walsoorden Haven.

2) Wykonać to 5-cioma grupami bojowymi względnie O.W.:

Zrealizowano to następująco :

— Grupa „D" — dowódca płk. dypl. Dec — w składzie B.S.P., 2. szw. 1. P. Panc., dyon S.P. 1. P. Art. Ppanc., druż. sap. z 10. Komp. Sap. i wsparcie 1. P. Art. mot. uderzyła przez Boschkapelle na Kampen, a dalej przez Gronendlik na Walsoorden Haven i Klosterzande.

Zadanie ukończono po południu.

— Grupa „N" — dowódca ppłk. Nowaczyński — w składzie 8. B.S., 1. szw. 10. P.S.K., 1 dyon S.P. P.Panc. i wsparcie 2. P. Art. Mot. wystartowała o godz. 10.00, przeszła przez Zaamslag — Reuzenhoek — Kamven i oczyściła wycinek między Kamven a Othene.

Zadanie wykonano do wczesnych godz. popołudniowych.

— Grupa „S" — dowódca ppłk. Szydłowski. Skład: 9. B.S. z 4. dyonem

P.Panc. i III. P.Panc. otrzymała zadanie obejmujące 2 oddziały wydzielone „Ł" i „K" oraz odwodowe dla gros. W godz. popołudniowych 9. B.S. przeszedł do Henstdijk.

— O.W. „K" — dowódca mjr. Stępień, skład 4. komp. 9. B.S. i 1. szw. 1. P.Panc. ruszył o godz. 14.00 na Sluiskil celem oczyszczenia rejonu b. dużej fabryki z npla. Npl w popłochu odskoczył za kanał, po czym pod ogniem szybko uciekł z zach. brzegu kanału i wycofał się na płn. zach. O godz. 17.00 akcja była zakończona i O.W. dołączyło do grupy „S".

— O.W. „Ł" — dowódca kpt. Łabno — w składzie O.W. 9. B.S. bez zmian oczyszczało w tym czasie z npla rejon Terneuzen i miało zadanie utrzymać to miasto. Było wiele pracy z rejestracją zdobyczy. Słaby ogień art. npla z płn. W pasie działania Kanadyjczyków na zach. obrona npla za kanałem nie przejawiła większej aktywności. Kanadyjczycy, działający z rejonów Brugii i Eekloo, szli wolno otwierając sobie drogę artylerią. W tym czasie doszli oni do rejonu Philippine nad granicą Belgii i Zelandii.

— 10. P.S.K. uderzył samodzielnie dwoma szwadronami. 2. szwadron szedł na Hengstdijk, skąd opanował Ossenize i Zeedorp. 3. szw. doszedł po południu do Klosterzande i Walsoorden.

— Artyleria wspierała zgrupowania na osiach ich działań, po czym zajęła stanowiska w rejonie Stoppedijkerver.

Wszystkie zgrupowania wykonały w ciągu popołudnia swoje zadania. Doszły one na szerokim froncie do brzegów morskiego ujścia Skaldy. W tym miejscu odległość do drugiego brzegu wynosi od 4 do 7 km. Zaciśnięto w ten sposób żelazny pierścień, odcinający Niemców, znajdujących się jeszcze na zachodzie, na wybrzeżach francuskich, belgijskich i zach. Zelandii, od ich lądowych dróg odwrotu.

„Bieg do morza", rozpoczęty nad Sekwaną w dniu 31 sierpnia, został zakończony. W ten sposób zgrupowanie 3. Bryg. Strzelców 1. Dyw. Panc. bijąc się za wolność swego Kraju oswobodziło połowę Zelandii.

W przyszłości 1. Dywizja Pancerna 3 razy jeszcze „biegła do morza".

Stało się to 2 razy również w Holandii z początkiem listopada 1944 do ujścia morskiego Mozy na płn. od Bredy, po czym w kwietniu 1945 do zatoki Dollard na płn. od Winschoten. Po raz ostatni w maju 1945 w Niemczech do Wilhelmshaven.

W tym rejonie zastało nas zawieszenie broni — *Czy dało to nam wolność, o którą walczyliśmy?*

ZDZISŁAW SZYDŁOWSKI, płk.


BÓJ O AXEL
KAMPEN
HENGSDIJK
TER NEUZEN
KWAKKEL
SCHAPERSHOEK
OTHENE
BOSCH KAPELLE
ZAAMSLAG
ZANDBERG
SPUI
JAGERTJE
MAGRETE
ROMDEPOTTEN
ZELDENRUST
STEENBOSCH
VAARTVIJK
MIDDENHOF
DE PUNT
REIGERSBOSCH
SLUISKIL
DOORNHOF
NOIT GEDACHT
HULST
LA CLINGE
AXELSCHE SASSING
LOOSES HOF
AXEL
DUBOSU
ABSDALE
KANAAL AXEL HULST
FT FERDINANDUS
ST JANSTEEN
DRIE SCHOUWEN
FT ST JACOB
FT ST JOSEPH
FT ST LIWINUS
ZWARTENHOEK
FT ST JOSEPH
FT ST NICOLAAS
DRIE HOEFIJZERS
HEIKANT
HAZELAARENHOEK
SAS VAN GENT
WESTDORPE
HALT
BOIS ROYAL
NIEUWEMOLEN
OLD FT ST JAN
ZUIDORPE
OUDEMOLEN
FT STANDRIES
HET ZAND
LA TROMPE
KOEWACHT
OUDEPOLDER
FORT MOERSPUI
STEKENE
WACHTEBEKE
MOERBEKE
TOR KOLEJOWY

U UJŚCIA SKALDY

KANAŁY, nasypy, rowy, szosy. Z niepokojem odczytujemy mapy pokryte niebieską siatką wód, niechętnym spojrzeniem rzucamy w lewo i prawo od osi naszych marszów. W oszołomionych wiecznym nasłuchem głowach tłuką się niespokojne myśli: — Jakże to tutaj? Jakże my tutaj? Jechać — uskoczyć, stanowisko zająć, oskrzydlić? Jak to będzie?

I rzeczywiście. Tutaj trzeba było inaczej. Przyszły dni twarde, uciążliwe. Kanał Hulst. Wysoki wał nadbrzeża naszpikowany *SS'ami*, w głębi przygotowane, z talentem zamaskowane, samobieżne działa, chytrze zmieniające swe stanowiska. Mosty oczywiście zerwane. Nasi saperzy, dragoni, „Krwawe Koszule", „Doktorskie Dzieci" i „Górale" — wiele krwi i sumiennej pracy włożyli w te dni. A ty człowieku tkwij w pancerzu jak w *pilboxie*, hałasuj, przestępuj z gąsienicy na gąsienicę i klnij, klnij, bo to zawsze „ździebko" pomoże. Ale nic więcej. Bo póki ci mostu nie zrobią, nic ci innego nie pozostało jak hałasować w miejscu i kotarą ognia osłaniać kolegów przy pieszej robocie. A *sniperzy* obtłukują wieżę jak stary garnczek. A skryte pepance zdradliwie świszczą i nie wyjdą z ukrycia. A zgrzytliwe moździerze dzień i noc swoim „łuuh, łuuh" próbują cię wyprowadzić z równowagi.

Ale minęło tych parę żmudnych dni. Pewnej nocy, zajęci strzelaniem i strachem, aniśmy się spostrzegli, jak most został wybudowany i o świcie byliśmy po drugiej stronie. Odetchnęliśmy — ale niezupełnie. Otaczała nas mgła. Gęsta jak mleko, lepka, nieprzenikniona mgła. Dotychczas nie mieliśmy tego. Czy to złe, czy to dobre? — W każdym razie będzie trudne. Widać na pięć kroków — nie dalej. Mamy pchać szanowny *Herrenvolk* na północ, do morza. A no pchamy. Idziemy wśród własnej piechoty. Idziemy wolno, ale nieustannie. Nieprzyjaciel słabo się broni. Zdaje się, że zmiękł przez te kilka dni. Robi wrażenie, że oddaje teren bez oporu, oddaje aż do — ? — Narazie idziemy.

Z mgły wyprowadzają grupki jeńców. Gdzieś zachłystują się k.m'y i buchnie czasem granat naszych 75. Na sieci znowu ruch:

— Hallo Ludwik 3 Adam, — dostałem ppanc. — palę się, — jeden ranny — opuszczam maszynę, proszę sanitarkę, — słucham.

— Hallo Ludwik 2, — teren niemożliwy, — nic nie widzę, — wracam na oś — jestem pod ogniem — słucham.

Hallo wszystkie stacje — uwaga na mapy — śledzić teren — kierunek bardziej na północ, — bardziej północ, — koniec.

Znowu gubi się czas, szum w uszach zlewa się z hałasem ognia i oczy aż bolą od wysiłku, by przebić mgłę, by zobaczyć co dalej, dalej. Aż przyszedł czas, gdy wiatr zwiał watę mgły i wrześniowe słońce otuliło nas bladą jasnością. Parujemy. Piechota zalega w terenie, zaciąga swe działa ppanc. Dalej nie pójdą. A my? Co my?

Zadanie: rozpoznać i oczyścić teren w pasie — granice od wschodu współrzędna . . ., od zachodu współrzędna . . . na północ brzeg morski zatoki Skaldy. Porozumieć się z piechotą co do oczyszczania terenu. Ruszać natychmiast.

Ruszamy. Sieć nasypów i dróg, jak kanwa. Łatwe to i bez kombinacji wychodzi; kto, którędy i dokąd dojść musi. Nieprzyjaciel w dalszym ciągu miękki. Pozostawione grupki osłonowe poddają się chętnie. Nasze plutony wachlarzem podchodzą do morza. Wygląda to na sielankę. Chyba już nic nie będzie? — Nagle:

— Hallo Ludwik, Celina — 3500 północny-zachód od mojego „Maria Paweł" — cztery duże barki niemieckie. Prowadzę ogień, strzelanie trudne, — słucham.

Na wąskim kamiennym molo rybackim gorączkowo zajmujemy stanowiska. Tłoczymy i rozpychamy się wzajemnie. W odległości paru kilometrów od nas widać na piaszczystej łasze cztery duże barki. Ocena odległości na wodzie niezmiernie trudna i *brakiet* nie wychodzi dłuższy czas, aż wreszcie jeden pocisk gruchnął w burtę środkowej barki. Gorączkowo przechodzą przez sieć podawane elementy strzału. Ale Szwaby nie czekają. Po pierwszym, celnym granacie zaroiło się na barkach i mrowie ludzi w bezładzie wyskakuje na łachę. Dajemy ognia z wszystkich luf. Przez lornetkę widać jak na ekranie: nieprzyjaciel wypłoszony z okrętów rozwija się tyralierą i maszeruje po piasku w kierunku przeciwnym do nas. Obliczam ich na około trzy kompanie — batalion? Czy ujdą? — Miejscowi Holendrzy, wylegli z pobliskich zabudowań, uspakajają nas: nie, Niemcy nie uciekną. Barki osiadły na mieliźnie i spłynąć mogą dopiero z przypływem morza. Mielizna nie ma połączenia z lądem. Przypływ będzie około godziny 17,00.

Jest godzina 13,00. Dzielimy robotę. Część z nas niszczy stojące barki, a druga część granatami wali w uciekające tyraliery Niemców.

Co za obrazek. Widać przez lornetkę, jak szeroka linia Szwabów grzęźnie po kostki w pośpiesznym marszu. Po każdej serii strzałów kładą się, a gdy po wybuchach opadają fontanny piachu i wody — podnoszą się znowu i grzęzną dalej. Są coraz dalej. Żądamy artylerii. Mam kierować ich ogniem.

Rąbiemy barki, rąbiemy po uciekających Szwabach. Amunicja idzie jak woda. Otacza nas tłumek tubylców. Po każdym celnym strzale podnoszą się ryki, wiwaty, machania rękami, kciuki w górę. Znowu czas płynie niespostrzeżenie. Daleko kłębią się szarpane granatami grupki nieprzyjaciela. Woda sięga im już do kolan. Są jednak coraz dalej. Wychodzą poza zasięg naszej broni. Będziemy musieli resztę zostawić artylerii i morzu.

Widać tymczasem, jak z przeciwległego brzegu początkowo jedna, potem druga i trzecia motorówka przypływa i zabiera Niemców, pewnie rannych.

Zbliża się godz. 16,00. Przyjeżdża obserwator artyleryjski. Morze podnosi się coraz wyżej, łacha piaszczysta niknie pod wodą. Przyroda kończy naszą robotę i artylerii.

Stoimy. Czołgi mamy puste, wystrzelane do ostatniego naboju. Luf dotknąć nie można, powietrze drga wkoło nich, śmierdzi spalenizną farby. Ludzie powyłazili z pancerzy, siedzą na czołgach, dyszą ciężko, ocierają pot z czoła, z oczu, z karku — i milczą. Milczą i patrzą. Wszystkie lornetki w ruchu. Dzieciaki holenderskie piszczą, bijąc się o wyrzucone łuski; słychać nadal spokojny, musztrowy głos artylerzysty, który ciągle jeszcze posyła stada szrapneli na zatopioną łachę i hen, aż tam pod przeciwległy brzeg.

Palimy papierosy. Oczy nam błyszczą. Zbyt jesteśmy zmęczeni, by uzewnętrzniać to, co w nas siedzi. A siedzi w nas rzetelna, żołnierska satysfakcja. Po bardzo długiej chwili, przyjaciel mój, strzelec wieżowy — oczywiście spluwając — powiedział ni stąd, ni zowąd i jak zawsze niezrozumiale:

— Kurza stopka! — Doszło. Dożyło się i coś niecoś wyżyło się. Majątek! To majątek — takie krypy, taka mielizna, taki batalionik! Co?.

Tego samego dnia 2. szwadron Strzelców Konnych w innym miejscu doszedł do wybrzeża i zatopił dwie barki patrolowe.

W tym rejonie, kilkaset metrów od brzegu, kołysał się na falach patrolowiec niemiecki. Nie zaobserwowano na nim ludzi. Oficer wywiadowczy, Bronek, zdecydował „zdobyć" patrolowiec. Bronek ze swym kierowcą Mietkiem oraz czterema dobrowolnie zmobilizowanymi, holenderskimi rybakami, podpływa do patrolowca. Okręt (tak, okręt, a nie żaden statek, bo to uzbrojona jednostka niemieckiej marynarki wojennej) jak świadczyły ślady pozostawionego jedzenia, został niedawno i w pośpiechu opuszczony; widocznie coś nawaliło i załoga nie mogła uruchomić silników.

Postanowiono okręt uruchomić. Ściągnięto mechaników z czołówki naprawczej pułku z jej dowódcą Wicusiem na czele.

Pełne niespodzianek były trzydniowe przygody tej improwizowanej załogi okrętu wojennego.

Trzy zadania stanęły przed załogą: pierwsze, to uruchomić okręt, drugie, to rozpoznać przeciwległy brzeg, trzecie, to odprowadzić okręt do portu Terneuzen, celem późniejszego przekazania go Polskiej Marynarce Wojennej. — Taki był projekt.

Po dwóch dniach żmudnych prac, po naprawieniu przewodów do butli ze sprężonym powietrzem, służącej do uruchomienia silników i użyciu butli z tlenem zabranej z pobliskiego browaru oraz po pokonaniu mnóstwa nieprzewidzianych trudności technicznych, uruchomiono piękne silniki Diesla i patrolowiec był gotów do „zadań bojowych".

Trzeba rozpoznać przeciwległy brzeg. — Oficer wywiadowczy Dywizji podobno bardzo jest ciekaw czy na tamtym brzegu są Niemcy. Lecz jakże to podnosić kotwicę tak bez niczego? Wywieszono flagę polską i dla większego jeszcze efektu wyciągnięto wszystkie flagi sygnałowe. Z wielką pompą zdobyczny okręt wyruszył na zadanie. Pompa była zbyt jaskrawa. Nie uszło to uwagi niemieckiej i pierwsza salwa z ciężkich dział artylerii chlupnęła w morze. — A więc na przeciwległym brzegu są Niemcy i jest artyleria. Będzie Dywizja miała wiadomości. Następne strzały były celniejsze. — Dziura w burcie — załoga musiała nawiewać na łódki i do brzegu. Na pokładzie powstał pożar.

Ale Wicuś nie dał za wygraną. Okręt z takim trudem uruchomiony trzeba ratować; wrócił łódką i ogień ugasił. Sam jeden. A na pokładzie były przecież bomby głębinowe, a pod pokładem skład amunicji. Ale udało się.

Następnego dnia o świcie doprowadzono okręt do portu Terneuzen i przekazano komendantowi portu.

Eskapada udała się bo i zdobycz z okrętu — rozdzielona pomiędzy Strzelców Konnych — była nie licha. Była okazja i było czym przepić i czym zagryźć. A flaga niemieckiej marynarki wojennej i książka okrętowa poszły do archiwum pułku.

ZYGMUNT KŁODZIŃSKI, rtm.
10. Pułk Strzelców Konnych.

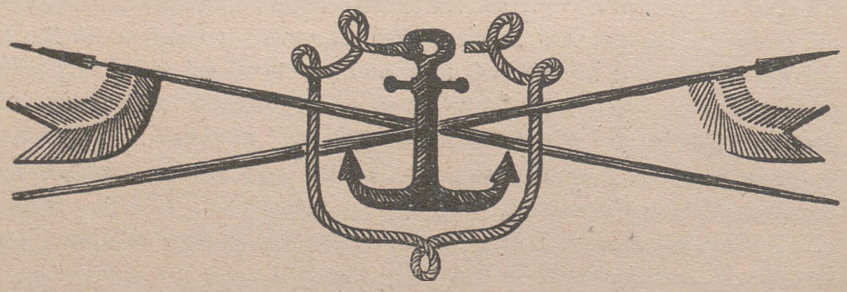



Dobrane małżeństwo

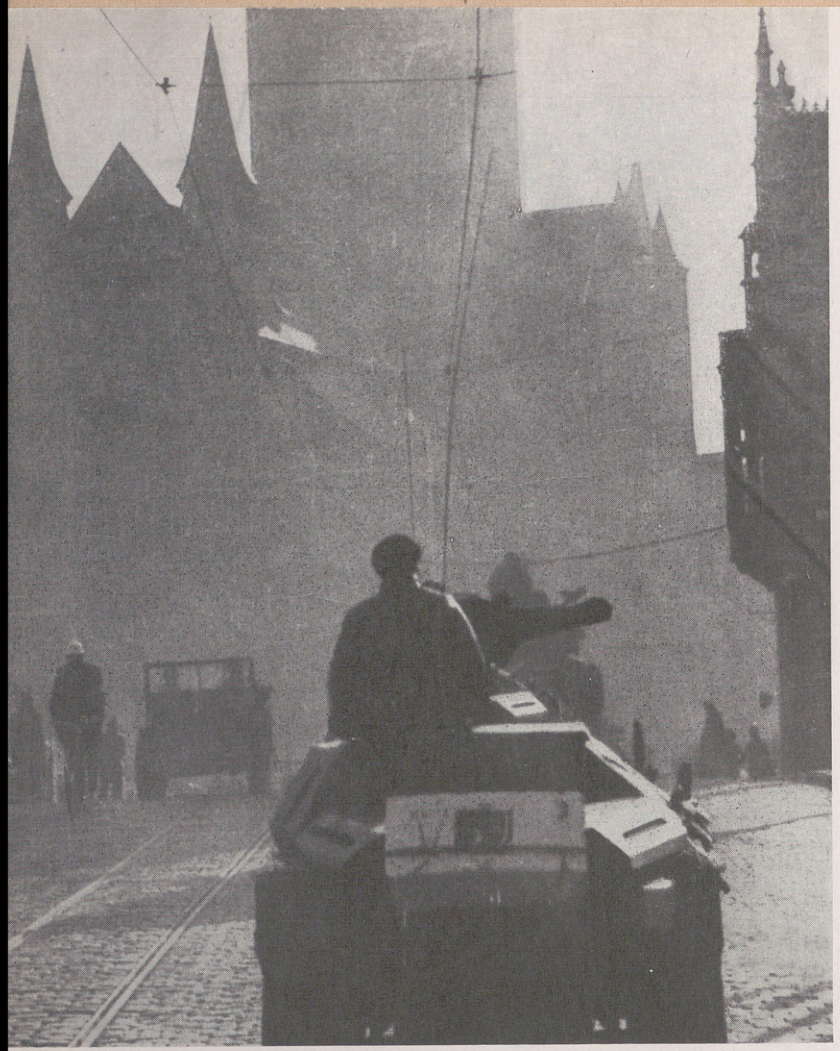

W Gandawie



Uzupełnienie amunicji

Fot. M. Walentynowicz

ROZKAZ DZIENNY 1. DYWIZJI PANCERNEJ Nr. 53.

Belgia, 28 września 1944 roku.

ROZKAZ DOWÓDCY 21. GRUPY ARMII.

Podaję w tłumaczeniu rozkaz Dowódcy 21. Grupy Armii z dnia 17 września 1944 r., który winien być odczytany we wszystkich oddziałach Dywizji.

1) Dzisiaj tj. 17 września 1944 r. chcę mówić do wszystkich żołnierzy w Grupach Armii, pozostających pod moimi rozkazami.

2) Cóż za zmiana zaszła na widowni odkąd ostatni raz mówiłem do was w dniu 21 sierpnia. Wtedy posuwaliśmy się w kierunku SEKWANY, zadawszy decydującą klęskę armiom niemieckim w Normandii. Dzisiaj Sekwana została daleko za nami, Sprzymierzeni wyparli nieprzyjaciela praktycznie biorąc z całej Francji i Belgii, z wyjątkiem kilku miejsc i stoimy u bram Niemiec.

W szalonym zrywie waszego pochodu na północ od Sekwany przynieśliście szybko ulgę naszym rodzinom i najdroższym w Anglii — zajmując wyrzutnie bomb latających.

Posunęliśmy się naprzód, robiąc szmat drogi w krótkim czasie i dokonaliśmy bardzo wiele. Globalna liczba wziętych jeńców dochodzi obecnie do 400.000, a wciąż wiele ich się bierze w tych portach Bretonii i Pas-de-Calais, które jeszcze się trzymają.

Nieprzyjaciel poniósł niezmierne straty w ludziach i materiale, staje się problematycznym jak długo jeszcze może on prowadzić walkę.

3) Taki bieg wypadków rzadko spotkać można w historii — na przestrzeni tak krótkiego okresu czasu.

Macie wszelką podstawę by być dumnymi z tego, coście zdziałali.

Możemy sobie powiedzieć:

„Był to palec Boży i zdumiewające jest to w oczach naszych".

4) A obecnie Sprzymierzeni otaczają coraz ciaśniej nazistowskie Niemcy od wschodu, zachodu i południa; ich satelici zrezygnowali — mając dosyć nazizmu i walczą obecnie po naszej stronie. Nasi amerykańscy sprzymierzeńcy walczą już na niemieckiej ziemi w wielu miejscach, a wkrótce my wszyscy też się tam znajdziemy.

5) Nazistowscy przewódcy nakazali ludności bronić Niemiec do ostatka i walczyć o każdą piędź ziemi, jest to rozkaz bardzo zrozumiały, sami byśmy tak postąpili w podobnej sytuacji.

Ale samo wydawanie rozkazów jest zupełnie bezprzedmiotowe, potrzeba nadto odważnych i zaufania godnych ludzi do ich spełnienia.

Wielki odsetek narodu niemieckiego wie, że sytuacja ich jest już beznadziejna i zda sobie sprawę z tego jeszcze wyraźniej, gdy głębiej będziemy wchodzić w ich kraj; mało będą mieli ochoty do kontynuowania walki.

6) Jakiekolwiek jednak rozkazy będą wydawane w Niemczech i jakiekolwiek działania będą w związku z tym przedsięwzięte, żadne ludzkie wysiłki nie uchronią od zupełnej i całkowitej zagłady niemieckich sił zbrojnych, ich los jest przesądzony, a ich klęska ostateczna.

Okrzyk tryumfalny brzmi obecnie: „Naprzód na Niemcy".

7) Życzę wam wszystkim szczęścia i dobrych łowów w Niemczech.

Belgia, 17 września 1944.

(—) B.L. MONTGOMERY

Field Marshal, C-in-C 21. Army Group

ULOTKA WYDANA PRZEZ BELGÓW

KU CZCI POLEGŁYCH ŻOŁNIERZY DYWIZJI PANCERNEJ

ś. p. WÓJCIK WOJCIECH
OSZMIAŃSKI
KWIATKOWSKI ANDRZEJ

† TOT ROEMVOLLE EN VROME GEDACHTENIS

leven offerden in heldhaftige liefde van Oostnieuwkerke hun jeugdig 7 September 1944 voor de bevrijding die op den heugelijken Donderdag VAN DE POOLSCHE SOLDATEN

Wat waren wij blij toen gij bij ons zijt gekomen, duurbare vrienden, die zoo lang reeds werd verwacht!

Wij danken U: aan uw heldenmoed zijn wij onze bevrijding verschuldigd.

Wij bewonderen U: kinderen un een groot volk dat strijdt, reeds zoolang voor outer en haard, tegen machtige vijanden.

Wij beminnen U: fiere zonen van 't katholieke Polen en wenschen dat uw zoo duurbaar Vaderland spoedig zijn vrijheid en onafhankelijkheid herovere.

Wij bidden voor U: opdat het offer van uw leven u moge de onsterfelijke hemelglorie verwerven; voor uw geliefde familie opdat zij getroost worde; voor uw land opdat het verrijze in roem, grootheid en vrede.

Onze Lieve Vrouw van Częstochowa bid voor uw duurbaar volk.

† KU CHWALE I CZCI PAMIĘCI POLSKICH ŻOŁNIERZY

poległych pamiętnego Czwartku dnia 7 września 1944 i w bohaterskim poświęceniu oddali swe młode życie za wolność Oostnieuwkerke

---

Jak wielce szczęśliwi byliśmy, gdyście do nas przyszli, Drodzy Przyjaciele, czekaliśmy na was od tak dawna.

Dziękujemy wam: za waszą bohaterską odwagę, której zawdzięczamy naszą wolność.

Podziwiamy was: dzieci Wielkiego Narodu, który zmaga się od tak dawna z potężnym wrogiem walcząc o wolność swych rodzin i ognisk.

Kochamy was: dumni synowie Polski Katolickiej i życzymy wam aby wasza ukochana Ojczyzna odzyskała jaknajrychlej swą wolność i niepodległość.

Modlimy się za was aby wasze bohaterskie poświęcenie zapewniło wam nieśmiertelną chwałę niebieską, ukoiło ból waszych rodzin, a Ojczyźnie waszej przyniosło chwałę, pokój i wielkość.

Matko Bosko Częstochowska wstaw się za lud swój, Ci wierny i oddany.

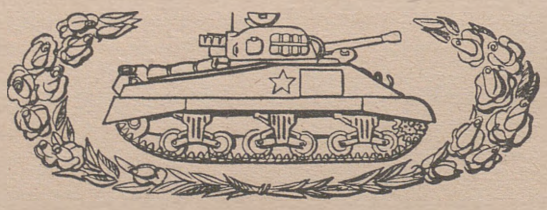

OD
SKALDY
DO
MOZY

W S T Ę P

Z końcem września 1944 roku armie sojusznicze posuwały się szerokim frontem ku wschodowi, zbliżając się coraz bardziej do Renu. Nieprzyjaciel jednak wyraźnie odzyskiwał równowagę po uprzednich klęskach, zdołał odrzucić desant pod Arnhem oraz ataki amerykańskie na linię Zygfryda. Ciężkie zmagania zapowiadały się przed ostatecznym wkroczeniem do Niemiec.

Z uwagi na wydłużające się nadmiernie linie komunikacyjne, biegnące ciągle jeszcze od wybrzeży Normandii, warunkiem powodzenia przyszłych działań było oczyszczenie jeszcze przed zimą rejonu Antwerpii, celem wykorzystania tego portu, jako bazy zaopatrzenia.

Zadanie to otrzymała 1. Armia Kanadyjska. 1. Dywizja Pancerna, po 4-dniowym odpoczynku i po uzupełnieniu stanów i sprzętu, weszła w skład 1. Korpusu Brytyjskiego, należącego do 1. Armii Kanadyjskiej.

W dniu 28.9.44. Dywizja została przesunięta w rejon koncentracji na wschód od Antwerpii, skąd w dniu następnym wyruszyła na dalsze zadanie, którym było: uderzyć w ogólnym kierunku na Tilburg przez Oostmalle, Merxplas i Baarle-Nassau.

Walcząc mieszanymi zgrupowaniami bojowymi, Dywizja zdobyła kolejno Merxplas, Baarle-Nassau i Alphen, czym zasłużyła sobie na pisemną pochwałę dowódcy korpusu. Nazajutrz po zdobyciu Alphen t.j. dnia 6.X. 1944., na skutek wbicia się Dywizji głębokim klinem w ugrupowanie obrony nieprzyjacielskiej i pozostania sąsiadów w tyle, Dywizja otrzymała rozkaz utrzymania i aktywnego dozorowania opanowanego terenu przez czas niezbędny dla przegrupowania sił alianckich do dalszych działań.

Po 3-tygodniowej bez mała obronie odcinka, która nie dała oddziałom odpoczynku, Dywizja otrzymała 26 października zadanie związania nieprzyjaciela na ogólnym kierunku Oosterhout, aby nie pozwolić mu na przegrupowanie się na kierunek głównego uderzenia Korpusu, które miało pójść zbieżnie od południowego-wschodu i południowego-zachodu.

Dywizja ruszyła więc w dniu 26 października na północ walcząc, w zaminowanym gęsto terenie, dwoma zgrupowaniami — jednym przez Gilze, Dorst, a drugim przez Ijpelaar i Ginneken.

Po przecięciu głównej szosy Breda — Tilburg w dniu 27 października Dywizja, wobec zmiany rozkazu przez dowódcę 21. Grupy Armii, otrzymała nowe zadanie: opanować mosty na Hollandschdiep w rejonie Moerdijk.

W wykonaniu tego zadania Dywizja zdobyła Bredę w dniu 30 października i przystąpiła niezwłocznie do forsowanie silnie bronionego kanału Mark.

Zdobyty w dniu 31 października przyczółek na północny-zachód od Bredy, wobec bardzo silnej obrony i dużych strat własnych został na rozkaz dowódcy Korpusu ewakuowany.

Następne forsowanie na północny-wschód od Bredy, przeprowadzone w dwóch miejscach, doprowadziło do uchwycenia w dniu 3 listopada nowego przyczółka. Przyczółek ten szybko powiększono i przeprawiono w tym miejscu gros sił Dywizji.

UWAGA: patrz mapa po str. 218.

Po walkach w niezmiernie trudnym, pełnym zalewów terenie, Dywizja przystąpiła w dniu 8 listopada do likwidacji przedmościa Moerdijk, ostatniego już ośrodka nieprzyjacielskiego na południowym brzegu Mozy.

Do akcji tej użyto wsparcia aż 10 pułków artylerii i dyonu moździerzy wielolufowych.

Dnia 9 listopada działanie Dywizji zostało ukończone, co zamknęło trzeci okres walk.

Wielolufowe moździerze rakietowe, użyte po raz pierwszy w walkach na wyspie Walcheren, gdzie nie wzbudziły entuzjazmu, oddały przy likwidacji przyczółka Moerdijk ogromne usługi.

W tym okresie operacji związanych z oczyszczenie rejonu Antwerpii, Dywizja wzięła do niewoli 52 oficerów i 2892 szeregowych, zniszczyła 46 dział, 4 czołgi i 8 dział samobieżnych.

Straty własne wyniosły 84 oficerów i 1325 szeregowych.

* * *

Przeciętne odległości pomiędzy Dywizją, a trzecią linią zaopatrywania, napraw i ewakuacji wynosiły około 50 km.

Przejście do 1. Korpusu Brytyjskiego nastręczyło nieco trudności. Korpus ten nie miał dotychczas w swoim składzie Dywizji Pancernej i szczególnie w dziale amunicji czołgowej nie był przygotowany do sprostania naszym żądaniom. Musieliśmy przez 2 tygodnie cierpieć przykre ograniczenia amunicyjne, które dopiero w okresie walk pod Baarle-Nassau przestały nam dokuczać.

Dywizja wydała w tym okresie:

żywności	— 1766 ton
amunicji	— 4982 ton
materiałów pędnych	— 2674 ton

Naprawiono w Oddziałach Warsztatowych:

czołgów	— 155
pojazdów „A“ i „B“	— 733

Oddziały Sanitarne udzieliły pomocy:

1045 rannym

1047 chorym

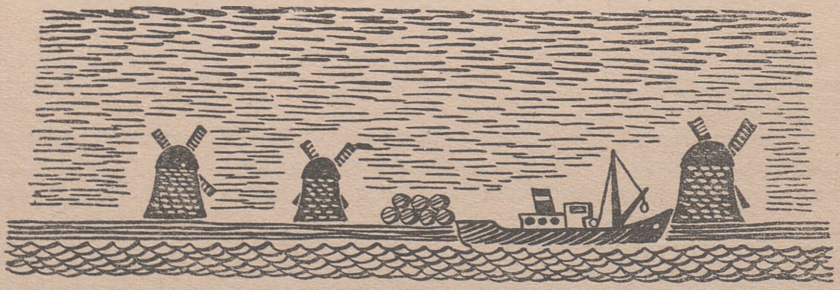

KALENDARZ DZIAŁAŃ DYWIZJI

28.IX. Dywizja przeszła do nowego rejonu koncentracji na wsch. od Antwerpii przed wejściem do dalszej akcji.

Dywizja weszła pod rozkazy 1. Brytyjskiego Korpusu (w ramach 1. Armii Kanadyjskiej) w gotowości do działania na Tilburg.

29.IX. Dywizja, przy wsparciu całej artylerii własnej oraz artylerii 49. Dyw. Piech., rozpoczęła działanie na Tilburg w ugrupowaniu 3. Bryg. Strz. (wzmocniona 24. P. Uł.) w przód. Działanie poprzedzone było rozpoznaniem 10. P.S.K. Po ciężkich walkach 9. B.S. opanował płd. skraj fabryki Dépôt de Mendicite, a B.S.P. miejscowość Wolfsputten na płd. od Merxplas. Działanie baonów wsparte było wydatnie przez szwadrony 10. P.S.K. i 24. P. Uł. w terenie ciężkim dla działania czołgów.

30.IX. Wczesnym rankiem ruszyło natarcie na Merxplas. Opór nieprzyjaciela został złamany czołowym natarciem B.S.P. i manewrem 10. P. S. K. wzdłuż wsch. skrzydła natarcia. W południe Merxplas było opanowane. Równolegle z działaniem B.S.P. nacierał na lewym skrzydle 9. B.S. Oba baony wsparte były szwadronami 24. P. Uł. Po południu 10. P.S.K. opanował przeprawy na kanałach, wyprowadzające na kierunek Zondereigen i Baarle-Nassau. Przeprawy te obsadzone zostały przez oddziały 3. Bryg. Strz. Artyleria Dywizyjna jednym z ześrodkowań ognia zniszczyła całą baterię nieprzyjaciela na stanowisku.

1.X. Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. w działaniu na Baarle-Nassau napotkało na silny opór w rejonie Zondereigen. Zadanie przełamania oporu otrzymała grupa bojowa w składzie B.S.P. i 24. P. Uł. bez szwadronu, która po ciężkich całodziennych walkach z doborowymi oddziałami niemieckimi zdobyła miasto, przy współdziałaniu 10. P.S.K. Pułk ten manewrem od zachodu opanował od tyłu pozycje nieprzyjaciela. Zgrupowanie 10. Bryg. Kaw. Panc., które rozpoczęło już działanie w dniu poprzednim z rejonu płd. Merxplas na kierunku Baarle-Nassau, natrafiło na silny opór w rejonie Noord Bosch i Venheide. Czołowe natarcie nie dało rozstrzygnięcia, wobec czego wyszedł oddział wydzielony (w składzie: dwa szwadrony 10. P. Drag. i szwadron 2. P.Panc.) z zadaniem uderzenia na skrzydło nieprzyjaciela od zachodu. Ciężkie walki trwały do zapadnięcia nocy. Działa nieprzyjaciela zdobyte w dniu poprzednim wydatnie wzmocniły ogień artylerii własnej w czasie tego działania.

2.X. 10. Bryg. Kaw. Panc. wzmocniona 10. P. S. K. i 8. B. S., wsparta lotnictwem i artylerią, kontynuowała natarcie czołowe na Noord Bosch, a oddział wydzielony obchodząc nieprzyjaciela od zachodu wyszedł już na jego tyły. 10. P.S.K. współdziałał z oddziałem wydzielonym. To zbieżne działanie pozwoliło na opanowanie rejonu Noord Bosch.

Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. w obronie przejściowej wykonało szereg wypadów oraz patrolowało przedpole.

3.X. Zgrupowanie 10. Bryg. Kaw. Panc. w dalszym ciągu działania uderzyło na wsch. skraj Baarle-Nassau napotykając na silny opór.

Po ciężkiej walce zajęty został Baarle-Hertog przez 10. P. Drag. i szwadron 2. P.Panc. Równocześnie 2. P. Panc. wykonał manewr od wschodu zajmując De Ross i wychodząc na skrzydło obrony nieprzyjaciela. Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. przeszło do ostatniej fazy natarcia na Baarle-Nassau, które zostało opanowane wieczorem po ciężkich walkach przez 8. B.S. i 9. B.S. przy współdziałaniu 1. P. Panc. Walki uliczne trwały całą noc, całość działania Dywizji ubezpieczona była od zachodu przez 10. P.S.K.

Za walkę o zdobycie Baarle-Nassau Dywizja otrzymała pochwałę Dowódcy 1. Korpusu Brytyjskiego.

4.X. Po przygotowaniu artyleryjskim zgrupowanie 3. Bryg. Strz. po południu działało zaczepnie w kierunku płn. i płn.-zach. od Baarle- Nassau. Do wieczora 9. B.S. i 1. P. Panc. zdobyły las na płn. od tej miejscowości.

Przeciwnatarcie niemieckie z bronią pancerną z kierunku płn.-wsch. zostało zatrzymane na linii toru kolejowego Baarle-Nassau — Tilburg. 10. Bryg. Kaw. Panc. rozpoznała przez walkę przedpole na wsch. i płn.-wsch. od Baarle-Nassau. (10. P. Drag. i 2. P. Panc.), nawiązując łączność z sąsiadami. 10. P.S.K. działał na lewym skrzydle zgrupowania 3. Bryg. Strzel. ubezpieczając całość działania Dywizji z kierunku zach. i płn.-zach.

5.X. Zgrupowanie 10. Bryg. Kaw. Panc. wzmocnione 9. B.S. rozpoczęło o godz. 11.00 natarcie na Alphen, które po ciężkiej walce zostało opanowane do godz. 19.00 przez 2. P. Panc. i 9. B.S., wbijając się klinem w pozycje nieprzyjaciela.

24. P. Uł. zdobył miejscowość Terover i Houdseind. Równocześnie zgrupowanie 3. Bryg. Strz. (B.S.P. i 8. B.S.) przy współdziałaniu 10. P.S.K. nacierało na Baarle-Bosschoven. Po południu po lewoskrzydłowym uderzeniu 10. P.S.K. opanowano lasy na zach. od Alphen w rejonie Kwalburg (8. B.S.). Działania Dywizji w tym dniu wybitnie wspierało lotnictwo taktyczne.

6.X. — 26.X. Po siedmiu dniach ciężkich walk Dywizja otrzymała zadanie zorganizowania przejściowej obrony zdobytego dotychczas terenu, gdyż na skutek tych działań Dywizja wysunęła się w przód w stosunku do sąsiednich dywizji.

Dywizja przegrupowywała się, oczyszczając poszczególnymi oddziałami teren i patrolując zaczepnie przedpole.

1. P.A.Ppanc. pełni służbę na placówkach na równi z baonami strzelców.

27.X. Dywizja rozpoczęła działanie z rejonu Alphen w kierunku płn.-zach. dwoma zgrupowaniami. Zgrupowanie 10. Bryg. Kaw. Panc. (24. P. Uł., 10. P. Drag., 10. P.S.K., B.S.P. i 8. B.S.) nacierając z rejonu lasów na wsch. od Alphen zdobyło kolejno Alphenschedijk (B.S.P.), Alphen Oosterwijk (8.B.S.) oraz Gilze (10.P.S.K.), przecinając w dwóch miejscach główną szosę Tilburg — Breda.

Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. (9. B.S., 1. P. Panc. i 2. P. Panc.) opanowało płn. wyjścia lasów na płn. od Alphen.

28.X. Dywizja otrzymała zadanie działania na miasto Breda. W ciągu dnia 10. P.S.K. z dyonem ppanc. opanował w walce rejon Bavel, umożliwiając tym działaniem zgrupowaniu 3. Bryg. Strz. (B.S.P., 9. B.S., 2. P. Panc. oraz dwa dyony ppanc.) osiągnięcie podstaw wyjściowych do uderzenia na Bredę.

9. B.S. natarciem nocnym po ciężkiej walce opanował do rana wsch. część Ginneken.

Grupa bojowa 1. P. Panc. i 8. B.S. osiągnęła rejon Ijpelaar.

Grupa bojowa „Dragon" (10. P. Drag., 24. P. Uł. i dyon ppanc.) opanowała po ciężkiej walce Molenschot i Dorst.

Całość Dywizji w gotowości do natarcia na Bredę.

29.X. Od rana Dywizja działała na dwóch kierunkach: zgrupowanie 3. Bryg. Strz. (3. Bryg. Strz. i 2. P. Panc.) przy wsparciu artylerii natarła przez Ginneken na Prinsenhagen, zgrupowanie 10. Bryg. Kaw. Panc. natarło na płn.-wsch. wyloty miasta Bredy. W wyniku akcji została opanowana płd.-zach. część miasta (8. B.S.) i przeprawy w rejonie Oranienboom (B.S.P.), 9. B.S. ze szwadronem . P. Panc. oczyszczał centrum miasta. 1. P. Panc. zajął płn.-wsch. część miasta rozpoznając na stację kolejową. W międzyczasie przeciwuderzenie niemieckie na prawe skrzydło Dywizji zostało zatrzymane.

30.X. Oczyszczanie zdobytego rejonu miasta Breda oraz patrolowanie zaczepne w kierunku płn. i płn.-zach. B.S.P. opanował Prinsenhagen. 9. B.S. oczyścił płn.-zach. część miasta.

10. P.S.K. działając na kierunek Moerdijk zajął przed południem Beek i w styczności z nieprzyjacielem doszedł do zniszczonego mostu na Mark. W rejon ten doszedł wieczorem 8. B.S. W ciągu nocy zostało utworzone przedmoście na kanale Mark.

31.X. Ciężkie walki na przedmościu Mark. 8. B.S. przy wsparciu ogniowym 10. P.S.K. a następnie 2. P.Panc. i przy wybitnym wsparciu ognia 2. P.A.M. utrzymał się na przedmościu. Przeciwnatarcie nieprzyjaciela wsparte czołgami i ogniem artylerii zostało odrzucone. 11. Komp. Sap. mimo dużych strat w ciągu całego dnia utrzymywała stałą komunikację przez rzekę z oddziałami na przedmościu.

1.XI. O świcie 8. B.S. wzmocniony został przez szw. 2. P. Panc., który przeprawił czołgi na członie zbudowanym przez saperów. Wieczorem silne przeciwnatarcie nieprzyjaciela zostaje trzykrotnie odrzucone przy dużych stratach własnych. O godz. 21-szej oddziały własne wycofały się na rozkaz z przedmościa pod osłoną silnego ognia artylerii, utrzymanego przy największej ofiarności jej żołnierzy.

2.XI. Odbyło się przegrupowanie do forsowania kanału Mark na odcinku zgrupowania 10. Bryg. Kaw. Panc. w rejonach: Ter Aalst (B.S.P.) i Vraggelen (9. B.S.).

Artyleria i lotnictwo wsparcia zmiękczały obronę nieprzyjaciela.

3.XI. Forsowanie kanału Mark na dwóch kierunkach przez zgrupowanie 10. Bryg. Kaw. Panc., poprzedzone przygotowaniem artyleryjskim, rozpoczęto przed świtem. Dla odwrócenia uwagi nieprzyjaciela 1. P.Panc. wykonał demonstrację ogniową na trzecim kierunku, gdzie forsowanie nie było przewidziane.

B.S.P. sforsował kanał przez zaskoczenie w rejonie Ter Aalst, a 9. B.S. uchwycił po ciężkiej walce przedmoście w rejonie Vraggelen. Jeszcze tego dnia 10. P.Drag. pogłębił znacznie przedmoście zdobywając Den Hout.

24. P. Uł. wspierał to działanie poszczególnymi szwadronami.

4.XI. Zgrupowanie 10. Bryg. Kaw. Panc. poprzedzane rozpoznaniem 10. P.S.K. nacierało w kierunku płn. 1. P.Panc. i 10. P. Drag. opanowały po walce Haspel i Made. 9. B. S. i 24. P. Uł. po ciężkiej walce zajęły Terheyden i Wagenberg. B.S.P. opanował Oude Kerk i Helkant.


MORZE PÓŁNOCNE
LEK
VAAL
/MAAS/ MOZA
HOLLANDSCHE DIEP
MOERDIJK
OOSTERHOUT
MARK
BREDA
WILHELMINA CANAL
TILBURG
SKALDA
B.NASSAU
TERNEUZEN
MERXPLAS
HULST
OOSTMALLE
ANTWERP
ST NICOLAS
LOKEREN
ZELE
BOOM
GAND
TERMONDE
WETTEREN
0 5 10 20
-SZLAK DYWIZJI
BRUXELLES
OD SKALDY DO MOZY

Nieprzyjaciel stawiał zacięty opór doborowymi oddziałami w oparciu o umocnienia betonowe oraz teren ograniczający użycie czołgów do dróg.

5.XI. Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. (Brygada wzmocniona 2. P. Panc., szwadronem „Crocodile" i dyonem ppanc.) po ciężkiej walce w gęsto zaminowanym terenie opanowała oddziałami wydzielonymi linię drogi na odcinku Hooge Zwaluwe i Zevenbergschen Hoek.

6.XI. 10. P.S.K. i B.S.P. rozpoznawały obronę przedmościa nieprzyjaciela Moerdijk i osiągnęły Blauwe-Sluiz. Zostało stwierdzone, że dostępów do mostów Moerdijk bronią silne umocnienia betonowe obsadzone przez piechotę i działa samobieżne w terenie częściowo zalanym. W ciągu całego dnia trwała b. intensywna wymiana ognia artylerii i moździerzy.

7.XI. Trwało dalsze rozpoznawanie zaczepne obrony nieprzyjaciela: prowadził 10. P.S.K. i 8. B.S. Artyleria Dywizyjna wzmocniona 4. AGRA z dyonem rakietowych moździerzy wielolufowych kładła nieustanne nawały ogniowe na pozycje niemieckie.

8.XI. Przy wsparciu dziewięciu pułków artylerii różnych kalibrów i dyonu moździerzy rakietowych (dyon rakietowy 384 lufy) zgrupowanie 3. Bryg. Strz. (Brygada z 10. P.S.K. i 24. P. Uł.) natarło na Moerdijk.

W pierwszej fazie 10. P.S.K. ogniem dział z bliskiej odległości rozbił zapory betonowe na drogach. W drugiej fazie 24. P.Uł. nacierając od wschodu i zgrupowanie 8. B.S. od południa doprowadziły, po ciężkiej walce, do opanowania m. Moerdijk. Dozorowanie wybrzeża przejął 8. B.S. i 24. P. Uł. Zdobycie Moerdijk zakończyło okres ciężkich walk Dywizji, które doprowadziły do zniszczenia poważnych sił nieprzyjaciela w południowej Holandii.

MOJE BOJE O BAARLE-NASSAU

(URYWEK ZE WSPOMNIEŃ)

ODPRAWA miała się ku końcowi.

Wspinając się na palcach, starałem się poprzez plecy d-ców plutonów „wyłowić" całą sytuację z mapy d-cy pierwszego szwadronu, do którego zostałem ze swym plutonem *destroyerów* przydzielony, jako bezpośrednie wsparcie artyleryjskie.

Ołówki ciągle mi się łamały, mapę miałem brudną, a Zygmunt, jak nigdy, gadał tak szybko, że trudno było nadążyć z kreśleniem sytuacji.

Dlatego mniej ważne „cuda" ignorowałem, ważniejsze tylko dane uwieczniałem na mej zatłuszczonej mapie.

Jeśli by, po wojnie, ktoś przejrzał komplet map z „wojennej trasy", to na pewno zorientowałby się, gdzie akcja szła lżej, a gdzie trudniej. Niektóre mapy znalazłby prawie że czyste, jedynie osie marszu byłyby tam wyrysowane. Z wielu jednak arkuszy trudno byłoby mu cośkolwiek odczytać, z powodu nagryzmolonych różnokolorowymi ołówkami, najrozmaitszych liczb, liter, strzałek, linii przebiegających w różnych kierunkach. Były dnie, w których goniąc Niemców, szliśmy 90 km dziennie, były jednak dnie, w których 6 km trasy zdobywało się przez dwa dni. Na każdy zaś dzień zamieniano nam szyfry, kody, kryptonimy, punkty zaczepienia, linie przejścia, dojścia i t.d. i t.d. Wszystko to musiało być zapisane i to najczęściej na mapie. Na wczorajszym punkcie zaczepienia, nazwanym „Karol", pisałem w dniu bieżącym „Zofia", a następnego dnia musiałem przemianować go na „Maria". Śmiesznie to nieraz wyglądało. Często w wolnych chwilach odczytywało się drugą lub trzecią literę — wychodziły wtedy imiona drogich osób, lub nieprzyzwoite wyrażenia; szczególnie te ostatnie były powodem tych zabaw. Był raz nawet wypadek, że jeden, to nawet swoje nazwisko w ten sposób odczytał.

W pewnej chwili Zygmunt zakończył zaznajamianie nas z sytuacją i zadaniem, ale gdy spojrzał na nasze twarze, a mieliśmy wtedy bardzo głupie miny, to tylko uśmiechnął się i zaczął od początku wszystko klarować.

Z powodzi danych wynikało, że 10. P.S.K. wsparty 2. dyonem 1. P. Art. Ppanc. dostał zadanie: zwalczając opór, pchać się w kierunku płn.-wsch.

Inne zgrupowanie, znajdujące się od nas w prawo o 6 km, miało za zadanie iść na kierunek płn.-zachodni. W ten sposób w pewnym miejscu mieliśmy się spotkać. Cel był jasny: — zdobyć oskrzydleniem z dwu stron Baarle-Nassau.

— Ty! — czy to „oskrzydlenie" skończy się już dziś, czy nie? — zapytał stojący blisko mnie Zbyszek w trakcie, gdy inni zadawali mniej lub więcej idiotyczne pytania dowódcy szwadronu.

— Co ci się tak spieszy? Skończy się Baarle-Nassau, zaczniesz oskrzydlać Tilburg, Bredę, lub inną cholerę — pocieszyłem go.

— Tak, ale w międzyczasie ma być odpoczynek.

— Skąd wiesz? — z przejęciem zapytałem.

— W zaopatrzeniu tak mówią.

Idąc po odprawie do plutonu studiowałem trasę, by zaznajomić swoje załogi z nowym zadaniem. I dziś, tak, jak w inne dnie od początku akcji, począł mnie ogarniać jakiś dziwny niepokój. Nigdy nie mogłem się tego wyzbyć. Zawsze po usłyszeniu rozkazu bojowego, aż do chwili wyruszenia na zadanie, nie potrafiłem opanować złego humoru. Wszystko mi się wtedy nie podobało; trasa była zawsze idiotyczna, teren zawsze nietypowy, zadanie głupie. Wiedziałem, że nie mam racji, ale przez całą wojnę nigdy mi się nie zdarzyło, bym po usłyszeniu rozkazu był zadowolony. A najbardziej niepokoiło mnie pytanie, które sam sobie zadawałem: „Jak dziś pójdzie".

Zdenerwowanie to trwało zawsze aż do chwili wymarszu. Wtedy było już tyle spraw do załatwienia, że zapominałem o . . . denerwowaniu się.

Siląc się na spokój, wydawałem swym załogom rozkaz bojowy.

O załadowanie i przygotowanie pojazdów do akcji nie martwiłem się. Wszystkich nas nauczyła bowiem przebyta akcja takiego skrupulatnego przygotowania, że staliśmy się pedantami pod tym względem.

Do wymarszu pozostawało jeszcze 15 minut, więc oparłem się o pancerz, wyciągnąłem z kieszeni swą sfatygowaną mapę i począłem „wczuwać się" w teren; oczywiście tylko na osi mającego się odbyć marszu. Diabelnie nie podobała mi się trasa, więc zakląwszy soczystymi słowami, zaczerpniętymi z rosyjskiego słownictwa, zwinąłem mapę i schowałem ją do kieszeni, po czym zapaliłem papierosa.

Nie wiem kiedy zacząłem marzyć, jakby to przyjemnie było nie być na . . . wojnie; leżałbym sobie pewnie jeszcze w łóżku. O! — na przykład w zeszłym roku — byłem na urlopie w Bornemouth. Całe dnie spędzałem na plaży. Przyjemnie było chodzić po piasku i robić „przegląd". Aż szyja bolała od ciągłego oglądania się. Zaraz na drugi dzień poznałem długowłosą i długonogą Mary, z którą aż do końca urlopu spędzałem czas . . .

— Panie poruczniku!! *Cromwelle* palą! — obudził mnie Tadek. Chwilę patrzyłem na niego, nie mogąc zrozumieć o co chodzi; — marzyłem bowiem jeszcze: — gdzie też w przyszłym roku mnie diabli zapędzą . . . może będę hasał z Mary po plaży, a może będę nudził się gdzieś na jakiejś chmurce . . .

Wgramoliłem się na *destroyera*, sprawdziłem przesłuch w mikrofonie i potoczyłem oczyma po wnętrzu wieży, by sprawdzić czy wszystko jest w porządku. Jak co dnia, wzrok mój zatrzymał się dłuższą chwilę na *pin up girl* wyciętej z jakiegoś tygodnika i przyklejonej do pancerza w kabinie radiooperatora. Ładnie zbudowana dziewczyna, z beztroskim uśmiechem na milutkiej twarzy, w kostiumie, na który nie wydała chyba więcej niż 1/10 kuponu, była jedynym naszym cywilnym pasażerem. Tadek i Zenek ciągle o niej w wolnych chwilach mówili. Raz nawet Tadek zwierzył mi się, że jak jest „smród", to nasza papierowa dziewczyna robi przerażoną minę.

Jedynie celowniczy i ładowniczy nie zachwycali się naszą dziewczyną. Ci, jeśli nie mówili o wojnie, to niewyczerpanym ich tematem były jakieś siewniki, zasiewy, oziminy, zbiory, sposoby szczepienia drzew owocowych, nawozy i inne gospodarskie sprawy. Wściec się było można słuchając ich.

O godz. 08.30 ruszyliśmy na zadanie. Włączyłem się, jak zwykle, na ogon kolumny szwadronu Zygmunta. Słaba była w tym dniu ta kolumna. Szwadron liczył tylko 8 czołgów; w poprzednich bowiem dniach były straty. Szliśmy jakiś czas na gazie drogą; — w pewnej chwili minęliśmy ulokowaną w dołkach piechotę, która przez noc ubezpieczała zdobyty poprzedniego dnia teren.

Skręciliśmy w prawo i minęliśmy spalone *Shermany*. W jednym z nich zginął Konrad ze swym kierowcą. Przykro było patrzeć — więc obróciłem wzrok w przeciwnym kierunku. Ale celowniczy chwycił mnie za ramię i krzyczał: — Patrz pan, jak w czołgu porucznika Raczyńskiego lufa patrzy do góry!

— Widziałem — odrzekłem i zacząłem udawać, że czegoś szukam na podłodze pojazdu. Nie, nie mogłem patrzeć na ten rozwalony, spalony *destroyer*.

W pewnej chwili szwadron rozsypał się w teren. Rozpoczął się już marsz bojowy: — jedni jechali, drudzy ubezpieczali i tak w kółko. Teren począł być trudniejszy: — dużo gęstych żywopłotów, wysokich na trzy metry, utrudniających obserwację na dalsze odległości, dużo było zdradliwych, o miękkich brzegach, wypełnionych wodą, rowów.

W pojazdach nie było już rozmów, każdy wytrzeszczał „gały" w teren i był gotowy do walki. Ale na przedpolu było cicho.

Nagle ładowniczy krzyknął i wskazał mi żywopłot w prawo w skos przed nami, na który pędził *Cromwell*. Trzech Niemców z *Panzerfaustami* przemykało się w tamtym kierunku. Chwyciłem za browning, przesunąłem taśmę i nacisnąłem na spust, ale już było za późno; — ogromny ogień i dym spowiły *Cromwella*.

Szwadron zatrzymał się i z całej posiadanej broni otworzył ogień na najbliższe podejrzane krzaki. *Destroyery* utartym zwyczajem strzelały granatami z armat na fermy i zakrzaczenia na dalsze odległości.

Gwałtowny ogień i ruch paru *Cromwelli* do przodu zrobił swoje i coraz więcej Niemców z podniesionymi rękami lub powiewających białymi szmatkami, wybiegało z rowów i zdążało w naszym kierunku. Największy sukces odniósł tu *destroyer* wachmistrza, ponieważ najwięcej Niemców wychodziło akurat na niego. „Ale ten się obławia" — wzdychał Zenek na IC ze swej kabiny kierowcy. Tymczasem czołgi podjeżdżały już do nowych żywopłotów, gdy nagle Niemcy obłożyli nas bardzo celnie dużego kalibru granatami i pociskami z moździerzy. Ogień był celny, jak rzadko. By wydobyć swe wojsko spod ognia, d-ca szwadronu nakazał następny skok. Strzelając na wszystkie zagrożone kierunki czołgi i *destroyery* z największą szybkością, na jaką się tylko mogły zdobyć, przeskakiwały pojedyńczo na nowe, bezpieczniejsze stanowiska. Niemcy też przenosili swój ogień, był on jednak już mniej celny i nie tak silny. W pewnej chwili Zygmunt zawiadomił nas, że za chwilę odezwie się nasza artyleria i dlatego pozostaniemy jakiś czas na naszych stanowiskach. Istotnie po 10 minutach począł nas wspierać 2. P. A. Mot. Teraz pod osłoną własnego ognia artyleryjskiego mogliśmy myśleć o nowym skoku naprzód. Lecz gdy tylko czołgi zaczęły wysuwać się do przodu, poczęły przerywać powietrze pociski ppanc. Po chwili ktoś z *Cromwelli* meldował, że zniszczył nieprzyjacielski czołg, ale odniosłem się sceptycznie do tej wiadomości, ponieważ pociski jak pruły powietrze tak pruły. Szwab uwziął się wyraźnie na drugi *destroyer*, który trochę za bardzo wysunął się do przodu. Dużo świec dymnych wyrzuciliśmy, by przysłonić zmianę jego stanowiska. A tymczasem na sieci radiowej powstało istne piekło. Zygmunt sam osobiście kontrolował ruch poszczególnych czołgów swego szwadronu. Dla jednych zmienił kierunek na lewo pod kątem, dla trzech czołgów kierunek na wschód, a później na północ. Dwa *Cromwelle* i moje *destroyery* szły środkiem.

Tymczasem *Cromwelle* prały na drogę idącą z Baarle-Nassau, po której szła duża kolumna wozów. Potem znów skok do przodu.

Na 50 yardów przed żywopłotem kazałem mu się zatrzymać i zeskoczyłem na ziemię, by zobaczyć, czy wzdłuż żywopłotu nie ma jakiegoś rowu z wodą. Szczęśliwie rów był niewielki i suchy.

Już miałem wracać, gdy coś mnie tknęło i rozchyliłem gałęzie, by zobaczyć przedpole. Zimno mi się zrobiło; przed czerwonym domem na odległości 800 yardów stał — jak byk — *Ferdynand* ze skierowaną lufą akurat na mój żywopłot. Aż przymknąłem oczy z wrażenia. Skacząc po rowach jak zając, gnałem z powrotem do *destroyera*, krzycząc i machając rę-

kami. Ale załoga zrozumiała mnie dopiero wtedy, gdy wdrapałem się do wieży i zdyszanym głosem wrzasnąłem: — *Ferdynand* przed domem . . . tam! o! . . . tam!

A później do Zenka: — Jedź w lewo koło tej szopy — ruszaj — Tadek — melduj, by *Cromwelle* z prawej nie wyjeżdżały — melduj do cholery! — Zenek gaz! gaz!

Lecz dwa czołgi już wyjechały i jeden z nich dostał dwa pociski w zawieszenie. Drugi przysłonił się dymem, zmienił stanowisko i począł strzelać, ale o jakieś 500 yardów w lewo od celu.

Już dojeżdżaliśmy do szopy. Zenek skręt pod kątem w prawo — jeszcze — jeszcze — stój — stój — stój — cholera . . .

Teraz już cała załoga w mej wieży krzyczała rozpaczliwie: „stóóój" — bo kierowca wyjechał przed szopę i tak na gazie jechał na *Ferdynanda*. Wina była mikrofonu, który akurat wtedy nawalił i Zenek nie słyszał mego rozkazu do zatrzymania się. *Ferdynand* jakby na to czekał. Wziął nas czem prędzej na swój krzyż w lunecie i strzelił. Tuż nad wieżą przeleciał pocisk i to z takim świstem, że aż coś w mózgu zaświdrowało. Celowniczy z wrażenia wpadł do środka i sam uderzał teraz Zenka po plecach, by wreszcie stanął. Ładowniczy chcąc ratować sytuację, rzucał już czwartą świecę dymną. A tu drugi pocisk zarył się tuż przed nami — aż grudki ziemi poszły na wieżę. Wtem Szwab posłał nam granat, który rozerwał się na krzaku w trakcie, gdy ładowniczy załadował już pocisk. Całe szczęście, że byłem wtedy schylony — duże odłamki spadły do wieży.

Krzyknąłem „ognia". Celowniczy natychmiast odpalił. Nie obserwując skutku, załadowaliśmy drugi pocisk i znów wrzasnąłem: „ognia".

— Pali się, pali się! — odżył nagle Stach.

Wyjrzałem na zewnątrz: — *Ferdynand* palił się wesołym płomieniem. W międzyczasie ładowniczy załadował jeszcze jeden pocisk i sam krzyknął „ognia". Celowniczy odpalił. Byłem tak zapatrzony w palącego się *Ferdynanda*, że nie widziałem, co działo się w wieży i gdy padł strzał myślałem że to myśmy dostali.

Tymczasem dwa pozostałe *destroyery* podciągnęły bliżej i otworzyły ogień na północny skraj miasta, z którego dwiema drogami i na przełaj uciekali Niemcy.

Czołgi ze szwadronu otworzyły ogień z całej posiadanej broni. Nagle artyleria niemiecka położyła ogień zaporowy przeznaczony hojnie dla nas, lecz za krótki i przez to zamykający drogę odwrotu własnym żołnierzom, którzy zdezorientowani jeździli i biegali to tu, to tam, jak szaleni.

Czołgi skorzystały z tego i jak tylko mogły pomagały niemieckiej artylerii.



Wyruszamy . . .

Fot. M. Walentynowicz

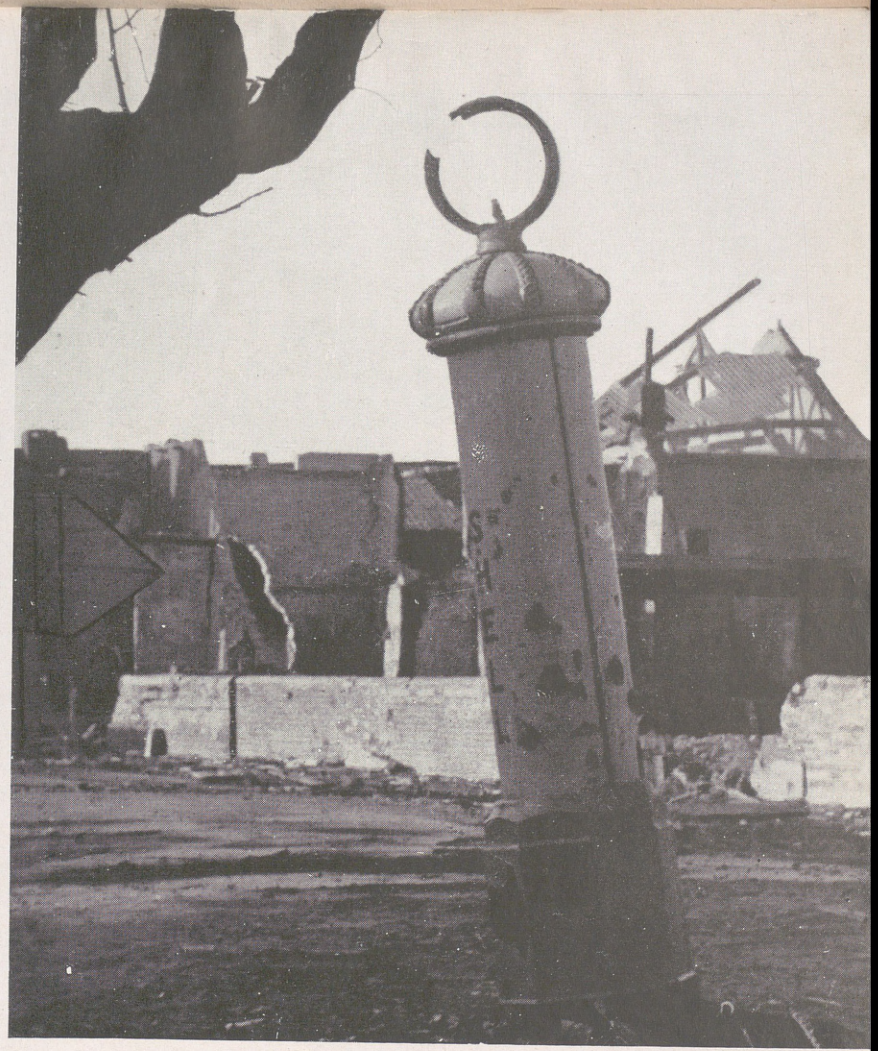

Na nowy etap

Fot. M. Walentynowicz



Zamaskowane działo ppanc

Na nieszczęście nie trwało to długo, widocznie obserwator zorientował się i działa niemieckie zamilkły. Teraz — jak po otwarciu szlabanu na przejeździe kolejowym — „wojskowy naród" spływał na północ w zakrzaczony teren. Tymczasem dowódca szwadronu spieszył paru ludzi i wysłał ich na piechotę w kierunku miasta. Wrócili z wiadomością, że nasza piechota wchodzi właśnie do Baarle-Nassau.

Wkrótce potem, gdy w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, raczyliśmy się właśnie szprotkami, w słuchawkach zabrzmiał głos Zygmunta:

— Hallo wszystkie stacje Barbara 1 idziemy na nowe zadanie... spać — wszystkie stacje Barbara 1 — koniec.

* * *

Cromwelle pojedyńczo spływały do tyłu, gdzie uszykowała się kolumna i ruszyliśmy. Na trasie na pamiątkę dzisiejszego dnia, zostały znów nikomu teraz nie potrzebne, rozbite nasze dwa czołgi. Lubiliśmy te o szarówce lub już po ciemku jazdy na odpoczynek.

Po niedługim czasie dojechaliśmy na miejsce nocnego postoju. Inne szwadrony pułku ściągnęły już tam wcześniej.

Każdy z nas oddychał z radością, że żyje, że coś teraz zje, a później wyciągnie się na słomie lub trawie przy swoim *destroyerze* i będzie spał, spał, spał!

MARIAN OJRZANOWSKI, por.
1. Pułk Artylerii Przeciwpancernej.

WYPAD POD ALPHEN

ALPHEN zdobyte.

Jest już ciemno, marzymy o ciepłej herbacie i... stodole. Boże! Cóż to za rozkosz zakopać się w pachnącym sianie, pomarzyć trochę, a potem śnić, że się jest w domu, że wstaje się dopiero rano, że nikt nie będzie szarpał i szczypał za nos: że już czas, bo służba musi grać. Dowódca kompanii rozmieszcza plutony — może będzie tak, jak myślałem.

Ale tak się tylko zdawało.

Na tyłach kompanii ruch. Złapano 2 jeńców mówiących po polsku — należą do artylerii — szli do baterii, nie wiedząc o tym, że Alphen już zdobyte. Dowódca nakazuje wypad, na podstawie zeznań jeńców. Mamy

zdobyć 4 działa artyleryjskie, 155 mm. Szczegóły: drogę wskażą jeńcy, którzy pójdą z nami, wraz z nimi kpr. Ostroga — potem drużyna 3. Zastępca dowódcy kompanii por. Martynoga z resztą 1. plutonu i z 2. plutonem. 3. pluton na ubezpieczeniu. Hasło Niemców znane.

Godzina 22.00 — ruszamy.

Bez słowa mijamy 3. pluton, który jest najbardziej wysunięty i będzie nas ubezpieczał. Idziemy łąką, nie słychać najmniejszego szelestu. Potem las. Suniemy jak cienie. Pod nogami igliwie głuszy wszelki odgłos, tylko u góry las gada. Słucham. Jest to tylko szum, jakby oddalonego wodospadu. Czuję się jak na wycieczce w borach Tucholskich. Myślę o Polsce.

Wtem coś mąci ten spokój. Słyszę znów szum, ale jakiś inny, który nie chce się dostroić do szumu lasu. Ten drugi, to coś groźnego — Aha! Już wiem! To nasze czołgi odchodzą na noc. Wracam natychmiast myślami do wypadu. Jeńcy idą na krok przede mną. Próbuję odgadnąć o czym oni myślą. Jeden pochodzi ze Śląska, drugi z Poznańskiego. Nie wierzę im, zwłaszcza temu drugiemu. Mówi po polsku słabo — kaleczy.

Idziemy teraz pod górę. Przywołuję do siebie znakami st. strz. Czecha, który idzie w odległości kilku kroków za mną, tak by mnie widział. Mówię mu, aby w razie czego uważał na prawego z nich. Słyszę w odpowiedzi cichutkie O.K. i Emil wraca na swoje miejsce.

Do dział najwyżej 400 metrów.

Wtem na drodze widzę kilka postaci. Jestem od nich o jakieś 20 metrów. Stoją w grupie.

Spostrzegli nas.

Jeden z Niemców krzyczy:

— Hasło!

Lewy z moich jeńców odpowiada i podchodzimy bliżej, jeszcze 10 metrów, jeszcze 6 i krzyczę:

— *Hände hoch!*

W odpowiedzi tylko dwie pary rąk podnoszą się do góry. Najbliżej mnie stojący Niemiec, który ma karabin na plecach, raptownie go ściąga. Nie czekam — przez myśl przebiega jak błyskawica — kto prędzej? Stena trzymam pod pachą — naciskam na spust — Idzie. Gra seria długa i nieprzerwana, nie słyszę nic, tylko strzelać, strzelać! Stop! Magazynek pusty. Nakładam szybko drugi. Wtedy dopiero słyszę krzyk, to jakiś krzyk nie ludzki, jakieś bełkotanie, a później słowa bez związku.

Bzzz — strzał do mnie. Cofam się kilka kroków do tyłu, jest por. Martynoga i drużyna. Niemcy odstrzeliwują się coraz gęściej.

Jeńcy są z nami, wycofali się razem, nie nawalili. Szkoda strzelać. Idziemy do tyłu. Jęki wciąż jeszcze słychać. Wracamy razem, nikt nic nie

mówi — nie udało się. Przychodzimy do plutonu, który nas ubezpieczał. Jest dowódca kompanii.

— Co? Nie udało się? —

Więcej nic. Woła do siebie jeńców, coś rozmawia. Nie słucham. Później wołają mnie do kompanii. Słyszę słowa:

— Szkoda, że się nie udało — a po cichu ktoś mówi:

— Stary twierdzi, żeś nawalił.

Nie mówię nic poza:

— Tak jest! —

Wracam do drużyny, wyznaczam kolejkę służby na noc — wkładam płaszcz p-gaz i kładę się na ziemi.

Jest cicho, tylko tam, skąd wróciłem słychać jęki — widocznie się nimi nikt nie zajął. Nie myślę o tym. Gwiazdy świecą, jest cichutko, myślę o domu, Polsce i ... Borach Tucholskich — zasypiam.

Meldunek nazajutrz brzmi:

— Nie wytrzymali nerwowo. Trzeba było brać bez hałasu do niewoli.

Tak, trzeba było brać bez hałasu do niewoli.

STANISŁAW OSTROGA, plut. pchor.
9. Baon Strzelców Flandryjskich

ZE WSPOMNIEŃ OFICERA OPIEKI 9. BAONU STRZ. FLANDR.

PRZYJECHAŁEM do „Starego Bacy" jak zwykle, codziennie. Witał mnie zawsze z uśmiechem na opalonej twarzy, skubiąc palcami kręcone wąsiska.

Często — gęsto bywało docinał mi dekowaniem się po tyłach.

— No cóż — powiadał — dekujesz się, co?

Lub zaczynał z innej beczki:

— Wiesz, potrzeba mi jeszcze jednego dowódcy plutonu, no cóż, nie chcesz? —

— No jasne — dodawał — przecież wiem doskonale, że wolisz obijać się po tyłach ...

Ot, takie codzienne historie, którym nie było końca.

Tym razem był jakiś poważny, skupiony. Przywitał mnie dość ozięble, gładząc, a raczej skubiąc swoje wąsy.

Po krótkiej z nim rozmowie, dowiedziałem się, że jedna z naszych

kompanii, mianowicie trzecia, jest dość daleko wysunięta, na samodzielnym zadaniu. Nie ma od niej dość dawno żadnej wiadomości.

— Wiesz — powiedział do mnie — gdybyście tam do nich pojechali? Byłby to wyczyn nie lada!

Mówiąc to, patrzył na mnie badawczo.

— Jeszcze tego do szczęścia brakuje — pomyślałem sobie, ot masz „babo placek".

Nie pojechać, to powiedzą — tchórz — pojechać, to... ale nie chcę o tym myśleć.

— No cóż? — nalegał Stary.

Nie wiem doprawdy jak to się stało, lecz zupełnie naturalnym głosem odpowiedziałem:

— Jedziemy Panie Pułkowniku.

Słowo się rzekło. Pojechaliśmy. To znaczy por. M, no i Wasyl. Wasyl to nasz kierowca. Stary wyga, podhalanin, taki prawdziwy, jeszcze z Norwegii. Był ranny, dorobił się tam Virtuti Militari i trochę doświadczenia życiowego.

Dobry chłopak, bardzo go lubiłem za jego humor i uczynność.

Jechaliśmy leśną drogą pełną wybojów i błotnistych kałuż. Nad nami rozciągało się piękne sklepienie z rozłożystych drzew, gdzieniegdzie tylko przezierał błękit nieba, rozjaśniając mroczną leśną dróżkę.

Rozmowa jakoś nie kleiła się. Wasyl tylko starał się opowiadać nigdy niekończące się swoje wrażenia i przeżycia z Norwegii. Tyle razy już słyszałem jego... — Jak my byli w Norwegii... Niemców klął w swoim ojczystym języku z widocznym upodobaniem. Trzeba mu jednak bezstronnie przyznać, że repertuar miał wcale bogaty. Jechaliśmy tedy, zagadując od czasu do czasu, o błahych rzeczach, nic nie mających wspólnego z naszą podróżą, a raczej jazdą w nieznane.

Nigdy tej naszej podróży nie zaliczę do przyjemnych chwil.

Prawie po godzinie jazdy z niezmierną radością zobaczyłem na rozdrożu nasz posterunek. Wasyl zaczął wesoło pogwizdywać. Bogu dzięki! Dobrnęliśmy szczęśliwie. Dowódca 3. kompanii, kapitan J., zażywny sobie chłop, dobrze zbudowany, wysoki, z wiecznym uśmiechem na twarzy, przywitał nas serdecznie, po chrześcijańsku zapewniając, że się pokrzepimy, gdyż piwniczkę ma „nie lichą". Nie mogłem wyjść z podziwu. Tam pułkownik głowę sobie suszy, wąsy skubie, martwi się — a tu humor, jedzenia pod dostatkiem (picie także jest), doprawdy dziwny ten dowódca kompanii.

Kompania, t.j. dowództwo rozlokowane było w dużym budynku i zabudowaniach gospodarskich. Plutony na ubezpieczeniu, czujki powystawiane, powytyczane ognie broni maszynowej i moździerzy.

Kapitan przedstawił sytuację. Nie wesoło. Artyleria niemiecka zaczęła walić. Pociski moździerzy padały pięćdziesiąt, sto metrów od kwatery.

— Widzicie panowie — mówił do nas kapitan — z tyłu Niemcy, z boku Niemcy i z przodu Niemcy... a w środku my, — dodawał z uśmiechem.

Przyznam się, że nie widziałem powodu do śmiechu. Jednak byłem mu niezmiernie wdzięczny w głębi swojego podchorążackiego serca za ten uśmiech. Zawsze to weselej, w takiej chwili...

Wysłany patrol przyprowadził pod wieczór kilku Niemców.

Badanie poszło dość sprawnie dzięki ppor. G., który znał dobrze język niemiecki, gdyż siedział w niewoli przez dłuższy okres czasu.

Następny patrol przyprowadził przed północą jeszcze kilku Niemców, tylko z innego kierunku. Zeznania ich pokrywały się ze sobą. Okazało się, że zamiar naszych „przyjaciół" względem nas był dość brzydki: uderzyć z trzech stron, na słabszego przeciwnika i to w dodatku w nocy.

Wobec tak pocieszających wiadomości kapitan wychylił swój kielich do dna, myśmy poszli za tak godnym naśladowania przykładem. Pochwalił, że wiadomości są, owszem, dobre... tylko z nami może być gorzej.

Wstał po chwili od stołu, rzucił półgębkiem kilka zarządzeń i wyszedł. Wyszedłem za nim.

Pokręciłem się trochę między chłopakami i natknąłem się na Wasyla. Opowiadał oczywiście swoje wrażenia. Ulubionym jego tematem była historia „budzika". Gdzieś, ktoś, kiedyś, jeszcze w Norwegii, wziął do plecaka budzik. Nie było to specjalnie wielkim przestępstwem, gdyby nie to, że ten właśnie ktoś poszedł na patrol. Budzik, jakby w zmowie z Niemcami, zaczął dzwonić jak szalony, właśnie w pobliżu samych stanowisk niemieckich. Budzik zdradził patrol, budzik to, budzik owo, i t.d. Od tego czasu Wasyl czuł wstręt organiczny do tego rodzaju zegarów.

Wróciłem na kwaterę. Od północy do świtu panował względny spokój, widać Niemcy przełożyli swe plany na następną noc. Tymczasem łączność radiowa została nawiązana. Jutro rano rozpocznie się natarcie: z jednej strony 10. P.S.K. i nasza 4. kompania, z drugiej jakiś pułk pancerny i jedna kompania Podhalan.

Nazajutrz, skoro świt, nieprzyjaciel dał znać, że żyje. Ogień artyleryjski i moździerzy szedł bez przerwy. Nasza AGRA także położyła piekielny ogień na kierunki wskazane przez kapitana, na podstawie zeznań jeńców.

Za godzinę (może później) ukazały się nasze pierwsze czołgi. Przyjmowały ugrupowanie do natarcia. Przedpole porośnięte gdzieniegdzie krzewami, lecz płaskie. O jakieś czterysta metrów mały zagajnik, a za nim wioska Zondereigen, dość rozległe belgijskie osiedle, na samym pograniczu holen-

derskim. W przedłużeniu szosy, która biegła od naszych stanowisk, kilka domków, w których siedział na ubezpieczeniu ppor. P. ze swoim plutonem.

Czołgi rozpoczęły huraganowy ogień na lasek i wioskę. Już się palą pierwsze domy. Smugi dymu, iskry, kłęby płomieni wzbijają się wysoko w niebo. Coraz więcej domów staje w płomieniach. Piekło. Tak potworny huk, że nie mogłem zrozumieć słów kapitana, stojącego obok mnie. Obaj staliśmy tuż przy szosie, obserwując przebieg akcji.

Niemiecka artyleria i moździerze nie próżnowały. Pociski niemieckie padały tuż przed czołgami, za czołgami, to znów w bok. Raz po raz!

Nasze czołgi co chwila zmieniały miejsce. Już się jeden pali. Drugi... Ktoś przybiegł do kapitana, szybko coś mówi, krzyczy poprostu kapitanowi w ucho. Kapitan po chwili zorientował się o co chodzi. Złożył dłonie w trąbkę, przyłożył do ust i krzyczy w kierunku czołgu dowódcy, który stał opodal szosy, jakieś pięćdziesiąt metrów na wprost naszego m.p.

Machnął bezradnie i ze złością ręką. Pytam, co się stało.

— Nasze czołgi strzelają na pluton ppor. N. — krzyknął — wystrzelają mi chłopaków...

Nie namyślając się skoczyłem przez szosę i wpadłem do rowu. Podniosłem się szybko i jakby nie na swoich nogach popędziłem dalej. Byle prędzej... cholera...

Krzyczę... nic...! Wdrapałem się na czołg. Ktoś z paskami i gwiazdkami wycedził krótko:

— Wy... mykaj. —

Wskazałem mu rękę zabudowania.

— Wstrzymać ogień — krzyknąłem!

Zrozumiał. Przyłożył mikrofon do ust. Nie czekałem dłużej, kilka chwil i byłem z powrotem.

Kapitan stał na poprzednim miejscu. Popatrzył na mnie i... nic. Także nic nie rzekłem, bo mi serce waliło jak młotem. Po chwili nadciągnęła 4. kompania pod dowództwem kapitana D. Pluton pierwszy prowadził mój kolega plut. pdch. Ł. Nie było czasu na rozmowy, kiwnął ręką na pożegnanie. Poszedł dalej.

Gdzieś pod wieczór przyprowadzono kupę jeńców. Wioska płonęła... Tego samego wieczoru we dwójkę z kapitanem pojechaliśmy do wioski na patrol. Myślałem, że coś wspomni, że coś powie a propos... Nic!

Nazajutrz wracaliśmy do swojego m.p.

Wasyl wesoło pogwizdywał.

BRATERSTWO KRWI

ZAPADAŁ wieczór dnia 28.10. 1944 r., gdy wreszcie padło broniące się *bis letzte Patrone,* seminarium Ijpelaar. Olbrzymi gmach płonie. Raz po raz tryskają w górę fontanny iskier, oblewając krwawą łuną i tak dostatecznie dziś skrwawionych strzelców 8. Batalionu.

Strzelcy tak są przemęczeni niedawnym szturmem, że ostatnim wysiłkiem woli zmuszają się do kopania dołków.

Przed nami, w poświacie księżyca, strzela iglicami wież — Breda. Nad ranem przesuwamy się bez walki w rejon De Blauve-Kei. Jest spokój. Zwolna otwierają się drzwi mieszkań i wystraszone oblicza mieszkańców rozjaśniają się na widok mundurów khaki. Ludzie wybiegają na ulicę, pokrzykują w jakimś nieznanym nam języku: — *De Polen sind hekomen.*

W pewnym momencie gromada tych miłych ludzi, klapiąc „klompami" rzuca się galopem na zdobyte rowery i z okrzykiem *Fice! Fice!* rozdrapuje je w mgnieniu oka.

Później dopiero zrozumieliśmy, że Holender bez *Fice* — roweru, to jak ryba bez wody.

Radość ich jest szczera.

Oto ojciec z kilkuletnim synem przykucnęli na brzegu dołu przy lkm i głusi na wszystkie perswazje, by sobie odeszli, wyrażają obsłudze radość za wypędzenie znienawidzonych *Mofów.* Synek z rozkazu ojca usiłuje koniecznie ucałować ręce swych oswobodzicieli.

Zrządzeniem losu w tym właśnie momencie plunęło 88 z rejonu szpitala, rozrywając na szczątki aktorów tej wzruszającej sceny.

Krew wszystkich czterech, jedna tej samej barwy struga, spływa w dołek strzelecki, pieczętując już nie umowny, ale tragicznie realny początek braterstwa polsko-bredziańskiego.

Chłopca przy pomocy nadbiegłego księdza Holendra uratowaliśmy, żyje.

Wdzięczne miasto nazwie później tę ulicę Poolsche Weg, a w rocznicę tej symbolicznej jak gdyby śmierci ofiaruje Krwawym Koszulom sztandar.

TADEUSZ KRZYŻANIAK, ppor.
8. Baon Strzelców.

Z WALK O BREDĘ

OKOŁO godz. 10.00 dnia 29.10.44. rusza 8. Baon Strzelców do natarcia na Bredę. Na podstawie wyjściowej nawała moździerzy i ognia 88 prawie dziesiątkuje III. i I. pluton 4. kompanii.

Batalion wchodzi do Blauve-Kei mijając placówkę 9. Baonu i kieruje się dzisiejszą Poolsche Weg, na Wilhelmina Park (3. kompania).

Tuż u wejścia do parku wita kompanię ogień ze stanowiska między dwoma stawami. Rozegrały się *breny i C.K.M.'y*. Jedna grupa Niemców odskakuje za kanał do śródmieścia Bredy, ścigana przez drużynę *carrier'ów*, które rozpędzają po drodze grupę cyklistów niemieckich, zbliżających się od strony szpitala.

Druga grupa usiłuje wydobyć się z parku samochodem ciężarowym. Nasi nie pozwalają na to i po krótkiej wymianie ognia, samochód i 12 jeńców staje się łupem 3. kompanii.

Przejście z parku na Baronielaan jest pokryte silnym ogniem z obunkrowanego i założonego zaporami mostu. Na szczęście są nasze czołgi. Przyduszają ogień z bunkrów, co pozwala trzeciakom i pierwszej przeskoczyć pod kościół, by od niego wyjść na pola i za chwilę uchwycić lekko tylko uszkodzony most.

Trzecia, w błyskawicznym tempie chwyta drugi most na Weerejs i już ostrzeliwuje działo ppanc., broniące przejścia przez przerzuconą kładkę. Za chwilę nad działem powiewa biała flaga — to uradowany Holender daje nam znać, że działo zdobyte.

Teraz jednak opór twardnieje. Niemcy zawzięcie bronią wejścia do Princeshagen zachodniego przedmieścia Bredy. Umocnieni w betonowych bunkrach, porozrzucani po domach, nie ustępują. Baterie moździerzy w Princeshagen zmiatają przedpole i ulice. Krzyżowy ogień *M.G.* zdaje się być nie do przebycia. Trzecia zdobywa dom po domu, typowa walka zza węgła. Są duże straty. Pierwsza próbuje okrążyć od góry i twardą walką oczyszcza fabrykę i główną ulicę od strony miasta, biorąc wóz i 10 jeńców.

Miesza się w walkę 1. dyon 2. PAMotu w osobie wiernego towarzysza naszych bojów por. S. Szturm wykańcza do reszty robotę artylerii i osadza

przeciwnatarcie Niemców. Krzyżówka na Princeshagen — zdobyta. Kompania 4. i 2. poszły inną drogą. Minąwszy placówkę 9. Baonu schodzą tuż za nią z Poolsche Weg i rolują południowe przedmieścia Bredy — Ginneken, z północy na południe. Niemcy, tu i ówdzie strzelają z domów, jednak na ogół spływają, nie przyjmując walki. Na pierwszy opór trafiamy u wejścia na Ginneken Weg. Krzyżówka jest broniona ogniem *M.G.* z piwnic i okien. Raz po raz słychać suchy trzask *snajperskiego* strzału. Czwarta przedziera się przez domki, podwórza i ogródki na tyły Niemców. Wywiązują się pojedynki lokalne. W użyciu są granaty zwłaszcza fosforowe i *piaty* walące do piwnic.

Ppor. Wacek K. i kpr. R. wpadają na maleńkie podwórko narożnego domu, właśnie w momencie, gdy przez podwórze odskakuje trzech Niemców. Widoczność przesłania gryzący dym granatu fosforowego. Jeden z Niemców siedząc jeszcze na płocie, bierze naszego kaprala za swego kamrata i z zaufaniem pyta się: *Wohin soll ich weglaufen?...*

Kapral z przytomnością umysłu odpowiada po niemiecku:

— *Hier, doch schneller, hier* —

Nawykli do ślepego posłuszeństwa biegną we wskazanym kierunku, by ujrzeć przed sobą lufy *stenów* zapraszające do podniesienia rąk.

Dwaj poddają się natychmiast. Trzeci, oddalony o kilka kroków, próbuje uciec, jednak krótka seria *stena* zmusza go do rzucenia broni. Podnosi ręce i zbliża się do kaprala tak szybko, że ten, nie spodziewając się, dopuszcza go zbyt blisko siebie, co wykorzystując Niemiec, przydusza nagle ręką lufę *stena* w dół. Kapral ciągnie za spust i Niemiec wali się na ziemię. Za kołnierzem miał nóż.

Wkrótce też krzyżówka jest wolna. Zdobywamy olbrzymią krwawą flagę z *Hackenkreuzem*. Nie pomni na padające jeszcze pojedyńcze strzały, rzucają się nasi chłopcy na hitlerowską świętość i rozrywają ją na szaliki. Była bowiem u nas niegdyś piękna tradycja, że pierwszy krwawy szalik trzeba zdobyć z hitlerowskiej *fany*, drugi z rąk bogdanki, a dopiero trzeci można kupić samemu.

Dalsza droga w kierunku na rynek Ginneken jest wolna.

Cały batalion siada w rejonie krzyżówki Princeshagen i oczyszcza najbliższą okolicę.

Ludność tańczy z radości na ulicach.

TADEUSZ KRZYŻANIAK, ppor.
8. Baon Strzelców.

ÓSMY NAD KANAŁEM MARK

WYOBRAŹCIE sobie duży stół, podłużny, stojący przed nami. Płaski, pochlapany wodą, brudny, zawalany błotem. Przeciwległa krawędź stołu — to Moza, rozszerzająca się po naszej lewej ręce, przy ujściu do morza. Ta krawędź przed nami to brzegi kanału Mark i w prawo kanału Wilhelminy. Ten stół, wyobraźcie to sobie, jest depresyjną płaszczyzną, pociętą pryzmami wałów i kanałów. To północna część holenderskiego Brabantu, bez wiatraków i poezji.

Tu gdzie my stoimy, to Breda.

Miłe miasto, potem tak nieznośne, gdy się w nie i przez nie trzeba było wgryzać. Breda ma na mapie kształt odwrócnej gruszki. Wieczorem 28. X. dopadł przed miasto od wschodu (tak od wschodu!) nasz ósmy batalion, na południe od nas Podhalanie. Po nocy, Dziewiąty Flandryjski dobrał się do bredzieńskiej gruszki, od ogonka i wdarł się w ostrych starciach w Ginneken, południową dzielnicę miasta. Przed południem 29, nasz ósmy szturmem zdobył płn. zach. przedmieścia Bredy, Princeshagen. 10. B. K. Panc. w ciężkim boju szła na Gilze. Jeszcze pół dnia utarczek a cała Breda była wolna.

Takie było preludium do walki o Mark.

Po tym stole, który leży przed nami, uciekali dużymi kolumnami Niemcy, po wielu drogach, zagrożeni odcięciem przez nasz manewr. Zostali na zachodzie i mieli drogę odwrotu, tylko przez ten stół — do mostów Moerdijk. Na gorącym uczynku odwrotu, zostali przyłapani przez część zgrupowania 10. P.S.K., który dopadł Kanału.

Sięgnijmy pamięcią wstecz, jak tam wygląda płasko i mokro. Po środku, dobra lecz „zrąbana" szosa, tuż po prawej ręce tor kolejowy, też na Moerdijk. Po lewej głęboki rów. Drobne, nikłe wydmy, mizerne krzaczki i trawy bagienne zakrywają obserwację dla leżącego. Droga ku kanałowi wznosi się, by dać możność przerzucenia mostu. Resztki jego zniszczonego cielska — leżą skręcone. W lewo kilka domków, z marnymi ogródkami, po tej i tamtej stronie kanału.

I patrzcie — widać zewsząd, a wszystko tak daleko, kilometr, dwa, trzy, jakby tu powierzchnia ziemi nie była wypukła, lecz wstrętnie wklęsła. Utrzymanie przyczółka zadecyduje, czy stanie most i czy przetniemy po stole wężowisko niemieckie, uciekające na wschód i północ.

Sam kanał o wysokim obwałowaniu był głęboki i trudny do przejścia, nieprzyjemny i zły dla nas. Zanim 8. Batalion Strzelców trafił nad Mark, przeszedł kawał świata i ciężko walczył w niejednych bojach. Lecz kanał Mark był szczególnie mocnym naszym przeżyciem.

A było to tak.

Dnia 30 października, w godzinach wieczornych, w ciężkim ogniu artylerii, baon zajął stanowisko obronne w rejonie kanału Mark, przy szosie i torze kolejowym łączącym Bredę z Moerdijk. Poprzednio spieszone załogi czołgowe szwadronu 10. P. S. K. i pluton 9. B. S., od 24 godzin trzymały ten zatracony przyczółek. Prócz ognia dział, dokuczał nam niemiłosiernie silny deszcz.

Wraz z mglistym, dżdżystym świtem 31.X. przyszedł rozkaz utworzenia silnego przyczółka, po przeciwnej stronie kanału.

W pierwszej fazie czołgi, będące już w terenie, miały wspierać nas ogniem, by po zbudowaniu mostu, wraz z nami, poszerzyć przyczółek, otwierając Dywizji drogę do natarcia na Mozę.

O godz. 0.45, ruszyła 1. kompania, niosąc łodzie przeprawowe. Gęsta mgła, barwy rozwodnionego mleka, ułatwiła wykonanie zadania. W ciągu 30 min. kompania przeprawia się na drugą stronę kanału, zagarniając sporą liczbę jeńców.

Tymczasem mgła poczęła gwałtownie opadać ku ziemi, odsłaniając widok na płaszczyznę. Spadła na nas nawała ognia niemieckiej artylerii. Nasza odpowiadała. Wrzało. Ogień kąsał bezustannie.

Druga kompania przeprawiła się przed południem. Nadchodziła kolej na 3. kompanię. W słuchawkach radiofonisty zabrzmiał głos — Hallo Adam 3 Wisła teraz.

Por. S. z 3. kompanią brnie po przęsłach zawalonych mostów, leżących w wodzie. Pierwszy pluton ze śp. Tadziem G. przepływa spokojnie, kanonada przycicha.

Rusza trzeci pluton.

Nagle runął ogień, zewsząd grzmociło, następowały wybuchy jeden po drugim. Słupy ziemi i wody wyrzucało ku górze. Sypało odłamkami. Tumult straszliwy. Zwolna nasilenie ognia nieprzyjaciela ustawało. Łódki wróciły razem ze swym ładunkiem. Wszyscy wraz z dowódcą plutonu Adamem odnieśli po kilka lub kilkanaście ran.

Około godz. 14.00 3. kompania zajmuje swoje stanowiska na wale poprzecznym, w celu zamknięcia lewego skrzydła. Tuż za nią przeprawia się pluton ppor. K. z 4. komp.

Zachodzące słońce rzucało krwawe, przechodzące w gamy fioletu blaski,

od tego tła odcinały się ciemne sylwetki poruszającej się piechoty niemieckiej i sunących czołgów.

To nieprzyjacielskie przeciwnatarcie.

Znów zaczął spadać na nas bębniący ogień niemiecki. Wycie i rechot pocisków, złowrogie wybuchy. Dudniło, huczało, wokół drżała ziemia, klaskały odłamki.

Rozryw za rozrywem. Trzask.

Nasi trwają w twardym oporze, wykorzystując wszystką broń i wszystkie środki. Napór Niemców zwolna słabnie. Wróg poczyna się wycofywać. Przycicha. Już nocą przeprawiła się reszta 4. kompanii, zaś druga na skutek strat, odeszła za kanał.

Por. Z. dowódca czwartej, ze swoim gońcem, wyłazi na tor kolejowy, by rozplanować zabezpieczenie prawego skrzydła. Podchodzi do jakiejś grupy i pyta: — Co wy tu robicie? Chwila ciszy i pada komenda niemiecka — *Feuer frei.*

Nikt nie wiedział, że przez ścianę wału sąsiadujemy z Niemcami.

Nikt nie śpi. Od czasu do czasu gra artyleria.

Wypad Niemców na styk 1. i 3. kompanii został odparty ręcznymi granatami. Mija wreszcie długa noc i budzi się blady świt Wszystkich Świętych.

Wraz z brzaskiem wstępuje w nas otucha.

Saperom udało się zbudować prom i przeprawić na naszą stronę 8 czołgów, c.k.m.'y i część kompanii wsparcia.

Kilka czołgów ostrożnie wychodzi do przodu, ale z miejsca dostają się w ogień ppanc. — płoną niczem pochodnie. W tym czasie, na prawym skrzydle, Niemcy znaleźli się w naszym ugrupowaniu. Czwartacy ruszają do natarcia, wspierani ogniem jednego czołga i ogniem plutonu Tadzia K. Przychodzi do gwałtownej walki. Nieprzyjaciel rozbity, rzuca się do ucieczki. Zajmujemy jego stanowiska, biorąc około 40 jeńców. Niemcy kładą na nas silny ogień, nie bacząc na to, że równocześnie wybijają resztki wycofujących się swoich piechurów.

Tak zaczął się drugi dzień.

A potem przyszła niespodzianka.

W powietrzu słychać jakiś niesamowity szum. Wszystko drga, trzęsie się, by wreszcie przejść w świst, który rzuca nas na ziemię. Następują wybuchy, po czym fontanny ziemi i wody wytryskują w powietrze. Tysiące odłamków pryska na wszystkie strony. Przyczółek pokrywa się dużymi kraterami. Dym. To strzela najcięższa artyleria zza Mozy. Zapada zmierzch. Nieprzyjaciel postanowił zlikwidować nas za wszelką cenę, bijąc w przyczółek,

którego zapleczem był Mark i któremu żadna żywa siła nie mogła przyjść z pomocą.

Natarcie szło na prawe skrzydło. Skok za skokiem podchodziło coraz bliżej, tak blisko, że aż dech zapierało. A teraz to chyba będzie ich szturm. Zdawało się, że nie wiele pozostanie z „Krwawych Koszul". Ze wszystkich sił walczą samotni obrońcy. Jeszcze chwila, jedna, druga — i runął potężny ogień naszej artylerii. Nieprzyjaciel zaczyna się cofać. Czołgi gniewnie burcząc, oddalają się. W rodzącej się ciszy słychać jęki rannych, rzężenia konających.

— Brawo Czwartacy! Brawo artyleria! szepcą koledzy siedzący na wale płn. i zach.

— Uwaga! Idą na nas! — czołowy wał, obsadzony przez 1. kompanię obiega alarm.

A na stanowiskach ogniowych, spracowany, artyleryjski radiofonista odbiera znowu:

— Położyć D.F. 4 i 5. Skrócić o 200 m. Natychmiast, nacierają z czoła. Daleko coś się pali. Acha! to AGRA kanadyjska zapaliła wioskę. W luce pozostało samotne gniazdo oporu, składające się z dwóch ludzi. Nagle widzą wiązkę ognistych sznurów, lecących w naszym kierunku.

— Mają kolor żółtawo — czerwony — przelatuje przez myśl refleksja.

— Bernard — granatami, bo *bren* rozbity — woła M. i tnie serią *stena* po najbliższych śmiałkach. Węże ogników gasną.

Coraz bardziej przycicha broń ręczna, a za nią milknie artyleria. Drugie natarcie odparte. Wyraźnie słychać : — *Meine Kompanie zurück.*

Tymczasem na prawe skrzydło, zza wału, wychylają się oddziały piechoty niemieckiej i słychać cichy chrzęst czołgowych gąsienic. Uderzają z lewego świeżymi siłami, by nas zrolować. W sekundach radio woła o natychmiastowe wsparcie artylerii o D.F. 1, 2 i 3, prawie na własne stanowiska.

— Uwaga! Strzelać na sygnał! Na 20 m — obiega stanowiska rozkaz.

Czekamy. Gdy zbliżyli się na oznaczoną odległość — zagrały naraz wszystkie nasze *steny, breny, piaty,* kb. i granaty. Nieprzyjaciel padł pod szańcem, by z kolei położyć na nas piekielny ogień. Dwie lawiny ognia, przecięły się, tworząc kolorowy dach, przeszywany ognistymi kulami ppanców, szarpiących nasz wał. Jakże strasznie blisko! Żołnierz szaleje, ogarnia go furia, troi się, wie, że to ostatnia próba i jeśli nie wytrzyma natarcia — to koniec baonu.

Nagle zapada cisza, przeszyta okrzykiem niemieckim:

— *Polnische Soldaten, Hände hoch!*

Krew zalała wszystkich.

Kazio M. nie wytrzymał, wskoczył na wał. Wściekły był: — Szelmy!

Za brata w Bredzie zamordowanego — krzyczał, siejąc ze *stena* w leżącą masę Niemców.

Na skrzydło wdarło się kilku Szkopów, ale ppor. J.B. rąbnął w nich z *piata*, a ogień boczny z kierunku ppor. Rysia i Tadzia wykończył resztę.

Ostatkami amunicji i granatów natarcie odparto.

Po spełnionym zadaniu, przyszedł rozkaz zejścia z przyczółka.

Na pobojowisku pozostało zniszczonych 18 własnych czołgów, część sprzętu komp. wsparcia i nasi polegli.

CZESŁAW TROJANOWSKI, por.
8. Batalion Strzelców.

FORSOWANIE KANAŁU MARK

BREDA została zajęta. Jeszcze tu i ówdzie słyszeć można było odgłosy strzelaniny, jeszcze od czasu do czasu spadał gdzieś pocisk artyleryjski; nie potrafiło to jednak powstrzymać radości mieszkańców, wybiegających na ulice i wiwatujących na cześć swych oswobodzicieli. Oswobodziciele zaś zwijali się jak w ukropie, dokręcając ostatnie śruby przy mostach, dopingowani zalotnymi spojrzeniami i uśmiechami nadobnych obywatelek Bredy. Każdy z saperów ma już swoje plany na najbliższą przyszłość, robota więc poprostu pali się w rękach. Nawet deszcz, dokuczliwy, szkocki „kapuśniaczek", nie zepsuł nikomu humoru. Zresztą pracę już zakończono.

Niestety! Plany nawet najśmielsze nie zawsze urzeczywistniają się. Dywizja musiała iść do przodu, a na kierunku jej działania musieli iść saperzy, usuwając miny, naprawiając drogi, rozbierając zawały i przeszkody. Aby nikt nie łudził się nadzieją, że spędzi czas przyjemnie, z oddziałów czołowych nadszedł meldunek o napotkanej przeszkodzie wodnej. Dalsze szczegóły meldunku były naprawdę zbyteczne; to że mosty są zniszczone, że teren jest otwarty, że bagno, że jest jedno jedyne miejsce do budowy mostu — było niepotrzebnym dodatkiem. Przecież zawsze tak było. Słowo — przeszkoda wodna — mówiło o tym wszystkim samo za siebie. Zmiana miejsca postoju na miejscowość Beek. Pół plutonu szturmowego i pluton mostowy, które dołączyły do kompanii nie pozostawiały żadnej wątpliwości, co do czekającej pracy.

Dowódca kompanii otrzymał zresztą dokładne rozkazy. Są takie same jak zawsze: przeprawić piechotę na rano dnia 31 października 44 r., wybu-

dować most. Siły do dyspozycji: 11. Kompania Saperów, dwa plutony 10. Kompanii Saperów. Przeszkodę rozpoznać.

Natychmiast po powrocie z odprawy, dowódca kompanii wysłał dwa rozpoznania na kanał: jedno — dla ustalenia miejsca przeprawy, drugie — miejsca budowy mostu. Była godzina 20.00 dnia 30 października 1944 r. Deszcz, który zaczął padać po południu, nie przestał ani na chwilę. Ciemność, błoto i, im bliżej kanału, coraz częściej rozrywające się pociski, utrudniały pracę rozpoznania. Do farmy, w której mieściło się dowództwo 8. Baonu Strzelców, wszystko poszło szczęśliwie gładko, dalsza jednak droga, mimo uprzejmych rad naszych piechurów obfitowała w przykre niespodzianki. Czas uciekał. Tej samej przecież nocy miał być budowany most; za wszelką cenę należało kanał jak najszybciej rozpoznać. Mimo ciemności i niemożności używania świateł — rozpoznanie opuściło farmę ku kanałowi w *scout-car'ach*. Podróż trwała niedługo. Jeden ze *scout-car'ów* wylądował w rowie. Artyleria nieprzyjacielska, aby uprzyjemnić żmudną pracę wyciągania ciężkiego wozu, zaczęła okładać ich gęstym ogniem. Tylko szczęściu zawdzięczać należy, że jedynie jeden z kierowców został ranny. Rozpoznanie poszło do kanału pieszo.

W tym samym czasie w dowództwie Brygady odbywała się odprawa, na której zapaść miały ostateczne decyzje co do dalszego działania. Wszyscy zebrani dowódcy przedstawili trudności na jakie napotkają, jeżeli forsowanie kanału odbędzie się tej nocy, w rezultacie odłożono je na ranek dnia 31 października. Most saperzy mają rozpocząć natychmiast, jak tylko na to pozwolą warunki. Dowódca Saperów określa godzinę ukończenia pracy na godzinę 14.30.

Rozpoznania oficerskie powróciły znad kanału o godzinie 04.15 dnia 31 października, przynosząc następujące dane:

Rejon 896420 — oba mosty zniszczone i dozorowane przez npla — widać placówki. Miejsce do forsowania niedogodne, widoczne; trudność w dowiezieniu sprzętu. Miejsce do budowy mostu niemożliwe.

Rejon 896422 — miejsce do forsowania niedogodne, brak zakrycia. Warunki do budowy mostu bardzo trudne. Jest niemożliwość budowy mostu 160.

Jak widać dane, dostarczone przez rozpoznanie, nie są zbyt pocieszające. Mimo tego forsowanie musi się odbyć. Dowództwo nad przeprawą objął osobiście dowódca 11. Kompanii Saperów.

Świt dnia 31 października nie przyniósł większych zmian. Niebo pozostało w dalszym ciągu zachmurzone, a drobny deszczyk jesienny nie przestał padać. Było mgliście i nieprzyjemnie.

Wszyscy oczekiwali mających nastąpić wydarzeń z niepewnością i nie-

pokojem. Plutony saperów osiągnęły wyznaczone miejsca. Raz jeszcze sprawdzono sprzęt, przypomniano podział ludzi do poszczególnych prac; po raz ostatni przełożeni udzielili rad. Czas dłużył się niemiłosiernie. O godz. 07.20 wyruszył na przeprawę szwadron czołgów, a z nim rozpoznanie saperskie, które tym razem miało dokładnie pomierzyć przeszkodę.

O godz. 09.30 rozpoczęto przeprawę. Pierwszą kompanię piechoty przeprawiono szybko i sprawnie. Nieprzyjaciel, na skutek mgły, nie zauważył jeszcze miejsca przeprawy i ogień z przeciwnej strony był słaby i niecelny. Druga kompania już siada w łodzie. Saperzy machają wiosłami tak szybko, że trudno jest zauważyć ich ruch. Aby tylko przeprawić jak najwięcej na drugą stronę. Niemcy już się jednak zorientowali. Następuje bardzo silny i skoncentrowany ogień na przeprawę. Nawały ognia idą w nieregularnych odstępach. Co pięć, co dziesięć minut na nas i na drogi dojazdowe. Mamy już straty w zabitych i rannych. Przeprawa jednak nadal trwa. Łodzie kursują bez przerwy. Dla przeprawienia broni ciężkiej piechoty przystępujemy do budowy członu klasy 5.

Kanadyjczyków, którzy przywieźli wozami trzytonowymi materiał do budowy członu, powitali Niemcy nawałą ognia. Kierowcy mimo, że pozbawieni jakiejkolwiek osłony nie stracili zimnej krwi i pozostali na miejscu. Szczęśliwie uniknęli pocisków i po rozładowaniu sprzętu odjechali do tyłu.

Budowa członu nie trwała dłużej niż kilka minut. Nowa nawała pocisków artyleryjskich zastała saperów przygotowanych w szczelinach, napełnionych wodą do połowy, lub w lejach po poprzednich pociskach. Nie było strat w ludziach, człon jednak został uszkodzony. Brakujące części podwieziono *scout-car'em*. Znów poderwały się z dołków, brudne, oblepione błotem, niepodobne do ludzi, postacie saperów. Uszkodzenie usunięto, lecz już w następnej nawale pocisków człon zostaje unieruchomiony. Tym razem zniszczono jeden z pontonów. Na przeprawie nie ma ani chwili wytchnienia. Pociski artyleryjskie kładą co chwila ludzi w dołki, leje lub poprostu w błoto, którego jest tak wiele, że z trudnością można się poruszać. Człon jednak musiał zostać wybudowany. Wykończono go już po raz trzeci o godz. 15.00. Przeszło godzinę nieprzyjaciel celnym ogniem powstrzymywał wszelkie zakusy z naszej strony na przeprawienie broni ciężkiej piechoty. Nic nie mogło do kanału dojechać. O godz. 16.30 pierwszy *carrier* dojechał do przeprawy. Wreszcie człon, który tyle nerwów i wysiłku kosztował, rozpoczął pracować. Niedługo cieszyli się saperzy swoim dziełem. W czasie przewożenia drugiego *carrier'a* pocisk trafił w sam środek członu, zatapiając go wraz z wszystkim co na nim było. Całonocna praca poszła na marne.

W dowództwie batalionu dowódca kompanii saperów był lekko zaniepokojony. Wypalił już którąś tam setkę papierosów i wydmuchując swoim



Przed bitwą

Fot. M. Walentynowicz



Po bitwie



W skoku na Bredę



Braterstwo broni

Fot. M. Walentynowicz

sposobem dym, głowił się jak zaradzić złu. Doskonale wstrzelany nieprzyjaciel nie pozwalał na rozpoczęcie budowy mostu, a ciężka sytuacja piechoty i własnych saperów, wymagały wsparcia co najmniej kilku czołgów. Przeciwnatarcie niemieckie czyniło sytuację jeszcze bardziej nieprzyjemną. Gdy próba przeprawy ciężkiej broni piechoty lekkimi środkami raz jeszcze zawiodła, dowódca kompanii saperów zdecydował budowę członu kl. 40.

Przeprawa łodziami była cały czas utrzymywana. Zniszczonych było już 10 łodzi, ale pozostałymi saperzy utrzymywali stały kontakt z przeciwnym brzegiem. O godz. 20.30 przeprawiono jeszcze jedną kompanię piechoty, a o 21.00 rozpoczęto budowę członu . . .

Ogień artylerii i moździerzy npla jakby zelżał. Prawda, że pociski spadały wciąż jeszcze, ale nie był to już ogień, jakim częstowano nas cały dzień. Wozy przysyłano nam pojedyńczo. Pierwszy dojechał. Pamiętam, że wszystkich nas drażnił warkot silnika, podobny do hałasu jakiejś piekielnej maszyny. Saperzy, gorączkowo krzątający się przy zdejmowaniu pontonów, wyglądali jak jakieś bryły ulepione z błota. Poznawałem ich jedynie po głosach.

Widać było nerwowy pośpiech, każdy myślał tylko o jednym: wybudować zanim na nowo zaczną strzelać. A jednak nie zdążyliśmy. Rozładowaliśmy trzeci wóz, gdy przyszła nawała ognia. Artyleria, moździerze, działka ppanc., broń maszynowa i ręczna nawet, wysypywały na nas swój ładunek. Takiej nawały nigdy jeszcze nie przechodziłem. Padałem, podnosiłem się, znów padałem. Nie słyszałem już wybuchów pocisków; wszystko zlało się w jeden piekielny hałas. Przestałem reagować na wszystko co się wkoło działo. Garstka ludzi — robotów padała i podnosiła się do taktu głośniejszych wybuchów, nosząc pontony i kraty. Aby tylko człon wybudować.

I wybudowali! Od godziny 04.45 rozpoczęło się przeprawianie czołgów. Ogień npla nie ustał ani na chwilę. Saperzy mimo bardzo wielkiego wyczerpania fizycznego i nerwowego wytężają wszystkie siły, byleby czołgi znalazły się na przeciwnym brzegu. Wszystko szło sprawnie do chwili, gdy jeden z czołgów uszkodził lekko człon. Na dodatek ogniem szrapneli zostały uszkodzone 4 jednostki i woda zaczęła dostawać się do środka. Nie przerwano przeprawy: wylewano wodę, zatykano dziury, robiono wszystko, co tylko było możliwe i co pomysłowość saperska podsunęła na myśl, aby szwadron przeprawić w całości.

Udało się. Pierwszy meldunek dowódcy przeprawionego szwadronu:

— Nareszcie po wielu trudach jesteśmy na drugim brzegu, ale należy schylić czoło przed tymi, którzy nas w tych warunkach przeprawili.

Saperzy nareszcie odetchnęli trochę radośniej. Teraz, gdy cały szwadron czołgów wspomagał piechotę, nikt nie wątpił w powodzenie akcji i czekająca budowa mostu nie nastrajała pesymistycznie. Artyleria, wciąż wprawdzie

jeszcze strzelała z jednakowym nasileniem, ale nikt nie wątpił w to, że nasze czołgi szybko się z nią uporają. Pesymiści mruczeli w wodzie, że nie po doba im się pogoda, kombinowali jakim to przemyślnym sposobem wybudować most przy tak doskonałej widoczności, ale nawet i oni nie bardzo wierzyli, aby npl mógł naprawdę stawić czoło naszej broni pancernej.

Ale widoczność jest za dobra — mówili — mogą nam przeszkadzać.

Niestety, przewidywania ich spełniły się. Artyleria npla nie zaprzestała ognia ani na chwilę. Teren przeprawy i drogi dojazdowe okładane były ogniem, który świadczył o dokładnej obserwacji. Wszelkie próby dostarczenia sprzętu, na wymianę uszkodzonego członu, spełzły na niczym. O budowie mostu w takich warunkach nie mogło być mowy. Nawet budowa kładki kapokowej okazała się niemożliwa.

Nieprzyjaciel tymczasem gromadził posiłki i przygotowywał się do przeciwuderzenia. Teren po przeciwnej stronie kanału okazał się niedogodny do działania broni pancernej. Tymczasem po południu na skutek zmiany sytuacji na innych odcinkach działania Dywizji, przyszedł rozkaz zciągnięcia obsady przyczółka. Początek tego działania wyznaczono na godzinę 20.00.

Po południu też wyszło przeciwnatarcie niemieckie wsparte działami samobieżnymi. Równocześnie ogień artyleryjski doszedł do takiego nasilenia, ze zdawać się mogło, iż jest się świadkiem trzęsienia ziemi połączonego z huraganem, grzmotami i błyskawicami. Przy brzegach kanału pojawiła się nasza piechota. Mimo powstrzymania natarcia npla, rozpoczęto, w myśl wydanych rozkazów, przeprawę piechoty. O godz. 22.00 przyszła kolej na czołgi. Tym razem przeprawić je musieli na własną stronę, kiedy praktycznie biorąc przyczółka po drugiej stronie już nie było. 6-funtowe działka ppanc. przeprawiono pierwsze, potem samobieżne działo ppanc. podjechało do przeprawy. Gdy znajdowało się ono już no osłonie, pocisk ppanc.przerwał kratę i człon wraz z ładunkiem poszedł na dno.

Saperzy otrzymali rozkaz budowy nowego człona dla przeprawy pozostałych 3 czołgów.

Zrobiło się cholernie nieprzyjemnie po usłyszeniu tego rozkazu. Zanosiło się na to, że trzecią noc z rzędu nie zmrużą oka. Cały czas pod ogniem, cały czas praca, a mięśnie wymoczone w wodzie odmawiały już posłuszeństwa. Pracowaliśmy raczej z przyzwyczajenia, podświadomie może. Poza tym sytuacja nie była godna zazdrości. Wczoraj szliśmy do przodu, był jaki taki przyczółek, była nasza piechota, a dziś...? Dziś tego wszystkiego nie było. Jako osłonę dostaliśmy dwie drużyny piechoty!

Około godz. 01.00 pierwsze wozy ze sprzętem zajechały na znane im miejsce. Artyleria nasza przestała strzelać, a Niemcy również stopniowo

zaprzestali ognia. W pewnym momencie zrobiło się dziwnie cicho. Cisza, od której zdążyliśmy się już odzwyczaić, zapanowała wokoło. Przerwały ją tylko zajeżdżające wozy sprzętowe, chrzęst żelaziwa, od czasu do czasu przytłumione, skandowane: uchwyć, podnieść, wrraz.

Jak strasznie ciężkie wydawały się pontony tej nocy; jak niewygodny był kształt kraty. Przemęczenie robiło swoje. Praca postępowała wolno, ślimaczo. Niemcy wciąż jeszcze nie strzelali. Nie dali nam jednak ukończyć członu w spokoju. Rozpoczęły moździerze, później artyleria. Rozbili nam wóz z pontonami. Znów uzupełnienie materiału. Nowe wozy, nowe serie pocisków, i tak w kolo i w koło. Goniliśmy resztkami sił, żyliśmy tylko nerwami i świadomością, że człon mimo wszystko musi być zbudowany.

O godz. 06.30 (2 listopada) człon ukończono. Załogi czołgów zaczęły przygotowywać się do przeprawy. Było już zupełnie widno. Ogień nieprzyjacielski stawał się coraz silniejszy. Seria następowała po serii, coraz częściej, coraz częściej, aż wreszcie nie można już ich było odróżnić. Pociski padały wszędzie i ciągle. Jak długo nawała trwała, nikt z wtulonych w ziemię saperów nie może powiedzieć. Człon został trafiony i zatonął. Cała praca poszła na marne.

B. S., kpt.
11. Kompania Saperów.

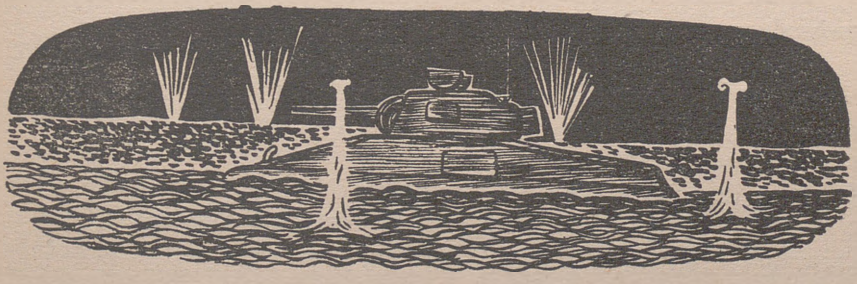

PRZYCZÓŁEK

DZIEŃ 31 października niczym się nie różnił od innych. Szary, jesienny, pełen wilgoci.

Pułk od kilku dni walczył w składzie 3. Brygady Strzelców. Po zdobyciu Bredy nie było odpoczynku. Walka trwała dalej. Należało ścigać nieprzyjaciela, który postanowił ratować swoje siły przed całkowitą zagładą wycofaniem się na północny brzeg rzeki Mozy. Rozkaz nakazywał iść naprzód, by nie dać Niemcom czasu na wycofanie. Chodziło o zniszczenie wszystkich sił niemieckich, zamkniętych w pułapce na południe od rzeki Mozy.

Główną drogą wycofania się niemieckich oddziałów był most drogowy i kolejowy na Mozie w rejonie Moerdijk.

Oddziały nasze były zmęczone fizycznie ostatnimi walkami, które kosztowały nas dużo ofiar. Zwycięstwo jednak było przy nas, więc też nikt nie myślał o wypoczynku, choć sobie nań dobrze zasłużyliśmy. Chęć walki i odwetu górowała nad zmęczeniem. Nikt nie narzekał na straty, teren, ani też psią pogodę.

Holandia, kraina legendarnych wiatraków i pięknych krów, witała nas sercem, wdzięczna za oswobodzenie. Wszędzie owacyjne powitania. Wszędzie pełno uśmiechów i kwiatów.

Jedno tylko mieliśmy za złe tej krainie, to nadmierną ilość wody. Okazało się, że w Holandii rasowych krów było mniej niż w innych krajach. Za to wody było wszędzie pod dostatkiem. A właściwie to mocno za dużo, zwłaszcza dla nas, pancernych. Wszędzie rzeki, kanały, zalewy. Mosty poniszczone przez wycofujących się Niemców. Budowa niełatwa ze względu na pogodę i ostrzał moździerzy. Saperom mdlały ręce, zaczynało brakować materiału do budowy.

U nas złośliwi twierdzili, że zamiast *Shermanów* przydałyby się łodzie podwodne.

O godzinie 12.15 Pułk rusza, by zmienić 10. Pułk Strzelców Konnych. Szwadrony 2. i 3. zajmują stanowiska na południowym brzegu rzeki Mark z zadaniem wsparcia ogniowego 8. Baonu Strzelców, który utworzył przyczółek na północnym brzegu rzeki, na zachód od szosy i toru kolejowego Breda — Moerdijk. 1. szwadron w odwodzie przy dowództwie pułku około 2 km na północ od miejscowości Beel. Dowódca pułku uprzedza, że szwadron może być przeprawiony w ciągu nocy przez rzekę, aby bezpośrednio wesprzeć piechotę na przyczółku.

Stan szwadronu tego dnia wynosił 8 czołgów. W szwadronie trzech oficerów, w tym jeden dopiero dzisiaj mianowany z podchorążego na podporucznika. Dwoma plutonami dowodzą podoficerowie.

Na przedpolu przed nami trwa walka. Artyleria obu stron strzela bez przerwy. Z godziny na godzinę ogień artylerii niemieckiej rośnie na sile. Czołgi szwadronu 2. i 3. przyłączają się do pojedynku artylerii i strzelają granatami, ogniem pośrednim na cele wskazywane przez piechotę. Samochody amunicyjne wożą amunicję, która jest załadowywana w naszym rejonie. Stąd zabierają ją *recovery* i podwożą dalej. Stanowiska obu szwadronów są pod dobrą obserwacją i pod ostrzałem artylerii niemieckiej. Aby uzupełnić amunicję, czołgi pojedyńczo odchodzą do tyłu, biorą nową porcję granatów i wracają na swoje stanowiska.

O zmroku walka zamiast ustać, wzrasta z każdą chwilą. Trudno rozróżnić pojedyńcze strzały, trudno rozróżnić artylerię własną od niemieckiej.

O godzinie 19.00 otrzymuję rozkaz wysłania dwóch plutonów czołgów nad rzekę w rejon zniszczonego mostu, zachodzi bowiem obawa, że Niemcy będą usiłowali przeprawić się patrolami na tę stronę rzeki. Wychodzą dwa plutony dwuczołgowe pod dowództwem ppor. Hoffmana.

Rozkaz o przeprawie szwadronu przez rzekę zostaje odwołany. Zaczynamy przygotowywać się na postój nocny.

Jestem na podsłuchu z wysuniętymi plutonami, które są pod silnym obstrzałem artylerii i dział przeciwpancernych. Czołgi są widoczne, stoją bowiem na drodze biegnącej do mostu na wysokim nasypie. Zejście w teren niemożliwe. Jak na złość, od ognia artyleryjskiego zapaliło się zabudowanie na przyczółku i oświetla całe przedpole, umożliwiając Niemcom dobrą obserwację naszych ruchów. Chwilami natężenie ognia jest tak silne, że czołgi plutonów muszą zmieniać stanowiska, przesuwając się wzdłuż drogi. Siedzę przy radiostacji na zmianę z radiooperatorem.

— Hallo, Barbara 3, dostałem, załoga cała. Koniec — usłyszałem w słuchawkach.

Po godzinie wyczekiwania melduje się ppor. Hoffman. Jest ogłuszony i lekko ranny. Reszta załogi cała. Czołg stracony. Wzywa mnie dowódca pułku. Jest godzina 22.00. Szwadron ma przejść w rejon 1.500 m na południe od rzeki i tam czekać na przeprawę. Ja mam meldować się u dowódcy 8. Baonu Strzelców, gdzie otrzymam szczegółowe rozkazy.

Pytam jeszcze o ogólną sytuację. Według słów dowódcy pułku jest ona następująca:

Baon trzyma przyczółek. Saperzy budują most. Ja mam przejść przez rzekę w ciągu nocy i działać wspólnie z piechotą. Rano przeprawi się i przejdzie przez nas 10. P.S.K. i pójdzie do przodu w kierunku na Moerdijk.

Wróciłem do szwadronu i po chwili ruszyliśmy. Noc ciemna. Pada deszcz. Ogień artylerii trwa bez przerwy. Granaty rwą się na asfalcie, siejąc snopami iskier. Smugi pocisków świetlnych c.k.m.'ów krzyżują się w powietrzu. Widok groźny, ale wspaniały.

Zatrzymałem szwadron w nakazanym rejonie i sam pojechałem do dowódcy 8. Baonu Strzelców. Mały domek przy drodze do mostu. Wydaje się być zupełnie pusty. Postrzępiony już jest nieźle ogniem artyleryjskim. Po omacku odnalazłem drzwi i znalazłem się w ciemnym pokoju. Słychać pracę radiostacji. Pokój pełny żołnierzy. Skuleni siedzą na podłodze pod ścianami, zdala od okien i drzwi. Radiooperator pracuje bez przerwy, kwituje jakieś rozkazy, podaje je następnie koledze, a ten przekazuje dalej. Następny pokój to m.p. dowódcy. Okna szczelnie zasłonięte. Na stole świeczka.

Słychać ciągle wybuchy, niektóre blisko. Dom trzęsie się, resztki szyb dzwonią w oknach, płomień świeczki chwieje się. Na podłodze pełno tynku, walają się rozbite naczynia.

Zameldowałem się u dowódcy Baonu. Mam pójść na przeprawę. Mostu nie ma. Saperzy budują prom, którym będą przeprawiać czołgi. Mam pozostać na przyczółku, nawiązać kontakt z kpt. Gryzieckim, dowódcą przyczółka i działać według jego rozkazów. Na przyczółku jest cały Baon. Rano spodziewane jest przeciwnatarcie niemieckie. Przyczółek ma być utrzymany za wszelką cenę. Otrzymuję pod swoje rozkazy baterię dział przeciwpancernych samobieżnych bez oficera. Prom będzie gotowy po północy, jak podaje major-saper. Jadę na chwilę do szwadronu, podaję dowódcom plutonów sytuację i zadanie oraz swoje m.p. i wracam. W m.p. dowódcy Baonu bez zmian. Jest już po północy. Budowa promu przedłuża się. Martwię się czy zdążę się przeprawić przed świtem.

Artyleria niemiecka zaczyna dobierać się do nas. Pociski zaczynają wybuchać wokoło domku. Tynk sypie się nam na głowy. Staram się zdrzemnąć. Budzi mnie huk. Pęd powietrza wali mnie z krzesła. Świeca gaśnie. Dowódca Baonu postanawia przenieść swoje m.p. do piwnicy. Idziemy tam wszyscy. Jest to mała, niska piwnica o kilku stromych schodkach. W środku pełno beczek z kiszoną kapustą, kompoty, pierzyny, ubrania i t.p. Lokujemy się jeden obok drugiego.

Około godziny 01.00 goniec z przeprawy melduje, że prom, prawie już ukończony, został zatopiony ogniem artylerii. Major saper klnie Niemców i każe budować nowy. Staram się nie zwracać uwagi na ogień niemiecki i zdrzemnąć się znowu. Ale jest tak zimno, że trudno usiedzieć na miejscu. Słucham nadchodzących meldunków i wydawanych rozkazów i staram się odtworzyć sytuację na przyczółku i ułożyć plan działania. Godziny wloką się wolno jedna za drugą. Nowy meldunek od saperów: prom gotowy. O go-

dzinie 04.15 ruszam na przeprawę. Domarsz bardzo trudny. Droga wąska i bagnista. Idziemy bez świateł. Niemcy znając teren wiedzą, że jedyna droga do przeprawy to ta właśnie, po której idziemy. Słysząc pracę silników, ostrzeliwują nas zawzięcie.

Przeprawa trwa bardzo długo. Czołg za czołgiem podchodzi do promu i jest przeprawiany przez saperów. Saperzy pracują zawzięcie nie dbając o straty. Stojąc po pas w lodowato zimnej wodzie, ciągną linami prom na drugą stronę, wyładowują czołg i prom wraca zaraz na tę stronę.

W czasie przeprawy prom zostaje trafiony przez artylerię niemiecką i uszkodzony. Oficer saperów oświadcza, że dalsza przeprawa czołgów jest niemożliwa. Sytuacja staje się krytyczna, gdyż część szwadronu i bateria ppanc. już zostały przeprawione, zaś 3 czołgi są wciąż jeszcze na południowym brzegu rzeki.

Omówiłem sytuację z porucznikiem z saperów. Postanowił on natychmiast przystąpić do naprawy promu. Była godzina 05.45. Czas naglił, bo nadchodził świt. Należało ukończyć przeprawę i być gotowym na stanowiskach zanim się rozwidni.

Tymczasem oba przeprawione plutony wyszły około 400 m przed ugrupowanie piechoty.

O godzinie 06.40 prom naprawiony. Przeprawiamy się pozostałymi czołgami. Nawiązuję łączność z dowódcą przyczółka, kpt. Gryzieckim, który podaje, że komp. 4. jest na stanowiskach na prawym skrzydle przyczółka, wzdłuż toru kolejowego na nasypie. Droga na grobli, gdzie miała być komp. 4., 300 m na północ od rzeki, jest silnie obsadzona przez piechotę niemiecką. Obecność Niemców w bezpośrednim sąsiedztwie naszych stanowisk jest kłopotliwa ze względu na *sniperów*. Trudno się ruszyć, czy głowę wychylić z czołga.

Kpt. Gryziecki wydał rozkaz przydzielenia po jednym plutonie czołgów do każdej kompanii piechoty. Cóż, kiedy ja mam tylko dwa plutony czołgów, w tym jeden dwuczołgowy. W dowództwie szwadronu również tylko dwa czołgi: mój i oficera pośredniczenia.

Zaledwie czołgi zajęły stanowiska zaczęło się rozwidniać. Dzień wstał pochmurny i ponury. Dzień Wszystkich Świętych . . .

Piechota niemiecka była zaskoczona widokiem i bliskością naszych czołgów. Ci, którzy byli blisko naszych stanowisk, zaczęli uciekać. Plutony siekły z c.k.m.'ów do uciekających Niemców. Jak to się stało, że żaden czołg nie wyleciał na minie, do dzisiaj dla mnie pozostaje tajemnicą. Kiedy później oglądaliśmy drogę, po której się posuwaliśmy, zrobiło się nam ciepło. Wszystkie drogi usiane były minami przeciwpancernymi.

Czołgi cały czas są zajęte. Zwalczają cele, wskazywane przez piechotę lub wykryte przez własną obserwację. *Destroyery* na razie próżnują. Ale oczy ich dowódców i strzelców są czujne, pilnie przeszukują teren, starają się wzrokiem przebić zasłony, czy nie kryją się za nimi czołgi niemieckie. Stoją o kilkadziesiąt zaledwie metrów od mojego czołga. Dowódca jednego z nich znalazł widocznie jakiś cel, bo nagle chwyta k.m. plotn. i tnie serię. Pociski świetlne znaczą swoją drogę i grzęzną w grobli wśród stanowisk niemieckich w prawo od nas. Strzela zawzięcie, raz po raz usuwając zacięcie. Nie trwa to jednak długo. Gdzieś przyczajony *sniper* czeka na ten moment. Nie słychać strzału. Widzę tylko, jak kapral osuwa się w głąb wieży. Zaciśnięte ręce nie zwalniają spustu. Lufa k.m. idzie coraz wyżej, k.m. strzela jeszcze chwilę i milknie. Załoga wydobywa kolegę i układa go obok czołga. Strzał wprost w twarz.

Nakrywamy ciało kocem i zostawiamy obok czołga. Nie ma czasu myśleć o pogrzebie.

Goniec wzywa mnie na odprawę do dowódcy przyczółka.

W stodole, na wpół rozwalonej, mieści się dowództwo przyczółka. Oficerowie dowództwa i poczet siedzą pod ścianą. Kpt. Gryziecki pokazuje mi pocisk ppanc., który poprzedniego wieczora przebił jedną ścianę i utknął w drugiej tuż nad głowami siedzących.

— Trzeba zlikwidować Niemców siedzących na naszym prawym skrzydle — mówi kpt. Gryziecki. — Są już zbyt dokuczliwi.

Ustalamy plan działania. Do likwidacji stanowisk niemieckich ma być użyty pluton czołgów i pluton piechoty.

Dowódca 1. plutonu nie próżnował przez czas mojej nieobecności. Prowadząc ogień jednym czołgiem, dwoma ruszył do przodu, idąc ciągle drogą gęsto usianą minami. Doszedł tak aż do wiaduktu kolejowego, około 1.500 m na północ od przyczółka, ostrzeliwując ciągle wycofującą się piechotę niemiecką. W chwili, gdy znalazł się prawie pod wiaduktem, strzelec czołgowy spostrzegł na wiadukcie niemieckie działo przeciwpancerne.

Zaskoczenie było obustronne. Padły strzały z jednej i drugiej strony. Czołg nie został trafiony. Czy działo zostało zniszczone nie wiem. W każdym razie przez cały dzień mieliśmy spokój z tej strony.

Wydałem plutonowi 1. rozkaz przejścia w rejon skrzyżowania toru kolejowego z drogą i zajęcia tam stanowisk ogniowych. Piechota była też już gotowa, zgrupowana w rowach poza czołgami.

Padły pierwsze strzały. Dwie 17-tki i jedna 75-tka biły bez przerwy. Granaty rwały się na grobli, niszcząc stanowisko jedno po drugim. Cele były dobrze widoczne na odległości od 150 do 600 m. Równo, spokojnie, jak na strzelnicy, padały dobrze wycelowane strzały. Artyleria niemiecka



Bez paszportu Fot. M. Walentynowicz



Kościół na przedmieściu Bredy



W marszu mieliśmy niespodzianki

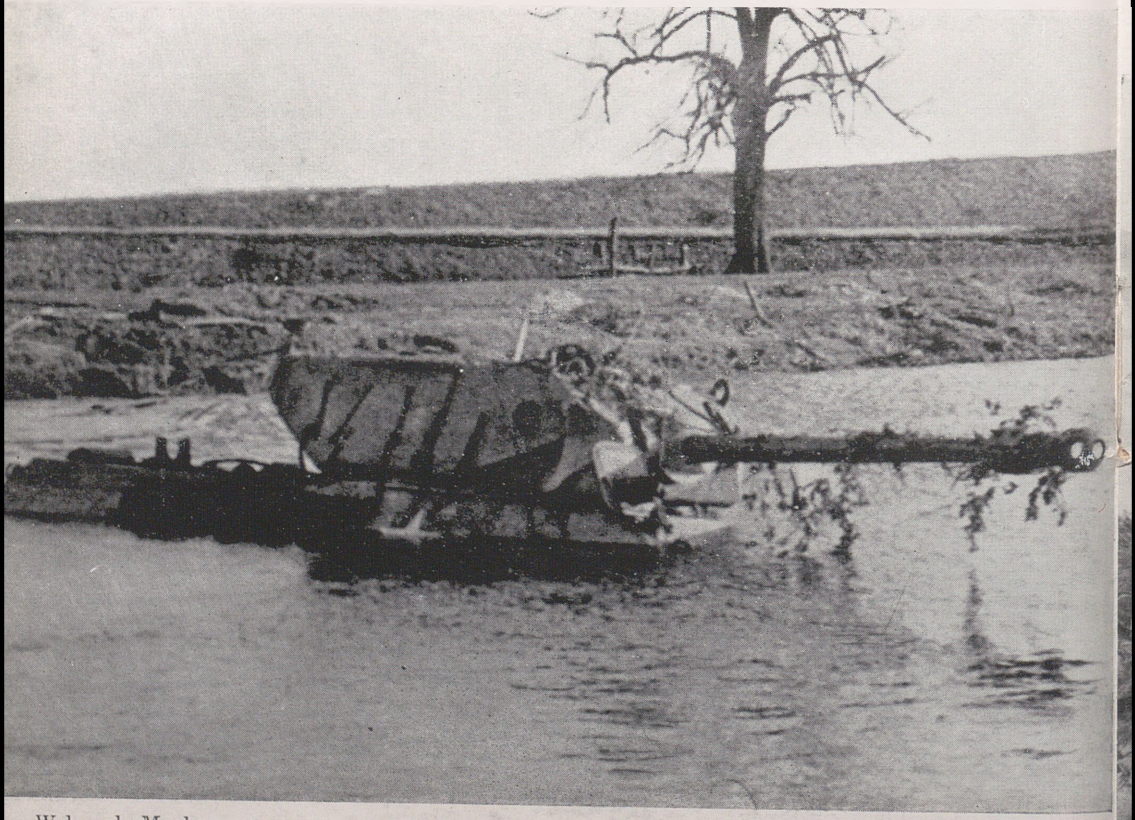

W kanale Mark

DZIAŁA 88 mm DOKUCZAŁY NAM TYLKO DO CZASU



Strzelcy w akcji



Wzięto jeńców



Miny dostarczały świeżego mięsa

Fot. M. Wałentynowicz

przerzuciła swój ogień na stanowiska plutonu. Strzelały działa dużego kalibru. Chwilami kłęby dymu zasłaniały czołgi.

— Czy aby który nie trafiony?

Piechota wyszła zza czołgów i posuwała się po obu stronach grobli. Lufy dział plutonu czołgów czekały. Nie trzeba jednak już było strzelać. Niemcy zaczęli wyskakiwać na groblę, rzucali broń i z podniesionymi rękoma czekali na naszych żołnierzy. Pluton piechoty przeszedł wzdłuż grobli aż do rzeki. Nie padł ani jeden strzał. Cała kompania niemiecka wraz z dowódcą dostała się do niewoli. Z tej strony już nam teraz nic nie groziło. Jak podał oficer niemiecki, wzięty do niewoli, o świcie miało wyjść natarcie celem zlikwidowania przyczółka. Przybycie naszych czołgów sprawiło, że rozkaz został odwołany.

Pluton wrócił na poprzednie stanowiska, dozorując nadal nakazane kierunki.

W 2. plutonie też nie próżnowano. Chcąc zlikwidować stanowisko moździerza i przypuszczalnego obserwatora artylerii, dowódca wysłał jeden czołg do przodu, jednak rozmokła grobla nie wytrzymała ciężaru *Shermana*. Czołg zsunął się do głębokiego rowu z wodą, wywracając się na bok. Wszelkie próby wyciągnięcia go pozostałymi czołgami spełzły na niczym. Czołgi, które pospieszyły na pomoc, zaczęły również tonąć.

Dałem rozkaz załodze ewakuowania się z czołga. Pozostałe czołgi pomściły tę stratę. Otworzyły ogień na zabudowanie. I był on skuteczny. Kiedy po akcji obejrzeliśmy zabudowanie, znaleźliśmy świeże groby żołnierzy niemieckich. Na skleconych z deszczułek krzyżach widniała data 1.XI.44. W piwnicy został porzucony aparat telefoniczny. Moździerz leżał rozbity na stanowisku, zbudowanym z grubych klocy drzewa.

Porzucony *Sherman* stał się celem dla niemieckiej artylerii. Został dosłownie rozstrzelany. Wieża została zerwana. Pozostało mi już tylko sześć czołgów w szwadronie. Zaczynamy odczuwać brak amunicji.

Około południa przyleciał nasz lotnik. Zatoczył kilka kół nad nami i stanowiskami niemieckimi i odleciał. Pułk podał, że będą „ptaszki". Ale pogoda dalej była podła i samoloty nie przyszły.

Ogień artylerii niemieckiej się wzmaga. Bagnista łąka przy drodze, na której stoimy, równa i zielona rano, teraz jest pokryta lejami po granatach. Lei przybywa, gęstnieją. Obok mnie pali się *carrier* piechoty, naładowany amunicją. Zabudowanie pali się ciągle. Zajęły się stogi, gęsty gryzący dym wciska się do czołga, zapełnia każdą szczelinę i utrudnia oddychanie.

Czas wlecze się powoli.

Posyłam meldunek o sytuacji do pułku. Proszę o amunicję. Obiecują przysłać później, teraz to niemożliwe. Piechota ma duże straty. Ciągle widzę

rannych, których łódkami przewożą na drugą stronę rzeki. Ilu ich dojdzie do punktu opatrunkowego pod takim ogniem?

Prom, uszkodzony ogniem artylerii, pozostał po drugiej stronie. Nikt nie buduje mostu. Jest to niemożliwe pod takim ogniem. A dopóki nie ma mostu, nie ma mowy o pójściu do przodu 10. P.S.K. Musimy więc trwać cały dzień. Być może, że tej nocy uda się most wybudować. Ludzie siedzą cały czas w czołgach. Nie ma mowy o ugotowaniu herbaty czy o przyrządzeniu jakiegoś posiłku. Sucharami zaspakajam głód. Ale chce się strasznie pić.

— Hallo, Roman dwa, w rejonie 876434 dwa czołgi. Otwieram ogień, koniec — słyszę jego meldunek.

Stojąc na drodze, zupełnie odkryty, podejmuje walkę. Jego 17-tka błyska ogniem. Obserwuję i widzę, jak pociski uderzają w coś wśród drzew, iskrząc rekoszetują w górę, znacząc swoją drogę ładunkiem świetlnym. Wokoło czołga sierżanta Chomko widać wypryski ziemi. Raz z boku, raz z przodu, to znowu z boku. To niemieckie czołgi odpowiadają ppancami. Pomaga im artyleria. Chwilami wybuchy pocisków artylerii zasłaniają czołg, który strzela ciągle. Boję się o wynik tego pojedynku, bo odległość do wykrytych czołgów jest około 2.000 m. Jeśli to *Pantery* lub *Tygrysy*, to niewiele im zrobi nawet 17-tka. Olbrzymi słup ognia bucha z czołga. Widzę wyskakujących ludzi. Czy aby wszyscy wyszli cało? Czy nikt nie ranny? Patrzę jak biegną rowem jeden za drugim. Jeden z nich dźwiga kogoś na plecach. Za kilka minut są już wszyscy. Wszyscy zdrowi. Po drodze jeden z załogi zabrał ciężko rannego oficera piechoty, leżącego na przedpolu i przyniósł go tutaj. Ppance niemieckie biją teraz w nas. Nasze dwie 17-tki strzelają również bez przerwy. S.P. nam też pomaga. Strzelamy z 75-tek granatami i dymami, aby Niemców oślepić.

W jednym naszym S.P. są ranni. Mam teraz 5 czołgów i dwa S.P. z załogami. Tak mija południe. Nie ma żadnej zmiany w naszym położeniu. Dowództwo przyczółka zostało przeniesione z rozbitej stodoły do piwnicy na wpół rozwalonego domu. W progu domu leży trup piechura. Padł tutaj, idąc z meldunkiem.

Wkrótce orientuję się, że zaczyna się wstrzeliwanie nowych dział. Strzelają różne kalibry, nigdy nie więcej niż jedno działo. Pociski padają daleko w pole, ale każdy następny jest bliżej naszych stanowisk. Z chwilą, gdy jeden z nich pada na nasze stanowiska, działo milknie. Chwila przerwy i następne działo zaczyna wstrzeliwanie. Czuję, że się coś szykuje.

Jest godzina 14.00. Do zmroku pozostało jeszcze około trzech godzin. Ogień artylerii znów się wzmaga. Jest bardzo celny. „Kuferki" dużego kalibru „kolebią" się w powietrzu. Lecą nie spiesząc się wcale. Zdają się wy-

bierać miejsce upadku. Od ich wybuchów czołgi drgają. Po wybuchu, wyrzucona z lejów wysoko ziemia opada na czołgi. Co chwila trzeba czyścić z błota peryskopy lub wymienić rozbite odłamkami. Jeden z stojących przede mną czołgów bucha płomieniem. Załoga wyskakuje i wychodzi cało. Czołg został zniszczony przez pocisk artyleryjski. Jaki był kaliber tego pocisku, łatwo przekonać się po skutku jaki wywołał. Wybuch jego pod tyłem czołga zniszczył podłogę, zapalił silnik i zerwał gąsienice. Pozostało mi jeszcze cztery czołgi. Odliczając mój czołg i oficera pośredniczenia, mogłem dysponować jedynie dwoma czołgami. Drugi *carrier* piechoty palił się obok nas. Tuż przy nas zostało rozbite działo ppanc. piechoty 6-pdr., zanim jeszcze zostało zaciągnięte na stanowisko.

Palący się czołg zamknął możliwość wyjścia czołgami do przodu. Wąska droga nie pozwalała na wyminięcie go. Zejście w teren groziło ugrzęźnięciem. Musimy trwać, gdzie jesteśmy, bez względu na to co się stanie.

Wysłałem do pułku meldunek o sytuacji, o stracie czołgów oraz o braku amunicji. Rozkaz dla szwadronu z pułku: pozostać na stanowiskach na noc.

Dzień powoli dobiega końca. Zaczyna się robić zmrok. Ciągle myślę, gdzie są i co robią czołgi niemieckie, które nas przedtem ostrzelały. Palące się zabudowanie i sprzęt oświetlają nas, jesteśmy widoczni z daleka. Kiedyż wreszcie skończy się palić ta stodoła?

— Panie poruczniku, ppance! — krzyknął mój strzelec.

Usłyszałem jakieś głuche uderzenie i naraz zrobiło się widno jak w dzień. Zobaczyłem ogniste kule ppanców biegnące ku nam z trzech stron.

— Hallo, wszystkie stacje Roman raz, przed nami czołgi, ognia! — podałem.

Mój strzelec już strzelał.

Spojrzałem wokoło. Jeden nasz czołg i jeden S.P. trafione pierwszymi strzałami, paliły się jasno. Pozostałe czołgi strzelały bez przerwy. Nie było czasu myśleć o stratach. Rozpoczęło się prawdziwe piekło. Ogień artylerii i moździerzy szalał. Zdawało się, że to jakieś olbrzymie młoty biją gdzieś w podziemnej kuźni. Pociski ppanc szły ku nam jeden za drugim. Zdawało się, że każdy z nich trafi w mój czołg. Serie c.k.m.'ów szły ze wszystkich stron, niby roje pszczół.

— Niemcy, jak powiedział wzięty do niewoli porucznik, chcą zlikwidować przyczółek — pomyślałem sobie.

Ich natarcie jest doskonale przygotowane. Pod osłoną zabudowań i zmroku czołgi ich podeszły na odległość kilkuset metrów od nas. Artyleria doskonale wstrzelana. Nasze stanowiska znane, nasze czołgi oświetlone pożarami. Jakim wspaniałym celem musieliśmy być dla nich. Ale myśmy

się zacięli. Póki jest czym strzelać, trzeba to robić. Trzeba strzelać do ostatka. Nasza artyleria też nie spała. Deszcz pocisków poszedł na Niemców. Jeśli zechcą przyjść tutaj, drogo ich to będzie kosztowało. Błyski wystrzałów czołgów niemieckich są coraz bliższe. Jeszcze jeden nasz S.P. zostaje trafiony i uszkodzony. Strzelają tylko trzy czołgi: mój, oficera pośredniczenia i 17-tka. W chwilę później czołg oficera pośredniczenia zostaje trafiony, nie może już dalej ostrzelać, ma zablokowaną wieżę. Załoga nie opuszcza go jednak. Cofają czołg za rozwaloną stodołę i stamtąd utrzymują wciąż łączność z pułkiem, meldują naszą sytuację, wskazują cele dla naszej artylerii.

Niemcy jakby się zawahali. Ich czołgi nie idą dalej, prowadzą tylko ogień.

— Załoga z wozu. Dostaliśmy. —

Sam wyrzuciłem się szybko z wieży. Wszyscy wyszli w porządku. Skoczyłem do piwnicy do dowództwa przyczółka, wskazałem obserwatorowi artyleryjskiemu, gdzie są najbliżej Niemcy.

Kapitan Gryziecki pyta, dlaczego czołgi nie strzelają?

— Ja już nie mam czołgów — odpowiedziałem.

— Mam zostać tutaj dalej — powiedział kpt. Gryziecki — mam wytrwać tutaj do końca.

— Wobec tego ja też tutaj zostaję. Załogi rozbitych czołgów odesłałem za rzekę — zameldowałem.

Postanowiłem wrócić do czołgów. Byłem tak zmęczony, że nie miałem siły kryć się przed pociskami.

Żaden z czołgów już nie strzelał. Te, które się nie paliły, stały martwe i opuszczone. 17-tka trafiona prawie razem z moim, nie zrezygnowała łatwo z walki. Strzelec czołgowy, ranny odłamkiem, oddał jeszcze 6 strzałów, zanim czołg opuścił.

Chciało mi się płakać ze złości i z bezsilności. W jednym dniu stracić wszystkie czołgi!

W jednym czołgu słychać wciąż pracującą radiostację. Był to czołg oficera pośredniczenia. Wszedłem do wieży i wywołałem kryptonim pułku. Otrzymałem odpowiedź. Po chwili mówiłem z dowódcą pułku. Podałem, że straciłem wszystkie czołgi i że załogi się ewakuowały. Że jest kilku rannych. Ja jeszcze tutaj zostanę. Dowódca pułku podaje, że zadanie moje skończone, że piechota pozostaje, a ja mam wracać. Żal mi jednak było wracać. Nie chciało mi się odejść od rozbitych czołgów, jak od kogoś bliskiego, którego trzeba pożegnać na zawsze.

Znowu poszedłem do piwnicy. Tam kpt. Gryziecki podał mi, że o godzinie 20.00 ma rozkaz odejść na południowy brzeg rzeki.

Z czołga połączyłem się z pułkiem. Potwierdzono rozkaz odejścia za

rzekę. „Krzyżyk" (w żargonie radiowym — most) nie będzie już budowany, bo jest już zrobiony w innym miejscu. Ta wiadomość mnie otrzeźwiła. Nasze wytrwanie pozwoliło wybudować most gdzie indziej.

Ogień ppanc. niemiecki ustał. Strzela tylko artyleria i moździerze oraz broń maszynowa. Ogień skoncentrowany w rejonie przeprawy. Serie z c.k.m.'ów idą z lewej strony wzdłuż rzeki.

Oglądam po kolei rozbite czołgi i melduję do pułku — przyślijcie mi ludzi, można zabrać trzy czołgi i jeden S.P.

— To niemożliwe, nie ma promu — idzie odpowiedź.

— Prom się już naprawia — melduję.

Saperzy już się rzeczywiście wzięli do pracy, nie dbając o strzały.

Gdy wróciłem znowu do piwnicy, zameldowałem kpt. Gryzieckiemu, że niektóre czołgi i jeden S.P. jest na ruchu. Otrzymałem rozkaz ewakuowania się w pierwszej kolejności, jak tylko prom będzie gotowy.

— Nie mam załóg — zameldowałem — będę ewakuował się wtedy, gdy przyjdą ludzie.

Jest godzina 19.30. Do godziny 20.00 piechota ma opuścić przyczółek, pozostawiając jedynie placówki na południowym brzegu.

Poszedłem nad rzekę. Prom już był naprawiony i piechota zaczęła się przeprawiać. Pierwsze poszły na prom ocalałe *carrier'y* i działka ppanc. piechoty. Ludzie przeprawiali się promem i łódkami. Pozostałem na przeprawie, czekając na obiecane załogi. Przeprawa piechoty szła sprawnie.

Ktoś wołał mnie po nazwisku.

— Jestem tutaj! — krzyknąłem.

Przybiegł do mnie mój strzelec czołgowy. O mało się nie rozpłakał z radości, że mnie odnalazł.

— Ja już byłem za rzeką — mówił zdyszany — Pisulewski i Filip ranni, ale poszli do tyłu o własnych siłach. Ja się wróciłem, żeby szukać pana porucznika.

— Będziemy czekać na załogi, które mają przyjść, a w razie potrzeby we dwójkę będziemy przeprawiali czołgi — powiedziałem.

Ktoś mnie znowu wołał. To kapral i st. strzelec z baterii ppanc. Również wrócili zza rzeki. Teraz już czułem się lepiej. We czterech damy sobie radę na przeprawie. Sprawdzam we wszystkich czołgach czy nie został w nich ktoś zabity lub ranny. Wszystkie czołgi są puste. Spotykam kpt. Gryzieckiego.

— Już dwie kompanie się przeprawiły — mówi do mnie.

— Nie ma pan dużo czasu.

—Bierzcie chłopcy waszego *destroyera* i podjeżdżajcie do rzeki. Przeprawicie się pierwsi. Czołgi pójdą za wami.

Niemcy przenieśli teraz cały swój ogień na przeprawę i na południowy brzeg rzeki. Trzeba było przeczekiwać nawały artylerii i w przerwach kontynuować przeprawę. Saperzy pracowali bez wytchnienia, choć mdlały im ręce. C.k.m'y niemieckie szczekały zajadle. Niepokojąco blisko trzeszczały serie pistoletów maszynowych.

Przeprawa piechoty już ukończona. Na przyczółku pozostały zaledwie dwie drużyny piechoty, saperzy obsługujący prom i kilku nas z załóg czołgowych. Idę z moim strzelcem do czołga. Wsiadam do kabiny kierowcy i uruchamiam silnik. Ktoś krzyczy do mnie. wskakuje na przód czołga. Rozpoznaję plutonowego z patrolu rep. Przyszły oczekiwane załogi. Uruchamiamy nasz czołg. Drugi też już jest na ruchu. Tylko 17-tka nie chce zapalić, ale ludzie nie dają za wygraną i szukają niedomagania.

Biegnę do *destroyera.*

— Ruszać na przeprawę! — rozkazuję.

Saperzy trzymają naprężone liny promu. Prom jest już na środku rzeki, gdy słychać jakiś trzask. Widzę jak *destroyer* zanurza się powoli w wodę.

Uszkodzony ogniem artylerii prom był naprawiany po ciemku. Trafiony nowym pociskiem, nie wytrzymał już ciężaru, jakim go obarczono. Złamał się z trzaskiem. Załoga po linach wydostała się na drugi brzeg.

Wydaje się, że wszelka nadzieja ocalenia dwóch pozostałych czołgów stracona. W razie potrzeby będą rozstrzelane przez 17-tki 3. szwadronu z południowego brzegu.

Saperzy naglą, aby wsiadać do łódki. Siadamy. Kulimy się wszyscy, bo pociski c.k.m. tną po rzece. Za chwilę jesteśmy już na drugim brzegu. Patrzę na zegarek: jest godzina 22.00. Na szosie czekają na nas *recovery.*

Melduję się u dowódcy pułku. Jest mi przykro, że straciłem wszystkie czołgi, martwię się o ludzi, bo nie wiem ilu z wysłanych przeze mnie wróciło na ten brzeg. Jestem jednak pewny, że na przyczółku nie pozostał nikt bez opieki.

— Nie martw się — mówi dowódca pułku — ludzie nie bardzo ucierpieli. Sprzęt to głupstwo. Wykonaliście zadanie. Dzięki waszemu wytrwaniu inni zdołali przejść przez most, zbudowany na kanale dalej na wschód.

Przyczółek nie został zlikwidowany przez Niemców. Był utrzymany tak długo, jak tego wymagała sytuacja. Opuściliśmy go na rozkaz, gdy już nie był potrzebny. Każdy żołnierz z załóg czołgowych, trwając twardo obok swego kolegi piechura i sapera, jeszcze raz dowiódł, że wie o co się bije.

* * *

Późnym wieczorem, gdy postanowiono, że saperzy raz jeszcze spróbują zbudować prom dla ewakuacji czołgów, wysłano z pułku nowe załogi. Zor-

ganizowano je naprędce z ludzi z plutonu rozpoznawczego, patrolu rep. i rzutu A. 1. Przeprawiły się one na drugi brzeg pod dowództwem por. Polaka, oficera technicznego 1. szwadronu.

Po całonocnej, ofiarnej pracy saperów, w której pomagali im wszyscy obecni na przyczółku, pracy przerywanej ogniem artylerii i moździerzy, ukończono budowę członu o godzinie 06.30.

Już miano przystąpić do przeprawiania pierwszego czołgu, gdy przyszła ciężka nawała. Trafiony człon poszedł na dno.

TADEUSZ WIATROWSKI, por.
2. Pułk Pancerny.

* * *

Po zajęciu Bredy nadchodzi dramatyczne forsowanie kanału Mark przez 8. Batalion Strzelców. Przy wsparciu 2. Pułku Artylerii Motorowej. Batalion chwyta przyczółek. W ciągu dnia 1. XI.1944 roku następuje szereg gwałtownych przeciwnatarć niemieckich, popartych niezwykle silnym ogniem artylerii i moździerzy. 8. Batalion jest poważnie zagrożony. Wobec powagi sytuacji Pułk rzuca na szalę wszystko, czym dysponuje, dla ocalenia i obrony dzielnych piechurów. Szybkie i gwałtowne nawały grzmią jedna po drugiej. Na stanowiskach pracują wszyscy. Obsługi nie odchodzą ani na chwilę od strzelających bez przerwy dział. Kto nie strzela nosi amunicję; pracują kierowcy, telefoniści, oficerowie. Rozpalone lufy dział obkłada się mokrymi szmatami. W każdej chwili grozi eksplozja tego czy innego działa, lecz nie ma czasu do namysłu.

Piechota potrzebuje ognia — to zdanie jest najwyższym nakazem, wobec którego odpaść muszą wszystkie inne względy. Pułk kładzie bez przerwy ognie obronne.

Miarą wysiłku 2. Pułku Artylerii Motorowej niech będzie ilość wystrzelonej w tym dniu amunicji, która wyraża się cyfrą 7774 granaty.

Z „Kroniki" 2. Pułku Artylerii Motorowej.

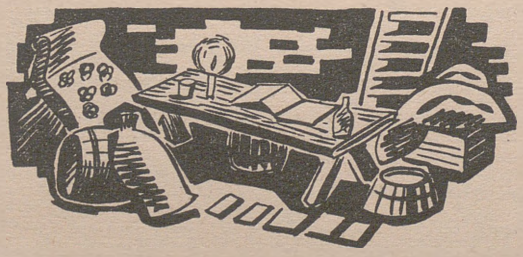

POPRZEZ ZALEWY NAD MOZĄ



ZIEŃ 5 listopada. Deszcz, woda, zalewy, wpłynęły na nastrój żołnierza, mocno wyczerpanego ostatnimi bojami. Każdy leniwie wciągnął rynsztunek piechura na siebie. Wydawał się on być coraz cięższy i dotkliwie wrzynał się w mięśnie.

Dzisiaj znowu ruszamy do następnego natarcia, by jak najszybciej wyprzeć nieprzyjaciela za Mozę.

Mamy opanować miejscowość Hooge-Zwaluwe. Teren paskudny: równinny, poprzecinany kanałami, rowami, a na horyzoncie widnieją zalewy.

Rozwijamy się na obronnych pozycjach Podhalan, na skraju wsi Wagenberg. Artyleria i moździerze obu stron rozpoczynają pracę. Wszystko już gotowe i na sygnał ruszamy. Na bezkresnym niżu wyglądamy jak karzełki. Gromadka dwudziestu kilku ludzi, bo tylu tylko pozostało nas z 3. kompanii, z rezygnacją brnie w potwornym błocie. Obok suną trzy czołgi.

Po dojściu do toru kolejowego robimy zwrot w lewo o 90 stopni i wzdłuż nasypu kolejowego z jednej, a szuwarami z drugiej strony, przy wsparciu naszych czołgów, nacieramy na Hooge-Zwaluwe. Szybko dochodzimy do cmentarza i skrzyżowania toru kolejowego z drogą. Tu okopujemy się i wysyłamy dwa patrole. Czołowy patrol od razu wykrył Niemców.

Dowódca melduje: — Szkopy siedzą stąd jakieś 400 — 500 metrów, jak szosa skręca w lewo. Mają w stodole zamaskowany czołg, a tylko kawał lufy sterczy zza drzewa. W ogrodach są karabiny maszynowe i piechota. Gdy szperacze podeszli pod zagrodę — Niemcy otworzyli ogień. Przepisowo odszczeknęliśmy się i jesteśmy z powrotem bez strat.

Wraca i drugi patrol. Znalazł 1. kompanię o jakieś 300 metrów od nas. Kompania jest w paskudnym położeniu. Każdy jej ruch wywołuje piekielny ogień. Wąż czołgów jest unieruchomiony przez kilka zestrzelonych czołowych *Shermanów*.

Radio nakazuje nam, trzeciakom, próbować szczęścia i nacierać na wieś.

40-to letni kapral Pluciński Wacek, cichy bohater wielu natarć i patroli, znanych tylko nam, starym „trzeciakom", wydał rozkaz swej drużynce do natarcia.

— Jasne? — zapytał twardo —

— Tak Wacuś. —



OGNIE ARTYLERII

W BOJU NAD KANAŁEM MARK

— Pierwszy idę ja z tym smykiem — tu wskazał ręką na celowniczego.

Obaj, niby ojciec z synem, podczołgali się pod drogę i razem wyskoczyli, by dopaść pierwszego domku. Ot! Trzeba było przebiec głupie 20 m. ... Nie doszli! Walnęła idealnie wstrzelana *Pantera*. Rozerwany na pół celowniczy — dziecko i kapral z wyrwanym brzuchem i biodrem, zwalili się do rowu.

Wkrótce cała wioska była już w naszych rękach.

ZBIGNIEW SMALEC, por.
8. Baon Strzelców.

M O E R D I J K

TEST w tym słowie coś groźnego, coś co trąci pojęciem mordu, chociaż podobno wymawia się to „Murdejk" — a chodzi o małą wioskę holenderską, o osadę rybacką, przyportową nad szeroką wodą Mozy, w północnym Brabancie. Chociaż przyzwyczajeni od lat do cudacznych, obcych nazw — wydziwiamy i śmiejemy się tutaj, odczytując z planów dziwnie brzmiące nazwy osiedli, wachlarzem rozsiadłych wokół Moerdijk. Oto one: — Lage Zwaluwe — Blauwe-Sluis — Zevenbergsche Hoek — Kalinschhoek ... — Mówimy sobie — lelum polelum — hokus pokus — apage gałandzkie wyzwiska! — i ustalamy szybko, że należy „toto" nazwać po prostu: „Lager-Sluz" — „Huk" — no i „Kalisz". Ważne to dla nas, bo zanosi się na to, że pokręcimy się kilka dni koło tych nazw. Bo w rejonie Moerdijk Szkopy zorganizowały silnie umocniony przyczółek, po drogach żelbetonem ochroniony, a po bokach zalewami niskich pól — przyczółek ogromnego mostu przez Mozę, łączącego południe z północą Holandii.

Po ciężkich walkach Dywizja nasza, na całej szerokości swego odcinka, doszła do Mozy i przyczółek Moerdijk jest ostatnim ośrodkiem oporu nieprzyjaciela po tej stronie wody. Chodzi o szybkie zlikwidowanie przyczółka, atakowanego przez Dywizję od kilku dni.

My — Strzelcy Konni — stoimy chwilowo w Klein Munnikenno i rozważamy dość niechętnie, jak to załatwić. Mamy rozkaz iść i — „rozpoznać" przyczółek.

Rozpoznać! — Wszystko jest rozpoznane, ale jeśli chodzi o naszą robotę, to — dzięki nazwie naszego pułku — cokolwiek zrobiliśmy i robili, wszystko to się nazywa „rozpoznanie".

Po wielkiej bitwie normandzkiej, po wspaniałych emocjach pościgu, po dłubaninie we Flandrii i Holandii — los każe nam oto stanąć — w setnym dniu walki — przed żelbetonem zorganizowanej pozycji.

Baca nasz myśli intensywnie — bo szarpie wąsy i silnie mruga oczyma. Wiemy jak on rozumie naszą robotę — a jest nam dość obojętne, jak to ktoś inny potem nazwie.

Baca decyduje: — Idziemy siłą — musimy to załatwić — to wstyd tak bezradnie stać i zbyt długo to już trwa. Uprzedzam — to nie będzie żadne „rozpoznanie". Nastawić się na ostrą, bezwzględną walkę. Plan mój jest prosty: dopchać się mimo ognia do przeszkód — dalej zobaczymy, co da się wywalczyć. Nikt tego za nas nie zrobi — a piechota — z powodu silnego ognia, nie jest w stanie nawet dojść do pozycji. My mamy pancerze, my mamy działa i my to zrobić możemy!

2. i 3. szwadron jedzie wraz z bacą.

Nasz pierwszy, po wczorajszej akcji — zostawili w odwodzie, trzymając nas w pełnej gotowości bojowej i na stałym nasłuchu radiowym. Leżymy więc na brzuchach przy czołgu i z nastawionej „na pełny gaz" radiostacji *rear - linka* — odbieramy rozmowy na sieci pułkowej. Czas płynie i denerwujemy się coraz bardziej. Spokojne początkowo rozmowy na sieci stają się coraz żywsze i coraz częściej — w przyciśnięty mikrofon wchodzącej na sieć stacji wpada trzask k.m.'ów lub głuchy grzmot dział. Powoli na kanwie szorstkich meldunków radiowych układa się obraz tego, co się tam dzieje. Lewe skrzydło — 3. szwadron — ma rannych od pocisków rozpryskowych niemieckiej artylerii i jest pod ogniem przeciwpancernym. Na prawym skrzydle — 2. szwadron — rozbija działo samobieżne, dorwał się do żelbetonowej zapory i bierze jeńców.

Słuchając tego zrobiło nam się gorąco i zapaliliśmy silniki, czując, że zaraz i my pojedziemy.

Zbliża się południe, gdy wywołuje nas baca i każe natychmiast ruszać, dołączyć do niego, gdzie otrzymamy szczegółowe rozkazy do walki.

Jesteśmy na miejscu — i teraz dopiero rozumiemy, skąd w rozmowach radiowych było tyle powagi i niepokoju. Serie niemieckiej artylerii bez przerwy pokrywają cały rejon, iskry ppanców przecinają powietrze we wszystkich kierunkach, wszędzie pełno dymu i raz po raz idą w górę fontanny wody i mokrej ziemi, wywalanej z pól granatami ciężkiej artylerii. W tym wszystkim — na asfalcie szosy stoją nasze *Cromwelle* i podjeżdżając

kolejno „kują" ppancami żelbetonowy mur zapory. Na środkowym kierunku — na autostradzie, wyprowadzającej na wielki most w głębi — stoi przy zaporze pluton czołgów dowódcy Pułku i huczy działami nieustannie. Po chwili wycofuje się i odróżniam już czołg mojego bacy, który jest dwukrotnie trafiony ppancem, tak jak i czołg pułkowego *rear - linka*.

Gdy zbliżył się do nas, wyskakuję i otrzymuję rozkaz:

— Na tym kierunku — zadanie — rozbić ogniem dział żelbeton — kuć w tym miejscu, gdzie ja zacząłem — strzelać z odległości 30 yardów, kolejno zajmując stanowiska czołgami — osłaniać się dymem od Moerdijk, stamtąd idą ppance — uważać na ogień *sniperów* — strzelać spokojnie i dobrze celować, bo mur gruby i może braknąć amunicji — jechać zaraz.

Pojechaliśmy.

W naszej kronice szwadronowej tak jest opisana ta walka: „... zaczynamy pracę strzelając ppancami w mur. Odcinek szosy, na którym stoimy jest pod ogniem niemieckich dział samobieżnych i dostajemy ogień *sniperów* i maszynówki w plecy, z nieprzyjacielskich pozycji flankowych. Kładziemy zasłonę dymną, lecz wiatr spycha ją na nas. Piechota nieprzyjacielska ze schronów strzela dość celnie, bo z bardzo bliskiej odległości. Trudno wysadzić głowę ponad klapę wieży, tym bardziej, że artyleria bije w nas ciągle rozpryskowymi i odłamki idą z góry. Wśród niebywałego ognia, dymu, ciasnoty i świstu ppanców, załogi *Cromwelli* wykazują dziś dużą klasę żołnierza. Kolejno wszystkie czołgi szwadronu podjeżdżają na stanowiska pod mur i po wystrzelaniu pełnej dotacji ppanców — odchodzą na koniec ugrupowania szwadronu, skąd granatami i *besami* osłaniają następny czołg podchodzący do rozbijania przeszkody. Po zużyciu amunicji wszystkich czołgów, na rozkaz dowódcy, szwadron wycofuje się. Mury są jednak tylko do połowy skruszone i trzeba dokończyć dzieła jutro".

Wieczorem był u nas nasz Generał i powtórzył to, co w czasie akcji powiedział nam przez radio: „robiliście piękną robotę. Jutro przyczółek będzie zlikwidowany".

Jesteśmy zemocjonowani po walce i wierzymy w rezultat rozpoczętej roboty.

Na drugi dzień dodają nam dywizjon *niszczycieli* 17 funtowych i idziemy szwadronami na swoje kierunki. Powtarza się wczorajsza robota i natężenie niemieckiego ognia jest takie same. Znów kilka czołgów dostaje ppancami i znowu jest kilku rannych. Mury kruszą się jednak i ostatnie czołgi strzelają już właściwie w gruz, który można czołgiem przejechać.

W żelbetonowym okolu przyczółka wykuliśmy trzy przejścia. Na kierunku każdego szwadronu jedno. Pod koniec roboty ogień nieprzyjaciela cichnie i wygląda tak, jakby zwątpił czy warto do nas strzelać.

A my stoimy jeszcze, choć czołgi mamy puste i hardo patrzymy przed siebie, jakby chcąc okazać, że nie tylko dotrzymaliśmy placu, ale dzierżymy go.

Czy żal nam było, że nie mogliśmy iść dalej? Nie.

Wiedzieliśmy, że teraz przejść można i można pójść dalej i wiedzieliśmy, że dokona tego świeży, amunicją pękaty, inny pułk pancerny i życzyliśmy mu tego szczerze. Mieliśmy pełną świadomość dokonanego czynu i głębokie zadowolenie, że wypracowaliśmy to rzetelnie. Efekt wejścia w zrąbany przyczółek nie był dla nas ważniejszy od naszego rozpoznania.

Wieczorem Strzelcy Konni z radością dowiadują się o pełnym sukcesie Białych Ułanów i o zlikwidowaniu przyczółka.

* * *

Taki to był ten przyczółek w „Moerdijk szarpany" i taka robota w dzisiejszej okolicy Lage Zwaluwe i innych Blauwe Sluis'ów...

ZYGMUNT KŁODZIŃSKI, rtm.
10. Pułk Strzelców Konnych.

NOWA PISOWNIA KANADYJSKA



— John, zdaje mi się, że to miasto zajęli już wcześniej Kanadyjczycy...
— Sądzisz?
— No tak, nie umiesz czytać po kanadyjsku?

Z „Polski Walczącej"

BITWA POD MOERDIJK



ZEKA Moza płynie sobie w Holandii ze wschodu na zachód, leniwie tocząc mętne wody pomiędzy niskimi, podmokłymi brzegami. Naprzeciw miejsca, gdzie prawy brzeg rozgałęzia się na kilka odnóg i kanałów, na lewym brzegu, rozłożyło się nieduże miasteczko Moerdijk. Miasteczko, jakich wiele, żyło dostatnio korzystając z tego, że przez dwa wielkie mosty nie opodal leżące biegnie z południa na północ wielki szlak drogowy na Dordrecht, Rotterdam i Hagę.

Właśnie to miasteczko Niemcy ufortyfikowali, czyniąc zeń przyczółek, ostatnią zaporę na lewym brzegu rzeki, do którego 1. Dywizja Pancerna doszła już i od paru dni trzymała mocno.

Niemcy postanowili bronić przyczółka do ostatniego. Stanowił on dla nich ostatnią drogę odwrotu na prawy brzeg rzeki, stanowił ostateczną osłonę dla wycofujących się z południa na północ sił.

Owa główna droga, szeroka, betonowa szosa biegnie na silnym nasypie. Prawie równolegle do niej ciągną się na groblach dwie drogi boczne, zaledwie kilkanaście centymetrów wystając ponad otaczające je pola. Pola te stały pod wodą, gdyż teren w wielu miejscach stanowił depresję, którą Niemcy wyzyskali skwapliwie, by wzmocnić przez zalanie ją wodą, swój system obronny. Tu i ówdzie znad wody wznosiły się kępy trawy lub wzgórki ziemi. Były to gniazda oporu nieprzyjaciela, często betonowe i silnie uzbrojone schrony.

Przyczółek miał formę zbliżoną kształtem do półkola o promieniu dwa i pół kilometra. W głąb tego półkola prowadziły właśnie trzy drogi, o których mówiliśmy. Nieprzyjaciel na skraju swego przyczółka zamknął te drogi zaporami betonowymi. Bloki betonu, wzmocnione żelaznymi szynami, broniły dostępu w głąb terenu. Lewa droga, boczna, która najkrótszą trasą wiodła do Moerdijk, zamknięta była aż podwójną zaporą betonową.

Betonowe te przeszkody chronione były przez wielokrotne pola minowe, położone z obu ich stron.

Rankiem 8 listopada 1944, 24. Pułk Ułanów otrzymał od Dowódcy Brygady rozkaz:

— Za wszelką cenę, bez względu na straty, zdobyć przyczółek Moerdijk. Nieprzyjaciela zepchnąć do rzeki.

Już w przeddzień 10. Pułk Strzelców Konnych przebijał przejścia

UWAGA: patrz mapa po str. 266.

w owych zaporach. Skoncentrowanym ogniem dział udało mu się osłabić zapory, wykruszyć je częściowo, i przebić otwory, przygotowując tym sposobem operację na przyczółek. W tym działaniu 10. P.S.K. poniósł duże straty, gdyż po przeciwnej stronie rzeki, na prawym brzegu, skoncentrowane były duże siły artylerii nieprzyjacielskiej, o wielkiej i różnorodnej sile ogniowej. Niezależnie od tego, granice przyczółka były pod ogniem dział przeciwpancernych nieprzyjaciela, ulokowanych nad samym brzegiem rzeki po stronie przyczółka.

Na odprawie przed akcją ochrzczono wybrzeże rzeki, cel do osiągnięcia, nazwą „Jurata". Wyrwy w zaporach, uczynione przez 10. P.S.K. otrzymały nazwę „dziur". Wewnętrzny pas umocnień, biegnący równolegle nieomal do rzeki, w odległości około 1 km od granic zewnętrznych przyczółka, nazywał się „Karpatami" — „środkowymi", „lewymi" i „prawymi".

O godzinie 12.10 rozpoczęło się natarcie. Pogoda była tego dnia fatalna. Silny wiatr niósł fale deszczu, wilgoć przesycała powietrze, utrudniając widoczność, obiecane wsparcie lotnicze w tych warunkach atmosferycznych było nie do uzyskania. Trzeba było liczyć jedynie na własne siły a i to w bardzo ograniczonych rozmiarach, z tego prostego powodu, że czołgi, które mogły posuwać się owymi drogami, szły gęsiego, stanowiąc doskonały cel dla ognia ppanc. nieprzyjacielskiego, bez możności wykonania jakiegoś manewru, bez możliwości wyzyskania szybkości zwrotu, jakie posiada broń pancerna.

— No dobrze, ktoś powie. Skoro drogi zamykają zapory nie do pokonania, skoro okłada je ogień zmasowanej artylerii, czemuż nie skorzystać z możliwości obejścia zapór? Czemuż nie sforsować przejść bokami?

Niestety, był to teren wymarzony do obrony. Pomijając już, że łąki po bokach tych dróg zasłane były polami minowymi, poprzecinane głębokimi rowami przeciwczołgowymi i usiane bunkrami, to gdyby jednak znalazł się taki nieostrożny czołg, któryby zeszedł z grobli utonąłby poprostu w błocie, jak już bowiem mówiliśmy, cała okolica wyglądała jak jedna wielka tafla wodna pokratowana grobelkami i wysepkami — bunkrami. Niepodobna wyobrazić sobie terenu gorszego do działania broni pancernej.

Chcąc nie chcąc, trzeba było posuwać się drogami. Otrzymujemy wsparcie całej artylerii dywizyjnej, która okłada ogniem przeciwny brzeg rzeki, paraliżując nieco ogień artylerii niemieckiej, poza tym zmiękcza teren naszego natarcia.

Szwadrony posuwają się w szyku torowym, osłaniając się dymami przed ogniem ppanc. Główną drogę forsuje szwadron trzeci, szwadron pierwszy posuwa się drogą prawą, którą jak się okazało potem nieprzyjaciel obsadził stosunkowo najsłabiej licząc na to, że wobec słabego podłoża czołgi

nie będą ryzykowały przeprawy przez nią. Szwadron drugi w odwodzie za szwadronem trzecim.

Po dwudziestu minutach od rozpoczęcia akcji szwadrony 1. i 3. meldują, że osiągnęły „dziury". Nieprzyjaciel, widząc ich wysiłki sforsowania przejść, wzmógł nasilenie ognia artylerii i ciężkich moździerzy z przeciwnego brzegu rzeki. Cały pułk znalazł się w ogniowej łaźni o niespotykanym dotychczas natężeniu. Pociski padają nieustannie; po pancerzach czołgów bębni grad odłamków.

Główne skupienie ognia zbiera na siebie 3. szwadron. Musi on teraz ogniem 17-funtówki czołowego plutonu rozbijać zaporę betonową. Okazało się bowiem, że wybity w dniu poprzednim przez 10. P.S.K. otwór jest zbyt wąski, by mógł się przezeń przecisnąć czołg. Ogień artylerii nie słabnie ani przez chwilę. Potop pocisków pada na trzeci szwadron, morze ognia artyleryjskiego zalewa pozostałe szwadrony. Od ognia nieprzyjaciela 3. szwadron traci wkrótce czołg. Zaraz po nim czołg — szperacz wylatuje na minie w pośrodku dziury w zaporze, zagradzając sobą drogę innym czołgom w posuwaniu się do przodu, grząski teren uniemożliwia wykonanie manewru i obejście zawalidrogi.

Chcąc nie chcąc dwie załogi muszą opuścić czołg, aby mimo nieustannego ognia artylerii, moździerzy, pod osłoną własnych dymów, założyć linę na uszkodzony czołg, zaczepić ją do czołga, który przyszedł z pomocą, żeby wyciągnąć rannego kolegę — *Shermana* do tyłu.

Praca trwała pół godziny i kosztowała czterech żołnierzy rannych. Przez otwór w zaporze posuwa się następny czołg plutonu czołgowego. Ledwie przebrnął przez „dziurę" natknął się na minę i wyleciał. Znowu trzeba było organizować pomoc w wyciąganiu go. Wyniki pełnej poświęcenia pracy przydzielonej drużynie saperów, nad oczyszczeniem przejścia z min, niestety okazują się skromne. Niemcy ułożyli miny jedna na drugiej w kilku warstwach co uniemożliwia saperom ich wydobycie.

Tymczasem 1. szwadron miał więcej szczęścia. Niemcy, którzy zwrócili specjalną uwagę na zaporę drogi głównej, forsowaną przez 3. szwadron, poświęcili mniej wysiłku obronie drogi prawej, licząc na jej naturalną obronność w postaci słabej grobli i bagnistego podłoża. To ich przeoczenie zostało wyzyskane przez 1. szwadron, który brawurowym atakiem przełamał się przez zaporę i po otrzymaniu rozkazu zaczyna forsować drugą linię obronną „Karpaty środkowe".

Walcząc z dużymi trudnościami, zalanym terenem, grząską groblą, szwadron w półtorej godziny od rozpoczęcia natarcia osiąga „Karpaty prawe", t.zn. prawy odcinek drugiej linii obronnej.

Pędząc przed sobą niemiecką piechotę, 1. szwadron przechodzi „Kar-

paty środkowe" i za godzinę ma już sforsowane „Karpaty lewe", czyli cała druga linia obronna jest już w naszych rękach. Dowódca posyła ich śladem drugi szwadron odwodowy oraz wycofany z bezskutecznego forsowania środkowej „dziury" 3. szwadron.

Nieprzyjaciel, widząc beznadziejną sytuację, szuka możliwości ucieczki za rzekę. Wszystkie jednak jego wysiłki paraliżuje ogień całego pułku, który ze wszystkich *Shermanów* okłada pociskami oba mosty: kolejowy i drogowy, stanowiska nieprzyjacielskie dział ppanc, ponadto ma pod kontrolą ogniową miasteczko i całe jego przedpole.

W tym czasie borykając się z ciężkimi warunkami terenowymi, kryjąc się przed nieustannym ogniem artyleryjskim i broni maszynowej nieprzyjaciela, posuwają się ze wschodu w kierunku zachodnim wzdłuż brzegu rzeki kompania Baonu Strzelców Podhalańskich i 9. Baonu Strzelców.

Przychodzi rozkaz sforsowania miasteczka i osiągnięcia brzegu rzeki.

Nie jest to jednak zadanie łatwe, nawet wobec dezorientacji nieprzyjaciela. Okazuje się, że Niemcy zaskoczeni szybkim ruchem czołgów z najzupełniej niespodziewanego kierunku ochłonęli z pierwszego zaskoczenia i znalazłszy oparcie w zabudowaniach miasteczka zaczynają się odgryzać. Trzeba wezwać piechotę, bez jej pomocy 1. szwadron nie może wejść do zabudowań. Niestety, wobec wielkich strat 8. Baon Strzelców mógł dotrzeć do stanowisk 1. szwadronu dopiero w dwie godziny od wyruszenia ze swoich stanowisk.

Tymczasem przyszedł ponaglający rozkaz, żeby zajmować Moerdijk. Dowódca Pułku rzucił więc odwodowy pluton rozpoznawczy i wydał rozkaz oczyszczenia pieszo drogi dla 1. szwadronu.

Szczęśliwie jednak zaraz nadeszła piechota. Wnet osiągnęła pierwsze domy miasteczka, ale w ciężkim ogniu nieprzyjacielskim nie jest zdolna do dalszego szybkiego działania. Artyleria dywizyjna bije w dalszym ciągu swoim ogniem w przeciwny brzeg. Wobec stwierdzenia, że w porcie znajduje się piechota nieprzyjaciela i działa ppanc., które oczekują na przeprawę, pułk kieruje ogień artylerii na port.

Zapada noc. Można zrobić bilans dnia: sforsowanie, umocnienie linii obronnych, osiągnięcie miasteczka, przyczółek prawie zlikwidowany, 370 jeńców w niewoli, zniszczono 6 nieprzyjacielskich dział ppanc., jedno zdobyto nieuszkodzone. Straty własne zdumiewająco niskie: trzy czołgi uszkodzone, czterech członków załóg rannych.

Zapada noc, ale ogień nie milknie ani na chwilę. Pojedynek artyleryjski przybiera na sile. Załogi muszą pozostawać w czołgach, piechota walcząca między domami miasteczka ma poważne straty. Dopiero koło trzeciej nad ranem ogień niemiecki słabnie, milknie ostatecznie o wpół do czwartej.

WALKI POD MOERDIJK PRZYNIOSŁY OBUSTRONNE STRATY

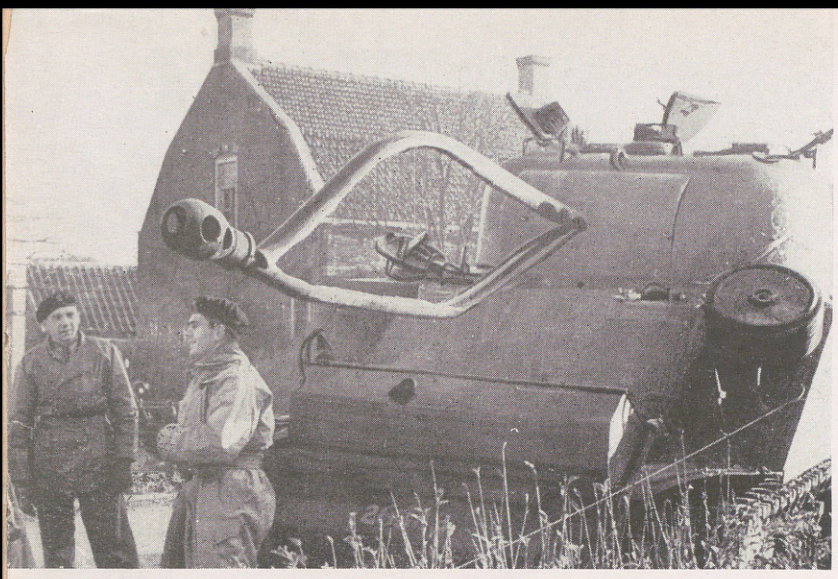

Fot. M. Walentynowicz

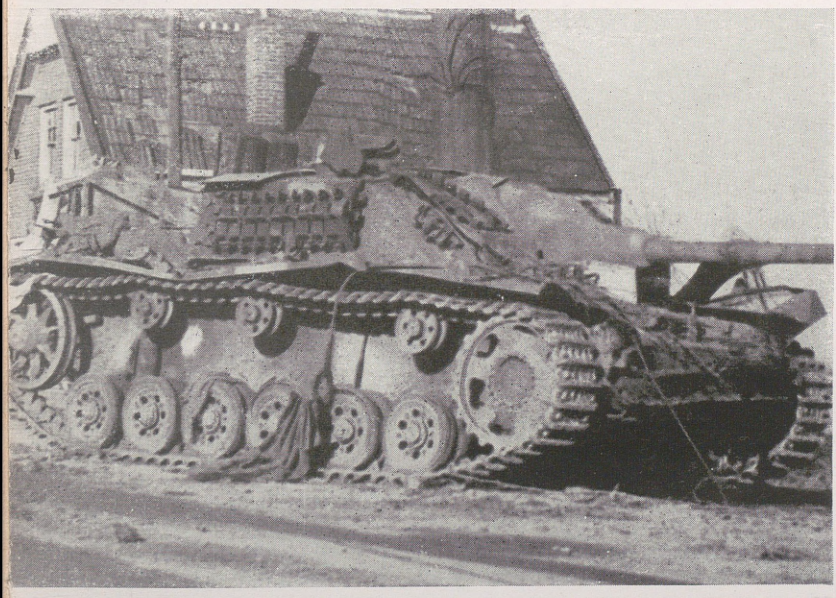

Fot. M. Walentynowicz



Fot. M. Walentynowicz

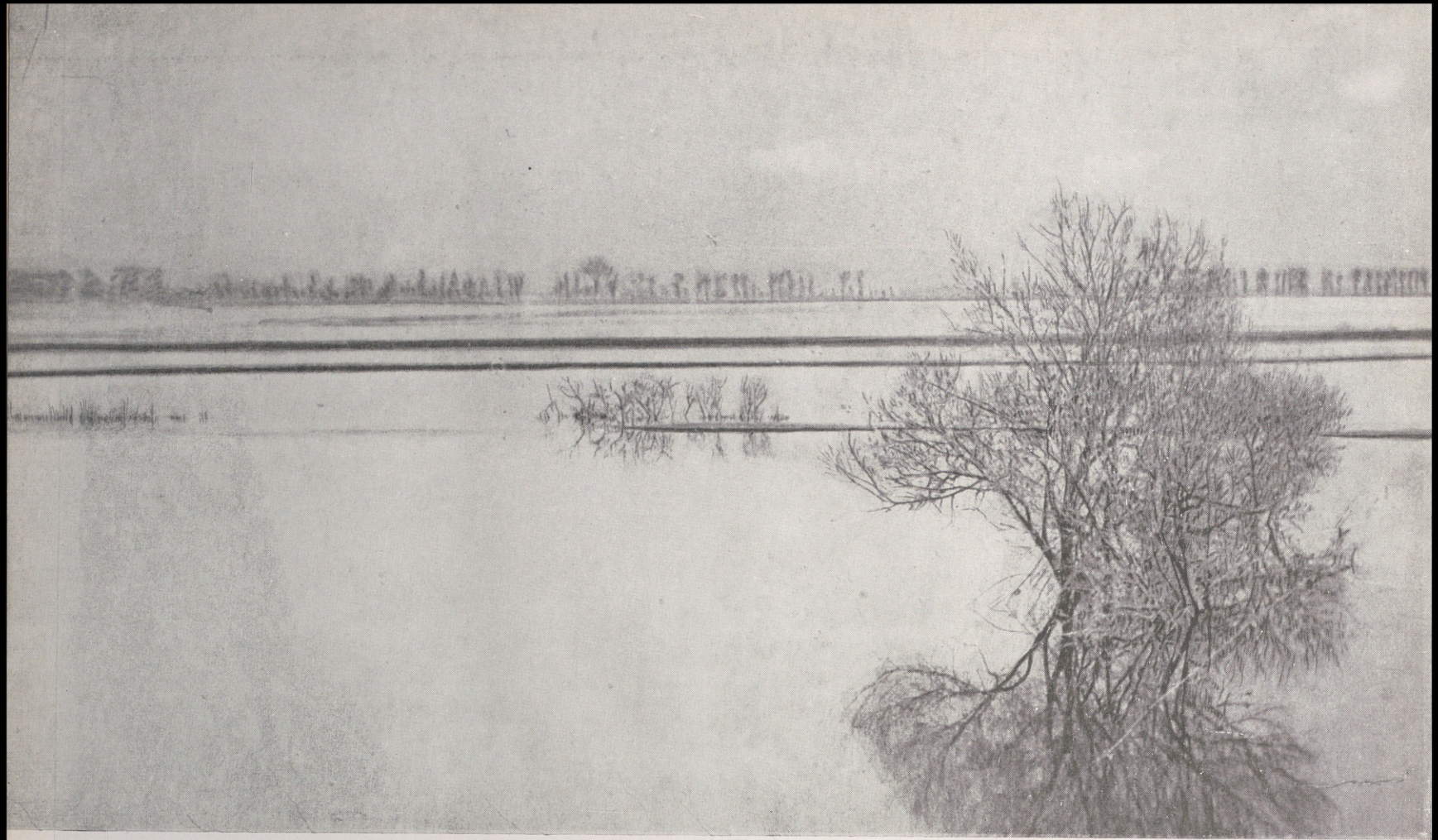

Teren, w którym musieliśmy walczyć

Fot. M. Walentynowicz

O świcie oddziały rozpoczynają przerwaną akcję. 8. Baon Strzelców wspólnie z 1. szwadronem przystępują do oczyszczenia miasteczka, wspierane przez 2. szwadron.

O godzinie 08.30 1. szwadron melduje dojście do rzeki. Przyczółek można uważać za zlikwidowany. Pozostaje jedynie wyłapać jeńców, co też piechota wykonuje posuwając się w sile dwu kompanii wzdłuż rzeki, od zachodu. Grobla wschodnia, którą pułk przeszedł dnia poprzedniego jest już dzisiaj zalana wodą. Czołgi muszą wracać drogą zachodnią, nie stanowi to jednak, żadnej przeszkody. Udaje się bowiem zdobyć jak najszczegółowszy plan pól minowych, co pozwoliło szybko oczyścić teren.

Przyczółek nieprzyjacielski pod Moerdijk został zlikwidowany. Teren oczyszczony całkowicie z elementów nieprzyjaciela.

Godzina 09.00 dnia 9 listopada 1944, 24. Pułk Ułanów może zameldować: — Rozkaz wykonano.

JAN PRZANOWSKI, rtm.
24. Pułk Ułanów.

WALKA O MOERDIJK

CZEKA nas poważny wysiłek — rozległ się głos mjr. Gr. pochylonego nad arkuszem mapy. — *Cromwelle* 10. Pułku Strzelców Konnych po rozbiciu zapór drogowych, umożliwiły dalszy ruch na Moerdijk. *Shermany* 24. Pułku Ułanów wprowadzają nas do wioski. 4. kompania jako czołowa, zajmie północno-wschodnią część portu, 1. kompania odwodowa zajmie część północną. Ruch do przodu o godz. 13.00.

Kompania Andrzeja tęgo się spisuje. Środkiem drogi suną kolumny jeńców niemieckich. Podarte łachmany zaledwie okrywają ich ciało. Mętnym wzrokiem spoglądają na Polaków, ciągnących długim szeregiem. W dali, na tle olbrzymich mostów pod Moerdijk, zajęły stanowiska *Stuarty*. Po obu stronach drogi olbrzymie pola zalane wodą, w której kąpią się nawały pocisków artylerii niemieckiej. Od czasu do czasu rozrywa się szrapnel.

Przed wioską wita nas niemiecka obrona przeciwlotnicza. Kilka serii l.k.m.'u ucisza działo, ale obsługa broni się granatami. Mimo to w chwilę później z podniesionymi rękami, posłusznie odchodzi do tyłu. 4. kompania osiąga już pierwsze domki. Nasilenie ognia zwiększa się. Niemiecka artyle-

ria bije po drodze. Z prawej plują ogniem czołgi, przeraźliwym chichotem rozegrały się l.k.m.'y.

Huk, dym, gruzy, istne piekło. Tu i ówdzie palą się domy. Drużynki nikną, w kłębach gryzącego dymu, zajmują stanowiska w ruinach domów. Dwa działa 88, na osi natarcia, unieruchomiły dwa *Shermany*. Reszta zaniepokojona tuli się do na wpół rozbitych domów, tworząc zator na wąskiej drodze.

— Panie majorze — rozległ się głos z wieżyczki — dalej nie pojedziemy. Trzeba najpierw zlikwidować działa niemieckie.

Ciszę od czasu do czasu przerywa seria artylerii zza Mozy. Bije celnie po drodze i domach. Płomienie palących się domów olbrzymimi językami liżą czerń nocy, wiszącej nad wioską. Żar piecze, dym gryzie wyschnięte gardła. Pył i kurz walących się domów zatyka oddech. Czarne postacie szybkimi krokami przebiegają drogę: suną tuż pod ścianami. Odrywają się i nikną w kłębach dymu.

Zagrały *steny*, c.k.m.'y świetlnymi pociskami zasypały drogę. Pękają granaty kruszące, bryzgają z sykiem fosforowym. Tupot nóg.

— *Hände hoch!* —

Szczęk bagnetów.

— Ręce do góry! —

Znów seria za serią. Huknął *piat*. Gdzieś warczy motor. Jęk.

— Sanitariusz do przodu, podać po linii! —

Do m.p. majora wpada Andrzej Sz.

— Panie majorze, jeden mój pluton rozbity, dowódca plutonu ppor. K. ranny w walce na noże. Działa wprawdzie ustąpiły, droga dla czołgów wolna, ale Niemcy silnie bronią wejścia do portu.

— Czołgi zrąbią dom po domu — rozkazuje major. 1. kompania przejdzie na czoło. Musimy dzisiaj mieć port.

Czołgi uzupełniają amunicję i paliwo.

W huku dział, w łunie palących się domów, po gruzach i rozpalonych belkach, skaczą ostatnim wysiłkiem woli chłopcy 1. kompanii. Zdobywają kamień po kamieniu, dom za domem.

Godzina 04.00 nad ranem zastała, padających już ze znużenia żołnierzy, w czeluściach ostatnich rozwalonych domów.

Moerdijk został zdobyty !

BOGDAN JABŁOŃSKI, ppor.
8. Baon Strzelców.

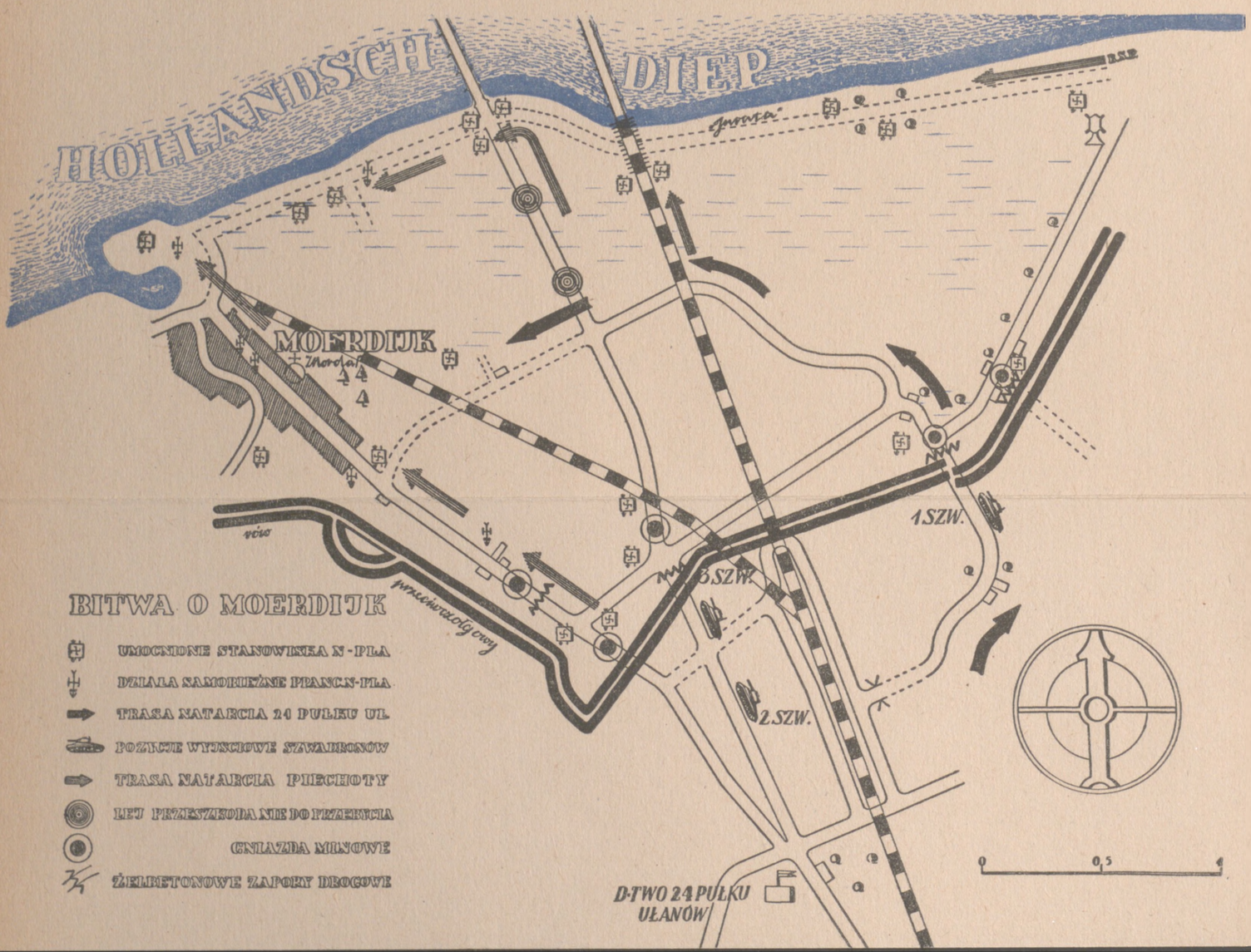
HOLLANDSCH DIEP
MOERDIJK
Zhordal
rów
przeciwczołgowy
1 SZW.
3 SZW.
2 SZW.
D-TWO 24 PUŁKU UŁANÓW
0
0,5
1
BITWA O MOERDIJK
UMOCNIONE STANOWISKA N-PLA
DZIAŁA SAMOBIEŻNE PRANC.N-PLA
TRASA NATARCIA 24 PUŁKU UŁ.
POZYCJE WYJSCIOWE SZWADRONÓW
TRASA NATARCIA PIECHOTY
LEJ PRZESZKODA NIE DO PRZEBYCIA
GNIAZDA MINOWE
ŻELBETONOWE ZAPORY DROGOWE

Ballady wojenne

Fragment

Umarł żołnierz w szpitalu i chciał iść do nieba.
„Tu — powiedział mu Pan Bóg — wojska nie potrzeba.

Mam policję z aniołów i ta mi wystarczy.
Zmykaj, synu, do piekła. Z tarczą lub na tarczy".

Poszedł żołnierz do piekła. Diabeł drzwi zamyka:
„Żołnierzy nie wpuszczamy. Nasza polityka

popiera dziennikarzy, poetów, kapłanów,
winnych zbrodni wojennych oraz mężów stanu".

Poza tym udzielamy azylu przejściowo
matkom, które nie płaczą i wesołym wdowom.

„Ja walczyłem o wolność . . . " „Wolność? Co to znaczy"?
Biedny żołnierz nie wiedział, jak to wytłumaczyć.

„Wolność . . ." zaczął, lecz diabeł rubasznie się śmieje:
„Wolność, dobry człowieku, wcale nie istnieje".

Posmutniał na to bardzo, opadła mu głowa,
spostrzegł krzyż swój na piersi . . . Nie powiedział słowa.

A potem, gdzieś, wysoko, na gwiaździstych szlakach,
samotny i wzgardzony, długo, rzewnie płakał.

JAN WINCZAKIEWICZ

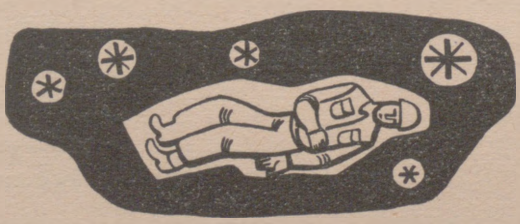

LIST DOWÓDCY KORPUSU DO GENERAŁA MACZKA

Dowódca Korpusu, gen. J.T. Crocker, przesłał dowódcy 1. Dywizji Pancernej gen. Maczkowi pismo odręczne następującej treści, datowane dnia 3. października 1944 roku.

— Drogi Panie Generale: Pragnę wyrazić moją wdzięczność i podziw za wspaniałą walkę 1. Dywizji w ciągu ostatnich dni. Walka ta była prowadzona bardzo umiejętnie i zdecydowanie.

Jestem głęboko zadowolony, że pierwsze zadanie, które Pan Generał podjął w ramach mego korpusu i które wyraziło się w zdobyciu Baarle-Nassau, zostało uwieńczone powodzeniem. Jest to szczęśliwa zapowiedź na przyszłość.

Mam nadzieję, że Pan Generał zechce przekazać moje słowa uznania żołnierzom wszystkich stopni Jego Dywizji i powiedzieć im, jak dumny jestem, iż znajdują się oni pod moimi rozkazami.

Dnia 21 wrzesień 1944.

UZNANIE SZKOTÓW DLA CZYNÓW BOJOWYCH DYWIZJI

Dowódca Dywizji otrzymał od Lorda Elgina, namiestnika królewskiego hrabstwa Fife, Prezesa Towarzystwa Polsko-Szkockiego, pismo treści następującej:

Edinburgh, dnia 4 września 1944.

Drogi Panie Generale !

Rada Główna Towarzystwa Polsko-Szkockiego zebrała się dziś w Edinburghu, by w skupieniu oddać hołd Polsce i Warszawie, której poświęcenie i bezprzykładne oddanie sprawie wolności nigdy nie zostaną zapomniane.

W chwili odczytywania przeze mnie tego pisma, skierowanego do Pana Generała i Jego Żołnierzy — z których wielu jest członkami naszego Towarzystwa — zebrani powstali z miejsc.

Pragniemy, by Pan wiedział, jak wielką dumę odczuwaliśmy, gdy Dywizja z niezłomną odwagą i bohaterskim samozaparciem brała udział w krytycznych walkach o zamknięcie luki pod Falaise, jak również i w czasie zwycięskiego jej pochodu do Abbeville oraz w późniejszym okresie.

Poczytujemy sobie za honor i zaszczyt, iż więzy przyjaźni łączą nas z tak dzielnym wojskiem. Pragniemy zapewnić Pana, że więzy zadzierzgnięte tu w Szkocji oraz na polu walki, nabiorą mocy i wyrazu. Wierzymy, że wraz ze zwycięstwem nastąpi odrodzenie wolności i sprawiedliwości.

Niech żyje Polska !

Szczerze oddany

ELGIN

Prezes Towarzystwa Polsko-Szkockiego.

GEN. CRERAR O 1. DYWIZJI PANCERNEJ

„Żaden z dowódców sprzymierzonych nie miał lepszych żołnierzy, niż ja, mając u swego boku żołnierzy polskich. Wykonali oni każde powierzone im zadanie. Polacy wykazali najwyższy poziom wartości wojskowych". — Oto opinia, jaką wyraził o 1. Dywizji Pancernej wobec korespondentów wojennych dowódca 1. Armii Kanadyjskiej, gen. Crerar, po zdobyciu przez Polaków Bredy.

REGENT BELGII DZIĘKUJE 1. DYWIZJI PANCERNEJ

Dzień 14. października 1945 roku był dniem serdecznego zbliżenia pomiędzy nami a narodem belgijskim. Mieszkańcy Brukseli zebrani tłumnie koło pomnika króla Leopolda 1-go manifestowali gorąco na rzecz Polski, naszej Dywizji i jej dowódcy, kiedy o godz. 12-tej w południe gen. Maczek przybył tam, by złożyć wieniec na grobie Nieznanego Żołnierza.

Na uroczystość przybyli: prezydent miasta, generał dowodzący garnizonem Brukseli w otoczeniu wyższych dowódców, szereg wyższych oficerów brytyjskich, chargé d'affaires Rzeczypospolitej i urzędnicy poselstwa polskiego w Brukseli oraz wiele innych osób ze społeczeństwa belgijskiego i miejscowej Polonii. Ze wzruszeniem mówili ci, którzy przeszło 4 lata spędzili pod okupacją niemiecką, jaką radość sprawia im widok wspaniale prezentującej się polskiej warty honorowej. Olbrzymich rozmiarów wieniec z napisem: „Aux Héros Belges — la 1-re Division Blindée Polonaise", był symbolem braterstwa broni z narodem, którego monarchowie posiadają najwyższe polskie odznaczenia wojenne, nadane im jeszcze przez Naczelnika Państwa, marszałka Józefa Piłsudskiego.

O godz. 14-ej Dowódca Dywizji przyjęty został przez Księcia Karola, Regenta Belgii, na dłuższej audiencji, w ciągu której Książe Regent złożył słowa gorącego podziękowania dla Dywizji, za jej bohaterski udział w walkach o oswobodzenie Belgii. Po południu odbyło się w gmachu poselstwa Rzeczypospolitej przyjęcie dla przedstawicieli prasy belgijskiej oraz społeczeństwa miejscowego i Polonii. Spotkanie to pozwoliło licznie reprezentowanej prasie belgijskiej zapoznać się obszernie z przebiegiem walk 1. Dywizji Pancernej na terenie Belgii i docenić rozmiary wkładu żołnierza polskiego w oswobodzeniu tego kraju. Jeszcze tego samego dnia prasa stolicy belgijskiej zamieściła obszerne artykuły, omawiające znaczenie walk Dywizji, a liczne zdjęcia z uroczystości składania wieńca na grobie Nieznanego Żołnierza, umieszczone przez dzienniki brukselskie wywołały ogólne zainteresowanie.

FRASZKI NIE-POLITYCZNE

UNIWERSALNY SNIPER

Raz sniper z drzewa strzelał, ukryty wysoko.
Kogo tylko zobaczył, zaraz brał na oko.
Dwaj nasi nań czyhają, schowani gdzieś w rowie.
„Przyciśnie go — to zejdzie" — tak z nich jeden powie.
„A ja myślę inaczej — odparł głos ponury —
Nie zejdzie! Bowiem on to także robi z góry!"

KAŻDY WALCZY JAK UMIE

Kolega nasz z Holandii spotyka w Londynie
rodaka, który biada: „Ach, kiedy to minie?!
Ja tu w walce trwam wiecznej o wolność, dla sprawy
wszystkie siły wytężam! A co pan łaskawy?
Jak tam było w Normandii?" — Odparł: „Jak na wojnie.
Trochę się postrzelało. Na ogół — spokojnie".

STARSZEŃSTWO

Zadzwonił do dowództwa ktoś wczesnego rana.
„Kto mówi?" — „Tu ordynans pana kapitana".
„Może jest tam kto starszy?" — Wnet odpowiedź skora:
„Już podchodzi!" — „Kto taki?" — „Ordynans majora!"

FRASZKA

Wyszedł z bramy u boku nadobnej dzieweczki,
wtem dzieweczka kichnęła wdzięcznie do chusteczki.
Że Polak jest uprzejmy, więc rzekł jej te słowa:
„Obyś mi tylko, dziewczę, była zdrowa!"

(Or-Si)

NAD MOZĄ

W S T Ę P

Po ruchliwym, obfitującym w powodzenia i straty okresie walk, zakończonym opanowaniem Moerdijk, Dywizja pozostająca nadal w składzie 1. Korpusu Brytyjskiego (Lt. Gen. Crocker) i 1. Armii Kanadyjskiej (Gen. Crerar) zatrzymała się nad Mozą, dozorując ją na odcinku około 25 km. Jej lewym sąsiadem był 18. Kanad. Pułk Sam. Panc., na prawo stała towarzyszka dotychczasowych walk — 4. Kanadyjska Dywizja Pancerna. W tym czasie gros 21. Grupy Armii przygotowywało się do następnej, poważnej rozprawy mającej na celu zlikwidowanie sił nieprzyjacielskich pomiędzy Mozą a Renem.

Ze względu na raczej bierny charakter tej części frontu oraz palącą potrzebę uzupełnienia strat, odpoczynku i szkolenia Dywizji, niezbędne tylko siły, dozorowały rzekę nie dopuszczając do przenikania patroli i agentów niemieckich, główny zaś nacisk został położony na możliwie szybki powrót oddziałów do ich pełnej wartości bojowej.

Do połowy grudnia panował względny spokój, przerywany wymianą ognia artylerii, moździerzy i broni maszynowej oraz wypadami kilku patroli nieprzyjaciela. Wzrastało tylko nasilenie V 1, które coraz dotkliwiej niepokoiły Antwerpię i jej okolice.

W dniu 16 grudnia ruszyła poprzez Ardeny kontrofensywa Rundstedt'a. Jej coraz szybszy postęp zagrażający Brukseli i Antwerpii odczuła również i 1. Dywizja Pancerna. W wyniku przegrupowań 4. Kanadyjskiej Dywizji Pancernej została wycofana w dniu 21 grudnia do odwodu 1. Korpusu. Jej zadanie przejęła 1. Dywizja Pancerna wzmocniona 47. RMT Commando i Kompania 1315 pułku RAF, rozszerzając swój odcinek do 50 km. Piechota, pułki artylerii ppanc. i plot. oraz część Oddziałów panc. obsadziły rzekę pozostając w stałej walce ogniowej oraz likwidacji częstych patroli niemieckich. Gros 10. Brygady zostało nastawione na uderzenie w terenie dogodnym do działania broni pancernej w wypadku sforsowania rzeki

Coraz poważniej rysujące się zagrożenie uderzenia nieprzyjaciela z ewentualnością działania spadochroniarzy postawiło całą Dywizję w stan ostrego pogotowia bojowego w okresie Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku 1945.

W lewej części ówczesnego odcinka dozorowania Dywizji, Moza wraz z przebiegającym na południe od niej szerokim kanałem tworzy podłużną wyspę, na której znajduje się mały porcik Kapelsche Veer. Miejsce to doskonale przystosowane do obrony stanowiło bazę wypadową patroli niemieckich.

W pierwszych dniach stycznia 9. Baon Strzelców Flandryjskich przy silnym wsparciu artylerii usiłował zlikwidować obsadę wyspy. Złe warunki atmosferyczne przy doskonale zorganizowanej obronie nieprzyjaciela uniemożliwiły wykonanie tego zadania. Flandryjczycy wycofali się z poważnymi stratami. Ponieważ wyspa ta leżała na kierunku najbardziej prawdopodobnego uderzenia nieprzyjaciela i stanowiła pewnego rodzaju przedmoście, Dowódca Korpusu nakazał oczyszczenie jej. Dwukrotnie jeszcze zorganizowane były natarcia na Kapelsche Veer. W tydzień po akcji 9. Baonu, również bezskuteczne i z dużymi stratami przeprowadzone zostało uderzenie Komandosów Brytyjskich (47 RM. Commando). Ostatecznie Brygada Strzelców 4. Kanadyjskiej Dywizji Pancernej, która w dniu

UWAGA: patrz mapa po str. 278.

8 stycznia ponownie objęła swój dawny odcinek dozorowania, zlikwidowała pod koniec stycznia obsadę wyspy w kilkudniowej, ciężkiej walce oraz przy ogromnym zużyciu amunicji artyleryjskiej.

Planowana przez marsz. Montgomery na jesieni 1944 roku akcja oczyszczająca zachodni brzeg Renu ruszyła w początkach lutego. W drugiej połowie tego miesiąca ponownie została zabrana sąsiadka 1. Dywizji Pancernej — 4. Kanadyjska Dywizja Pancerna, by wziąć udział w likwidacji nieprzyjaciela broniącego Reichswald'u. Spowodowało to nowe przesunięcie Polskiej Dywizji. Dla obsady dawnego prawie pięćdziesięciokilometrowego odcinka podporządkowane jej zostało 41. (RM) Commando. Trwało to do 1 marca, kiedy Oddział ten wrócił do swej organizacyjnej jednostki 116. Bryg. Komandosów, która stopniowo przejęła dawne zadanie 4. Kanadyjskiej Dywizji Pancernej, pozostawiając 1. Dywizji Pancernej 16 kilometrowy odcinek do końca jej pobytu w południowej Holandii. Ostatni miesiąc postoju nad Mozą poświęcony został intensywnemu szkoleniu i przygotowaniu do dalszych działań.

Przekroczenie Renu pod koniec marca przez oddziały 21. Grupy Armii, zmiana dowództwa w dniu 1 kwietnia (Netherland District — d-ca Maj. Gen. Galloway) zaczęły niepokoić żołnierzy Dywizji oczekujących na rozkaz wzięcia czynnego udziału w zakończeniu wojny z Niemcami. Rozkaz podporządkowujący Dywizję Lt. Gen. Simonds'owi d-cy 2. Kanadyjskiego Korpusu i nakazujący koncentrację na południowy-zachód od Hengelo uspokoił te obawy. W dniach 6 — 8 kwietnia Dywizja ruszyła do nakazanego rejonu.

W okresie pięciomiesięcznego postoju nad Mozą Dywizja straciła w zabitych, rannych i zaginionych 16 oficerów i 309 szereg., biorąc do niewoli 51 jeńców. Przeciwnikami jej były kolejno zmieniające się oddziały 711. i 712. Dyw. Piech., 6 Dyw. Spad. oraz kombinowane oddziały resztek dywizji SS i Wiking, policji, marynarzy i t.p.

W tym czasie wizytowali Dywizję gen. Kopański, marsz. Montgomery, gen. Eisenhower, gen. Crerar i inni.

Walki oswabadzające oraz długi pobyt Dywizji na terenie Holandii zadzierzgnęły silne więzy przyjaźni z miejscową ludnością, która wyraziła swą wdzięczność nadaniem honorowego obywatelstwa miasta Bredy żołnierzom 1. Dywizji Pancernej.

Dozorując i broniąc odcinka rzeki Mozy Dywizja opierała swoje zaopatrzenie i naprawy na Rejonie Administracyjnym pozostającym stale w mieście Breda — Ginneken.

Praca służb Dywizji była znacznie mniej uciążliwa niż w poprzednich okresach. Przyczyniały się do tego małe odległości oraz statyczny charakter walk, które tylko w styczniu, w czasie likwidacji przyczółka Kapelsche Veer na południowym brzegu Mozy, były bardziej ożywione.

Do akcji tej kompania amunicyjna oddziałów zaopatrzenia dowiozła do stanowisk ogniowych dodatkowo 435 ton amunicji artyleryjskiej t.j. 25.000 pocisków.

Służby Dywizji były w szeregu wypadkach użyte dla wsparcia służb 1. Korpusu Brytyjskiego oraz 1. Armii Kanadyjskiej oddając na ich korzyść ogółem ponad 1000 wozów — dni oraz przepowiadając naprawy sprzętu niektórych oddziałów Korpusu.

Z punktu widzenia kwatermistrzowskiego okres ten cechowała:

a) bliskość źródeł zaopatrywania i środków ewakuacji III. linii, które w niektórych wypadkach były wysunięte nawet przed II.linię,
b) uzupełnienie niektórych braków sprzętowych i uzbrojenia i usprawnienie pracy wszystkich służb,
c) ścisła i harmonijna współpraca z organami Kwat. 1. Korpusu Brytyjskiego.

W ciągu 5 miesięcy Dywizja wydała:

— żywności	— 6644 ton
— amunieji	— 2860 ton
— materiałów pędnych	— 5596 ton

Oddziały Warsztatowe naprawiły:

— czołgów	— 270
— pojazdów „A" i „B"	— 1496

Oddziały Sanitarne przyjęły 2933 chorych i rannych, z czego 1100 ewakuowano do szpitali.

KALENDARZ DZIAŁAŃ DYWIZJI

9. XI — 10.XI. Dywizja objęła dozorowanie rzeki Mozy na odcinku 25 km od Moerdijk do Raamsdonk w ramach 1. Korp. Bryt. Lewy sąsiad 18. Kanad. Pułk Sam. Panc., prawy — 4. Kanad. Dyw. Panc. Pododcinek lewy dozorowania obsadziła 3. Bryg. Strz. (Moerdijk — Lage Zwaluwe) wzmocniona kolejno zmieniającym się co tydzień pułkiem pancernym, prawy — 10. Bryg. Kaw. Panc. bez pułku panc. Kwatery Główne Dywizji i Brygad w mieście Breda. Oddziały rozmieszczone załogami w miejscowościach. Dozorowanie oparte na patrolowaniu i obserwacji przy współpracy z Holenderską Armią Krajową. Odpoczynek, przygotowania do szkolenia uzupełnień.

11.XI. Uroczysty obchód Święta Niepodległości w Bredzie przy udziale przedstawicieli wojska Brytyjskiego i miejscowej ludności.

Burmistrz miasta Bredy nadał obywatelstwo honorowe Dowódcy Dywizji gen. Maczkowi i całej Dywizji.

12.XI. — 18.XII. Dozorowanie pododcinka 3. Bryg. Strz. pełnił jeden co 8 dni zmieniany baon wzmocniony szwadronem pancernym i plut. sap.

Pododcinek 10. Bryg. Kaw. Panc. dozorował 10. P. Drag. wzmocniony wymieniającymi się dwoma szwadronami panc. W połowie listopada do służby na odcinku prawym został przydzielony dyon 1. P.A.Plot.

Saperzy Dywizji rozbrajali teren i naprawiali komunikacje. Pozostałe oddziały uzupełniały się i szkoliły.

Oba pułki A. D. na stanowiskach jako bezpośrednie wsparcie pododcinków ostrzeliwują nieprzyjaciela po przeciwnej stronie rzeki.

Sporadyczny ogień artylerii i moździerzy npla, który

się wzmógł w drugiej połowie listopada, przycichł w początkach grudnia.

W dniu 25 listopada Marsz. Montgomery wizytował Dywizję. Został on dekorowany przez Dowódcę Dywizji Krzyżem Virtuti Militari oraz sam dekorował oficerów i szeregowych Dywizji odznaczeniami brytyjskimi.

W dniu 29 listopada odbyła się inspekcja Dywizji przez Naczelnego Dowódcę Gen. Eisenhower'a.

19.XII. Zarządzenie wzmożonej czujności z racji możliwości dywersji spadochronowej npla (okres kontrofensywy Rundstedta).

20.XII. — 21.XII. Dywizja bez 24. P.Uł. wzmocniona kompanią 1315 P.R.A.F., 19. Bryt. P.A.M. i trzema bateriami art. ciężkiej (Bryt.) objęła dozorowanie rzeki Mozy od 4. Kanad. Dyw. Panc. oddając dotychczasowy swój odcinek lewemu sąsiadowi (18. Kanad. Pułk. Sam. Panc.) Prawym jej sąsiadem był 7. P. Rozpoznawczy z 2. Kanad. Korpusu. Ponad 50 km odcinek dozorowania obejmował na zach. m. Raamsdonk na wsch. m. Lithoijen (16 km płn.-wsch. s'Hertogenbosch). Pododcinek lewy do m. Herpt (1 km wsch. Heusden) włącznie objęła 3. Bryg. Strz. bez 9. B.S. wzmocniona kompanią 1315. P.R.A.F. i 1. P. Panc. — bezp. wsparcie 2. P.A.M. Prawy pododcinek ubezpieczała 10. Bryg. Kaw. Panc. bez dwóch pułków panc. (24. P. Uł. i 1. P. Panc.) wzmocniona 9. B.S. i dyonem 1. P.A.Plot., bezp. wsparcie 1. P.A.M.

10. P.S.K. miejscowość Udenhout i 1. P.A.Ppanc w dotychczasowym m.p. Breda — odwód Dowódcy Dywizji.

24. P. Uł. w dyspozycji Dowódcy 1. Korpusu.

Kwatera Główna Dywizji m. Heikant (3 km płd. s'Hertogenbosch).

22.XII. — 26.XII. Szereg przegrupowań podyktowanych sytuacją ogólną (postęp kontrofensywy Rundstedt'a) i aktywnością patroli npla, penetrujących w głąb własnego ugrupowania, a przede wszystkim długością odcinka dozorowania. Podporządkowany został Dowódcy Dywizji 47. Bryt. R.M. Commando, a wycofana kompania 1315 P.R.A.F. 10. Bryg. Kaw. Panc. (bez 24. P.Uł., wzmocniona 10. P.S.K. bez szwadronu) została wycofana do odwodu z zadaniem zlikwidowania ewentualnego uderzenia npla całością lub pojedyńczymi pułkami, z których każdy wzmocniony został szwadronem dragonów.

1. P.Panc. — Dongen, 2. P.Panc. — Helvoirt, 10. P.S.K. —Udenhout. Nieco rozszerzony jeszcze na zach. odcinek Dywizji do kanału Wilhelminy podzielony został na trzy pododcinki:

zachodni — 47. Bryt. R.M. Commando.

środkowy — (dotychczasowy 3. Bryg. Strz. roz-

szerzony na wsch. do m. Bokhoven) — 3. Bryg. Strz. wzmocniona szwadronem 10. P.S.K.

wschodni — 1. P.A. Ppanc. — dyon plot.

Saperzy Dywizji zakładają pola minowe na płd. od rzeki Mozy oraz przygotowują mosty do zniszczenia.

Kwat. Główna Dywizji — m. Heuneind (4 km płn.-wsch. Tilburg).

27.XII. — 30.XII. Częsta wymiana ognia artylerii, moździerzy i broni maszynowej. Intensywna obustronna akcja patrolowa zwłaszcza w lewej części podocinka 3. Bryg. Strz., gdzie Niemcy wykorzystywali wyspę Kapelsche Veer, utworzoną przez rzekę Mozę i szeroki kanał Oude Maasje przebiegający na płd. od niej, do wypadów w głąb ugrupowania Dywizji. Dwukrotnie wysyłane tam własne patrole zostały odrzucone. Teren, zwłaszcza w pobliżu rzeki zalany, utrudniał poruszanie się, ponadto zapanował okres dość silnych mrozów. Saperzy Dywizji organizowali forsowanie kanału Oude Maasje i przeprawę na nim.

31.XII. 9. B.S. (bez dwóch komp.) wzmocniony moździerzami, miotaczami płomieni i ogniem trzech pułków artylerii starał się zlikwidować nocnym natarciem obsadę wyspy. Natarcie to zostało ze stratami odrzucone, wykazując dobrze zorganizowaną obronę w wysokim wale dominującym nad b. trudnym do ruchu, płaskim i pociętym kanałami terenie.

1945 — 1.I. — 4.I. Wymiana obustronna ogni wszystkich kalibrów i wycieczek patroli przez rzekę.

24. P. Uł. wrócił pod rozkazy Dowódcy Dywizji obejmując zadanie i miejsce postoju po 1. P.Panc., który przechodzi na miejsce 10. P.S.K. oddanego Dowódcy 3. Bryg. Strz. do Kaatsheuvel.

Przygotowanie do operacji „Trojan" zarządzonej przez Dowódcę 1. Korpusu i mającej na celu stwierdzenie sił i źródeł ognia npla na środkowej części odcinka Dywizji (zasłona dymna 13 km., dwa patrole oficerskie, artyleria Dywizji i Korpusu).

5.I. Wykonanie operacji „Trojan". Z racji zwiania zasłony dymnej przez wiatr, patrole znalazły się pod bliskim ogniem ponosząc duże straty i nieprzekraczając wału ziemnego na płn. brzegu rzeki. Wykryto szereg stanowisk broni maszynowej i ppanc. npla. Artyleria npla nie odzywała się prawie.

6.I. — 7.I. Wzmocniony 9.B.S. przy wsparciu dwóch pułków art. lekkiej, czterech ciężkich i dwóch baterii moździerzy wielolufowych, po godzinnym przygotowaniu artyleryjskim wykonał natarcie na Kapelsche Veer przed świtem dnia 7 stycznia. O świcie natarcie zaległo pod silnym ogniem. Wznowione o godz. 18.00 zostało odrzucone.

8.I. — 9.I. Prawą część odcinka Dywizji obejmuje 4. Kanad. Dyw. Panc. do m. Besoijen (płn. Tilburg). Pozostały 15-to kilometrowy odcinek Dywizji został powierzony Dowódcy 10. Bryg. Kaw. Panc. w składzie: 10. Bryg. Kaw. Panc. bez 1. P. Panc. wzmocniona wymieniającym się co 8 dni baonem strzelców oraz 11. Komp. Sap. W takich samych okresach ma być luzowany 10. P. Drag. przez Pułki Plot i Ppanc. Dowództwo Brygady lokuje się w Dongen.

1. P. Panc. wzmocniony szwadronem dragonów odszedł do m. Halsteren na lewy skraj obrony Korpusu pod rozkazy Dowódcy 62. Bryt. Pułku Art. Ppanc.

Pozostałe oddziały Dywizji wraz z Kwaterą Główną wracają do Bredy i okolic celem wznowienia przerwanego szkolenia. Wszystkie oddziały przydzielone za wyjątkiem 47. Bryt. R.M. Commando odeszły z Dywizji.

10.I. — 31.I. Obustronna działalność patroli i rzadka wymiana ognia przede wszystkim moździerzy ze strony npla.

Natarcie przeprowadzone w nocy z 13 na 14 przez 47. Bryt. R.M. Commando przy wsparciu artylerii Korpusu, 1. Polskiej i 4. Kanad. Dyw. Panc. na Kapelsche Veer nie powiodło się. Oddział ten następnie odszedł ze składu Dywizji. Forsowanie i przeprawę organizowali saperzy Dywizji.

Dwa dyony Spitfire'ów bombardowały w dniu 16 stycznia Kapelsche Veer.

Ze względu na stwierdzenie elementów dywizji spadochronowej npla, został wydany rozkaz do zlikwidowania ewentualnej dywersji powietrznej npla. W wypadku tym Dywizja oddaje do dyspozycji Dowódcy Korpusu 10. P.S.K. i baon strzelców.

Natarcie rozpoczęte w dn. 26 przez brygadę piechoty z 4. Kanad. Dyw. Panc. na Kapelsche Veer przy wsparciu artylerii Korpusu i obu Dywizji zlikwidowało wreszcie w dniu 31 I. obsadę wyspy, niszcząc załogę npla przy dużych własnych stratach.

1.II. 41. Bryt. R.M. Commando został przydzielony do Dywizji. Lewy sąsiad zmienił się. 11. Pułk Huzarów zluzował 18. Kanad. Pułk Sam. Panc.

2.II. — 18.II. Akcja patrolowa wykonywana przez komandosów i wymiana ogni.

19.II. — 21.II. Przegrupowanie Dywizji wzmocnionej 41. Bryt. R.M. Commando, trzema pułkami artylerii i kompanią saperów celem zluzowania sąsiedniej 4. Kanad. Dyw. Panc. przy zachowaniu swego dotychczasowego odcinka (łącznie ponad 50 km).

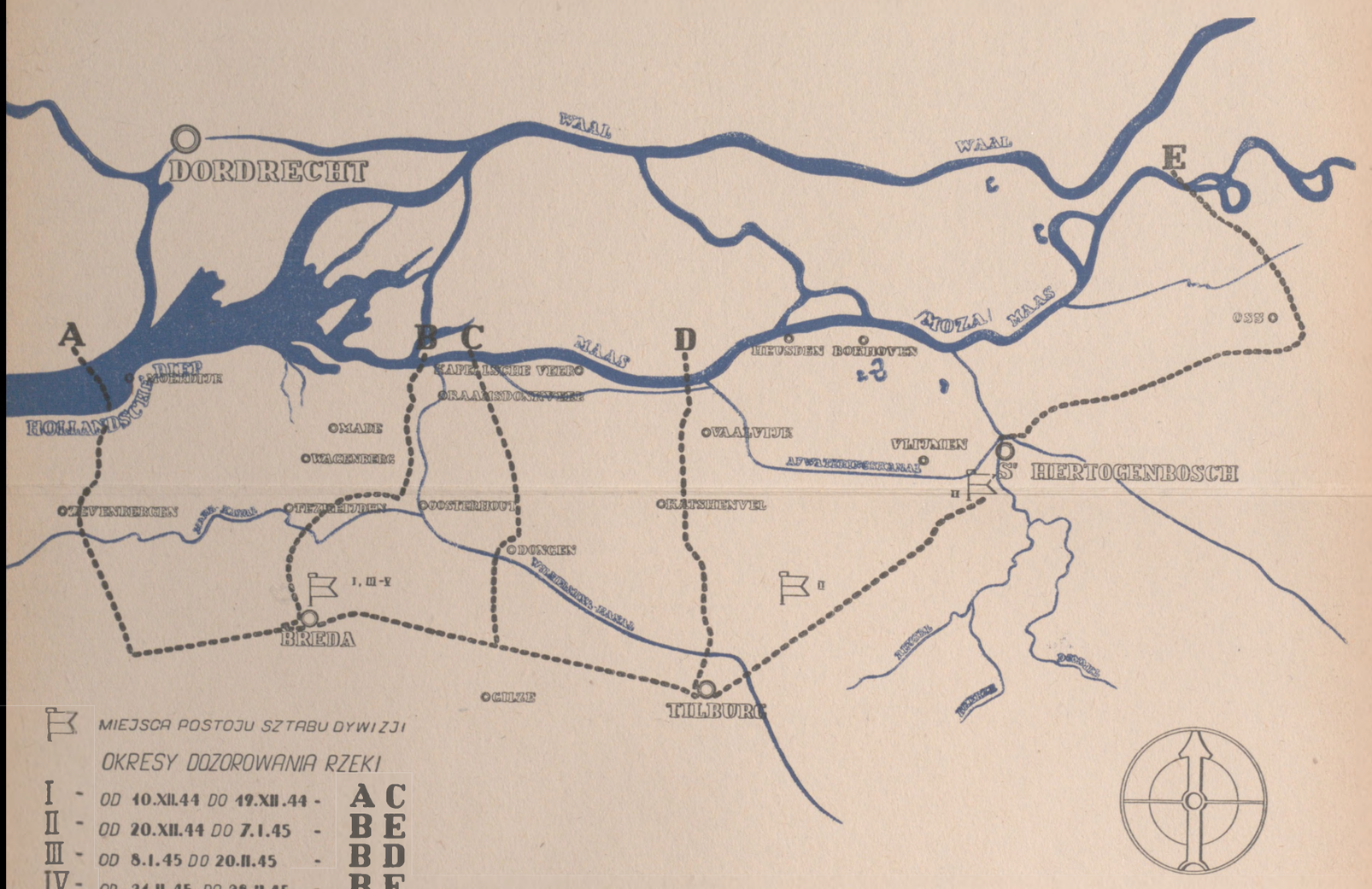

MIEJSCA POSTOJU SZTABU DYWIZJI

OKRESY DOZOROWANIA RZEKI

I -	OD 10.XII.44 DO 19.XII.44 -	A	C
II -	OD 20.XII.44 DO 7.I.45 -	B	E
III -	OD 8.I.45 DO 20.II.45 -	B	D
IV -	OD 21.II.45 DO 28.II.45 -	B	E
V -	OD 1.III.45 DO 7.IV.45 -	B	D

Lewy pododcinek obrony do m. Baardwijk (płn. Tilburg) objęła 10. Bryg. Kaw. Panc. bez 2. P.Panc. (1. P.Panc. wrócił z Halsteren) wzmocniona 9. B.S. i dyonem 1. P.A.Plot., bezpośrednie wsparcie — wzmocniony 1. P.A.M.

Prawy pododcinek obrony — 3. Bryg. Strz. bez dwóch baonów wzmocniona 2. P. Panc., 41. Bryt. R.M. Commando. 8. P.A. Plot. Kanad., bezpośrednie wsparcie — grupa dwupułkowa artylerii lekkiej.

W odwodzie Dowódcy Dywizji — 10. P.S.K. i B.S.P.

22.II. — 24.II. Sytuacja bez zmian.

25.II. 1. P.A. Plot. bez dyonu luzuje w ramach zgrupowania 3. Bryg. Strz. 8. P.A. Plot. Kanad., który odchodzi.

26.II. — 1.III. Dywizja wraca do poprzedniego odcinka obrony rzeki (15 km — 8 — 9 styczeń) oddając prawą część dotychczasowego odcinka 116. (R.M.) Bryg. Piech.

Dywizja oddaje również wszystkie przydzielone oddziały za wyjątkiem 68. P.A.C., ponadto wzmacnia 116. R.M. Bryg. Piech. — 2. P.Panc., 1. P.A.Plot. i jednym dyonem 2. P.A.M. Obronę nowego odcinka organizuje Dowódca 10. Bryg. Kaw. Panc. mając swoją Brygadę bez 1. P.Panc. wzmocnioną 9. B.S. 1. P.A. Ppanc. przy bezpośrednim wsparciu wzmocnionego 1. P.A.M.

Ponadto w okresach 8-dniowych następuje wymiana baonów strzeleckich oraz pułków pancernych wraz z 10. P.S.K. i 1. P.A.Ppanc. na służbie dozorowania rzeki.

2.III. — 31.III. Okres spokojny.

W połowie miesiąca dyon 4. P.A.C. zluzował 68. P.A.C. Dwa dyony 1. P.A.Ppanc. zluzowały 1. P.A.Plot., który przeszedł na odpoczynek i szkolenie (udział w zestrzeliwaniu bomb latających V 1).

W dniu 25 gen. Chariere Z-ca Szefa Sztabu Głównego Francuskiego dekorował żołnierzy Dywizji odznaczeniami francuskimi. Lewy sąsiad 11. Pułk Huzarów zluzowany został przez Pułk Gwardii Brytyjskiej (Household Cavalry).

1.IV. Oddziały broniące rzeki Mozy przeszły pod rozkazy maj. gen. Galloway Dowódcy Holenderskiego Dystryktu po odejściu Dowództwa 1. Bryt. Korpusu.

Lt. Gen. Crocker pożegnał Dywizję.

3.IV. 3. Bryg. Strz. przejęła obronę rzeki od 10. Bryg. Kaw. Panc.

4.IV. — 5.IV. Lekkie ożywienie na odcinku obrony. Silniejsza wymiana strzałów po stronie npla.

„NIEWOJUJĄCE WOJOWANIE"

I.

CZESIEK jest majorem i dowódcą Dyonu. Sztab jego mieści się na głębokich tyłach, w starym, odrzewionym, holenderskim *homie*. Ciche i senne to odludzie leży za s'Hertogenbosch. W s'Hertogenbosch odczuwa się jeszcze powiew i grozę wojny, bo nad miastem plączą się latające bomby, a od Mozy zawiewa niemieckimi strzałami *spandau'ów* i wybuchami moździerzy. Tu zaplącze się czasem pocisk artyleryjski lub zagubiony, niemiecki patrol. S'Hertogenbosch więc pachnie jeszcze frontem — ale wszystko co leży od miasta na południe ma posmak sielanki.

Ilekroć podnoszę słuchawkę, by wywołać Czesia, który wybrał sobie skomplikowany i strasznie bojowy pseudonim, uderza mnie najpierw miła muzyka. W słuchawce bulgocą melodyjne, spokojne tony obejmując moją wyobraźnię atmosferą zacisza i dosytu.

Czesio nie od razu zjawia się. Jest dowódcą kilku placówek, więc przed każdą rozmową telefoniczną robi głęboki oddech, jak śpiewaczka, która odśpiewała już kilka arii i ma jeszcze jedną, najważniejszą tego wieczoru. W oddechu tym Czesio daje do zrozumienia, że miał właśnie bardzo gorący czas, że on mimo odległości trzyma rękę na pulsie frontu i liczy godziny nocy, jak lekarz, by wybadać czy pacjent-odcinek będzie miał dziś gorączkę, czy nie.

Podnosząc słuchawkę Czesio rzuca mi pytanie. Nie muszę zbyt wysilać się, gdyż pytanie to jest już dla mnie stereotypowe w modulacji i treści, dla niego jednak zawiera patos starożytnego *„Veni, Vidi, Vici"*, gdyż obejmuje swoją powagą grząski nasz odcinek nad Mozą, nad którym unosi się czujny duch Czesia, płynący ku nam wylotami słuchawek.

— Strzelają? — pyta Czesio, a głos jego przebywszy kilka kilometrów w ciasnym, izolowanym drucie zachowuje jeszcze takie brzmienie, jakby pociski niemieckie, którymi okładają od godziny mój bunkier, padały w sam środek kwatery Czesia.

Ponieważ w pytaniu mieści się już odpowiedź — więc nie odpowiadam. Raczej w tym krótkim momencie staram się zbadać, co dzieje się z tamtej strony. Słyszę lekki dźwięk szkła i przygłuszony łoskot, podobny do trzasku moździerza — to strzela korek od szampana... potem szum zbliżony do syku rakiety, którą oświetlamy przedpole — to płynie wzbu-



Na zimowej placówce

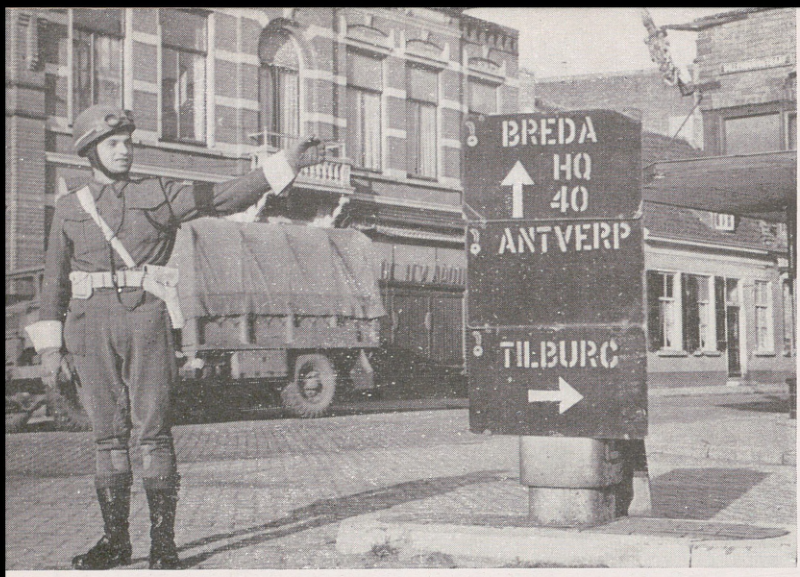

Regulacja ruchu w Bredzie

Fot. M. Walentynowicz

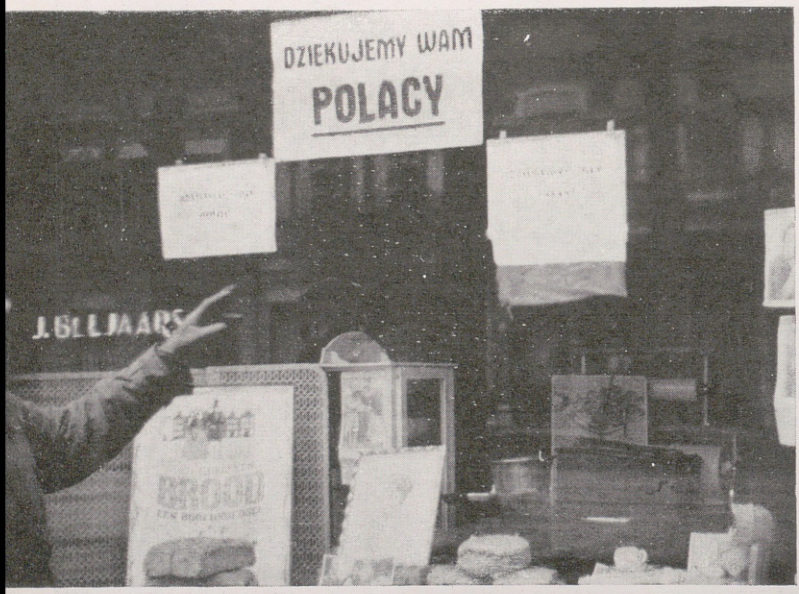

We wszystkich witrynach witają nas polskie napisy

Fot. M. Walentynowicz

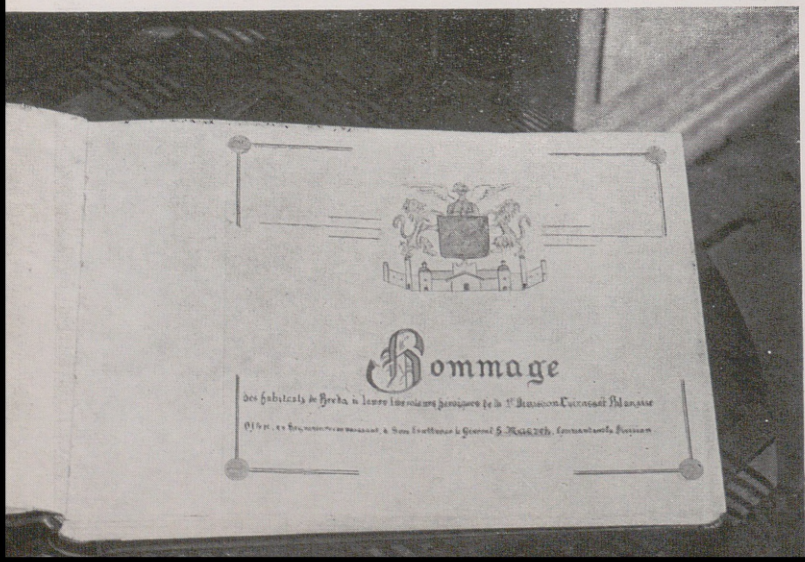

Album ofiarowany przez Bredę 1. Dywizji Pancernej

Fot. M. Walentynowicz



Jeden z licznych cmentarzy na naszym szlaku (Ginneken)



Patrol nad Mozą
Fot. M. Walentynowicz



s'Hertogenbosch
Fot. M. Walentynowicz



Walczyliśmy także
z wiatrakami
Fot. M. Walentynowicz

rzony szampan ... i ostatni, najprzykrzejszy moment, to miarowy bulgot i głośne mlaskanie językiem. Teraz już wiem! To Henio, który nie uznaje form towarzyskich przy kieliszku, daje w ten sposób wyraz swemu zadowoleniu.

Odkładam słuchawkę i chwytam kalendarz, by sprawdzić który to z rzędu dzień mojej męki! Niestety — okazuje się, że jest to dopiero pierwszy wieczór.

II.

Marek jest dowódcą pododcinka. Zapadł więc gdzieś w mroku i błocie między mną, a s'Hertogenbosch. Jego kwaterę wyobrażam sobie zawsze jak jakieś monstrualne ucho, które łowi wszystkie szmery nad Mozą i przekazuje nerwami sieci telefonicznej do Czesia. Jednym z tych małych, nerwowych punktów, dostarczających materiału frontowego, jest mój bunkier.

Żałuję bardzo Marka, że musi grzebać się w błocie i deszczu, gdy ja tu mam wygodny bunkier. Na jego kwaterze pełno jest obserwatorów polskich i angielskich, jacyś komandosi, skomplikowana służba łącznościowa i kordon czołgów otaczający murem chińskim kwaterę Marka. Ma on wprawdzie mniej krwiożercze zawołanie, ale kładę to na karb nieznajomości literatury bojowej z okresu „szczenięcych lat". Dlatego też kiedy rozmawiam z Markiem wydaje mi się, że kwatera jego leży po niemieckiej stronie, otoczona ze wszystkich stron oddziałami SS-manów, którzy lada chwila rzucą się z nożami w zębach na ten kruchy i zagubiony gdzieś w nocy punkt.

Czasem ucho moje łowi jakieś uboczne, szybko zacierane szepty i odgłosy wystrzałów. Dochodzą one do mnie mocno zniekształcone i raczej podobne do strzału korka przy otwieraniu butelki. Ale wiem, że to jest złudzenie. Sam Marek to potwierdza. — Obłożyli nas moździerzem jednolufowym — mówi — o ile strzał był pojedyńczy. Gdy strzałów jest kilka Marek podniesionym głosem woła: — Słyszałeś — to moździerze wielolufowe! — Dziwię się, że tak dokładnie Niemcy wstrzelali się w jego kwaterę, gdy u nas nad Mozą panuje cisza, ale przypisuję to swojemu szczęściu.

— Niemiec strzela, Pan Bóg kule nosi — powtarzam — i jestem szczęśliwy, że mogę siedzieć jak u Pana Boga za piecem w grząskim wale ziemi, patrzeć na brudną i leniwą wodę, za którą ukryci w przęsłach mostu *snajperzy* męczą się, bzykając nam koło uszu bezustannie i bezskutecznie.

III.

Na dworze jest zimno i brak księżyca. Księżyc wprawdzie wkrótce ma się ukazać, ale rozgoryczona załoga bunkra nic nie chce o tym wiedzieć. Poza tym nie znają się na kalendarzu.

Przed bunkrem szumi rzeka. Duża rzeka — więc chyba Moza. Rzeka, mimo że jest korytem napełnionym wodą, w której usiłuje odbić się nad

ranem księżyc, nie ma nic z piękna zaobserwowanego u niej przez ludzi, którzy kiedyś pragnęli okłamać świat — zwanych pobłażliwie romantykami.

Bunkier, mimo grubych ścian jest zimny. Wybudowany był dla obrony mostu przez Holendrów, którzy odstąpili go na mieszkanie Niemcom. Niemcy umeblowali go tak wytwornie, na ile pozwalała na to zamożność holenderska i w ostatniej chwili podarowali to cacko Kanadyjczykom. Kanadyjczycy dar ten potraktowali po kowbojsku i szybko się z niego wynieśli, gdyż bunkier w gruncie rzeczy był tworem spartańskiej natury. Polacy, znając powiastkę o Syzyfie, zignorowali wnętrze bunkra, ale zamieszkali w nim. W tym okresie wnętrze to przypominało Pompeję po jej odkryciu. Polacy, dzięki właściwemu im nadapetytowi, doprowadzili wkrótce ten chaos do perfekcji.

W momencie obecnym całość wygląda w ten sposób: Scena, na której życie załogi toczy swoją akcję ma kształt czarnej nory. Postacią centralną, zwracającą na siebie uwagę lokatorów, to wspaniały, szary kloc-Herkules, podtrzymujący strop w jednym punkcie. Poza tym strop jest mokry i przechodzi w pewnym momencie w nieokreśloną płaszczyznę, tworząc jedną ze ścian. Trzy pozostałe ściany są tam, gdzie nie umieściłby ich człowiek myślący logicznie.

Stół (bo jest i stół) wygląda jak stół, ale nie spełnia swojej roli. Służy do przyciskania wieczek otwartych konserw, chroniąc zawartość puszek przed nosami wścibskich szczurów i zjednoczonych ze szczurami kotów. Świeczki natomiast ustawia się na zadartych nogach stołu.

Mała kuchenka jest kuchenką, gdy się gotuje na niej zupę, stolikiem podczas posiłku i kredensem podczas sjesty; stale zaś spełnia rolę flakonu, w którym ktoś nie znający się na zapachach przechowuje benzynę.

Jest tu jeszcze piecyk naftowy, krzesło o takim wyglądzie jakby część ciała, którą się na nim umieszcza była piłą; worek mąki, z której ktoś nieostrożnie zdjął worek, sól, suchary i t.p.

Ponieważ brak okna więc wyrysowano je na ścianie. Niestety, dym nie chce przez nie wychodzić. Może i słusznie, bo zdradziłby stanowiska. Przy tej wygodzie jest jednak ta niewygoda, że dym błąka się po bunkrze razem z jego mieszkańcami, których jest aż czterech. Ruch ten jest wprawdzie niepotrzebny, ale konieczny.

Każdy niepotrzebny ruch u nas wywołuje niepotrzebny odruch z tamtej strony. Wtedy słychać strzelaninę. Strzelanina jest krótka i ma za zadanie przenieść pociski z jednej strony Mozy na drugą i na odwrót. Chodzi też o wywołanie hałasu.

Po strzelaninie jest cisza. Można ją nazwać ciszą złowrogą lub dzwoniącą w uszach, zależnie od tego, kto jakie przenośnie lubi. Podczas ciszy my

łykamy kroplę rumu. Co łykają tamci, z tamtej strony — nie wiemy. Może ślinę!

Nad ranem załoga bunkra schodzi ze stanowisk nocnych, by zająć stanowiska dzienne. W dzień świeci już słońce i nikt nie strzela, bo wszystko i tak widać. Żołnierze jednak leżą na stanowiskach na „wszelki wypadek". Jednak „wszelki wypadek" nie leży w naszym programie.

Golimy się, jemy, śpiewamy, patrzymy na rzekę, która ma w sobie coś z nieuchwytnego piękna, tak trafnie opisanego przez ludzi zwanych pobłażliwie romantykami — i cieszymy się z tej ciasnej, niemal z fantasmagorii wyjętej, jaskini. Bo jest słońce i dzień dzwoniący cichym powietrzem i błękit wpadający nam przez źrenice aż do serca, barwiąc nasze myśli i słowa błękitną radością.

A bunkier? Bunkier zaczaił się i czeka, a gdy przyjdzie noc pokaże nam znowu swe właściwe oblicze.

WACŁAW IWANIUK, ppor.
1. Pułk Artylerii Przeciwlotniczej

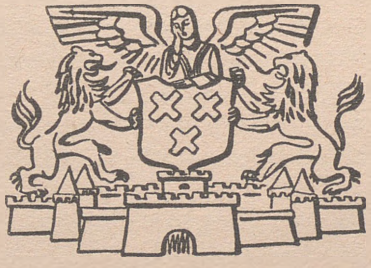

FRASZKI

Już mu gładko z nią idzie, więc już przy niej klęka...
Wtem, błądząc z namiętności, trafia jego ręka
na białą tasiemeczkę... Wstrzymaj swe wyczyny!
Widzisz wszak białą taśmę! Dalej będą miny!

* * *

Raz mówiono wśród gości pewnego kasyna,
że po prostu ta wojna — to Hitlera wina.
Kapelan, zamyślony przy biesiadnym stole
rzekł: Wina? A ja, bracia, jednak koniak wolę!

(Or-Si)

W I G I L I A

W malowniczo położonym budynku, tuż nad sztucznym jeziorem okolonym przez rozłożyste świerki i sosny, mieliśmy spędzić naszą ostatnią, daj Boże, na wygnaniu wigilię. Wszędzie panował ruch i artystyczny nieład, bo czasu było mało, a jednak wilię przygotować trzeba było.

Pierwsza rzecz, to ustawienie choinki, potem nakrycie do stołu mocno już wysłużonym obrusem, no i zabicie wiejących chłodem okien. Wyrównane rzędy stojącego w rogu pokoju koniaku i innych delikatesów wódczanych wpływały kojąco na nasze zbolałe dusze i do żywej kości przemarznięte członki.

Wszystko było gotowe. Czekaliśmy tylko na gwiazdki na niebie i na naramiennikach majora, który jak zwykle w momentach dla nas ważnych, wyjechał na odprawę.

Solidarnie, szczękając zębami i spoglądając co chwila na zegarki, nasłuchiwaliśmy szumu motoru, który zwiastować miał przybycie spóźnionych gwiazdek.

— No nareszcie jest — powiedział ktoś — odchylając wiatrem wzdęty koc. Humory nasze znacznie się poprawiły, bo długie czekanie w nieopalonym pokoju nie należało do przyjemności.

— Proszę panów, niech plutony natychmiast jedzą i szykują się do drogi — rzekł wchodząc nasz wódz. — Wiem — mówił dalej, że jest to przykra wiadomość, ale ja . . .

— Niech to piorun spali — pomyślałem sobie — widząc, że cały nasz wkład pracy przygotowawczej spalił na panewce.

Ze słów dowódcy dowiedzieliśmy się, że na picie i spanie tej nocy w żadnym wypadku liczyć nie można. Zamiast uczciwej wigilii czekało nas zakładanie min na przedpolu piechoty i robienie lei na drogach wiodących do odnogi Mozy.

Niebo usiane milionami gwiazd i szczypiący w uszy silny mróz, nadawały uroku świętej nocy. Ładowano na gwałt miny, materiał wybuchowy i przyrządy do wiercenia komór.

Jechaliśmy na zgaszonych światłach poprzez wymarłe wsie holenderskie. Co chwila któraś z drużyn pozostawała w tyle by skręcić w prawo na miejsce swego zadania. Założenie min nie sprawiało specjalnego trudu. Metaliczne uderzenia żelaznych bab przerywały panującą ciszę.

Była godzina 5 nad ranem. Podjechałem *jeepem* na odcinek Czarnego, by się przekonać jak daleko już zaszedł ze swoją pracą. Drogę biegnącą

wzdłuż nasypu oświetlano co chwila flarami, co bynajmniej kojąco na moje nerwy nie wpływało. Zostawiłem wóz koło mostku i ruszyłem wzdłuż nasypu w kierunku wyspy. Przez głowę przelatywały mi ostatnie wiadomości o odważnych napadach Szwabów na nasze dowództwa w okolicznych wioskach. Przed oczyma zamajaczył mi poprzeczny nasyp okalający odnogę Mozy.

— Ej, czy, aby nie za daleko zaszedłem? Gdzie jest Czarny i jego ludzie, przecież powinni być na nasypie wzdłuż którego się posuwałem? A może już założyli miny i odeszli?

Blady strach kazał mi myśleć o chwili, w której musiałbym raz jeszcze przejść ewentualnie gniazdo minowe. Z nosem przy ziemi jak rasowy pies gończy wracałem z powrotem klepiąc „Zdrowaśki" i polecając się Opiece Boskiej.

Nie uszedłem daleko. Ostre: *Halt, Hände hoch,* zamieniło mnie w martwy słup soli, a ręce bez mojej wiedzy wyciągnęły się sztywno w górę. Z mroku wyłoniło się kilka postaci z pistoletami skierowanymi w moją stronę. Czułem, że robi mi się niesamowicie gorąco, a podpinka hełmu zaczyna mnie dusić. Czarni ludzie podeszli bliżej i serce wskoczyło mi do gardła. Buty, ich buty, wysokie, niemieckie... Szwabi. Zawirowało mi w głowie od tysiąca myśli przelatujących w ułamkach sekundy.

— Boże, żeby tylko nie strzelali... żeby tylko nie strzelali.

Pot kroplisty spływał mi z czoła. A oni jak wryci wpatrywali się we mnie.

— *Who is it?*

— A może to Anglicy? — przeleciało mi przez myśl, jak błysk brzytwy w oczach tonącego.

— Po... Pol... *Polish* — wyjąkałem dziwnie nieswoim głosem. Tak, to jednak Anglicy.

— Co tu robisz — zapytali.

— Szukam saperów, którzy tu mieli pracować —

— A tak byli tu, ale wyjechali przed pół godziną —

W dobrej już komitywie doszliśmy do mostku, gdzie wsiadłem szybko na *jeepa* cisnąc mocno na gaz. Seria ze *stena* w moim kierunku zatrzymała mnie nadzwyczaj szybko. Co jest do licha? Znowu Anglicy o umalowanych twarzach.

— *Why don't you stop?* —

Na próżno tłumaczyłem, że przecież jest za ciemno, by widzieć, że ktoś rękę podniósł. Chcąc nie chcąc musiałem pokazywać swoje papiery.

B. T., ppor.
11. Kompania Saperów

STARY TELEFONISTA



ojtek . . . wstawaj . . . służba . . .

Janek poruszył kupą koców bielejących w ciemnościach stodoły, posłuchał przez sekundę mamrotu budzącego się z ciężkich snów Wojtka i cicho stąpając na palcach zniknął za wrotami. A Wojtek półsennie szukał w ciemności bezradnymi rękami, złośliwie gdzieś w słomie ukrytych butów.

— Nie mogę to, psia krew, położyć ich zawsze na tym samym miejscu, — myślał zupełnie już rozbudzony.

W poszukiwaniach dotknął ręką leżącego obok Franka, odpoczywającego najsprawiedliwszym snem frontowego żołnierza. W tym momencie poczuł, że żałość podchodzi mu pod samo gardło, że zaczyna go dusić i męczyć, że za chwilę wyrwie się przez usta przekleństwem i że zacznie sobaczyć wszystkim: sobie i tym śpiącym i losowi i pójdzie spać, a potem niech się dzieje co chce. Już otwierał usta, już gorzkie słowa cisnęły mu się przez zęby, gdy nagle w tym samym ułamku sekundy zwrócił jego uwagę miarowy i monotonny odgłos kropel deszczu, spadających na strzechę stodoły, na pole, na działa, na całą wojnę.

— Deszcz pada — mruknął pod nosem, a centrala naturalnie w błocie. Bo cóż to kogo obchodzi, że on Wojtek Putek zmoknie. — Zmokły mi wszystkie graty na *carriersie*, mogę zmoknąć i ja. Zresztą już niedługo pójdę do kolumny, do kuchni, gdziekolwiek bądź . . . psi los z telefonami — dokończył.

Wschłuchał się uważnie w rytmiczny szum deszczu pomieszany z cichymi pomrukami śpiących i w pewnej chwili wydało mu się, jakby w matematycznie wymierzonym odgłosie kropel odróżniał równe, miarowe, w wielkiej masie kroki stąpających cieni. Nagle wyobraził sobie, że każda kropla to jakiś krok obcych ludzi, którzy podchodzą tu, korzystając z nocy, z deszczu i snu, z jego ociągania się i niechęci, że dopadną dział, przetną linie, które on budował i poderwą śpiących przedwczesną, krwawą pobudką. Szybko złapał *stena* i pobiegł w ciemność do centrali.

Antek przywitał go przyjaznym mruknięciem.

— No pośpieszyłeś się dzisiaj. Jeszcze kilka minut do pierwszej. Jutro zbudzę cię trochę później. Tu się nic nie dzieje — wskazał ręką na aparaty. Był tylko fonogram o *salvage'u*. Zawsze w nocy mają takie pomysły. Poza tym zmokłem do samych skarpetek. No, *cheriоo* — klepnął Wojtka po ramieniu.

Deszcz padał tu dokuczliwiej niż w stodole. Siepał holenderskim kapuśniakiem po skulonym Wojtkowym ciele, zaglądał do wszystkich szpar aparatu, dzwonił jakimś żałosnym szmerem po liściach, jakby litował się nad wszystkimi czuwającymi tej nocy.

— Do licha z taką pociechą — mruczał Wojtek, któremu ta czułość wydała się szyderstwem.

Opatulił się kocami, podsunął bliżej mikrofon i zaczął sobie rozmyślać conocnym zwyczajem. To był jego własny tajemniczy kątek, strzeżony zazdrośnie świat jego wspomnień i nadziei. Teraźniejszość w tych misteriach nocnych nie liczyła się. On żył tylko przeszłością i tym, co kiedyś niespodziewanie przyjdzie.

Zamykał oczy i przenosił się do swojej piekarni. Żar buchał z rozpalonych pieców, mieszał się z beztroskim śmiechem czeladników, stoły rosły dosytem białych ciast i chlebów — a on, Wojtek, z pańską miną pogwizdywał sobie i od czasu do czasu spoglądał na zawieszony na łańcuszku zegarek, bo brzęk talerzy rozstawianych w sąsiednim pokoju matczyną ręką, obwieszczał bliską porę wieczerzy.

Ten żar piekarni zaczął nagle dopiekać jego myśli ciepłem afrykańskiego słońca. Tam w nieznanych, dziwnych stronach, dziwnymi losami zagnani — matka staruszka i ojciec staruszek — też pewnie tęsknią do ciepła zagubionej w wojnie piekarni.

Zadumał się myślą o matce w Tanganice, zadumał się o jej oczach z dniem każdym smutniejszych i o włosach pewnie coraz bielszych i tylko trudno mu było w tej chwili odpowiedzieć sobie na pytanie, jaką trzeba popełnić winę, aby odbyć drogę z Kopczyniec poprzez Syberię, aż do serca Afryki. Taką samą — myślał — za którą tu muszę sterczeć na wodzie, zamiast siedzieć przy piecu.

W tej chwili dostrzegł jakimś nieznanym uczuciem, że ta Tanganika i ta woda za kołnierzem to są może przecież jakąś opłatą za szczęśliwą drogę powrotną. Myśl ta wydała mu się piękna i niezwyczajna.

Nagle odezwały się działa z lewej, później echem odpowiedziały baterie z prawej i huczał nieprzerwanie ten wrzaskliwy koncert, przelewając się nad Wojtkową głową żurawim kluczem jęczących pocisków. Wojtek nie czuł się nigdy bohaterem, w *carriersie* bez rozkazu chował głowę pod hełmem, a na nowych miejscach przezornie kopał sobie dziury. Ale pocichu podkochiwał się w tych artyleryjskich salwach, z lubością i namaszczeniem przekazywał zawsze komendy ogniowe, rozumiejąc, że od siły i stanowczości jego głosu zależy celność strzałów. Wprawdzie według jego obliczeń artyleria nasza dawno już wybić powinna resztki Niemców, a tu tymczasem

stale Szkopy w bunkrach siedzą. Ale tłumaczył to sobie holenderską pogodą i mgłami, częściowo zaś zużyciem luf i innymi mądrymi terminami, które słyszał w centrali. Nadal więc wierzył w skuteczność i niezawodność komend, które przekazywał.

— Jak się masz „Dyrektor" — przywitał go, zbliżając się do centrali wartujący dziś bombardier Strączek.

— Zmarzłem na kość, ale chociaż nie nudno, bo aż ziemia dygoce.

Na wojnie Strączek nie wiele się wyznawał, a ponieważ „Dyrektor" uchodził u wielu za autorytet wojskowy i niejednokrotnie głosił śmiałe i odważne opinie, więc chętnie chciał rozpocząć aktualną rozmowę.

— Strzelamy cosik — zaczął niepewnie — musi być Niemcom ciepło teraz.

— To dopiero początek — zawyrokował Wojtek... Nasi teraz zmądrzeli i nie chcą darmo tracić ludzi, grzeją artylerią, poprawią rano samolotami. I tak dzień po dniu i choćby sobie Szwaby bunkry pod kanałem wykopali to i tak ich zaraz wydusi. A my sobie siedzimy, mokniemy, nudzimy się i dobrze jemy, ale jak któregoś dnia wypuścimy się to zatrzymamy się aż w Bredzie... Fajne podobno są tam „kobity" — dodał poważnie.

— I trunki — wtrącił Strączek.

— Nie tak jak w Belgii — przypomniał sobie „Dyrektor", który, gdy go na ulicach rozentuzjazmowanego Roulers częstowano kieliszkiem benedyktynki, porwał butelkę i kieliszek z rąk zdumionej „Jongfrou" — ucałował w oba policzki i zniknął *carriers'em* na zakręcie. To wspomnienie butelki nasunęło mu gorzkie refleksje. — Siedem lat tłukę się w tych telefonach i nawet butelki *whisky* na miesiąc nie dostanę. Inny ino jeździ i spija — a ty człowieku siedem lat kapralem, haruj, moknij, nie śpij i ani wódki, ani dobrego słowa.

— W Bredzie się wyśpisz — pocieszył go Strączek. —

Wojtek machnął tylko ręką w odpowiedzi.

Tymczasem sąsiednie baterie grzmiały nieustannym jazgotem. Strączka zdziwiła cisza na centrali.

— Dlaczego my nie strzelamy? — zapytał.

Wojtka również coś tknęło. Porwał za mikrofon.

— Hallo p.o... hallo p.o... hallo.... p.o....

Na linii panowała idealna cisza. Spojrzał na uziemienie, zaciski drutu, obejrzał mikrofon — wszystko w porządku.

— Hallo p.o. — cisza — śpią u licha, czy co?

Przełączył się szybko na pułk:

— Hallo, centrala, czy słyszycie nasze p.o.?

— Wasze p.o. nie zgłasza się od godziny, zbadajcie linię.



W Moerdijk

GENERAŁ EISENHOWER ODWIEDZA DYWIZJĘ



Fot. M. Walentynowicz



Fot. M. Walentynowicz



Fot. M. Walentynowicz

— Hallo, p.o. — mamrotał Wojtek — hallo p.o.... hallo p.o. — zgłoście się na Boga!

Cisza !

— Przerwana linia, zauważył Strączek.

— Przerwana linia... jak echo odpowiedział Wojtek.

Do punktu było ponad cztery kilometry, błotnistej, polnej, wyznaczonej koleinami *carriers'ów* drogi. Linia szła akurat w stronę skąd dochodził odgłos wymiany strzałów cekaemów i działek czołgowych.

— Brrr... — wzdrygnął się Putek.

W myśl zwyczajów telefonicznych na kontrolę linii powinien iść następny dyżurny. Spojrzał odruchowo na śpiącego pod plandeką Teosia, którego dziecinna jeszcze twarz kurczyła się od bolesnych jakichś przywidzeń i snów.

— Pójdę ja sam, niech się prześpi — mruknął pod nosem. Posiedź przy aparacie — zwrócił się do Strączka — a później obudź Kowalskiego. Ja idę na linie.

Schował do kieszeni obcążki, izolację, przewiesił przez ramię *stena* i poszedł. Poszedł w ciemność. Poszedł budować przez p.o. linię do Tanganiki, do Kopyczyniec i do swojej piekarni.

LESZEK TALKO, ppor.
1. Pułk Artylerii Motorowej.

SOUVENIR



— Czyś zwariował? Coś ty nałożył na nogi ?

— Pantofle nocne — prezent od chrzestnej mamy z Bredy...

W HOLANDII

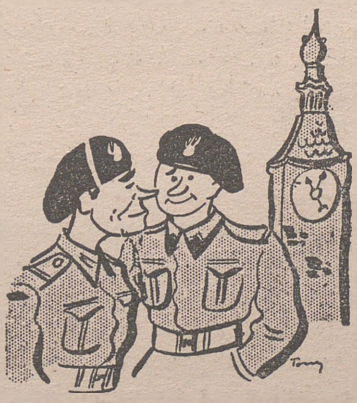

— Feluś, nad czym się tak zadumałeś ?

— Zastanawiam się, ilu karatowy jest ten zegar ?

NAD MOZĄ

STYCZEŃ 1945. Stoimy w miejscowości Dongen. Ciszę długich zimowych nocy przerywają tylko odgłosy dalekich wystrzałów, znak że nasza piechota czuwa nad Mozą. Mimowoli nasuwa mi się myśl, że oni tam na stanowiskach pełnią ciężką służbę, a my tutaj poprostu... nudzimy się. Moje rozmyślania przerywa rozkaz:

—Pluton smoków z długimi nosami (17-funtówek) jechać na wzmocnienie placówki Kapelsche Veer.

Mamy bardzo mało czasu. Zabieramy nasz żołnierski „dobytek", zresztą dość obfity i po chwili pluton bojowy (żywo mi przypominający przedsiębiorstwo transportowe) rusza w drogę.

Noc zimna i ciemna. Jedziemy zupełnie „na ślepo". Dowódca od czasu do czasu zatrzymuje się dla sprawdzenia trasy. Im bardziej zbliżamy się do linii frontu, im bliższe są wystrzały armatnie, błyski rakiet, tym bardziej sympatyczny wydaje się mi nasz czołg. Stanowi on żyjącą część naszej załogi, przemawia do kierowcy warkotem swojego silnika, ustawicznym drganiem wskazówek zegarów wyraża swoje prośby. Jest zawsze posłuszny i bez wahania daje z siebie wszystko. Przebaczam więc mu nawet to, że musimy jemu poświęcać cały nasz wolny czas.

Jesteśmy u celu. Jeden z czołgów otrzymuje rozkaz dołączenia do wysuniętej placówki piechoty. Wśród długich instrukcyj: wasze sąsiednie placówki, most, rzeka, stanowisko nieprzyjaciela tam, dozorować tu, podsłuch radiowy, meldować... jedno tylko pocieszenie... — O świcie zmieni cię Adam.

— No, to coś dla mnie — pomyślałem, a że żołnierze są zwykle ciekawi jak niewiasty, musiałem natychmiast „wywęszyć", jak, co i gdzie?

Wiadomości na ogół niezbyt wesołe. Stanowisko o 80 m od nieprzyjaciela, który siedzi na drugim brzegu rzeki, strzelcy wyborowi nie pozwalają wystawić nosa z czołga.

Noc, jak zwykle w takich wypadkach bywa, minęła szybko i o świcie wyruszamy. Jadąc śladami mojego poprzednika zaczynam nabierać dla niego szacunku. Jak on mógł w nocy przejechać tak ciężką drogę i nie ugrzęznąć?

Jeszcze kilkaset metrów i jestem na wyznaczonym stanowisku. Krótki meldunek i mój poprzednik odjeżdża.

Patrzę przez peryskop na przedpole. Rzeka. Na przeciwnym jej brzegu krzaki, bunkier i gdyby nie pojedyńcze strzały, można by było sądzić, że nie ma tam żywej duszy. Na tej stronie brzegu powciskana w ziemię leży nasza piechota. Patrzą z szacunkiem na potężną lufę naszego działa i z oczu ich mogę, wyczytać, że gdyby nie bzykające kule, to z radości, że przyjechaliśmy, podskoczyliby sobie w górę.

Na obserwacji i rozmowie upływa nam powoli czas. Nagle, na odległości około 600 m widzę przemykające się wśród krzaków jakieś cienie w kierunku bunkra. Ach Szwaby w „Lebensraum szarpane" — pomyślałem, w ten to sposób będziecie sobie lekceważyć Aliantów? Już ja wam tę następną zmianę urozmaicę.

Według moich obliczeń za godzinę powinna iść nowa zmiana. Wśród najrozmaitszych życzeń zatrzaskuje się zamek działa za potężnym granatem. Jeszcze jeden rzut oka na karabin maszynowy, mały ruch pokrętłami i działo idealnie wycelowane...

Czekamy...

Godzina dobiega końca. Coraz bardziej wzrasta nasze napięcie. Wszyscy siedzimy dosłownie przyklejeni do szkieł peryskopów, które z nadmiaru naszego wzruszenia ustawicznie zachodzą parą. Wreszcie biegną... Jeszcze chwilkę odczekać...

— Ognia... I... rozczarowanie.

Niewypał. Popatrzyliśmy wymownie po sobie, wzruszyliśmy ramionami posyłając cudem ocalałym Szwabom wiązankę życzeń i chcąc nie chcąc czekamy drugą godzinę.

Tym razem wszystko wspaniale się udało. Pocisk trafił w miejsce swego przeznaczenia. Do samego wieczora nie widzieliśmy już zmieniających się Niemców.

Około południa otrzymuję wiadomość radiową, że własna artyleria będzie ostrzeliwać stanowiska nieprzyjaciela i w związku z tym placówka piechoty ma się wycofać. Skuteczność ognia artyleryjskiego ja mam obserwować.

Wycofującą się placówkę osłaniam silnym ogniem, pomimo tego jednak Niemcy coraz gwałtowniej zaczynają strzelać. Odzywają się nawet moździerze i artyleria. Wśród błysku rozrywających się pocisków, dymu i istnych fontann ziemi dostrzegam żołnierza, który upadł w chwili, kiedy przebiegał przez kawałek odkrytego terenu. Początkowo żaden z jego kolegów nie zauważył tego. Nie zdążyłem jeszcze podzielić się z załogą moim spostrzeżeniem, kiedy kierowca czołga, złapawszy parę bandaży, iście cyrkowym skokiem z wieży, znalazł się na ziemi. Obserwuję go i moje zaniepokojenie zaczyna ustępować w miarę, jak widzę jego kocie, ale pewne ruchy. Na moment

przylgnął do ziemi, ażeby odczekać serię pocisków i znowu czołgając się, metr za metrem, zbliża się do leżącego. Nerwowo odpowiadam na ustawiczne pytania kolegów, że Stasiek już dochodzi do niego, jeszcze kawałeczek . . . i już jest przy nim. Ściąga go w zakryte miejsce.

Po chwili widzę ruch ręki Staśka — znak, że tamten już nie żyje. Nic już tego dnia nie zdołało nam poprawić humoru, nawet to, że artyleria nasza dosłownie przeorała nieprzyjacielskie stanowiska, tak że stamtąd nie odezwał się już ani jeden strzał.

Nadchodzi zmierzch, powraca piechota i zajmuje stare stanowiska. My za chwilę mamy odjechać.

Przynoszą zabitego. Układamy bezwładne ciało na czołgu. Z nami przebędzie ostatnią drogę z pola walki . . . Niech się dopełni braterstwo . . .

Ruszamy. Biegną za nami smutne spojrzenia piechurów, żegnające kolegę i towarzysza broni.

JAN MATRAJ, plut.
1. Pułk Pancerny

K U L Ą W P Ł O T

„OBRONA"

Do raportu karnego u jednego z wyższych dowódców przedstawiono dwóch żołnierzy za wywołanie awantury.

Strzelcy stanęli przed dowódcą w pełnym oporządzeniu, ze „Stenami", wysłuchując dłuższy czas umoralniających nauk dowódcy, który — sądząc z modulacji głosu — miał zamiar dać im tyle, ile w granicach jego uprawnień mu przysługuje.

Pod koniec pouczającego przemówienia — jak zwyczaj sprawiedliwych sędziów nakazuje — dowódca zapytał skruszonych winowajców:

— Co macie na swoją obronę?

— „Steny", panie pułkowniku — brzmiała jednogłośna odpowiedź.

Takie bojowe nastawienie rozbroiło do reszty dowódcę: zaniechał ukarania.

PO KŁADCE KAPOKOWEJ NA KAPELSCHE VEER

KAŻDEMU żołnierzowi Dywizji znana jest na pewno nazwa Kapelsche Veer. Nam, saperom, znana jest chyba ona najlepiej. Tak, lepiej niż piechocie. Przecież stale, o każdej porze saperzy gdzieś tam się kręcili.

Nieszczęście zaczęło się od tego, że Niemcom znudziło się traktowanie wyspy jako *no man's land* i obsadzili ją nieliczną co prawda, lecz świetnie wyszkoloną, doświadczoną i odważną załogą. Na nic się zdały, niepozostawiające żadnych wątpliwości co do naszych zamiarów, wypady na wyspę. Głębszymi i mocniejszymi stanowiskami odpowiedzieli Niemcy na wypraszający ogień naszej artylerii, a w dodatku byli na tyle „bezczelni", że ośmielili się odpowiadać ogniem.

Zawrzało gniewem wśród 3. Brygady Strzelców, artyleria miała dość. Kanadyjczycy na naszym prawym skrzydle też już nie wytrzymali nerwowo, no a komandosi byli kompletnie *fed up* ciągłym chodzeniem w kamuflażowych ubraniach nad brzegami kanału. Wszyscy więc zgodnie postanowili Niemców z wyspy wyrzucić.

Zaczęły się przygotowania. Saperzy zwozili łodzie, materiał na kładkę i rozpoznawali kanał. Noc z 13 na 14 stycznia została wybrana jako czas przeprawy.

Już 13-go za dnia, pod osłoną mgły saperzy wytyczyli drogę dojścia do kanału. Równocześnie sprawdzano i układano sprzęt tak, aby w nocy nie było żadnego kłopotu ze znalezieniem jakiejkolwiek części. Ponieważ kładka kapokowa, która miała być w nocy budowana nie jest wcale ciężka, już po południu zbudowano jej około 200 stóp, które później miały być doniesione do kanału i po dobudowaniu dalszych 200 stóp, wysunięte na wodę. Ogień moździerzy niemieckich nie pozwolił na budowę całej kładki w suchym miejscu, bo chociaż nie był celny obawiano się, że uszkodzi sprzęt.

W nocy, o godzinie nakazanej, z punktu wyjściowego wyruszyły w kierunku kanału grupki ludzi niosące łodzie. Równocześnie w tym samym kierunku zaczął sunąć wąż — niosący kładkę. Przeprawa rozpoczęła się łodziami. Wszystko szło gładko do chwili, gdy te znalazły się na wodzie. Silny wiatr, wsteczna fala i warstwa lodu tuż pod powierzchnią wody uniemożliwiały odbicie od brzegu, a szczęśliwców, którym się to udało, spychały z kierunku i zawracały do własnego brzegu. Pięciu wioślarzy rozpoczęło walkę z nieprzewidzianymi przeszkodami. Siły ich nie były wystarczające. Obsada łodzi została zwiększona. Tym razem łodzie szczęśliwie osiągnęły drugi brzeg. Droga powrotna i następne tury nie sprawiały już większego kłopotu,

gdyż łodzie przeciągano już tylko na linach, specjalnie do tego celu zabranych.

Kładkę kapokową też już wysuwano na wodę. Minęło jeszcze kilka minut i z przeciwnego brzegu przyszedł pierwszy saper. Trzeba było jeszcze kładkę utwierdzić mocniej linami, wyprostować tak dalece, jak na to prąd i wiatr pozwalały i przeprawa suchą nogą zapewniona. Poszła wiadomość do tyłu, że *Kapok Bridge ready*. Odrazu uformował się przepisowy *queue*, bo przecież wygodniej jest przejść po moście niż siadać do mokrych łodzi. Wygodni wysiedli nawet z łodzi, którymi miano ich właśnie przewozić i stanęli w ogonku. Wszystkich miało spotkać przykre rozczarowanie.

Pierwszy, który stanął na chybocącym mu się pod nogami kapoku, zanurzonym pod jego ciężarem prawie całkowicie w wodzie, bez słowa zawrócił. Następny, nawet nie chciał wejść. Patrzał na wybrzuszoną, podnoszącą się i opadającą w miarę falowania wody, kładkę i zdawał się ważyć, czy warto ryzykować zimną kąpiel dla utrzymania swojej sławy komandosowskiej. Ciemność nocy gwarantowała mu bezpieczne ukrycie przed oczami kolegów i to chyba zdecydowało, że zawrócił w kierunku łodzi. Trzeci szedł śmiało. Dotąd, dokąd nie zobaczył jak właściwie ten *bridge* wygląda. Zapóźno było jednak, aby się cofać. Obrócił głowę w prawo, w lewo, jak gdyby chciał spojrzeć na nas saperów i powiedział *Jesus! That's the b... thing, that you call bridge?* Po tonie głosu poznać można było, że uważa się za oszukanego, że mimo wszystko nie wie, czy ma iść, czy nie. Dla dodania odwagi jeden z saperów wszedł na kładkę pierwszy i dopiero w jego ślady poszli komandosi.

Rozpoczął się ruch na kładce. Patrząc, widziało się jak różnorodnie ludzie reagowali na widok kładki! Jedni żegnali się stawiając nogę na kapoku, częściej słychać było przekleństwa, a było i wielu takich, którzy pewniej czuli się idąc na rękach i nogach. Łodzie cieszyły się większą frekwencją.

Na wyznaczoną godzinę byli na przeciwnym brzegu. Wyszło natarcie. Saperzy nie mieli ani chwili odpoczynku. Łodzie kursowały bez przerwy: w jedną stronę z amunicją, do naszego brzegu z rannymi. Rannych z każdą chwilą było coraz więcej. Nawet na przeprawie, zdala od pola walki można się było zorientować, że wyprawa się nie powiodła.

Zrobiło się zupełnie jasno. Komandosi zaczęli się wycofywać na naszą stronę. Ostatnich rannych przewieziono łodziami. Meldunki do dowódcy przeprawy mówią, że po przeciwnej stronie nikt już nie pozostał. Saperzy zaczęli likwidować przeprawę. Mokrzy zziębnięci i niewyspani, odeszli od kanału ostatni.

JÓZEF JAROSZ, ppor.
10. Kompania Saperów.

FRANEK

Zastrzelili nam strzelca. Franka.
Leży sobie na polu od ranka. —
Jak ten hrabia leży nad rzeką,
Jakby wojna odeszła daleko.

Wszystko w życiu idzie naopak —
Wczoraj jeszcze urlopu chciał chłopak...
Jeszcze wczoraj pietra miał szczerze,
A dziś gwiżdże na wszystkie moździerze!

Co mu teraz więcej potrzeba?
Maszeruje prościutko do nieba,
No a w niebie sprawa jest czysta:
Każdy wie — holenderski turysta.

Zawijamy Franka w dwa koce,
Na jesienną szarugę, na noce,
Z jego wielką, żołnierską biedą,
Że nie dostał urlopu pod Bredą.

Trzeba odejść potem swą drogą.
Wszelkich pytań zbyt smutna jest cena.
Nie wiadomo tylko dla kogo,
Kupił Franek... perfumy Guerlain'a.

RYSZARD KIERSNOWSKI

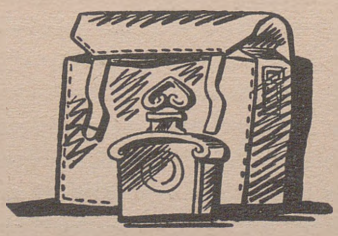

PATROL ZA MOZĄ



ACZĘŁO się od tego — zaczął opowiadać strzelec zebranym na kwaterze kolegom — że rano przechodziłem koło kwatery dowódcy kompanii i zobaczyłem przed domem wszystkie nasze szarże. Był dowódca kompanii, dowódcy plutonów i wszyscy drużynowi, no i naturalnie, za dowódcą kompanii, stał szefunio z notesem i ołówkiem, gotowy do pisania. Usłyszałem jak kapitan mówił, że się dobrze dziś wyspał, a jak się obudził, to pierwsza rzecz jaką zobaczył, była jego własna ręka z pięcioma palcami. Co to miało znaczyć nie rozumiałem, a dalej słuchać nie wypadało mi. Wróciłem na swoją kwaterę i zacząłem kibicować przy „oczku" Słupiankowi, któremu karta niesamowicie „waliła".

— Gdy tak sobie graliśmy wpadł służbowy i zapowiedział, żeby cała 5. drużyna, jak kto stoi, przyszła na kwaterę dowódcy kompanii. Wtedy odrazu przypomniałem sobie, że kapitan mówił coś o pięciu palcach, a nasza drużyna jest właśnie piąta.

I rzeczywiście, jak tylko przyszliśmy i ustawiliśmy się przed dowódcą kompanii, ten zaczął opowiastkę o pięciu palcach. Że niby od wczoraj miał wielkie trudności, którą drużynę wyznaczyć, bo wszystkie są jednakowo dobre i postanowił wybór zostawić ślepemu losowi. Dziś pierwsza rzecz, jaką zobaczył, było pięć palców jego ręki, to znaczy: piąta drużyna.

— Słuchaliśmy uważnie do czego to zmierza, wreszcie dowiedzieliśmy się, że tej nocy ma iść patrol na drugą stronę Mozy, a los padł na naszą drużynę. Ponieważ było nas dziesięciu, a do łodzi mogło iść tylko ośmiu, kapitan kazał nam do południa ułożyć między sobą skład patrolu. Potem zabrał naszego drużynowego i zastępcę na *jeep'a* i odjechali.

— Wróciliśmy na kwaterę i jakby nigdy nic zaczęliśmy znowu grać w „oko". Staraliśmy się nie myśleć o tym co nas czeka, ale ciągle jakoś myśl wracała do patrolu. Przypominaliśmy sobie poprzednie patrole za Mozą. Patrol ppor. Wrońskiego, drugi ppor. Pawlewskiego i wreszcie ten tragiczny patrol ppor. Kwietnia. Gra w „oko" jakoś się nie kleiła. Słupianek, który przedtem wygrywał, teraz nie mógł utrzymać żadnego banku.

Na kwaterze zrobiło się nudno i sennie.

— Ten przykry nastrój przerwało nagłe przyjście naszego kompanijnego „łapiducha", starszego strzelca Hardulaka, który dowiedziawszy się, że nasza drużyna idzie na patrol, zaczął nas przekonywać, że nie możemy bez sanitariusza, czyli opieki lekarskiej, iść, że on już z szefem mówił, szef się zgodził,

a dowódca kompanii też na pewno się zgodzi. Zresztą był w legii cudzoziemskiej, gdzie takie patrole ciągle ćwiczył, a w Hiszpanii, w czasie wojny domowej był na podobnym patrolu za rzeką Ebro. Gadał tak długo, aż wreszcie zgodziliśmy się, zwłaszcza, że w drużynie było trzech, którzy nie umieli pływać.

— Ledwie uradowany Hardulak wyszedł, wpadł na naszą kwaterę starszy strzelec Szymański. Ten duży dryblas, z pierwszej drużyny. I znowu powtórzyło się to samo. Prosił abyśmy i jego przyjęli do patrolu. Jest bardzo silny, bodaj najsilniejszy w kompanii, jak machnie wiosłem, to inni mogą nic nie robić, obiecuje, że zabierze na patrol swój l.k.m., który jest dla niego piórkiem, a strzela najlepiej w kompanii. Wreszcie, że ma w naszej drużynie przyjaciela, którego nie opuści. Ten ostatni argument był najsilniejszy. Postanowiliśmy go zabrać, wykluczając z drużyny jeszcze jednego. Ponieważ nikt się sam nie zgadzał, zagraliśmy w „marynarza".

— Po obiedzie przyjechał nasz drużynowy, kapral Dybek. Był trochę bledszy, niż zwykle, ale rozmawiał i z apetytem zjadł obiad. Gdy powiedzieliśmy mu o ochotnikach, to najpierw oburzył się, ale w końcu dał się przekonać: sanitariusz może być potrzebny, a Szymański to w ogóle „byczy" chłop. Obiecał nawet poprzeć ich prośby u kapitana.

— Około godziny 16.00 przyszedł do nas szef i zaczął nas „przygotowywać". Wypróżnił nam wszystkie kieszenie, tak, że pozostały tylko znaki rozpoznawcze na szyjach. Kazał zdjąć buty i nałożyć pantofle gimnastyczne, sprawdził osobiście działanie *stenów* i czy granaty są dobrze zaostrzone. Potem zapowiedział zbiórkę u kapitana na godzinę 18-tą.

— Na zbiórkę poszliśmy przygotowani już zupełnie, a tak jakoś spokojni i weseli, że aż nas to dziwiło. U kapitana byli już nasi dwaj ochotnicy, a oprócz nich zobaczyliśmy por. Szczygła z jego „bazyliszkami" (pionierami), dowódcę moździerzy por. Jaźwińskiego i oficera z artylerii.

— Kapitan zaczął nam dawać wskazówki, jak mamy działać. Zadaniem naszym było złapanie jeńca. Przedtem już stwierdzono, że w nocy, wzdłuż Mozy po wale, chodzi patrol niemiecki. My mamy się przeprawić przez rzekę i w ukryciu czekać na ten patrol, a potem zaskoczyć go, wziąć jeńca i wrócić. Kapitan podzielił nas na dwie grupy. Jedna z dowódcą drużyny miała wyjść na niemieckim brzegu trochę do przodu, pod wał, którędy chodził patrol i starać się wziąć jeńca. Druga grupa, zastępca, ja i Hardulak, mieliśmy z dwoma pionierami bronić łodzi przy brzegu. Gdyby wszystko poszło dobrze, zastępca miał dać kilka błysków latarką, na znak, że łódź można ciągnąć z powrotem. Gdyby wywiązała się walka, to mieliśmy otrzymać wsparcie artylerii, moździerzy i plutonu c.k.m. Ostrzegał nas jeszcze kapitan, abyśmy unikali walki i zdobyli jeńca jak najciszej.

— Po odprawie odjechaliśmy do Hogevaart samochodami, do których troskliwy szef załadował wiele koców, stamtąd pieszo około 2 km aż do Mozy, gdzie stała placówka. Ponieważ właśnie wschodził księżyc, kapitan pokazał nam miejsce skąd będziemy ruszać i gdzie na przeciwnym brzegu mamy zrobić zasadzkę. Potem położyliśmy się spać, gdyż księżyc zachodził dopiero około godz. 03.00. Koledzy z placówki udzielili nam gościny w swojej ziemiance, a dzięki kocom szefa, szybko zasnęliśmy.

— Na krótko przed godz. 03.00 kapitan sam nas obudził. Sprawdził jeszcze raz wszystko, przypomniał jak mamy działać i pożegnał, oddając nas w ręce por. Szczygła.

— Ruszyliśmy wzdłuż wału, a potem szybko i cicho przeskoczyliśmy wał i znaleźliśmy się nad Mozą. Za nami „bazyliszki" jak duchy, przyniosły łódź. Księżyc schował się za chmury i było zupełnie ciemno.

— Wsiedliśmy do łodzi i uważając na wiosła, aby nie robić hałasu, odbiliśmy od brzegu. Czterech wiosłowało, jeden pionier sterował, inni trzymali broń w pogotowiu, a za łodzią ciągnęła się lina. Jak długo płynęliśmy trudno mi powiedzieć.

— Wreszcie po łodzi przeszedł cichy szept:

— Brzeg.

— Łódź lekko dotknęła dziobem ziemi i natychmiast jeden pionier wyskoczył z liną. Za nim wysiadł zastępca, ja z l.k.m. i Hardulak. Położyliśmy się na ziemi. Przed nami było trochę pola równego, a w ciemności szarzał niewysoki wał. Wycelowałem l.k.m. na wał i obserwowałem. Obok mnie położył się Hardulak i bezszelestnie przygotował kilka magazynków z amunicją:

— Tymczasem wysiedli z łodzi inni i jak koty, cicho, pochyleni przeszli obok nas. Szli dosyć szybko i w kilka sekund byli już przy wale.

— Nagle usłyszałem cichy syk i zobaczyłem wyciągniętą rękę Hardulaka. Spojrzałem i zobaczyłem na wale trzy sylwetki zbliżające się z lewej strony. Zrobiło mi się nieswojo. Nie wiedziałem, czy nasi widzieli zbliżających się Szwabów, a nie miałem sposobu dać im znać. Głupio mi było, bo miałem rękę na spuście i karabin wycelowany, a strzelać mi nie było wolno. Usłyszałem jak Hardulak brzydko pod nosem zaklął.

— W tej chwili po wale popłynął strumień ognia. Była to seria niemiecka. W odpowiedzi usłyszałem silny wybuch na wale, właśnie w tym miejscu, gdzie widziałem Niemców. To napewno któryś z naszych rzucił granat. Potem uciszyło się i z mroku zaczęły wyłaniać się sylwetki.

— Liczę — jest pięciu. Szybko zbliżają się do nas. Bez słowa i w wielkim pośpiechu siadamy do łodzi. Zastępca liczy szeptem. Są wszyscy. Dyskretny błysk, czujemy jak lina się napręża i łódź powoli odbija od brzegu.

— Byliśmy zaledwie kilka metrów od brzegu, gdy usłyszeliśmy najpierw świst i pacnięcie o wodę, a potem terkot karabinów maszynowych. Pierwsza seria poszła po wodzie, tuż przy brzegu, a następne zaczęły pruć wodę tuż koło naszej łodzi. Widzieliśmy jak ogniki świetlnych pocisków wylatują z różnych punktów niemieckiego brzegu i gonią wprost na nas. Mogliśmy łatwo strzelać z łodzi do dobrze widocznych źródeł ognia, ale nasz drużynowy zakazał strzelania licząc widocznie, że zginiemy w mroku i Niemcy stracą cel. Niestety obliczenie to zawiodło i następna seria dosięgła nas. Dosięgła fatalnie, gdyż trzech z nas z jękiem osunęło się na dno łodzi. Następna seria trafiła w łódź, która zaczęła gwałtownie tonąć. Drużynowy dał rozkaz:

— Z łodzi i płynąć do brzegu.

— Jak i kiedy wyskoczyłem nie wiem. Pamiętam tylko, że gdy byłem już w wodzie — nowa seria dopadła łodzi. Widziałem jak skaczący drużynowy boleśnie krzyknął i zanurzył się w czarnej, zimnej Mozie.

— Początkowo szybko robiłem rękoma i nogami chcąc jak najprędzej dobić do brzegu. Potem jednak odczułem straszne zimno i wszystko stało mi się obojętne. Ale ruszałem rękoma i jakoś w ten sposób utrzymywałem się na wodzie. Zorientowałem się też, że Niemcy już nie strzelają, a natomiast na niemiecki brzeg leci tysiące pocisków.

— Jak długo trwała moja kąpiel — nie wiem. Gdy zupełnie wyczerpany uczułem pod nogami dno, ostatkiem sił doszedłem do brzegu. Na brzegu zobaczyłem kilku ludzi i kogoś wychodzącego z wody. Ktoś się pytał co z łodzią i wyjaśniał, że ściągnął linę do końca a łodzi nie ma. Usłyszałem też znajomy głos Szymańskiego, który zdyszany krzyczał, że na pewno lina została przestrzelona i że w łodzi są ranni.

— W kilka chwil potem zobaczyłem jego samego, jak mokry przeszedł obok mnie i rzucił się z powrotem do wody. Wyszedłem wreszcie na brzeg, gdzie zemdlałem.

— Gdy otworzyłem oczy, leżałem otulony kocem, a obok stało kilku pionierów. Wskazywali na wodę i mówili, że łódź jest. W chwilę potem rzucili się wszyscy ku brzegowi. Zobaczyłem najpierw słaniającego się na nogach Szymańskiego, usłyszałem głos Hardulaka, który cichym, jękliwym szeptem wyjaśniał, że Słupianek nie żyje, zastępca i jeden pionier są ranni, ale już ich opatrzył, a wreszcie, że on sam nie może wyjść z łodzi, bo jest ranny w nogę.

— Smutny to był powrót. Na czole szedł ze spuszczoną głową, zataczając się i ciężko oddychając potężny Szymański. Za nim prowadzono dwóch rannych, dalej na noszach niesiono jęczącego z bólu Hardulaka. A pochód zamykał cichy już na zawsze Słupianek, niesiony na kocu.

— Długo później, już po zakończeniu wojny, dowiedziałem się, że Moza wyrzuciła ze swej zimnej głębi zwłoki naszego drużynowego, kaprala Dybka.

Łu., st. strz.
Batalion Strzelców Podhalańskich.

JEDNAK PRAWDZIWE...

— Z Holandii?? A co tam słychać?

— A no nic... Chwilami bomby, artyleria, karabiny maszynowe...

— Ach, to pan pojechał na wojnę! Ooo!!... To bardzo ładnie... Lecz co to?... Widzę u pana „Virtuti Militari"! To z tej wojny czy jeszcze z poprzedniej?...

— Drogi panie, przecież ja mam dopiero 25 lat?

— Ach tak, sorry jestem! Czasem to tak człowiek strzeli głupstwo... Czy pan zdobył te krzyże na froncie czy w Londynie???

— ???...

— Niech się pan nie gniewa, ale już nie interesuję się wojskiem! Nie było dla mnie posady w wojsku... Panie kolego! A ten czarny naramiennik to co oznacza? Czy to też odznaczenie?

— Nie! To symbol 10 Brygady...

— Wie pan, że nigdy nie zwróciłem uwagi...

— A ten czarny sznurek na lewym ramieniu? Czy to może za kampanię w Normandii?

— Nie! To sznurek od gwizdka...

— Ach tak, zupełnie zapomniałem. Proszę pana, niech mi pan szczerze odpowie, czy Dywizja Maczka posiada czołgi, czy to tylko tak się pisze dla propagandy?

SZYDERSTWO KARASIA

PRZED olbrzymim młynem w Capelle, wchłoniętym w bezgwiezdną noc, trwała już od kilkunastu minut przedbitewna krzątanina. Z puszystego śniegu wyłoniły się ociężałe, stare prostokąty przywarowanych *carrier'ów* i *half-track'ów*, osłoniętych z frontowych ścian białymi plamami maskowniczych płacht. Między nimi uwijali się, prawie bezszelestnie spoceni ludzie, porozumiewając się szeptem tak nieśmiałym, jak mowa głuchoniemych. Od czasu do czasu przemknął się bokiem pochód zbrojnych widm, przygarbionych od ciężaru broni maszynowej i amunicji. Gdzieś brzękła metalicznie saperka, ktoś potknął się na wyboju ukrytym w śniegu. Każdy odgłos tężał w tej ciszy przykrym dysonansem, każdy szmer przerywał mrówczą pracę ludzi, którzy podnosząc głowy znacząco sykali.

A jednak,

Czasem z ciszy wyrwał się zuchwale dźwięk ludzkiej mowy, który brzmiał jak bluźnierstwo, przyjmowane złym spojrzeniem oczu.

— Hallo Barbaraaa, podaję następny cel, cyfry... targnęła nerwami komenda artyleryjskiego telegrafisty.

— Jesteś stanowczo za głośny — zawarczała postać z parterowego okna młyna, zajęta zaostrzaniem granatów. — Zamknij klapę!! Diabli cię usłyszą, a co dopiero Niemcy.

— Ci radioci, to niepoprawni ludzie — wyjaśnił ktoś drugi, pomagając sobie wymownymi gestami dłoni. Drze się taki osioł, jak nieprzymierzając krowa, a w polu cię zawsze zdradzi tym głupim patykiem. Ilekroć taki pokaże się ze stacją na plecach — ogień moździerzy murowany. Psiakrew z łącznością.

— Wam dać gołąbki kundle gończe — rozległ się w odpowiedzi niepochlebny komentarz. Nie ma zrozumienia na tym świecie dla łączności...

— Hallo Barbara, norma cztery, ognia — tym razem sciszona do szeptu pancerzem ścian czołgu, brzmiała ponowna komenda.

— No teraz już dobrze. Nauczył się wreszcie...

Głosy ludzi rozlały się bezbarwną gamą dźwięków w dudnieniu dział, które rozpoczynały nawałą swoje igrzysko. Górą wycierała powietrzne szlaki masa rozpędzonego żelastwa, furkocząc i wyjąc. Stojąc na ziemi, odczuwało się straszliwy pęd, walący się na przyczajone horyzonty.

— Dobrze tak żebrakom myślał Karaś, rozwijając z precyzją starego telegrafisty zwoje kabla. — Odechce im się wojny...

Tu podniósł głowę i natężył słuch, bo wydało mu się, że popod chmurami, które poczęły obramowywać wątłą poświatę księżyca, przelatują stada dzikich kaczek, z trzepotem skrzydeł, tak dobrze znanym uszom wypróbowanego kłusownika. Lecz po chwili, zawiedziony, snuł dalszy tok myśli:

— To nie kaczuszki — gadał sam do siebie. Moździerze suną. Będą Szkopy miały bal...

Ale przewaga, jakiej był świadkiem, nie zdołała w nim uśpić dręczącej niepewności, którą określił jako przeczucie czegoś bardzo złego, co miało się związać z jego osobą.

Filozofia Karasia wyrosła na chełmińskiej ziemi, posiadała swoiste reguły i dość ciekawą formę.

— Życie jest ciężkie, ale jak wiosna w sadach rodzinnej wioski — myślał często.

— Śmierć jest klęską — bo pozbawia życia.

Przedzierać się pazurami poprzez życie, dochodzić do sytuacji, które by je ubarwiły kolorową łatwizną uproszczeń, unikać momentów natury emocjonalnej — było przewodnim kłębkiem jego rozważań.

Uczciwie pracować, mieć trochę czasu na własne zainteresowania, rozbudzone długoletnią tułaczką po obcych krajach — było jedynym pragnieniem, podsycanym tęsknotą za rodziną i odrazą do wojennych przeżyć.

I dzisiaj począł odczuwać, że w konstrukcji filozoficznego gmachu, który sam stworzył, brakuje ewentualności, odpychanej z dnia na dzień, że nie zdobył się dotychczas na dokładniejszą analizę momentu, który być moze zbliża się teraz.

— Boję się śmierci — myślał. Jestem obrzydliwym tchórzem, bo śmierć jest też dana, jak i życie, od Boga.

— Człowiek jest tchórzem — poprawił się po krótkim namyśle. Tak, człowiek...

Naraz zaplątał się w kłębowisku kabli, rozciągających się wzdłuż drogi.

— Cholera!!!

Przystanął i począł mozolić się nad rozpętywaniem własnej linii.

— To kabel niemiecki... To pewnie artyleria... Ten — diabli wiedzą skąd się wziął. A gdzie żółty? Gdzie moja żółta „lebiega"?

— Hej, druciarz! Śpiesz się bo wojnę przegramy — zachichotał przypadkowy świadek niemal że syzyfowych zmagań Karasia — ginąc z urągliwym śmiechem za załamaniem rozwalonej stodoły.

— Samżeś druciarz i smoluch... — obdarzył nieprzychylnym epitetem dowcipnisia, kończąc swoją pracę.

Po chwili wyrósł przed nim kilkupiętrowy kompleks młyna, — cel pierwszego zadania, jakim obarczono jego osobę. Charakterystyczny szum zasilaczy radiowych, rozpędzone ściegi zaszyfrowanych wiadomości, pozorna gmatwanina kryptonimów, krótkie rozkazy, jak gdyby z bicza strzelane — przenikały chaotycznie do świadomości Karasia. Młyn rozsiadł się szeroko, niby okaz paleontologicznego potwora, szczerząc ślepia zmiażdżonych okien, poza którymi skupiły się mózgi ludzkie z uporem zwycięstwa i oczy widzące wszystko.

Zzziach ... świsnął naraz niemiecki pocisk, pękając z hukiem za przybudówką nędznie skleconą z nieheblowanych desek.

— Ho, ho, strzelają !

Karaś wpadł do młyna i po skrzypiących schodkach wspinał się na poddasze, dysząc pod ciężarem bębna na plecach, aparatu telefonicznego na brzuchu i karabinu, przewieszonego przez szyję.

— Nareszcie wlazłem — westchnął z ulgą.

Pokiereszowany artyleryjskimi pociskami dach umożliwił mu rozpoznanie znajomych sylwetek ludzi z którymi zżył się w codziennych trudach.

— Telefon, panie poruczniku — zwrócił się do adiutanta, przekomarzającego się z oficerem łączności.

— Tak stoisz, synku ... Postaw go tam, na tych workach i sprawdź, czy aby dobrze działa.

— Na rozkaz !

Do frontowej ściany przylepiono stanowiska dla dowódcy batalionu i artyleryjskich obserwatorów. Stanowiska kruche, ułożone z worków wypełnionych sypkim piachem, z których można było objąć wzrokiem całe pole walki i śledzić każdy ruch własnych oddziałów. Karaś krytycznie lustrował zaimprowizowane baszty i kręcił z niedowierzaniem głową.

— Niech grzmotną tutaj ze dwa pociski, to cały „magistrat" znajdzie się na parterze.

— Dalibóg, że wolę siedzieć w rowie.

Ale widocznie nikt nie przejmował się tutaj ewentualnymi skutkami mogącej nastąpić katastrofy i w doskonałych humorach komentowano wyruszające natarcie Flandryjczyków.

— Nadać, Wojtuś, mazura — wołał wąsaty pułkownik do swego radiotelegrafisty, bacznie śledząc mapę, przy dyskretnym świetle latarki.

— Halloo wszystkie stacje Violetta, mazur teraz — brzmiała monotonnie zapowiedź, niesiona falami eteru do zaczajonych w wiklinie radiostacji.

— Panie kapitanie, położyć mi ogień na to paskudztwo — rozrywał się pułkownik na wszystkie strony, niczym czteroobliczy Światowid, widzący

wszystko i przewidujący każdą nieprzyjemną sytuację, której wybuch uprzedzał śmiałym ciosem w samo serce.

— Ma pan pułkownik na myśli te laski?

— Trafił pan w samo sedno. Właśnie te laski...

— Całym pułkiem?

— Przypuszczam, że taki ogień pomoże moim chłopcom.

— Na rozkaz, panie pułkowniku.

Karaś założył telefon i począł złazić z poddasza na dół, ciężko waląc buciorami. Za chwilę potykając się o jakieś worki z mąką, wynurzył się z młyna i nasadziwszy nowy bęben na oś zwijaka, skierował swe kroki w stronę, skąd dochodził go jazgotliwy *fox-trott* karabinów maszynowych.

Ruszył żwawo do przodu, przysłuchując się równomiernej śpiewce kabla, kładącego się czarną linią na ścieżynie wydeptanej setkami nóg. W momencie, gdy mijał stanowiska moździerzy, odczuł znowu głęboki niepokój. Na ułamek sekundy przysiadł w zamarzniętym rowie, ułamek sekundy trwała walka z uczuciem, które napawało go wprost fizycznym wstrętem.

— Nawet autentyczny koniak z trzema gwiazdkami nie pomógł — myślał podniecony. — Trochę mnie rozgrzało, trochę weselej, ale wyraźnie coś mnie ściska za krtań i dławi głupią obawą...

— Czy naprawdę głupią? — zreflektował się po chwili. „Wasia" też dręczyły podobne myśli, kiedy na „Maczudze", ostatni raz wyciągał do mnie dłoń na pożegnanie. Co on wtedy mówił? Tak, przypominam sobie:

— Odejdź stąd — powiedział — bo przy mnie śmierć stoi. Nazwałem go wtedy durniem i przewrażliwionym podlotkiem. A w godzinę później „Wasio" zginął... Jego przeczucie było moim szczęściem.

— Spokojnie, spokojnie... — mówił jakiś głos wewnętrzny, kładąc się miłym ciepłem na rozdygotanym sercu. Nie taki diabeł straszny...

— Właśnie! Nie taki diabeł straszny... — zdecydował się Karaś i ruszył śmiało w odgłos padających, daleko jeszcze przed nim pocisków, potykając się w zaspach śnieżnych i przedzierając poprzez ogołocone z jesiennego listowia krzewy dzikich malin. Gdzieś blisko zaterkotał nagłą, nerwową serią przyczajony *spandau*. Odpowiedziały mu natychmiast z rozwścieczoną gwałtownością wiejskich kundli *breny* czujnych patroli. Raz... drugi... trzeci... Niebo rozpłakało się elipsowatymi łukami opadających rakiet.

Jakby to było przyjemnie, wyciągnąć się teraz na puszystym dywanie pokoju, który niedawno opuścił i grzać nogi w cieple płomieni kominka. Zacisznie i ciepło. I ten spokój rozkosznie rozleniwiający. Matowe tykanie zegara, świadomość zupełnego bezpieczeństwa i sen... pokrzepiający, mocny sen.



Marszałek Montgomery otrzymuje Virtuti Militari...



i dekoruje żołnierzy Dywizji

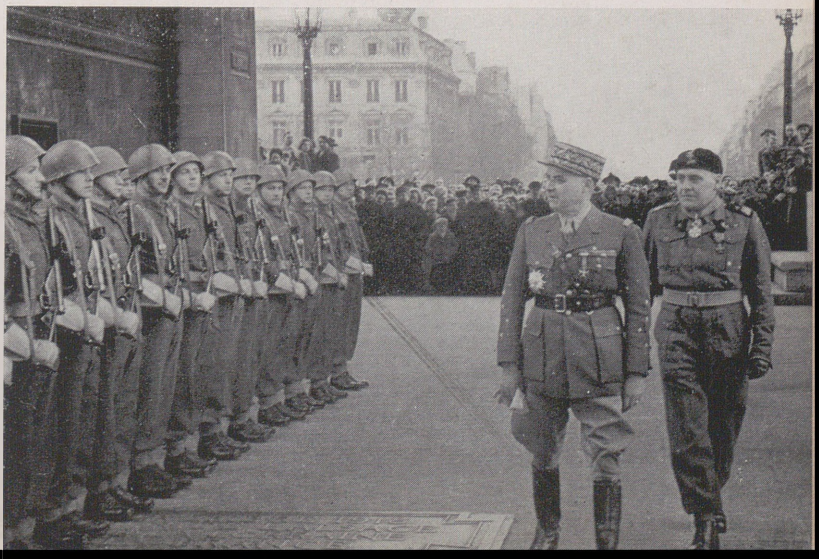

Po dekoracji na placu Etoile

Fot. M. Walentynowicz

ŻMUDNE DNI TRZYMANIA ODCINKA



Fot. M. Walentynowicz





Fot. M. Walentynowicz

Baaach... — przysadził go do ziemi łomot szrapnela, który wybuchł gdzieś niedaleko.

Ułudny miraż z innego świata rozpłynął się bez echa w zimnym kontakcie z rzeczywistością.

Wreszcie wierzba rosochata, w pozie roztańczonej bajadery, z białym muślinem śniegu na biodrach i ramionach, drogowskaz kierunku, w którym nakazano mu się posuwać.

Teraz skręt w lewo, a potem w prawo, gdzie ma być owa kotlinka, nienaznaczona nigdzie na mapie.

— Kolego, skryjcie się — ostrzegał ktoś z rowu, gdzie leżał gotowy do akcji pluton odwodowy. Ta ścieżyna jest pod obstrzałem moździerzy.

— Dobrze mu mówić — „skryj się" — mruczał zły Karaś. — A kto za mnie będzie linię budował?

Sentymentalizm kolegi rozdrażnił go niebywale, tym bardziej, że uprzytomnił mu znowu groźbę niebezpieczeństwa, czyhającego, ot, chociażby za tym krzaczkiem jałowca, za każdą fałdą torfiastego terenu, za anemiczną kępą wyschłej trawy, bezmyślnie szeleszczącej. Niebezpieczeństwo, które skupiło się w bezgwiezdnym niebie, spojonym w nieskończoną otchłań. Przeczucie, które odganiał jak psa natrętnego, wróciło wyraźniej i z całą mocą.

— Kolego, skryj się... kolego, skryj się... kolego, skryj się... — łomotało mu w skroniach, brzęczało w przestrzeni, macało zimną stalą po sercu.

Ogarnęła go nieznośnie ochota lec w przytulonym rowie, przeczekać rozgrywkę osobistej dumny, która nakłaniała do obowiązku, z uczuciem bezsiły, tak lodowatym, jak lufa oszronionego karabina.

— Kolego, skryjcie się...

— Jeszcze trochę — myślał Karaś. Te jakieś głupie czterysta metrów. Za chwilę szatańska ścieżynka się skończy i będę chronił własne kości w dołku. Jeszcze trochę...

Szedł pochylony, niby gotowy do skoku, mierząc każdy krok, skrzypiący mokrym śniegiem, zdecydowany już na wszystko.

— Kolego, skryj się — zawarczało posępnie i stała się rzecz przewidziana w gorączkowych wizjach. Przyszła nagle, bez spodziewanych efektów, jeno z przeszywającym świstem, który poraził bębenki uszu. I spokój ogromny, z tą świadomością, że krew zalewa oczy i spływa miłym ciepłem po skostniałych dłoniach. I więcej nic. Nawet bólu żadnego, nawet żalu i troski o życie.

— Dostało ci się biedaku — usłyszał jak za mgłą znajomy głos sanitariusza. Tak długo się trzymałeś.

Oblicze Karasia rozjaśnił wątły uśmiech, tak wątły, że ledwo dostrzegalny.

— Znalazłem . . . prawdę . . . — wyszeptał drżącymi wargami, jakby za chwilę miał wybuchnąć dziecięcym szlochem. — Znalazłem prawdę! Kpię z życia . . . bo . . . śmierć jest życiem . . . bezustannym . . .

— Co mówisz syneczku, co? — próbował zrozumieć szept konającego sanitariusz, stary marokański legionista, który niejednej śmierci był świadkiem. Ale spotkał się tylko z martwotą szyderczo wybałuszonych oczu . . .

Ostatni szept sponsowiał na rozchylonych ustach wieczną tajemnicą — tajemnicą szyderstwa Karasia.

WOJCIECH DRYGAS, kpr. pchor.
9. Batalion Strzelców Flandryjskich.

FRASZKI KRYMSKIE

Krymie! O tobie pisał Mickiewicz sonety,
Piękno twoje natchnieniem było dla poety!
Dziś urok Twój obydwie półkule oplata.
Tych, co mówią, że Polska jest natchnieniem świata.

Któż zbada z nas tajniki obcego języka?
Pisząc słowo „Crimea" — strzeżcie się chochlika!
Bo „a" wystarczy zgubić, aby niezawodnie
wyraz Krym się zamienił w inne słowo. W zbrodnię.

Ktoś przyjechał do Jałty w kołpaku futrzanym,
na Kamczatce uszytym, w prezencie przysłanym.
I oto z tego faktu wniosek jest wysnuty:
komuś się szyje czapkę — a Polakom buty.

Gdym, pisząc fraszkę utknął w nader trudnym rymie,
powiedział mi przyjaciel: „Napisz coś o Krymie".
Bardzo mnie to zgniewało. Krzyknąłem: „Idź pan do . . .?
Ja nigdy nie pisuję pod obce dyktando!"

(Or-Si)

ANTWERPX

DNIA 6 marca 1945 kończyliśmy obiad w naszym małym kasynie na plebanii w Lithoijen, obok dowództwa odcinka „Maria". Nie jedliśmy szybko, bo ręce co chwila zatrzymywały się jakoś same w pół drogi między talerzem a ustami, a my zamienialiśmy się cali w słuch. Dobrze znajomy warkot dobiegał z dala, szyby zaczynały dzwonić delikatnie naprzód, potem głośniej i głośniej, aż zdawało się, że razem z futrynami i ramami powylatują z okien. Dom cały drżał, jakby w czasie trzęsienia ziemi. To Niemcy, chcąc utrudnić pracę obrońcom Antwerpii, wpadli na pomysł wypuszczania naraz po kilkanaście latających bomb tym samym szlakiem, tylko na różnych wysokościach. Przeleciały. Jedliśmy dalej, gdy nagle zakolebały się ściany, pokój wypełnił się latającym szkłem, tynk posypał się z sufitu i ścian, a huk ogłuszająco bliskiej eksplozji zatargał bębenkami uszu. Fala zimnego powietrza wtargnęła do pokoju, słychać było jeszcze brzęk wypadających na bruk szyb, a po chwili runął z łomotem ze ściany olbrzymich rozmiarów portret biskupa w białej szacie — i było po wszystkim. Gdyby szkło i tynk były jadalne, można by wrócić do przerwanego posiłku. Ot, poprostu jakaś mała niedokładność w nastawach mechanizmów sterujących ślepograta, tu ogromny lej, trochę trupów, pożar, zerwana łączność telefoniczna i zmarnowany obiad, a gdzieś tam daleko pod Antwerpią na setce stołów *plottingowych* urwały się czerwone kreski, oznaczone numerem 15, a po chwili w słuchawkach służby alarmowej zadźwięczał spokojny głos: „Skreślić *diver* nr. 15 powtarzam, skreślić *diwer* nr 15".

Leciały te bomby latające dniem i nocą, pojedyńczo i stadami, wysoko i nisko — a zawsze tuż nad głową, niezależnie od tego, czy było się w Antwerpii, w Bredzie, w Tilburgu, w S'Hertogenbosch, w Oss, w Maren, czy w Lithoijen. Nazywano je różnie: z polska ślepograty, z angielska *bazzbomby* lub *wi-łany*, z niemiecka *fau-ajnsy*. Znaliśmy je jeszcze z Anglii, badaliśmy ich wyrzutnie w północnej Francji, ale dopiero tu w Holandii dały się one nam naprawdę we znaki. Nienawidzili ich wszyscy, bez względu na stopień, wiek i płeć, my jednak, przeciwlotnicy, żywiliśmy do nich nienawiść bardziej zajadłą niż inni.

Bo to tak: leci taki samolot bez pilota, spełniając w sposób najbliższy ideału wszystkie wymarzone przez przeciwlotnika warunki. Leci po linii prostej, na stałej wysokości, ze stałą szybkością, nie robiąc żadnych uników.

Po jednym torze przelatuje ich w krótkich odstępach po kilkadziesiąt, lub nawet kilkaset. Ustawiło by się działo, albo dwa, albo całą baterię i strzelało by się do nich wedle wszelkich reguł przeciwlotniczej sztuki. Ma się przecież ambicje, bokiem już wyłażą złośliwe uwagi o „pelotce, co siedzi w dziurach i piechotę odstawia, zamiast strzelać do ślepogratów".

Nareszcie pokazały się latające cele, a tu dzień po dniu powtarzają nam ostre zakazy strzelania do nich, ba, dochodzenia wszczynają przeciw nam, gdy jakaś z bomb przypadkiem zleci w rejonie wysokich dowództw! A nas, właśnie nas i właśnie teraz używają jako piechoty nad Mozą! Burzyła się w nas krew. Wyładowywaliśmy naszą złość na Niemcach zza Mozy, strzelając do nich z naszych czterdziestek, ale to nie tego trzeba było nam, którzy od tylu lat uczyliśmy się strzelać do samolotów. Dla praktyki odprowadzaliśmy lufami dział każdą bombę i byliśmy zgodni co do tego, że byłaby trafiona „na mur", gdyby tylko wolno było nacisnąć pedał spustowy. Takie „lizanie cukru przez szybkę" powiększało tylko nasze rozjątrzenie.

To też ogromny był nasz entuzjazm, gdy przyszedł rozkaz, przydzielający nas do *Antwerp X*, jak w amerykańskim kodzie nazywała się obrona portu Antwerpii przeciw latającym bombom. Amerykańskie dowództwo tej obrony przydzieliło nam rejon stanowisk w pasie artylerii lekkiej w pobliżu bronionego portu. Gdy jednak dowiedziano się, że celujemy przez zwykłe przezierniki bez lunetek, kręcąc ręcznymi korbami, a nie posiadamy centralnych przyrządów elektrycznych, dowództwo zmieniło plan, uznając nasze działa za zbyt mało skuteczne w akcji, by mogły zajmować tak ważny odcinek.

Ustawiono nas na samej granicy holendersko-belgijskiej, przed pierwszą linią obrony. Wyznaczono nam wąskie sektory i ograniczono kąt podniesienia, byśmy nie zrobili krzywdy własnym oddziałom. Włączono nas do sieci alarmowej, ale nie dano nam głośników, tak, że skazani byliśmy na siedzenie dniem i nocą ze słuchawkami telefonicznymi na uszach. Alarmy podawano bez ostrzeżenia dzwonkiem, nie mogło więc być mowy o odejściu od aparatu ani na chwilę. Było to ogromnie męczące, szczególnie długie przerwy między alarmami dawały się we znaki. Po kilku dniach poradziliśmy sobie, konstruując głośniki własnego pomysłu, które doskonale spełniały swe zadanie.

Gdy daleko gdzieś na nieprzyjacielskim terytorium bomba latająca opuszczała wyrzutnie, chwytały ją *radary* i przekazywały jej położenie do centrali alarmowej, która w regularnych odstępach czasu informowała nas umówionym *kodem* o jej położeniu, tak, że mogliśmy śledzić na mapie cały jej lot i alarmować obsługi dział, gdy zbliżała się do naszego odcinka. Zdarzało się jednak czasem, że bomby nadlatywały niezapowiedziane. Trzeba

było pełnić służbę alarmową przy każdym dziale, a obsługi utrzymywać w nieustannej gotowości. Nie zdarzyło się nigdy, by bomba przeleciała nieostrzelana, a oficerowie musieli tylko pilnować, by wolne od służby obsługi odpoczywały, a nie zostawały przy działach.

Żołnierze wkładali w strzelanie całą z dawna nagromadzoną pasję, całą duszę. Gdy zameldowaliśmy o pierwszych sukcesach, amerykańskie dowództwo przyjęło je z niedowierzaniem. Przekonano się jednak na podstawie meldunków baterii stojących za nami, że nie tylko nie przesadzamy w ocenie naszych sukcesów, ale podajemy zaledwie 1/3 faktycznie przez nas zestrzelonych bomb. Staliśmy się nagle przedmiotem ogólnego zainteresowania. Dowódcy zaczęli przyjeżdżać na inspekcje, przysyłano komisje dla zbadania naszego sprzętu i naszego sposobu strzelania, zasypywano nas pytaniami na temat stosowanych przez nas metod szkolenia.

Gdy w czasie jednej z inspekcji zestrzelono jednym z pierwszych strzałów bombę, a inspekcjonujący brygadier dowiedział się, że właśnie w roli celowniczych występowali kierowca *jeepa* i kierowca cysterny na wodę, popularność nasza doszła do szczytu.

Posypały się zaproszenia od sąsiadów, od dowódców brygad, wreszcie od dowodzącego *Antwerp X* gen. Armstronga. Nie tylko my, ale sprawa Polski stała się przedmiotem gorących dyskusji. Po raz pierwszy wtedy mieliśmy sposobność zapoznania się z wielką różnicą w podchodzeniu do spraw tego świata istniejącą między Brytyjczykami a Amerykanami. Było nas zbyt mało, by sprostać wszystkim zaproszeniom, tym bardziej, że nie wszyscy byli w stanie dogadać się z Yankesami. I na to jednak znalazł się sposób: przyjeżdżali do nas, przywożąc ze sobą Amerykanów polskiego pochodzenia, jako tłumaczy. Irytowała nas trochę ta nagła popularność, woleliśmy strzelać do bomb, niż gadać. Było to tuż po ogłoszeniu wyników konferencji w Jałcie, trudno było aliantom liczyć na popularność wśród nas.

Strzelanie do latających bomb jest ogromnie emocjonujące. Do normalnych wzruszeń myśliwskich i świadomości, że w wypadku unieruchomienia portu Antwerpii pozostaniemy bez żywności i amunicji, dołącza się szczególny gatunek strachu: Celny strzał do bomby zagraża tym, że spadnie ona na głowę strzelającego, a to pociąga za sobą skutki bardzo dobrze nam znane. W jakiś trudny do wytłumaczenia sposób strach ten zwiększał tylko naszą zajadłość i chęć trafienia, choć nikt z nas nie przejawiał tendencji samobójczych. Nie odstraszały nas również gęsto spadające odłamki rozrywających się nad głowami pocisków ciężkiej artylerii. Bez rozkazu wkładało się hełmy — to wszystko.

Najbardziej efektowne były strzelania nocne. Z dala już było widać nadlatującą bombę, srebrzącą się u szczytu ruchomego stożka reflektoro-

wych smug. Po chwili, jak paciorki nizane na drut, poczynały sunąć w górę na spotkanie bomby czerwono świecące pociski czterdziestek. Zaledwie te znalazły się w pobliżu celu, a już bomba znajdowała się w aureoli setek białych rozbłysków — to wybuchały pociski ciężkiej artylerii, jakby ktoś mąkę sypał na rozpaloną blachę. Gdy bomba nadlatywała bliżej, wyraźnie było widać warkocz pomarańczowego płomienia za jej ogonem: Znak, że silnik pracuje. Nagle wszystkie te światła i błyski ginęły, pochłonięte przez potężny jaskrawo - żółty rozbłysk eksplozji. Jeszcze tu i ówdzie zaiskrzył się na niebie spóźniony rozprysk pocisku, ale szybko to ustawało, gasły reflektory i ciemność nocy odzyskiwała swe niepodzielne władztwo na niebie.

Kto trafił? W takim wypadku zaliczano po ułamku bomby wszystkim strzelającym w ostatniej chwili bateriom: dostawało się n.p. 1/8 bomby.

Niewątpliwie wspaniałe było opisane widowisko, my jednak woleliśmy, gdy po zetknięciu się z bombą pierwszych czerwonych koralików naszych pocisków, urywała się za nią smuga płomienia, gasł silnik, ciemność ogarniała niebo, a po chwili trwożnego oczekiwania, gdzieś na ziemi, w pobliżu nas, rozbłyskała gwałtowna eksplozja, po której ci, którzy zdążyli przezornie przytulić się do matki — ziemi zrywali się na nogi z uczuciem podwójnej ulgi: Po pierwsze, że to nie w nich trafiło, a po drugie, że nikt w ciemności nie zauważył, jak padali.

W takich wypadkach wiedzieliśmy, że nie jakiś ułamek, ale cała bomba zapisana zostanie na nasze konto przez skrupulatnych buchalterów *Antwerp X*.

W dzień odpadała większość efektów świetlnych. Słyszało się warkot bomby, widziało się ją w nadlocie, słyszało się ostry warkot czterdziestek i basowe wystrzały ciężkich dział, później zaś z uciechą patrzyło się, jak trafiona bomba chwieje się w locie wśród czarnych obłoczków rozprysków, zmienia kierunek i w karkołomnych ewolucjach spada na ziemię. Stwierdzono przy tym, że każda spadająca bomba leci wprost na głowę każdego, kto na nią patrzy i dopiero w ostatniej chwili wybucha w niewytłumaczony sposób n.p. o kilometr od niego.

Zdarzyło się raz, że postrzelona przez nas bomba wykonała piękne przymusowe lądowanie o kilka metrów od stanowiska działa, które ją zestrzeliło. Ponieważ nie wybuchła, obsługa działa, ochłonąwszy z przerażenia, mogła się potem szczycić wspaniałym trofeum.

Zaledwie zdążyliśmy się zalomowić na stanowiskach, pozawierać znajomości, ustalić stosunki sąsiedzkie i nawiązać kontakty z miejscową ludnością — już nadeszły rozkazy, wzywające nas z powrotem nad Mozę w roli piechoty. Nic nie pomogły nasze prośby, poparte meldunkami o sukcesach i opinią amerykańskiego dowództwa.

Bardzo niechętnie ściągaliśmy działa ze stanowisk, żegnając z żalem naszą krótką ale bujną przeciwlotniczą karierę.

Cóż nam z tego, że generał Clare H. Armstrong, dowodzący obroną Antwerpii, napisał do naszego dowódcy dywizji m.in.: „... Zrobiłem wszystko, by ci uczestnicy *Antwerp X*, którymi dowodziłem w czasie ataku *V 1* na Antwerpię, otrzymali należne uznanie za oddane wybitne usługi.

— To, że miałem pod mym dowództwem te doskonałe polskie jednostki, które tak bardzo się zasłużyły, jest dla mnie źródłem wielkiej dumy i zadowolenia. Zajmowały one czołową linię obrony w strefie największego nasilenia ataku i były bezpośrednio przed linią ciężkich dział, które gradem odłamków powiększały jeszcze grożące im niebezpieczeństwo. Niech mi Pan pozwoli, Generale, pogratulować Panu dowodzenia tak świetnym pułkiem. Nasza współpraca w ramach jednego zgrupowania, składającego się z wojsk amerykańskich, brytyjskich i polskich, złączyła nas wszystkich jeszcze ściślej więzią koleżeństwa"...

Niedługo po naszym powrocie do roli piechoty rejony wyrzutni *V 1* znalazły się w rękach aliantów, *Antwerp X* przeszła do historii ze wspaniałym wynikiem: 2183 zestrzelonych bomb *V 1* na 2394 dolatujących do rejonu Antwerpii.

BOLESŁAW S. LEWICKI, por.
1. Pułk Artylerii Przeciwlotniczej.



NA PÓŁWYSPIE

W styczniu 1945 roku, po gorączkowych przegrupowaniach w początkach ofensywy Rundstedta, 1. Pułk Pancerny przydzielony został bezpośrednio do 1. Korpusu Brytyjskiego i odszedł z rejonu Tilburg — Breda tuż nad ujście Mozy.

Właściwie, patrząc na mapę Holandii, trudno jest zdecydować, czy to jest ujście Mozy czy Renu — pełno tam jakichś rozlewisk, odnóg, rozgałęzień, splątanych ze sobą w błotnistą deltę. Nawet sami Holendrzy nie zdołali zdaje się rozwikłać tego zagadnienia i by nie wywoływać dyskusji nazwali to miejsce Hollandschediep. Otóż niedaleko tego ujścia znajduje się maleńki półwysep o typowym, jak z podręcznika geografii kształcie, łączący się z lądem wąziutkim przesmykiem, którym biegnie idealnie gładka i prosta szosa, otoczony trzema, o wiele od siebie większymi wyspami. Monotonię tamtejszego aż nienaturalnie płaskiego krajobrazu ożywia jedynie małe miasteczko St. Philipsland ze swoim malowniczym holenderskim wiatrakiem.

Gdy 1. Pułk Pancerny przeszedł w ten rejon, a na samym półwyspie stanęły dwa plutony czołgów, sytuacja na tym zapomnianym odcinku frontu przedstawiała się następująco: półwysep a z nim cały ląd z tej strony Mozy oraz południowa wyspa były polskie, lub dokładniej polsko-angielskie, północny za to brzeg i dwie wyspy — północna i zachodnia były dokładnie niemieckie. Pułk usadowił się szwadronami w terenie, a dragoni z przydzielonego do pułku szwadronu poszli wraz z żołnierzami ze spieszonego na ten okres 62. A/Tk. Regt. na obsadzenie placówek wzdłuż wybrzeża i patrole.

I tak zaczęła się niewdzięczna i monotonna służba trzymania odcinka. Niewdzięczna, bo nikt, jak mówili żołnierze, nawet w gazecie nas nie wspomni, że przecież i teraz jesteśmy na froncie, a monotonna, bo dnie płynęły podobne jeden do drugiego i nic nie zdawało się naruszać ciszy panującej na całej długości wybrzeża. Nawet powtarzane na odprawach wiadomości, że szczególnie na północnej wyspie zgrupowana jest całkiem pokaźna ilość Niemców, nie zdołały rozproszyć uczucia jakiegoś zastoju, który opanowywał tak ludzi, jak i całe otoczenie. Jedynie pojedyńcze, zabłąkane jakby strzały moździerzy czy *Spandau'ów*, nadlatujące od niemieckich wysp, zbyt rzadkie, by zakłócić spokój odcinka, świadczyły, że wyspy te nie są bezludne, jakby to mogło pozornie wydawać się obserwatorowi z naszego brzegu.



Kapelsche Veer



Po długich tygodniach walk o Kapelsche Veer



Czołgi na Kapelsche Veer





Gdy istniało Antwerp X

Tak mijały dnie i długie, beznadziejne długie, noce. Żołnierz mieszkający w opuszczonych domach, spędzali wolny czas na budowaniu przemyślnych pieców, jako że mróz mocno ścisnął już ziemię i wykazywali niezmordowaną inicjatywę w poszukiwaniu wszystkiego, co mogło by posłużyć za opał. Buchające żarem piece nasuwały znów niepokojące myśli o smażącej się, smakowitej jakiejś dziczyźnie, co z kolei zdawało się rozwiązywać niewytłumaczoną dotychczas zagadkę tajemniczych wypraw ze *stenami*.

Czasem odbywały się strzelania z czołgów na bliższą, zachodnią wyspę. Innym znów razem strzelała bateria artylerii angielskiej, używając jako punktu obserwacyjnego wieży wodnej, stojącej na samym skraju półwyspu. Jedyną rozrywką było gapienie się na bomby *V 1*, które terkocząc nam nad głową leciały na Antwerpię. O zmierzchu wszelki ruch zamierał, zaciągano placówki i posterunki. Żołnierze, udający się na spoczynek, wiedli przed zaśnięciem długie, pełne przeróżnych wspomnień, rozmowy. Przeklinano mróz, służby nocne, rzadkie urlopy, a ogólnie nudzono się. Anglicy bowiem chodzili na placówki, dragoni na patrole, a my, prawdę powiedziawszy, czuliśmy się jakby niepotrzebni na tym półwyspie. No bo jakie właściwie było nasze zadanie? W dzień i to rzadko, dalekie strzelanie z dział, a w nocy ochrona sprzętu i samych siebie. Tak było.

Jeden chyba tylko człowiek na półwyspie nie nudził się. Był to młody podporucznik, słusznego wzrostu, o niebieskich oczach i jasnej czuprynie. Będąc dowódcą obu plutonów czołgów, czyli tak zwanego „zgrupowania pancernego", chwalił sobie ogromnie samodzielność tej funkcji i cały dzień spędzał niezmordowanie na rozwiązywaniu rozlicznych trudności i problemów, których mu teren, ubezpieczenia, kuchnia, radiostacje, nieprzyjaciel i przełożeni nie oszczędzali. Nigdy nie tracąc humoru, był potrochu wszędzie. Przeglądał czołgi i broń, wyznaczał służbę, wyszukiwał stanowiska dla czołgów na wypadek jakiejś akcji, sprawdzał łączność, konferował z Anglikami, przekonywał oficerów z baterii, którzy poszatkowali niemieckie wyspy na małe kwadraciki numerowanych celów, że właśnie na te, a nie inne należało by położyć ogień, i t.d. i t.d. Z zapadnięciem wieczoru przesiadywał w swoim, jak lubił mawiać, H.Q., robił nowe plany, obchodził rejon czołgów, wracał, znów sprawdzał służbę, znów wracał i gdy wreszcie wyładował tak swoją energię, zasiadaliśmy przy zaimprowizowanym kominku i rozpoczynaliśmy, przeciągając się do późnej nocy, dyskusje. Gdy był w specjalnie dobrym humorze, to wówczas wyciągał pieczołowicie przechowywany w czołgu flet i urządzaliśmy „koncert życzeń", rozpoczynający się tradycyjnie piosenką *„Sur le pont d'Avignon"*. Lubiłem wtedy patrzeć na tego dużego chłopca, o pięknych rękach artysty i po raz nie wiem już który uświadamiałem sobie jak niezbadane są koleje losu i pobudki ludzkich

czynów, które sprawiły, że ten chłopiec jest tutaj, w wojsku polskim gdzieś w zapadłej holenderskiej wiosce. Bo cóż z tego, że pochodził on z polskiej, o wielkich tradycjach, rodziny, kiedy jego dziad i ojciec, on sam wreszcie, byli Francuzami, nie umiejącymi ani słowa po polsku. Teraz nawet mówił on jeszcze z wyraźnym, cudzoziemskim akcentem. A jednak było coś, co kazało mu, już po zajęciu Francji przez Niemców, dosłownie morze przepłynąć, by stanąć w szeregach Armii Polskiej.

* * *

Dzień 22 stycznia nie różnił się niczym od innych dni na półwyspie. Wszystko wydawało się iść normalnym trybem. Tyle tylko, że przed kilkoma dniami spadł śnieg i podkreślił jakby mocniej jeszcze panującą dokoła pustkę.

Późnym wieczorem, kiedy podporucznik odjechał na odprawę do angielskiego dowództwa, cała obrona została zaalarmowana niezwykle silną nawałą moździerzy i broni maszynowej. Zaraz też potem były wiadomości z półwyspu, że Niemcy korzystając z przypływu, przeprawili tam silny patrol. Jak się później okazało, celem niemieckiego wypadu było wysadzenie wieży wodnej, służącej artylerii za punkt obserwacyjny.

Niemcy, lądując w dwóch miejscach, podzielili się na trzy grupy, z których jedna zajęła się wieżą, druga likwidacją najbliższej placówki, trzecia podeszła niemal aż pod czołgi i rzuciła miny. Ogień moździerzy, wydłużony tylko nieco, trwał ciągle, przecinając drogi, prowadzące od lądu.

Podporucznik na pierwszą wiadomość o wypadzie, wsiadł do *scout · car'a* i nie bacząc na ogień, znalazł się bardzo szybko wśród swoich czołgów. Załogi były już w sprzęcie, lecz możność jakiegoś przeciwdziałania była mocno problematyczna. Noc, ciemno, żadnych konkretnych wiadomości. Na przedpolu, gdzie trwała bezładna strzelanina, mogli być równie dobrze Niemcy, jak i wycofujące się placówki. Podporucznik obszedł plutony, sprawdził ubezpieczenia piesze, wsiadł do swego czołga i wychylony z wieży, czekał, starając się przeniknąć wzrokiem ciemności nocy. W kilka minut potem ranny ciężko kulą karabinową, obsunął się bezwładnie w głąb wieży.

Tymczasem daleki ogień, kładziony na miejsce postoju czołgów, trwał dalej. Były już nowe straty: 1 zabity i 1 ranny. Wreszcie ogromny wybuch targnął powietrzem — to odpalono ładunek założony u podstawy wieży. Zaraz też odgłosy strzałów zaczęły uciszać się, oddalać i jakby konać w ciemnościach. Niemcy, osiągnąwszy cel, wycofywali się szybko.

Jeszcze tylko z daleka, gdzieś z zachodniej wyspy, szedł raz po raz ogień ckaemów.

Wkrótce potem cisza na nowo objęła półwysep.

Straty pułku wyniosły tej nocy: 1 ranny i 2 zabitych, bo w niespełna godzinę podporucznik Maria Andrzej książe Poniatowski, Kawaler Orderu „Virtuti Militari", zmarł na rękach wiozących go do szpitala żołnierzy.

ADAM OSTROMĘCKI, por.
1. Pułk Pancerny.

TESTAMENT ŻYWYCH

Dopóki utrzymamy karabiny w ręku,
Dopóki śmierć łaskawa głów nam nie pochyli,
Dopóki wolność żyje w konającym jęku,
Będziemy się bili!

Niech nas nie pouczają i niech nas nie straszą.
Niech nie grożą nadejściem tragiczniejszej chwili.
Choć najdłużej ze wszystkich dajemy krew naszą,
Będziemy się bili!

Nie mamy nic na sprzedaż i nic do oddania,
Chociażby kości nasze przed zgonem liczyli
Chociażby głos rozsądku walczyć nam zabraniał,
Będziemy się bili!

A kiedy świat urządzi pokojową party
Na której gorzki kielich polskich łez wychyli
My tragiczni rycerze Atlantyckiej Karty
Będziemy się bili!

RYSZARD KIERSNOWSKI

LIST SZKOCKI DO DYWIZJI

Lady Airlie, prezeska oddziału Towarzystwa Szkocko-Polskiego w Anglii przesłała na ręce dowódcy Dywizji list, z którego urywki w tłumaczeniu podajemy poniżej:

„Członkowie naszego oddziału prosili mnie na dorocznym walnym zebraniu o przesłanie w ich imieniu wyrazów uznania dla 1. Dywizji Pancernej, i jej Dowódcy, honorowego wiceprezesa oddziału Angus Towarzystwa Szkocko-Polskiego.

Oddział nasz z entuzjazmem powitał bojowe wyczyny Dywizji pod Caen, Falaise i wszędzie indziej we Francji, Belgii i Holandii, i z napięciem oczekuje dalszych szczegółów z jej działań. Szereg rannych żołnierzy Dywizji przebyło okres rekonwalescencji u swych przyjaciół w Angus, gdzie każdy z nich zawsze znajdzie „drugi dom".

Członkowie Oddziału zdają sobie sprawę, że ciężkie bitwy czekają jeszcze wszystkich; opłakują oni straty dotychczas poniesione przez Dywizję, ale wierzą, że Polskie Siły Zbrojne odegrają należną im wybitną rolę w końcowej fazie walki, która doprowadzi je do zwycięstwa i Ojczyzny.

Cieszą nas wiadomości, że Dywizja nie zapomniała o Szkocji, i że na ulicach belgijskich i holenderskich miasteczek częstokroć rozbrzmiewają melodie „Loch Lomond" i „My Bonnie".

Możemy zapewnić wszystkich żołnierzy Dywizji, że Towarzystwo Szkocko-Polskie nadal będzie starało się iść z pomocą polskim żołnierzom, kobietom i dzieciom pozostałym w Angus".

Kończąc, prosi Lady Airlie dowódcę Dywizji o pośrednictwo w przesłaniu życzeń świątecznych i noworocznych oddziału Angus Towarzystwa Szkocko-Polskiego, wszystkim żołnierzom Dywizji, którzy przebywali na terenie hrabstwa Angus.

MARSZAŁEK MONTGOMERY DEKORUJE ŻOŁNIERZY DYWIZJI I OTRZYMUJE Z RĄK GEN. MACZKA SREBRNY KRZYŻ VIRTUTI MILITARI

W dniu 25. XI. 1944 Marszałek Sir Bernard M. Montgomery wziął udział w podwójnej uroczystości: dekorowania żołnierzy 1. Dywizji Pancernej brytyjskimi odznaczeniami i przyjęcia z rąk Dowódcy Dywizji srebrnego krzyża Virtuti Militari.

Marszałkowi Montgomery towarzyszyli dowódca 1. Armii Kanadyjskiej generał Crerar oraz dowódcy korpusów wchodzących w skład tej armii.

W obecności pocztów sztandarowych oraz delegacji oddziałów Dywizji marszałek Montgomery dokonał aktu dekoracji Dowódcy oraz 13-tu oficerów i szeregowych Dywizji odznaczeniami brytyjskimi. Zawierają one 5 „Distinguished Service Orders", 1 „Order of the British Empire", 4 „Military Crosses" oraz 4 „Military Medals". Podobne odznaczenie nadane zostało ponadto pośmiertnie 2 żołnierzom Dywizji, oraz czterem innym żołnierzom, przebywającym obecnie w szpitalach.

W dalszym ciągu aktu dekoracji gen. Maczek w imieniu Prezydenta Rzeczypospolitej wręczył marsz. Montgomery srebrny krzyż orderu Virtuti Militari i w krótkim przemówieniu podkreślił, że odznaczenie to, nadawane za czyny wybitnego męstwa w obliczu nieprzyjaciela, łączy dowódcę i żołnierza. Dowódca Dywizji przypominając zwycięską kampanię inwazyjną pod rozkazami marsz. Montgomery wyraził pewność, że wraz z nim przejdziemy przez Niemcy, aż do ostatecznego pokonania nieprzyjaciela.

Zwracając się do żołnierzy 1. Dywizji Pancernej marsz. Montgomery wyraził radość z powodu dekorowania żołnierzy Dywizji, a zwłaszcza jej Dowódcy, oraz oświadczył, że poczytuje sobie za zaszczyt otrzymanie wysokiego odznaczenia polskiego w obliczu tylu oficerów i szeregowych tej Dywizji. Marsz. Montgomery podkreślił, że Dywizja w akcji nigdy nie zawiodła jego nadziei: Polska Dywizja Pancerna odegrała przy boku Kanadyjczyków czołową rolę w ostatnim decydującym stadium kampanii normandzkiej. Odwiedzając tam pole bitwy Dywizji, mógł on przekonać się naocznie, że Polacy mieli możność załatwienia część starych porachunków z Niemcami. W zwycięskim pochodzie naprzód Dywizja posuwała się w ramach armii kanadyjskiej, która zlikwidowała groźbę, jaką stanowiły dla wielkiej Brytanii wyrzutnie bomb latających na wybrzeżu francuskim.

Wzięła ona także znaczny udział w ważnych operacjach oczyszczania Belgii i południowo-wschodniej Holandii, zdobywając wreszcie miasto Bredę. Prasa nieraz bywa niedokładna w swych informacjach — oświadczył marsz. Montgomery — lecz nie miał on osobiście nigdy żadnych wątpliwości, co do osiągnięć Dywizji. Były one — zakończył marsz. Montgomery — doprawdy bardzo znaczne.

Wyrażając swą radość, że może to oświadczyć wobec tylu żołnierzy Dywizji, marsz. Montgomery wezwał ich do powtórzenia jego słów tym z pośród nich, którym nie dane było być obecnym na uroczystości.

„Dziennik Żołnierza" — Holandia, dn. 26 listopada 1944.

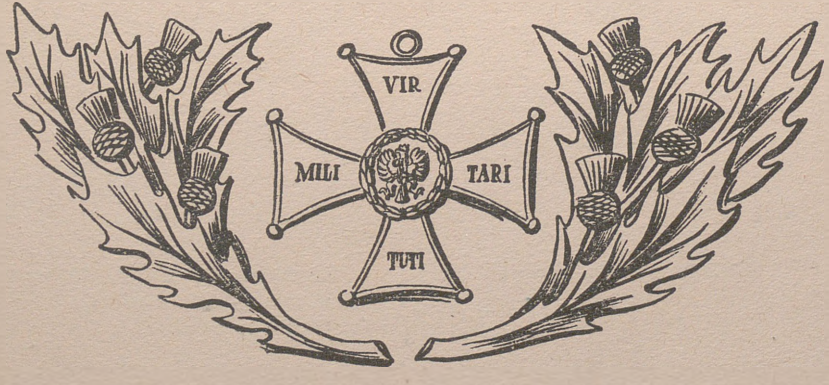

KULĄ W PŁOT



— Dokąd tak idziesz?
— Na kurs.
— Kurs? A po ile?

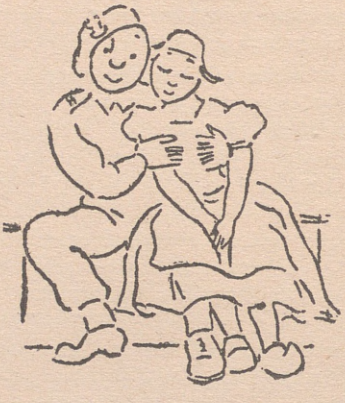

Nasi już holendrują...



Oświata wspiera żołnierza...



Napoleon powiedział, że masz mieć buławę marszałkowską w tornistrze, a ty co masz?!

Z „Dziennika Żołnierza 1. Dyw. Panc."

OD
BREDY
DO
WILHELMSHAVEN



Drogowskazy mówią o miejscach niedalekich bitew



Jeńców odsyłamy do tyłu



Holandia żegna nas po polsku



Flandryjczycy w szturmie

W S T Ę P

Podczas gdy Oddziały 2. Armii Bryt. przekraczały Wezerę, a oddziały 1. Armii Kanadyjskiej wolno posuwały się na północny-wschód, odcinając Holandię od Niemiec, 1. Dywizja Pancerna w składzie 2. Kanadyjskiego Korpusu znalazła się wieczorem dnia 9.IV w rejonie na południowy-wschód od Hengelo.

Nieprzerwanym marszem kołowym poprzez kompletnie zniszczone niemieckie Goch, przekroczyła ona kilku zgrupowaniami Ren pod Rees przebywając do rejonu koncentracji ponad 250 km. Mając w swym składzie baon belgijskich spadochroniarzy (SAS) znajdujących się już w styczności z nieprzyjacielem w rejonie Coevorden i 4. Kanadyjskiego Pułku artylerii Pancernej, Dywizja otrzymała zadanie działania w ogólnym kierunku na Emden. Na lewo od niej 2. Kanadyjska Dywizja Piechoty otwierała sobie drogę do Groningen, na prawo 4. Kanadyjska Dywizja Pancerna posuwała się wolno mając jako ostateczny cel Wilhelmshaven. Były to 3 lewo-skrzydłowe dywizje 1. Armii. Dopiero później 1. Kanadyjski Korpus odciął zachodnią Holandię pomiędzy Renem a Zuidersee zabezpieczając całkowicie akcję 2. Korpusu.

Dwa oddziały wydzielone z 1. Dywizji Pancernej przejęły i zabezpieczyły już poprzednio uchwycone przez Kanadyjczyków 2 punkty na przyszłym kierunku działania Dywizji: bliski Goor i wysunięte na północ Coevorden.

W dn. 14.IV Dywizja siadła okrakiem na granicy holendersko-niemieckiej. Zgrup. 10. Brygady Kawalerii Pancernej szykowało się do sforsowania Kanału Küsten, podczas gdy 3. Brygada oczyszczała teren holenderski spychając resztki Niemców do morza na północ od Winschoten. 5 dni walk nie tyle z doskonale zresztą bijącymi się choć nielicznymi Niemcami, jak z ogromną ilością zniszczeń i przeszkód w pociętym kanałami terenie, doprowadziły wreszcie żołnierza polskiego do postawienia swej zwycięskiej stopy na ziemi niemieckiej.

Po sforsowaniu Kanału Küsten w dn. 19.IV. 1945 roku 10 dni upływa na uciążliwym oczyszczaniu bagnistego i pokrytego siecią kanałów terenu na południe od rzeki Leda. Dopiero zdobycie przez wprowadzoną od zachodu 3. Kanadyjską Dywizję Piechoty miasta Leer i jednocześnie otwarcie drogi na kierunek bardziej wschodni przez sieć dopływów Ledy, pozwoliły na dalszy ruch Dywizji. W międzyczasie nastąpiła zmiana zadania Dywizji; nie Emden a Wilhelmshaven było jej celem. Emden mają zdobyć Kanadyjczycy.

W dn. 4 maja 1945 czołowe elementy Dywizji dochodzą na odległość 25 km od Wilhelmshaven. Tam zastaje Dywizję zawieszenie broni na froncie 21. Grupy Armii dnia 5.V. 1945 o godz. 08.00 rano, spowodowane bezwzględną kapitulacją wojsk niemieckich na tym froncie. W dniu 6.V 1. Dywizja Pancerna zajmuje swój pierwszy rejon okupacyjny na terenie pobitych Niemiec: północno-wschodnią część półwyspu Fryzyjskiego ze sławną bazą łodzi podwodnych Wilhelmshaven, miasteczkiem Jever i wyspami Wangerooge i Spiekeroog.

Osiągnięcia Dywizji w ciągu ostatniego miesiąca wojny mogą być mierzone wyjątkowym wysiłkiem saperów usuwających setki przeszkód, budujących dziesiątki mostów w tym nad wyraz niekorzystnym terenie dla ruchu każdego rodzaju wojska, a zwłaszcza broni pancernej.

UWAGA: patrz mapa po str. 328.

Dywizja straciła w tym okresie walk 37 oficerów i 567 szeregowych biorąc ponad 5.000 jeńców w tym 48 oficerów.

Przeciwnikiem jej były różne oddziały niemieckie, głównie jednak formacje marynarzy.

Warto wspomnieć o szeregu uwolnionych w czasie ostatnich walk Dywizji obozów polskich i innych narodowości, wśród których znalazł się obóz Niederlangen — 1700 Polskich kobiet A.K.

* * *

Przerzucenie Dywizji z Bredy pod Hengelo kosztowało 136.000 galonów benzyny. Wysiłek plutonów benzynowych, pracujących bez wytchnienia przez 36 godzin, pozwolił pokryć to — największe z dotychczasowych w jednym przemarszu — zużycie mat. pędnych i Dywizja bez żadnego opóźnienia weszła do akcji.

Szybki ruch, oddalający od składów korpuśnych i armijnych oraz wydłużający nieznośnie linie komunikacyjne, wiszące na nielicznych mostach sprawił, że głównym zagadnieniem do rozwiązania było zaopatrzenie w amunicję. Dywizja, wyposażona w czołgi Sherman z działem 76 mm, była w korpusie jedynym posiadaczem sprzętu o tym kalibrze. Niewystarczające zapasy amunicji 76 mm w składach korpuśnych zmuszały Dywizję do stałych poszukiwań i niezwykle oszczędnej gospodarki, którą trudno było godzić z zadaniami, nakazującymi stały pośpiech w ruchu naprzód.

Pomoc, początkowo chaotycznie organizowana przez niezupełnie przygotowane do rozwiązania zagadnień PWX i DP dowództwa szczebli wyższych, odbijała się na pracy oddziałów sanitarnych usiłujących utrzymać minimum wymaganej higieny oraz oddziałów zaopatrywania, zmuszonych do dodatkowych świadczeń w żywności, a głównie w transporcie, nad użyciem którego trzeba było roztoczyć surową kontrolę.

Na przestrzeni od Bredy do Wilhelmshaven czyli w ciągu 26 dni Dywizja zużyła 2025 ton amunicji. Praca na rzecz II. Korpusu Kanad. wyraziła się liczbą 1000 wozów/dni. Oddziały warsztatowe naprawiły 47 czołgów i 192 pojazdy różnych typów.



KALENDARZ DZIAŁAŃ DYWIZJI

6.IV. Dywizja weszła w skład 2. Korpusu Kanad. będącego w walce na płn. brzegu Renu.

Przygotowania do wymarszu i zdania odcinka obrony sąsiadom. Po południu przybył na wizytację Dywizji p.o. Naczelnego Wodza — gen. dyw. Anders.

7.IV. W godzinach popołudniowych zostały sformowane dwa oddziały wydzielone.

O.W.2. w składzie B.S.P., szw. 10. P.S.K., dyon 2. PAM., 10. i 11. komp. Sap. oraz plut. mostowy z zadaniem uchwycenia na kanale przedmościa Goor. O.W.1. w składzie 10. P. Drag., 10. P.S.K. bez szw., 3/1. P.A.Ppanc., 2/2 P.A.M. — z zadaniem przejęcia od Baonu Strzelców Spadochronowych Belgijskich (1. S.A.S.) Coevorden i rozpoznania w kierunku na Emmen. Oddziały wydzielone przeszły trasą: s'Hertogenbosch, Beek, przekroczyły poraz pierwszy granicę niemiecką w rej. Gennep, następnie przez Goch, Calcar, przeszły Ren koło Rees, po czym ponownie weszły na terytorium holenderskie, przechodząc przez Anholt, Terborg, do miejsc przeznaczenia. 10. P.S.K. maszerował oddzielnie. Całość 10. Bryg. Kaw. Panc. wyruszyła tego samego wieczora.

8.IV. Dywizja znajdowała się w marszu do rejonu koncentracji Goor — Neede — Borculo — Lochem trasą jak wyżej.

9.IV. Rejon koncentracji osiągnięty został w godzinach rannych po 18 godzinach forsownego marszu (ponad 250 km) O.W.1. przejął od 1. S.A.S. węzeł Coevorden i rozpoczął rozpoznanie przepraw na kanale w kierunku na Emmen. O.W.2. osiągnął rejon Goor i zorganizował przedmoście. O godzinie 19-tej zgrupowanie 3. Bryg. Strz. (skład: 3. Bryg. Strz. bez 9. B.S. wzmocniona 2. P.Panc., Szw. 10. P.S.K. dyonem 2. P.A.M. i 1. P.A.Ppanc., 11. Komp. Sanit., 11. Komp. Sap.) wyszło do działania z przedmościa Goor i późnym wieczorem opanowało w walce rejon Nijverdal (B.S.P.) i Wierden (8.B.S.)

10.IV. Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. osiągnęło, po uciążliwym marszu w godzinach rannych, rejon Hardenberg — Kloosterhaar — Marienberg.

Zgrupowanie 10. Bryg. Kaw. Panc. doszło po południu do rejonu płn. Balderhaar.

O.W.1. późnym wieczorem opanował miasto i rejon Emmen. 10. P.S.K., bez dwóch szwadronów, wzmocniony szwadronem dragonów, działając w kierunku na Westerbork, nawiązał łączność z Baonem Spadochroniarzy Francuskich, zrzuconych przed dwoma dniami celem uchwycenia przepraw na kanale Oranje.

11.IV. 10. P.S.K. w ramach O.W.1. od rana rozpoznawał na kierunku Ter Apel oraz Odoorn i Borger napotykając na opór na zach. od Ter Apel.

Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. osiągnęło po południu rejon Weerdinge, skąd intensywnie rozpoznawało drogi wyprowadzające w kierunku na płn. i płn.-zach.

Wieczorem B.S.P. opanował po krótkiej walce Ter Apel. 10. Komp. Sap. ubezpieczona komp. z 9. B.S. przerzucona została wzdłuż zach. brzegu rz. Ems, przechodząc terenem zdobytym przez oddziały 4. Kanad. Dyw. Panc. do rejonu Haren celem zbudowania tam mostu na rzece.

12.IV. Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. wzmocnione 1. S.A.S. podjęło dalszą akcję w kierunku płn. Dwa O.W., każdy w składzie komp. 8. B.S. i szw. 2. P. Panc. działały w pasie rz. Ems - kanał Vereenigd z zadaniem ewentualnego uchwycenia przepraw w rejonie Weener i Rhede, zostały one jednak zatrzymane na skutek silnych przeszkód terenowych (zniszczone mosty na licznych kanałach) na płd. od Vlagtwedde. 1.S.A.S. działając na kierunku Winschoten doszedł do Veele, gdzie utknął na kanale.

Zgrupowanie 10. P.Drag. (skład jak w dniu 7.IV) zajęło w walce rejony Borger i Buinen.

Po południu zgrupowanie 3. Bryg. Strz. przeszło do rejonu Ter Apel, oddziały wydzielone pozostały nadal w walce na przedpolu.

Zgrupowanie 10. Bryg. Kaw. Panc. (1.P.Panc., 24 P.Uł., 9. B.S., 1. P.A.M., dyon 1.P.A.Ppanc. i elementy sap.) pozostawało w ciągu dnia w rejonie Emmen w oczekiwaniu na ukończenie mostu w rejonie Haren, przed dalszą akcją na Papenburg i Leer po wsch. brzegu rz. Ems.

13.IV. Zgrupowanie 10.P.Drag. oczyściło Borger, Gasselte i Gieten osiągając szw. 10. P.S.K. rej. Veendam.

Nowy O.W.1. ze zgrupowania 3. Bryg. Strz. w składzie dwa szwadrony 2. P.Panc. i dwie komp. 8. B.S. rozpoczął działanie na Boertange i Rhede. W godzinach wieczornych po pokonaniu wielu przeszkód terenowych i stoczeniu ciężkiej walki z przeważającym nieprzyjacielem (baon piechoty morskiej z bronią ppanc.) opanował i oczyścił płd.-zach. część Boertange i lasy na płd.-wsch.

Nowy O.W.2. (Plut. Rozp. carrier'ów z B.S.P., Plut. Rozp. czołgów 2. P.Panc., plut. strz. z 8. B.S. i B.S.P. oraz dwa działa ppanc., osiągnął w południe rejon Wedde, a do wieczora po uciążliwych walkach opanował rejon Blijham, otwierając drogę 1.S.A.S. przez obejście oporu na kanale koło Veele.

Po południu komp. B. S. P., wsparta działami ppanc. samobież. użytymi jako czołgi, po krótkiej i zaciętej walce wręcz, opanowała Tange.

W wyniku całodziennego działania oddziały czołowe Zgrup. 3. Bryg. Strz. znalazły się w odległości do 4 km od Winschoten.

14.IV. Zgrupowanie 10. Bryg. Kaw. Panc. przeszło rz. Ems po ukończonym moście w Haren wchodząc w styczność z nieprzyjacielem na kanale Küsten. Próba sforsowania kanału przez zgrupowanie 9.B.S. (9.B.S., szw. 24. P.Uł. i 10. Komp. Sap.) nie dała wyniku mimo sporych strat, na skutek dobrze zorganizowanej obrony. Rano O.W.1. działając dalej w kierunku płn. obszedł Rhede od zach. Równocześnie O.W. 2. doszedł do toru kolejowego na płn. Munterdam, gdzie utknął na zniszczonym moście. Wieczorne natarcie 1.S.A.S. na Winschoten załamało się na kanale Hooeddiep.

8. B.S. oczyścił wsch. brzeg kanału Vereenigd w rejonie płn.-wsch. od Vlagdvedde.

15.IV. Koncentryczne działanie B.S.P. od zach. i 1. S.A.S. od płd. doprowadziło do zdobycia węzła Winschoten.

O godz. 18.52 patrol ze zgrupowania 3. Bryg. Strz. dotarł do morza Północnego w zatoce Dollard, 4 km na zach. od granicy niemieckiej.

O.W.1. w składzie 2. P.Panc. bez szwadronu i plut. rozp. + dwie komp. 8. B.S. znajdował się w ciężkiej walce w rejonie Rhede.

Zgrupowanie 10. Bryg. Kaw. Panc. ponawiało dwukrotnie forsowanie Küsten-Kanal (9.B.S.) bez rezultatu.

Dragoni wzmocnieni szw. 10. P.S.K. oczyścili teren między rzeką Ems a granicą holenderską na płn. od Haren.

16.IV. W ciągu dnia zgrupowanie 3. Bryg. Strz. oczyściło w walce Finsterwolde, Nieuwe Beerta i Nieuwe Schans oraz Belling-Wolde.

O.W.1. po uciążliwych walkach opanował po południu płd. skraj Stapelmoor.

10. P.Drag., który wszedł w zgrupowanie 3. Bryg. Strz. oczyszczał nadal pogranicze niemiecko-holenderskie na płd. od Rhede, opanowując Heede.

17.IV. Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. (bez 1.S.A.S.) znajdowało się w styczności z nieprzyjacielem na wszystkich kierunkach. Po południu O.W.1. oraz 10. P.Drag. po bardzo ciężkiej walce opanowały Rhede. (gdzie zniszczony został zupełnie jeden baon niemieckiej piechoty morskiej).

Od wieczora kierunek działania 10. Bryg. Kaw. Panc. (Lathen, Papenburg) stał się głównym kierunkiem działania Dywizji.

18.IV. Do wieczora po walkach O.W.1. i 10. P.Drag. opanowały rejon Borsum. Szw. 10. P.S.K. oczyszczał rejon Walchum — Heede z dywersyjnych grup nieprzyjaciela.

W ramach zgrupowania 10. Bryg. Kaw. Panc. odbywało się przegrupowanie oddziałów do akcji na Küsten-Kanal.

19.IV. O godzinie 10.30 po silnym przygotowaniu artyleryjskim i bombardowaniu lotniczym, 10. Bryg. Kaw. Panc. (w składzie 1. P.Panc., 24. P.Uł., B.S.P., 9. B.S., Szw. C.K.M., 10. Komp. Sap. i plut. z 11. Komp. Sap., 10. Komp. San., szw. Crocodile) przeszła do działania, forsując zgrupowaniem 9. B.S. Küsten-Kanal i organizując przedmoście. Działanie to powiodło się chociaż przygotowane i ukryte na brzegu łodzie do forsowania zostały w połowie zniszczone ogniem artylerii i moździerzy Npla. 10. Komp. Sap. w bardzo szybkim tempie wybudowała most umożliwiając jeszcze tego samego dnia przeprawę sprzętu pancernego. Zgrupowanie 1. P.Panc. (1. P.Panc., dwie komp. B.S.P., plut. Crocodile) uchwyciło pod wieczór wyjścia z lasów jako podstawę do działania na Aschendorf w dniu następnym.

Na zach. brzegu Ems 2. P.Panc. i szw. dragonów opanował Brual.

20.IV. Zgrupowanie 1. P.Panc. po ciężkich walkach opanowało po południu Aschendorf i oczyściło Nenndorf i Tunxdorf.

Inne zgrupowanie w składzie 24. P.Uł. bez szw. i B.S.P. bez dwóch komp., bateria art. ppanc., plut. Crocodile, osiągnęło płd. i płd.-wsch. skraj Papenburg.

W pasie działania 3. Bryg. Strz. na zach. od Ems wyszło o świcie kilka lokalnych przeciwnataré niemieckich. (Siddeburen, Nieuwolda, Nieuwe Beerta) uzyskując chwilowo powodzenie. Własne przeciwuderzenie odrzuciły nieprzyjaciela i przywróciły poprzednią sytuację.

Wieczorem 3. Kanad. Dyw. Piech. rozpoczęła luzowanie zgrupowania 3. Bryg. Strz.

21.IV. Do południa zgrupowanie 10. Bryg. Kaw. Panc. zajęło Papenburg (B.S.P. i 24. P.Uł.).

W akcji oczyszczającej na płn. i na płn.-wsch. zajęte zostały miejscowości Vollener — Fehn (1.P.Panc. i 9.B.S.) i Gr. Walderfeld (24. P.Uł.).

Zgrupowanie 8.B.S. (8.B.S., 10.P.S.K.) w całodziennej akcji oczyściło rejon między Küsten-Kanal, Splitting-Kanal i Börger - Wald - Kanal, na którym uchwycono most koło Börgermoor. Do wieczora wszystkie oddziały zgrupowania 3. Bryg. Strz. na zach. od rz. Ems zostały zluzowane przez Kanadyjczyków.

22.IV. Zgrupowanie 10. Bryg. Kaw. Panc. opanowało w ciągu dnia Ihrhove, Ihren (1. P.Panc., 9.B.S.) oraz Kollinghorst-Bakemoor (24. P.Uł., komp. B.S.P.).

Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. (10. P.Drag., 2. P.Panc.) koncentrowało się w rejonie Ter Apel celem przejścia w dniu następnym do działania na kierunku zgrupowania 10. Bryg. Kaw. Panc. 10. P.S.K. działając w ramach zgrupowania 8. B.S. opanował miejscowości Bockhorst i Neu, pokonując poważne przeszkody terenowe.

Zgrupowanie 8. B.S. zostało wzmocnione dyonem art. ppanc.

23.IV. Zgrupowanie 10. Bryg. Kaw. Panc. oczyszczało teren w widłach rzek Ems i Leda, rozpoznając przeprawy.

Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. przeszło do rejonu Holte — Ihren — Kollinghorst, rozpoznając swój przyszły kierunek działania Kollinghorst — Posthausen (10. P.Drag.).

10. P.S.K. z komp. 8. B.S. opanował Langholt.

24.IV. Po przeorganizowaniu się w ciągu nocy zgupowanie 3. Bryg. Strz. (B.S.P., 10. P.Drag., 24. P. Uł., Szw. C.K.M., 10. Komp. Sap.) walczyło o dojście do Posthausen.

10. P. Drag. ze szw. 24. P.Uł. po ciężkiej walce sforsował dwa kanały, a jego rozpoznania osiągnęły skraje Posthausen.

Zgrupowanie 8. B.S. osiągnęło Ostrhauderfehn.

Zgrupowanie 10. Bryg. Kaw. Panc. (1. P.Panc., 2. P. Panc., 9. B.S.) znajdowało się w styczności z nieprzyjacielem na linii Ems — Leda. W dniu tym specjalnie zaznaczył się wysiłek artylerii dywizyjnej, wzmocnionej 4. Kanad. P.A.C., która załamała kilka przeciwnatarć Npla na kierunku działania 3. Bryg. Strz.

25.IV. W ciągu nocy 10. Komp. Sap. pod ciężkim ogniem Npla, ponosząc duże straty w ludziach i sprzęcie, wybudowała most na kanale Hault-Fehn.

10. P. Drag., wsparty czołgami 24. P.Uł. i ogniem 2. P.A.M., opanował po ciężkich walkach Posthausen i rozpoznawał przeprawę na rz. Leda.

Zgrupowanie 8. B.S. w działaniu na wsch. w bardzo uciążliwym terenie, osiągnęło Strücklingen (szw. 10.P.S.K.) B.S.P. oczyszczał teren na płd. od Posthausen.

26.IV. W ciągu dnia B.S.P. oczyścił rejon między rz. Leda i kanałem Hault-Fehn (droga na Rhaudemoor) oraz rejon lasów Bokelesch.

10. P.Drag. wsparty 10. Komp. Sap. i ogniem czołgów 24. P.Uł. oraz ogniem 2. P.A.M. i 4. Kand. P.A.C. po uprzednim przygotowaniu lotniczym (Typhoon'y) sforsował po

południu rzekę Leda, staczając ciężkie walki z obroną Npla na płn. od Posthausen.

27.IV. O świcie Niemcy usiłowali wypadem wyrzucić dragonów ze zdobytego przedmościa, zostali jednak odrzuceni w kierunku płn. B.S.P. oczyścił całkowicie rejon Bokelesch.

Zgrupowanie 8. B.S. opanowało i oczyściło rejon Bollingen. Przeciwuderzenie niemieckie w nocy 27 na 28 zostało odrzucone. Po południu nastąpiła reorganizacja zgrupowań brygadowych.

Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. (w składzie: B.S.P., 8. B.S., 10. P.S.K., 24. P.Uł., 10. i 11. Komp. Sap., dyon art. ppanc) wsparte całością Artylerii Dywizyjnej, kontynuować miało działanie na tym samym kierunku.

Zgrupowanie 10. Bryg. Kaw. Panc. miało być użyte do działania przez Leer w kierunku na Wilhelmshaven.

28.IV. B.S.P. i szw. 24. P.Uł. poszerzyły przedmoście na rz. Leda (opanowano Terheiden) umożliwiając saperom budowę i naprawę przepraw.

Zgrupowanie 8. B.S. oczyściło rejon Heiselberg, Scharrel, Hollen i Ramsloh.

W tym dniu 3. Kanad. Dyw. Piech. forsowała rz. Ems i Leda w rejonie Leer.

29.IV. Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. kontynuowało działania na Stickhausen, rozpoznając przeprawę na rz. Jumme.

8. B.S. rozpoznawał na kierunku Barsel.

30.IV. 8. B.S. współdziałając z jedną komp. B.S.P. oczyścił do wieczora rejon od Bokelesch i Bollingen do Elisabeth-Fehn-Kanal. 10. Bryg. Kaw. Panc. (w składzie organicznym bez 24. P.Uł. wzmocniona 9. B.S., 1. P.A.M., dyonem art. ppanc., 10. Komp. Sap. i 10. Komp. Sanit.) działając przez przedmoście Leer osiągnęła: — zgrupowaniem 1. P.Panc. (1. P. Panc. bez szw., 9. B.S. bez dwóch komp. i plut. sap.) miejscowości Loga i Loga-Birum, — a zgrupowaniem 2. P. Panc. (2.P. Panc., dwie komp. 9. B.S.(szw. drag., dyonem art. ppanc., druż. sap.) rejon Brunn i Brinkum.

1.V. Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. sforsowało rz. Jumme, opanowując rejon Stickhausen — Detern (B.S.P.) Saperzy intensywnie pracowali nad budową mostów i naprawą komunikacji (300 m mostu i 450 stóp lejów w drogach).

Zgrupowanie 1. P.Panc. osiągnęło rejon Normoor i Filsum nawiązując łączność z B.S.P.

Zgrupowanie 2. P.Panc. opanowało Hesel i las Staatsforst.

10. P.S.K. wzmocniony komp. z 8. B.S. śmiałym wypadem na tyły ugrupowania niemieckiego uchwycił Remels i cztery mosty na kanale Nord - Georgsfehner.


WYSPY FRYZYJSKIE
HOLANDIA
ZUIDER ZEE
AMSTERDAM
HAGA
NIEMCY
WILHELMS-HAVEN
WEVER
EMDEN
WESTERSTEDE
BETERN
OLDENBURG
CRONINGEN
WINSCHOTEN
PAPENBURG
ASCHENDORF
TER APEL
LATHEN
EMMEN
HAREN
COEVERDEN
ALMELO
RIJSSEN
HENGELO
GOOR
BORCULO
REES
GENNEP
GOCH
HERTOGENBOSCH
BREDA
TILBURG
0 10 20 40 60 80
KLM.
"OD BREDY DO WILHELMSHAVEN"
MARSZ PODRÓŻNY DYWIZJI
DYWIZJA W WALCE.

2.V. Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. czekało na wykończenie mostu na rzece Jumme.

B.S.P. działając samodzielnie w kierunku na Apen opanował Bokel.

10. P.S.K. wzmocniony komp. 8.B.S. i szw. 2. P.Panc. po bardzo ciężkich walkach opanował Gross-Sander i został zatrzymany 3 km na zach. od Moorburg przez niemieckie działa samobieżne.

Zgrupowanie z 10. Bryg. Kaw. Panc. w składzie 10. P. Drag., 1. P.Panc., komp. 9. B.S. i komp. 8. B.S. działa oskrzydlając na Moorburg dla otwarcia drogi Gross-Sander — Moorburg.

3.V. Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. po wykończeniu przez 11. Komp. Sap. mostu i usunięciu wielu przeszkód terenowych przeszło do Bokel, B.S.P. osiągnął Apen nawiązując łączność z 4. Kanad. Dyw. Panc.

Zgrupowanie z 10. Bryg. Kaw. Panc. w ciągu dnia opanowało Moorburg, osiągnęło Westerstede (2. P.Panc.),Felde (10. P. Drag.) i zdobyło Halsbek oraz rejon 2 km na płn.-wsch. (1. P.Panc.)

4.V. Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. otwierało drogę z Apen do Westerstede.

10. Bryg. Kaw. Panc. napotkała na silniejszy opór nieprzyjaciela w rejonie płn.-wsch. Halsbek (pas obrony Wilhelmshaven), który próbowało przełamać bronią pancerną, lecz zmuszona była przerwać działania celem podciągnięcia artylerii. 10. P.S.K. z komp. 8. B.S. rozpoznając na płn. od Halsbek zatrzymany został w rejonie Astederfeld przez silny opór i zniszczenia.

O godz. 22.15 Dywizja otrzymała rozkaz przerwania działań ofensywnych oraz przerwania ognia od godz. 8-ej rano dnia następnego w związku z mającą nastąpić kapitulacją dowództwa niemieckiego na odcinku frontu 21. Grupy Armii.

5.V. W ciągu nocy trwały nawały Artylerii Dywizyjnej, przerwane o godz. 07.59.

Wszelkie działania bojowe zostały przerwane. Linia frontu nieprzyjaciela cofnęła się na wysokość Jade-Kanal.

Zgrupowanie 3. Bryg. Strz. przeszło do rejonu Apen-Westerloy-Westerstede jako odwód Dywizji.

6.V. Dywizja zgrupowaniami bojowo-okupacyjnymi obsadziła przydzielony jej rejon, zajmując Wilhelmshaven, Jever, Neuenburg, Zetel i inne mniejsze miejscowości.

OSTATNI ETAP

DYWIZJA zasiedziała się w rejonie Bredy. Półroczny bezmała pobyt wystarczył żołnierzowi by zadomowić się w mieście, które obdarzyło go honorowym obywatelstwem, przywyknąć do podłego holenderskiego piwa i nauczyć się porozumiewać z miejscowymi przedstawicielkami płci pięknej jakąś niezwykłą, powiązaną licznymi słowami polskimi, mieszaniną angielskiego i francuskiego.

O kilkanaście kilometrów od Bredy, na północnym brzegu Mozy, zmęczeni nieudanym zimowym wysiłkiem Rundstedta w Ardenach — Niemcy zachowywali się biernie i przypominali o swym istnieniu jedynie latającymi bombami, wysyłanymi licznie na pracujący pełną parą port w Antwerpii.

Ustawione gęsto pomiędzy Antwerpią a Bredą dywizjony i pułki artylerii przeciwlotniczej witały gwałtownym ogniem każdą, z niesamowitym warkotem w kierunku Belgii pędzącą, V 1.

Wiosna zapowiadała się wcześnie wróżąc dalsze postępy Sprzymierzonych, do których na południu Amerykanie, a na północy Anglicy i Kanadyjczycy starannie się przygotowywali. Znane nam oddziały 1. Brytyjskiego Korpusu przesuwały się naprzód pozostawiając nas — osamotnionych — na pociechę Holendrom tak, że pewnego pięknego marcowego dnia znaleźliśmy się na obszarach oddanych we władanie *Lines of Communication,* których *Netherland District* ulokował swoje dowództwo obok Bredy.

Dywizja została podporządkowana dystryktowi obszarów poza-frontowych. Wszystkim nam miny się wydłużyły. Zostaliśmy wyklinowani z korpusów, które poszły forsować Ren, by triumfalnie wkroczyć na teren Niemiec. Niemniej był zmartwiony sztab dystryktu. Jego oficerowie, noszący na rękawach — jako znak rozpoznawczy dystryktu — pięknie na białym polu haftowane niebieskie holenderskie wiatraczki, zupełnie nie wiedzieli co z nami robić. Po raz pierwszy w 21. Grupie Armii zdarzyło się, że dywizja pancerna została oddana pod dowództwo *Lines of Communication.*

Byliśmy jedyną pancerną dywizją dystryktu, byliśmy w ogóle jego jedyną dywizją, bo poza nami rozporządzał on tylko jakimiś kompaniami transportowymi, warsztatowymi, zaopatrzeniowymi oraz licznymi instytucjami tyłowymi wojska, w których towarzystwie od sierpnia ubiegłego roku szliśmy ślad w ślad za nieprzyjacielem, a które teraz, daleko przed nami, szykowały się do skoku przez Ren, by ostatecznie już chwycić Niemców za gardło, tym razem na ich własnej ziemi.

23 marca o godzinie 21.00 cztery bataliony szkockiej 51. Dywizji, poprzedzone silnym przygotowaniem artyleryjskim oraz zrzuceniem 25.000 ton bomb przez *Bomber Command,* ruszyły na łodziach szturmowych królewskiej marynarki wojennej przez Ren i po 7 minutach zameldowały, że pierwsza fala natarcia znalazła się na wschodnim brzegu rzeki. Operacja Plunder została rozpoczęta. Uzupełniła ją operacja Varsity, w której — rozpoczynając działanie o godzinie 10.00 dnia 24 marca — dwie dywizje spadochronowe, liczące razem 14.000 żołnierzy, uchwyciło wzniesienia terenowe na wschodnim brzegu Renu około 8 km na płn. od Wesel. 1700 samolotów i 1300 szybowców wzięło udział w tej akcji.

W 24 godziny po wyruszeniu szkockich batalionów już był wybudowany lekki most pontonowy Bailey'a, a w 4 dni później 8 mostów klasy 40 zapewniało komunikację przez opiewany w pieśniach niemieckich *minnesingerów,* dumny Ren.

Czuliśmy wyraźnie, spędzając nieco smutną Wielkanoc w Bredzie, że rozpoczął się — bez nas — ostatni etap tej wojny.

Lecz w kilka dni później nastąpiło ożywienie. Otrzymaliśmy rozkaz podporządkowujący nas 2. Korpusowi Kanadyjskiemu, w składzie którego od Caen aż po Gandawę pisaliśmy nasz dziennik bojowy.

Odwołano przepustki i urlopy, ba — nawet śluby — i zaczęto śpiesznie gotować się do tak niecierpliwie wyczekiwanego wejścia na teren Rzeszy. Czekano na ten moment z pewną domieszką emocji. Nie bardzo wiedziano jak będą wyglądać Niemcy w ich własnym kraju. Niektórzy z nas wyobrażali ich sobie trochę — jak dotychczas często widzianych — ponurych, z błyskiem zdziczenia w oczach, złapanych *sniper'ów* — niezawodnych strzelców niemieckich, polujących z ukrycia na alianckich żołnierzy, lub młodych, niejednokrotnie już branych do niewoli, wychowanych w *Hitlerjugend* fanatyków z wyborowych pancernych dywizji *SS Leibstandarte Adolf Hitler, SS Das Reich* czy innych.

Tymczasem już pierwsze spostrzeżenia przekonały nas o nietrafności tych przypuszczeń.

Jadąc z Bredy do kwatermistrza 2. Korpusu, by zameldować się u niego i omówić szereg ważnych szczegółów związanych z oddaniem Dywizji pod rozkazy Kanadyjczyków, zdumiony byłem z jednej strony zupełnie doskonałym zniszczeniem naprawdę zrównanych z ziemią miast Cleve i Emmerich, a z drugiej ilością, smętnie na deszczu powiewających, białych flag i uniżoną uprzejmością, kłaniających się na widok przejeżdżającego wojskowego samochodu osobowego, Niemców.

Droga, świetnie wytyczona, prowadziła przez utorowane olbrzymimi motorowymi pługami w gruzach ulice, a dość niezwykle wyglądały w Cle-

ve liczne tablice, wskazujące wśród tych uporządkowanych, sproszkowanych domów, drogę do *Officers Club*, który — rzeczywiście — mieścił się w jednym z cudem wydawałoby się, ocalałych domów na wschodnim skraju miasta.

U Kanadyjczyków dowództwo Korpusu, jak zwykle bardzo wysunięte do przodu, pracowało w lasku w dużych namiotach, starsi oficerowie mieszkali w wygodnych *caravans, whisky, gin* lub piwo — co kto woli — podawano w barze w namiocie poczym jedzono *lunch* również w namiocie, tylko trochę większym i ozdobionym tablicami, przedstawiającymi znaki rozpoznawcze dywizyj, które w ciągu kampanii wchodziły w skład Korpusu. Skrzydło husarskie Polskiej Dywizji Pancernej, przypominało piękne dni chlubnych walk dywizji pod Falaise i Chambois.

Rozkazy były wyraźne. Dywizja w dwa dni miała znaleźć się na obszarze działań Korpusu, z miejsca wchodząc do akcji, mającej na celu odcięcie — wciąż jeszcze przez Niemców zajmowanej — północnej Holandii od Rzeszy.

Gdy się spojrzy na arkusz mapy Walcheren — Amsterdam w podziałce 1:250000 to dopiero wtedy, mierząc po drodze *Maple Leaf Up* przez Tilburg — s'Hertogenbosch — Nijmegen — Cleve — Emmerich — Borculo odległość, jaką z Bredy Dywizja miała pokryć w tak krótkim czasie, jasnym się staje, że było to zadanie poważne, szczególnie że dwa silne O.W. miały natychmiast pójść do akcji, by zapewnić dywizji przeprawy przez Twente Kanal do dalszego działania na północ.

Przysłane przez 1. Kanadyjską Armię kompanie czołgowych transporterów zaopiekowały się naszymi *Shermanami* i *Cromwell'ami* przenosząc je na swoich grzbietach o 200 km dalej na wschód, gdzie czekała na nie poważna robota. Nie obyło się bez trudności, bo przy okazji tej podróży wyszło na jaw, że cyfry etatów brytyjskich odbiegają nieco od stanu ilościowego czołgów Dywizji. Niektórzy zapobiegliwi dowódcy potrafili, w przerwach pomiędzy jedną a drugą bitwą, uciułać po kilka — na wszelki wypadek zaoszczędzonych — czołgów, organizując z nich prywatne, przyboczne plutony. Idąc do akcji nie można było przecież zostawić tych oszczędności w Bredzie. Dodatkowe zamówienia na transportery, pomoc dowódcy oddziałów warsztatowych, wreszcie dobre stosunki z *movement control* sprawiły, że siła pancerna dywizji nie została w niczym uszczuplona i wszystkie czołgi na czas znalazły się w Kanadyjskim Korpusie.

Nigdy jeszcze Dywizja w tak krótkim czasie nie spaliła tyle benzyny, co podczas tego właśnie przemarszu.

Pluton benzynowy Kompanii Zaopatrywania, który poszedł w pierwszej kolejności wraz z oddziałami wydzielonymi, zabrał na swoich 3-tonowych samochodach 24.000 galonów benzyny. Zostały one wprost rozchwyta-

ne. Punkt benzynowy cieszył się fantastycznym powodzeniem. Wydawana benzyna była natychmiast uzupełniana ze składów korpuśnych i w ten sposób w ciągu 30 godzin wydano oddziałom 13.600 galonów. Ponieważ 1 galon zawiera w sobie 4.54 litra, łatwo obliczyć, że była to ilość 607.440 litrów, wydanych na pokrycie dokonanego przez silniki dywizyjne w ciągu dwóch dni zużycia. Dla porównania dodam, że w Polsce w 1937 czy 38 roku Centrum Wyszkolenia Broni Pancernej rozporządzało kontyngentem rocznym 600 tysięcy litrów benzyny.

Niemiecki opór organizowany był doraźnie przez gwałtownie zbierane i kompletowane oddziały, wykorzystujące liczne przeszkody wodne i skrupulatnie niszczące wszystkie mosty i mostki.

Saperzy pracowali bez wytchnienia kładąc nad kanałami i rzeczkami setki metrów mostu Bailey'a i umożliwiając ruch dywizji wbrew wysiłkom różnych *Kampf-Gruppen*.

By wysiłki te nie trwały zbyt długo, nie oszczędzano amunicji, każdy opór łamano ogniem i jeżeli cokolwiek zatrzymywało oddziały w ich ruchu naprzód, to były to tylko zniszczenia napotykane na drogach, groblach lub przeprawach wodnych.

Zapotrzebowania na amunicję płynęły wartkim strumieniem. Zapasy II. linii szybko zaczęły się wyczerpywać i coraz częściej zaopatrzone czerwonymi tabliczkami wozy oddziałów musiały wyczekiwać na punkcie amunicyjnym na nadejście pożądanego ładunku. A tymczasem stały i żwawy ruch korpusów 21. Grupy Armii oddalał je coraz bardziej od portu w Antwerpii, wydłużał linie komunikacyjne, opóźniał transporty, zmuszał do wprowadzania oszczędności.

Żądano od nas by jak najmniejszym kosztem iść jak najbardziej naprzód. A to wcale nie jest łatwe do przeprowadzenia. Szczególnie jeżeli nieprzyjaciel wciąż jeszcze trochę strzela i nie zawsze na nasz widok zgłasza natychmiastowe *unconditionnal surrender*.

Oddziały jednym wielkim chórem zaczęły wołać o amunicję. Byli tacy, którzy za pociski do moździerza chcieli płacić doskonałymi holenderskimi guldenami. 76 mm naboje do *Shermana* były poszukiwane równie starannie jak niemieckie składy alkoholu, cukru i konserw.

Zapasy korpuśne zostały wyczerpane gruntownie w ciągu kilku pierwszych dni. Oficerowie amunicyjni i dowódcy plutonów amunicyjnej kompanii zaopatrywania na własną rękę przeszukiwali rejony składów korpuśnych i armijnych, a nawet dotarli do Nijmegen, gdzie na stacji kolejowej, wprost z pociągu przysłanego z Antwerpii, prawem kaduka zaczerpnęli trochę potrzebnych nam zapasów.

Lecz wkrótce, aczkolwiek strzelano nadal i nadal zawzięcie domagano

się nowych transportów amunicji, uwaga ogółu została zdecydowanie i na czas dłuższy zwrócona na inny, o wiele ważniejszy ewenement.

Jeden z pancernych pułków, wkrótce po wejściu na ziemię niemiecką, oswobodził obóz mieszczący około dwóch tysięcy Polek, żołnierzy Armii Krajowej, zamkniętych tam po powstaniu warszawskim. Wieść o tym niezwykłym zdarzeniu z niesłychaną szybkością obiegła Dywizję. W parę godzin po uwolnieniu wiedziano o obozie wszystko. Wiedziano, że brakuje tam żywności, soli, mydła, wody, a nade wszystko pistoletów, karabinów ręcznych i maszynowych, granatów i... znowu amunicji.

Ruszyła więc niezwłocznie ze wszystkich oddziałów doraźnie organizowana pomoc. Coraz to nowe samochody dołączały do kolumny, która nieprzerwanym sznurem ciągnęła do Oberlangen.

Z wozów wyglądały uśmiechnięte twarze żołnierzy, świecących czystością wyjściowych mundurów, wyciągniętych z worków.

Obok lekkich, żwawych *jeepów* sunęły *scout-car'y* przeplatane ciężarówkami różnego kalibru, a nie rzadko z łoskotem przewalał się jadący — przypadkiem zapewne w tym kierunku — wóz gąsienicowy.

Widok obozu w pierwszych po jego oswobodzeniu dniach z niczem nie da się porównać. Tłumy dziewcząt w najrozmaitszych strojach, lecz wszystkie w zawadiackich furażerkach z biało-czerwonymi proporczykami i koniecznie ciasno opięte pasem, zdobywały szturmem każdy pojazd Dywizji, zmuszały prośbą i groźbą kierowców do jazdy, choćby tylko dokoła placu.

Tak masowo podana kobiecość, życzliwa i posługująca się zrozumiałą dla każdego polszczyzną, stanowiła więcej, niż mógł to znieść przyzwyczajony do Szkotek, Angielek, Francuzek czy Belgijek Jaś lub Staś. To też widać było grupki stojących na uboczu oszołomionych wprost żołnierzy, wodzących nieprzytomnym prawie wzrokiem po przewalającym się przed nimi tłumie, niezdolnych do rozpoczęcia rozmowy, osłupiałych niemal. Później jednak większość z nich potrafiła znaleźć wspólny z oswobodzonymi język, a wielu — skutych dziś więzami małżeńskimi z przygodną rozmówczynią — pokutuje dotąd za tę chwilę.

Nad całym tym ruchomym i rozgadanym tłumem czuwały wartowniczki. Uzbrojone w karabiny i srogo zatknięte za pas granaty, panienki te z niewzruszoną powagą sprawdzały przepustki i niebezpiecznie manewrując przy spuście karabinu pytały o hasło i żądały usprawiedliwienia celu wizyty.

* * *

Wychodząc z doliny rzeki Ems na drogę oznaczoną liczbą „70" i prowadzącą przez Aschendorf — Papenburg — Leer do Emden lub Wilhelmshaven, Dywizja wpadła w tłumy byłych jeńców wojennych i wysiedleńców, których dziesiątki tysięcy z chwilą zetknięcia się z czołowymi od-

działami Dywizji ruszyły przed siebie na południe i zachód. Każdy chciał jak najprędzej oddalić się od znienawidzonego miejsca, w którym długie nieraz miesiące wbrew swojej woli musiał przebywać.

Cechy narodowe bardzo się w tej masie uwypuklały. Na czele, grupkami, porozpinani, rozgadani, weseli, zawsze pierwsi ciągnęli obładowani, pękatymi chlebakami Francuzi. Zapytany, każdy z nich był bohaterem i każdy osobiście zamykał *„la brêche de Sedan"*.

Belgowie odbijali wojskowym wyglądem i charakterystycznymi ozdobnymi furażerkami. Nie rzadko wędrowali ciągnąc ze sobą mały wózek, na którym złożony mieli swój dobytek.

Jugosłowianie, Czesi i Grecy podróżowali pojedyńczo lub parami, raczej smutni, małomówni i zmierzający z reguły na zachód.

Tłem dla nich wszystkich były niezliczone rzesze żołnierzy sowieckich, podobnych — jak krople wody — jeden do drugiego. Wypełniali oni pobocza dróg, z wytrwałością mrówek odmierzając dziesiątki kilometrów nigdy chyba nie czyszczonymi, zniszczonymi butami. Usposobieni życzliwie dla całego świata, potulni, witali uśmiechami i serdecznymi gestami przejeżdżających żołnierzy polskich. Wędrując tak w nieznane, niczym nie zdradzali wrogich zamiarów wobec miejscowej niemieckiej ludności. Gdy na wieść o paleniu zagród, grabieży i gwałtach, popełnianych przez nich w tej wędrówce, placówki dywizyjnej Regulacji Ruchu zwracały im uwagę nakazując spokój i umiarkowanie, odpowiadali z niezmąconą powagą *„sapożki u nas jest, mundir u nas choroszyj, tak zaczem nam grabit?"*

Poważną pozycję w płynącej ludzkiej masie przedstawiali Polacy. Już sam fakt uwolnienia tej części ziemi niemieckiej przez Polską Dywizję Pancerną wysuwał ich na czoło wędrujących tłumów, podnosił ich ciężar gatunkowy, powodował, że na tym terenie stawali się elementem uprzywilejowanym, najlepiej zaopatrzonym i najłatwiej dającym sobie radę. Polska przedsiębiorczość i zaradność dopełniała reszty. Rzadko się widziało Polaka w łachmanach, a że lata doświadczeń, zbieranych w tułaczce po Europie dowiodły, iż najgorszym środkiem lokomocji są nogi, Polacy podróżowali na rowerach lub ostatecznie w ich braku — na wózkach lub bryczkach zaprzągniętych nie zawsze w wychudzone i źle wyglądające konie. W tym okresie czasu „zdobyczne" samochody należały jeszcze do rzadkości.

Nie wszystkie jednak obozy opróżniły się tak łatwo. Wiele z nich, odsuniętych od głównego kierunku działania Dywizji, długo jeszcze nie wiedziało o swoim oswobodzeniu, a i później, gdy już ta niezwykła wiadomość do nich dotarła, nie bardzo mogło zdecydować co należy robić.

Obozów tych, rozsianych po płaskich podmokłych terenach rozciągających się po obu stronach leniwie płynącej Ems, były dziesiątki. Wszystkie

one wyglądały podobnie, zabudowane drewnianymi barakami, strzeżone charakterystycznymi wieżami i gęsto odrutowane. Prócz nich, w każdej niemal wiosce, znajdowała się grupa przymusowych robotników rolnych, nad którymi władzę pana życia i śmierci sprawował z urzędu miejscowy *Bürgermeister*.

Jednym z takich obozów był w pobliżu Aschendorfu, w fabrycznym budynku mizernej wioski w dolinie rzeki Ems ulokowany, obozik francuski. Gdy w poszukiwaniu zapomnianych *Konzentrations* — lub *Arbeitslagern*, zboczywszy z kierunku działania Dywizji idącej na Papenburg — Leer, dotarł do niego oficer sztabu kwatermistrzowskiego Dywizji, został on przywitany przez łażących leniwie *poilus* stereotypowym *„avez-vous une cigarette, mon capitaine?"*, a następnie pytaniami o jedzenie oraz kierunki, w których bezpiecznie można po drogach się poruszać. Opowiadali, żywo gestykulując, o prześladowaniach, jakie dotychczas cierpieli i gorąco odradzali wejścia do zajmowanych przez nich pomieszczeń. Powód był jasny gdyż izby okazały się tak zanieczyszczone, że z trudem tylko wyobrazić sobie było można coś podobnie niechlujnego.

W dalszym rozwoju akcji wszedł do wioski i zatrzymał się na noc jeden ze szwadronów pancernych. Rano, gdy wojsko ruszało dalej, dzielni *poilus* orzekli, że nie może to być nic innego jak wycofywanie się przed Niemcami i nie zwlekając ruszyli na południe, włączając w barwne kolumny wędrujących wysiedleńców. Francuski oficer łącznikowy, zjawiwszy się nieco później dla nawiązania kontaktu ze swymi *compatriotes*, zastał opuszczony budynek i jeszcze bardziej niesamowity bałagan w pustych izbach.

Zupełnie innego rodzaju wrażeń dostarczył niemiecki wojskowy obóz karny, który — również w okolicy Aschendorfu — odnaleziono w przerażającym stanie. Wielki ten obóz, świadek wielu ludzkich tragedii, stał się przedmiotem zainteresowania samolotów RAF na krótko przed jego oswobodzeniem. Przerażonych bombardowaniem, bliskich obłędu, rozbieganych więźniów uspakajała salwami lekkiej broni maszynowej miejscowa straż, rekrutująca się z szeregów SS. Skutki tej podwójnej akcji wyrażały się zgliszczami baraków i setkami zwęglonych trupów. W dwóch ocalałych, murowanych budynkach, służących poprzednio za wartownię i karcer, tłoczyły się wychudzone ponad wszelkie wyobrażenie postacie pozostałych przy życiu jeńców, wygłodniałych, osłabionych, wystraszonych a w wielu wypadkach okaleczonych. Na widok każdego przechodzącego polskiego żołnierza podnosił się niezrozumiały w pierwszej chwili ryk, który dopiero po zilustrowaniu gestami okazywał się błaganiem o jedzenie. Jak bardzo jedzenie to było potrzebne, świadczyły zwały trupów leżących przed oknami, a wyrzucanych z wnętrza przez jeszcze żyjących. Kto widział ten obóz, ten nie zdziwi



Stanęliśmy na ziemi niemieckiej

Fot. M. Walentynowicz



Żegnamy holenderskich przyjaciół

Fot. M. Walentynowicz



Ostrzegawcze tablice na granicy

Fot. M. Walentynowicz



Miotacz płomieni w akcji



Kobiety — Żołnierze A.K. uwolnione w Oberlangen

Fot. M. Walentynowicz

się żadnym, najbardziej strasznym i — wydawałoby się — nieprawdopodobnym opisem scen z Ravensbrück, Dachau czy Buchenwaldu.

Lecz nie same tylko obozy spędzały sen z powiek oficerów kwatermistrzostwa Dywizji.

Wojna, choć koniec jej zbliżał się najwyraźniej, wciąż jeszcze trwała, a z nią codzienne kłopoty i trudności, wymagające natychmiastowych a skutecznych interwencji.

Dla odmiany domagano się teraz pomocy transportowej. Oddziałom zaczęły nie wystarczać posiadane samochody i na odprawach, przez gońców, na kwatermistrzowskiej sieci radio popłynęła rzewna pieśń żądająca wielu, dużych, pakownych wozów. Tajemnica polegała na tym, że oddziały dobrały się do licznych wojskowych składów niemieckich, do wyładowanych po brzegi barek, ciągnących długimi pociągami po kanałach z zaopatrzeniem, gdzie od cukru i mąki poprzez różnego rodzaju konserwy aż do wyborowych wódek i win niczego nie brakowało. I wozy zaczęły przerażająco pęcznieć. Zaczęło gwałtownie brakować miejsca na wszystko, co dotychczas było podstawowym ładunkiem. Bez namysłu postanowiono wyciągnąć rękę po pomoc oddziałów zaopatrywania tak dużą ilością samochodów rozporządzających. Z trudem tylko, osobiście odwiedzając rzuty A i B oddziałów udało mi się wyperswadować, że to nie ilość posiadanych wozów zmalała, lecz bagaż tak cudownie się rozrósł, powodując ten nieoczekiwany kryzys. Wiele dni upłynęło po zakończeniu już działań wojennych, a w oddziałach dywizji wciąż jeszcze wyciągano liczne — z tych dobrych dni zaoszczędzone — zapasy, wydatnie urozmaicające i wzbogacające codzienne *menu* żołnierzy.

Cease fire, triumfalny marsz do Wilhelmshaven, biało czerwone flagi na masztach, które dotychczas uginały się pod płachtami ze swastyką. *Victory Day* — to były końcowe wrażenia kampanii.

283 dni po wylądowaniu na plażach Arromanches stanęła dywizja znowu nad morzem, tym razem nad morzem niemieckim.

Wojna była skończona.

JAN MAROWSKI, Mjr. dypl.
Kwatermistrz 1. Dywizji Pancernej



U W O L N I E N I E

(KOŃCOWY FRAGMENT POWIEŚCI P. T. „RDZA")

W RADOSNYM krzyku jest coś tak ogromnego, że Joanna bez zastanowienia schodzi z pryczy, biegnąc do okna. Krzyk ogarnia całą salę, wydaje się, że uderza o każdą z prycz i że pod jego siłą rozpadną się one za chwilę.

To co się dzieje tam, za oknem, jest dziwne, że Joanna zachłystuje się tym zdziwieniem czując nagłą, gwałtowną ciemność przed oczami i jeszcze mocniejsze gorąco, oblewające twarz.

Człowiek w angielskim mundurze biegnie za drutami. Macha ręką. Szybkie, hałaśliwe strzały trzęsą powietrzem, które jest teraz zupełnie czerwone.

Joanna rzuca się na szyję stojącej najbliżej dziewczynie i gorąco za chwilę zaleje ją całą i śmiech zacznie dusić i płacz najprzedziwniejszy na świecie zacznie twarz zamieniać w dziecinną, radosną, przerażoną tą radością, która może zabić. Joanna czuje że łzy duszą i jeszcze chwila, jeszcze jedno spojrzenie za druty, a zacznie krzyczeć wprost rozpaczliwie, aby radość skończyła się, aby radość przestała zalewać światłem czerwonym.

Słyszycie? Słyszycie? To Polak! Polak! Mówi do nas po polsku! Jezu miłosierny!

Słowa padają wprost w środek czerwonego światła — to krzyczy najbliżej stojąca Hanka, a oczy skrzą się, później matowieją i dziewczyna zaczyna płakać tak głośno, że trzeba odejść, aby nie słyszeć płaczu, który ma w sobie moc szaloną, olbrzymią, niesłychaną!

Joanna chwieje się, świat rozmazuje się w oczach i słowa cudownej wolności mieszają się ze łzami. Joanna zaczyna biec, ale najwyraźniej o tym nie wie. To ktoś inny stawia tak olbrzymie kroki, ktoś inny krzyczy i na pewno ktoś inny widzi pędzący przez środek podwórza motocykl — i — Czołem koleżanko — słowa te mówi radośnie chłopak o twarzy opalonej, brudnej, twarzy najcudowniejszej na świecie, bo polskiej!

— Co zrobić ze sobą? Jak krzyczeć, jak płakać, jak trzymać oszalałe serce, aby z płuc nie wyrwało się, aby nie zaczęło skakać po zapiaszczonej drodze, turkotać jak koła motocykla. A przez roztrzęsioną, dygocącą, piękną radość Joanna stara się usłyszeć własną myśl, stara się uwierzyć w to, na co się czekało.

A świat dziś jest zielony, a drzewa, które dotąd były szare, zrobiły się nagle tak przejrzyste, wiosenne i złączone ze słońcem, że Joanna zaczyna się modlić.

Polak w angielskim mundurze ociera pot z czoła i jego szerokie, twarde, męskie ręce, trzymające mocno kierownicę, na pewno teraz drżą ze wzruszenia.

Ta chwila jest najbliżej Boga. Ta chwila jest pełna wielkości, że Joanna, patrząc w błękitne, szerokie niebo, gryzie wargi, a krew którą czuje na nich, ma smak wolności, bo wszystko dzisiaj ma jej smak, bo wszystko jest dzisiaj tą wolnością — są dziś nią i oczy Joanny i krzyk dziewcząt i twarz opalona i zmęczone nogi chłopców i mundury angielskie z napisem „Poland" — w którym mieści się dziś najcudowniejsza rzecz na świecie.

Każda twarz opalona wiatrem przypomina kogoś, jest znajoma i na razie uświadomić sobie nie można, co jest tego powodem. Dopiero po pewnej chwili, kiedy warkot motorów i pęd samochodów przejdzie jak wicher, można zrozumieć tę prawdę świętą, że twarze są polskie i dlatego każdą się zna, choćby tych ludzi nigdy się nie widziało.

Joanna słyszy wokół siebie ciągły krzyk, ciągłą radość, aż z tego krzyku wyodrębnia się słowo: apel — biegnie, staje w szeregu, wciąż oszołomiona i wciąż przekonana, że to ktoś inny robi za nią wszystko. Joanna ściska rękę jakiejś kobiety, której absolutnie nie widzi, ale twardy dotyk ma w sobie sens rzeczywistości, dlatego uspakaja i nakazuje wierzyć w słowo, w słowo które mówi pułkownik polski.

— Towarzysze broni!

Głos pułkownika jest twardy, mocny, młody. Joanna wspina się na palce, by móc lepiej widzieć żołnierzy, by móc uwierzyć w to że flaga zwycięża przestrzeń i wicher i śmierć, która zaczajona tkwiła w każdym dniu zrozpaczonej niewoli.

A każdy ten dzień, choć był tak ciężki, że żaden ból nie da się do niego przyrównać, odchodzi teraz szybciej niż wymierzają czas uderzenia serca. Rdza, która zaczynała osiadać na tych cierpiących sercach — niknie.

Rdza łamie się. Rozsypuje. Opada.

A z jej rozsypujących się pyłów wyrastają mocne słowa modlitwy, która ma w sobie cierpienie, podziękę, tęsknotę, śmierć, wiarę, wielkość, cud i radość najcudowniejszą, której nie zabiorą już żadne momenty, choćby były straszniejsze od tych, jakie się przeżyło.

Joanna, czując smak łez, widzi sztandar i chłonąc w siebie jego blask, —plącze modlitwę, nie mogąc znaleźć słów, które wszyscy już mówią.

Niebo rozpięte jak sztandar — niebo jasne pada na oczy — świat wiruje i ma wciąż ten sam obraz, który zabiera się ze sobą na zawsze.

Myśli są tak splątane, iż z ich radosnego chaosu można zrozumieć tylko jedno słowo: Wolność, które obiegło już wszystkie żyły i zatrzymuje się w każdym pulsie, w każdym gorącym, czerwonym ruchu.

Joanna ściska własną rękę, jakby obawiała się, że krew tryśnie z jej rozszalałego pulsu, potem czuje nad sobą przestrzeń wolnego nieba, które jest Polską.

MIECZYSŁAWA

12 kwietnia 1945 roku
Oberlangen, Stalag VI C.

„STRASZNY" FRANIO

STRASZNY Franio przeniósł spojrzenie z kalendarza na drogowskaz stojący na skrzyżowaniu w Onstwedde i twarz mu spochmurniała. Bo i z czego tu się cieszyć, kiedy jest trzynasty, piątek i do Winschoten 13 km. Jeżeli do tego dodamy, że on, jako dowódca Oddziału Wydzielonego, miał zająć tę miejscowość, silnie bronioną przez Niemców, łacno zrozumiemy, że nie był w najlepszym humorze.

Batalion belgijskich spadochroniarzy nacierał na Winschoten od dwóch dni i jakoś go nie zdobył. Franio miał to wykonać, mając dużo mniejsze siły. Zatroskany jego wzrok ślizgał się po kolumnie gotowej do ruszenia. Na czole stało sześć czołgów *Stuartów* z 2. Pułku Pancernego, oblepionych plutonem strzeleckim z 8. Baonu Strzelców, dalej dwa Niszczyciele, z 1. Pułku Przeciwpancernego, główna siła ogniowa Franiowego oddziału, wreszcie jego własne wojsko.

„Straszny" Franio, dowodząc stale plutonem rozpoznawczym Baonu Strzelców Podhalańskich, miał wielką wprawę w podjazdach, wypadach i rozpoznaniach. Wracał zawsze z tych wycieczek strasznie brudny od pyłu i potu, a jeszcze brudniejszą przywoził mapę, na której starał się wyjaśnić rozpoznaną sytuację.

Dziś po raz pierwszy ma dowodzić czymś więcej niż jego pluton i to w tak fatalny dzień.

Smętnie przeniósł wzrok z drogowskazu na swój nowy oddział. Bo jak tu dowodzić takim wojskiem? *Stuarty* nie mają łączności między sobą, załogi *carrier'ów* mocno przetrzebione poprzednią akcją, nie ma środków do ewakuacji rannych, a o zaopatrzeniu w ogóle nie ma mowy.

— Cóż robić? — Westchnął ciężko, wskoczył na swój *carrier* i dał rozkaz do ruszenia.

Żelazne potwory zawarczały, spięły się, drgnęły i kolumna ruszyła. Gładko przejechała po moście, zrobionym w dniu wczorajszym przez Frania z beli prasowanej słomy i skierowała się na północ, skąd słychać było ciągle karabiny maszynowe walczących spadochroniarzy belgijskich.

Gdy czołowe *Stuarty* wjechały na skrzyżowanie dróg około 4 km od Onstwedde, rozpętało się piekło ognia.

Z przodu walą działa przeciwlotnicze i *Panzerfausty*, a z boków silnie ostrzeliwują kolumnę karabiny maszynowe. Na dobitkę zdezorientowani Belgowie zaczynają też prać ze swoich sprzężonych karabinów na *jeep'ach*. Strzelcy 8. Baonu jadący na czołgach zaczynają zeskakiwać i kryć się w przydrożnych rowach.

Są straty.

Na to wpada Franio. Wysyła gońca do Belgów, aby zaprzestali ognia. Potem wskakuje na czołg dowódcy *Niszczycieli* i prosi go, aby nie żałując ognia „zamieszał" trochę Niemców. Następnie wzywa do siebie Leosia.

Leoś podbiega i jakby to było na ćwiczeniach, melduje się u Frania, który każe mu z plutonem obejść Niemców z lewej strony, podczas gdy *Niszczyciele* wiążą ich od przodu. Leoś stoi chwilę na szosie, przypatrując się terenowi, a potem salutuje i zabrawszy pluton rusza. Idzie na czele kolebiąc się charakterystycznie w biodrach, a za nim rozwinięci jego strzelcy, aż znika w dymie i kurzu.

Franio nakazuje przerwanie ognia. A gdy dym opadł widać jak pluton Leosia wyciąga z przydrożnych dołów kilkudziesięciu jeńców.

Zatrzymane *Stuarty* ruszają dalej. Chcą jak najszybciej dotrzeć do mostu i uchwycić go w stanie zdatnym do użytku.

Niestety drugi z kolei *Stuart*, po ujechaniu kilku metrów, zostaje trafiony z *Panzerfausta* w gąsienicę i tarasuje drogę następnym. Natomiast pierwszy, nie wiedząc co się stało, rwie na pełnym gazie do przodu i znika za zakrętem, a z nim znikają trzej strzelcy z 8. Baonu, którzy nie zdążyli zeskoczyć.

Franio wie że go już nie zobaczy. Zajmuje się więc w pierwszym rzędzie rannymi, potem przepytuje jeńców i przygotowuje oddział do dalszego działania. Jeńcy zeznali, że przedmościa Winschoten broni baon piechoty, wyposażony w broń maszynową i przeciwpancerną.

Jeszcze bardziej zasępia się twarz Frania. Jak uchwycić most trzymany przez cały baon?

Już miał dać rozkaz do ruszenia, gdy nagle od strony Winschoten dał się słyszeć wściekły ryk silnika i zza zakrętu wypada szalony *Stuart*.

Zatrzymał się, a jego dowódca podchorąży, mimo przestrzelonej piersi zdaje relację z wyprawy. Dotarł on do mostu, który jest nieuszkodzony i tam wychylając się z wieżyczki dla lepszego zobaczenia mostu, dostał strzał karabinowy w pierś. Droga do mostu jest gęsto zabudowana po obu stronach i obsadzona przez Niemców, którzy ostrzelali go z broni maszynowej i *Panzerfaustów*. Trzej strzelcy jadący na czołgu musieli spaść w czasie tej szalonej jazdy i prawdopodobnie zginęli.

Wobec tych wiadomości Franio decyduje się na dalszy ruch. Zmienia tylko ugrupowanie. Na czole, wraz ze *Stuartami* idą miotacze płomieni, a pluton Leosia ma się posuwać po obu stronach drogi oczyszczając teren.

Na znak Frania ruszono, rozpętując nowe piekło. Czołgi walą z dział i cekaemów, miotacze plują ogniem na wszystkie strony, a z *carrier'ów* sieją gęstym ogniem ze wszystkiej możliwej broni. Schludne, holenderskie domki rozpadają się i płoną pod tą lawiną ognia i żelaza. Przerażeni Niemcy uciekają na prawo i lewo od drogi, ale tam czekają już na nich strzelcy Leosia, którzy wyłapują jeńców. Sam Leoś, idąc środkiem drogi, jak na spacerze, ochrypłym głosem kieruje akcją plutonu. A dla pokrzepienia i przemycia gardła, pociąga od czasu do czasu łyk dobrej wódki holenderskiej, której kilka butelek niesie za nim strzelec w eleganckim neseserze. W pewnej chwili jakiś zawzięty *sniper* wybiera sobie Leosia za cel i oddaje do niego kilka strzałów. Ex-marynarz nie zwraca na to uwagi, lecz gdy po czwartym strzale hełm jego wydaje metaliczny dźwięk, przechodzi wtedy majestatycznie za dom, skąd po chwilowej obserwacji odkrywa na drzewie, po drugiej stronie drogi, *snipera* dybiącego na jego życie. Spokojnie wycelowanym strzałem ściąga paskudnego Niemca na ziemie i łyknąwszy, rusza dalej.

Niemcy odgryzają się coraz słabiej, a coraz liczniej wychodzą na drogę z rękoma podniesionymi do góry. To miotacze płomieni doprowadziły ich niemal do szaleństwa. *Carriery* myszkują jak psy gończe po zabudowaniach i ogrodach, wyganiają na drogę coraz to nowe grupy.

„Straszny" już naprawdę Franio, bo kurz i pot tworzą z jego twarzy maskę, w której błyszczą dzikie oczy, prze ciągle naprzód siejąc śmierć i zniszczenie, by uchwycić most cały i nieuszkodzony, a nie tylko rumowisko przęseł i belek.

Opór staje się coraz słabszy. Wobec tego puszcza swoje *carrier'y* jak psy ze smyczy. Lecz ledwie wyjechały na wzniesienie, z którego widać most

i miasto leżące około 2 km przed nimi, spada na nich lawina pocisków artylerii i moździerzy. Zrazu ogień ten jest za krótki, ale za chwilę celniejszy. *Carrier'y* skomląc wycofują się przezornie.

„Straszny" Franio postanawia jednak sforsować to nieprzyjemne przejście. Lecz gdy kilka prób nie daje wyników zaczyna rozglądać się za jakimś obejściem.

Właśnie stanął na *carrierze* i kombinuje jak to zrobić, gdy dowódca *Niszczycieli* z uśmiechem na ustach, oświadcza, że pozostało mu już tylko po trzy pociski na działo. Sytuacja u *Stuartów* jest też nie lepsza. Amunicja, pomimo kilkakrotnego żądania drogą radiową, nie nadchodzi, czemu zresztą trudno się dziwić, gdyż teren na tyłach nie jest jeszcze oczyszczony.

Krótki dzień kwietniowy ma się ku końcowi. „Straszny" Franio postanawia w tym miejscu zatrzymać się wysuwając pluton Leosia do mostu, aby zabezpieczyć go przed zniszczeniem. A Leoś, jakby nie widząc, że musi przejść przez wzgórze, na które lecą pociski, łyka sobie większy haust i kołebiąc się w biodrach rusza z plutonem.

Jak udało mu się przejść — będzie to jego tajemnicą. Wyglądało to nawet na pewną zmowę z Niemcami, bo przez cały czas marszu plutonu do mostu nie padł ani jeden pocisk. A potem gdy doszli, Niemcy zaczęli ogień, ale jakby naumyślnie bardzo niecelny.

Ponura twarz Frania zaczyna się trochę wypogadzać. Zdaje sobie sprawę, że sytuacja jest niewesoła, bo właściwie stworzył redutę ubogą w amunicję i zupełnie odciętą od tyłów, do tego przy blaskach zachodzącego słońca zauważono, w prawo pod lasem odległym około 1 km ruch Niemców. Ogień ich wzmaga się i po krótkiej obserwacji widać że Niemcy szykują się do uderzenia. „Straszny" Franio odżałowując ostatnie pociski skierowuje wszystkie czołgi w tę stronę i każe otworzyć gwałtowny ogień. Po kilku salwach Niemcy rozpraszają się, ale oddział Frania nie posiada już ani jednego pocisku do dział. Dlatego przybycie obserwatora artyleryjskiego i wozów z amunicją zostało przywitane z dużym zadowoleniem.

Wykorzystując jeszcze ostatne blaski kończącego się dnia, artylerzysta rozpoczyna śmiertelną pogawędkę z owym laskiem na prawo i z przypuszczalnymi stanowiskami Niemców w Winschoten.

Ponury Franio poweselał trochę, a naprawdę roześmiała mu się twarz, gdy zgłosił się belgijski dowódca z zadaniem zluzowania go. Franio jak urzeczony patrzył na trzynastkę znajdującą się na ramieniu tego oficera i od owego czasu ma duże wątpliwości czy „trzynastka" jest rzeczywiście pechowa.

JAROSŁAW JAŹWIŃSKI, por.
Batalion Strzelców Podhalańskich.

AKCJA NA KÜSTEN-KANAL

WŚRÓD szeregu bitew stoczonych przez 1. Dywizję w ciągu kampanii, akcja na Küsten-Kanal jest jedną z najbardziej zsynchronizowanych, jeśli chodzi o współpracę wszystkich zaangażowanych w niej rodzajów broni. Przemyślana w najdrobniejszych szczegółach, była pięknym sukcesem taktycznym, zaskoczyła bowiem całkowicie nieprzyjaciela, jak o tym świadczą zeznania dowódcy niemieckiego, który wraz ze znaczną częścią swego batalionu dostał się w wyniku tej akcji do niewoli.

10. Brygada Kawalerii Pancernej bez dwóch pułków plus 9. Baon Strzelców wsparta zgrupowaniem artylerii w składzie 1. Pułk Artylerii Motorowej, 2. Pułk Artylerii Motorowej, bez jednego dyonu, 4. Cdn Medium otrzymała za zadanie, sforsowanie Küsten-Kanal i w dalszej kolejności opanowania miejscowości Aschendorf i Papenburg.

Natarcie odbywało się przy sparciu frontowym wymienionego zgrupowania artylerii. Ponadto tak zwana „Grupa Kurpiel" złożona z II. dyonu oraz dwunastu czołgów 2. Pułku Pancernego, strzelających ogniem pośrednim, miała wesprzeć natarcie ześrodkowaniami, kładzionymi z zachodniego skrzydła, poprzecznie do osi natarcia.

Dla zaskoczenia przeciwnika dwa szwadrony czołgów wykonać miały demonstracje w prawo od miejsca forsowania kanału.

Dnia 19 kwietnia o godz. 09.30 t.j. na godzinę przed rozpoczęciem właściwego natarcia, jeden szwadron 1. Pułku Pancernego i jeden szwadron 24. Pułku Ułanów rozpoczęły demonstrację. O godz. 10.20 lotnictwo wykonało bombardowanie celów (na północnym brzegu kanału) wskazanych czerwonymi pociskami przez III./2. Pułk Artylerii Motorowej.

Natarcie samo poprzedzone zostało przygotowaniem artyleryjskim, wykonanym w myśl planu ogni przez zgrupowanie artylerii.

O godz. 10.30 Batalion Strzelców Flandryjskich rozpoczął forsowanie kanału i o godz. 11.30 przeprawiając się pod zasłoną dymną, położoną przez 2. Pułk Artylerii Motorowej był już na północnej stronie kanału.

Przeciwnik dał się wprowadzić w błąd i nastawił się na kierunkach obu demonstracji, usiłując przegrupować się dopiero po przeprawieniu się 9. Batalionu. Zaskoczony niespodziewanym, niezwykle silnym ogniem „Grupy

---

UWAGA: patrz mapa po str. 346.



Forsowanie Küsten Kanal

NAZWY MOSTÓW
ŚWIADCZĄ ŻE PAMIĘ-
TAMY O SZKOCJI

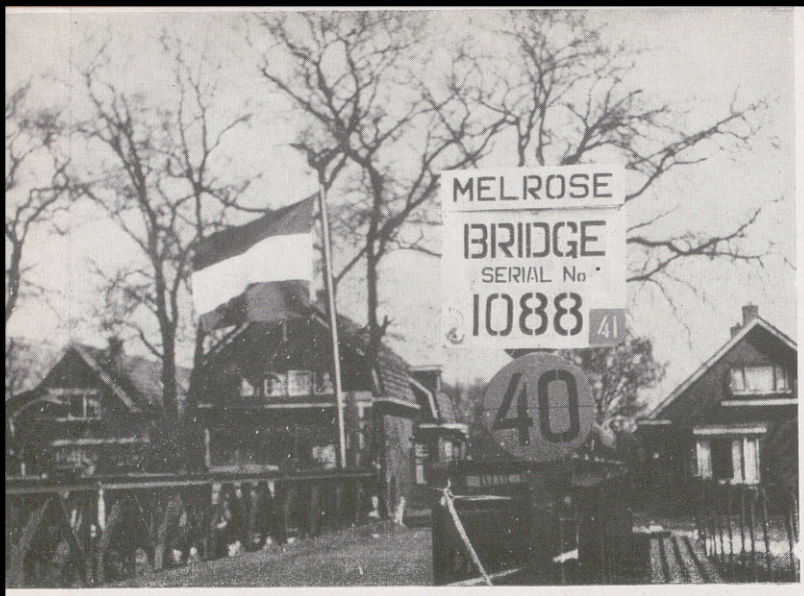

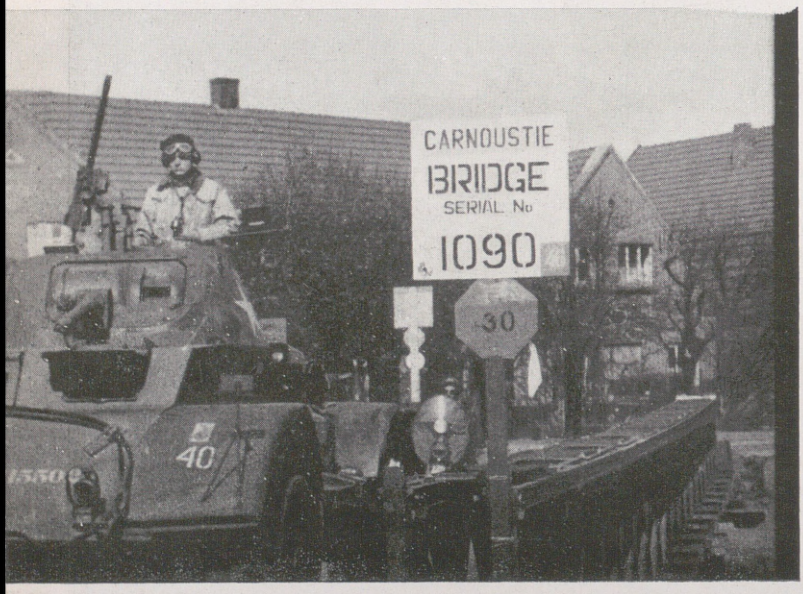



NIEPRZYJACIEL
OPÓŹNIAŁ NISZCZĄC
MOSTY I DROGI

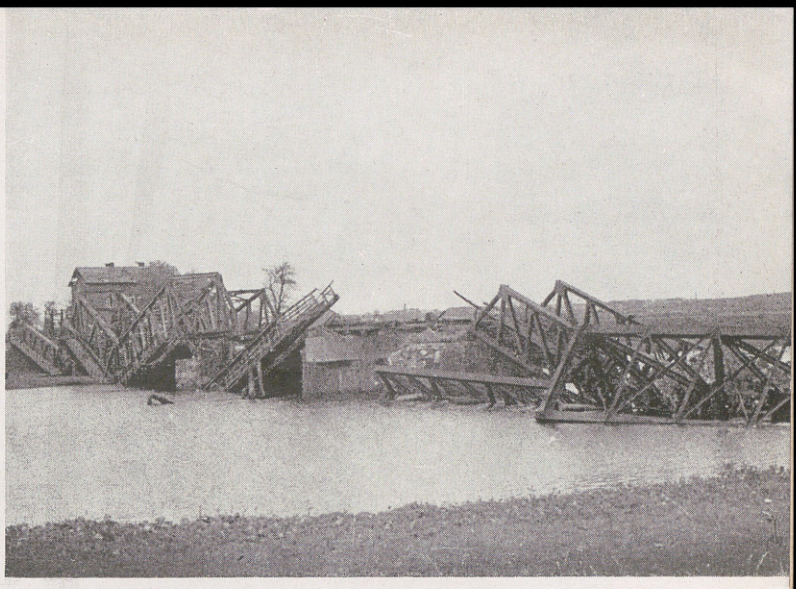

Fot. M. Walentynowicz



Fot. M. Walentynowicz



Fot. M. Walentynowicz



Saperzy pracują bez wytchnienia

Kurpiel" z najmniej przewidywanego kierunku, bo z lewego skrzydła, nie zdołał przeprowadzić swego zamiaru i został zrolowany przez 9. Baon Strzelców postępujący wzdłuż kanału. Przeciwnik poniósł znaczne straty od ognia artylerii i wielkie ilości jeńców dostały się w nasze ręce.

Droga na Aschendorf stała otworem.

A oto jak wyglądało forsowanie Küsten-Kanal w opowiadaniu naocznego świadka z „Grupy Kurpiel":

... w dniu 19 kwietnia II dyon — bez „Sierotki"* plus 12 czołgów 2. Pułku Pancernego zajął o świcie stanowiska pod Heede. Pomiędzy szeroko rozrzuconymi dwiema bateriami dyonu stanęło 12 czołgów 2. Pułku Pancernego do strzelania ogniem pośrednim. Punkt obserwacyjny na wieży kościelnej, skąd mieliśmy wspaniałą obserwację celów i przedmiotu natarcia. Ponieważ pierwszy mieliśmy rozpocząć o godz. 10.30, zabawialiśmy się obserwowaniem *Spitfir'ów* i *Typhoon'ów* wykonujących bombardowanie celów na północnym brzegu i popularne (ale nie u Niemców) „szwejsowanie" pociskami rakietowymi. Lasy i zabudowania po stronie niemieckiej pokryły się wkrótce gęstymi dymami od wybuchów pocisków artyleryjskich. Na brzegu zaroiło się od Szwabów, biegających we wszystkich kierunkach.

Przygotowanie trwało długo. Szukałem naszych czołgów i dopiero długie jęzory ognia z miotaczy płomieni, liżące bunkry niemieckie, zaznaczyły początek pracy piechoty.

Artyleria niemiecka odgryzała się mocno, strzelając (trzeba przyznać, bardzo pięknie) rozpryskowo na przeprawę. Na obserwowanym przedpolu nastąpiła dość długa przerwa i tylko wykwitające w coraz to innych miejscach obłoczki dymów od wybuchów pocisków świadczyły o intensywnej pracy obserwatorów artyleryjskich. Przerwę tę wykorzystaliśmy skutecznie, zapijając się doskonałym winem mszalnym z piwnicy księżowskiej. W między czasie nasze własne czołgi podeszły dość blisko i własne pociski ppanc. zaczęły przelatywać nad nami, a jeden zrobił z plebanii teleskop i gdyby nie pewna ilość wypitego już wina mszalnego, byłby nam poważnie ... zepsuł humory.

Tymczasem w naszym polu widzenia (tym z wieży, nie tym z plebanii) pojawiły się czołgi i można było doskonale obserwować ich współpracę z piechotą.

A było na co patrzeć !

---

*) Suczka dowódcy dyonu „zdobyta" pod Chambois. Znali ją wszyscy, zarówno w pułku jak i w 3. Brygadzie. Towarzyszyła dowódcy II. dyonu wszędzie. Była i na Maczudze i pod Moerdijk. Miała swe miejsce w czołgu obserwacyjnym. Zgasła „gwałtowną śmiercią" w Rosemalen w Holandii.

Czołgi pracowały grupami, ubezpieczając się wzajemnie. Co pewien czas zatrzymywały się i wówczas z pośród ich niezdarnych sylwetek wysuwała się piechota, wybierając z bunkrów Niemców i *Panzerfausty*.

W niedługim czasie teren w naszym polu widzenia został oczyszczony i piechota znikła w lasach ciągnących się na północ od kanału w kierunku na Aschendorf.

ADOLF ŻUKOWSKI, por.
2. Pułk Artylerii Motorowej

PRZEPRAWA PRZEZ KÜSTEN-KANAL

19 kwietnia 2. kompania 9. Batalionu Strzelców Flandryjskich znajdowała się w miejscowości Dörpen w Niemczech, na odcinku dozorowania. Byliśmy w styczności ogniowej z nieprzyjacielem.

Po godzinie dwunastej przyszedł dowódca kompanii, który zorientował nas w sytuacji:

— Obrona na Küsten-Kanal padła i nasze oddziały zbudowały silny przyczółek w rejonie szosy na Aschendorf. Zadanie nasze: przejść po dwu zniszczonych mostach przez kanał i oczyścić półwysep pomiędzy Küsten-Kanal, a rzeką Ems.

Było nas wszystkich 16, wraz z dowódcą kompanii, oraz 2 czołgi z 1. Pułku Pancernego.

Dowódca kompanii podzielił nas na dwie grupy, po jednej na każdy most.

Godzina 12.45. Ruszyliśmy w kierunku mostu.

Nasz czołg stanął przy wjeździe na most, ostrzeliwując z działa przeciwległy wał. Dowódca czołgu, wychylony do pasa z wieżyczki, prowadził bez przerwy ogień z odległości 30 m od Niemców.

Ponieważ nie mieliśmy żadnych środków przeprawowych, a przejście przez most możliwe było tylko dla akrobaty, i to po górnych przęsłach, dowódca zdecydował się użyć do przeprawy łódkę, którą widzieliśmy po drugiej stronie kanału.

— Chłopcy, dwóch na ochotnika po łódkę — zawołał dowódca kompanii.

Zgłosiłem się wraz z Gienkiem Kamelą, motocyklistą kompanii. Dowódca kompanii wydawał rozkazy:

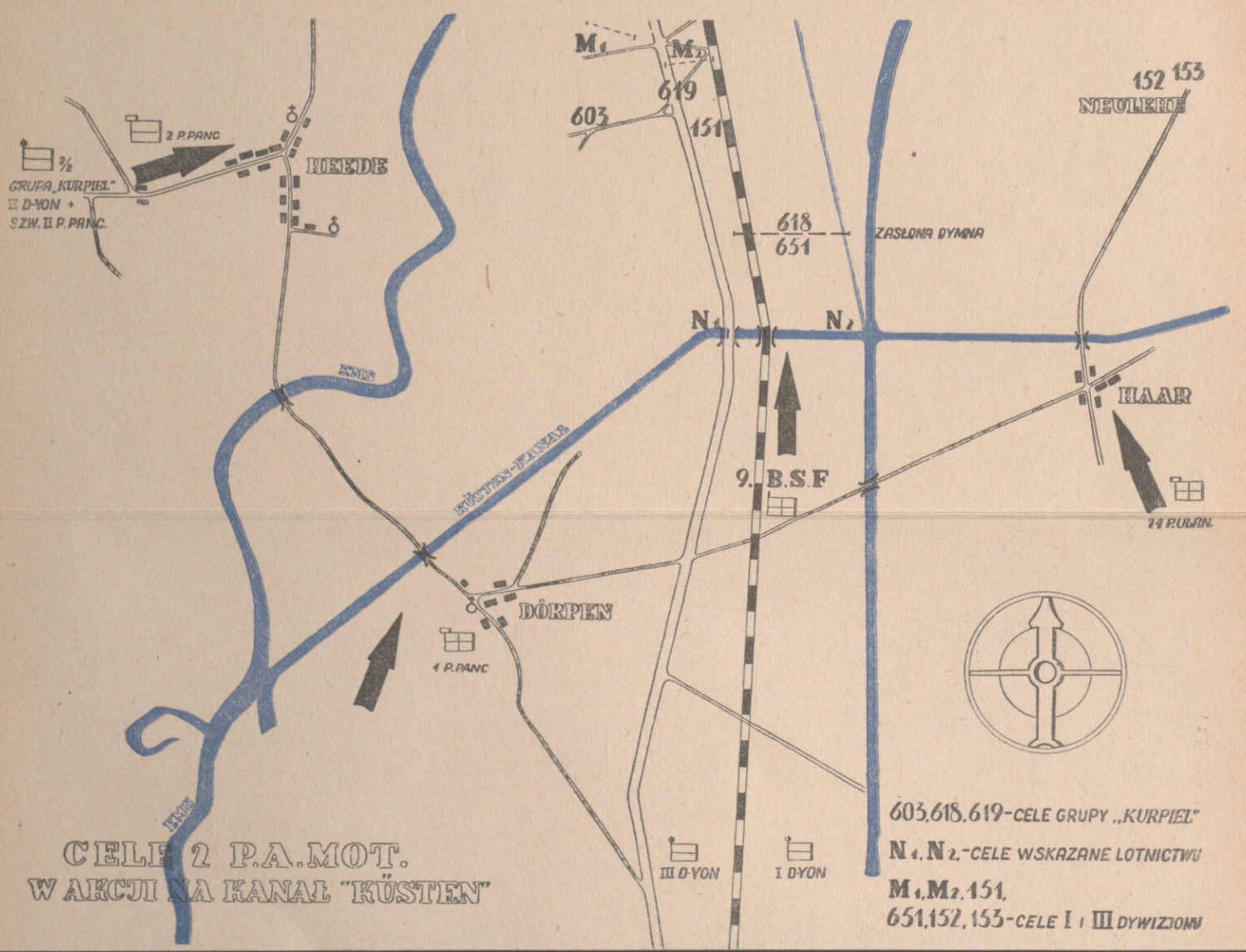

CELE 2 P.A.MOT.
W AKCJI NA KANAŁ "KÜSTEN"

— Dowódca czołgu ogień bez przerwy... Całość walić wszystkim co macie na drugą stronę... Wy szybko na most... jak będą do was strzelać — skakać do wody i wyrywać pod most...

Wszystko działo się jak w filmie amerykańskim. Nie pamiętam, kiedy znaleźliśmy się na przęsłach mostu, zresztą dość nieporęcznego, bo o wysokości 6 m z przerwami 1 — 2 metrowymi, zanurzonymi w wodzie. Nagle usłyszałem świst kuli nad głową.

Zeskoczyliśmy szybko do wody i podkradliśmy się do łódki. Łódkę, która była częściowo wyciągnięta na brzeg, zepchnęliśmy do wody i szybko zaczęliśmy płynąć do swoich. Jedyną naszą pociechą był wysoki wał, za którym znajdowały się pozycje Szkopów.

Gdy dopłynęliśmy do brzegu, wskoczyło kilku chłopców z erkaemem i migiem zaczęliśmy się przedostawać na drugą stronę.

Nie zapomnę chwili, jak pod ogniem zatykaliśmy dziury w łódce, wylewaliśmy wodę czym kto mógł: rękami, hełmem, łopatką, byleby nie zatonąć.

W kilka sekund znaleźliśmy się na szwabskim brzegu. Powyskakiwaliśmy z łódki i szybko biegnąc na wał z okrzykiem: — *Hände hoch* — rzuciliśmy się na pozycje niemieckie.

W tym momencie zaczęli wyłazić ze schronów wystraszeni Niemcy. Wrzaski nasze — *schnell* i *raus* — przyśpieszyły tempo wyłażenia. Widząc tylu Niemców ogarnęło mnie przerażenie. Mogą nas zabrać gołymi rękami. Ale już pozostali chłopcy dobijali do nas.

Dopiero po wykonaniu zadania uświadomiłem sobie całość akcji oraz niebezpieczeństwo jakie nam groziło.

RYSZARD KĘPNY, strz.
9. Baon Strzelców Flandryjskich.

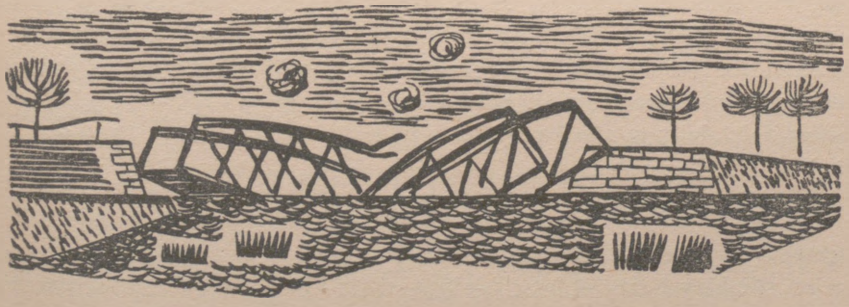

OPOWIADANIE REAR-LINKA SZWADRONU O WALKACH 1. PUŁKU PANCERNEGO POD ASCHENDORF W DNIU 20 KWIETNIA 1945 R.

WCZORAJ, po sforsowaniu kanału Küsten przez inne oddziały Dywizji, 1. Pułk Pancerny wraz z dwiema kompaniami Batalionu Podhalańskiego poszedł na poszerzenie przyczółka.

Poszedł wczesnym popołudniem, a o zmroku, po walce, 1. szwadron utknął na wysadzonym mostku na następnej przeszkodzie wodnej, odległej od kanału zaledwie 2 mile. Ot taka sobie mizerna rzeczka, która w tych beznadziejnych, nizinnych okolicach stanowi przeszkodę nie do przebycia. Przypomniały się nam walki w Holandii zeszłej jesieni.

Szczęśliwie wysłany bardziej na wschód pluton rozpoznawczy chwycił ukryty w lesie mostek, na bocznej drodze, o dziwo, nadający się dla czołgów. Na ubezpieczenie tej cennej zdobyczy w ciągu nocy, poszedł 2. szwadron.

Już wczoraj mieliśmy możność przekonać się o wątpliwej wartości niektórych informacji o nieprzyjacielu. „... artylerii obrona nieprzyjaciela nie posiada, a największy kaliber jakim wogóle rozporządza to działka 20-milimetrowe".

Jako *rear-link* szwadronu miałem przyjemność powtórzyć tę miłą wiadomość na odprawie w szwadronie. No i kiedy za kanałem rwać się nam zaczęły nad głową rozpryskowe pociski plot. 88 mm, widziałem jak mój strzelec wieżowy patrzył na mnie z wyraźnym wyrzutem. Były też i moździerze. Wreszcie cztery działa ppanc. *pak* 43 (75 mm), zniszczone w czasie wczorajszej akcji, obaliły, zdaje się już całkowicie, nienaganną dotychczas, pochlebiam sobie, opinię o mojej prawdomówności. Gdyby nie to, drobne zresztą nieporozumienie, wszystko byłoby w porządku i całą wczorajszą imprezę należałoby uważać za wyraźnie udaną.

Dziś natomiast czeka nas poważniejsza akcja.

Pułk z tymi samymi dwiema kompaniami Podhalan ma zdobyć miejscowość Aschendorf i potem wyjść dalej na północ, by rozpoznać i oczyścić rejon zalesionych pagórków, gdzie kręta rzeka Ems tworzy charakterystyczne kolano.

Rankiem, przy pięknej pogodzie, Pułk przechodzi przez wczoraj uchwyconą przeprawę i posuwa się narazie bez styczności z nieprzyjacielem. W myśl jednak zasady, że „licho nie śpi", ostrzeliwujemy skraje lasków z broni maszynowej, a pluton szpicy stosuje doskonały sposób strzelania wzdłuż drogi pociskami H.E. z zapalnikami nastawionymi na *delay*, celując w szosę na 200 — 300 yardów przed siebie. Jest to niezawodny sposób na zaczajonych przy drodze *sniperów*, czy też innych desperatów z *Panzerfaustami*. Amunicja świetlna wznieca tu i ówdzie pożary, przy czym poczucie estetyki u poszczególnych strzelców wyraża się trafnym wyborem co efektowniejszych domów, które palą się naprawdę znakomicie. Piechota, która za przeprawą zeszła z czołgów, wędruje po obu stronach drogi. Nastrój jest raczej sielski, *week-endowy* — jak lubi mawiać na odprawach dowódca Pułku. Dopiero krótkie, ale gwałtowne nawały z dział plot przyciskają piechotę do ziemi, a na twarzy mego radiooperatora wywołują zjadliwy uśmiech, który wyraża się wkrótce soczystym sprecyzowaniem jego prywatnych poglądów na rzekome działka 20-milimetrowe.

Wychodzimy wreszcie z małego kompleksu lasów *Reforestation* i podchodzimy ostrożnie pod wioskę Herbrum, gdzie piechota nie stwierdza obecności nieprzyjaciela. W oddali, na jakieś 1,5 mili widać już miejscowość Aschendorf. 2. szwadron, który dostał oddzielną oś marszu, posuwa się równolegle ku wschodnim wyjściom z miasta.

Minąwszy Herbrum, dostajemy ogień z broni maszynowej i ręcznej, z niewielkiego lasku na milę przed Aschendorf, co zdradza zbyt wcześnie siedzącą tam obronę. Czołgi kładą natychmiast silny ogień na lasek i na groblę z lewej strony, gdzie spodziewamy się bunkrów, — piechota, wraz z plutonem czołgów szpicy idzie szybko naprzód. *Half-track* lekarza ma poważne trudności z przedostaniem się do przodu po rannych, bo pułk stoi wyciągnięty w sznurek na dość wąskiej drodze, a w dodatku część czołgów prowadzi ogień w lewo, dokładnie zagradzając drogę lufami dział. Interwencje radiowe na ten temat, nie pozbawione momentów humorystycznych przeciągają się w nieskończoność, co nie przeszkadza jednak w zlikwidowaniu, niezbyt silnej, jak się okazało, obrony lasku. Jest kilkunastu jeńców.

Gdy jednak po oczyszczeniu lasku, pluton szpicy wychodzi na północny skraj, by być gotowym do wsparcia następnego skoku, odzywają się nagle dwa działa ppanc. i to z odległości nie większej niż 500 yardów. Dwa czołgi zostają trafione, lecą w powietrze płytki zabezpieczające (jedna z nich zabija żołnierza z piechoty).

Rzucamy dymy, załogi się ewakuują, pada jeszcze kilkanaście strzałów ppanc. Trzeci czołg cofa się w głąb lasku.

Oceniając obronę jako poważną dowódca 1. szwadronu decyduje się mimo niebezpieczeństwa „utopienia" rozwinąć dwa plutony, by móc prowadzić skuteczny ogień na gniazdo obrony. Za zasłoną lasku czołgi ostrożnie schodzą w teren i zajmują stanowiska pół zakryte czy też raczej usiłują je zająć, bo prawdziwe stanowiska pół zakryte takie, jakie wymarzyli sobie instruktorzy z *A.F.V. School* w Lulworth stają się tak w Holandii jak i w północno-zachodnich Niemczech tylko sennym marzeniem.

W czasie tej akcji pluton rozpoznawczy, podzieliwszy się na poszczególne sekcje, myszkuje po polach w prawo i lewo od czołgów dowództwa pułku, bo stale padają niewiadomo skąd, pojedyńcze strzały *sniperów*. Poszukiwania te dają w krótkim czasie fantastyczne wprost rezultaty. Z rowów strzeleckich, już o sto niemal yardów od drogi, pluton wyciąga dziesiątki żołnierzy niemieckich. Niektóre grupki, zwłaszcza dalej siedzące, bronią się granatami ręcznymi. W rezultacie mamy już ponad stu jeńców.

Tymczasem dowódca pułku przynagla ruch 2. szwadronu, który spotkawszy się z nieznacznym oporem nieprzyjaciela, wychodzi na lewe skrzydło obrony miasta. Następnie 3. szwadron zostaje wysłany w lewo, by z flanki wesprzeć walką pierwszy. Teren tam bardzo ciężki i ze względu na bezpośrednią bliskość rzeki, jeszcze bardziej podmokły — zapewne więc sposób, w jaki 3. szwadron przeszedł tamtędy, nie topiąc ani jednego czołga, pozostanie tajemnicą jego dowódcy. W pewnym momencie defilują oni gęsiego po wysokiej grobli wzdłuż rzeki, osłaniając się potężnym ogniem z całej posiadanej broni.

Przy ślicznej, wiosennej pogodzie i wspaniałej widoczności walkę całego pułku na rozległej równinie widać jak na dłoni. Widok jest naprawdę piękny: — w środku 1. szwadron wiążący czołową obronę, a na obu skrzydłach pozostałe dwa szwadrony, znaczące się w oddali to znajomymi sylwetkami czołgów, to wyraźnym błyskiem i niebieskawym dymem dział, to znów rubinowymi zygzakami świetlnej amunicji, zbiegającymi się nad miastem.

Nad czerwonymi dachami domów ciemna chmura dymu, którą pod nosi, wywołany kilkakrotnie, ogień artylerii. Ukośne promienie słońca uplastyczniają jeszcze ten obraz.

Wkrótce po tych przygotowaniach 1. szwadron otrzymuje rozkaz do natarcia od czoła. Plutony ruszają przy minimalnych, niestety, możliwościach do rozwinięcia. Mijam jeden z trafionych niedawno czołgów. Jest on podziurkowany jak sito, bo przy pierwszym celnym strzale odpadły wprawdzie tylko płytki i zdążyła wyskoczyć załoga, ale zato następne pociski wchodziły już jak w masło.

Ogień broni ręcznej i maszynowej nieprzyjaciela wzmaga się, lecz szybko słabnie wobec zdecydowanego ruchu naprzód. Podhalanie zręcznie wykorzystują liczne rowy strzeleckie i przy minimalnych stratach, podchodzą niemal niepostrzeżenie pod same stanowiska nieprzyjaciela. Jeszcze trochę bezładnej strzelaniny, lecą ostatnie ręczne granaty i Niemcy poddają się masowo. Pluton czołgów szpicy staje na linii obrony nieprzyjaciela, która, jak teraz widać już wyraźnie, biegła łagodnym półkolem, opierając się o pierwsze domy miasta.

Tuż przy drodze i trochę w prawo widać doskonale zniszczone trzy działa ppanc. *pak 43* z wybitą obsługą — na jednym oparty oficer niemiecki z roztrzaskaną głową — obrazek jak z wojen napoleońskich.

Obserwuję czołg, który zatrzymawszy się chwilę przy pierwszym domku, chce wyjrzeć za łagodny zakręt szosy, przechodzącej tu już w ulicę miasta i widzę jak natychmiast, płytki lecą w powietrze — to znów celny strzał działa przeciwpancernego, tym razem wzdłuż ulicy.

Czołg cofa się gwałtownie ale załoga nauczona doświadczeniem wyskakuje natychmiast i kryje się w rowach. Tymczasem ku ogólnemu zdumieniu czołg jedzie sobie dalej do tyłu, dostając jeszcze dwa niegroźne strzały. To kierowca wyskakując z kabiny zostawił czołg na biegu. Dopiero po ujechaniu dobrych kilkudziesięciu yardów silnik gaśnie.

Kładziemy znów silny ogień wzdłuż ulicy. Sam podmuch od działa 17-funtowego strąca dokładnie wszystkie dachówki w okolicy. Dowódca Pułku chce przez szybki ruch prawoskrzydłowego szwadronu, podejść od tyłu resztę obrony, kryjącej się w mieście, lecz szwadron ten, nie mając piechoty, nie jest w stanie iść szybciej przez zabudowania. Tymczasem jednak piechota nasza, przemykając się między domami, wsiąka coraz głębiej w miasto i szybko dopada działa ukrytego w żywopłocie. Wyciągamy resztki Niemców kompletnie już zdemoralizowanych i dalsza akcja w mieście przebiega bez większych niespodzianek.

W sumie zniszczyliśmy 6 dział przeciwpancernych *pak 43* (75 mm), 2 działa przeciwlotnicze (50 mm) i wzięliśmy 360 jeńców, w tym 6 oficerów z dowódcą batalionu na czele. Był to batalion piechoty morskiej i trochę spadochroniarzy.

Po przegrupowaniu się ruszamy dalej na północ.

REARLINK

ROZPOZNANIE POD PAPENBURGIEM

SŁYSZY się nieraz zdanie, że na froncie nie ma to jak w artylerii. Siedzą sobie — mówi się — daleko poza pierwszą linią, jak u Pana Boga za piecem i pukają. Raz za długo, raz za krótko, raz w środek ... własnej piechoty, czasem w cel. Z prawdziwych emocji frontowych mają tylko tę przyjemność, że się prochu nawąchają do woli. No i tam od czasu do czasu, któryś z obserwatorów coś oberwie.

Dobre to były czasy kiedy tak bywało, a bywało tak wówczas jeszcze, gdy wojna prowadzona była porządnie, metodycznie, z okopami, z *noman's land'em* i z nieprzyjacielem, który zazwyczaj był tam gdzie miał być, t.j. we własnych okopach, a nie pętał się niewiadomo poco, czy to z przodu, czy to z boku, a często nawet wewnątrz naszych własnych linii.

Tak się to też raz zdarzyło, a było to pod Papenburgiem. Przygotowaliśmy się właśnie do spożycia „smakowitego obiadu z ... *corned beef'u*", (oby zaopatrzenie nigdy, przez całe życie nic innego na obiad nie miało) gdy nagle otrzymujemy rozkaz, by zaraz po obiedzie rozpoznać nowe stanowiska na północ od Papenburga. Wcale nam się ten pośpiech nie uśmiecha, gdyż dopiero co skończyliśmy pracę, działa jeszcze nawet nie usiadły porządnie na swych stanowiskach, a poszukiwacze zakopanych skarbów, uzbrojeni w długie szpilki, rozpoczęli dopiero swe dzieło „wyzwalania", ale cóż robić — wojna.

Popłynęły kablami rozkazy do dywizjonów, wyznaczając zwiadom czas i miejsce zbiórki, poszukiwacze z żalem w oczach i bólem w sercu złożyli swe magiczne szpilki na wozach, pocieszając się nadzieją lepszego szczęścia na nowym m.p., a ppłk. W. z przyzwyczajenia zebrał oficerów, speców od zwiadów, na rytualną odprawę.

Program odprawy znamy na pamięć. Czas i miejsce zbiórki, porządek marszu, trasa, nowy rejon, uwagi, czasem o.p.r.

Tym razem zamiast o.p.r., innowacja. Ze względu na to, że przed godziną jeszcze strzelaliśmy w rejon, do którego idziemy, zabieramy ze sobą czołg 3. dywizjonu jako asekurację.

„Maleńki" uparł się, że pojedzie czołgiem. Na czołgu — powiada — jest radiostacja, a on przecież od tego, więc ... Dał nura do wieżyczki, schował się tak, że tylko wąsy na zewnątrz wystają, poklepał rumaka po pokrywie i wyprowadził go na drogę. Oficer top. sprawdził jeszcze raz trasę marszu, wsunął — swoim zwyczajem — potrzebne mapy i plany za cholewę gumowego buta, po czym gwizdek, ruszamy.



Nawet ranne chcą witać żołnierzy Dywizji



Niemcy muszą sami usuwać zapory na drogach

Fot. M. Walentynowicz



Znów znajome napisy: Polish Forces priority

Fot. M. Walentynowicz



Jeńcy wzięci nad Küsten Kanal

Fot. M. Walentynowicz



Znów ogromny lej na drodze

Fot. M. Walentynowicz



Rozdziela ich tylko kanał



W poszukiwaniu za sniperem . . .



nie uszedł nam

Fot. M. Walentynowi

Mijamy dziury, wykroty, dymiące zgliszcza chałup, — normalne obrazki, na które nikt już nie zwraca uwagi. Nad tym wszystkim unosi się charakterystyczna „frontowa" woń prochu, dymu, potu i innych mniej lub więcej nieprzyjemnych zapachów. Tabun koni w silniku, idącego na przedzie *Shermana*, wznosi niebywałe tumany kurzu, zwłaszcza gdy minąwszy niewiele zniszczony Papenburg, zjeżdżamy na boczne drogi. Trudno o lepsze ukrycie przed okiem nieprzyjaciela.

Na jednym z licznych skrzyżowań zatrzymuje nas stojąca w poprzek naszej drogi, kolumna czołgów. Z wiadomości, które od nich otrzymujemy, okazuje się, że oni sami niewiele wiedzą o sytuacji na przedpolu, że rejon w który jedziemy nie jest jeszcze oczyszczony, ale jeśli nam specjalnie na tym zależy, to oni nie mają nic przeciwko temu, byśmy sobie sami rejon oczyścili. Ładna perspektywa. Łatwo im jest kpić siedząc w czołgach, ale to ci dopiero będzie heca, gdy my zaczniemy sami bawić się w oczyszczanie terenu siedząc w naszych lekkich, otwartych wózkach. Mimo to prosimy czołgistów o przejazd i ruszamy dalej.

Stanowczo zaczyna nam się ta wycieczka nie podobać. Na drogach ani żywej duszy, mieszkańcy wiosek, przez które przejeżdżamy zaszyli się gdzieś głęboko, nawet jeszcze białych chorągwi nie zdążyli wywiesić. Jesteśmy wyraźnie pierwszymi aliantami w tej okolicy.

W pewnym momencie dogania nas na zadyszanym *jeep'ie* dowódca pułku i zmienia pierwotne rozkazy. Nie idziemy już dalej, mamy natomiast wyszukać i przygotować stanowiska mniej więcej w tym rejonie, gdzie jesteśmy. Jeden rzut oka w teren decyduje o wyborze. Kilkaset metrów w prawo, widnieje szereg domków malowniczo ukrytych wśród drzew. Czegoż to się nie robi dla tak zwanego „oparcia o zabudowania". Perspektywa spędzenia nocy w dobrym łóżku z pierzyną zamiast pod namiotem, czy też w dołku pod gwiazdami ma swój nieprzeparty urok. Skręcamy więc w pierwszą drogę w prawo i wjeżdżamy w ulicę a raczej bulwar, gdyż po prawej stronie mamy wyżej wspomniane domki, a po lewej kanał, jeden z tych, które nam tyle dokuczyły i miały jeszcze nieraz dokuczyć w tym okropnym kraju, gdzie doprawdy niewiadomo czego jest więcej, wody czy ziemi. W przejeździe notujemy w pamięci możliwości rozkwaterowania i podziału rejonu między dyony. Domki wreszcie się kończą i mamy obecnie po prawej stronie obszerną łąkę otoczoną drzewami i krzakami, a jakieś trzysta metrów przed nami ostry zakręt kryje nam widok na dalszą część ulicy.

Czołg na przodzie posuwa się ostrożnie i wygląda jak gdyby węszył na wszystkie strony. Nagle staje jak wryty. Zarył się gąsienicami w bruk ulicy, zda się, zjeżył się cały jak kot na widok psa i pilnie go obserwuje. Na zakręcie jakiś ruch. Dwaj żołnierze niemieccy w całym pędzie przebiegają ulicę

i kryją się w domu na wprost nas. Bez chwili namysłu pada strzał z działa czołgowego wybijając porządną dziurę w szczytowej ścianie budynku. Tymczasem kule niemieckie zaczynają gwizdać naokoło nas. W pierwszej chwili nie wiadomo nawet skąd. „Maleńki" na swym czołgu rozszalał się na dobre. Puścił w ruch wszystko z czego tylko dało się strzelać, a że to nie artylerzysta, więc nie dba o S.D.M.-y, tylko rąbie i hałasuje, że słowa usłyszeć nie sposób. No, a ponieważ to czołg 3. dywizjonu, więc dla podtrzymania Abbeville'skiej tradycji zaczyna szukać *sniperów* po wieżach. Z lewej strony za kanałem wiatrak — już w wiatraku dziura. Nieco dalej wysmukła wieża — już się z niej tynk i dachówki sypią. Aż go ppłk. W. musiał mitygować by nie postrzelać swoich, którzy również w tym rejonie mogli się znajdować.

W międzyczasie Niemcy też nie próżnują i posyłają nam serię za serią, ale tak jakoś niezdarnie, że nam żadnych szkód nie wyrządzają. Zdradzają natomiast swe stanowiska, gdyż widzimy obecnie na przeciwległym skraju łąki ukryte w krzakach coś w rodzaju bunkra. Nie chcemy jednak więcej strzelać, a ponieważ z drugiej strony nie jesteśmy pewni czy Niemcy jakiejś niespodzianki dla nas nie przygotowują, wycofujemy więc czołg do pierwszych zabudowań, skąd wysyłamy drogą radiową meldunek sytuacyjny do dowództwa pułku.

Wtem jak nie łupnie prosto w dach chałupy pod którą stoimy, aż się dachówki jak deszcz posypały. Pochyliły się kornie grzbiety w głębokim ukłonie, oczekując następnego już lepiej wycelowanego strzału, ale był to ostatni grom tej burzy. Dowiedzieliśmy się następnie, że był to strzał z *Panzerfausta* z zamiarem trafienia w nasz czołg. To jednak przebrało już miarę naszej cierpliwości. Formuje się ochotnicza tyralierka i jazda przez łąkę do bunkra.

Wyciągnięto czternastu Niemców, przy czym po dwóch to aż trzeba było poraz drugi specjalną delegację wysyłać, bo się bali wyjść.

Załadowaliśmy więc żywą zdobycz na czołg, przy czym pchali się jakgdyby w obawie, by któregoś z nich nie zostawić, a następnie wykonujemy odwrót, straciwszy całkiem gust do łóżek i pierzyn w tej niegościnnej ulicy. Po drodze spotykamy spieszący nam z odsieczą obserwacyjny czołg dowódcy pułku z drewnianym działem coprawda, ale za to dla równowagi z najsilniejszym oficerem w całym pułku. Wiedziano kogo na odsiecz posyłać.

Wybraliśmy potem stanowiska nieco dalej, a najgorzej na tym rozpoznaniu wyszedł nauczyciel szkoły, w której ulokowało się dowództwo pułku, bo nas musiał cały wieczór jajecznicą karmić.

STEFAN ROŻNOWSKI, ppor.
2. Pułk Artylerii Motorowej

LITANIA DZIAŁ

Najsłodsza litanio dział, pacierzu żarliwych strzałów,
Prowadź mnie poprzez mosty, rzucone wpoprzek kanałów,
które strudzony saper (niech będą święci saperzy)
zbudował, byśmy mogli znowu o świcie uderzyć.
Lufy jak hymny strzeliste, rzucajcie, choć gardła was bolą,
okrzyk śmiertelnych słów ku coraz dalszym przedpolom.
A kule niech się toczą zgarniając gorące powietrze
ku miastom pełnym żołnierzy, by miasta z powierzchni zetrzeć.

Najsłodsza litanio dział — po mostach, które już leżą,
pójdzie zmęczona piechota zatykać gardła moździerzom.
Ruszą jak miecze ogniste o świtach od mgieł pijanych,
przed frontem zmęczonej piechoty, mściwe jak klątwa Shermany.
A potem akt się zakończy w patosie ręcznej broni,
siekącej ten finał bez końca aż śmierć tę scenę zasłoni.

Najsłodsza litanio dział, która kierujesz mym losem,
ja, żołnierz poddany tobie, więc tobie słowa te niosę.
A kiedy klękam w milczeniu, by pocisk w gardło twe wrzucić,
pamiętaj — strzałem tym pragnę drogę wędrówki mej skrócić.
Dlatego te ręce wam służą i serca wam służą — o działa
karmione chlebem stalowym — dlatego marzę o strzałach!
Najsłodsza litanio dział — gdy noc jak hordy niemieckie
zakryje nam wrogie przedpole swoim obliczem zdradzieckim,
będziemy czuwać tej nocy — gotowi by oddać strzał,
modląc się zbrojnym pacierzem — najsłodszą litanią dział!

Aschendorf, 22.IV.45.

WACŁAW IWANIUK, ppor.
1. Pułk Artylerii Przeciwlotniczej

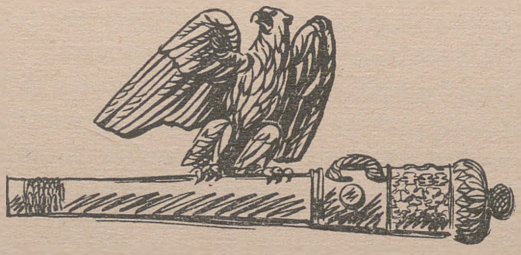

2 MAJA, DZIŚ NA NIEGO KOLEJ

SZARO jeszcze było, gdy spakowaliśmy graty i silniki zadygotały pracą, jak rozbudzeni, drżący z zimna ludzie. Przy czołgach już, łykamy pośpiesznie gorącą kawę i włączamy stacje w sieć szwadronową. Wszystko mieliśmy już wczoraj ustalone, ułożone, tylko ruszać. Zanim jednak maszyny wyciągnęły się na szosę — seria niemieckich pocisków artylerii, jak stado drapieżnych jastrzębi, spadła na nas nagle z trzaskiem i łomotem.

Ruszamy. *Rearlink* zawiadamia, że jego radiooperator zabity. Wyszedł za róg domu — jak się zwykle rano wychodzi i uderzony garścią odłamków w piersi — legł cicho.

W szpicy idzie Poul z 2. plutonem, plus sekcja z plutonu szturmowego. Wiemy co nas czeka. Musimy iść jedną kolumną po szosie, z której zejść nie można. Jest wprawdzie mgła — ale zanosi się na pogodę. Poul jest niespokojny. Gdy przed wymarszem rozmawialiśmy krótko, uderzył mnie niezwykły u niego wyraz twarzy; skupiony jakiś i smutny.

Kilka dni temu powrócił z urlopu z Anglii, ostatnie kilka dni tak się układało, że nie był w ogniu — więc teraz jakoś mu nieswojo. Ale to nic, to przejdzie. Wczoraj wieczorem mówił: — No — jutro na mnie kolej. — Idzie więc w szpicy i charakterystyczny jego, kresowo — śpiewny głos, raz po raz wchodzi na sieć, wydając rozkazy swym czołgom i „kozom" sekcji szturmowej.

Przed nami wioska Grossander, a przed nią, widać z mapy, pas torfu, mokrych łąk, kanał i mostek.

W Grossander, uparty jakiś Szwab odpala zza węgła z *Panzerfaust'a*, lecz chybia. Jedziemy dalej. Teraz jeszcze kilka kilometrów i główny nasz cel — przeprawa przez ostatni pas błot i torfów.

Im bliżej jesteśmy, tym ostrożniej, tym wolniej posuwa się szpica i na sieci ciągle idą przypomnienia o kierunkach obserwacji i o tym, by jechać dalej. Stajemy. Na czole znowu ogień i wiadomość:

— Droga wysadzona na całej szerokości aż po zalane wodą brzegi torfowisk. — W głębi silna barykada, za nią most z założonymi bombami lotniczymi — a za mostem jeszcze jedna barykada. Wszystkiego tego broni nieprzyjacielska piechota, zachłystując się wprost seriami swych *Spandau'ów* i *Schmeisser'ów*.

Paweł rozpoznał pieszo z garstką naszych szturmowców lej, barykadę i mostek. Teraz mówi przez radio zdyszanym głosem, że chcieli go wykończyć, ale że on zaraz przydusi ich ogniem i może uda się naszemu plutonowi piechoty usiąść na moście.

Odpowiadam, żeby stać i pilnować ogniem — bo do tej roboty obiecano nam Dragonów. Dragoni już w drodze, a z nimi rozpoznanie saperskie.

Stoimy — cały szwadron w szyku torowym na szosie. Bokami osłaniają nas drzewa i zakrzaczenia, w prawo i w lewo zaś równina i torfy. Zaskoczenia z boków nie boimy się wcale. Od czoła widoczność zaledwie kilkuset metrowa, a dalej gęste zadrzewienia. Małokalibrówka z obu stron trzepie po świeżej zieleni krzaków i drzew.

Dochodzi do nas szwadron Dragonów i próbuje obsadzić mostek. Nadjeżdża oficer saper, rozpoznaje zniszczenia, ocenia prace do wykonania i odjeżdża po swoich.

Tymczasem łapiemy na przesłuchu radiowym niemiecką rozmowę. Wyraźnie zupełnie stroją sieć sześciu radiostacji. Co to może być? Czyżby stacje niemieckiej artylerii? Artyleria nieprzyjaciela ma stanowiska gdzieś bardzo niedaleko od nas, gdyż słyszymy ciągle odpalenia ich baterii, które biją czasem w nas — a czasem gdzieś daleko na prawego sąsiada. Czyżby mieli tu aż sześć baterii?

Słyszymy jak ustalają godzinę 11.25. Czuję się jakoś nieswojo i po raz nie wiem który rozpatruję nasze stanowiska, możliwość ich zmiany i rozkład ogni. Lecz nic się wykombinować nie da. Odskoczyć do tyłu nie możemy, gdyż wtedy szwadron dragonów — pozostawiony sobie na przeszkodach — wycofa się także. Stoimy więc ciągle. *Shermany* nie przychodzą. Paweł pyta czy może „zrąbać" barykadę, zza której Szwaby dokuczają nieznośnie naszym dragonom. Oczywiście, że może.

Nagle świat zawalił się nad nami. Seria ciężkiej artylerii spadła pionowo z góry, kilkanaście dział przeciwpancernych trzasnęło równocześnie od czoła i niezliczone, a zlewające się z sobą w jeden ciągły stuk serie kaemów zalały cały rejon. Gałęzie drzew i drzewa same łamią się, krzesany pepancami asfalt dymi i skrzy się coraz to w innym miejscu. Przerażone „kozy" szturmowej sekcji wykręcają w miejscu i waląc wydechami maszyn w szosę wzniecają kurz i hałas. Zwinnie jak motocykle przewijają się pomiędzy *Cromwellami*, pod lufami dział — w nerwowej ucieczce do tyłu. Dragoni chaotycznie i gorączkowo biegną do tyłu.

Pierwsza myśl — to zapobiec panice i zakorkowaniu! Wywołuję na sieci wszystkie stacje z kategorycznym żądaniem stania na miejscu, a najwyżej wolno zmienić stanowisko.

Szpica — pojedyńczymi czołgami — wycofuje się, strzelając gwałtownie. Mając ich tuż przed sobą widzę, że będę im musiał dać miejsce. — Lecz — szperacz szpicy pali się już. Czołg Poula dostaje strzał w koło napinające i staje, otrzymując następny strzał w górną płytę wieży. Czołg kpr. Zielińskiego zatrzymuje się zawadziwszy o drzewo przydrożne. Na sieci meldują trafienia w czołgi stojące na końcu i w środku kolumny.

Tuż przede mną wśród nieopisanego chaosu ognia, dymu, błyszczących smug pepanców i gradu małokalibrówki — załogi czołgów szpicy okrwawione wyskakują i biegną do tyłu. Kpr. Zieliński skacze z wieży nieszczęśliwie na środek szosy i trafiony serią *Schmeissera* w pierś opada jak płat miękkiego sukna na środek asfaltu. Tuż obok mojego czołga tuli się w rowie kpr. Maciuś z czołga Pawła. Wyskakuję do niego.

— Co z porucznikiem? — Bełkocze, że porucznik trafiony w głowę, — czy żyje — nie wie, ale w wieży bardzo dużo krwi i on sam ledwo się wydostał spod bezwładnego ciała swego dowódcy. Biegnę z Maciusiem i jeszcze z kimś z jego załogi, kryjąc się w rowie przydrożnym. W pośpiechu mylę się i przedostaję do czołga Zielińskiego. Tu już nie ma nikogo, tylko Zieliński leży obok. Wracam więc, chwilę przeczekuję świeże nasilenie ognia w rowie i skaczę na środek szosy i do wieży rozbitego czołga. Paweł siedzi na siodełku dowódcy przechylony, oparty głową o zamek. Biorę rękę — ciepła jeszcze ale puls nie bije. Obracam głowę — czaszka nad czołem wyżłobiona jak łyżka. Oczy otwarte. Przez rozbite klapy wieży słońce świeci mu prostu w oczy. Puszczam jego rękę i myślę, że nie trzeba tu już nawet morfiny.

Przez hałas ognia dochodzi mnie wołanie Maciusia. Wyskakuję do rowu i chwilę leżę skulony ciężko dysząc. Oprócz Maciusia jest jeszcze dwóch ocalałych z załóg szpicy. Wynoszą jakiegoś rannego. Znowu nawała ognia. Odskakujemy do tyłu — 100 metrów do mojego czołga. Włażę do maszyny i żądam przez radio sanitarki. Przywołuję pluton piechoty i organizuję jeszcze raz wyprawę w rejon rozbitych czołgów, tym razem, by wyciągnąć trupy z maszyn. Każę jednak czekać na przerwę w ogniu. Sam nie pójdę już drugi raz. Ryś patrzy na mnie z głębi wieży pytająco. Odpowiadam — nie żyje — i skurcz chwycił mnie za gardło, bo zachciało mi się poprostu płakać. Wszyscy z załogi milczą. Za chwilę Ryś szarpie mnie za spodnie i milcząc podaje manierkę z alkoholem. Poczułem ogromną, serdeczną wdzięczność do tych najbliższych mi na świecie ludzi.

Dragoni znów są na mojej wysokości. Młody podporucznik chce mi koniecznie wyjaśniać, dlaczego odskoczyli — ale, że oto już są i.t.d. — Zapewniam go, że rozumiem, że musiało tak być i że szkoda słów, niech lepiej zajmie się tym, co jest teraz i jeżeli może podsuwa jeszcze nieco do przodu.

Ogień nieprzyjaciela słabnie. Od czasu do czasu przelatują tylko pepance, świszcząc, łamiąc drzewo lub zgrzytając po asfalcie.

Pojedyńczo przesuwam czołgi nieco w tył, za lekki zakręt szosy, który osłania trochę od kierunku ognia.

Mamy pięć czołgów trafionych pepancami — z tego jeden płonie, niestety, razem z ciałem plut. Jankowskiego i strz. Jurkowskiego, (najbardziej wysunięty), który jest teraz otoczony piechotą nieprzyjaciela. Pięciu poległych i siedmiu rannych. Reszta siedzi w maszynach, dozoruje kierunki i prowadzi ogień.

Zapowiedziane *Shermany* nie nadchodzą — trzeba więc stać dalej. Siedzę zmęczony i nie chce mi się ruszać. W słuchawkach jak zawsze — szemrania, trzeszczenia i gdzieś tam w eterze złapane urywki ti-ti-ta — nadawanego morsa. Wynoszą na kocu Pawła i Zielińskiego. Nawała ognia wali się znowu, więc kładą przy rowie poległych i chowają się sami. Patrzę na Poula, leży miękki jakiś, taki dziwny . . .

Mijają godziny. Po południu podjeżdża do nas nasz Stary. Pogadał o sytuacji, popatrzył i odjechał. Pod wieczór odjeżdżamy i my. Zostają tylko Dragoni i jeden pluton *Cromwelli* z 3. szwadronu na wsparcie. Na czołgach mamy poległych. W Grossander przejeżdżamy w kolumnie przed dowództwem Pułku i dowództwem 10. Brygady Kawalerii Pancernej. Salutują wszyscy, salutują tych owiniętych w koce i leżących na pancerzach silników.

Stajemy w Remels. Idę do dowództwa z meldunkiem i po wiadomości. Mówimy o obojętnych sprawach i częstują mnie winem. Wracając spotykam kolegę, który na mój widok rozczula się i ściskając mi dłoń składa najlepsze życzenia — bo przecież to właśnie dziś dzień moich imienin — tylko mówi, tak mu przykro, że to właśnie dziś Poul został zabity . . . — Oh! Jak nieznośnie przykro jest w takich chwilach. Wyrywam się i idę pośpiesznie do siebie. Załoga moja ulokowała się w czystym pokoiku, wniosła słomę, stół — a dla mnie mają nawet jakieś łóżko.

Jestem wśród swoich i dobrze mi tu. Chłopcy gotują jakieś jedzenie i gwarzą spokojnie o herbacie, o jajecznicy, o tym, że zagrzeją wodę do mycia i żebym usiadł — bo zaraz będzie kolacja. Przychodzi Staszek i stawia butelkę *whisky*. Wiesz — mówi — chowałem ją na dzisiejszy dzień. Wypijemy — co? — Pijemy. Atmosfera jest kojąca. Nie rozmawiamy — tylko od czasu do czasu wypowie ktoś jakąś rzeczową uwagę o dobroci alkoholu, o tym, że będzie się nam tu wspaniale spało. Czuję jak bardzo kocham ich wszystkich za ich dobroć, za to, że są właśnie tacy subtelni w swej serdecznej prostocie.

Kończymy kolację i chłopcy idą do oporządzenia maszyn. Myślę, żeby pójść z nimi, żeby zająć się czymś. Ładować amunicję, działo czyścić. Ale ciężko mi wstać. Czuję się tak osłabiony, jak po silnej gorączce. Zostaję więc i popijam bursztynową *whisky*. Zaczyna mi być gorąco w zimowym kombinezonie — ale nie chce mi się go zdjąć. W głowie latają niewyraźne myśli.

Paweł leży — tu niedaleko — w niemieckiej komórce na drzewo i węgiel, — leży na ziemi — i może po nim szczury biegają? — No — trudno. Jutro go pochowamy. — A w ogóle — poco ja o tym myślę? Poul . . . Jak on się zmienił po śmierci, jest całkiem inny.

Wojna należy do najniższej kategorii czynności ludzkich. Skąd ja to znam? Kto to powiedział? A może jest w tym trochę racji ?

I jeszcze ? Jednostka póki żyje, posiada nieskończone możliwości, a wszelka możliwość, wszelki kształt i wszelkie piękno ulega zniszczeniu przez wojnę.

No — tak.

Wszelki kształt i wszelkie piękno ulega zniweczeniu . . . Paweł jest teraz właściwie bezkształtny, jest mięsem. — Oh — głupstwo. — Napiję się jeszcze i najlepiej — zasnę.

Zbudził mnie hałas przy drzwiach. Służbowy przyszedł zameldować, że Niemcy kręcą się w rejonie naszego postoju i że nasze posterunki strzelały — ale, że już teraz spokój. — Dobrze. — Zapalam świecę, bo chce mi się pić. W półmroku podnosi się jakaś chuda postać spośród leżącej na słomie załogi i podłazi na czworakach do mnie.

Porucznik Szk. melduje swój powrót ze szpitala i przybycie do szwadronu.

— Szczur! Kazik! — wrzasnąłem. — Wrócił — w takiej chwili — jak to dobrze! — Szczur szuka dłuższy czas okularów zagubionych gdzieś w słomie, — opowiada, że wrócił już wieczorem — ale, że spałem, więc nie chciał budzić.

Siadamy przy świecy i gadamy, gadamy. Jestem doprawdy szczęśliwy, sen odleciał ode mnie i chciałbym jednym tchem opowiedzieć wszystko, co się stało od 7 września, od dnia w którym Kazik został ranny. Godziny mijają a mnie ciągle jeszcze chce się mówić i mówić . . .

ZYGMUNT KŁODZIŃSKI, rtm.
10. Pułk Strzelców Konnych



Czasem role sanitarki spełniać musi rower



Nieprzyjaciel tuż
Fot. M. Walentynowicz



Pamiętaj !
Fot. M. Walentynowicz

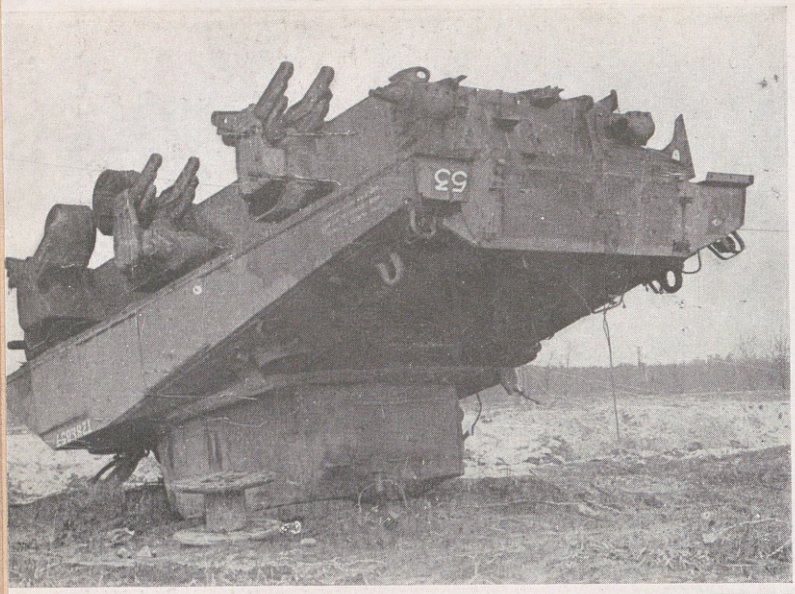

Niektórzy stawali na głowie by przyśpieszyć koniec wojny

Fot. M. Walentynowicz

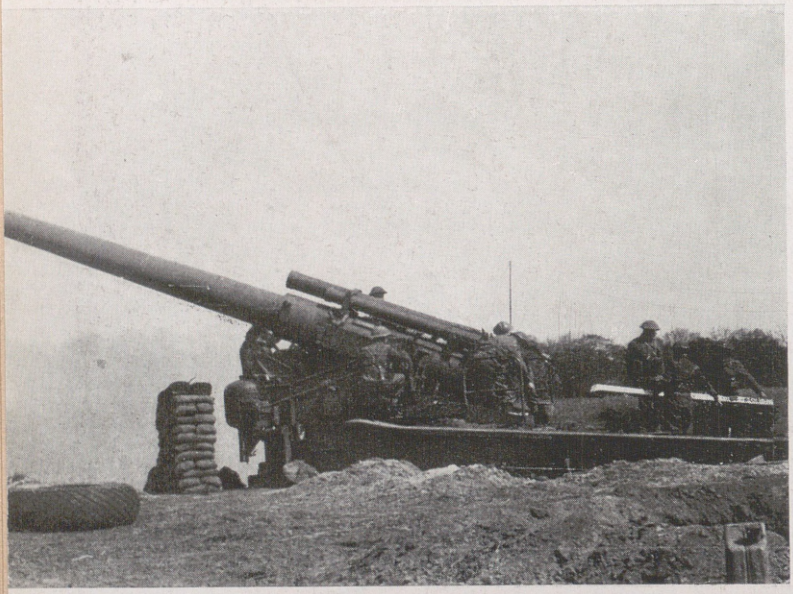

Najcięższa artyleria angielska wspiera forsowanie rzeki Ledy

Fot. M. Walentynowicz



Od dawna czekaliśmy na taką wizytę (Parlamentariusze niemieccy)

Fot. M. Walentynowicz

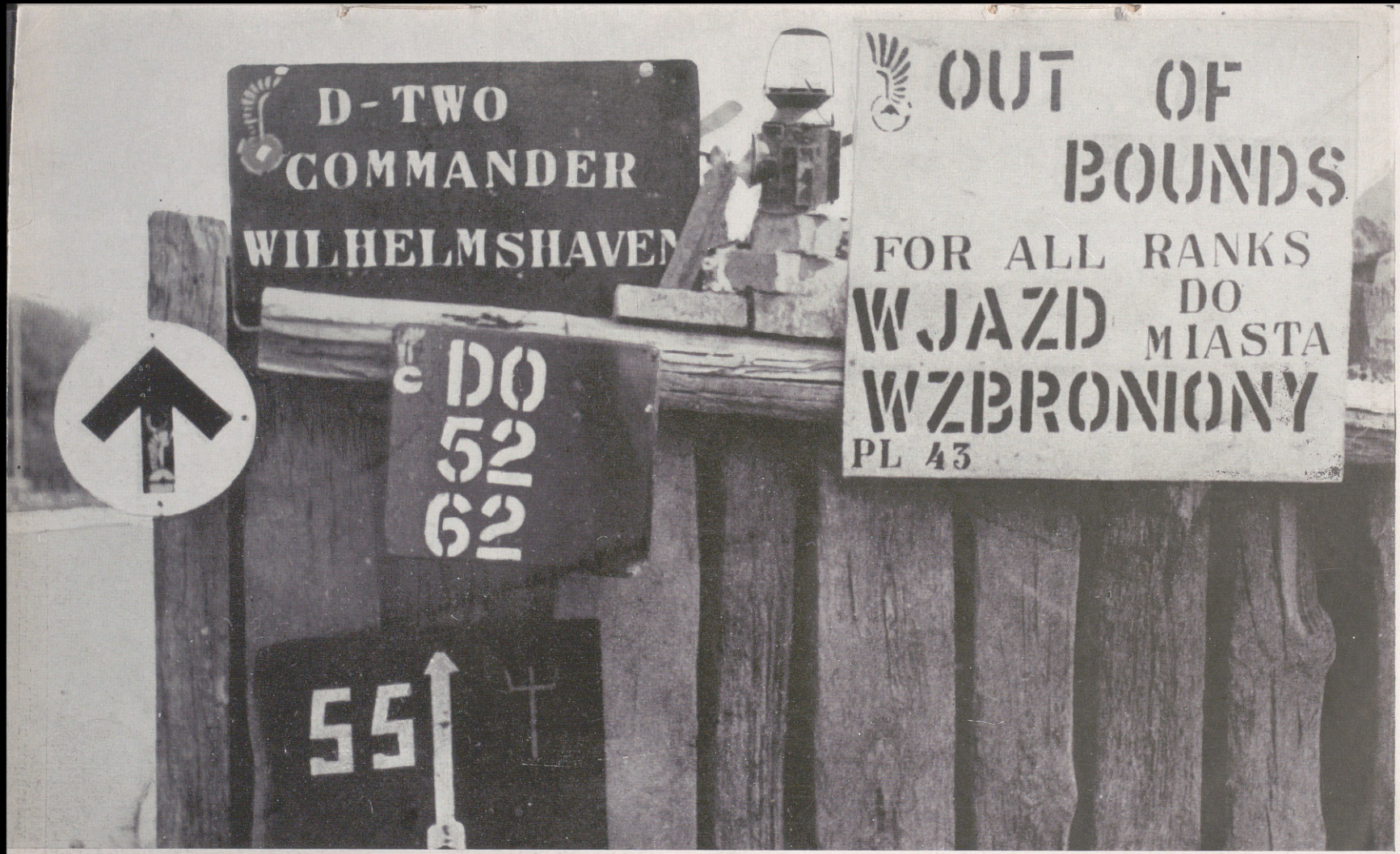

Wilhelmshaven w naszych rękach



Na wodach portu Wilhelmshaven powiewa flaga polska

Fot. M. Walentynowicz

HALLO ZYGMUNT — OSIĄGNĄŁEM MORZE!

Ogniste łuny domów płonących po przeciwnej stronie kanału rozświetlały horyzont, gdy wśród zapadającej nocy, we czwartek wieczorem posuwaliśmy się naszym wozem radiowym przez miasteczko holenderskie Vlagtwedde, by dołączyć do dowództwa batalionu belgijskich spadochroniarzy, których przydzielono do naszej dywizji.

„Czerwone diabły" zdobyły właśnie parusetmetrowy przyczółek po północnej stronie kanału, ale wysadzony most uniemożliwiał chwilowo przerzucenie wozów na drugą stronę. W bezpośrednim pobliżu kanału kwaterowało dowództwo batalionu. Wódz „Czerwonych diabłów" major układał właśnie raport sytuacyjny dla naszej brygady przy świetle świec. Do sąsiedniego pokoju przenoszono na noszach dwu rannych Niemców.

Spadochroniarskie oddziały szturmowe zdobyły przyczółek przy minimalnych stratach własnych, biorąc do niewoli 60 Niemców. Nieprzyjaciel pozostawił także sześciu zabitych na polu walki.

Całą noc trwa budowa mostu. Nazajutrz rano jaki taki most stoi i *jeep'y* spadochroniarzy zaczynają przekraczać kanał. *Jeep'y* spadochroniarzy to prawdziwe wozy bojowe, wyposażone w trzy c.k.m.'y, z opancerzonymi szybami przednimi. Kule karabinów maszynowych zaledwie mogą zadrasnąć to pancerne szkło — dopiero działko 20 mm może dać mu radę.

Jedynie trzydzieści kilka kilometrów dzieliło nas od morza. „Marsz do morza" stał się hasłem oddziałów alianckich, walczących w północnej Holandii. Dojść do wybrzeża i ostatecznie przeciąć nieprzyjacielowi wszelką możliwą drogę ucieczki do północnych okręgów Reichu, gdzie trwa jeszcze fanatyczny opór wojsk Hitlera.

Przez piątek i sobotę posuwaliśmy się naprzód główną drogą na Winschoten, jedyne miasto w powodzi osad i miasteczek pomiędzy Groningen a granicą niemiecką, w północno-wschodnim rejonie Holandii. Po bokach były jeszcze większe zgrupowania wroga, którymi zajmowały się polskie czołgi i c.k.m.'y. Co chwila ludność cywilna donosiła nam, że o parę kilometrów w prawo czy w lewo od naszej szosy są Niemcy. Ilość ich podawano zawsze okrągłą, zadzierzystą cyfrą 200, 400, czy 500. Cywile wyrażali nam szczere zadowolenie z oswobodzenia, rozsądnie jednak wstrzymywali się z wywieszaniem flag aż do przybycia większych sił, wiedząc o bliskiej obecności Niemców.

Batalion spadochroniarzy często zmieniał miejsce postoju, lekkie wozy z łatwością przekraczały prowizoryczne mosty, natomiast kuchnia na trzytonówce nie zawsze mogła dołączyć. Trzeba więc było często improwizować posiłki z konserw, a niekiedy korzystać z gościnności Holendrów. Na szczęście była to przeważnie wieś i ludzie, którzy nie zaznali głodu. W przeciwieństwie do miast środkowej i północnej Holandii, gdzie panuje dotkliwy brak żywności, wieś je wprawdzie znacznie skromniej niż przed wojną, ale jeszcze zupełnie nieźle.

Dywizja nasza czyniła bardzo szybkie postępy w Holandii wbrew dziesiątkom zerwanych mostów. Gdyby nie te mosty, postępy byłyby chyba błyskawiczne. Jakże napracowali się saperzy i ile kłopotu było z tymi mostami! N.p. spadochroniarze naprzód klecili improwizowany mostek dla *jeep'ów* i lekkich wozów, potem wzmacniali go fachowo dla wozów trzytonowych, wreszcie przychodzili polscy saperzy i — budowali nowy solidny most dla czołgów. Ludność cywilna chętnie pomagała przy tych budowach i przebudowach.

Niemcy w sobotę bronili ostro ostatniego mostu przed Winschoten, o 2 km od miasta. Umocnione pozycje wroga trzeba było zniszczyć *Typhoon'ami*. Nadleciały około godz. 7-ej wieczór, przez chwilę krążyły nad naszymi pozycjami, wreszcie zaczęły kolejno w regularnych odstępach nurkować nad stanowiskami nieprzyjaciela: rozległ się huk pocisków rakietowych.

Typhoon'y, ta najgroźniejsza broń aliancka przeciw Niemcom, okazały się tym razem również jak najbardziej skuteczne. Gdy następnego ranka pierwsze nasze pojazdy stanęły przed mostem, most okazał się wbrew przewidywaniom wszelkim niezniszczony, droga do miasta była zupełnie wolna. Samo miasto zostało w nocy także opuszczone przez Niemców. Polski oficer łącznikowy z Brygady wysunął się swym *scout-car'em* na czoło, by osobiście zbadać sytuację. Niebawem na sieci brygadowej rozległ się meldunek ze stacji radiowej *scout-car'a*: . . . „Hallo Zygmunt 24 — jestem w środku miasta".

Polski oficer łącznikowy był więc pierwszym, który wjechał na rynek Winschoten — w minutę potem wleciały *jeep'y* spadochroniarzy z jednej strony, podczas gdy Batalion Podhalański zajmował miasto z drugiej strony. Niebawem wjechała do miasta i nasza radiówka z dowództwa batalionu.

Entuzjazm był tu niesłychany. W Winschoten porzucono wszelkie względy rozsądku czy ostrożności na bok, całe miasto odrazu zaszumiało flagami. Ludzie wrzeszczeli, otaczali wozy, chwytali ręce żołnierzy. Spotkaliśmy tu i kilku Polaków z obozu pod Emden, który się „rozleciał". Polka

ze Stanisławowa, młody chłopak z Poznania i paru innych współziomków skupiło się wokół naszego wozu, dziesiątki Holendrów wraz z nimi.

Z rynku zjechaliśmy do parku, koło domu miejscowego „quislinga", który zdążył jeszcze gdzieś zwiać z Niemcami — na parę dni zapewne, najwyżej na kilka tygodni. Przed domem, w którym stanęło dowództwo, rewidowano grupę jeńców niemieckich, wziętych przed chwilą pod miastem. Tłumy ludności przypatrywały się swym tak niedawnym ciemiężcom w tej nowej upokarzającej roli z żywiołową satysfakcją. Złorzeczono im i wygrażano. Żołnierze i policjanci musieli nawet odpychać coraz bardziej tłoczącą się ludność.

Tymczasem na brygadowej sieci radio, zazwyczaj i tak bardzo ożywionej, panował coraz większy ruch. Mnożyły się meldunki od prących naprzód, ku morzu, oddziałów. Nasza stacja nie próżnowała również. Z dowództwa „Czerwonych diabłów" dawano nam co pewien czas dokładne meldunki sytuacyjne dla Brygady. Natomiast polski oficer łącznikowy posuwał się w przedzie z prowadzącymi *jeep'ami* spadochroniarzy i raz po raz szły w eter krótkie wiadomości „Zygmunta 24" z pierwszej linii.

Po początkowych szybkich postępach przywitał nasze czołowe elementy ogień niemieckiej baterii 88 mm i ciężkich moździerzy. Zmusiło to ich do zatrzymania. Ogień groźny nawet dla czołgów, musiał być bardzo nieprzyjemny dla bądź co bądź otwartych *jeep'ów*. Jednak po pewnym czasie spadochroniarze wraz z Zygmuntem posuwali się dalej, aż do Finsterwalde, wioski położonej o 5 — 6 km od morza. Jednocześnie z Brygady posłano sześć polskich czołgów na wsparcie.

Nagle rozlega się w eterze „sensacyjny" meldunek: Zygmunt 24 donosi, że bierze kilka *jeep'ów* pod swoją komendę i pędzi prosto na morze. Dowódca polskich czołgów, który już przybył do Winschoten radzi mu przez radio, by zaczekał na czołgi i nie narażał się na zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Na to Zygmunt odpowiada, że już wyruszył, że się nie zatrzyma, że musi być przed zmierzchem u celu.

Przechodzą długie minuty oczekiwania, nagle rozlega się błyskawiczny meldunek: *„Hallo Zygmunt 24 — osiągnąłem morze w..."* Godzina dokładnie jest 18.55. W chwilę potem nadajemy z naszej stacji gratulacje od dowódcy spadochroniarzy dla Zygmunta.

W ten sposób polski oficer łącznikowy na czele patrolu belgijskich spadochroniarzy był pierwszym, który osiągnął morze u północnych wybrzeży Holandii w pobliżu granicy niemieckiej. Droga do „Reichu" została okrążonym oddziałom niemieckim całkowicie zamknięta.

HENRYK TYSZYŃSKI

„Polska Walcząca".

SNIPER BRIDGE

RANO wyruszyli Dragoni na miejscowość Posthausen. Kolumnę otwierały czołgi przydzielone jako wsparcie pancerne. Za nimi, po obu stronach drogi posuwały się kolumienkami drużyny. Na wierzchu jednego z czołgów siedziało trzech saperów; — rozpoznanie. Dowódca Pułku Dragonów wspominał na odprawie coś o jakimś leju na drodze, ze słów jego jednak wynikało, że jest to przeszkoda niegroźna. Mimo wszystko trzeba było ją zobaczyć, no bo po to saperów Dragonom przydzielili.

Czołgi minęły wybudowany w nocy przez jeden z plutonów 10. Komp. Saperów, most *Bailey'a* i po przebyciu kilkuset metrów stanęły na drodze. Trzech saperów powoli wyminęło znajdujące się przed nimi czołgi i poszło w kierunku przeszkody. Droga biegła na niskim nasypie, teren zaś po obu jej stronach zalany był wodą. Po lewej ręce w odległości kilkuset metrów czerniały wały Ledy, na wprost z grupy zabudowań i drzew rzucała się w oczy wieża kościelna w miejscowości Posthausen, z prawej — jakaś farma, a poza tym wszędzie woda. Oczywiście nie było mowy, aby przeszkodę na drodze dało się obejść.

Nie była ona w rzeczywistości wcale groźna. Kiedyś był tu mały przepust drogowy może 20 do 30 stóp. Obecnie wysadzono drogę i przepust, a woda, która wdarła się w wolne miejsce zwiększyła szerokość do 60 stóp. Przeszkoda łatwa dla saperów, nie do przebycia jednak dla broni panc. i nawet dla piechoty.

Meldunek jaki otrzymał dowódca 10. Kompanii Saperów wiernie oddawał istniejące w terenie warunki; mówił o potrzebie użycia buldozera dla wyrównania brzegów, wspominał o tym, że nie ma żadnego ognia, ale pozwalał się go spodziewać.

Nie mylili się rozpoznawcy. Saperów, którzy ponieśli zaimprowizowaną na prędce kładkę, powitały pojedyńcze pociski nieprzyjaciela. Wkrótce dołączyła się artyleria pelot. Założenie kładki przez przeszkodę trwało kilka minut. Nie rozwiązywało ono jednak kwestii. Dragoni mogli pójść do przodu, ale bez wsparcia czołgów i ich własnej ciężkiej broni nie mogli wysunąć się daleko. Kolumna mostowa wyruszyła już do przeszkody, a z nią równocześnie buldozer z kompanii parkowej. On pierwszy miał do wykonania zadanie.

Niemcy z przeciwnego brzegu Ledy od razu okazali, że nie życzą sobie, aby most zbudowano w warunkach łatwych. Na buldozera posypały się strzały *sniper'ów*. Mało chroniony operator, pracował mimo wszystko, chociaż praca trwała o wiele dłużej niż trwała by w normalnych warunkach. Usuwanie zniszczonych części żelazobetonowego przepustu nie było rzeczą łatwą i niejednokrotnie wymagało wyjścia operatora z kabiny, a wtedy stawał się żywą tarczą dla *sniper'ów*. Odbywające się kilkanaście metrów z tyłu rozładowywanie sprzętu mostowego, też nie uszło uwadze Niemców. Nad wyciągniętymi na drodze samochodami rozrywały się co chwila pociski szrapnelowe, a wkrótce dołączyły do nich sześciofuntowe moździerze. Saperzy pozbawieni byli wszelkiej osłony, na szczęście jednak pociski spadające w wodę po obu stronach drogi, nie mogły ranić odłamkami. Gorzej było z rozrywającymi się nad głową szrapnelami i ze strzałami karabinowymi pojedyńczych Niemców. Jedyną obroną dla saperów były czołgi, które nie wiele mogły zrobić wkopanym w wał Ledy Niemcom, a już całkowicie nic, strzelającej artylerii i moździerzom. Budowa mostu odbywała się bardzo długo. Sprzęt trzeba było donosić dość daleko, budowę bardzo często przerywać, chronić się pod czołgi i wozy. Już dawno minął czas określony na ukończenie pracy. Zdawać się mogło, że przed zapadnięciem zmroku, który zakryłby pracujących saperów, nie ma co myśleć o zakończeniu budowy. Z pomocą przyszły stojące czołgi, które położyły zasłonę dymną. Za tą kurtyną z dymu zaczął rosnąć most. Szrapnele wciąż rwały się u góry, moździerze ciągle jeszcze przyduszały do ziemi, ale saperzy nie zagrożeni ogniem *sniper'ów* pracowali jak szatani nad budową mostu.

Nagle wiatr rozwiał dymy. W tym samym momencie na niespodziewających się niczego saperów, posypał się grad pocisków. Został ranny dowódca plutonu budującego most i czterech saperów. Praca została jeszcze raz przerwana. Most już był prawie gotowy. Nie zważając na ogień moździerzy, strzały *sniper'ów*, ludzie nie zaprzestali pracy. Założono rampy, położono pokład i pierwszy czołg ruszył do Posthausen.

Mijający później ten mostek żołnierze dziwili się dlaczego przyczepiona na nim tablica głosiła, że jest to *Sniper Bridge*. Wtajemniczeni, t.zn. my, saperzy wiedzieliśmy, że świadczyć on ma o naszym zwycięstwie nad nieprzyjacielem, znajdującym się na odległość strzału karabinowego od nas.

JÓZEF JAROSZ, ppor.
10. Kompania Saperów

N O C

DOKOŁA jest płasko, obco, wilgotnie. Szerokie zalewy topią horyzont w monotonii zimna i bezruchliwej wody. Tylko przydrożne drzewa nieśmiałą zielenią bronią się przed sinym ciężarem nieba. Nie ma nawet smutku w tej wyblakłej równi jest martwo — martwo i wrogo.

Czołgi przeciskają się ostrożnie przez wąskie, brązowe mosty. Do Posthausen jest jeszcze dwa kilometry.

Ułan Pokrywka w zakamarku strzelca przedniego smaruje grubo smalcem kromkę chleba. Podaje mi ze zwykłym swoim: ... — trzeba coś wreszcie przegryźć, panie poruczniku ... „Przegryzam" tak kromkę za kromką, a tu już Romcio buczy w radio — Uwaga na *sniperów*.

Droga nagle zarzuca w prawo. Rozburzony, żółty dom. Stój. Raz z prawa, raz z lewa prycha krótką serią cekaem, lub z rzadka palnie brudnym dymem i rozmokłą, czarną ziemią uprzykrzony moździerz.

Robi się zmierzch fiołkowo-zalotny, wprost niewiadomo skąd się wziął, wśród podmokłych łąk, okaleczałych drzew, brunatnych bajor i tego opuchłego wodą niemieckiego trupa w przydrożnej, błotnistej fosie.

Srogowąsy Romcio opancerzony dużym, zielonym mapnikiem (mapnik typu czołgowego) pomaszerował na odprawę do dowódcy „Błyszczących butów". Dowództwo 10. Pułku Dragonów wcisnęło się wszystkimi wozami dowodzenia w poszczerbiony i nadpalony Posthausen. Na skraju wsi paru saperów medytuje coś nad nowo postawionym mostem. Znowu cekaem, czasami bachnie moździerz.

Zadanie proste: 2. szwadron 24. Pułku Ułanów wesprze uchwycenie i rozszerzenie przyczółka Dragonów na odnodze kanału Bar Belder.

Pakujemy się czołgami w wąskie Posthausen. Dojeżdżamy na wyboistą krzyżówkę. Dwie drogi w kształcie litery V. W środku święta figura poszarpana odłamkami, w czerwone rany cegieł.

Wojtek z plutonem pierwszym w lewo wzdłuż drogi. Ja jadę w prawo. Reszta szwadronu przy rotmistrzu.

Staję plutonem w kolumnie na szosie, między drzewami. W prawo i w lewo szerokie łąki upstrzone kępkami sitowia. Na łąkach czujne, niespokojne, rozdętochrape konie i zbite w bezradne stada biało-czarne krowy, takie same jak z tabliczek mlecznej czekolady, dobrotliwe i poczciwookie.

Terczy napęd wieży; działa w lewo w horyzont zamknięty niewyraźnymi ogrodami miejscowości Velde, sterczącej wysokim kominem i dekoracyjnym wiatrakiem przykrytym opadającym zmrokiem.

800...

...granat do walki... Trzy nierówne, nerwowe błyski...

Poprawka.

...po pięć granatów, salwa! ...Czołg się wzdryga... mdławy swąd dymu... krótki, szorstki świst... płowe grudki ognia. Wybuchy.

Tam to Niemcy.

Noc kładzie na nas czarny namiot fałszywej ciszy, rozdarty tu i ówdzie trzaskiem *Schmeissera* lub erkaemu. Obok nas cichokrokie sylwety idące w ciemne, zaczajone przedpole Urywki radiowych meldunków. Niedostrzegalny strzęp elektrycznej latarki. I matowy szept mroku: Hallo Celina 14... Hallo Celina 14... Hallo...

Z rozlewisk ciągnie kwietniowy chłód mokrym ziąbem. Trzeba skoczyć z czołgów, by przetupnąć zdrętwiałe nogi. Daleki piszczałkowaty ton, rosnący w przeciągły, bulgotliwy gwizd.

„Organki".

W dwa skoki leżymy w rowie. Na ułamki sekund ślepa cisza rozszarpująca się w serię charczących wybuchów. Sześciolufowe niemieckie moździerze przypomniały sobie naszą szosę.

Potem siedzimy w czołgach, odpędzając natrętny sen. Palimy ukradkiem papierosy, otoczeni ostrożnym półszmerem, przytłumionym niepokojem w zdradliwej głębi nocy. Przedpole przywarło w niemej czerni przeraźliwym oczekiwaniem.

Na zegarkach sekundniki odetchnęły godziną H.

Gwałtowny, czerwony krzyk cekaemów. Chrobot gąsienic *carrier'ów*, płaskich czarnych chrabąszczy. Seria za serią rozłupuje ciszę na migotliwe drzazgi. Pięści granatów wybijają twardy takt walki. Tępe wybuchy. Daleki jęk; jak odzew przerażonej nocy.

Palący, straszny syk. *Carrier'y* — miotacze wycharkują z siebie kłębliwy, żółty płomień. Ciemność chwieje się przed ognistą śmiercią. Pokraczne, chybotliwe cienie, w chmurach płonącej ropy. Przez mokre, zimne łąki rwie obłąkanym biegiem gorejący cel.

Przeraźliwy krzyk kona w ostatniej, ludzkiej obronie...

Na tętniący puls, spada głuchy obuch ciszy.

Ciężkie, powrotne kroki. Ktoś dyszy. Zmęczone słowa kapią jak lepka maź.

Przeprawa... w naszych rękach...

Matowy świt wlecze mgłą z nad mokradeł.

W przodzie nasze patrole. Nie strzelać. Czekać sygnału zielonej rakiety.

Ogłupiałe, przestraszone krowy stoją bezbronne w zimnej rosie nocnego pobojowiska.

Ciepła herbata, zgotowana naprędce, łagodzi bezsenne znużenie. Kopci szarym dymem dogasająca wieś Velde.

Rąbią serie niemieckich moździerzy i trzask karabinowych strzałów.

Za nami kopią Dragoni zieloną darń w ostatniej posłudze dla kolegów. Drewniane krzyżyki w chłodne, wiosenne rano.

Po odległej grobli skoki zgarbionych postaci. Lornetka tężeje w wypatrywaniu. Nasi nie nasi. Ni śladu zielonej rakiety. Znowu odrywają się od trawy skuleni, chytrzy, szybcy. Wyraźny zarys cekaemu, biegną nierównym krokiem. Po dwóch . . . po trzech . . .

Niemcy !

Browningi grają taśma za taśmą. Przez szeroką łąkę czerwoną ścieżką lecą pociski w groblę.

Oszalały cwał przerażonych koni. Niemo padają na pastwisko ciężkie, łaciate krowy.

. . . Jeszcze się wspiął na zadzie lśniący, szybkonogi kasztan. Jeszcze rzucił wysmukłą szyją, rwąc niewidzialne wędzidła, jeszcze parsknął rozwartą chrapą i jakby szukał wilgotnym, granatowym okiem po raz ostatni swego pana. Upadł . . . „jako wyzwanie marnym, ludzkim zbrodniom, ten koński trup niewinnie ukamienowany . . ."

2.

Popoludnie jest chmurne, czołgi toczą się wolno przez rozkopane wyrwami drogi, ostatnia „nadzieja" obrony rozpadającego się *Wehrmachtu.*

Czasem mignie przez chmury, zapóźnione majowe słońce białym, świeżym blaskiem. Mijamy jakieś wioski, zburzone pociskami artylerii ściany domów. Spalone farmy. Bezludne prawie osiedla. Rzadko można dostrzec w wpółrozwartych drzwiach wystraszoną twarz człowieka. Tor kolejowy zamarł w bezruchu, wyrzutem powyginanych szyn. Roztrzaskane wagony. Leje. Po szosie walają się brudne, płachty papierów. Wiatr wieje spalenizną i czadem klęski.

Mimo nas, w beznadziejnym, bezmyślnym marszu popielate, obce twarze. Otępieli wędrówką, bezdomni nieszczęściem. Dźwigają w obszarpanych tobołach dno zatraty. Zasłużeni spadkobiercy września. Dziedzice łez. Dłużnicy ludzkich krzywd. Niemiecka Rzesza.

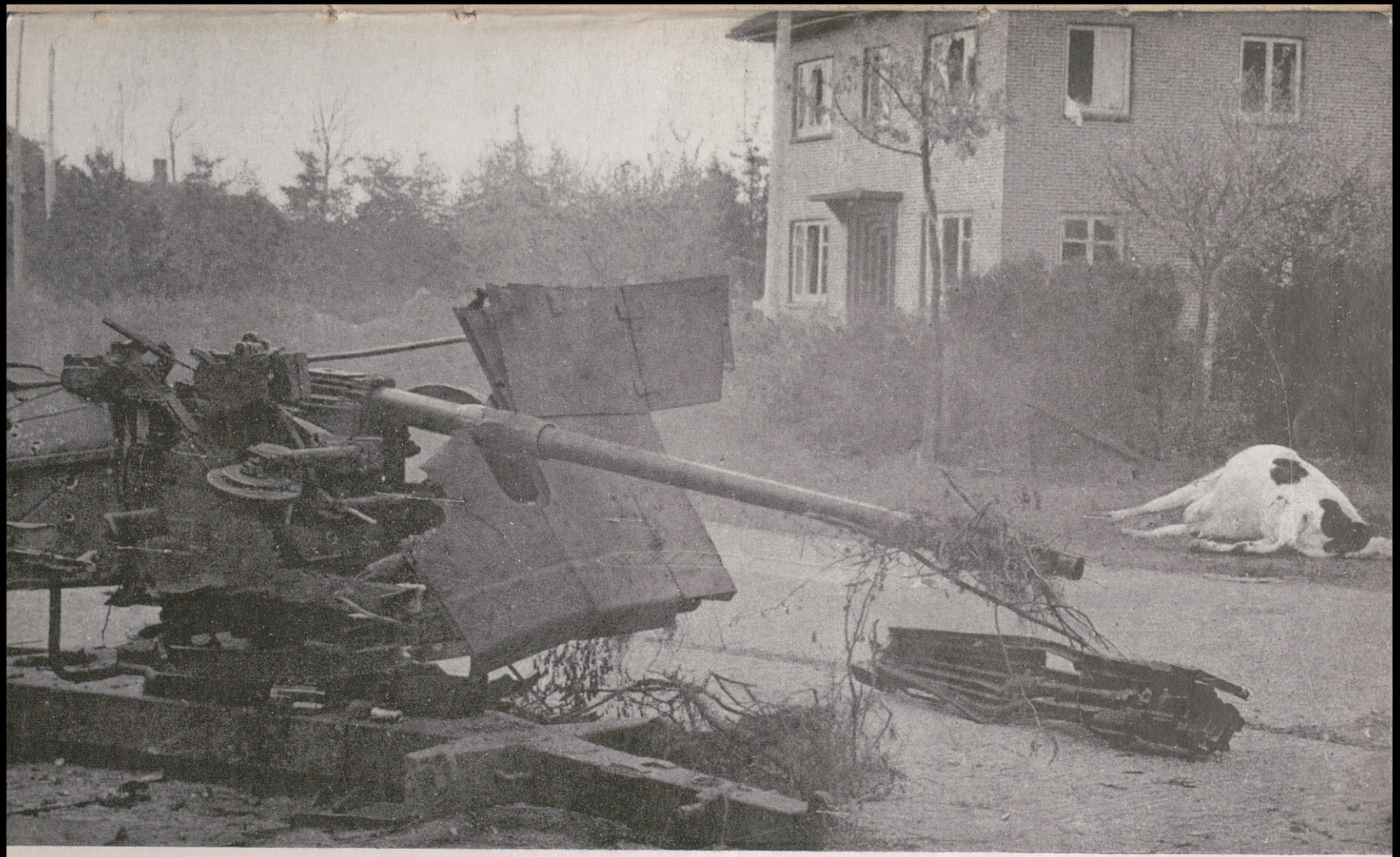

Po przejściu przez Irhove

Fot. M. Walentynowicz



Alianci współpracują na wszystkich frontach — Fot. M. Walentynowicz

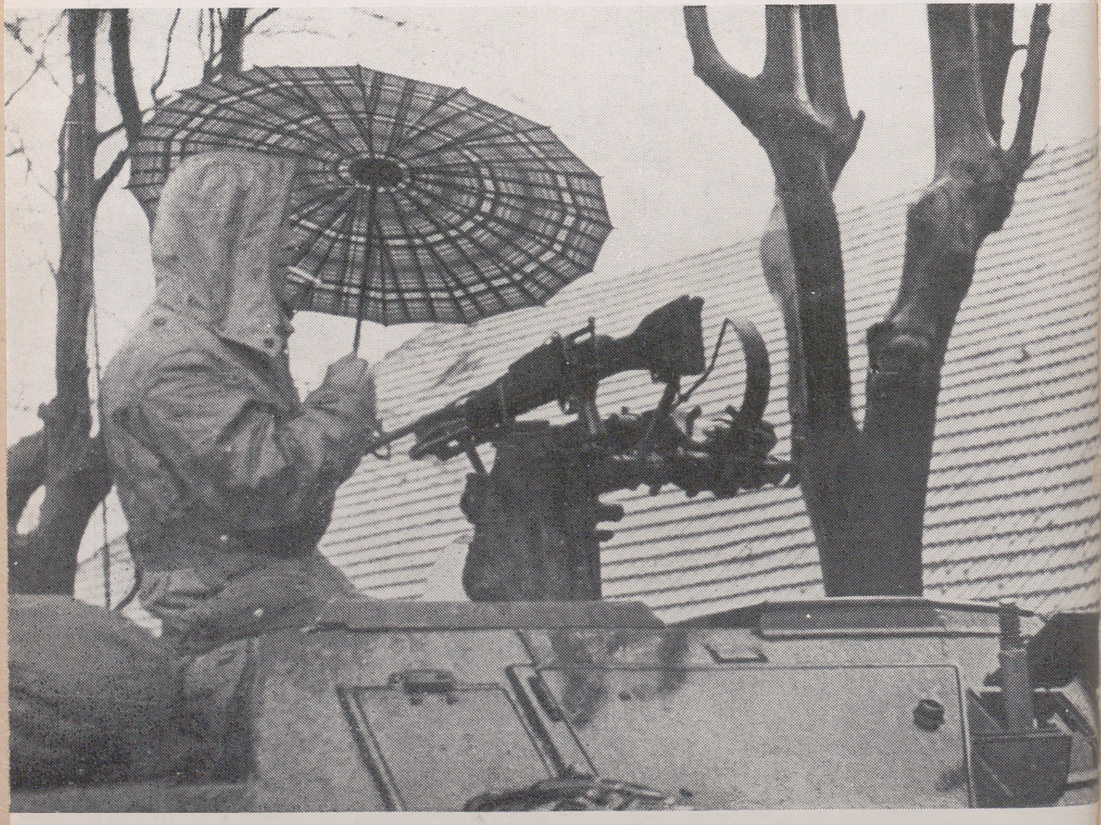

Wojna staje się coraz bardziej luksusowa — Fot. M. Walentynowicz

Pułk kwateruje w Bokel.

Pada deszcz.

Wieczór lepi ściany pokoju bezbarwną tapetą. Rozmowa jest jakaś nijaka, tak jak pogoda. Stefan przeciąga się głęboko na kanapie, błyszczy mądrze okularami i familijnym uśmiechem. Lecz nawet pogoda „Starego Opata" niknie gdzieś w próżni jak wzrok Zygmunta patrzącego w okno. Z pułkownikiem wchodzi jak zwykle szeroki gest, uśmiechnięte półsłowo, dobre przymrużenie oka, pełny, żywy dar niefrasobliwego ruchu.

. . . a co tam w radio . . .

Ktoś dłubie przy aparacie . . . nierówny kwik jazzu . . . a potem . . .

Potem przerwa i cisza spod przymrużonych powiek . . .

„. . . jutro godzina 8 rano przerwać ogień na wszystkich frontach 21. Grupy Armii . . ."

Głos jest daleki, pusty za ścianą szklanej ciszy.

Ktoś chrząknął. Za oknem mroczy deszczem.

Szczepko przynosi niewiadomo jakim cudem zaoszczędzoną butelkę szampana. W kieliszkach szampan ma kolor wosku.

Radio coś mówi . . . mówi po polsku . . . naszą mową.

Słowa padają drewniane. Głuchy, ciężki grad.

„. . . o Polsce wyzwolonej, niepodległej, maszerującej przy boku Czerwonej Armii, Armii naszych oswobodzicieli, o Polsce idącej szeroką aleją wolności — Aleją Marszałka Józefa Stalina . . ."

Coś chwyta za gardło jak gorycz.

Tak. To szampan był gorzki.

Noc.

Ciemne bryły czołgów. Wierni do ostatka towarzysze. Szwadron śpi.

Zasłużony, mocny odpoczynek.

Jutro nie poderwie cię rozkaz: 3. pluton do przodu . . . choć do kresu tak jeszcze daleko. Setki odległych, złych mil. Przemierzyliśmy Europę krokami cięższymi niż ołów. Magnetyczne igły jednego kierunku: powrotu. Łaknący wśród libijskiego żaru własnego domu jak wody. Przepaleni mrozem północnych łagrów. Czekające żurawie powrotne.

Jutro John Smith z High Street może wrócić do domu. Jutro już sweet Mary nie będzie wysyłać niepokojem bijących listów. Dla Johna Smith to powrót do utraconego szczęścia.

Koniec wojny. To dwa słowa.
Granica między zwycięstwem a klęską. To jedenaście liter.
Wbitych włócznią w serce.

WARSZAWA

WESTERPLATTE

KUTNO

MODLIN

NARVIK

MONTE CASSINO

FALAISE

CHAMBOIS

WARSZAWA

Noc i wiatr i nieskończona droga mroku.
Na młode wiosenne liście spada deszcz jak szept.
... Wieczne odpoczywanie racz Im dać Panie, pod prostym drewnianym krzyżem, a Światłość Wiekuista niechaj Im świeci światłem dalekiej Ojczyzny, i zezwól Im ujrzeć Polskę w rosach Wolności najczystszą ...

JACEK STWORA, por.
24. Pułk Ułanów



PAN GEN. BRYG. MACZEK STANISŁAW

W imieniu służby narodowej dziękuję Ci Generale, wszystkim dowódcom i żołnierzom 1. Dywizji Pancernej za wspaniałą pracę bojową, wykonaną dla chwały oręża polskiego i sprawy polskiej.

Dobrze zasłużyliście się Ojczyźnie.

Od początku inwazji w Normandii poprzez Falaise i Bredę włożyliście w cały szereg bitew ogrom ofiary i trudu wojennego. Ukoronowane to zostało wejściem do Wilhelmshaven, kolebki marynarki niemieckiej. Był to odwet za Gdynię. Wiemy, że jest to tylko pierwszy etap w marszu naszym do wolnej Polski. Nie spoczniemy póki sztandary nasze nie załopoczą nad Krakowem, Poznaniem, Warszawą, Wilnem i Lwowem. Każdy żołnierz musi sobie zdawać sprawę, że Naród nasz jest jeszcze ciągle w niewoli i straszliwie katowany.

Wiemy że 1. Dywizja Pancerna — kwiat rycerstwa polskiego, rozumie to najlepiej że walka o Polskę nie jest jeszcze skończona.

Londyn dnia 20 maja 1945 r.

p.o. Naczelny Wódz
(—) ANDERS
gen. dywizji

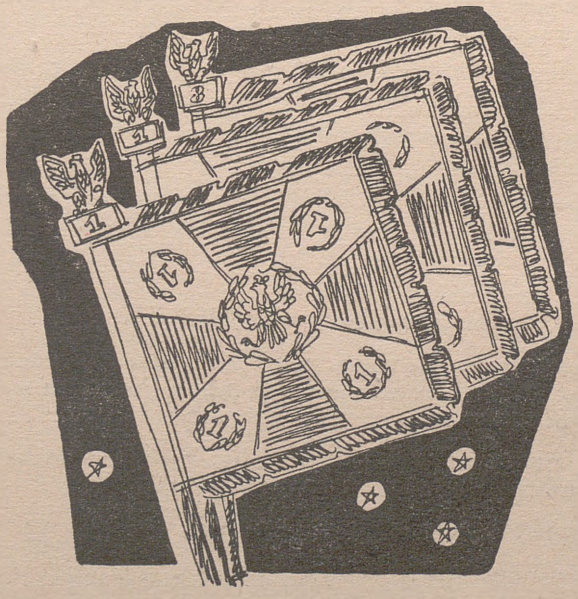

DWIE MOŻLIWOŚCI...

Na terenie ostatnich walk Dywizji znaleziono szereg ulotek niemieckich, mających służyć podniesieniu morale żołnierza niemieckiego i zapobieganiu dezercji. Oto treść jednej z tych ulotek w dosłownym tłumaczeniu.

J e s t e ś Ż o ł n i e r z e m !

Przeto są dwie możliwości:

Albo jesteś dobrym żołnierzem — albo złym.

Jeśli jesteś dobrym żołnierzem — to dobrze.

Jeśli jednak jesteś złym żołnierzem — to są dwie możliwości:

Albo wierzysz w zwycięstwo albo nie wierzysz.

Jeśli wierzysz — to dobrze. Jeśli nie wierzysz —
to znowu są dwie możliwości:

Albo weźmiesz sznur i powiesisz się, albo się nie powiesisz. Jeśli zaraz weźmiesz sznur i powiesisz się — to dobrze. Jeśli się jednak nie powiesisz —
to są dwie możliwości:

Albo porzucisz walkę, albo jej nie porzucisz.

Jeśli nie porzucisz walki — to dobrze. Jeśli jednak walkę porzucisz —
to znowu są dwie możliwości:

Albo Sprzymierzeni użyją cię do usuwania pól minowych, albo cię nie użyją [do tego.

Jeśli cię użyją do uprzątania pól minowych — to dobrze. Jeśli cię nie użyją —
to są dwie możliwości:

Albo spełnią po wojnie życzenie Stalina i oddadzą cię na roboty przy odbudowie, albo cię nie oddadzą. Jeśli cię oddadzą — to będziesz miał to, na co zasługujesz.

Jeśli cię jednak nie oddadzą —

to znowu są dwie możliwości:

Albo zginiesz powoli w lasach kanadyjskich, albo nie zginiesz. Jeśli zginiesz — to jeszcze jest stosunkowo dobrze. Jeśli jednak nie zginiesz —
to są dwie możliwości:

Albo powrócisz po 12 latach, albo wrócisz w drugiej turze po 24 latach. Jeśli wówczas wrócisz, będziesz już starym człowiekiem.

Na drugiej stronie ulotki widnieje zdanie:

„Musisz walczyć aż do końca".



EPITAFIUM

pamięci rtm. Stefana Romera

W zgliszczach spalonej wsi,
rozszarpany dzień kona
po ostatnich bitwach...
Horyzont mrokiem się czai,
słońce dymem dogasa,
jak żałobna na wargach modlitwa.

Czarny nabój nocy,
martwą ciszą spada w oniemiały las,
i nie spoczynkiem w znużone źrenice
obce niebo ci sypie,
a popiołem niepokoju gwiazd.
Cóż, że pachnący mech,
leśną miękkość pod skronie ci układł?
Cóż, że ci do powiek sprowadza,
mlecznej drogi szlak,
pochylona nad głową,
srebrna świerków duchta?

Wiatru dalekiego dech,
do piersi się wkradł,
i gorzkim płomieniem trwa.
Świeżo zruszana darń,
i przestrzelony hełm,
znów gdzieś pod La Croix...

Blade rano wybiegnie
tak samo, jak wczoraj,
ciężkim czołgom naprzeciw.
Artyleryjski pocisk, budzące się jutro,
szorstką stalą przeora.
Wtedy, działo wyceluj,
przez serca własnego lunetę,
aż odnajdziesz w zdobytym okopie
naszą młodość, przekłutą bagnetem.



JACEK STWORA, por.
24. Pułk Ułanów

PLUTON OPIEKI

PLUTON o tak zagadkowej nazwie pozbierał się szczególnie szybko z tych rozmaitych statków, którymi go przewożono. Majorowi Łubkowskiemu nie brakuje żadnej z jego owieczek, jeśli to owieczkami nazwać można. Nawet Żyw się odnalazł co prawda bez *calvadosu*, tylko w podejrzanie dobrym humorze i z rumieńcem dziewiczym na nosie. Pluton obozuje pod jabłoniami. Można mu się więc przypatrzeć. Formacja ta jest zastanawiającym przykładem, jak wygląda skrzyżowanie angielskiej teorii z polską praktyką.

W strukturze angielskiej dywizji — po długich zwlekaniach przeszliśmy jak wiadomo, na strukturę angielskiej dywizji — jest właśnie taki pluton. Tam nazywa się on *Psychological Welfare*. Siedzą w nim *high brow'y*, *braintrustowcy*, absolwenci ekonomii politycznej, socjologii i czego tam. Jest to dość naukowy manometr ciśnień i nastrojów wojska, operujący nie pod tym kątem, kogo na ile dni wsadzić do paki, ale — jakim argumentem odpowiedzieć na jakie dręczące pytania. Tak; ale Anglicy mają olbrzymie zespoły socjologów i ekonomistów, ich uniwersytety nie zamarły na okres wojny. A my? Tak, ale angielski „psycholog" ma pełno gotowych odpowiedzi. Plan Beveridge'a, przebudowa miast, budowa tanich domów, reforma szkolna, co tam jeszcze? Żadna z tych gotowych odpowiedzi nie usunie, niestety, wątpliwości Polaka, które są i inne i olbrzymie, i których tutaj woli się raczej nie poruszać. Dosyć już je porusza życie.

Już sama nazwa angielskiego plutonu nasuwa niesamowite trudności: *Psychological Welfare*? Jak to przetłumaczyć? Pluton psychologiczny? Kto zna ducha armii polskiej, ten wie, że coś podobnego jest z nim zupełnie sprzeczne. Może byśmy mieli potem pluton teologiczny? Albo filozoficzny? Istny uniwersytet! Do czego by nas to doprowadziło! Tłumaczenie rozpoczęło drogę kompromisu. Tak powstał Pluton Opieki. Nazwę tę dociągnięto jeszcze bardziej do polskiej tradycji. Powstał tak pluton propagandy i oświaty. (Nazwa „opieki" wywoływała u zawistnych złośliwe komentarze, że jest to pluton opieki ... nad samym sobą.)

Pluton Opieki jest stanowczo niedocenioną instytucją. W ramach, w jakich powołano go do życia, nie może zdziałać więcej; robi, co może.

Wydaje codziennie gazetkę. To nie jest już jego wina, że jeden egzemplarz wypada na 12 żołnierzy; tyle dostał papieru. Dostarcza pewnej sumy wiadomości, a że ich nie komentuje — mój Boże! A czy organ rządowy w Londynie komentuje dostatecznie jasno podróż premiera do Warszawy? Nie przyganiajmy głównej ostoi pisma plut. Eizenmanowi, skoro sam Szerer smoli.

„Dziennik Żołnierza" jest doraźną robotą Plutonu Opieki. Inna jego robota jest na dalszą nieco metę. Oto Pluton udzielił przytuliska malarzom, rysownikom, literatom, filmowcom, grafomanom. Można krytykować ich dobór; ale przecież jacyś są. Tylekrotnie nie było ich wcale. Czy nie chodzi nam o to, aby nasza normandzka karta została wyzyskana i upamiętniona? Chodzi. Tym bardziej, że dziś nie jesteśmy jak w czarnym roku 1940, pupilami brytyjskiej prasy i radia, i nasz obecny wysiłek nie nastraja na tak gorące owacje, jak wtedy, gdy oni byli sami, za wielkich dni dywizjonu 303.

Jest jeszcze jeden zarzut, stawiany biednemu Plutonowi przez mniej życzliwe czynniki Dywizji. Stuletni rektor z Toronta, o którym pisał kiedyś w „Nowej Polsce" Mieczysław Pruszyński, byłby za to zadowolony: Pluton posiada podejrzanie wysoki procent ludzi pozostających w bliskim, nieco dalszym, pośrednim, luźnym lub dowolnym kontakcie z wydawnictwami tego typu, co Almanach Gotajski lub Złota Księga Szlachty Polskiej. Lubownik genealogii i znawca rodów polskich, profesor Kot stawiałby im, czwórki, czy trójki. Widzę jak pomrukuje; o ten, wielka w Polsce rodzina, tytuł Świętego Państwa Rzymskiego! Tamten? No, dobrze, dobrze, niczego, ale tylko austriacki hrabia! Ten znowu? No, to rodzina późna bardzo, tylko koligacje pierwszej klasy. Ten? Czekaj pan, mimo pozornie hiszpańskiego brzmienia nazwiska, stara ruska rodzina. Jedna z najstarszych na Wołyniu... Arian popierali. Ale stuletni rektor Kanadyjskiego uniwersytetu, który pytał, czy w armii polskiej jest dużo tego, co nazywa się *Gentlemenami*, i profesor Kot, który ma Niesieckiego w małym palcu — są wyjątkami na świecie. Bardziej nowoczesna opinia dywizji znacznie mniej się zachwyca tym przypadkowym — nagromadzeniem kuzynów księcia biskupa warmińskiego oraz frywolnej hrabiny z czasów Napoleona, o której tak barwnie pisał Aleksander Piskor.

Dowódca tego Plutonu jest zarażony pięknym liberalizmem XIX wieku, bez którego nie ma kultury, ale z którym — wedle rodzimej opinii — kończy się wojsko. Jedyną tego troską jest, aby gazetka miała papier, malarze — swobodę ruchów, filmowcy — czego im potrzeba, a piszący — dużo wolnego czasu. Toteż w całym tym Plutonie panuje znakomita harmonia i jedynie podchorąży — sierżant — szef i jego prawa ręka magazynier pa-

trzą się czarno na takie rozluźnienie obyczajów. Nie ma zbiórek co kwadrans, odpraw co godzina, wart, zmian wart, patroli — co za wojsko? Przybycie do Plutonu trzech polskich korespondentów wojennych wprowadziło do reszty atmosferę zgniłego Zachodu. (Nawet latryny nie chcieli kopać). Sierżant — szef jest zrozpaczony. Jest to honorowy, wysłużony harcerz, jeden z takich, co mając sześćdziesiąt lat, będzie bawił się w zawiązywanie skomplikowanych węzłów, chodzenie w porteczkach, noszenie gwizdawki na lewym ramieniu. (Za to w siedemdziesiątym trzecim roku życia będzie miał sprawę sądową za romansik z nieletnią i umrze na *delirium tremens).*

Szef jest sadystą. Wedle możności — niestety, są one nikłe — urządza zbiórki, kopie (lub zasypuje) rowy, ogłasza, zarządza, obwieszcza. Wielki książę Konstanty znalazłby u niego zrozumienie. Z magazynierem jest gorzej. Wyżywa się w stosowaniu, ile może, wojskowego drylu na samym sobie. Wołanie „zbiórka" czy „pobudka" przepełnia go błogością, stanie na baczność entuzjazmem, trzask własnych obcasów sprawia mu seksualną rozkosz. Jest to żydowski adwokat z Warszawy; pisze podobno wspólną broszurę z pewnym lokalnym oenerowcem. Świat doprawdy goni na dobre w piętkę, skoro Żydzi chorują na dryl.

Żadna z tych chorób nie udziela się jednak na szczęście Plutonowi Opieki. W mig nastąpiło szereg wojskowo nieprzewidzianych, ale życiowo cennych rozpoznań. W której farmie jest dobre wino, w której tylko *cidre.* Gdzie koniak, gdzie *calvados,* gdzie *fine champagne.* Już pierwszego dnia wiadomości są nader pomyślne. Francuzi może nie umieli bronić swej ojczyzny przed najazdem niemieckim, ale potrafili obronić swe piwnice. Te prywatne linie *Maginota* przetrwały pięć lat okupacji. Chodzi teraz o to, aby je rozkruszyć naszym dobrym słowem.

Szturm się udaje. Szynki we wsi są zamknięte — ale wkrótce jesteśmy prywatnymi gośćmi. Żywa obsiadły dzieciaki francuskie, tak jak raki padlinę, Herbert trzyma na kolanach dziewczynkę czteroletnią, Jaroszyński przypiera parokrotnie starszą, inne dzieci omawiają w sposób mało uprzejmy moją urodę. *Entente cordiale.* Pani domu pokazuje nam mydło, jakie mają — posiada ono zapach i nazwę mydła, kolor gliny i wcale się nie mydli. My dobywamy nasze stare mydła — krzyki zachwytu! Następnie wjeżdża w rewanżu na stół doskonałe biało wino *Anjou,* potem pierwszy *calvados* — ma tylko czterdzieści lat, młodziak, — potem *fine,* potem trzeba rozstrzygnąć zagadnienie co lepsze: czy ta *fine* czy nowy *calvados.* Trudna kwestia wypełnia nam resztę wieczoru.

Wracamy sobie w cień naszych jabłoni. Wszedł piękny księżyc, psy szczekają po farmach, piękna mowa francuska brzmi w uszach, wino śpiewa

we krwi, jest dobrze. Zwolennicy drylu po odbyciu paru nadprogramowych zbiórek, poszli dawno spać — teraz za karę budzi ich huk niemieckiego samolotu, do którego nasi strzelają, aż odłamki furczą w sadzie. Ale kto zakosztował wina ten śpi dobrze i nam to nic nie przeszkadza.

KSAWERY PRUSZYŃSKI
Fragment ze „Wspomnień Normandzkich"
„Nowa Polska", wrzesień 1944.

PRASA DYWIZYJNA

„DZIENNIK ŻOŁNIERZA"

„DZIENNIK ŻOŁNIERZA" założony został przez 10. B.K.P. dnia 29 czerwca 1940 r. w Szkocji, a jego pierwszy nakład wyniósł 16 egzemplarzy. Był to rodzaj biuletynu, odbijanego na maszynie do pisania przez kalkę. Następną fazą była woskówka i powielacz, aż w dniu 20 grudnia 1940 r. po raz pierwszy „Dziennik Żołnierza" ukazał się drukiem. Wydawany w Forfar w dalszym ciągu jako pismo żołnierzy 10. B.K.P. w maju 1942 r. przenosi się do Glasgow, gdzie już jako pismo I. Korpusu staje się oficjalnym organem Polskich Sił Lądowych na Zachodzie. Na skutek decyzji władz rządowych z końcem 1943 r. „Dziennik Żołnierza" zostaje połączony z wychodzącym w Londynie „Dziennikiem Polskim".

W obliczu mającego nastąpić wyruszenia Dywizji do akcji zaistniała konieczność powołania do życia pisma, któreby towarzyszyło żołnierzowi na froncie, dostarczając mu niezbędnych informacji. Dnia 29 czerwca 1944 r. ukazuje się w Scarborough (Yorkshire) pierwszy numer wznowionego „Dziennika Żołnierza", na którego czele staje b. redaktor z okresu forfarskiego, ppor. Starzeński Paweł. „Dziennik Żołnierza" ukazuje się wówczas raz w tygodniu, odbijany na powielaczu.

1. Dywizja Pancerna ląduje na Kontynencie, a dnia 3 sierpnia 1944 r. „Dziennik Żołnierza" z tygodnika przeistacza się w pismo codzienne. Jedynym źródłem informacji jest nasłuch radiowy. Zespół redakcyjny składa się z trzech osób, techniczny z jednej. Całość pracy, a więc nasłuch, pisanie matrycy, powielanie i ekspedycja, dokonywana jest na 3-tonowym wozie, odpowiednio dostosowanym i przebudowanym do tego celu. Zgodnie z przepisami brytyjskimi jeden egzemplarz pisma obsługiwać ma 10 żołnierzy, tak więc codzienny nakład nie przekracza 1500 egz. Wobec stałego ruchu Dywizji i zmieniających się stale w akcji miejsc postojów, kolportaż pisma napotyka nieraz na trudności.

Następuje zajęcie Bredy i ustabilizowanie się odcinka Dywizji nad Mozą. Dnia 30 listopada 1944 wychodzi w Bredzie 121 nr. „Dziennika Żołnierza" wprawdzie w tym samym formacie i na powielaczowym papierze, lecz już drukowany. W tym samym czasie odchodzi z dziennika jego dotychczasowy redaktor ppor. Starzeński, a jego funkcję obejmuje ppor. Węckowski Roland.

Gdy na wiosnę 1945 r. Dywizja wchodzi z powrotem do akcji „Dziennik Żołnierza" opuszcza Bredę razem z Dywizją i towarzyszy jej w etapach bojowego marszu. Najłatwiejszym sposobem pracy w tych warunkach było by zaniechanie druku i powrót do powielacza. Ale było by to równocześnie równoznaczne z cofnięciem się w rozwoju pisma i znacznie uszczupliłoby zawartość informacji. „Dziennik Żołnierza" drukowany jest więc nadal, a wobec szybkich postępów Dywizji drukarnie ulegają zmianie co parę dni. I tak w przeciągu jednego miesiąca „Dziennik Żołnierza" drukuje się kolejno w: Enschede, Almelo, Emmen, Wildervank (Holandia), Papenburg, Westerstede i dociera z Dywizją do Wilhelmshaven, gdzie obejmuje wielkie zakłady drukarskie, w których wydawane było pismo partii hitlerowskiej *Wilhelmshavener Kurier*.

Okres, jaki później następuje, zaznacza się dalszym rozwojem „Dziennika Żołnierza", zarówno co do szaty zewnętrznej, jak i strony informacyjnej. Korzystając ze znacznych zapasów papieru rotacyjnego, pozostawionego przez hitlerowców, „Dziennik Żołnierza" przechodzi na duży format normalnej gazety. Równocześnie radio przestaje być jedynym źródłem informacji. Wśród urządzeń technicznych drukarni w Wilhelmshaven znajduje się dalekopis radiowy. Odtąd „Dziennik Żołnierza" posiada stały serwis prasowy agencji Reutera.

Po opuszczeniu przez Dywizje rejonu Wilhelmshaven „Dziennik Żołnierza" przenosi się na stałe do miejscowości Quakenbrück, a bliska obecność innych oddziałów polskich jak Brygady Spadochronowej i polskich jednostek lotniczych, stale obsługiwanych przez pismo, siłą rzeczy przeistacza je w pismo Polskich Sił Zbrojnych na terenie okupowanych Niemiec. Nakład wzrasta.

Od chwili przekroczenia granicy niemieckiej i pierwszego zetknięcia się z ludnością jak i b. jeńcami „Dziennik Żołnierza" dociera do najbardziej odległych obozów, a kolportaż odbywa się nieraz drogą powietrzną, w postaci zrzutów, dokonywanych przez polskie samoloty myśliwskie.

W tymże czasie następuje dalsze rozszerzenie działalności pisma. Fakt, iż na terenie Niemiec przebywają setki tysięcy Polaków, poszukujących się wzajemnie, stawia przed „Dziennikiem Żołnierza" nowe zadania. Powstaje stała rubryka „Poszukiwania rodzin".

Dziennik Żołnierza
1. Dywizji Pancernej

Rok V M.p.,wtorek, dnia 15 sierpnia 1944 r. No.17



Rzadko tylko, w przyszłych latach, pióro historyka oddać zdoła cały ogrom wysiłku i bezmiar ofiar, którymi okupiona zostanie Wolność naszego Narodu. Kiedy pokój wróci na ziemię polską, tak bardzo doświadczoną w tej wojnie, pamięć wolnych pobiegnie ku Tym, którzy najwyższy dla swego Kraju złożyli okup.

Dziś ani wśród gruzów Stolicy, gdzie żołnierz polski trwa samotny w nierównej walce, ani na ziemiach Francji czy Włoch, na obcych morzach, czy w obcym przestworzu - nie ma czasu na obchodzenie dnia, poświęconego uczczeniu jego trudu i odniesionych zwycięstw.

Na wszystkich frontach, gdziekolwiek toczą się ostatnie walki dla pokonania wroga, dzień dzisiejszy zastaje nas w godnym miejscu - na polu bitwy, gdzie żołnierz polski zapisuje nowe karty walk o wolność i niepodległość Ojczyzny.

LUKA POD FALAISE ZACIESNIA SIE.

Wczoraj w godzinach popołudniowych oddziały polskie,kanadyjskie i brytyjskie przystąpiły do nowego ciężkiego ataku w kierunku na Falaise. Atak poprzedzony był ciężkim bombardowaniem lotniczym. Część oddziałów piechoty weszła do akcji przy użyciu zasłony dymnej. Na południe od Falaise, w rejonie Argentain, przebijają się nadal w kierunku północnym oddziały amerykańskie. Według niepotwierdzonych doniesień radiowych i agencji prasowych Amerykanie znajdować się mają w odległości nie większej niż 20 klm. na południe od Falaise.

Opór niemiecki pozostaje nadal najsilniejszy na północnym odcinku tego frontu, to jest na odcinku armii kanadyjskiej i brytyjskiej. W ciągu poniedziałku nie zaobserwowano w tym

NIEPOKOJ NIEMIECKI O PŁD.FRANCJE.

Dowódca niemieckich wojsk okupacyjnych w Marsylii wydał dziś rozkaz bezzwłocznego przystąpienia do ewakuacji ludnosci cywilnej z miasta. Wiadomość tę poprzedziły doniesienia o utrzymaniu, przez czwarty dzień z rzędu, ciężkiej ofensywy lotniczej na wybrzeże południowej Francji. Z baz włoskich 750 bombowców dokonało wczoraj ataku od Genui aż po Marsylię. Z granicy hiszpańsko-francuskiej doniesiono wczoraj wieczorem o trwających tam odgłosach silnych wybuchów, które potwierdzały by poprzednie wiadomości, że Niemcy przystąpili do niszczenia swych składów wojskowych.

Z granicy hiszpańskiej donoszą również, że rząd francuski w Vichy przestał w praktyce działać i istnieć. Do Hiszpanii przybywać zaczynają do-

„DEFILADA"

W okresie, gdy „Dziennik Żołnierza" wychodził jeszcze jako jednokartkowy biuletyn, a Dywizja stanęła na dłuższy okres w Holandii, rozpoczęto wydawnictwo tygodnika dywizyjnego „Defilada" w postaci ośmiostronicowego, ilustrowanego pisma rozmiaru albumowego. Bezpośrednim celem było dostarczenie żołnierzom lektury oraz spopularyzowanie dziejów i charakterystyki oddziałów wchodzących w skład Dywizji we wszystkich jednostkach. Było to szczególnie ważne wobec napływu nowych żołnierzy wyzwolonych z armii niemieckiej, którym brak było od dawna polskiego słowa, a tradycja wojskowa polska była dla nich rzeczą świeżą.

Warunki wydawania pisma były trudne. Cały personel składał się z jednej osoby (ppor. Wasiutyńskiego), a drukarnia odległa była od redakcji o sto kilkadziesiąt kilometrów. (Po krótkim okresie drukowania w Turnhout w Belgii, tygodnik drukowany był w Bruges). Nakład wynosił 2500 egz. Pismo było kolportowane przez oficerów opieki i przez ruchome kantyny Polskiej YMCA.

Z chwilą rozpoczęcia wiosennej ofensywy na Niemcy w 1945 r. „Defilada" podążyła za Dywizją. Parę numerów pisma drukowanych było w Groningen w półn. Holandii. Z chwilą wejścia w głąb Niemiec zmieniła ona zupełnie charakter. W maju na zdobycznym papierze ukazał się w nakładzie 25.000 egz. numer przeznaczony dla wyzwolonych rodaków. Ten sam nakład miał i numer następny. W czerwcu „Defilada" przeniosła się do Quakenbrück do drukarni „Dziennika Żołnierza". Zmieniła format na gazetowy, charakter tygodnika dywizyjnego na ogólnopolski. Redakcja jej została powiększona, nakład ustalony na dwanaście tysięcy egzemplarzy, zasięg kolportażowy stopniowo objął całą zonę brytyjską Niemiec. Objętość z czterech dużych stron wzrosła z początkiem roku 1946 do sześciu.

REDAKCJA

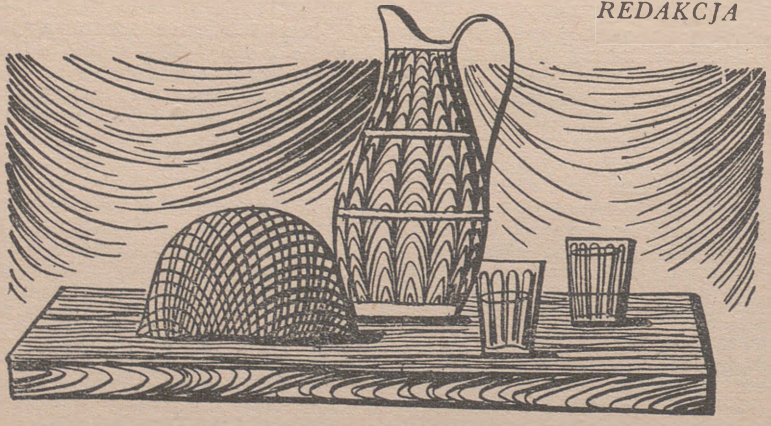

DZIENNIKARSKIE MAGNESY

W kanadyjskim obozie prasowym poza gospodarzami, poza korespondentami amerykańskimi, brytyjskimi, Australijczykami, Nowozelandczykami i Francuzami istniały jeszcze trzy ekipy „mniejszościowe", odpowiadające oddziałom trzech walczących w 1. Armii narodów: Belgowie, Holendrzy i my. Całe bractwo zjechało do dowództwa operacyjnego gen. Maczka tego samego popołudnia, gdy stało się wiadome, że w nadchodzącej operacji Polacy dostaną rolę o znaczeniu decydującym. Zainteresowanie było powszechne. Nie obeszło się bez iście amerykańskich chwytów w reportażach, jak to generał uderzał pięścią w czołg, wodząc „oczami naszłymi krwią" w kierunku frontu. Ale trudno, nie można im tego było brać za złe. To był nawet z ich strony pewien dowód przyjaźni — chcieli poprostu, aby gen. Maczek spodobał się ich czytelnikom, starali się więc przedstawić go w sposób dla nich ciekawszy. Ale w całej prasie sojuszniczej ukazały się wówczas opisy i wywiady i reportaże i zainteresowanie, które nas już nigdy nie opuszczało.

Na początku korespondenci wojenni lubowali się w malowaniu Polaków, jako pewnego rodzaju dzikusów, którzy przyjechali na front, aby nasycić bulgocącą w nich zemstę i rżnąć Niemców tępymi nożami. Z czasem to zainteresowanie sympatyczniało. Nabierano dla nas szacunku i zaufania.

Niezależnie od tego dziennikarze obcy lubili przyjeżdżać do Dywizji. Poza pewnym posmakiem egzotyzmu, który tu mogli znaleźć dla swych *stories*, ciągnęły ich trzy magnesy osobowe.

Gen. Maczek przyciągał ich tym, co Anglosasi nazywają *personality*. Poprostu był doskonałym obiektem rozmów i wywiadów. Był inny niż inni dowódcy dywizji, różnił się od nich może przede wszystkim temperamentem i dawał dziennikarzowi ogromne możliwości opisowe.

Pamiętam świetną scenę, która rozegrała się gdzieś w wiosce holenderskiej pod Baarle-Nassau. Przywiozłem wtedy ze sobą korespondenta wojennego agencji amerykańskiej *Associated Press* Johna Bony. Jedliśmy śniadanie w messie, gdy wszedł gen. Maczek i zaraz po przywitaniu wyraził żal, że źle trafiliśmy, bo dziś na froncie nic się nie dzieje.

Po południu odwołano generała do telefonu. Gdy wrócił, oczy mu się śmiały i zacierał ręce, charakterystycznym sobie ruchem.

— Czego się pan tak cieszy, generale? — zapytał Amerykanin.

— Bo zaraz jednak się zaczyna! Będzie bitwa! Pokażę panu!

„Generał cieszący się, że będzie bitwa" — tego Bony nie mógł zapomnieć. Posłał długą, doskonałą depeszę do swoich 1400 dzienników w Stanach.

Drugim magnesem był ówczesny pułkownik, dziś generał Dworak. Jemu wszyscy korespondenci wojenni polscy i innych nacji zawdzięczają to, że byli zawsze dobrze obsłużeni. Poza tradycyjnym drinkiem, który pułkownik miał zawsze na swym wozie, każdy dziennikarz otrzymywał wszystkie potrzebne informacje, wyjaśnienia i sytuacje na mapie. Jego fenomenalna pamięć była doprawdy imponująca.

— Mój kochany — zaczynał niezmiennie pułkownik Dworak — nie 7500 jeńców, wziętych do niewoli, ale tylko 7487. Polacy zawsze mają skłonności do przesady!

Trudno byłoby sobie wyobrazić, jakby wyglądała obsługa prasowa Dywizji bez pułkownika Dworaka, z którym mieliśmy specjalną umowę, *gentlemens agreement*, polegającą na tym, że on nam mówił wszystko, a potem sam cenzurował, co wolno, a co jeszcze musi pozostać w tajemnicy. Nigdy jego zaufania nie zawiedliśmy i umowa działała bardzo sprawnie.

Wreszcie trzeci magnes — to rotmistrz Czarnecki, który posiadał wyczucie aktualności dziennikarskiej właśnie w zrozumieniu prasy anglosaskiej. Czarnecki zawsze zjawiał się w najodpowiedniejszej chwili i dorzucał jakiś szczegół, jakiś żart, który nieomylnie „chwytał". Jego historia o bitwie, toczącej się o posiadanie leżących na minach krów, obiegła całą prasę amerykańską. Oczywiście takich magnesów było więcej. Były ich setki i tysiące wśród żołnierzy wszystkich oddziałów.

Były ich setki i tysiące, bo Dywizja była świetna. Na złość wszystkim pesymistom, sceptykom, prorokom, krytykom i złośliwcom spisała się tak, że wstydu ani „panom łaskawym" ani „panom kolegom" nie przyniosła. Okazało się, że ani *jam* ani względy szkockich dziewcząt stanowi gotowości nie zaszkodziły. Wszystko było zapięte na ostatni guzik.

To było rzeczywiście wspaniałe wojsko.

MACIEJ FELDHUZEN,
Polski Korespondent Wojenny

PANCERZ I PŁOMIEŃ

Piętnaście minut przed natarciem. „Poznań" zgrzytając na szosie podciąga do wyjściowej podstawy za mostek. Piechota już w rowach po jednemu wycieka naprzód. Jeszcze krótka rozmowa z por. Matulanisem, dowódcą szpicy, komuś się zgubiły rękawiczki, czy kto nie widział rękawiczek? Piechota coraz dalej wysuwa się rowami, czas na czołgi — kierunek po drodze. Kiwnięcie ręką, jedziemy.

Klapa nade mną już zamknięta. W słuchawkach głosy komend i wskazówek mieszają się z muzyką jakiegoś *swinga* czy walca.

W okienku celownika widzę tylko wykrój drogi, jakieś budynki przed nami. I piechotę flankującą nas po rowach.

Czołg wsuwa się już do wsi, w wylot ulicy. Ulica pusta, wymarła, niesamowita prowadzi spojrzenie aż po kościół, aż pod tę wieżę, w którą rano biliśmy z działa. Ale wzrok nie biegnie tak daleko. Wzrok, ograniczony pro stokątem pryzmatu zatrzymuje się na czymś, czego nie rozumie. Stoi to pod bokiem domu, o sto metrów od nas najdalej — w kolorze trucizny, jadowite jakieś i o dziwnym kształcie, ni to zamaskowany czołg, może armata? W słuchawkach trzepocą się słowa, nałożone na takt muzyczki. — Widzisz Edek? — „Co to jest do cholery?" — „Działo na pewno. Strzelaj!" Chwila strasznego napięcia wyraża się w zapytaniu zadanym samemu sobie: jeżeli działo, to kto strzeli pierwszy? — Widziałeś tego Niemca, co przebiegł ulicę?

Nie mogę czekać. Ciągnę za język spustowy. Uchwyt karabinu drga szybkim taktem serii. I w tej chwili wstrząs: odpalenie. Mgła zasłoniła widok. Trafił? Nie wiem. Nie widzę. Kiedy nagle w słuchawkach: — Pali się! I już nie głos z nich się przebija, ale okrzyk: — Z czołga!

Do świadomości mojej dotarło jednak raczej przejaśnienie się jakieś obok, w komorze kierowcy. I jego cień, jak przez otwartą klapę wysunął się w górę. Miejsce jego już puste. Pyrgali z czołga, jak wiewiórki — powiedzą potem.

I dopiero wtedy zobaczyłem płomień. Cała przestrzeń za mną, aż po siatkę dzielącą nasz przedział od przedziału wieżyczki, przemiatana jest łopocącym, ciemnym płomieniem. Zryw wszystkich mięśni, cały wysiłek istnienia i nerwów włożony w ten jeden cel: otworzyć klapę, uciec od tego sąsiedztwa. Dźwignąłem w górę jej niezgrabny ciężar, podparłem ramionami:

co jest? Nie puszcza. Otwarła się tylko szparą na przesunięcie rąk. Widzę przez nią stalową rurę lufy od działa, czuję ten sztywny, nieprzytomny opór. Obrócona w prawo do strzału zastawiła klapę, jakby skoblem. I teraz już szaleńcze mocowanie. Teraz jeden tylko nakaz: odsunąć tę lufę, która zagradza mi wyjście z pancernego pudła, która tarasuje powrotną drogę na świat, na swobodę, w życie.

To już są te sekundy, trwające całą wieczność. I nic, i wszystko na próżno, nie puszcza, nie drgnie, nie ustąpi. Walka instynktu życia przeciwko zmowie dwóch żywiołów: płomienia i stali. Ognia, który podpędza i żelaza, które nie puszcza.

Czuję gorące podmuchy na karku, przez mundur niesamowite przypływy ciepła dotykają pleców.

Tysiąc przedziwnych skojarzeń ciurkiem przemyka przez mózg. Wczorajsze czyjeś słowa odpowiedzi na zapytanie: a co robić, jeśli trafi w amunicję? Wtedy już tylko chyba: „do — modlitwy". Słyszę nawet jeszcze ton tej koszarowej komendy: „Do modlitwy!" Jak się tu modlić i o co! Nikt dotąd nie ułożył krótkiej modlitwy dla palących się w czołgu. Tak jak nikt nie pomyślał o modlitwie dla spadających z dachu. Te błyskawiczne echa podświadomości szamocą się w głowie razem z próbami znalezienia wyjścia.

I dopiero z cofnięcia się w głąb tej komory, która już jest pułapką, objawił się oczom widok, podrywający nadzieją. To otwarta na oścież klapa nad miejscem, gdzie siedział kierowca. On przecież tamtędy wyskoczył!

Nerwowy, dziki pośpiech. Przeprawianie się na jego miejsce. Wspięcie na rękach. Nic innego nie istnieje już dla mnie, tylko ten upór życia za wszelką cenę i mimo zmowy żywiołów, zimnego żywiołu pancerza i żywiołu tego krwawego gorąca, który buzuje jedną szeroką płachtą płomienia i zaraz wypełni do reszty wnętrze czołgu.

Jeszcze jeden wysiłek ramion, pchnięcie się naprzód całym ciałem — wyrwany z wnętrza, uratowany, zeskakuję gwałtownie na ziemię. Tylko dwa kroki do rowu i w rów. Przywarcie twarzą do trawy, czuję znów ziemię pod sobą, podniosłem głowę, czuję nad sobą niebo, jak dobrze smakuje szeroki oddech powietrza. Chociaż by wkoło grzmociły pociski, chociaż ta ziemia i to powietrze drga od wybuchów . . .

ALEKSANDER JANTA

ODDZIAŁY WARSZTATOWE

Dowództwo Oddziałów Warsztatowych zorganizowane było ściśle według obowiązujących etatów polskich. Aparat dowodzenia całkowicie wystarczający.

Dowództwo Oddziałów Warsztatowych znajdowało się stale w pierwszym rzucie Sztabu Dywizji. Próby umieszczenia dowództwa przy II. rzucie Sztabu, zarzucono już po kilku dniach jako całkowicie niepraktyczne. Dowództwo powino znajdować się tam, gdzie przebywa stale aparat dowodzenia Kwatermistrzostwa Dywizji.

Środki łączności wystarczające. W okresie pościgu, gdy odległość pomiędzy dowództwem a kompaniami warsztatowymi oraz czołówkami kompanii warsztatowych były wielkie, łączność radiowa często zawodziła.

W zależności od charakteru działań kompanie warsztatowe pracują jako całość lub też wydzielają do dyspozycji zgrupowań brygadowych jedną lub dwie czołówki *(Advance Workshop Detachment — A.W.D.)*

Dążeniem dowódców było, aby A.W.D. znajdowały się zawsze jak najbliżej oddziałów walczących. Dawało to bardzo dużą oszczędność czasu i usprawniało ruch na drogach, gdyż ilość sprzętu, ewakuowanego do tyłu, była przy tym założeniu znacznie mniejsza.

Główne rzuty kompanii warsztatowych znajdowały się początkowo w rejonie administracyjnym dywizji. Życie zasadę tę później zmieniło, gdy odległości II. rzutu od oddziałów walczących były zbyt duże i zbyt dużo czasu tracono na ewakuację sprzętu, przeznaczonego do naprawy. W okresach późniejszych kompanie warsztatowe przesuwane były według zarządzeń D-cy Oddz. Warszt. uzgodnionych zawsze z Kwatermistrzem Dywizji, niezależnie zupełnie od przesunięć oddziałów II. rzutu.

Zaopatrzenie w mat. techn. w okresie bitwy o Caen, Falaise, Chambois, istniało w nieznacznym stopniu. W okresie pościgu i walk w rejonie Antwerpii nie istniało w ogóle lub w stopniu nieznacznym.

W okresie bitwy o rzekę Mozę zaopatrzenie zostało już dobrze zorganizowane, sytuacja materiałowa całkowicie uchwycona. *159 Sub Park*, Dywizyjny Park Materiałowy i plutony magazynowe kompanii warsztatowych pracują ostatnio bardzo sprawnie.

Okres, w którym zaopatrzenie techniczne nie istniało lub prawie nie istniało, był dla Dywizji bardzo ciężki i trudny. Stan techniczny sprzętu zaczynał być bardzo zły, kanibalizacja była stosowana powszechnie, a wszystkie oddziały warsztatowe przeciążone naprawami oraz podwójną pracą, związaną z wymontowaniem części czy zespołów ze sprzętu kanibalizowanego. Dowódcy kompanii warsztatowych, plutonów magazynowych oraz czołówek warsztatowych dokazują cudów, aby zdobyć minimum potrzebnego materiału technicznego. Wyprawy po części lub zespoły do czołgów robią czasem po kilkaset kilometrów. Zespołów i części poszukuje się wszędzie. Dopiero uruchomienie portu w Antwerpii sytuację wybitnie polepszyło.

Czołówki warsztatowe wykonują szereg prac przekraczających zakres ich napraw. Pracują w bardzo ciężkich warunkach, bardzo często pod ogniem na równi z oddziałami walczącymi.

Brygadier I. Korpusu nadesłał pisemne podziękowanie dla Dywizji za dobre utrzymanie pojazdów. Podziękowanie brzmi:

„The Corps Comd directs me to place on record his high appreciation of the excellent state of maintenance in the „B" vehs of the Division as disclosed by the report made by capt. W. Carrick of No. 2. Unit Maint. Inspectorate.

He wishes his congratulations to be given to all officers and other ranks responsible for this most satisfactory state of affairs, which reflects every credit on the Division".

KOMPANIA WARSZTATOWA BRYGADY STRZELCÓW

Kompania Warsztatowa to „dziwny" oddział. To oddział przeznaczony do obsługi maszyn będących wymysłem twórczego ducha człowieka i jego inteligencji, przedmiotów będących pozornie martwymi.

A żołnierz takiej jednostki, to człowiek który w tych martwych rzeczach umie dopatrzeć się cech życia, to człowiek rozumiejący, dbający i kochający to, co dla innego, jest zwykłą masą, o nieprzeciętnych kształtach i zachowaniu.

Żołnierz — warsztatowiec, to dbały lekarz, cieszący się zdrowiem i życiem swego pacjenta, choć nie może spodziewać się od niego choćby drobnego słowa podzięki. Równocześnie jest on człowiekiem, tak jak jego praca, ścisłym, myślącym i może dlatego tak niepozornym. Brudny, zmęczony, czę-

sto bez możliwości snu lub spożycia posiłku, żyjący jedną myślą, że maszyna musi ruszać się, musi pracować tak dobrze, aby nie zawieść pokładanej w niej wiary obsługi — to żołnierz Kompanii Warsztatowej.

Pod tym aspektem należy patrzeć na słowa krótkiego sprawozdania, a wtedy bezduszne cyfry i wyrazy staną się jasne i zrozumiałe.

Przez cały czas walk Dywizji Kompania pracowała a w przeciwieństwie do oddziałów, wysiłek wzrastał, czasami przekraczając granice jej możliwości. właśnie w tych okresach, kiedy reszta kolegów - żołnierzy cieszyła się względnym spokojem i odpoczynkiem.

Wystarczy rzucić okiem na zestawienia. Taka liczba 707 pojazdów, względnie 159 dział lub 321 radiostacji naprawionych czy powie coś czytającemu? A przecież to tysiące godzin roboczych w warunkach polowych, to znaczy deszcz, śnieg, błoto lub upał. A przecież to znój i myśl, to danie swemu koledze - żołnierzowi narzędzia walki, to częstokroć uratowanie jemu życia.

A nazwa „ratownictwo" i cyfra 95. Czy należy to rozumieć, że 95 maszyn zostało uratowane dla naszego użytku, że ileś tysięcy w jakiejś walucie zostało zachowane dla procentowania się? Tak, ale nie tylko. To należy jeszcze rozumieć: droga otwarta dla ruchu kolumn, czołgi mogące znowu wspierać walczących kolegów, żywność, amunicja lub lekarz.

I przechodząc w ten sposób kwadrat za kwadratem wykresu, powstanie obraz tego, co w języku technicznym zwie się krótko „wydajność pracy". A była ona duża.

Kompania miała numer oddziałowy — sto.

Załogi i kierowcy maszyn w naprawie zwykli mówić:

— Tu u was jak przed wojną. Obsługa dobra, towarzystwo miłe, czujemy się jak w sobotni wieczór w knajpce „Pod setką" za dobrych, dawnych czasów. Tak mówili ludzie, a maszyny pracowały i to pracowały dobrze.

Te dwa drobiazgi, to ocena i nagroda za pracę żołnierza Kompanii Warsztatowej — 100.



1. SAMODZIELNY SZWADRON C. K. M.

Przez cały czas walk na kontynencie zadanie szwadronu nie było łatwe. Walkę rozpoczęliśmy nie jako zwarty oddział. Zostaliśmy podzieleni i plutonami przydzieleni do baonów strzeleckich. Odtąd poszczególne plutony walczyły niemal ustawicznie w składzie batalionów. Spowodowało to, że Szwadron, jako całość nie ma i nie mógł mieć swojej wyłącznej karty czynów bojowych. Wkład i udział plutonów ciężkich karabinów maszynowych i plutonu ciężkich moździerzy był zawsze częścią ogólnego wysiłku i pracy bojowej oddziałów, do których zostały przydzielone.

W miarę postępów Dywizji przez Francję, Belgię, Holandię, szeregi Szwadronu topniały. Powstały szczerby, które pokryliśmy, wcielając uzupełnienie rekrutujące się z ochotników z Francji, z żołnierzy Polaków z armii niemieckiej i wreszcie z żołnierzy przeszkolonych jako uzupełnienie etatowe w Szkocji.

Mimo, że straty były duże (2 zabitych i 81 rannych), do zakończenia pierwszej fazy działań ruchomych i przejściowej stabilizacji frontu nad Mozą oblicze i charakter Szwadronu nie uległy przemianom.

Szwadron pozostał i jest dziś jednostką o tradycjach kawalerii pancerno-motorowej.

W listopadzie 1944 r. rozpoczął się długi, pięciomiesięczny okres dozorowania Mozy. Wkopane w podmokłe wały południowego brzegu Mozy, ciężkie karabiny maszynowe jeżyły bez przerwy swe groźne paszcze ku północy, skąd Niemcy próbowali nas zaskoczyć.

Gdy w grudniu 1944 r. Rundstedt rozpoczął ofensywę, by ostatnim wysiłkiem powstrzymać pochód zwycięskich armii sojuszniczych ku granicom Reichu, Szwadron na kilka tygodni otrzymał odmienne zadanie. W drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia objęliśmy własny odcinek obronny nad Mozą, na najbardziej zagrożonym sektorze Dywizji.

Słynne w dziejach walk Dywizji Kapelsche-Veer zapoczątkowane zostało za naszej „kadencji". Tam i wtedy właśnie „artyleria szwadronowa", groźne moździerze 4 calowe, dały się porządnie we znaki Niemcom.

— A c.k.m.'y ?

Strzelaliśmy często z *carrier'ów* wprost w dym. Mieliśmy wiele chłodnic przestrzelonych w walkach ulicznych. Niejedna kolumna niemiecka została poszarpana dalekim ogniem, często tylko po obliczeniu tabelarycznym.

Wreszcie w kwietniu 1945 r. ruszyliśmy naprzód z Bredy i po przekroczeniu niezliczonych przeszkód, kanałów, zalewów, Szwadron w całości znalazł się na ziemi III Rzeszy.

Ciężka i mozolna była walka od chwili wkroczenia do Niemiec. Ze wszech stron wyzierały ku nam puste czeluścia okiennic, piętrzyły się ruiny dymiących i dogasających domostw, między którymi powiewały małe, postrzępione, białe flagi — znak bezwarunkowego poddania się...

Koniec działań wojennych dnia 5 maja 1945 r. zastał Szwadron w akcji, o 20 km od morza, w marszu na Wilhelmshaven!...

Umilkły moździerze i ciężkie karabiny maszynowe!

Żołnierze po raz pierwszy od dnia 8 sierpnia 1944 rozładowali taśmy z donośników, założyli kaptury na lufy moździerzy.

Nastał okres okupacji.

MARIAN KOCHANOWSKI, mjr.
1. Samodzielny Szwadron C.K.M.

OBÓZ UZUPEŁNIEN 1. DYWIZJI PANCERNEJ

POWSTANIE I ORGANIZACJA OBOZU

Z CHWILĄ, gdy 1. Dywizja Pancerna osiągnęła pełną gotowość bojową i zdecydowano użycie jej do inwazji na kontynent, rozkazem Naczelnego Wodza w maju 1944 nakazane zostało utworzenie Obozu Uzupełnień 1. Dywizji Pancernej *(1-st Polish Reinforcement Holding Unit)*.

Zadania Obozu Uzupełnień:

1. Utrzymanie uzupełnień na odpowiednim poziomie wyszkolenia i zdolności fizycznej.

2. Racjonalna wysyłka uzupełnień do jednostek organizacyjnych pod względem doboru zapotrzebowanych specjalności, kategorii zdrowia, w zależności od poniesionych strat.

Jako pierwsze miejsce postoju Obozu wyznaczono *Alby Park Stamford Bridge Yorkshire*, Anglia.

Dowództwo obejmuje podpułkownik Kowalski Stanisław i z niewielką grupą oficerów i szeregowych, przybyłych ze Szkocji, przystępuje do zorganizowania powierzonego mu oddziału.

Pierwszy rozkaz Obozu Uzupełnień 1. D.P. został wydany w dniu 28 czerwca 1944 r. Organizacyjnie Obóz został podzielony na trzy podobozy i Kompanię Sztabową.

Podobóz Nr. II. dla Wojsk i Służb Dywizji.

Podobóz Nr. III. — uzupełnienia dla 3. Brygady Strzelców.

W pierwszym rzucie do stanu Obozu spływają nadwyżki z poszczególnych oddziałów Dywizji na poczet ich uzupełnień, po czym stan Obozu był

zasilany transportami żołnierzy wszelkiego rodzaju broni z Ośrodka Zapasowego Dywizji.

Przygotowując się do przejścia na kontynent nawiązano kontakt z *4. Liaison* H.Q. za pośrednictwem Oficera Łącznikowego kpt. V.F. Vall.

W dniu 21 lipca 1944 r. Obóz przeszedł na nowe miejsce postoju *Stoke Pages* obok *Slouch* w Anglii, skąd w dniu 26 lipca został przesunięty do *Marshaling Area*, gdzie 30 lipca 1944 r. dowództwo objął ppłk. Deskur Jerzy.

Dnia 31 lipca 1944 r. z portu załadowczego *New Haven* Obóz przebywa kanał La Manche statkami inwazyjnymi i w dniu 1 sierpnia ląduje w Arromanches les Bains, w Normandii.

Pierwszą noc po wylądowaniu Obóz spędza na biwaku w *Transit Camp* nr. 60 przeżywając pierwsze wrażenia odgłosu walk i jest świadkiem aktywności lotnictwa nieprzyjacielskiego.

2 i 3 sierpnia po dwukrotnych, krótkich przemarszach Obóz osiągnął wyznaczone mu miejsce postoju, półtora kilometra na wschód od Bayeux.

W tym czasie 1. Dywizja Pancerna wchodzi w akcję bojową i rozpoczyna swój zwycięski marsz. Nieubłagane prawo wojny szczerbi jej szeregi. Powstają pierwsze straty. Wkrótce lekko ranni po wyleczeniu zaczynają napływać ze szpitali do Obozu i przynoszą pierwsze wieści o sukcesach i bohaterstwie żołnierzy Dywizji.

Przybywają również pierwsze transporty wyszkolonych żołnierzy ze Szkocji. Z tych elementów formuje się kolejno zapotrzebowane przez Dywizję uzupełnienie.

W czasie pobytu pod Bayeux, Obóz nawiązał bliższe stosunki z emigracją Polską zamieszkującą prowincje *Calvados*. Byli to przeważnie górnicy i robotnicy fabryczni skupieni w licznych osiedlach jak Potigny, Dives sur Mer i innych. Częstym gościem Obozu był ks. Makulec z Caen, opiekun Polskich kolonii i bardzo czynny działacz społeczny.

Kilkakrotnie Obóz zmienia swą przynależność służbową, wreszcie we wrześniu otrzymuje stały przydział do *102. R.H.U.*

W dniu 1 listopada 1944 r. Obóz rusza na nowe miejsce postoju do miasta Willebroek w Belgii, odbywając podróż samochodami w trzech etapach, osiąga miejsce przeznaczenia dnia 4 listopada 1944 r.

Tu przypada główny okres doszkalania wojskowego, w czym bardzo pomocna była grupa oficerów i podoficerów przybyłych z bogatym doświadczeniem bojowym jako instruktorzy do Obozu.

W podobozie Nr. I. — doskonalono artylerzystów, topografów oraz kierowców pojazdów mechanicznych.

W podobozie Nr. II. — prowadzono kursy z działu łączności oraz do-

skonalono motocyklistów. Przeszkalają się tu również żołnierze przeznaczeni na uzupełnienia oddziałów sanitarnych.

W podobozie Nr. III. — Kurs Szkoły Podoficerskiej i doszkalanie uzupełnień dla 3. Brygady Strzelców.

Stałym zajęciem saperów poza szkoleniem było budowanie dróg, kąpielisk i łaźni polowych, jak również oczyszczanie pozostałych pól minowych. Przy pracy tej od wybuchu miny zginął śmiercią tragiczną ś.p. sierż. Duda Józef.

W szkoleniu ogólnym uwzględniono również szereg wykładów z dziedziny historii i kultury polskiej, co było konieczne, gdyż wielu żołnierzy Obozu przez szereg lat ubiegłych karmiono wrogą propagandą armii niemieckiej, w której szeregach byli zmuszeni walczyć.

Żołnierze obozu nie zapominają i o miejscowej ludności cywilnej.

Dla harcerzy ze wszystkich środowisk emigracji polskiej w Belgii zorganizowano kurs dla działaczy społecznych.

Dla najbiedniejszych dzieci miejscowości Willebroek urządzono św. Mikołaja, obdarowując 120 z nich upominkami.

Urządzono również szereg imprez rozrywkowych. Dochody z imprez i niejednokrotnie dobrowolne składki przeznaczono na rzecz Polskiej Szkoły w Peronnes les Binche i na rzecz wdów i sierot po rozstrzelanych przez Niemców patriotach belgijskich w pobliskim forcie Brendock.

Dzięki poparciu społeczeństwa miejscowego oraz Centrali Belgijskiego Czerwonego Krzyża w Brukseli, oficer Opieki nad Żołnierzem zakłada Ognisko Żołnierza Polskiego w lokalu ofiarowanym bezinteresownie przez obywatela miejscowego Van Den Bogaert.

W dniu 12 maja 1945 r. Obóz zostaje przerzucony transportem kolejowym na nowe miejsce postoju na terenie Niemiec, kilometr na północ od miasteczka Kessel. Tu na skraju lasu *Reichswald* rozpoczyna się w dniu następnym życie pod namiotami. Okres pobytu tutaj wykorzystano na przygotowanie się do zadań okupacyjnych.

Przez Obóz Uzupełnień 1. Dywizji Pancernej przesunęło się wielu żołnierzy. W dniu lądowania w Arromanches les Bains w Normandii stan Obozu liczył 58 oficerów i 826 szeregowych. Dalsze uzupełnienia Obozu rekrutowały się z lekko rannych powracających ze szpitali polowych. W sumie 2171 żołnierzy oraz z transportów przybyłych z Ośrodka Zapasowego 1. Dyw. Panc. na ogólną cyfrę 85 oficerów i 5891 szeregowych.

Z uwagi na specjalny charakter rozlicznych zadań przypadających Obozowi Uzupełnień zyskał on miano „Serce i płuca Dywizji".

HUMOR PANCERNY

AUTENTYCZNE I MOŻLIWE

W sierpniowym upale bitwy normandzkiej, w ciężkich walkach pod Chambois szczególnie trudne chwile przeżywali strzelcy wieżowi czołgów. Skuleni w głębi wieży, wtuleni w kąt pomiędzy rozpalony pancerz, zlani potem klejącym oczy i odurzeni spalinami silnika i gazami nieustannie odpalających kaemów i dział — strzelcy wieżowi mdleli i cierpieli na torsje. W języku żołnierskim mówiło się poprostu: — oho! Ten już rzuca wiktem! Radiooperatorzy — z możliwością wychylenia głowy na powietrze — znajdowali się w o wiele wygodniejszej pozycji.

Oto autentyczne wydarzenie :

U schyłku dnia w walce pod Chambois strzelec wieżowy nie wytrzymuje i rzeczywiście „rzuca wiktem". Radiooperator, strz. Wilhelm G. — odznaczający się tym, że spośród pięciu języków którymi władał, najtrudniej wysławiał się w języku polskim, — patrzy z pretensją na chorego strzelca wieżowego, trąca łokciem dowódcę czołga i mówi: — „uś — świnia! Taka historyczna chwyla — to on idzie rzygać do czołga!!"

STACJA KIEROWNICZA — ZDENERWOWANA

„Hallo Filip raz — do nagłej cholery — gdzie wy jedziecie — mówiłem przecież w prawo — koło fermy w lewo i za laskiem prosto do wiatraka i od wiatraka w prawo skos do mostu — słucham!"

Stacja podległa — spokojna :

„Filip raz — powtórzyć wszystko po — nagła cholera — słucham!"

* * *

W kłopotliwej sytuacji, gdy spada gąsienica w walce, załoga wyskakuje, by usunąć uszkodzenie — a na nasłuchu pozostaje radiooperator st. strzelec Wilhelm G. i melduje :

— Hallo Xawery raz — mojego Baca nima w domu — czołg wyszedł z gąsienica — reparatura potrwa one hour — Baca się obawia — bo mało petrulki — słucham . .

STACJA PODLEGŁA — SPOKOJNA

— „Hallo Gustaw trzy — jestem w ogniu pepanc i ciężkiej artylerii — wśród okopów piechoty npla — jestem otoczony — z prawej czołgi Tygrvs — z lewej Pantery — z tyłu polują na mnie Panzerfausty — z przodu działa osiemosiem — co mam robić — słucham!!!"

Stacja kierownicza — spokojna i złośliwa :

Gustaw trzy — umrzeć natychmiast ze strachu — stoję za wami — zaraz was pochowam — koniec . . .

STACJA KIEROWNICZA — ZDENERWOWANA

— Hallo Dorota cztery — dlaczego was tutaj jeszcze nie ma — przecież mówię wyraźnie — od tego co się pali w lewo duże drzewo na skraju małego lasku — a potem już tak, jak ten dym w prawo od mojego stanowiska — i ja tam właśnie stoję — słucham!!

Stacja podległa i zdyscyplinowana :

— Dorota cztery — tak jest — koniec . . .

Stacja nieznana i niezdyscyplinowana :

— Ależ Dorotko — tyle dymków i pali się jak cholera — i cholera ciebie wie gdzie stoisz — nie odebrałem — koniec . . .

STACJA PODLEGŁA — ZDENERWOWANA

— Hallo Walenty Celina — w moim rejonie dużo *sniperów* i w ogóle jestem w ogniu — dwie maszyny uszkodzone, jedna przestrzelona — słucham.

Stacja kierownicza :

Walenty Celina — podać dokładnie — z czego do was strzelają — słucham.

Stacja podległa — zdenerwowana :

— Walenty Celina — z kukurydzy — słucham.

Z. K.

ROZKAZ DZIENNY Nr. 31.

Niemcy, dnia 13 czerwca 1945 r.

Pkt. 1. ROZKAZ P.O. NACZELNEGO WODZA

Podaję do wiadomości rozkaz nr. 4. Naczelnego Wodza z dnia 20.5. b.r. :

Życzenia Marszałka Sir A. Brooke Imp. Szefa Szt. Głównego.

Podaję do wiadomości życzenia Imperialnego Szefa Sztabu Głównego Marszałka Sir Alan Brooke'a, nadesłane na moje ręce z okazji Święta Narodowego 3-go Maja :

Drogi Panie Generale,

Z prawdziwą dumą może Pan spoglądać na wyniki osiągnięte w polu, w przeciągu ostatniego roku przez Polskie Siły Zbrojne, obecnie znajdujące się pod Pańskim dowództwem.

Piszę, by przesłać Panu Generałowi moje najszczersze życzenia na przyszłość, w dniu Święta narodowego Polski.

Po długim okresie szkoleniowym, przygotowując się do działań przeciwko armii niemieckiej, Pańska 1. Dywizja Pancerna wykazała się świetnie w bitwach stoczonych we Francji, a Polski Korpus we Włoszech w dalszym ciągu podtrzymał piękną tradycję poprzednio już ugruntowaną — bojowej i wielkiej Jednostki.

Wojska polskie odegrały zaszczytną rolę w pokonaniu armii niemieckiej i za pośrednictwem Pana Generała pragnę przekazać swoje wielkie uznanie dla wysiłku dla wspólnej sprawy Aliantów.

Bardzo szczerze oddany

(—) A. Brooke, Field Marshal.

GENERAŁ BRYG. MACZEK DOWÓDCA 1. DYWIZJI PANCERNEJ

Pan Prezydent Rzeczypospolitej polecił mi, Generale, wyrazić Ci głębokie uczucie radości, z jakiem dowiedział się o oswobodzeniu przez Twoją dywizję obozu naszych kobiet-żołnierzy Armii Krajowej. Pan Prezydent wie, że było to dla Was wszystkich nagrodą za poniesione trudy i ofiary. Wie również, z jakiem sercem przyszliście im z pomocą. Prosi Cię o najgorętsze powitanie ich w Jego imieniu.

Do tych słów Pana Prezydenta przyłączam się w imieniu Rządu i własnym. Niczego nie zaniedbamy, by sprawy ich i innych naszych towarzyszy broni wyzwolonych obecnie pomyślnie rozwiązać i zapewnić im maximum opieki ze strony Sprzymierzonych.

Łączę żołnierski uścisk dłoni.

KUKIEL, Gen. Dyw.

TRWAŁYM UCZUCIEM POZOSTANIE

POLSKO - KANADYJSKIE BRATERSTWO BRONI

Dowódca Armii Kanadyjskiej żegna 1. Dywizję Pancerną.

1. Dywizja Pancerna wyjdzie w najbliższym czasie spod dowództwa 1. Armii Kanadyjskiej.

W związku z tym gen. H.D.G. Crerar, Dowódca 1. Armii Kanadyjskiej przesłał na ręce Dowódcy Dywizji gen. Rudnickiego następujący list pożegnalny, prosząc o podanie go do wiadomości żołnierzom wszystkich stopni:

„Drogi Panie Generale !

Za kilka dni 1. Polska Dywizja Pancerna wyjdzie spod mego dowództwa. Długotrwałe, szczęśliwe i uwieńczone powodzeniem braterstwo broni żołnierzy polskich i kanadyjskich na tym teatrze działań wojennych skończy się — oficjalnie.

Mówię „oficjalnie", gdyż czuję bardzo mocno, że poważanie i szacunek odczuwane wzajemnie przez polskich i kanadyjskich żołnierzy, oparte na wspólnie przeżytych niebezpieczeństwach i pokonanych przeszkodach, są uczuciami trwałymi, które pozostaną na zawsze.

Jako Dowódca Armii Kanadyjskiej pragnę wyrazić Panu oraz — za Pańskim pośrednictwem — żołnierzom wszystkich stopni 1. Polskiej Dywizji Pancernej, moje wielkie uznanie i moją wdzięczność za wspaniałe osiągnięcia podległej Panu Dywizji w ubiegłych miesiącach zaciętych i nieustannych walk. Wasz wojenny dorobek jest tego rodzaju, że macie wszelkie prawo być z niego bardzo dumni".

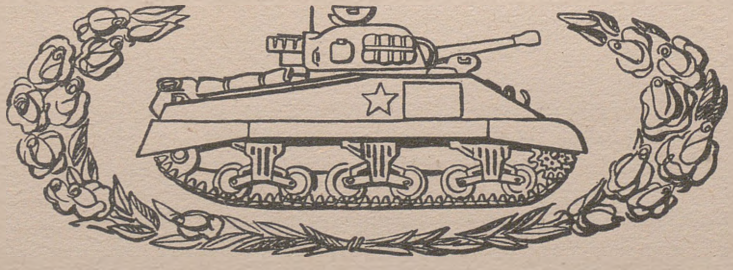

„ZWIĄZEK, KTÓREGO NIGDY NIE ZAPOMNIMY"

Holandia dziękuje żołnierzom 1. Dywizji Pancernej.

Książę Bernard Holenderski, dowódca holenderskich sił zbrojnych, skierował na ręce Dowódcy Dywizji list następującej treści:

Drogi Panie Generale !

Jej Królewska Mość Królowa Wilhelmina i nasz rząd upoważnili mnie do odznaczenia orderem **Oranje Nassau** z mieczami żołnierzy 1. Dywizji Pancernej.

Byłbym Panu Generałowi wdzięczny za przesłanie mi listy oficerów i szeregowych, którzy specjalnie wyróżnili się podczas walk w Holandii. Poza tym chciałbym nadać gen. Maczkowi Komandorię z gwiazdą tego samego orderu.

Niech będzie mi wolno skorzystać z tej okazji, aby wyrazić podległym Panu żołnierzom podziękowanie narodu holenderskiego oraz moje własne za bardzo poważną i czynną rolę, jaką odegrali oni w uwolnieniu naszego kraju. Stworzyło to mocny związek między nami, którego nigdy nie zapomnimy. Zyskaliście sobie wielu przyjaciół w naszym kraju i będziecie tu zawsze mile widziani. Może znajdzie Pan okazję przekazania tego listu — zwłaszcza w imieniu Jej Królewskiej Mości — wszystkim żołnierzom polskim, którzy walczyli w Holandii.

Z najlepszymi życzeniami, szczerze oddany

Bernard.

„DROGA POLAKÓW" W ABBEVILLE.

Francuskie miasto adoptuje Dywizję.

Abbeville nie zapomniało, że 1. Dywizji Pancernej zawdzięcza swe wyzwolenie. Rada miejska nadała gen. Maczkowi godność honorowego obywatela i uchwaliła adoptację przez Abbeville 1. Dywizji Pancernej.

W dniach 26 i 27 maja 1945 r. odbyła się, w tym umęczonym przez Niemców w 1940 r. mieście francuskim, wielka uroczystość. Delegacja Dywizji z gen. Maczkiem na czele była witana z entuzjazmem przez ludność i władze miejskie. W chwili jej przybycia oddziały francuskie oddały honory chorągwi polskiej, która została wciągnięta na maszt przed ratuszem.

W dniu 27 maja odsłonięto pomnik na pamiątkę wkroczenia Dywizji do Abbeville po drodze, której została nadana nazwa „Droga Polaków". Następnie udano się na cmentarz, gdzie gen. Maczek złożył wieniec na grobie jednego z żołnierzy polskich. Drugą wiązkę kwiatów złożył generał u stóp pomnika poległych. W czasie mszy ksiądz francuski wygłosił kazanie, w którym dał wyraz w języku polskim uczuciom Francji do Polski. Po śniadaniu, wydanym na cześć delegacji, wygłosili mowy burmistrz, gen. Maczek, konsul generalny R.P. w Paryżu i podprefekt Abbeville, występujący w imieniu gen. de Gaulle. Wieczorem odbyło się przedstawienie teatralne i bal.

Powołano w Abbeville do życia oddział stowarzyszenia **Amis de la Pologne** — Przyjaciół Polski. Szereg jego członków wyraziło chęć goszczenia udających się na urlop żołnierzy Dywizji.

Ci wszyscy, którzy byli świadkami uroczystości 26 i 27 maja zachowali z nich wspomnienia pełne wdzięczności i wzruszenia; odczuli oni jak mocne są więzy, które łączą Abbeville z jego oswobodzicielami.

BREDA — MIASTO ZAWSZE WIERNE PRZYJAŹNI

Na prośbę przedstawiciela „Dziennika Żołnierza" burmistrz miasta Bredy p. van Slobbe, skreślił następujące słowa do żołnierzy 1. Dywizji Pancernej :

Korzystam z okazji, aby za pośrednictwem polskiego pisma przesłać w imieniu ludności miasta Bredy serdeczne pozdrowienia tym wszystkim żołnierzom 1. Dywizji Pancernej, którzy nie mogli przybyć do naszego miasta na uroczystości.

W dowód wdzięczności za oswobodzenie naszego miasta społeczeństwo Bredy ofiarowało sztandar 8. Batalionowi Strzelców, oddziałowi Waszej Dywizji, który rok temu pierwszy do nas wkroczył.

W dawnych czasach sztandar szedł do bitwy na czele walczących oddziałów, był on symbolem waleczności, wierności i zwartości wojska. Każdy żołnierz gotów był do ostatka walczyć w obronie swego sztandaru i nigdy go nie opuszczał. Tak było u nas, tak było i u Was.

Lecz czasy zmieniły się. Na polu bitwy nie widać już łopoczących sztandarów, inne nastały zwyczaje walki, żelazne potwory główną dziś w niej grają rolę. Ale sztandar nie zmienił swego znaczenia — jest on w dalszym ciągu symbolem cnót żołnierskich.

Jesteśmy szczęśliwi, że ofiarowując ten sztandar mogliśmy w ten sposób okazać naszą wdzięczność żołnierzom 1. Dywizji Pancernej, którzy z poświęceniem własnej krwi zdobyli Bredę, oszczędzając jej mury przed zniszczeniem. Na naszych cmentarzach leżą Wasi Koledzy, którzy w walce o nasze miasto swoje młode życia oddali. Nie znaliśmy ich nigdy, ale wiemy, że pod ich żołnierskimi mundurami biły gorące serca.

Życzymy Wam, abyście z tym sztandarem ofiarowanym przez Bredę, jak również z innymi Waszymi sztandarami mogli jak najszybciej wrócić do wolnej Polski, gdzie sztandary te po wieczne czasy przemawiać będą o Waszym, polscy żołnierze, bohaterstwie.

VAN SLOBBE,
Burmistrz królewskiego miasta Bredy

Breda, dnia 29.X. 1945 r.

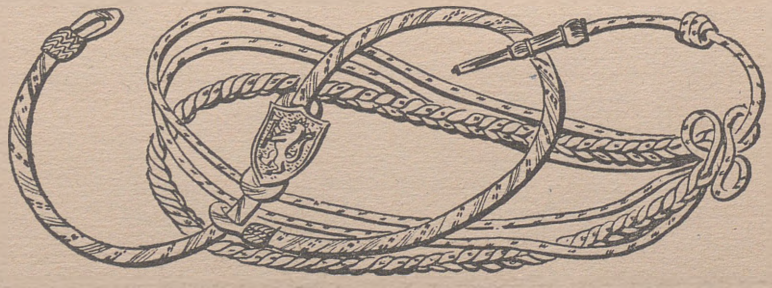

MARSZAŁEK MONTGOMERY WŚRÓD ŻOŁNIERZY DYWIZJI

— Jestem szczęśliwy, że Was znowu widzę — tymi słowami powitał marszałek Montgomery żołnierzy Dywizji, zgromadzonych jako delegacje oddziałów w Meppen.

Marszałek Montgomery odwiedził 24 listopada 1945 r. naszą Dywizję po raz pierwszy od zakończenia wojny.

Marszałka Montgomery powitał w sobotę na dworcu w Meppen dowódca Dywizji gen. Rudnicki w towarzystwie oficerów sztabu i szwadronu honorowego ze sztandarem 10. P.S.K. Tymczasem stadion sportowy wypełniły szczelnie delegacje oddziałów 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej, Artylerii Dywizyjnej, Saperów, Łączności i Służb Dywizji. Na czele ustawieni byli spadochroniarze, odziani w swoje ochronne kurtki.

Komenda baczność podrywa szeregi. Wszystkie oczy wpatrzone są w postać niewysokiego, szczupłego pana w Battle-dresie i berecie khaki. To marszałek Montgomery.

Wkroczywszy na trybunę, marszałek Montgomery odsuwa mikrofon i skinieniem rąk przyzywa żołnierzy bliżej. Łamią się szyki, wszyscy biegiem zdążają do trybuny. W krótkim przemówieniu marszałek zwrócił się do żołnierzy :

— Jestem szczęśliwy, że jestem wśród was i że mogłem was zobaczyć. Żałuje, że nie mogę was częściej odwiedzać. Mam jednak wiele pracy nie tylko jako dowódca oddziałów ale i komendant strefy brytyjskiej w okupowanych Niemczech. Tu jestem u was pierwszy raz ale pamiętam Dywizję z okresu walki jako pierwszorzędną jednostkę. Od pierwszej chwili gdy Dywizja weszła do akcji przed Falaise walczyła znakomicie i zabiła dużo Niemców. Zadowolony jestem że mogę być tu i wręczyć żołnierzom Dywizji odznaczenia nadane im przez J.K. Mość Jerzego VI. Jeszcze raz pragne zapewnić was że cieszę się bardzo widząc was ponownie.

Marsz. Montgomery udał się z kolei do miejsca postoju 10. P.S.K. gdzie dokonał przeglądu delegacji oddziałów 10. Brygady Kawalerii Pancernej 3. Brygady Strzelców i 10. P.S.K. I tu w krótkich słowach marsz. Montgomery podkreślił wkład Dywizji do walk we Francji :

— Bitwa pod Chambois miała decydujące znaczenie. Dywizja była korkiem butelki w której zamknięci zostali Niemcy.

DZIĘKUJĘ WAM ZA LOJALNĄ WSPÓŁPRACĘ...

Gen. Horrocks żegna 1. Dywizję Pancerną.

W związku z odejściem dowódcy 30. Korpusu, gen. Horrocks, na stanowisko dowódcy Western Command w Anglii i mianowaniem na jego miejsce gen. Galloway, dotychczasowego Szefa Sztabu marsz. Montgomery, gen. Horrocks wystosował następujący list pożegnalny do Dowódcy Dywizji :

Drogi Generale !

Byłem tak zajęty w ciągu ostatniego tygodnia, że nie miałem możności odwiedzić Pana i pożegnać się z nim osobiście.

Korzystam więc z tej okazji, by pisemnie podziękować Panu za całą pomoc, której Pan i Jego Dywizja udzielili mnie i 30. Korpusowi, odkąd przeszliście pod moje dowództwo.

Jak Panu wiadomo, mam bardzo wysokie zdanie o żołnierzach Polskiej Dywizji Pancernej i Polskiej Brygadzie Spadochronowej, którzy w nader trudnych okolicznościach zachowali się w sposób jaknajbardziej godny. Byłbym Panu bardzo wdzięczny, gdyby zechciał Pan pożegnać w moim imieniu wszystkich oficerów, podoficerów i szeregowych oraz podziękować im za lojalną współpracę, której mi udzielili.

Życzę im wszelkiej pomyślności na przyszłość i mam nadzieję że będę jeszcze kiedyś miał zaszczyt dowodzenia Polską Dywizją Pancerną.

Szczerze oddany

B.S. HORROCKS



TABLICE ODDZIAŁÓW 1. DYWIZJI PANCERNEJ

NA TABLICACH PUŁKOWYCH UMIESZCZONO TAK ZWANĄ NIEOFICJALNĄ TO JEST LEWĄ STRONĘ SZTANDARÓW, NA KTÓRYCH SĄ CHARAKTERYSTYCZNE DLA PUŁKÓW ZNAKI I NAPISY. NATOMIAST WSZYSTKIE PRAWE STRONY SZTANDARÓW SĄ JEDNAKOWE W CAŁEJ ARMII POLSKIEJ.

OBJAŚNIENIE WYRAZÓW OBCEGO POCHODZENIA

Austin	—	marka samochodu osobowego
Baca	—	kryptonim oznaczający dowódcę
Bazooka	—	miotacz granatów ppanc. produkcji amerykańskiej
Beacon	—	wskaźnikowa fala świetlna lub radiowa
Bedford	—	marka samochodu półciężarowego lub ciężarowego
Besa	—	ciężki karabin maszynowy wmontowany w czołgi i samochody pancerne produkcji angielskiej
Bofors	—	szybkostrzelne działo przeciwlotnicze o kalibrze 40 mm
Bren	—	ręczny karabin maszynowy
Browning	—	ciężki karabin maszynowy
Camping	—	miejsce postoju w polu
Car	—	samochód, wóz, wagon
Carrier	—	bojowy, gąsienicowy wóz piechoty
Churchill	—	ciężki czołg produkcji brytyjskiej
Cidre	—	jabłecznik
Compo	—	paczka konserw na 14 ludzi
Cromwell	—	szybki czołg produkcji brytyjskiej
Crusader	—	lekki czołg produkcji brytyjskiej
Daimler	—	marka brytyjskiego samochodu pancernego
Dakota	—	typ samolotu transportowego produkcji amerykańskiej
D-day	—	dzień rozpoczęcia inwazji kontynentu (6.VI. 1944)
Depot	—	składnica
Destroyer	—	samobieżne działo przeciwpancerne
Fice	—	rower po holendersku
Flak	—	niemieckie działo przeciwlotnicze (niemiecka obrona plot.)
Flara	—	rakieta oświetlająca
Focke-Wulff	—	niemiecki samolot myśliwski
Fordson	—	marka samochodu półciężarowego
Grant	—	typ czołgu produkcji amerykańskiej
Half - track	—	samochód półgąsienicowy, opancerzony
Harbour	—	bojowe miejsce postoju, przede wszystkim czołgów
Highlander	—	góral — żołnierz 51. Szkockiej Dywizji Piechoty
Honey	—	nazwa lekkiego czołgu produkcji amerykańskiej (Stuart)

Humber	—	typ samochodu osobowego lub pancernego
Jeep	—	lekki samochód osobowy produkcji amerykańskiej
Kapok	—	materiał do wypełniania kładek prowizorycznych
King's Regulation	—	Królewski Regulamin Sił Zbrojnych (brytyjskich)
Lightning	—	typ samolotu myśliwskiego produkcji amerykańskiej
Maquis	—	żołnierz francuskiej armii podziemnej
Matchless	—	typ motocykla
Matilda	—	czołg produkcji angielskiej
Mark IV	—	średni czołg niemiecki
Messerschmidt	—	samolot myśliwski niemiecki
Mustang	—	typ samolotu myśliwskiego produkcji amerykańskiej
Pantera	—	ciężki czołg niemiecki
Panzerfaust	—	niemiecki miotacz granatów ppanc.
Piat	—	miotacz granatów ppanc. produkcji brytyjskiej
Pivot	—	organizacja obronna będąca podstawą manewru
Rear - link	—	oficer pośredniczenia w przekazywaniu meldunków
Recover	—	wóz ratowniczy
Scamel	—	marka kołowego wozu ratowniczego
Scout - car	—	lekki samochód rozpoznawczy, opancerzony
Schmeisser	—	pistolet automatyczny niemiecki
Sherman	—	średni czołg amerykańskiej produkcji
Skorpion	—	czołg przystosowany do niszczenia min
Sniper	—	strzelec wyborowy strzelający z ukrycia
Spandau	—	niemiecki karabin maszynowy
Spitfire	—	angielski samolot myśliwski
Sten	—	pistolet automatyczny angielski
Stiffkey Stick	—	przyrząd celowniczy działa przeciwlotniczego (Bofors)
Stuart	—	lekki czołg produkcji amerykańskiej
Thunderbolt	—	samolot myśliwski produkcji amerykańskiej wyposażony w pociski rakietowe
Troop - carrier	—	samochód ciężarowy do przewożenia piechoty
Tygrys	—	ciężki czołg niemiecki
Typhoon	—	samolot myśliwski produkcji angielskiej wyposażony w pociski rakietowe
Valentine	—	czołg produkcji angielskiej
V 1	—	bomba latająca
V 2	—	bomba rakietowa

OBJAŚNIENIE SKRÓTÓW

A.D.	—	Artyleria Dywizyjna
AGRA	—	Army Group Royal Artillery
62. A/Tk Rgt	—	62. Anti-Tank Regiment
A.W.D.	—	Advance Workshop Detachment
B.E.M.	—	British Empire Medal
8. B.S.	—	8. Batalion Strzelców
9. B.S.F.	—	9. Batalion Strzelców Flandryjskich
B.S.P.	—	Batalion Strzelców Podhalańskich
10. B.K.	—	10. Brygada Kawalerii
10. B.K.P.	—	10. Brygada Kawalerii Pancernej
D.C.M.	—	Distinguished Conduct Medal
D.L.M.	—	Division Légère Mécanique
D.S.O.	—	Distinguished Service Order
D.O.Z.	—	Dowództwo Oddziałów Zaopatrywania
M.B.E.	—	Member of the Order of the British Empire
M.C.	—	Military Cross
M.M.	—	Military Medal
O.B.E.	—	Officer of the Order of the British Empire
P.A.Mot.	—	Pułk Artylerii Motorowej
P.A.Ppanc.	—	Pułk Artylerii Przeciwpancernej
P.A.Plot.	—	Pułk Artylerii Przeciwlotniczej
P.Panc.	—	Pułk Pancerny
10. P.S.K.	—	10. Pułk Strzelców Konnych
24. P.Uł.	—	24. Pułk Ułanów
10. P. Drag.	—	10. Pułk Dragonów
P.O.W.	—	Prisoner of war
Pte	—	private
P.W.X.	—	Ex-Prisoner of war
R.E.	—	Royal Engineers
47 (R.M.) Commando	—	47. Royal Marine Commando
S.A.S.	—	Belgijska Brygada Spadochronowa
W.J.	—	Wielka Jednostka

S P I S R Z E C Z Y

Str.

Słowo wstępne — Gen. Stanisław Maczek 5
Słowo wstępne — Gen. Klemens Rudnicki 7
Od Komitetu Redakcyjnego 8

WSTĘP

Start — Płk. dypl. Franciszek Skibiński 11
Formowanie się 1. Dywizji Pancernej — Ppłk. dypl. Ludwik Stankiewicz 17
Tablica organizacyjna 1. Dywizji Pancernej 22
Materiałowa mobilizacja Dywizji — Mjr. dypl. Jan Marowski . . . 24
Stosunki Polsko - Szkockie — Ppor. Stanisław Krasicki 28
Ostatnie przygotowania — Mjr. dypl. Jan Marowski 32
Wyjeżdżamy — Por. Michał Waszut 36
Dojazd — Por. Jacek Stwora 38
Dywizja wchodzi w bój — Ppłk. dypl. Ludwik Stankiewicz 47
Rozkaz dzienny Nr. 14 50
Rozkaz dzienny Nr. 33 50

NORMANDIA

Operacja Falaise — Chambois — Ppłk. dypl. Ludwik Stankiewicz . . 53
Kalendarz działań Dywizji 65
Artyleryjskie rozpoznanie — 2. Pułk Artylerii Motorowej 71
Szarża na wzgórze 111 — Por. Adam Ostromęcki 74
O tym jak Podhalanie St. Sylvain zdobywali — Kpt. Jerzy Zagórski . . 79
Natarcie na las Quesnay — St. strz. Stanisław Walendzik 81
Pierwsze zwycięstwo — Por. Jan Natanek 83
Bitwa o przeprawę pod Jort — Por. Antoni Położyński 85
Kryptonim „Ignacy" — St. strz. Wacław Borkowski 88
Patrol na Vicquette — X.Y. 90
W kotle pod Champeaux — Ppłk. dypl. Stanisław Koszutski 91
Sztab walczy — Kpt. Janusz Popiel 97
Nieudane rendez-vous z Amerykanami — Rtm. Józef Orpiszewski . . 99
Przewieźć piechotę na stanowiska — Por. Marian Wolański 101
Bitwa o Chambois — Por. Adam Jędrzejowicz 103
Pole Chwały — Rtm. Jan Rozwadowski 106

Str.
Karlików cud — Por. Michał Waszut 108
Trzydniowa bitwa o Maczugę — A. S. 110
Wzgórze 262 — Ppor. Bogdan Jabłoński 117
O. Wiktor Hupa — O. Bronisław Chrostowski 119
Fraszki normandzkie — Or-Si 120
Moja przygoda na punkcie opatrunkowym — St. strz. Teofil Bikowski . 121
Mokra noc — Ppor. Tadeusz Krzyżaniak 123
Krzyże przydrożne — Pchor. Wacław Liszkowski 125
Gorące dni sierpnia — Mjr. dypl. Jan Marowski 126
Po czterech latach... 129
Telegram D-cy 1. Armii Kanad. do D-cy 1. Dyw. Panc. 130
Wspaniała walka Polaków 131
Kulą w płot 132

POŚCIG

Wstęp 135
Kalendarz działań Dywizji 137
Od Normandii do Skaldy — Ppor. J.J. 142
Abbeville — Kpt. Jerzy Zagórski 145
Bitwa o St. Omer — Ppor. Alexander Rożecki 146
Pościg — Rtm. Zygmunt Kłodziński 148
Wspomnienia z Ypres — Kpt. Stefan Drożak 150
W pościgu — Kpt. Wacław Dudek 152
Fragment z wysuniętego punktu am.-benz. — Por. Stanisław Bryczek . . 154
Ruysselede — male Chambois — Ppor. Stanisław Trembacz 156
Odwodowy włazi w sytuację... jasną — Rtm. Zygmunt Kłodziński . . 158
Z walk o Roulers — St. strz. Paweł Kościuszko 164
Bitwa o miasto Thielt — Por. Adam Dzierżek 165
Thielt zdobyte — Por. Stanisław Dulski 175
St. strz. Boryna — Ppor. Ryszard Linke 177
Fraszki — Or-Si 180
Na szlaku Dywizji Pancernej: Gandawa — Żołnierz z 1-szej Pancernej . . 181
Axel — Hulst — Por. Adam Jędrzejowicz 184
Przez drogi usłane kwiatami i niemieckim trupem — Z kroniki 1. P.Art.Mot. 186
Bój o Axel — Pułk. Zdzisław Szydłowski 188
U ujścia Skaldy — Rtm. Zygmunt Kłodziński 205
Rozkaz dzienny Nr. 53 209
Ulotka 210

OD SKALDY DO MOZY

Wstęp 213
Kalendarz działań Dywizji 215
Moje boje o Baarle-Nassau — Por. Marian Ojrznowski 220
Wypad pod Alphen — Plut. pchor. Stanisław Ostroga 225

Str.

Ze wspomnień Oficera Opieki 9. B. Strz. 227
Braterstwo krwi — Ppor. Tadeusz Krzyżaniak 231
Z walk o Bredę — Ppor. Tadeusz Krzyżaniak 232
Ósmy nad kanałem Mark — Por. Czesław Trojanowski 234
Forsowanie kanału Mark — Kpt. B.S. 238
Przyczółek — Por. Tadeusz Wiatrowski 244
Z kroniki 2. Pamotu — * * * 255
Poprzez zalewy nad Mozą — Por. Zbigniew Smalec 256
Moerdijk — Rtm. Zygmunt Kłodziński 257
Bitwa pod Moerdijk — Rtm. Jan Przanowski 261
Walka o Moerdijk — Ppor. Bogdan Jabłoński 265
Ballady wojenne — Jan Winczakiewicz 267
List D-cy Korpusu do gen. Maczka 268
Uznanie Szkotów dla czynów bojowych Dywizji 268
Gen. Crerar o 1. Dyw. Pancernej 269
Regent Belgii dziękuje 1. Dywizji Pancernej 269
Fraszki nie-polityczne — Or-Si 270

NAD MOZĄ

Wstęp 273
Kalendarz działań Dywizji 275
„Niewojujące wojowanie" — Ppor. Wacław Iwaniuk 280
Fraszki — Or-Si 283
Wigilia — Ppor. B.T. 284
Stary telefonista — Ppor. Leszek Talko 286
Nad Mozą — Plut. Jan Matraj 290
Kulą w płot 292
Po kładce kapokowej na Kapelsche Veer — Ppor. Józef Jarosz . . . 293
Franek — Ryszard Kiersnowski 295
Patrol za Mozą — St. strz. Łu 296
Jednak prawdziwe... 300
Szyderstwo Karasia — Kpr. pchor. Wojciech Drygas 301
Fraszki Krymskie — Or-Si 306
Antwerp X — Por. Bolesław Lewicki 307
Na pó'wyspie — Por. Adam Ostromęcki 312
Testament żywych — Ryszard Kiersnowski 315
List szkocki do Dywizji 316
Marszałek Montgomery dekoruje żołnierzy Dywizji 316

OD BREDY DO WILHELMSHAVEN

Wstęp 321
Kalendarz działań Dywizji 323
Ostatni etap — Mjr. dypl. Jan Marowski 330
Uwolnienie — Mieczysława 338

Str.

Straszny Franio — Por. Jarosław Jaźwiński 340
Akcja na Küsten - Kanal — Por. Adolf Łukowski 344
Przeprawa przez Küsten - Kanal — Strz. Ryszard Kępny 346
Opowiadanie rear - linka — Rearlink 348
Rozpoznanie pod Papenburgiem — Ppor. Stefan Rożnowski 352
Litania dział — Ppor. Wacław Iwaniuk 355
2 maja, dziś na niego kolej — Rtm. Zygmunt Kłodziński 356
Hallo Zygmunt — Henryk Tyszyński 361
Sniper bridge — Ppor. Józef Jarosz 364
Noc — Por. Jacek Stwora 366
List gen. Andersa do gen. Maczka 371
Dwie możliwości... (ulotka) 372

* * *

Epitafium — Por. Jacek Stwora 375
Pluton Opieki — Ksawery Pruszyński 376
Prasa Dywizyjna — Redakcja Dziennika Żołnierza 379
Dziennikarskie magnesy — Maciej Feldhuzen 383
Pancerz i płomień — Aleksander Janta 385
Oddziały Warsztatowe 387
1. Sam. Szw. C.K.M. — Mjr. Marian Kochanowski 390
Obóz Uzupełnień 391
Humor pancerny — Z.K. 394
Rozkaz dzienny Nr. 31 396
List gen. Kukiela do gen. Maczka 396
Polsko - Kanadyjskie braterstwo broni 397
Związek, którego nigdy nie zapomnimy 398
„Droga Polaków" w Abbeville 398
Breda — miasto zawsze wierne przyjaźni 399
Marsz. Montgomery wśród żołnierzy Dywizji 400
Gen. Horrocks żegna 1. Dywizję Pancerną 401

Tablice Oddziałów 1. Dyw. Panc. . . . . I — LXVIII
Objaśnienie wyrazów obcego pochodzenia LXIX
Objaśnienie skrótów LXXI

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
im. F. Dzierżyńskiego

BIBLIOTEKA NAUKOWA
WAP
47440/
12